

Danielle

Przeprawy

Przełożona z angielskiego
Ewa Pensyk

Wydawnictwo "Książnica"
Katowice 1994

ISBN 83-85348-43-3

przepisała Marianna Wydek

"Silnych ludzi nie można pokonać..."

Rozdział pierwszy

Dom pod numerem 2129 przy Wyoming Avenue stał w całym swoim masywnym splendorze; jego szary kamienny front zdobiły ornamenty zwieńczone wielkim złotym godłem i francuska flaga, powiewająca pogodnie na wietrze, który zerwał się tego popołudnia w Waszyngtonie - może po raz ostatni przed nadchodzącym latem. Był już czerwiec roku 1939; te pięć ostatnich lat Armandowi de Villiers, ambasadorowi Francji, upłynęło o zdecydowanie za szybko.

Siedząc w swoim gabinecie, którego okna wychodziły na elegancki ogród, z roztargnieniem patrzył przez chwilę na fontannę, potem przeniósł wzrok na górę papierzysk ułożony na biurku. Cóż z tego, że powietrze przepełniał intensywny aromat bzu - miał wiele do zrobienia, a za wiele... Wiedział już, że będzie siedzieć w biurze do późnej nocy, jak zresztą co wieczór przez ostatnie dwa tygodnie w związku z przygotowaniami do powrotu do Francji. Od dawna był świadom, że zbliża się odwołanie, a jednak kiedy nadeszło w kwietniu, poczuł w sercu lekkie ukłucie żalu. Jeszcze teraz miewał w związku z powrotem do domu mieszane uczucia. To samo działo się z nim wówczas, kiedy opuszczał Wiedeń, Londyn, San Francisco i inne poprzednie placówki. Więzy z tym miastem i krajem były jednak znacznie silniejsze. Armand miał skłonność do zapuszczania korzeni, zawierania przyjaźni, zakochiwania się w miejscach, do których go delegowano. Taka postawa utrudniała mu przenosiny, a przecież tym razem nie były to tylko przenosiny - to był powrót do ojczyzny.

Ojczyzna... Po raz ostatni by³ we Francji bardzo dawno temu, a teraz go tam po prostu pilnie potrzebowano. Ca³¹ Europê ogarnê³o napiêcie, wszystko ulega³o nieustannym zmianom i Armand czêsto miewa³ wraŹenie, Źe Źyje od jednego codziennego raportu z ParyŹa do drugiego. Raporty te dawa³y mu niejaki pojêcie o tym, co siê dzieje w Starym Œwiecie. Mog³o siê zdawaæ, Źe Waszyngton dziel¹ ca³e lata œwietlne od problemów zagroŹonej Europy, od lêków utajonych w samym sercu Francji. Tu, w tym nietykalnym kraju, ludzie nie mieli siê czego obawiaæ, ale w Europie, i to szczególnie dzieæ, nikt nie móg³ czuaæ siê pewnie.

Zaledwie przed rokiem wszyscy we Francji Źywili przekonanie, Źe wojna jest nieunikniona, lecz teraz, przynajmniej s¹dz¹c po tym, co s³ysza³ Armand, wielu poŹegna³o siê z lêkami. Przed prawd¹ nie moŹna jednak uciekaæ w nieskończonoœæ - w³aczenie coœ takiego powiedzia³ do Liane. Kiedy cztery miesi¹ce wczesniej w Hiszpanii dobieg³a kresu wojna domowa, sta³o siê jasne, Źe Niemcy s¹ coraz bliŹej, a dziêki lotnisku w pobliŹu Irun znaleŹli siê o kilka zaledwie mil od Francji. Armand wiedzia³, co to znaczy, pojmu¹c zarazem, iŹ wielu ludzi nie dostrzega sensu wydarzeñ. W ci¹gu szeœciu ostatnich miesiêcy ParyŹ by³ bardziej beztroski niŹ przedtem, a przynajmniej tak siê mog³o wydawaæ na pierwszy rzut oka. Sam to dostrzeg³, kiedy przyjecha³ do Francji na Wielkanoc, aby wzi¹æ udzia³ w tajnym spotkaniu Bureau Central, na którym powiedziano mu, Źe jego misja w Waszyngtonie dobiega koñca.

By³ zapraszany na niezliczone przyjêcia, pe³ne œwiat³a i blichtru - przyjêcia, które jaskrawo kontrastowa³y z nastrojami panuj¹cymi jeszcze rok wczesniej. Wtedy, przed traktatem monachijskim, panowa³o nieznoœne napiêcie, które potem nagle zniknê³o, ustêpu¹c miejsca czemuœ na ksztãt gor¹czkowego oŹywienia w najdoskonalszej ze swoich form. Odbywa³y siê zatem nie koñcz¹ce siê przyjêcia, bale, spektakle operowe, przedstawienia i uroczystoœci, jak gdyby Francuzi, szukaj¹c zapomnienia w œmiechu i tañcu, chcieli zag³uszyæ myœl, Źe moŹe do nich dotrzeæ wojna. Armand, poirytowany frywoln¹ weso³oœci¹ zauwaŹon¹ w okresie Wielkanocy u swoich przyjació³, rozumia³ jednak, Źe jest to sposób, w jaki broni¹ siê przed lêkami. Po powrocie rozmawia³ na ten temat z Liane.

- S¹ chyba potwornie przeraŹeni - powiedzia³. - Nie chc¹ przestaæ siê œmiaæ ze strachu, Źe jeœli to uczyni¹, zaczn¹ natychmiast p³akaæ, uciekaæ i ukrywaæ siê.

Tyle Źe ich œmiech nie powstrzyma wojny, nie powstrzyma nieuchronnego marszu Hitlera przez Europê. Armand obawia³ siê czasem, Źe tego cz³owieka nic nie potrafi powstrzymaæ. Postrzega³ Hitlera jako przeraŹaj¹cego demona i jakkolwiek niektóre osobistoœci na wysokich stanowiskach zgadza³y siê z jego opini¹, by³y równieŹ inne, przekonane, Źe d³ugie lata s³uŹby ojczyŹnie Armand przyp³aci³ nadmiern¹ nerwowoœci¹ i staje siê po prostu wystraszonym starszym panem.

- Czy do tego doprowadzi³o ciê Źycie w Stanach, staruszku? - zapyta³ go kpi¹co jeden z najbliŹszych paryskich przyjació³. Pochodzi³ z Bordeaux, gdzie dorastali razem z Armandem, i by³ teraz dyrektorem trzech najwiêkszych banków we Francji. - Nie b¹dŹy niem¹dry, Armandzie. Hitler nigdy nas nie tknie.

- Anglicy s¹ odmiennego zdania, Bernardzie.

- To teŹ wystraszone stare baby, a poza tym uwielbiaj¹ te swoje gierki wojenne. Myœl o rozpêtaniu waœni z Hitlerem szalenie ich podnieca. Nie maj¹ nic innego do roboty.

- Co za bzdury wygadujesz! - Armand z trudem opanowa³ gniew, lecz nie tylko Bernard wypowiada³ się wzgardliwie o Anglikach. Tak czy inaczej, po dwutygodniowym pobycie Armand opuszcza³ Paryż, ogarnięty niemal wściek³o³eci¹. Spodziewa³ się wprawdzie, że Amerykanie będą¹ ołepi na zagrożenie, w którego obliczu stoi Europa, i³ywi³ jednak nadzieję, iż w swoim kraju us³yszy co³e innego. Mia³ w³asne pogl¹dy na temat powagi sytuacji, zagrożenia, niebezpieczeństwa, które niesie ze sob¹ Hitler, a tak³e tego, jak niespodziewanie i jak szybko może spa³eæ nieszczę³o³eci¹. "A może - my³ela³, wracaj¹c do domu - może Bernard i inni mają¹ s³usznoc³æ?" Może by³ zbyt wystraszony, zbyt zaniepokojony losem swojego kraju? Może więc na swój sposób powrót do domu oka³e się korzystny, bo pozwoli mu lepiej wyczu³e puls Francji?

Liane wie³æ o wyjeŹdzie przyje³a dobrze, przyzwyczai³a się już bowiem do pakowania i przeprowadzek, lecz opowie³ci Armanda o nastrojach panuj¹cych w Paryżu przyjmowa³a z g³ębok¹ trosk¹. By³a m¹dr¹, inteligentn¹ kobiet¹ i w ci¹gu przeżytych wspólnie lat wiele nauczy³a się od Armanda na temat mechanizmów polityki międzynarodowej. Te kwestie ciekawi³y j¹ od samego początku ich ma³ęstwa. By³a wtedy tak m³oda i tak spragniona wiedzy o karierze Armanda, o krajach, w których pe³ni³ misje, o politycznych implikacjach wielu jego poczyna¹! U³emiecha³ się w duchu, wspominaj¹c tych dziesięć minionych lat. Liane przypomina³a g¹bkę ch³on¹c¹ ka³d¹ kroplę informacji, po³yka¹c¹ ka³dy okruszek wiedzy.

Teraz mia³a w³asne pogl¹dy i często nie zgadza³a się z mę³em lub też bywa³a bardziej od niego radykalna, jeżeli już ich my³lenie przebiega³o tymi samymi torami. Najbardziej zawzię¹t z bitew stoczyli zaledwie przed kilkoma tygodniami, pod koniec maja, na temat S/S "St. Louis" - statku wioz¹cego z b³ogos³awieństwem Josepha Goebbelsa dziewięciuset trzydziestu siedmiu y³dów z Hamburga do Hawany, gdzie uciekinierom nie zezwolono zej³æ na l¹d. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywa³y, że po prostu szcze³n¹ na pok³adzie statku, który w nieskończono³æ będzie sta³e na redzie.

Wiele osób podję³o gor¹czkowe wysi³ki, żeby znaleŹæ przytu³ek dla uciekinierów, grozi³ im bowiem powrót do Hamburga, a tam - nieznany los. Liane osobicie rozmawia³a z prezydentem. Na darmo. Amerykanie odmówili przyjęcia uciekinierów i Armand dobrze pamięta³, jak Liane wybuchnę³a p³aczem, kiedy u³wiadomi³a sobie, że wysi³ki jej i wielu innych osób s¹ bezskuteczne.

Ze statku tymczasem nadchodzi³y groŹne wie³ci: pono³æ uciekinierzy woleli raczej pope³ni³æ zbiorowe samobójstwo, ani³eli wraca³e do kraju, z którego przybyli. Wreszcie Francja, Anglia, Holandia i Belgia mi³osiernie zgodzi³y się przyje¹æ wygnańców, nie oznacza³o to wszak³e końca bitwy pomię³dy Armandem a Liane. Po raz pierwszy w Źyciu Liane by³a rozczarowana w³asn¹ ojczyzn¹; jej furia nie zna³a granic i jakkolwiek Armand podziela³ uczucia Źony, utrzymywa³ z uporem, że istniej¹ wa³ne powody, dla których Roosevelt odmówi³ przyjęcia y³dów. To, że Armand by³ gotów zaakceptowa³e decyzję prezydenta, jeszcze bardziej potęgowa³o gniew Liane. Czuj³a się zdradzona przez rodaków. Ameryka by³a krain¹ obfito³eci, ojczyzn¹ ludzi dzielnych, krajem wolnych - jak³e mógł Armand usprawiedliwia³e fakt, że nie przyje³a wygnańców? Nie by³a to kwestia os¹du, jak usi³owa³ wyja³enia jej Armand, lecz akceptacji zasady, że s¹ takie chwile, kiedy rz¹d musi podejmowa³e bezwzglę³ne decyzje. Liczy³o się za³e to, że uciekinierzy byli bezpieczni. Liane potrzebowa³a wielu dni, aby się uspokoi³e, jednak³e już po tym wszystkim, na jakim³e damskim przyjęciu, wda³a się z pierwsz¹ dam¹ Stanów

Zjednoczonych w d³ug¹ i niemal wrog¹ dyskusjê. Pani Roosevelt rozumia³a gniew Liane, j¹ bowiem te³ wprowia³ w rozpacz los pasa³erów "St. Louis", ale by³a bezradna, poniewa³ nic nie mog³a uczynia³, by nak³onia³ mê³a do zmiany decyzji. Stany Zjednoczone musia³y przestrzega³ limitów imigracyjnych, a dziewięćset trzydziestu siedmiu niemieckich ³ydów przekracza³o limit przewidziany na ca³y ten rok. Pani Roosevelt przypomn³a rozmówcy, że wszystko dla uciekinierów skończy³o się dobrze, niemniej by³o to wydarzenie, które uświadomi³o Liane grozê po³o³enia ludzi w Europie: nagle w pe³ni pojê³a, co dzieje się z dala od spokojnego ³ycia wype³nionego waszyngtońskimi przyjêciami dyplomatycznymi, tote³ tym chêtniej wyje³d³a³ do Francji.

- Nie jest ci przykro, że znów bêdziesz musia³a opuœciæ kraj, kochanie? - Incydent z "St. Louis" dawno ju³ poszed³ w niepamiêæ i teraz Armand z czu³oœci¹ przygl¹da³ się ³onie ponad sto³em.

Pokrêci³a g³ow¹. - Chcê wiedzieæ, co się dzieje w Europie, Armandzie. Zdaje mi się, że taka jestem tutaj oddalona od wszystkiego... - Uœmiechnê³a się, czuj¹c do³ mi³oœæ wiêksz¹ ni³ kiedykolwiek dot¹d. Spêdzili ze sob¹ dziesiêæ niezwykle szczêœliwych lat.

- Naprawdê s¹dzisz, że niebawem wybuchnie wojna?

- Tak, ale nie w twoim kraju, kochanie.

Zawsze jej przypomina³, że jest Amerykank¹, zawsze dba³, aby nie przejê³a bez reszty jego pogl¹dów. Mia³a w ko³cu w³asn¹ osobowoœæ, a zatem i prawo do w³asn¹ych zapatrywa³ oraz poczucia przynale³noœci narodowej, które zreszt¹ nigdy nie wesz³y w konflikt z jego uczuciami. Od czasu do czasu wybucha³ wprawdzie gwa³towny spór, eksplozja niezgody, skoro jednak zdawa³o się to pomaga³ w utrzymaniu w zdrowiu ich zwi¹zku, nie mia³ nic przeciwko temu. Szanowa³ jej pogl¹dy tak samo jak swoje, podziwiaj¹c przy tym gorliwoœæ, z jak¹ stawa³a w obronie wszystkiego, co uznawa³a za wa³ne.

By³a siln¹ kobiet¹ o umys³owoœci godnej najwy³szego podziwu. Obdarza³ j¹ szacunkiem, odk¹d się poznali w San Francisco - Liane mia³a wówczas zaledwie piêtnaœcie lat i by³a zaiste czarodziejsk¹ dziewczyn¹, o niemal niezemskiej, eterycznej i z³ocistej urodzie, a przy tym, po tylu latach samotnego ³ycia u boku ojca, Harrisona Crocketta, nad wiek wykszta³con¹ i m¹dr¹. Armand wci¹ pamiêta³ ich pierwsze spotkanie, kiedy w bia³ej letniej sukience i wielkim s³omkowym kapeluszu, nic nie mówi¹c, przys³uchuj¹c się tylko doros³ym, p³ynê³a przez ogrody konsulatu w San Francisco. Potem z nieœmia³ym uœmiechem zwróci³a się do niego i w nienaganej francuszczy³nie powiedzia³a coœ na temat ró³. By³a przedmiotem bezkresnej dumy swojego ojca.

Armand uœmiechn¹³ się na odleg³e wspomnienie tego cz³owieka. Harrison Crockett, magnat ³eglugowy, by³ kimœ naprawdê niezwyk³ym: surowy, a jednocześnie ³agodny, pe³en arystokratycznego dostojêstwa, z zagadkow¹ obsesj¹ za wszelk¹ cenê broni³ swojej prywatnoœci i zawsze robi³ wszystko, ³eby ustrzec jedn¹ córkê przed œwiatem. Niew¹tpliwie potrafi³ zrobia³ ze swojego ³ycia w³oœciwy u³ytek.

Poznali się wkrótce po przybyciu Armanda do San Francisco, na koszmarnej kolacji, któr¹ wyda³ poprzedni konsul przed wyjazdem do Bejrutu. Armand wiedzia³ wprawdzie, i³ Crockett zosta³ zaproszony, ale - jak zreszt¹ wszyscy inni goœcie - wcale nie oczekiwa³, że się pojawi. Harrison Crockett na ogó³ skrywa³ się za murami swojej eleganckiej ceglanej fortecy na Broadwayu, z której okien roztacza³ się widok na zatokê. Jego brat George zdradza³ du³o wiêksze sk³onnoœci towarzyskie i by³ jednym z najchêtniej

przyjmowanych kawalerów w San Francisco, nie tyle zreszt¹ z powodu swojego uroku, co z racji pokrewieństwa z tak wielk¹ fortun¹.

A jednak ku ogólnemu zdumieniu Harrison przyby³ na tamt¹ kolacjê. Mówi³ niewiele i wyszed³ wczesnie, przedtem jednak oczarowa³ Odile, żonê Armanda. W efekcie upar³a się, aby zaprosić go wraz z córk¹ na herbatê. Harrison niemal bez przerwy opowiada³ Odile o dziewczynie i zdawa³o się, że szczególny zachwyty budzi w nim jej francuszczyzna. Na koniec z dumnym uśmiechem oświadczy³, że jego córka jest istot¹ zupełnie wyjątkow¹. Kiedy Odile przekazywa³a ten komentarz Armandowi, oboje się uśmiechnęli:

- A więc ma przynajmniej jedn¹ s³abostkê, bo poza tym wygl¹da na dok³adnie tak bezwzględnego, za jakiego uchodzi.

Odile jednak odnios³a odmienne wrażenie.

- Chyba się mylisz, Armandzie. Moim zdaniem jest bardzo samotny i ma absolutnego bzika na punkcie córki.

Odile w³acęciwie nie minê³a się z prawd¹. Nieco później us³yszeli opowieść o tym, jak Crockett straci³ żonê, piękn¹ dziewiętnastoletni¹ dziewczynê, któr¹ wręcz czci³. Zawsze bez reszty go poch³ania³o imperium węglugowe, lecz kiedy w końcu poświęci³ nieco uwagi sprawie małżeństwa, dokona³ w³acęciwego wyboru.

Arabella Dillingham Crockett by³a równie b³yskotliwa co piękna. Wyda³a wraz z mężem kilka najbardziej pamiętnych balów w dziejach miasta. Przez pa³ac, który dla niej zbudowa³, p³ynê³a na kształt bajkowej księżniczki; nosi³a rubiny, które sprowadzi³ dla niej ze Wschodu, brylanty niemal rozmiaru jajek, na złotych pękłach zaś tiary wykonane specjalnie dla niej u Cartiera. Ich pierwsze dziecko zapowiadano z takim samym podnieceniem jak wtóre nadejście Chrystusa, mimo jednak akuszerki sprowadzonej z Anglii i dwóch pozostałych ze Wschodu, Arabella umar³a w p³ogu, pozostawiaj¹c owdowia³ego męża z niemowlęciem - bliźniaczko do niej podobn¹ dziewczynk¹, któr¹ Harrison natychmiast zaczą¹³ darzyć tak¹ sam¹ czci¹ jak zmar³¹ żonê.

Przez pierwszych dziesięć lat po śmierci Arabelli Harrison nie opuszcza³ domu, bywaj¹c tylko w biurze. Crockett Shipping by³a jedn¹ z największych linii węglugowych w Stanach, jej statki zawija³y z towarami do niemal wszystkich portów Dalekiego Wschodu. Crockett miał również dwa przepiękne liniowce, które wozi³y pasażerów na Hawaje i do Japonii, jego mniejsze statki pasażerskie kursowa³y zaś regularnie wzd³uż wybrzeży Ameryki Południowej i zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, przynosz¹c niewyobrażalne zyski.

Zainteresowania Harrisona Crocketta ogranicza³y się do jego statków i córki. Często widywa³ się z bratem, skoro razem kierowali imperium, ale przez dziesięć lat prawie nie spotyka³ się ze starymi przyjaciółmi. Po tych dziesięciu latach zabra³ Liane do Europy na wakacje, pokaza³ jej wszystkie cuda Paryża, Berlina, Rzymu i Wenecji, a kiedy wrócili pod koniec lata, znów znalaz³ w swoim życiu miejsce dla przyjaciół. Minê³a wprawdzie bezpowrotnie epoka wspaniałych przyjęć w pa³acu na Broadwayu, ale Crockett zaczą¹³ sobie uświadamiać, jak samotny jest jego dziecko i jak bardzo potrzebuje towarzystwa. Powoli zaczą¹³ więc uchylać swoich drzwi.

Działania, które podj¹³ w związku z t¹ zmian¹ sposobu życia, koncentrowa³y się jednak niemal wyłącznie na córce - dla niej by³y więc spektakle lalkowe, wizyty w teatrach, wypadki nad jezioro Tahoe, gdzie kupi³ piękny letni dom... Crockett ży³ tylko po to, żeby sprawiać przyjemność Liane Alexandrze Arabelli, chronić ją i ho³ubić.

Imiona odziedziczy³a po zmar³ych babkach i matce - trzech pięknościach,

które już przeminęły - i w jakimś sposób zdołała położyć w sobie czar i piękno wszystkich trzech. Ludzie, którym dane było ją poznać, wpadali w zachwyt. Otaczający Liane przepych nie wywarł na nią żadnego ujemnego wpływu: była prosta, bezpośrednia, spokojna i młoda nad wiek, skoro przez tak wiele lat zasiadała samotnie do kolacji z ojcem, czasem także z wujkiem, i miała okazję służyć, jak omawiały interesy, wyjaśniały jej niuanse branży i polityki krajów, gdzie zawiązywały ich statki. W istocie była szczęśliwsza z ojcem niż z innymi dziećmi, a kiedy nieco podrosła, towarzyszyła mu wszędzie, aż wreszcie pewnego wiosennego dnia roku 1922 przybyli na herbatę do konsulatu francuskiego.

De Villiersowie zakochali się w niej od pierwszego wejrzenia i w rezultacie pomiędzy nimi a Crockettami zrodziła się więź, która w ciągu trzech lat stała się nierozdzielna. Podróżowali we czwórkę, Armand i Odile odwiedzali posiadłość nad jeziorem Tahoe, w towarzystwie Liane pływali statkami Crocketta na Hawaje, a w końcu Odile zabrała nawet Liane do Francji. Stała się dla dziewczyny niemal matką. Harrison patrzył z radością, jak jego córka promienieje szczęściem i rozkwita dojrzałością u boku kobiety, którą sam szanował i lubił. Liane miała wówczas prawie osiemnaście lat.

Następnej jesieni, kiedy Liane podjęła studia w Mills College, Odile zapadła na zdrowiu: narzekała na nieustanny ból w plecach, brak apetytu, częste gorączki, a w końcu dokuczliwy kaszel, który nie chciał ustąpić przez kilka miesięcy. Zrazu lekarze utrzymywali z uporem, że nie potrafi znaleźć przyczyny tego stanu rzeczy i spokojnie sugerowali Armandowi, iż Odile jest po prostu chora na nostalgię i być może powinien w związku z tym pomyśleć o wyprawieniu jej do Francji. Tyle że tego rodzaju wapory zupełnie nie pasowały do Odile, Armand zatem nakłonił ją, żeby aż do skutku odwiedzała po kolei wszystkich lekarzy w mieście. Chciał też, by pojechała do Nowego Jorku, do specjalisty rekomendowanego przez Harrisona, lecz zanim doszło do zaplanowanej podróży, stało się oczywiste, że Odile jest zbyt chora, aby się w nią wybrać. Wtedy to, po krótkiej operacji, dowiedzieli się w końcu, że Odile de Villiers ma raka z licznymi przerzutami. Lekarze zszli ją i przekazali Armandowi smutną wiadomość, którą nazajutrz podzielił się z Harrisonem Crockettem.

- Nie mogę bez niej żyć, Harry... Nie mogę... - Armand zdjęty zgrozą patrzył niewidzącym wzrokiem. Harrison z oczyma szklącymi się od łez powoli skinął głową. Aż za dobrze pamiętał własny ból sprzed osiemnastu lat. Jak na ironię Armand był teraz w tym samym wieku co Harrison, kiedy stracił Arabellę: miała czterdzieści trzy lata.

De Villiersowie byli jednak małżeństwem od dwudziestu lat, dlatego też myślał o życiu bez Odile była dla Armanda nie do zniesienia. W przeciwieństwie do Crockettów nie mieli dzieci. Od początku pragnęli mieć dwoje albo troje, lecz Odile nigdy nie zdołała zajść w ciążę. Już dawno pogodzili się z tym, że na zawsze pozostaną bezdzietni. Armand wyznał kiedyś Odile, iż nawet woli taką sytuację, bo nie musiał z nikim rywalizować o jej uwagę i przez całe dwadzieścia lat panował w ich stadle atmosfera miodowego miesiąca. A teraz nagle całe życie Armanda obraca się w ruinę.

Armand za wszelką cenę starał się nie dopuścić do tego, aby Odile poznała prawdę o stanie swojego zdrowia, ona jednak szybko pojęła, iż ma raka, i zrozumiała, że koniec jest bliski. W marcu umarła w ramionach Armanda.

Tego popołudnia odwiedziła ją Liane, przynosząc bukiet różnych róż.

Przesiadują przy łożu chorej całąmi godzinami, bardziej dla pociechy, jak dawać jej towarzystwo Odile, niżli dla tej, której sama mogła udzielić. Odile rozciąga wokół siebie atmosferę niemal oświeconej rezygnacji i za wszelką cenę stara się ofiarować Liane pożyteczny dar swojej miłości i czułości. Kiedy dziewczyna zatrzymuje się na chwilę w drzwiach, usiłując powstrzymać łzy, które zawsze opadają natychmiast po wyjściu z domu de Villiersów, Odile spojrzę na nią wzrokiem, z którego bę się.

- Zajmij się Armandem, kiedy mnie już nie będzie, Liane. Tak wspaniale troszczy się o ojca... - Odile dobrze pozna Harrisona i wie, że to Liane nie dopuści do tego, aby zubożę i zgorzknę. Miała w sobie tę tajemniczą pogodność, która bę w stanie zmięczyć każde serce. - Armand cię kocha - powiedział z uśmiechem - i kiedy odejde, będzie bardzo potrzebował cię i twój ojca.

Mówię o swojej ośmi, jak gdyby bę to z dawna zaplanowana podróż. Liane usiłowała nie dopuszczać do siebie prawdy o stanie kobiety, którą tak pokochała, Odile jednak doskonale zdawała sobie z niego sprawę i chciała, aby tej prawdzie stawili czoł wszyscy, w szczególności jej mąż i Liane. Chciała, żeby byli przygotowani. Armand próbował uciec przed tym strasznym oświadczeniem, rozprawiając bez końca o podróżach nad morze, do Biarritz, które tak lubili w młodości, o rejsie jachtem wzdłuż wybrzeży Francji, który mogliby podjąć przyszłego lata, o kolejnej podróży na Hawaje na jednym ze statków Crocketta. Ale Odile uparcie zmusza najbliższych, aby szykowali się do tego, co niebawem miała nadejść i czego ona bę ci głę oświadczyła. To stało się noc po ostatniej wizycie Liane.

Odile upiera się, żeby pochowano ją w Stanach, żeby nie wysłano jej zwłok do Francji. Nie chciała, by Armand sam podejmował tę straszną podróż. Jej rodzice nie żyli, jego zresztą też. Odchodzi bez żalu, wyjąwszy może oświadczenie, że gdyby mieli dzieci, Armand mógłby znaleźć w nich podporę. A tak - całą wiarę pokładała w Liane.

Pierwsze miesiące były dla Armanda koszmarem. Zdołał wytrwać w pracy, ale na niewiele więcej ponad to bę go stać. Mimo straty, jaka go dotknęła, oczekiwano po nim - przynajmniej w pewnym stopniu - i nadal będzie podejmował odwiedzających San Francisco dygnitarzy dyskretnymi dyplomatycznymi kolacyjkami. Wszystko przygotowywała dla niego Liane, w taki sam sposób jak niegdyś dla ojca. Tego lata Harrison Crockett prawie nie widywał jej nad jeziorem Tahoe, odmówił również zaproponowanej wycieczki do Francji. Związana obietnicą, której za wszelką cenę zamierza dotrzymać, miała do spełnienia misję, i to misję będącą dla dziesięcioletniej dziewczyny ciężkim brzemieniem.

Przez pewien czas Harrison zastanawia się, czy z jej prac i wysiłkami nie wiążę się coś więcej. Kiedy jednak zdołał się przyjrzeć Liane bliżej, zyskał pewność, że się myli. I na swój sposób wie, że to, co Liane robi dla Armanda, pozwala jej uporać się z własnym poczuciem straty. Ośmię Odile bę dla niej strasznym ciosem. Nie znał nigdy własnej matki, pragnęła w duchu bliskości kobiety, z której brałaby przykład, kogoś, z kim mogłaby rozmawiać w taki sposób, w jaki nie mogła rozmawiać z ojcem, wujem czy przyjaciółmi. Kiedy bę dzieckiem, miała guwernantki, kucharki i służbę, bardzo jednak niewielu przyjaciół, kobiety zao, z którymi w ciągu wszystkich tych lat spotyka się Harrison, nigdy nie widział wewnątrz jego domu ani nie poznał jego dziecka, ponieważ tę sferę swej działalności stara się utrzymywać jak najdalej od Liane. A zatem dopiero Odile wypełniła pustkę w życiu dziewczyny, by potem odejść, czyniąc tę pustkę

znów otch³ann¹, pozostawiaj¹c t³ępy ból, który zdawa³ si³e nie ust³ępowaa^e nawet na chwil³ę. Wyj¹tkiem by³y momenty, kiedy Liane robi³a co³e dla Armanda. By³ to z jej perspektywy jakby sposób przywo³ywania do siebie Odile.

Do samego końca lata Armand i Liane w pewnym sensie żyli w ci¹g³ym szoku, aż pewnego dnia, niemal pó³ roku po śmierci Odile, kiedy siedzieli w ogrodzie konsulatu, spogl¹daj¹c na ró³żę i rozmawiaj¹c o niej, uświadomili sobie, że ta pogawędka nie wywo³uje już ³ez. Armand opowiedzia³ nawet zabawn¹ anegdot³e o Odile, Liane za³e wybuchn³ę a³ c³emiechem. Przetrwali. Pomagaj¹c sobie wzajemnie, przeszli przez największy ból. Armand wyci¹gn¹³ r³ę³, uj¹³ i przytrzyma³ d³ugi³ delikatne palce Liane. Potem w jego oczach zaszkl³y si³e ³zy.

- Dziękuj³ ci, Liane.

- Za co? - zdziwi³a si³e, cho³e doskonale wiedzia³a, za co jej dzi³ękuje. - Nie b¹d³Y niem¹dry.

- Nie jestem. Jestem ci natomiast bardzo wdzi³eczny.

- Bylicemy sobie nawzajem potrzebni przez te szc³ę³e miesi³ęcy - powiedzia³a otwarcie i bezpo³średnio, nie cofaj¹c d³oni. - ³ycie bez niej b³dzie zup³e³nie inne... - doda³a, chocia³ już by³o inne, i to dla obojga.

Armand skin¹³ g³ow¹, rozmy³œlaj¹c o minionym pó³roczu.

- B³dzie inne - przyzna³.

Potem, przed powrotem na uniwersytet, Liane pojecha³a na dwa tygodnie do Tahoe, gdzie ojciec powita³ j¹ z uczuciem ogromnej ulgi. Wci¹ż bardzo si³e o ni¹ niepokoi³, martwi³o go, że Liane nie odst³ępuje Armanda. Dobrze wiedzia³, i³ż przypomina to nieustanne po³ewi³ęcenie, które jemu niegdyc³e okazywa³a, a przecie³ż Odile de Villiers już dawno go przekona³a, że opieka nad samotnym m³ęczyzn¹ nie jest jedn¹ rozryw¹, której potrzebuje Liane. By³a m³od¹ dziewczyn¹ i wiele j¹ w ³yciu czeka³o. Rok wcz³ęniej zaplanowano dla niej debiut towarzyski, lecz kiedy Odile zachorowa³a, Liane za³da³a zmiany planów.

Harrison ponownie podniós³ t³e spraw³e w Tahoe, t³umacz¹c córce, że trwa w ³a³obie dostatecznie d³ugo i że przyj³ęcia dla debiutantek dobrze jej zrobi¹, ona za³e powtarza³a z uporem, że uważa je za g³upie i że trwonienie takich pieni³ędzy na stroje, przyj³ęcia i tańce jest czystym bezsens³em. Harrison spogl¹da³ na ni¹ ze zdumieniem. By³a jedn¹ z najbogatszych dziewcz¹t w Kalifornii, dziedziczk¹ linii ³eglugowych Crocketta, wydawa³o mu si³e zatem czym³œ niezwyk³ym, i³ż my³œl o wydatkach w ogó³le przychodzi jej do g³owy.

Od pa³Ydziernika, kiedy to wróci³a do szko³y, rzadziej mog³a pomaga³e Armandowi w urz¹dzaniu kolacji, ale Armand sta³ już wtedy mocno na nogach. Chocia³ nadal bole³enie odczuwa³ brak Odile, z czego zwierzy³ si³e Harrisonowi podczas lunchu w klubie, doskonale dawa³ sobie rad³e.

- Nie b³de ci³e ok³amywa³, Armandzie - rzek³ wó³wczas Harrison, spogl¹daj¹c ponad kraw³ędzi¹ lampki Haut-Brion rocznik 27.

- B³dziesz to odczuwa³ przez bardzo d³ugi czas. Zawsze. Ale nie w taki sposób jak na pocz¹tku. Ulotnie, przez chwil³ę... Wspomnisz jakie³œ zapami³ętan³e s³owo, jej sukienk³ę... perfumy... Ale nie b³dziesz budzi³ si³e co rano z uczuciem, że pier³œ przygniata ci stufuntowy ci³ę³ar, jak by³o w pierwszych dniach czy miesi¹cach. - Kiedy dopija³ wino i czeka³, a³ż kelner ponownie nape³ni jego kieliszek, ujrza³ to wszystko z wyrazisto³eci¹ a³ż bolesn¹. - Dzi³ęki Bogu, już nigdy nie b³dziesz doc³ewiadcza³ takiej udr³ęki.

- Bez twojej córki by³by³m zgubiony. - Armand u³emiechn¹³ si³e ³agodnie. Nie

widzia³ sposobu, żeby odp³aciæ tê dobroæ czy choæby uzmys³owiaæ przyjacielowi, jak bardzo pomog³o mu jego dziecko i jak jest mu drogie.

- Kocha³a was oboje nad życie, Armandzie, i to pomog³o jej pogodziæ siê z myœl¹ o utracie Odile.

Harrison by³ cz³owiekiem m¹drym, przenikliwym i ju¿ wówczas, wczesniej nawet ni¿ Armand, coæ przeczuwa³. Nic jednak nie powiedzia³. Odnosi³ wra¿enie, że i adne z nich nie wie, jak bardzo s¹ sobie nawzajem potrzebni, z Odile czy bez niej. W ci¹gu tego p³rocza coæ siê miêdzy nimi zrodzi³o, po³czy³a ich jakby tajemna wiêŸ, bez s³ów jedno odgadywa³o potrzeby drugiego. Zauwa¿y³ to, kiedy Armand wpad³ do Tahoe na weekend, ale wtedy te¿ nic nie powiedzia³. Mia³ œwiadomoœæ, że jego przeczucia oboje przepe³ni³yby lêkiem - w szczególnoœci Armanda, który móg³by uznaæ, że w pewien sposób zdradza Odile.

- Czy Liane jest bardzo podniecona perspektyw¹ przyjêæ? - Armanda bawi³a ekscytacja, któr¹ Harrison okazywa³, gdy by³a o tym mowa. Wiedzia³, i¿ Liane w gruncie rzeczy nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowana owym rytua³em, któremu postanowi³a siê poddaæ tylko po to, żeby sprawiaæ przyjemnoœæ ojcu i spe³niæ jego oczekiwania. Przede wszystkim by³a pos³uszna, co Armand ocenia³ z uznaniem. Nie by³o to pos³uszeñstwo œlepe; wynika³o jedynie z szacunku dla uczuaæ innych ludzi, w tym wypadku - uczuaæ ojca. Liane wola³aby nie bywaæ w ogóle, lecz zarazem zdawa³a sobie sprawê, i¿ ojciec by³by takim stanem rzeczy gorzko rozczarowany, a zatem ulega³a mu w tej kwestii.

- Przed Liane oczywiœcie siê do tego nie przyznam - westchn¹³ Harrison i rozpar³ siê wygodnie na krzesele - ale mam œwiadomoœæ, że ona ju¿ z tego wszystkiego wyros³a...

Nagle wyda³a mu siê znacznie bardziej dojrza³a ni¿ przeciêtna dziewiêtnastolatka. W ci¹gu minionego roku życie zmusi³o j¹ do nag³ego przejœcia w doros³oœæ, musia³a myœleæ i zachowywaæ siê jak dojrza³a kobieta. Trudno wiêc by³o teraz wyobraziæ j¹ sobie, jak w towarzystwie rozchichotanych dziewcz¹t udaje siê na pierwszy w życiu bal.

W dniu balu przewidywania Harrisona potwierdzi³y siê w pe³ni. Inne dziewczêta wyst¹pi³y zarumienione, podenerwowane, przestraszone i rozdygotane z ekscytacji, Liane zaœ, wsparta na ramieniu ojca, sun¹c powoli w bia³ej, obszytej gronostajem at³asowej sukni i w koronie z³ocistych w³osów ujêtych w ma³y koszyczek splecionych pere³, wygl¹da³a po prostu jak królowa kroc¹ca pod ramiê z wybrankiem. Kiedy Armand obserwowa³ j¹ z dr¿eniem w sercu, w jej b³êkitnych oczach roztañczy³ siê p³omieñ.

Przyjêcie, które dla Liane wyda³ Harrison, by³o najbardziej osza³amiaj¹ce ze wszystkich. Odby³o siê w pa³acu przy Market Street, a limuzyny z umundurowanymi szoferami za kierownic¹ wje¿d¿a³y wprost na dziedziniec. Wynajêto dwie orkiestry, szampana sprowadzono z Francji.

- Dzisiejszego wieczoru, moja ma³a przyjació³ko, wygl¹dasz po prostu jak królowa - rzek³ Armand, gdy z Liane w wolnym walcu kr¹¿yli po sali. Armand by³ goœciem Harrisona, Liane zaœ towarzyszy³ syn jednego z najstarszych przyjació³ ojca, m³odzieniec, którego uzna³a jednak za g³upiego i nudnego, z radoœci¹ przyjmuj¹c mo¿liwoœæ zmiany partnera.

- Czujê siê w tej sukni trochê g³upio - odpar³a z ucœmiechem.

Przez chwilê znów wydawa³o siê, że ma piêtnaœcie lat, i nagle, z bolesnym uk³uciem w sercu, Armand zatêskni³ za Odile. Zapragn¹³, aby i ona zobaczy³a Liane, aby podzieli³a z nimi tê chwilê, pi³a szampana... Chwila jednak minê³a i Armand ponownie zwróci³ uwagê na Liane.

- Mi³e przyjêcie, prawda? Tatuœ zada³ sobie tyle trudu... - U³y³a takich w³acenie s³ów, lecz by³o oczywiste, ³e myœli: "wyda³ tyle pieniêdzy". Ta kwestia zawsze j¹ po trosze irytowa³a, budz¹c lekkie poczucie winy. Ale z drugiej strony ojciec wspiera³ równie³ rozmaite szlachetne cele, jeœli zatem ca³a ta impreza sprawia mu przyjemnoœæ, to dlaczego nie... - Dobrze siê bawisz, Armandzie?

- Najlepiej w tej w³acenie chwili - odpar³ z galanteri¹ najprzedniejszego gatunku, a Liane siê rozcemia³a, ubawiona nietypowym dla niego zachowaniem. Zwykle traktowa³ j¹ jak dziecko albo, w najlepszym razie, jak m³ods¹ siostrê czy ukochan¹ siostrzenicê.

- To stwierdzenie zupe³nie nie w twoim stylu.

- Och, czy³by? Co w³aciewie chcesz przez to powiedzieæ? Czy zwykle zachowujê siê wobec ciebie grubiañsko?

- Nie, zwykle mówisz mi, ³e nie wyda³am lokajowi w³aciewego kompletu sztuœców do ryb... albo ³e limoges to wino zbyt formalne jak na lunch... albo...

- Przestañ. Nie mogê tego s³uchaæ. Naprawdê mówiê ci takie rzeczy?

- Ostatnio nie i muszê przyznaæ, ³e trochê mi tego brak. Jak dajesz sobie radê?

- Ostatnimi czasy znacznie gorzej ni³ kiedyœ. Teraz nawet nikt nie ma pojêcia, co mam na myœli mówi¹c "limoges", no a przy tobie...

Przebieg rozmowy sk³oni³ go do zadumy. To, co opisywa³a Liane, wygl¹da³o jak codzienny obraz ³ycia starego ma³œeñstwa... ale to przecie³ niemo³liwe, ³eby zachowywa³ siê wobec niej w taki sposób!!! A mo³e jednak? Czy a³ do tego stopnia przywyk³ do wszechwiedzy Odile, ³e po prostu oczekiwa³ po Liane, i³ automatycznie zajmie jej miejsce? Nie, to chyba niemo³liwe, ³eby wykaza³ siê tak ca³kowitym brakiem wra³liwoœci. A przynajmniej dziwne. Lecz jeszcze bardziej zdumiewa³o go, i³ Liane rzeczywiœcie robi³a to wszystko przez owe miesi¹ce. Nagle z jeszcze wiêksz¹ moc¹ uœwiadomi³ sobie, jak straszliwie za ni¹ têsni, odk¹d wróci³a do szko³y, przy czym nie têsni³ za Liane jako znawczyni¹ roczników limoges, lecz za Liane, z któr¹ po prostu uwielbia³ rozmawiaæ na przyjêciach, podczas lunchu, przez telefon...

- Grosik za twoje myœli - dra³ni³a siê z nim Liane. Armandowi w³asne d³onie, spoczywaj¹ce na jej smuk³ej kibici, nagle wyda³y siê niezgrabne.

- Myœla³em o tym, ³e masz ca³kowit¹ s³usznocæ. By³em grubiañski.

- Nie b¹d³œ mieszny. Nied³ugo wrócê i znów bêdê ci pomagaæ. Niech tylko w przysz³ym tygodniu skoñcz¹ siê te debiutanckie idiotyzmy.

- Czy nie masz do roboty nic lepszego? - spyta³ Armand, wyra³nie zaskoczony. Pod drzwiami tak piêknej dziewczyny musia³ siê t³oczyæ przynajmniej tuzin adoratorów. - adnych ch³opców, ³adnych wielkich mi³œci?

- Chyba jestem na to niewra³liwa.

- Och, to intryguj¹ca refleksja. Czy³byœ przyjê³a jak¹œ szczepionkê?

Orkiestra zaczê³a graæ inny utwór, oni jednak pozostali na parkiecie, obserwowani przez Harrisona Crocketta, który wcale nie by³ niezadowolony z tego, co zauwa³y³.

- Proszê mi powiedzieæ coœ wiêcej o tej pani fascynuj¹cej niewra³liwoœci, panno Crockett - poprosi³ Armand.

Znowu zaczêli tañczyæ.

- Chyba zbyt d³ugo ³y³am tylko z ojcem - odpar³a rzeczowo. - Wiem, jacy s¹ mê³czy³ni.

Armand rozcemia³ siê g³oceno. - To szokuj¹ce wyznanie.

- Nie, wcale nie - zawtórowa³a mu ucemiechem Liane. - Chcia³am po prostu powiedzieæ, ¿e wiem, co to znaczy prowadziæ dom, podawaæ kawê, chodziæ na paluszkach, kiedy pan i w³adca w z³ym nastroju wraca z biura. Po takim doœwiadczeniu trudno traktowaæ powa¿nie któregokolwiek z tych niedorostków, tak pe³nych romantyzmu i absurdalnych pomys³ów. Na ogó³ nie maj¹ zielonego pojêcia, o czym mówi¹, w ¿yciu nie przeczytali gazety, nie wiedz¹, jaka jest ró¿nica pomiêdzy Tybetem a Timbuktu. A za dziesiêæ lat bêd¹ wracaæ z biur tak samo nieznoœni jak tatuœ i w dok³adnie ten sam sposób bêd¹ warczeæ na swoje ¿ony. Trudno siê wiêc nie œmiaæ, s³uchaj¹c ich romantycznej paplaniny, ot co. Wiem, jak to bêdzie póŹniej. - Podkreœli³a swoj¹ pewnoœæ rzeczowym ucemiechem.

- Masz s³usznocæ, przesz³acæ zbyt wiele.

By³o mu naprawdê przykro. Pamiêta³ tê ca³¹ romantyczn¹ "paplaninê", któr¹ serwowa³ Odile, kiedy mia³a dwadzieœcia jeden, on zaœ dwadzieœcia trzy lata. Wierzyli wóczas w ka¿de z wypowiedzianych s³ów i nosili je w sobie przez bardzo d³ugi czas, zabierali je do surowych koszmarnych krajów, mieli przy sobie podczas rozczarowañ i wojen. Wj¹c u boku ojca, Liane straci³a wa¿n¹ cz¹stkê m³odoœci, ale na pewno nadejdzie taka chwila, kiedy pojawi siê ktoœ - mo¿e nie tak m³ody jak jej koledzy - w kim Liane siê zakocha, uczucie zaœ sprawi, ¿e strac¹ znaczenie jakiegokolwiek narzekania przy porannej kawie.

- A teraz o czym myœlisz?

- E pewnego dnia siê zakochasz i to wszystko siê zmieni.

- Mo¿e... - odpar³a, lecz sprawia³a wra¿enie osoby nie przekonanej i nie przywi¹zuj¹cej zreszt¹ do tej kwestii wiêkszej wagi.

Taniec siê skoñczy³ i Armand odprowadzi³ j¹ do przyjació³.

W ci¹gu tych tygodni jej towarzyskiego debiutu coœ siê jednak pomiêdzy nimi zmieni³o. Kiedy Armand zobaczy³ Liane ponownie, nagle wyda³a mu siê bardziej kobieca; nie móg³ tego zrozumieæ, ale potrafi³ dostrzec - inne panny spotykane na przyjêciach by³y bez wyj¹tku bardzo dziewczêce, niemal dziecinne jeszcze. W porównaniu z nimi Liane sprawia³a wra¿enie doros³ej. Nagle stwierdzi³, ¿e czuje siê w jej towarzystwie niezrêcznie, nie tak swobodnie jak niegdyœ. Od dawna uwa¿a³ j¹ za sta³y element swojego ¿ycia, ale postrzega³ w niej jedynie czaruj¹ce dziecko. I w dwudzieste urodziny tego "czaruj¹cego dziecka" zobaczy³ raptem dojrza³¹ kobietê - w be¿owej sukni z mory, w aureoli z³otych w³osów, posy³aj¹c¹ mu ucemiech fio³kowych oczu.

Urodziny Liane wyprawiono tu¿ przed wakacjami i Armand niemal z ulg¹ przyj¹³ jej wyjazd nad jezioro Tahoe na letnie miesi¹ce. W konsulacie radzi³ sobie sam, nie chcia³ ju¿ wykorzystywaæ Liane. Widywa³ j¹ tylko na przyjêciach wydawanych przez Harrisona, co nie zdarza³o siê zbyt czêsto. Mobilizuj¹c ca³¹ si³ê woli, Armand zdo³a³ utrzymaæ siê z dala od Tahoe a¿ do koñca lata, kiedy to Harrison zdecydowanie ju¿ poprosi³ go o przyjazd na weekend w Dniu Pracy.

Armand ujrzawszy ponownie Liane, w pe³ni ucowiadi³ sobie to, o czym Harrison wiedzia³ ju¿ od dawna - ¿e jest gor¹co zakochany w dziewczynie, któr¹ zna³ niemal od dziecka. Od œmierci Odile up³ynê³o pó³tora roku i chocia¿ straszliwie za ni¹ têsni³, Liane wdziera³a siê coraz g³êbiej w jego myœli. Z³apa³ siê na tym, ¿e wpatruje siê w ni¹ nieustannie, a kiedy zatañczyli w ciep³¹ letni¹ noc, szybko odprowadzi³ j¹ do sto³u, jak gdyby przebywanie w jej pobli¿u sprawia³o mu nieznoœny ból i podsuwa³o zarazem nieodpart¹ pokusê, by wzi¹æ j¹ w ramiona.

Liane, nieświadoma tych emocji, uk³ada³a się w pobliżu Armanda na plaży, wyci¹gaj¹c na leżaku czy piasku swoje smuk³e zmys³owe cia³o. Papla³a jak w dawnych czasach, opowiada³a zabawne historyjki i by³a bardziej czaruj¹ca niż kiedykolwiek dot¹d. Jednakże w miarę jak weekend zbliż³a się ku końcowi, zaczê³a wyczuwaæ nastrój Armanda, przechwytywaæ skierowane na siebie spojrzenia, a wówczas cich³a, jak gdyby rzucono na ni¹ to samo zaklêcie.

Kiedy wszyscy wrócili do miasta, Liane zaæ do college'u, Armand walczy³ ze sob¹ przez kilka tygodni, wreszcie, nie mog¹c znieœæ d³u¹ej udrêki, zadzwoni³ do Liane, równocześnie gromi¹c się srodze za ten czyn. Dzwoni³ w³æciwie tylko po to, żeby zapytaæ, jak się miewa, lecz us³yszawszy jej dziwnie zgaszony g³os, zaniepokoi³ się, czy przypadkiem nie sta³o się coæ z³ego.

- Ależ nic się nie sta³o - zapewni³a go ³agodnie, odczuwaj¹c jednak coæ, co nie do końca rozumia³a i z czym nie bardzo umia³a się uporaæ. Mia³a poczucie winy wobec Odile, lecz nie potrafi³a porozmawiaæ nawet z ojcem o sprzecznych uczuciach, które ni¹ miota³y. Zakochiwa³a się w Armandzie równie rozpaczliwie, jak on zakochiwa³ się w niej. Mia³ czterdzieæci piêæ lat, podczas gdy ona jeszcze nie skończy³a dwudziestu jeden. By³ wdowcem po kobiecie, któr¹ kocha³a i g³êboko szanowa³a. Poza tym wci¹ż pamiêta³a jej ostatnie s³owa: "Zajmij się Armandem, Liane... Bêdzie ciê potrzebowa³..." Tyle że nie potrzebowa³ jej już tak bardzo. Zreszt¹ Odile na pewno nie przewidywa³a takiej realizacji swojej proœby.

Nastêpne trzy miesi¹ce by³y okresem pe³nym udrêki. Liane z najwyższym trudem koncentrowa³a uwagê na studiach, Armand zaæ niekiedy odnosi³ wraŹenie, że oszaleje przy biurku. Spotkali się ponownie na bożonarodzeniowym przyjêciu wydanym przez Harrisona i tuż po Nowym Roku obydwójce dali za wygran¹. Armand zabra³ j¹ pewnego wieczoru na kolacjê, a potem rozgor¹czkowany, spiêty powiedzia³ Liane, co wobec niej czuje. I z oszo³omieniem stwierdzi³, że jej uczucia eksploduj¹ z równ¹ moc¹. Zaczêli się widywaæ w kaŹdy weekend, szukaj¹c cichych lokalików na uboczu, aby nie staæ się przedmiotem plotek ca³ego miasta. Na koniec Liane opowiedzia³a o wszystkim ojcu, spodziewaj¹c się z jego strony oporu, moŹe nawet gniewu. Harrison tymczasem przyj¹³ zwierzenia córki z zadowoleniem i uczuciem ulgi.

- Zastanawia³em się, kiedy wreszcie uœwiadomicie sobie to, o czym ja wiem od dwóch lat - rzek³ rozpromieniony, patrz¹c na córkê.

- Wiedzia³œ? Ale sk¹d? PrzecieŹ ja... przecieŹ my nie...

- Jestem po prostu bystrzejszy, ot co.

Ogromnie by³ rad, że przebieg³o to w taki w³æenie sposób. Obydwójce - rzecz moŹna - sondowali swoje uczucia z ostroŹnoœci¹ i szacunkiem dla przesz³oœci. Zdawa³ sobie sprawê, iż ani jedno, ani drugie nie traktuje sprawy lekko, ponadto nie budzi³a w nim niepokoju nawet róŹnica wieku. Liane by³a niezwyk³¹ m³od¹ kobiet¹ i Harrison nie wyobraŹa³ sobie, że mog³aby zaznaæ szczêœcia z mêŹczyzn¹ bêd¹cym jej rówieçnikiem. Z jej zaæ punktu widzenia róŹnica dwudziestu czterech lat w ogóle nic nie znaczy³a i chociaŹ na pocz¹tku Armand wyraŹa³ w zwi¹zku z t¹ kwesti¹ pewne obawy, teraz nie przejmowa³ się już podobnymi b³ahostkami.

Uwielbia³ Liane. Czu³ się jak nowo narodzony i pospiesznie zaproponowa³ ma³Źeństwo. W dzieñ dwudziestych pierwszych urodzin Liane oznajmili o swoich zarêczynach. Harrison wyda³ wspania³e przyjêcie, Źycie smakowa³o jak sen i by³o tak aŹ do chwili, gdy dwa tygodnie póŹniej Armand otrzyma³ wiadomoœæ, że jego misja w San Francisco dobiega końca. Przenoszono go do

Wiednia jako ambasadora. Czy chcia³ tego, czy te^z nie, musia³ jechaæ. Rozwa^zyli z Liane mo^zliwoœæ wziêcia œlubu wczesniej, lecz na to nie wyrazi³ zgody Harrison, który stanowczo upiera³ siê, aby jego córka najpierw skończy³a studia. Oznacza³o to, ^ze bêd¹ musieli poczekaæ jeszcze rok.

Liane by³a za³amana, aczkolwiek nie zamierza³a sprzeciwiaæ siê ojcu. Wspólnie z Armandem uznali zatem, ze jakoœ prze^zyj¹ ten rok, odwiedzaj¹c siê przy ka^zdej okazji i codziennie pisz¹c do siebie listy.

By³ to rok trudny dla nich obojga, ale jakoœ zdo³ali go przetrwaæ i 14 lipca 1929 roku zawarli zwi¹zek ma^zœni w starym koœciele Œwiêtej Marii w San Francisco. Gazety bez wahania nada³y tej imprezie tytu³ œlubu roku. Potem pojechali do Europy: najpierw w Wenecji spêdzili miesi¹c miodowy, który min¹³ im bardzo szybko, po czym wrócili do Wiednia, gdzie Liane objê³a obowi¹zki pani ambasadorowej.

Wcieli³a siê w tê rolê z niezwyk³¹ ³atwoœci¹, tak ^ze pomoc, której usi³owa³ udzielaæ jej Armand, praktycznie by³a zbêdna. Po wszystkich latach prze^zytych z ojcem i tych szeœciu miesi¹cach po œmierci Odile spêdzonych u boku Armanda Liane wiedzia³a, co ma robiæ. Podczas pierwszego pó³rocza ich pobytu w Wiedniu Harrison przyje^zd^za³ dwukrotnie - co prawda nie prowadzi³ w Europie ^zadnych interesów, ale têsni³ za córk¹ i nie móg³ d³ugo bez niej wytrzymaæ. Za jego drugiej bytnoœci Liane zdecydowa³a nie ukrywaæ ju^z przed nim prawdy i wyzna³a, ^ze nastêpnego lata urodzi dziecko. Harrison wpad³ w przera^zenie, co zreszt¹ Liane dok³adnie przewidzia³a i o czym uprzedza³a mê^za. Sugerowa³ Armandowi, ^ze powinna pojechaæ do Stanów, mieæ do dyspozycji najlepszych lekarzy, pozostawaæ w ³ó^zku, a poza tym...

Przeœladowa³y go wspomnienia matki Liane, bólu, którego zazna³ po jej œmierci. Ton¹³ niemal we ³zach, kiedy wraca³ do Stanów, i odt¹d Liane musia³a pisaæ do niego codziennie zapewniaj¹c, ^ze wszystko idzie dobrze. W maju przyjecha³ na szeœæ tygodni przed planowanym rozwi¹zaniem i swoimi nie skrywanymi obawami doprowadzi³ de Villiersów niemal do szaleñstwa. Liane nie mia³a jednak serca odsy³aaæ go do Stanów. Kiedy zacz¹³ siê poród, Armand móg³ jedynie uspokajaæ Harrisona i wynajdowaæ mu zajêcia.

Na szczêœcie dziecko przysz³o na œwiat szybko: t³uœciutka dziewczynka o anielskim wygl¹dzie, z kosmykami jasnych w³osów, pe³nymi policzkami i ma³yimi usteczkami, przypominaj¹cymi p¹k ró^zy. Kiedy trzy godziny po narodzinach, które nast¹pi³y o 17.45 w wiedeñskim szpitalu, Harrison odwiedzi³ Liane, zasta³ j¹ rozcœmian¹, syt¹ po niedawno zjedzonym obiedzie. Wygl¹da³a, jakby to popo³udnie spêdzi³a z przyjació³mi w operze. Nie móg³ uwierzyæ w³asnym oczom... Tak samo zreszt¹ jak Armand, który spogl¹da³ na ^zonê takim wzrokiem, jakby o w³asnych si³ach dokona³a wyczynu na miarê wszech czasów. Kocha³ Liane nad ^zycie i dziêkowa³ Bogu za tê istotkê, o której nie marzy³ nawet w snach. Zupe³nie oszala³ na punkcie dziecka, a kiedy dwa lata pó³niej w Londynie przysz³a na œwiat ich druga córka, by³ równie podniecony jak poprzednio. Tym razem przekonali Harrisona, ^ze mo^ze poczekaæ w San Francisco, obiecuj¹c, i^z zadepeszuj¹ doñ natychmiast po narodzinach dziecka.

Pierworodn¹ nazwali Marie-Ange Odile. Nad imionami zastanawiali siê z wielk¹ powag¹ i na d³ugo przed przyjœciem córki na œwiat, a decyzjê, z której Odile na pewno by³aby zadowolona, podjêli jednomyœlnie. Drugie dziecko - ku bezgranicznej uciechu Harrisona - zosta³o nazwane Elisabeth Liane Crockett.

Kiedy przyjecha³ do Londynu na chrzest, wpatrywa³ siê w niemowlê z takim uwielbieniem, ^ze sta³o siê to pó³niej dla Liane pretekstem do ^zartów.

Zauważyła jednak, że ojciec nie wygląda najlepiej. Miała sześćdziesiąt osiem lat, zdrowie zawsze mu dopisywało, ale teraz sprawia wrażenie starszego niż w rzeczywistości i kiedy Liane odprowadza go na statek, ogarnia ją niepokój. Wspomina o tym Armandowi, jego wszakże bez reszty akurat pochłaniały trudne dyplomatyczne negocjacje z Austriakami i Anglikami; później zresztą przeładowało go poczucie winy, iż nie zwrócił na jej słowa większej uwagi, Harrison Crockett zmarł bowiem na atak serca w drodze powrotnej.

Na pogrzeb do San Francisco Liane poleciała bez dzieci, a kiedy stała nad trumną ojca, uświadomiła sobie, jak wielką poniosła stratę, pojmując zarazem, iż życie nie będzie teraz takie samo. Jej wuj George przygotowywał się już do przeprowadzki do domu Harrisona i zajęcia jego miejsca w Crockett Shipping. Liane była więc rada, iż nie mieszka w San Francisco i nie będzie musiała widzieć tych zmian, nie mogłaby bowiem znieść sytuacji, w której nieokrzesany stary kawaler zaczyna żyć życiem jej ojca i wywraca do góry nogami dawne obyczaje. Po tygodniu opuściła San Francisco ogarnięta tak rozpacz, jak odczuwała po śmierci Odile. Dziękowała Bogu, że wraca do domu, do Armanda, do swoich dzieci i obowiązków ambasadorowej. Odtąd oszczędzała zresztą wszelką z ojczyzną, bo gwarantem owej więzi był jej ojciec, którego nagle zabrakło. Dysponowała odziedziczoną po nim fortuną, ale w gruncie rzeczy liczyła się tylko jej córka, matka i życie pomiędzy nimi...

Dwa lata później Armand został mianowany ambasadorem w Waszyngtonie. Był to czas ekscytujący dla obojga, zdominowany perspektywą objęcia ważnego stanowiska przez Armanda i przyjęcia na siebie wielkiej odpowiedzialności przez Liane. Jedyne ciężeństwo na ich ówczesnym życiu pochodziło tylko wkrótce po przyjeździe do Stanów strata kolejnego dziecka, tym razem chłopczyka - Liane miała za sobą trudny rejs, ponadto żyła z nim od samego początku.

Mimo to lata spędzone w Waszyngtonie były okresem wspomnianym przez oboje z sympatią: wystawne przyjęcia w ambasadzie, oszałamiające wieczory spędzane w towarzystwie gości państw, wizyty w Białym Domu, znajomości z rosnącym gronem wybitnych polityków. Życie wiedli wówczas nad wyraz ciekawe, poznawali fascynujących ludzi. Trudno było uwierzyć, iż oto waszyngtońskie lata rzeczywiście dobiegają kresu. Tak oni, jak ich córki będą tęsknić za przyjaciółmi.

Marie-Ange i Elisabeth, teraz dziewięć- i siedmioletnia, znały tylko szkołę w Waszyngtonie; Armand wcześniej już podjął ustalenia związane z nauką w Paryżu, ale mimo że dziewczynki doskonale mówiły po francusku, przeprowadzka oznaczała dla nich ogromną zmianę. Bóg jeden raczy wiedzieć, co w związku z możliwością wybuchu wojny przyniesie przyszłość. Armand omawiał już z Liane i postanowił, że gdyby cokolwiek się stało, wyśle wszystkie trzy do Stanów. Mogłyby zamieszkać z wujem w San Francisco, w dawnym domu ojca, i Armand miałby przynajmniej pewność, że są tam bezpieczne. Co prawda jego zdaniem jeszcze przez jakiś czas nic nie zagrażało pokojowi we Francji, ale też nie sposób było określić, kiedy sytuacja ulegnie zmianie.

Teraz musiała przygotować ambasadę dla następcy, ponownie zatem skupić uwagę na pracy, czyli na dokumentach piętrzących się na biurku. Dochodziła już prawie dziesiąta wieczór, kiedy znów uniósł się wiatr. Wstała i przeciągnęła się. Ostatnimi czasy czuła się bardzo staro, choć wszelkie jego uwagi na ten

temat spotyka³y się z namiêtnymi protestami Liane. Mia³ jednak za sob¹ piêædziesi¹t szeææ lat bardzo aktywnego Ÿycia.

Zamkn¹³ za sob¹ drzwi gabinetu, powiedzia³ "dobranoc" dwóm strażnikom czuwaj¹cym w holu, potem na ty³ach budynku wsun¹³ klucz do zamka windy, która ³¹czy³a biuro z prywatnym mieszkaniem, i ze znużonym uæmiechem wszed³ do œrodka. Chociaż minê³o tyle lat, powrót po ciêżkim dniu do domu i do Liane niezmiennie pozostawa³ tak samo cudowny jak na pocz¹tku. By³a Ÿon¹, która uszczêliwi³aby kaźdego mêżczyznê - pe³n¹ poœwiêcenia i zrozumienia, cierpliw¹, weso³¹ i kochaj¹c¹.

Winda zatrzyma³a się na trzecim piêtrze i Armand wszed³ do marmurowego holu; wiod³y z niego drzwi do gabinetu pana domu, wielkiego obitego boazeri¹ salonu oraz do jadalni, sk¹d nozdrzy Armanda doszed³ s³aby zapach jakiejœ apetycznej potrawy przyrz¹dzanej w kuchni po³oŸonej w g³êbi mieszkania. A kiedy podniós³ wzrok na marmurowe schody prowadz¹ce na piêtro, dostrzeg³ Liane - wci¹ż tak samo piêkn¹ jak przed dziesiêciu laty. Jej równo przyciête jasne w³osy ³agodnie k³ad³y się na ramionach, pod b³êkitnymi oczyma nie rysowa³a się Ÿadna zmarszczka, a skóra by³a tak œwieża jak przy ich pierwszym spotkaniu, kiedy Liane liczy³a zaledwie piêtnaæcie lat. By³a wyj¹tkow¹ piêknoœci¹ i Armand delectowa³ się kaźd¹ spêdzon¹ z ni¹ chwil¹, chociaż ostatnimi czasy z powodu nadmiaru zajêæ owe chwile stawa³y się coraz rzadsze.

Liane zbieg³a po schodach i zarzuci³a mu rêce na szyjê.

- Czeææ, kochanie. Jak ci min¹³ dzieñ?... A moŸe nie powinnam o to pytaæ?
- Armand uæmiechn¹³ się, dumny z niej i wci¹ż dumny z tego, Ÿe do niego naleŸy. By³a rzadkim, naprawdê rzadkim klejnotem. - Chyba prawie skoñczy³am pakowanie. Nie poznasz naszej sypialni, jak tam pójdziesz.

- A ciebie w niej znajdê?

Oczy mu b³yszcza³y, kiedy nawet po tak mêcz¹cym dniu spogl¹da³ na Ÿonê.

- Oczywiœcie.

- Bo jesteœ jedynym znajomym elementem, który pragnê tam zobaczyæ. Jak dziewczêta?

- Têskni¹ za tob¹. PrzecieŸ nie widzia³y ciê od czterech dni.

- Nadrobimy to na statku. - Uæmiechn¹³ się do Ÿony. - Potwierdzono nasze rezerwacje i... - jego uæmiech sta³ się wrêcz promienny - mam dla ciebie niespodziankê, cherie. Pewien dŸentelmen, który zarezerwowa³ jeden z czterech luksusowych apartamentów, musia³ anulowaæ rezerwacjê, poniewaŸ zachorowa³a jego Ÿona. A to oznacza... - Wydawa³o się, Ÿe czeka niemal na fanfary, kiedy Liane ujê³a go pod ramiê i poprowadzi³a do jadalni. - A to oznacza, Ÿe w uznaniu dla strudzonego starego ambasadora w drodze do kraju dano nam jeden z czterech najbardziej luksusowych apartamentów na "Normandie": cztery sypialnie, w³asna jadalnia, jeœli zechcemy z niej skorzystaæ. Na pewno nie zechcemy, bo g³ówna mesa statku warta jest uwagi. Byæ moŸe jednak dzieci bêd¹ chocia³y mieæ w³asn¹ jadalniê i salon z pianinem. Mamy teŸ do dyspozycji w³asny pok³ad spacerowy, gdzie bêdziemy siadywaæ wieczorami i spogl¹daæ na gwiazdy...

W g³osie Armanda pobrzmiwa³y marzycielskie nuty, poniewaŸ z prawdziw¹ przyjemnoœci¹ myœla³ o czekaj¹cym ich rejsie. Od wielu lat s³ysza³ o "Normandie" wy³¹cznie pienia pochwalne, a nigdy dot¹d nie p³yn¹³ tym liniowcem, traktowa³ zatem tê przeprawê jako dodatkow¹ atrakcjê dla Ÿony i nie mia³o Ÿadnego znaczenia, iŸ Liane mog³aby z w³asnej kieszeni zap³aciæ za wszystkie apartamenty "Normandie". Nigdy by jej zreszt¹ na to nie pozwoli³, w kwestiach finansowych by³ bowiem nieprzejednany. Cieszy³ się,

¿e bêd¹ mieli dla siebie piêæ dni, które spêdz¹ wspólnie w zawieszeniu pomiêdzy dwoma œwiatami.

- Nie mogê siê doczekaæ - powiedzia³a Liane z dziewczêcym chichotem, sadowi^c siê przy olbrzymim stole jadalnym nakrytym dla dwóch osób. - Skoro bêdziemy mieli pianino w kabinie, muszê jeszcze przed odjazdem trochê poæwiczyæ. Nie gra³am od lat.

- G³uptasie. Mmm... - zwróci³ uwagê na aromaty dochodz¹ce z kuchni. - To pachnie wrêcz cudownie.

- Dziêkujê, monsieur. Soupe de poisson dla mojego pana i w³adcy, omlet fines herbes, salade de cresson, camembert, brie i suflet czekoladowy, jeæli oczywiêcie kucharka nie zasnê³a.

- Zapewne z rozkosz¹ wbi³aby mi w serce nó¿ za to, ¿e przychodzê na posi³ki o takich godzinach.

- Drobiazg, kochanie. - Liane uœmiechnê³a siê z czu³oœci¹ i w tej chwili s³u¿¹ca wesz³a z waz¹ zupy.

- Mówi³em ci ju¿, ¿e jutro jemy kolacjê w Bia³ym Domu?

- Nie - odpar³a spokojnie Liane, przyzwyczajona do takich niespodzianek.

Wydawa³a przyjêcia niekiedy nawet dla stu osób, uprzedzona o nich zaledwie dwa dni wczêœniej.

- Dzwonili dzisiaj.

- Czy to kolacja na czœææ jakiejœ wa¿nej osobistoœci? - Zupa by³a wspania³a. Liane uwielbia³a te kolacyjki we dwoje i podobnie jak Armand czêsto zastanawia³a siê, ile jeszcze takich chwil czeka ich po powrocie do Francji. Wiedzia³a, ¿e przynajmniej na pocz¹tku m¹¿ bêdzie tak zajêty, ¿e praktycznie zniknie z jej ¿ycia.

- Na czœææ bardzo, bardzo wa¿nych osobistoœci. - Armand uœmiechn¹³ siê do ¿ony.

- To znaczy?

- Na nasz¹. To po prostu przyjacielska nieoficjalna kolacja przed naszym wyjazdem. - Uroczysty raut po¿egnalny odby³ siê trzy tygodnie wczêœniej. - Czy dziewczynki s¹ podniecone perspektyw¹ rejsu?

Liane skinê³a g³ow¹.

- Bardzo.

- Ale chyba nie a¿ tak jak ja. Wiesz, ¿e nazywaj¹ ten liniowiec œwietlistym statkiem? - spyta³, a Liane znowu siê do niego uœmiechnê³a. - Myœlisz, ¿e zachowujê siê infantylnie?

- Wcale nie. Uwa¿am, ¿e jesteœ cudowny, i kocham ciê.

Wyci¹gn¹³ rêkê i poklepa³ j¹ po d³oni.

- Liane... Jestem wielkim szczêœciarzem.

Rozdzia³ drugi

D³ugi czarny citroen, przed rokiem sprowadzony z Pary¿a, podjecha³ pod wejœcie do Bia³ego Domu od strony Pensylwania Avenue i Liane wysiad³a z auta. Mia³a na sobie dopasowany w talii czarny satynowy ¿akiet z wywatowanymi ramionami, a do tego bia³¹ bluzkê z organdy, lamowan¹ najdelikatniejszym bia³ym jedwabiem. Armand kupi³ jej ten ¿akiet u Jeana Patou, kiedy na Wielkanoc pojecha³ do Pary¿a. Kreacja le¿a³a na niej idealnie. Patou dysponowa³ wymiarami Liane, Armand zaœ zawsze wybiera³ dla ¿ony stroje, które doskonale do niej pasowa³y. Kiedy wysiada³a z auta, z t¹

swoj¹ wysmuk³¹ sylwetk¹ i idealnie g³adkami blond w³osami przypomina^{3a} wystrza^{3ow}1 modelkê. Odziany w smoking Armand wysiad³ za ni¹. Ten wieczór mia³ charakter na tyle nieoficjalny, że frak nie by³ konieczny.

Przy wejściu do holu oprócz prezydenckiej ochrony sta^{3o} dwóch lokajów i s^{3u}ł^{1ca}: witali przybywaj¹cych, odbierali od nich okrycia wierzchnie, a następnie kierowali gości na górê, do prywatnej jadalni Rooseveltów.

Zaproszenie do Bia³ego Domu należa^{3o} do znaczniejszych zaszczytów i choæ Liane by^{3a} już tutaj kilkakrotnie na lunchach w w¹skim gronie - z sam¹ Eleanor i kilkoma innymi paniami - ta uroczystość sprawi^{3a} jej szczególn¹ przyjemność. Na pierwszym piêtrze, u drzwi swoich apartamentów, czekali prezydent i jego żona w ozdobionej sznurem pere³, prostej szarej sukni z krey od Traina-Norella. W Eleanor Roosevelt by^{3o} coæ bezpretensjonalnego, niezależnie od kroju kreacji i bogactwa biżuterii zawsze wygl¹da^{3a} tak, jakby nosi^{3a} star¹ sukienkê, sweter i rozdeptane pantofle. Należa^{3a} do tych kobiet, przez które každy chcia^{3by} byæ witany po powrocie do domu - zawsze obdarza^{3a} przybywaj¹cego ciep^{3ym} uśmiechem.

- Witaj, Liane. - Eleanor dostrzeg^{3a} j¹ pierwsza i szybko podesz^{3a}; prezydent już zd¹ł^{3y} siê wdaæ w ożywion¹ dyskusjê z innym ze swoich starych przyjaciół, brytyjskim ambasadorem sir Ronaldem Lindsayem. - Tak mi^{3o} widzieæ was oboje. - Uśmiech Eleanor Roosevelt obj¹³ również Armanda, który skwapliwie uca^{3owa}3 d^{3o}ñ gospodyni, a potem spojrz³ jej w oczy.

- Najbardziej bêdziemy têskniaæ za pani¹, madame.

- Ale nawet w po³owie nie tak, jak ja bêdê têskniaæ za wami.

Mówi^{3a} wysokim s³abym g³osem, czêsto wykpiwanym, choæ dla osób dobrze j¹ znaj¹cych mia³ brzmienie ze wszech miar koj¹ce i stanowi³ jedn¹ z licznych bud¹cych sympatiê cech Eleanor. Trudno by^{3o}by znaleŹæ kogoœ, kto by jej nie lubi³ i nie szanowa³, a przez piêæ ostatnich lat Liane należa^{3a} do jej najbardziej zagorza³ych wielbicielek, nawet podczas gor¹cych dyskusji na temat s/s "St. Louis". Armand w samochodzie przypomni³ by³ Liane, aby nie podejmowa^{3a} tego tematu dzisiejszego wieczoru, ona zaæ przyjê^{3a} ostrzeżenie pos³usznym skinieniem g³owy i skwitowa^{3a} je krótkim chichotem.

- Czy naprawdê bywam aż tak nietaktowna, kochanie?

- Ależ sk¹d, nigdy - zapewn³. Upomnienie Armanda wziê^{3o} siê st¹d, że mia³ do żony nieco ojcowski stosunek i czasem traktowa³ j¹ jak ma³¹ dziewczynkê.

- Jak tam dzieci? - pospiesznie zapyta^{3a} Liane. Wnuczki Rooseveltów to pojawia^{3y} siê w Bia³ym Domu, to z niego znika^{3y}.

- Niegrzeczne jak zawsze. A wasze córki?

- Podniecone i nie do upilnowania. Ilekroæ odwrócê g³owê, rozpakowuj¹ bagaże w poszukiwaniu ulubionych lalek albo wymyœlaj¹ coæ innego.

Rozcêmia^{3y} siê obydwie. Maj^{1c} piêcioro w³asnego potomstwa, Eleanor stanowi^{3a} kompetentne Źród^{3o} wiedzy o dzieciach i ich charakterach.

- Nie zazdroszczê wam tego ca³ego pakowania. Z samych naszych letnich wypraw do Campobello wiem, jakie to zawracanie g³owy. Przeprowadzka do Francji zdecydowanie przerasta^{3aby} moje si^{3y}. Zapewne jedno z moich dzieci dla zademonstrowania odwagi wyskoczy^{3o}by za burtê i musielibyœmy zatrzymaaæ statek. Już na myœl o tym przechodzi mnie dreszcz, ale Marie-Ange i Elisabeth s¹ przecież dużo grzeczniejsze. Powinnœcie mieæ przyjemny rejs.

- Tak¹ też mamy nadzieję - wyzna³ Armand, po czym wszyscy troje do³¹czyli do pozosta³ych gości: ambasadora brytyjskiego i jego żony, lady Lindsay, Dupontów z Delaware, wszêdobyłskiego Harry'ego Hopkinsa, dalekiego kuzyna Eleanor, który wpad³ do Waszyngtonu na dwa tygodnie, a wreszcie Russella

Thompsona z żon¹ Maryse, ma³żeństwa, które Liane bardzo lubi³a i z którym często się widywa³a. On by³ prawnikiem, ściśle zwi¹zanym z administracj¹ Roosevelta, ona zaś pochodzi³a z Paryż¹a i by³a energiczn¹ sympatyczn¹ dziewczyn¹.

Przez pół godziny podawano koktajle, potem lokaj zaprosi³ wszystkich na kolacj^ę do prezydenckiej jadalni. Jak zawsze na przyjęciach wydawanych przez Eleanor, dania by³y znakomite, a menu perfekcyjnie skomponowane. Stół w prywatnej jadalni przygotowano dla jedenastu osób - piękna zastawa z b³êkitno-z³otej porcelany ze Spode i ci^êkie srebro pyszni³y się na obrusie z bardzo starej i delikatnej koronki. Pomiędzy d³ugimi bia³ymi œwiecami w srebrnych œwiecznikach ustawiono piękne bukiety b³êkitno-bia³ych irysów, żó³tych róż i bia³ego bzu. Na œcianach ca³ego pokoju przyci¹ga³y wzrok freski przedstawiaj¹ce rewolucj^ę amerykańsk¹. Tę kolacj^ę Armand i Liane mieli d³ugo pami^ęta^æ.

Prezydent umiejętnie prowadzi³ rozmow^ę na tematy interesuj¹ce wszystkich, często przeplataj¹c swoje wywody anegdotami o czymœ, co ostatnio wydarzy³o się w Kongresie lub Senacie. Podczas ca³ego posi³ku nie rozmawiano o wojnie, w sposób nieunikniony problem wyp³yn¹³ jednak przy deserze. Kiedy do tego dosz³o, wszyscy byli ju^ż nasyчени i zadowoleni po spo^życiu kawioru, pieczonej kaczki, delikatnego wędzonego ³ososia, sa³atki z cykorii i bogatego zestawu serów francuskich. Deser, w³œciwie kropla przepe³nij¹ca puchar, by³ jednak tak lekki, że nawet rozmowy panów o wojnie, zapewne wczesniej ci^êko strawne, nikomu teraz nie zwarzy³y humoru. Dyskusja wszak^ę szybko rozgorza³a na dobre, ponieważ Roosevelt jak zwykle upiera³ się, że ani w Europie, ani w Stanach nie ma się w gruncie rzeczy czego obawia^æ.

- Ale chyba nie myœli pan tak serio - powiedzia³ ambasador Wielkiej Brytanii, rozdarty pomiędzy niebiańskimi rozkoszami deseru a bolesnymi kwestiami poruszonymi przy stole. - Na mi³oœæ bosk¹, cz³owieku, nawet pański kraj przygotowuje się do wojny. Prosz^ę spojrz^æ na szlaki żeglugowe, które wyznaczacie statkom handlowym. Prosz^ę spojrz^æ na gwa³towny wzrost produkcji w róż³nych ga³êziach przemys³u, w szczególnoœci w bran^ży stalowej.

Brytyjczycy wiedzieli a^ż za dobrze, iż Roosevelt nie jest g³upcem. Zdawa³ sobie spraw^ę, co nadci¹ga, lecz by³ zdecydowany nie ujawnia^æ tego przekonania przed w³asnym narodem, nawet tutaj, wśród grupki doborowych bliskich przyjació³ i w¹skiego grona mi^ędzynarodowej elity.

- Przewrotnoœæ to żaden grzech - odpar³ Roosevelt - i dobrze s³u^ży interesom kraju, ale przecie^ż w najmniejszym stopniu nie implikuje apokalipsy.

- By^æ mo^że z waszego punktu widzenia... - Na twarzy ambasadora brytyjskiego nagle odmalowa³o się przygn^ębienie. - Wie pan równie dobrze jak my, co się tam dzieje. Hitler to szaleniec i on - wskaza³ na Armanda - jest tego w pe³ni œwiadom. Co mówi¹ w Paryż¹u w tym tygodniu?

W tym kr^ęgu pogl¹dy Armanda by³y dobrze znane. Wszystkie oczy zwróci³y się na niego, on zaś przez chwil^ę jakby wa^ży³ s³owa, zanim udzieli³ odpowiedzi.

- To, co zauwa^ży³em w kwietniu, by³o bardzo zwodnicze. Wszyscy usi³owali i nadal usi³uj¹ udawa^æ, że nieuchronne nie nadejdzie nigdy. A ja ca³1 nadziej^ę pok³adam w tym, że nie nadejdzie zbyt szybko. - Czule spojrz³a na żon^ę. - Wtedy b^êd^ę musia³ na powrót przys³a^æ tu Liane. Ale, co wa^żniejsze - przeniós³ wzrok na innych - wojna w Europie teraz by³aby tragedi¹ dla Francji. Dla nas wszystkich.

Spojrza³ sm¹tnie na ambasadora brytyjskiego, a kiedy ich oczy si¹e spotka³y, obaj poj¹eli, i¹ widz¹ a¹ nazbyt wyra¹nie, co nast¹pi, gdy Hitler ruszy naprz¹od. By³a to wizja zaiste przera¹aj¹ca. Poniewa¹ przy stole zapad³a cisza, Eleanor spokojnie wsta³a, daj¹c damom sygna³, i¹e najwy¹szy czas pozostawia¹ d¹entelmen¹ów z koniakiem i cygarami. Panie mia³y usi¹œa¹ przy kawie w s¹iednim pokoju.

Liane wsta³a z oci¹ganiem - tego momentu ka¹dej kolacji nie lubi³a w sposób szczeg¹olny. Zawsze mia³a wra¹enie, i¹ traci najbardziej istotn¹ cz¹œœa¹ dyskusji, która rozwija si¹e dopiero wtedy, gdy m¹czy¹ni, uwolnieni od narzuconej obecnoœci¹ pa¹n koniecznoœci¹ ³agodzenia s³ów, mog¹ powiedzia¹œ, co w zwi¹zku z najwa¹niejszymi wydarzeniami dnia le¹zy im na w¹trobie. W drodze powrotnej do domu indagowa³a Armanda, co straci³a tego wieczoru.

- Nic - odpar³. - By³a to taka sama rozmowa, jakie s³yszy si¹e wsz¹dzie. L¹ki i zaprzeczenia. Roosevelt nie ust¹puj¹cy na krok, Brytyjczycy pewni tego, co ich zdaniem bez w¹tpienia wkr¹ótce nast¹pi. Thompson jednak zgadza³ si¹e z nimi. Powiedzia³ mi na ucho, kiedy odeszlic¹emy od sto³u, i¹e jeœli wybuchnie wojna, Roosevelt na pewno w³czy si¹e do niej jeszcze przed ko¹ncem roku. By³oby to korzystne dla gospodarki kraju... Jak zreszt¹ ka¹da wojna.

- Liane co prawda sprawia³a wra¹enie zaszokowanej, ale dzi¹eki ojcu zna³a dostatecznie dobrze regu³y ekonomiczne, by zdawa¹ sobie spraw¹e, i¹ to, co mówi Armand, jest s³uszne. - Tak czy inaczej, moja kochana, na pewno ju¹z nied³ugo sami si¹e przekonamy, co si¹e b¹dzie dzia³o w Stanach.

Przez reszt¹e drogi do domu rozmyœla³ nad setkami spraw, które zaprz¹ta³y jego umys³, Liane za¹e odp³yn¹œa¹ wspomnieniem do ciep³ego uœcisku, którym na po¹egnanie obdarzy³a j¹ Eleanor.

"Musisz do mnie pisa¹œ..."

"B¹de" -.obieca³a Liane.

"Niech ci¹e B¹g ma w swojej opiece..." Przy tych s³owach dziwnie brzmi¹cy g³os Eleanor za³ama³ si¹e, a jej oczy zwilgotnia³y. Lubi³a Liane, w pe³ni za¹e by³a œwiadoma, i¹ zanim spotkaj¹ si¹e ponownie, kraje, które s¹ im tak bliskie, mog¹ znale¹œ si¹e w strasliwym niebezpiecze¹stwie.

"Ciebie tak¹e." Obj¹œy si¹e na po¹egnanie, potem Liane z m¹czem usadowi³a si¹e w Citroenie, aby przeby¹a niewielk¹ odleg³œœa¹ dziel¹c¹ ich od ambasady, która ci¹gle jeszcze by³a jej domem.

Kiedy dotarli na miejsce, szofer odprowadzi³ ich do œrodka, gdzie jak zwykle czeka³o dwóch stra¹ników, powiedzia³ "dobranoc", po czym znikn¹³ w swoim mieszkaniu. S³u¹ba spa³a ju¹z g³êbokim snem, w domu powinna by³a panowa¹ idealna cisza. Kiedy jednak szli do swoich pokoi, Liane ucemiechn¹œa¹ si¹e do m¹czka, poci¹gn¹œa¹ go za rêkaw i przy³o¹zy³a palec do ust, us³ysza³a bowiem gwa³towne szuranie i trzask kontaktu.

- Co si¹e dzieje?... - wyszepta³ Armand, nie umiej¹c zidentyfikowa¹œ odg³osów. Wtedy Liane szybko otworzy³a drzwi do pokoju Marie-Ange.

- Dobry wiecz¹or paniom - powiedzia³a w sposób ca³kowicie naturalny i Armand zaniepokoi³ si¹e przez chwil¹e o równowag¹e jej umys³u, dopóki owych obaw nie rozwia³ radosny chichot i pospieszny tupot bosych st¹óp. Obie dziewczynki skry³y si¹e najpierw w ³ó¹ku Marie-Ange, a teraz podniecone i rozeœmiane bieg³y w stron¹e rodziców.

- Przynieœliœcie nam ciasteczka?

- Oczywiście, i¹e nie. - Armand wci¹ i¹ by³ odrobin¹e stropiony.

Liane zna³a córki lepiej ni¹ ktokolwiek inny, jego za¹e zawsze rozbawia³a ta szczeg¹olna wiedza. Teraz te¹ si¹e ucemiechn¹³. - Co robicie jeszcze na nogach i gdzie jest Mademoiselle?

Piastunka mia³a obowi¹zek k³acæ je do ³ólka i pilnowæ, aby spa³y spokojnie. Przechytrzenie jej by³o trudnym zadaniem, wszyscy o tym wiedzieli, ale od czasu do czasu ku bezgranicznej uciechu dziewczynek udawa³o im siê tego dokonaæ.

- Mademoiselle œpi, ale by³o tak gor¹co... - Elisabeth spojrze³a na ojca szeroko otwartymi b³êkitnymi oczyma matki i jak zwykle cocæ w Armandzie stopnia³o, kiedy patrzy³ na cõrkê, a potem podnosi³ j¹ w mocnych ramionach. By³ wysokim, dobrze zbudowanym m^êczyzn¹ i nawet b^{êd}'c dobrze po pi^êdziesi¹tce, mia³ postaw^ê i si³ê niemal m³odzieñcz¹. Tylko zmarszczki na twarzy i srebrna grzywa starannie uczesanych w³osów wskazywa³y na jego wiek, jakkolwiek dziewczynki nie uœwiadamia³y sobie, æe ich ojciec jest tyle lat starszy od matki. Interesowa³o je tylko to, æe jest ich tatusiem, i w pe³ni odwzajemnia³y uwielbienie, które im okazywa³.

- Grzeczne dziewczynki juæ dawno leæ¹ w ³ólczkach. Coœcie robi³y?
Armand zna³ swoje cõrki na tyle, by wiedzieæ, æe sygn³ do zabawy na pewno da³a Marie-Ange, choæ Elisabeth bez w¹tpienia z ogromn¹ radoœci¹ i bez oporu posz³a w jej œlady. I ani trochê siê nie pomyli³. Kiedy na nie patrzy³, Liane w³czy³a œwiat³o i wtedy dostrzegli stosy rzeczy powyci¹ganych z pude³ i skrzyñ, do których zosta³y wczeciej zapakowane.

- Och, dobry Boæe!... - j^êkn^ê³a Liane. Dziewczynki rozpakowa³y wszystko z wyj¹tkiem swoich ubranek. - Na mi³ocæ bosk¹, co wy robicie?

- Szukamy Marianne - odpar³a Elisabeth niewinnym g³osikiem i pos³a³a matce szczerbaty uœmiech. Marianne by³a jej ulubion¹ lalk¹.

- Dobrze wiesz, æe jej nie zapakowa³am. Leæy na stole w twoim pokoju.
- Naprawdê?

Obie dziewczynki zacz^êy chichotaæ, najwyraŹniej doskonale siê bawi¹c. Ojciec patrzy³ na nie takim wzrokiem, jakby zamierza³ je skarciaæ, ale nie mia³ serca tego uczyniaæ - by³y takie pe³ne æycia i tak przypomina³y swoj¹ matkê, æe w³œciwie nigdy nie potrafi³ naprawdê siê na nie z³ociaæ.

Najcz^êœciej zreszt¹ nie mia³ ku temu powodu. Mademoiselle prowadzi³a je æelazn¹ rêk¹, Liane zaæ by³a wzorow¹ matk¹. Pozwala³o mu to cieszyæ siê cõrkami, a jednocześnie nie zmusza³o do odgrywania roli potwora. Teraz jednak zgani³ je w paru starannie dobranych francuskich s³owach.

Powiedzia³, æe musz¹ pomagaæ matce w pakowaniu, zamiast wszystko rozrzucaæ, poniewaæ za dwa dni odp³ywaj¹ z tymi rzeczami z Nowego Jorku.

- Ale my nie chcemy jechaæ do Nowego Jorku. - Marie-Ange, zawsze rzeczniczka tego duetu, z powag¹ spojrze³a na ojca. - Chcemy zostaæ tutaj.

Liane z westchnieniem usiad³a na ³ólku Marie-Ange, a Elisabeth szybko wdrapa³a siê na jej kolana, podczas gdy siostra kontynuowa³a negocjacje z ojcem.

- Tu siê nam podoba.

- Nie chcecie przejechaæ siê statkiem? Maj¹ tam teatrzyk lalkowy, kino i boksy dla psów. Poza tym w Paryæu teæ b^{êd}ziemy szcz^êliwi.

- Nie, nie b^{êd}ziemy - pokr^êci³a g³ow¹, patrz¹c ojcu w oczy.

- Mademoiselle mówi, æe wybuchnie wojna. Nie chcemy jechaæ do Paryæa, skoro ma wybuchn¹æ wojna.

- Co to jest "wojna"? - wyszept³a Elisabeth do ucha matki.

- To taki czas, kiedy ludzie ze sob¹ walcz¹. Ale nikt nie b^{êd}zie walczy³ w Paryæu. W Paryæu b^{êd}zie tak samo jak tutaj.

Oczy Armanda i Liane spotka³y siê ponad g³owami dziewcz¹t i Liane zorientowa³a siê, æe m¹æ rankiem przeprowadzi powaæn¹ rozmow^ê z Mademoiselle. Nie æyczy³ sobie, aby straszono dzieci gadaniem o wojnie.

Milczenie nagle przerwa³a Elisabeth.

- A jak bijemy się z Marie-Ange, to też jest wojna?

Wszyscy wybuchnêli œmiechem, lecz Marie-Ange poprawi³a siostrê, zanim zdo³ali uczyniæ to rodzice.

- Nie, g³upia. Wojna jest wtedy, jak ludzie strzelaj¹ do siebie z karabinów. - I zwróci³a się do Armanda: - Prawda, tato?

- Tak. Ale od lat nie by³o ¿adnej wojny, nie by³o jej na d³ugo przedtem, zanim przysz³yœcie na œwiat. I nie musimy się tym martwiæ równie¿ teraz. Wy musicie za to iœæ teraz do ³ó¿ek, a jutro pomóc w pakowaniu tych wszystkich rzeczy, które powymowa³yœcie z kufrów. A wiêc, au lit, mesdemoiselles!

Usi³owa³ mówiæ surowo i chocia¿ niemal zdo³a³ przekonaæ córki, w najmniejszym stopniu nie zwiód³ ¿ony, która wiedzia³a a¿ za dobrze, i¿ Armand w ich d³oniach jest miêkki jak wosk.

Liane zanios³a Elisabeth do jej pokoju, Armand zae u³o¿y³ w ³ó¿eczku starsz¹ córkê, a piêæ minut póŹniej spotkali się w swojej sypialni. Liane wci¹¿ ucemiecha³a się na myœl o niesfornoœci dziewczynek, Armand natomiast ze zmarszczonym czo³em usiad³ na ³ó¿ku i zacz¹³ się rozbieraæ.

- Jak ta stara idiotka mo¿e straszyæ dziewczynki gadaniem o wojnie!...

- S³yszy to samo co my - odpar³a z westchnieniem Liane i zaczê³a rozpinæ guziki piêknie skrojonego, satynowego ¿akietu.

- Ale porozmawiam z ni¹ rano.

- Zrób to, z ³aski swojej.

Armand wymówi³ te s³owa stanowczo, lecz wcale nie ostrym tonem. Patrzy³ teraz, jak ¿ona rozbiera się w garderobie. Zawsze mieli sobie coœ jeszcze do powiedzenia, zawsze zaistnia³ jakieœ kolejny powód, dla którego nie móg³ się od niej oderwaæ - nawet teraz, po nie koñcz¹ym się dniu i d³ugim wieczorze. Kiedy zdjê³a bia³¹ organdynow¹ bluzkê i dostrzeg³ at³asow¹ ró¿owoœæ jej cia³a, pospieszy³ do swojej garderoby. Zrzuci³ smoking i kilka chwil póŹniej wróci³ boso, w bia³ej jedwabnej pi¿amie i granatowym szlafroku. Uemiechnê³a się do niego z ³ó¿ka, a kiedy wy³¹cza³ œwiat³o, mignê³a mu nad krawêdzi¹ ko³dry koronka ró¿owej koszuli nocnej.

Wsun¹³ się obok niej do ³ó¿ka, delikatnie powiód³ d³oni¹ po ramieniu, dotar³ do aksamitnej g³adkoœci szyi, potem siêgn¹³ ni¿ej i dotkn¹³ piersi. Liane ucemiechnê³a się w mroku i odnalaz³a ustami wargi Armanda. W d³ugim poca³unku zapomnieli o dzieciach, piastunce, prezydencie, wojnie... Zrzucaj¹c gor¹czkowo okrycia, pamiêtali jedynie o tym, ¿e s¹ siebie spragnieni, ¿e w miarê up³ywu lat coraz gorêcej nawzajem się po¿¹daj¹. Liane westchnê³a cicho, kiedy silna d³oñ Armanda spoczê³a na jej nagim udzie, i rozsunê³a nogi, aby go powitaæ, jak czyni³a zawsze. Czu³a w nozdrzach zapach jego wody koloñskiej, kiedy j¹ ca³owa³, kiedy ich cia³a się z³¹czy³y i kiedy w ni¹ wchodzi³, zrazu delikatnie, potem z narastaj¹c¹ pasj¹.

Rozdzia³ trzeci

OdŹwierny domu pod numerem 875 przy Park Avenue sta³ nieporuszenie na swoim stanowisku. Jego mundurowa kurtka by³a z ciê¿kiej we³ny, ciasny ko³nierz wpija³ się w szyjê, czapka ze z³otym otokiem ci¹¿y³a mu na starej g³owie jak o³ów. By³ drugi tydzieñ czerwca, temperatura w Nowym Jorku siêga³a 87 stopni Fahrenheita, lecz on musia³ trwaæ na posterunku - w

czapce, nienagannej kurtce, z idealnie prost¹ muszk¹, w bia³ych rękawiczkach - i ucemiecha^æ się mile do wchodz¹cych i wychodz¹cych mieszkańców i gości. Mike, tak bowiem mia³ na imię od¹wierny, pe³ni³ s³u³ł³bę od siódmej rano, teraz za^æ dochodzi³a już osiemnasta. Upa³ doskwiera³ niezmienny, a Mike musia³ czeka^æ jeszcze godzinę na chwilę, kiedy w obszernych spodniach, koszuli z krótkim rękawem, wygodnych butach, bez muszki i czapki b^êdzie móg³ pój^æ do domu. Jego irlandzka dusza rozp³yn^ê3a się w ucemiechu na wyobra³enie owej niewys³owionej ulgi. Nie od rzeczy by³oby skoczy^æ na piwko, pomy^æła³. Stoj¹c tak, z zazdro^æci¹ patrzy³ na dwóch windziarzy. Szcz^êæciarze - byli przynajmniej w ^ærodku.

- Dobry wieczór, Mike.

Oderwa³ się od swojej przy^æmionej upa³em mrzonki i podniós³ wzrok, wy^æwieczonym gestem dotykaj¹c palcami daszka czapki, chociaż tym razem jego s³u³ł³bowej akuratności towarzyszy³ przyjacielski ucemiech. Mieszkali w tym budynku ludzie, wobec których nie zawraca³ sobie g³owy ucemiechami, ale tego faceta naprawdę lubi³. By³ to bowiem Nicholas Burnham - Nick, jak nazywali go przyjaciele. Mia³ zawsze dla Mike'a przyjazne s³owo, a w oczekiwaniu na przyjazd limuzyny czas na krótk¹ pogaw^êdkę. Rozmawiali o polityce i baseballu, ostatnich strajkach, cenach ³ywności i upale, który przez dwa ostatnie tygodnie zasnuwa³ ulice gor¹c¹ mgie³k¹. Nickowi jako^æ udawa³o się wyrze^æ na Mike'u wra³enie, ³e przejmuje się nim, ³e ma dla niego jakie^æ znaczenie ten starszej¹cy się cz³owiek, który ³eby zarobi^æ na siedmioro dzieci, musi ca³ymi dniami sta^æ pod domem, przywo³ywa^æ taksówki i pozdrawia^æ damy z francuskimi pudłami. Wydawa³o się, ³e Nick rozumie groteskowo^æ tej sytuacji - i za to w³acenie Mike tak bardzo go lubi³. Nicholas Burnham musia³ by^æ porz¹dnym facetem.

- Jak min¹³ dzień?

- Nie najgorzej, sir. - Co prawda stopy, otarte, rozpalone i obrzmia³e, zdawa³y się przypomina^æ o odmiennym zgo³a stanie rzeczy, lecz nagle Mike'owi wyda³o się, ³e istotnie nie jest tak ¹le. - A panu?

- W mie^æcie by³o dosy^æ gor¹co.

Biuro Burnhama mie^æci³o się na Wall Street, a jego firma stanowi³a pot^êgę w przemy^æle stalowym. Nick, chociaż liczy³ sobie zaledwie trzydzie^æci osiem lat, by³ - jak pewnego razu okre^æli³ go "New York Times" - najwi^êkszym m³odym przedsi^êbiorc¹ w kraju. Mike nigdy nie zastanawia³ się nad róż³nic¹ w ich dochodach i pozycji spo³ecznej, przywyk³ bowiem przyjmowa^æ rzeczy takimi, jakie s¹, a Nick zawsze obdarza³ go poka¹Źnymi napiwkami i prezentami na Bo³e Narodzenie. Poza tym stary portier wiedzia³, ³e Nick nie ma ³atwego ³ycia, przynajmniej w domu. Do jego ³ony, Hillary, Mike czu³ nienawie^æ równ¹ niemal sympatii, któr¹ obdarza³ Nicka. Nad^êta humorzasta dziwka, ot co, my^æła³. Ani jednego uprzejmego s³owa, ani jednego ucemiechu. Obwiesza³a się tylko mnóstwem drogiej bi³uterii i futer, na które naci¹ga³a m^ê3a. Mike cz^êsto widzia³, jak wychodz¹ gdzie^æ wieczorami. Wtedy Hillary Burnham zawsze mia³a co^æ przykrego do powiedzenia Nickowi - a to na temat jednej ze s³u³ł³cych albo jego spó¹Źnienia, albo ³e nie znosi ludzi, do których zostali w³acenie zaproszeni... "Zepsuta kurewka", mawia³ o niej Mike. Co prawda ³adna, ale to za ma³o, ³eby mog³a poprawia^æ sobie u niego opini^ê. Cz^êsto zastanawia³ się, jakim cudem Nick mo³3e by^æ tak sympatycznym facetem, skoro ma za ³on^ê tak¹ j^êd^ê.

- Widzia³em dzisiaj panicza Johna z kijem baseballowym - powiedzia³ Mike i obaj popatrzyli na siebie znacz¹co. Po chwili Nick ucemiechn¹³ się od ucha do ucha.

- Możesz wobec tego niebawem usłyszeć brzęk tuczonego szkła, przyjacielu.

- Nie ma obaw. Zapamiętaj, jeżeli będzie leciała w tę stronę.

- Dzięki, Mike - poklepał starego po ramieniu i wszedł do domu, Mike zaczął uśmiechnąć się pod nosem. Jeszcze trzy kwadransy, a jutro może nie będzie już tak gorąco. A jeżeli nawet będzie... Cóż, na pewno da się przetrwać.

Wszedł do dwóch kolejnych mężczyzn i Mike dotknął daszki czapki, myśliciel jednocześnie o synu Nicka, Johnie. Ładny szczeniak, przypomina swojego ojca, tyle że miał czarne jak węgiel włosy matki.

- Jestem - jak co wieczór rozległo się w holu powitanie Nicka, który kładł na stoliku słomkowy kapeluszek spodziewał się, że usłyszy znajome głosy. Tego dnia jednak nikt się nie odezwał, tylko z kuchni wyszła służka w czarnej sukience i białym koronkowym fartuszkem. Nick posłał jej miły uśmiech.

- Dobry wieczór, Joan.

- Dobry wieczór, sir. Pani jest na gorze.

- A mój syn?

- Chyba w swoim pokoju.

- Dziękuję - skinął głową i ruszył drugim korytarzem. Przed rokiem mieszkanie zostało całkowicie przebudowane, nowy wystrój utrzymano w kolorach białym, kremowym i beżowym. Całość prezentowała się zarazem elegancko i kosztownie, pochłonięła zresztą fortunę, w czym niemały udział mieli zwłaszcza dekoratorzy i architekci wewnątrz, których Hillary wyrzucała jednego po drugim. Osiągnięty rezultat zadowolony jednak zarówno Nicka, jak też - wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi - jego żona. Nie było to mieszkanie utrzymane w stylu, który mógł się kojarzyć ze stałą obecnością młodego chłopca, a już doprawdy trudno by sobie wyobrazić tu owego chłopca przejeżdżającego brudnymi palcami po ścianach lub kocyku piątkę. Przynajmniej jednak w kwestii pokoi dziecięcych Nick postawił na swoim: wewnątrz utrzymano w czerwieniach i beżach, a meble wykonano z wygodnej starej dębiny. Obrazki były wprowadzone jak na gust Nicka nieco przesłodzone, ale przynajmniej miało się pewność, że w tych pomieszczeniach John może się oddawać niczym nie zmęczony bez trosk zabawie. W składowych apartamentach dziecięcych wchodziła sypialnia dla piastunki, duży pokój dla chłopca, mały salonik z biurkiem, które kiedyś należało do Nicka, i ogromna sala wypełniona zabawkami, gdzie John mógł podejmować przyjaciół.

Nick zapukał delikatnie do drzwi pokoju syna, które rozwarły się gwałtownie, i oto miał przed sobą uśmiechniętą twarz jedynaka. Porwał go w ramiona, wywołując tym samym - jak każdego wieczoru - kaskadę chichotów.

- Zgnieciesz mnie, tatusiu - wykrzyknął John, najwyraźniej jednak nie wierząc w taką możliwość.

- W porządku, już cię puszczam. Jak się miewa mój ukochany chłopczyk? - Postawił go z powrotem na nogi.

- Świetnie. Bombowy jest ten nowy kij do baseballa!

- To znakomicie. Wytukacie już jakieś okna?

- Oczywiście, że nie. - John sprawia wrażenie urażonego, kiedy ojciec mierzwił jego atramentowo-czarne włosy.

W chłopcu cechy obojga rodziców położyły się w interesujący mieszankę: po ojcu odziedziczył zielone oczy, po matce różowe cerę - i kruczoczarne włosy. Rodzice różnili się między sobą tak bardzo, jak tylko może się różnić dwoje ludzi - Hillary była drobna, delikatna brunetka, Nick natomiast

ros³ym, potê³nie zbudowanym blondynem. Ich syn, jak zgodnie utrzymywali wszyscy, zdo³a³ po³czyæ w sobie najlepsze cechy obojga.

- Bêdê móg³ zabraæ kij na statek? - poprosi³ John.

- Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomys³. Mo³æ jeæli obiecasz, ³e bêdzie ca³y czas le³a³ w walizce.

- Ale³ muszê go zabraæ, tatusiu. Przecie³ we Francji nie maj¹ kijów do baseballa.

- No, raczej nie maj¹ - zgodzi³ siê Nick.

Wyje³d³ali na rok, mo³æ tylko na szeææ miesiêcy - to siê mia³o dopiero okazaæ. Nicka wi¹za³o w tym roku z Europ¹ tak wiele kontraktów, ³e postanowi³ osobiæcie poprowadziæ paryskie przedstawicielstwo swojej firmy, w Nowym Jorku pozostawiaj¹c u steru zastêpcê. Oczywiêcie zabiera³ Hillary i Johna; nawet przez myæel mu nie przesz³o, ³e móg³by ich zostawiaæ. Hillary pocz¹tkowo ³ka³a i nieustannie u³ala³a siê na swój los, ale przez ostatni miesi¹c jakby siê ju³ z nim pogodzi³a, John zaæ uzna³, ³e czeka go niez³a zabawa. Mia³ byæ umieszczony w amerykańskiej szkole nie opodal Champs-Elysees, a Nick wynaj¹³ elegancki dom przy Avenue Foch. Dom ten nale³a³ do francuskiego hrabiego i jego ³ony, którzy rok wczêœniej przenieæli siê do Szwajcarii na skutek paniki, jaka po traktacie monachijskim ogarnê³a wielu ludzi. Teraz ³yli sobie beztrósko w Lozannie, nie spiesz¹c siê do powrotu. Ich mieszkanie sprawia³o wra³enie idealnego lokum dla Nicka, Hillary i ch³opca.

- Chcesz zjeææ ze mn¹ kolacjê, tatusiu? - spyta³ John, któremu niania da³a w³acenie znak, ³e czas siadaæ do sto³u. Ch³opczyk z nadziej¹ patrzy³ na ojca:

- Chyba pójdê na górê zobaczyæ siê z mam¹.

- No dobra.

- Zejdê, kiedy ju³ zjesz, i pogadamy chwilê, dobrze?

- Dobrze. - John znowu siê uæmiechn¹³ i wyszed³ z niani¹.

Nick sta³ przez chwilê bez ruchu, patrz¹c'na swoje stare biurko. Dosta³ je od ojca, kiedy mia³ dwanaæcie lat i w³acenie przygotowywano go do wyjazdu do szko³y z internatem. Swojemu synowi przekaza³ biurko wczêœniej, poza tym jeæli wszystko pójdzie po jego myæeli, John nigdy nie trafi do szko³y z internatem. Nick nienawidzi³ tych lat spêdzonych z dala od domu, kiedy czu³ siê z niego wygnany. John nigdy nie zazna podobnej udrêki, mówi³ sobie. W dodatku zbyt szala³ na punkcie ch³opca, aby pozbawiaæ siê jego towarzystwa.

Zamkn¹³ za sob¹ drzwi, przeszed³ d³ugi be³owy korytarz, min¹³ fortepian w centralnym foyer i wspi¹³ siê schodami na górê, do swoich apartamentów.

Kiedy zbli³a³ siê do podestu, zza uchylonych drzwi us³ysza³ krzyki Hillary skierowane najwyra³niej do s³u¹cej, która w³acenie wybieg³a z jej garderoby z narêczem futer.

- Nie te, do cholery! Na rany boskie! - Nick widzia³ j¹ z ty³u: læni¹ce czarne w³osy sp³ywaj¹ce jak jedwab na ramiona okryte bia³ym at³asowym szlafrokiem, ale z samego u³o³enia jej cia³a wnioskowa³, ³e jest wœciek³a.

- Idiotka! Mówi³am ci, ³e sobole, norki i srebrne lisy...

- Odwróci³a siê i ujrza³a Nicka, a kiedy jej ciemne oczy spotka³y siê z jego zielonymi, na chwilê wszystko ucich³o.

Nick wiele razy jej powtarza³, ³eby nie krzycza³a na s³u¹bê, lecz przez ca³e ³ycie wymyæla³a pokojówkom, z najwy³szym wiêc trudem przys³oby jej zmieniaæ nawyki. Ta dopiero dwudziestooæmiioletnia kobieta o starannie ufryzowanych w³osach, perfekcyjnym makija³u, polakierowanych na czerwono paznokciach wygl¹da³a w ka³dym calu na kobietê œwiatow¹. Nawet jej szlafrok

by³ ostatnim krzykiem mody.

- Czeœæ, Nick - przywita³a ch³odno mêt³a. Jej oczy równie¿ by³y ch³odne, kiedy Hillary podesz³a do stoj¹cego w miejscu Nicka i nadstawi³a policzek do poca³unku. Potem na powrót skierowa³a uwagê na s³u¹c¹. - B¹d³ tak dobra i podaj mi w³œciwé futra - powiedzia³a i choæ tym razem nie podnios³a g³osu, jej s³owa ciê³y jak nôt³.

- Strasznie dajesz w koœæ tej dziewczynie - zauwa¿y³ tonem ³agodnej przygany jak setki razy wczœniej, bez najmniejszego jednak efektu.

Nick by³ zawsze mi³y dla wszystkich. Dla wszystkich oprócz niej oczywiœcie. Wzi¹³ z jej ¿ycia to, czego pragn¹³, i zrujnowa³ je ca³kowicie. Nick Burnham zawsze postêpowa³ w³œciwie, ale nie z ni¹. Ju¿ nie z ni¹, powtarza³a sobie ci¹gle. Tote¿ zadba³a, ¿eby w ci¹gu dziewêciu minionych lat drogo za to zap³aci³. Gdyby nie Nick, wci¹¿ mieszka³aby w Bostonie, mo¿e nawet wysz³aby za tego hiszpañskiego hrabiego, który tak za ni¹ szala³... Hrabina... Brzmienie tego s³owa wprawia³o j¹ w zachwyty... Hrabina...

- Wygl¹dasz na zmêczon¹, Hil. - Czule pog³adzi³ jej w³osy, spojrze³ w oczy, ale i teraz nie znalaz³ w nich ciep³a.

- Bo jestem zmêczona. Czy s¹dzisz, ¿e wszystko w tym domu spakowa³o siê samo? - Pomog³y w tym s³u¹c¹ce, chocia³ powiedzieæ, lecz ugryz³ siê w jêzyk. Wiedzia³, ¿e jest œwiêcie przekonana, i¿ wszystkiego dokona³a sama. - Chryste, musia³am spakowaæ wszystkie twoje rzeczy, wszystkie rzeczy Johna, obrusy, poœciel, koce, talerze... - W miarê jak mówi³a, jej g³os stawa³ siê coraz bardziej piskliwy. Odesz³a od mêt³a i usiad³a na szezlongu w stylu Ludwika XV.

- Móg³bym spakowaæ siê sam, dobrze o tym wiesz, i mówi³em ci, ¿e dom w Pary¿u wyposa¿ony jest we wszystko, co mo¿e nam byæ potrzebne. Nie musisz braæ w³asnych obrusów i zastawy.

- Nie gadaj g³upstw. Bóg raczy wiedzieæ, kto sypia³ w tych ³ó¿kach.

Przez chwilê, zaledwie przez moment kusi³o Nicka, ¿eby powiedzieæ, i¿ ci ludzie na pewno nie byli gorsi od mêt³czyzn, którzy sypiali w jej ³ó¿ku. Nic jednak nie rzek³, patrzy³ tylko, jak zdenerwowana s³u¹c¹a wraca z nadziej¹, ¿e tym razem niesie w³œciwé futra: dwa sobole, jedne norki i kurtkê ze srebrnych lisów, któr¹ - zapakowan¹ w wielkie eleganckie pud³o - Hillary dosta³a na Gwiazdkê Bóg wie od kogo. Jedno by³o pewne - nie od Nicka. Od Nicka by³y sobole, norki i szynszyle, które zostawia³a w domu, lisy natomiast stanowi³y tajemnicê - tajemnicê w mniejszym lub wiêkszym stopniu, poniewa¿ Nick mia³ podstawy s¹dziaæ, i¿ ofiarodawc¹ by³ ten sukinsyn Ryan Hallaway.

- Na co siê gapisz? - warknê³a Hillary, gdy oczy Nicka mimowolnie powêdrowa³y ku lisom. K³ócili siê na ten temat ju¿ kilka razy i nie mia³ zamiaru ponownie podejmowaæ tej kwestii. - Nie zaczynaj znowu. Wiesz przecie¿, ¿e wcale nie muszê jechaæ do Pary¿a.

O Chryste! pomyœla³. Tylko nie to. Dzieñ by³ taki d³ugi i taki upalny! Nie chcia³by dzie k³óciaæ siê z ¿on¹.

- Czy naprawdê musimy za ka¿dym razem powtarzaæ ten cyrk, Hil?

- Pewnie, ¿e nie musimy. Bo moglibyœmy tu zostaæ. Przecie¿ wiesz...

- Nie, nie mo¿emy. Chcê przez najbli¿szy rok osobiœcie prowadziæ paryskie przedstawicielstwo firmy. Mam tam wa¿ne kontrakty i doskonale zdajesz sobie z tego sprawê. Dlatego jedziemy. Poza tym jakoœ nigdy nie przysz³o mi do g³owy, ¿e perspektywa ¿ycia w Pary¿u mo¿e siê wydawaæ nieprzyjemna - rzek³ Nick wiedz¹c, ¿e Hillary tak w³œenie uwa¿a. Z jakiegoœ powodu z dzikim

uporem obstawa³a przy pozostaniu w Nowym Jorku. - Daj już spokój, Hil, zawsze ci się tam podoba³o.

- Owszem, ale przez kilka tygodni. Dlaczego, do jasnej cholery, nie mógł³być latać tam i z powrotem?

- Ponieważ skończy³oby się na tym, że w ogóle nie widywa³bym ciebie ani Johna. Na mi³o³ca bosk¹... - Wsta³ gwa³townie, a s³u¹ca wymkn³a się z pokoju. Zna³a regu³y, którymi rz¹dzi³y się ich k³ótnie. W końcu Nick się wścieknie i zacznie krzyczeć, co niemal zawsze dawa³o ten efekt, że Hillary czymś weń rzuca³a. - Czy nie moglibyśmy odpuścić już sobie tego tematu? Czy nie mog³abyć po prostu pogodzić się z myśl¹, że jedziemy? Chryste Panie, statek odp³ywa za dwa dni.

- No to niech sobie odp³ywa albo jed³ sam - oświadczy³a siadaj¹c na s³óku. Lekko g³adzi³a srebrnego lisa. Jej g³os by³ zimny jak lód. - Nie b³êd³e ci tam potrzebna.

- Czy to wypada? A może to sposób pozbycie się mnie na rok, żeby móc kursować do Bostonu i sk³adać wizyty temu ma³emu skurwielowi?...

Nick wiedzia³, że Hillary zdradza go na prawo i lewo. Wiedzia³, lecz z uporem walczy³ o utrzymanie ma³żeństwa - dla dobra Johna, dla w³asnego dobra. Jego rodzice byli rozwiedzeni, w dzieciństwie czu³ się z tego powodu bardzo samotny i nieszczęśliwy. Przysi¹g³ sobie w duchu, że swojemu synowi nigdy nie wyrz¹dzi takiej krzywdy. Pragn¹³ jedynie, żeby to ma³żeństwo trwa³o, i zamierza³ o to zadbać bez względu na wszystko, bez względu na to, co robi³a Hillary. Lecz gniewne s³owa wymyka³y mu się z ust częściej, niżby tego pragn¹³.

- Czy nigdy się nie ba³ac, że zajdziesz w ci¹ę, Hil? - spyta³ naraz. Obydwoje wiedzieli, iż ma na myśli ci¹ę z kimś innym.

- Najwyraźniej nigdy nie s³ysza³ę o aborcji... Jeżeli oczywiście prawd¹ jest to, o co mnie oskarżasz. Ale oczywiście bior¹c, dzieci nie s¹ moj¹ specjalności¹. A może już nie pamiętasz, Nick? - odparowa³a. Jak zwykle zadawali sobie ciosy poniżej pasa. Tak by³o od lat.

- Ależ tak, pamiętam. - Twarz mu st³ęa³a, d³onie zacisn¹³ w pięści, lecz jego g³os brzmia³ osobliwie s³agodnie. Nigdy nie wybaczy³a mu tego, co sta³o się dziewięć lat temu. By³a najpiękniejsz¹ pann¹ debiutuj¹c¹ owego sezonu w Bostonie. Dobrze pamięta³ jej kruczoczarne w³osy, uroczko kontrastuj¹ce z jasnymi szycownymi sukniami, które rodzice przysy³ali jej z Paryż¹a. Budzi³a po¹z¹danie w wielu m³ęczyznach. Kiedy przysz³a na świat, jej ojciec by³ już dobrze po pięćdziesiątce, matka zać mia³a trzydzieści dziewięć lat. Oboje dawno stracili nadzieję na dziecko, toteż Hillary by³a psuta od samego początku - uwielbiana przez ojca, rozpieszczana przez matkę, dziadków i piastunkę. Dostawa³a wszystko, czego zapragn³a, i zamierza³a w taki w³acenie sposób żyć zawsze.

Pewnego wieczoru w sezonie swojego debiutu ujrza³a Nicka. By³ wysoki, jasnow³osy, dobrze zbudowany, u boku mia³ jedn¹ z naj³adniejszych panien w Bostonie. Kiedy wszed³, przez salę przebieg³ szept: "Nick Burnham... Nick Burnham... Fortuna w przemyśle stalowym... Jedyne dziedzic..." W wieku dwudziestu dziewięciu lat by³ jednym z najbogatszych m³odzińców na Wall Street, w dodatku diablo przystojnym - i kawalerem.

Hillary niemal ulecia³a z ramion m³ęczyzny, z którym w³acenie tańczy³a, i pospieszy³a na spotkanie Nicka. Zostali sobie przedstawieni przez jednego z przyjaciół jej ojca i Hillary uczyni³a co w jej mocy, aby go rzucić na kolana. Uda³o jej się dopi¹æ swego zdumiewaj¹co tanim kosztem. Nick zacz¹³ u niej bywać, najpierw w Bostonie, następnego lata zać w Newport. I tam

w³aczenie dosz³o miêdzy nimi do zbliżenia. Hillary pragnê³a, aby po¿¹da³ jej bardziej ni¿ jakiegokolwiek innej kobiety w ¿yciu, na koniec odda³a mu swoje dziewictwo, poniewa¿ s¹dzi³a, ¿e go kocha, i poniewa¿ pragnê³a zaw³adn¹æ nim bezgranicznie.

Nie bra³a natomiast pod uwagê ewentualnoœci, ¿e mo¿e zajœæ w ci¹¿ê, co nast¹pi³o ju¿ za pierwszym razem. Pocz¹tkowo Nick by³ wstrz¹œniêty, Hillary wpad³a wrêcz w historiê. Nie chcia³a mieæ dziecka, nie chcia³a przytyæ, nie chcia³a niañczyæ... By³a tak dziecinna, kiedy szlocha³a w jego ramionach, ¿e odpowiedzia³ œmiechem. Napomknê³a coœ o aborcji, ale nawet nie chcia³ o tym s³yszeæ. By³a czaruj¹c¹ niedojrza³¹ kobietk¹, jemu zaœ myœl o dziecku, kiedy ju¿ siê z ni¹ oswoi³, zaczê³a siê ogromnie podobaæ. Nie wspominaj¹c s³owem o dziecku, poprosi³ ojca Hillary o jej rêkê, j¹ zaœ poinformowa³, ¿e bior¹ œlub, który odby³ siê jeszcze przed koñcem lata. Na wspania³ym weselu wyprawionym w Newport Hillary wygl¹da³a jak królowna w bia³ej koronkowej œlubnej sukni swojej matki. Tyle ¿e pod szczêeliwym na pozór uœmiechem kry³a siê rezygnacja. Pragnê³a Nicka, ale nie dziecka. chocia¿ Nick ho³ubi³ j¹ i rozpieszcza³, nienawidzi³a ka¿dej chwili w pierwszym okresie ma³¿eñstwa, poniewa¿ zdawa³a sobie sprawê, ¿e o¿eni³ siê z ni¹ z powodu dziecka, ona zaœ nie ¿yczy³a sobie ¿adnej konkurencji.

Im bli¿szy by³ czas rozwi¹zania, tym bardziej Nick troszczy³ siê o ¿onê. Kupowa³ jej kosztowne prezenty, pomaga³ urz¹dzaæ pokój dziecinny, obiecywa³, ¿e bêdzie przy niej ca³y czas, trzymaj¹c j¹ za rêkê. Mimo jego starañ w ósmym miesi¹cu ci¹¿y Hillary pogr¹¿y³a siê w g³êbokiej depresji, która zdaniem lekarza nie pozosta³a bez wp³ywu na d³ugi i ciê¿ki poród. Zarówno ona, jak i dziecko omal nie przyp³acili ¿yciem tej mêczarni, a Hillary nigdy nie wybaczy³a Nickowi udrêki, przez któr¹ musia³a przejœæ. Depresja utrzymywa³a siê jeszcze szeœæ miesi¹cy po porodzie i bardzo d³ugo Nick s¹dzi³, ¿e oprócz niego nikt Johna nie obdarzy rodzicielsk¹ mi³oœci¹. W koñcu Hillary zaczê³a dochodziæ do siebie.

Nastêpnej zimy pojecha³a na Bo¿e Narodzenie do Bostonu. Pojecha³a bez dziecka i ochoczo rzuci³a siê w wir przyjêæ i spotkañ z przyjació³kami. Decyzjê o powrocie do domu odwleka³a w nieskoñczonoœæ, a¿ Nick zrozumia³ w koñcu, ¿e Hillary pozostaje w Bostonie tylko po to, aby braæ udzia³ we wszystkich mo¿liwych imprezach towarzyskich. Pragnê³a przekonaæ siebie i innych, ¿e wcale nie jest mê¿atk¹, ¿e znów jest debiutantk¹ i wspaniale siê bawi.

Po miesi¹cu Nick pojecha³ po ni¹ i stanowczo za¿¹da³, aby wróci³a do domu. Dosz³o do potê¿nej k³ótni. Hillary niemal na kolanach b³aga³a ojca, ¿eby pozwoli³ jej zostaæ. Nie chcia³a byæ mê¿atk¹, nie chcia³a mieszkaæ w Nowym Jorku, nie chcia³a zajmowaæ siê dzieckiem. Ojciec by³ wstrz¹œniêty i zarazem nieub³agany. Wybra³a sobie Nicka, który by³ dla niej dobrym mê¿em, mia³a zatem obowi¹zek wróciæ i podj¹æ próbê naprawienia tego ma³¿eñstwa, by³a te¿ odpowiedzialna za dziecko.

Ostatecznie Hillary wróci³a do Nowego Jorku, lecz w stanie ducha w³œciwym skazañcowi oczekuj¹cemu na egzekucjê. Czu³a siê zdradzona przez wszystkich, Nicka zaœ wrêcz znieawidzi³a, poniewa¿ reprezentowa³ to wszystko w jej ¿yciu, czego najmniej sobie ¿yczy³a. Jej ojciec rozmawia³ z Nickiem przed ich wyjazdem, wini³ bowiem siebie za postêpowanie córki. Choæ by³ œwiadom, ¿e rozpieszczano j¹ w dzieciñstwie, nigdy nie przypuszcza³, i¿ mog³aby liczyæ, ¿e tak bêdzie wygl¹da³o jej ca³e ¿ycie - ¿e bêdzie unikaæ odpowiedzialnoœci na wszystkich frontach, krzywdz¹c mê¿a i dziecko. Nick jednak zapewnia³ go, ¿e z czasem Hillary przywyknie do nowej roli, trzeba

tylko okazywaæ jej bezgraniczn¹ cierpliwoœæ. Wówczas g³êboko w to wierzy³.

Zgodnie ze z³o¿on¹ teœciowi obietnic¹ okazywa³ jej maksimum cierpliwoœci. Niestety, na darmo. Hillary wci¹¿ nie interesowa³a siê dzieckiem, nastêpnego lata zaæ pojecha³a do Newport, tym razem - dla unikniêcia dalszych komentarzy - bior¹c ze sob¹ Johnny'ego i piastunkê. Spêdzi³a tam ca³e lato, a kiedy Nick pojecha³ j¹ odwiedziæ, zrozumia³ natychmiast, ¿e jego ¿ona, która obchodzi³a w³acenie dwudzieste pierwsze urodziny, ma kochanka. Wda³a siê w namiêtny romans z bratem jednej ze swoich przyjaci³ek - skoñczy³ w³acenie Yale i sypianie z Hillary Burnham uwa¿a³ za coœ szalenie pikantnego. Opowiada³ o tym po³owie miasta, dopóki Nick nie z³o¿y³ mu wizyty, po której ch³opak wróci³ do Bostonu jak niepyszny, w uszach maj¹c jeszcze potok zniewag, jakimi obrzuci³ go Nick. Prawdziwy wszak¿e problem w tym wszystkim by³ z Hillary.

Nick znowu j¹ zabra³ do Nowego Jorku i usi³owa³ trzymaæ w ryzach, ona jednak przez kilka nastêpnych lat niczym jo-jo miota³a siê miêdzy Newport, Bostonem a Nowym Jorkiem, romansuj¹c przy ka¿dej okazji, zawsze z niezmienn¹ nadziejà, ¿e nie zostanie przy³apana. Tak by³o równie¿ ostatnio.

Zwi³za³a siê z Ryanem Hallowayem, kiedy Nick by³ w Pary¿u. Romans nic w³aciciwie dla niej nie znaczy³ i Nick zdawa³ sobie z tego sprawê; by³ to po prostu sposób, w jaki raz za razem mówi³a mê¿owi, ¿e w gruncie rzeczy nie jest zamê¿na, nigdy nie bêdzie, ¿e nie stanie siê jego w³asnoœci¹, ¿e jest na zawsze wolna - wolna od niego, od syna, od ojca, który umar³ trzy lata po ich œlubie. Matka ju¿ dawno porzuci³a wszelk¹ nadziejà, ¿e zdo³a jakoœ przemówiæ córce do rozs¹dku, wkrótce potem rezygnacja ogarnê³a te¿ Nicka. No có¿, Hillary by³a, jaka by³a: uderzaj¹co piêkna kobieta o b³yskotliwym umyœle, który beztrosko trwoni³a, i ogromnym poczuciu humoru - wci¹¿ jeszcze by³a w stanie go rozbawiæ przy tych nielicznych okazjach, kiedy ze sob¹ rozmawiali. Przewa¿nie jednak k³ócili siê ze sob¹ albo Nick zwyczajnie j¹ ignorowa³. Raz czy dwa przesz³a mu przez g³owê myœl o rozwodzie, wiedzia³, ¿e z jego przeprowadzeniem nie by³oby ¿adnego problemu, gdyby jednak to uczyni³, Hillary otrzyma³aby prawo do opieki nad Johnem. S¹dy niemal zawsze sprzyja³y matce, o ile nie by³a prostytutk¹ albo narkomank¹, aby zatem zatrzymaæ syna przy sobie, Nick musia³ ¿yæ z Hillary pod jednym dachem bez wzglêdu na wszystko i tak d³ugo, jak bêdzie móg³ to znosiæ. A bywa³y chwile, kiedy mu siê wydawa³o, ¿e d³u¿ej tego nie wytrzyma.

Mia³ nik³¹ nadziejà, i¿ wyprawa do Pary¿a rozerwie j¹ w jakieœ sposób i przynajmniej przez pewien czas Hillary bêdzie siê przyzwocie zachowywaæ, chocia¿ w³aciciwie nic na to nie wskazywa³o. Wiedzia³, ¿e romans z Ryanem zakoñczy³ siê tu¿ po Bo¿ym Narodzeniu, podejrzewa³ jednak, i¿ Hillary ma na oku kogoœ nowego. Zawsze by³a szczególnie rozdra¿niona, kiedy w jej ¿yciu pojawia³ siê kolejny mê¿czyzna; przypomina³a wtedy konia wyœcigowego grzebi¹cego kopytami w boksie. Nie móg³ oczywiêcie nic uczyniæ, aby j¹ powstrzymaæ. Dopóki utrzymywa³a swoje romanse we wzglêdnej tajemnicy, by³ zdecydowany mieszkæ z ni¹, tym bardziej ¿e w ostatnich latach nieco zmieni³ siê jej stosunek do syna. Nick robi³ wszystko, aby John mia³ kochaj¹ce dobre piastunki, kocha³ go i czêsto mu to okazywa³ - ch³opiec mia³ zatem wiêcej ni¿ on w jego wieku. Nigdy by siê nie zgodzi³ rozstaæ z synem i ¿yæ bez ukochanego dziecka. Johnny stanowi³ sens jego istnienia, a jeœli oznacza³o to pogodzenie siê z niewiernoœci¹ i humorami Hillary, by³ gotów zap³aciæ tê cenê.

Patrzy³ teraz, jak ¿ona siada przy toalecie i przeci¹ga grzebieniem po jedwabistych w³osach, przygl¹daj¹c mu siê w lustrze. Naraz, jak gdyby

pragn¹c w dwójnasób go zirytowaæ, poci¹gnê³a ze szklanki ³yk szkockiej z wod¹ sodow¹. Wtedy Nick uœwiadomi³ sobie, Ÿe pod szlafrokiem Hillary ma czarn¹ jedwabn¹ sukienkê.

- Wybierasz siê dok¹dæ, Hil? - Jego g³os by³ beznamiêtny, a oczy przypomina³y jasnozielone kamienie.

Zawaha³a siê, jej nozdrza zadrga³y niczym chrapy konia pe³nej krwi. Niemal widzia³, jak Hillary przebiera nogami, nie mog¹c siê doczekaæ startu w kolejnym wyœcigu.

- Owszem. Boyntonowie wydaj¹ dzisiaj przyjêcie.

- Zabawne - ucemiechn¹³ siê ironicznie, zna³ j¹ bowiem a¹ za dobrze. - Nie widzia³em zaproszenia.

- Zapomnia³am ci je pokazaæ.

- Drobiazg. - Ruszy³ w kierunku drzwi, Hillary zaçe odwróci³a siê w krzœcie i zapyta³a cicho:

- Chcesz iœæ, Nick?

Obejrza³ siê na ni¹. Prawdopodobnie Boyntonowie rzeczywiœcie wydawali przyjêcie, on jednak rzadko bywa³ na imprezach tego rodzaju. Kiedy ju¹ decydowa³ siê iœæ, zawsze stwierdza³ w którymœ momencie, Ÿe jego Ÿona, skryta w zacisznym k¹cie, flirtuje z nowym albo ze starym przyjacielem.

- Nie, dziêkujê. Przynios³em do domu trochê pracy.

- Nie mów tylko, Ÿe ci nie proponowa³am - przestrzeg³a i odwróci³a siê do niego plecami.

- Nie powiem. - Stoj¹c w drzwiach, patrzy³, jak pije drinka.

- Przekaz¹ im pozdrowienia ode mnie i spróbuj wróciæ do domu o przyzwoitej porze. - Skinê³a g³ow¹. - I jeszcze jedno, Hil... - zawaha³ siê.

- Tak?

Postanowi³ mówiæ bez ogródek.

- Postaraj siê nie wyje¹d¹æ z Nowego Jorku w kolejnym ataku rui. I cokolwiek zamierzasz robiæ, moja droga, pamiêtaj, Ÿe odp³ywamy za dwa dni. A ty, bez wzglêdu na wszystko, p³yniesz ze mn¹.

- Co to znaczy? - Wsta³a i spojrza³a mu w oczy.

- To znaczy, Ÿe nawet gdybyœ mia³a tu zostawiæ czyjeœ krwawi¹ce serce, jedziesz do Francji. Jesteœ moj¹ Ÿon¹ i niewa¹ne, jak bardzo pragniesz o tym fakcie zapomnieæ.

- Nigdy o tym nie zapominam. - W jej g³osie brzmia³a gorz. Nienawidzi³a tego ma³Ÿeñstwa, w szczególnoœci dlatego... Ÿe Nick by³ dla niej taki dobry. Budzi³o to w niej poczucie winy, a nie Ÿyczy³a sobie tego rodzaju uczua. Pragnê³a po prostu byæ wolna.

- Baw siê dobrze - rzek³ na koniec Nick, delikatnie zamkn¹³ za sob¹ drzwi i zszed³ do syna.

Kiedy tylko opuœci³ pokój, Hillary zrzuci³a z ramion szlafrok, ods³aniaj¹c krótk¹ czarn¹ jedwabn¹ sukienkê na w¹ziutkich rami¹czkach, któr¹ kupi³a u Bergdorfa Goodmana. Przypie³a diamentowe kolczyki i przejrza³a siê w lustrze. Wiedzia³a, Ÿe na przyjêciu spotka Philipa Markhama. Dopijaj¹c szkock¹, zastanawia³a siê, jaki¹ to cud sprawia, Ÿe Nick zawsze wie. Do niczego jeszcze pomiêdzy ni¹ a Philem nie dosz³o, ale Phil w sierpniu wyje¹d¹æ do Pary¹æ, któ¹ wiêc mo¹e wiedziaæ, co siê wówczas wydarzy... Któ¹ to mo¹e wiedziaæ...

Rozdzia³ czwarty

Ogromny, wspaniale skonstruowany statek cumowa³ przy nabrze¹u numer osiem

na rzece Hudson, prezentuj¹c w pe³ni swój królewski majestat. Przystan¹wszy na moment ko³o limuzyny, Armand podniós³ wzrok na trzy potêżne kominy rysuj¹ce się na tle nieba. Statek o wyporności osiemdziesięciu tysięcy ton by³ najszybszym i najbardziej nowoczesnym liniowcem na wszystkich morzach ęwiata. Jego widok zapiera³ dech w piersiach i kaŹdy, kto skierowa³ wzrok na tę genialn¹ konstrukcję, zamiera³ w milczeniu pe³nym szacunku i podziwu. Jeszcze piękniej statek wygl¹da³ id¹c pe³n¹ par¹, ale nawet tutaj, trwaj¹c w bezruchu, wywiera³ zgo³a nieziemskie wrażenie.

- Tato, tato, chcę popatrzeæ - zawo³a³a Elisabeth, która pierwsza wystrzeli³a z Citroena i uchwyciwszy rękę ojca swój ma³¹ 3apk¹, stanę³a na chwilę u jego boku. - Czy to jest w³aczenie to?

- Nie - Armand uęmiechn¹³ się do m³odszej córki. - To nie to, to ona. La belle "Normandie", mon tresor. Nigdy w Źyciu nie zobaczysz podobnego statku, maleńka. Cokolwiek ludzie zbuduj¹ w przysz³oęci, nigdy juŹ nie pojawi się inna "Normandie".

Podobne s³owa wypowiada³o wiele osób. Od siedmiu lat, to jest od chwili wodowania, "Normandie" niezmiennie by³a tym statkiem, którym podróŹowali wielcy tego ęwiata - uprzywilejowani, bogaci, zepsuci, elegancy, wielbiciele piękna i morza. Spoęród wszystkich tych osób Źadna nie wyrazi³aby innej opinii. "Normandie" by³a niezwyk³ym dzie³em myęli ludzkiej, ca³kowicie unikatowym, najpiękniejszym, najelegantszym i najszybszym. P³ywaj¹c¹ wyp¹ luksusu, perfekcyjn¹ pod kaŹdym moŹliwym do wyobraŹenia względem.

Armand odwróci³ się do Źony, która w³aczenie stanę³a obok niego. Przez chwilę ca³y jego ęwiat sprowadza³ się do "Normandie" - do dzie³a, które przynosi³o zaszczyt Francji, będ¹c dowodem jej wielkoęci. JakŹe imponuj¹cym osi¹gnięciem by³ ten statek! Jak¹Ź dumę odczuwa³o się na wyobraŹenie owej przepe³nionej mi³oęci¹ pracy, któr¹ w niego w³oŹono - od dzioba po rufę, od stęпки po top masztu. Armanda ogarnę³o ogromne wzruszenie. "Normandie" by³a najprawdziwsz¹ pięknoęci¹.

Liane w pe³ni podziela³a odczucia męŹa i kiedy odwróci³ się do niej, pos³a³a mu pe³en zrozumienia uęmiech.

- Znów wygl¹dasz jak dumny tatuę - zaŹartowa³a.

Skin¹³ g³ow¹, nie stropiony t¹ uwag¹. - Francja ma na swoim koncie epokowe dzie³o.

W tym momencie do siostry do³¹czy³a Marie-Ange i obie dziewczynki zaczę³y podskakiwaæ radoęnie dooko³a rodziców. - Czy moŹemy wejæ juŹ na pok³ad, tatusiu? MoŹemy? MoŹemy?

Liane wzię³a je za ręce, Armand zaę zaj¹³ się udzielaniem wskazówek bagaŹowemu i szoferowi. Pięæ minut póŹniej przeszli pod olbrzymim ³ukiem z napisem Compagnie Generale Transatlantique i wsiedli do windy, która zawioz³a ich na wyŹsz¹ częæ nabrzeŹa. Tysi¹c dziewięciuset siedemdziesięciu dwóch pasaŹerów wchodzi³o na pok³ad statku trzema wejęciami, dyskretnie oddzielonymi od siebie i oznaczonym napisami Premiere classe, Touriste i Cabine. Pierwsze przejęcie, dla pasaŹerów pierwszej klasy, mia³y przekroczyæ osiemset szeęædziesi¹t cztery osoby.

Kiedy Armand, Liane i dziewczynki stanęli na pok³adzie "Normandie", by³o juŹ popo³udnie. Wyjechali z Waszyngtonu o pi¹tej rano poci¹giem, a przed pó³godzin¹ dotarli do Nowego Jorku. Z dworca zabra³a ich limuzyna tutejszego konsulatu i zawioz³a wprost na nabrzeŹe numer osiemdziesi¹t osiem przy Pięædziesi¹tej Zachodniej Ulicy.

- Bonjour, monsieur, madame. - Umundurowany oficer uęmiechn¹³ się na

widok dwóch nienagannie ubranych dziewczynek w identycznych jasnoniebieskich organdyńowych sukienkach, bia³ych rêkawiczkach, s³omkowych kapelusikach i læni¹cych czarnych lakierkach. - Mesdemoiselles, bienvenues a bord. - Potem z sympati¹ spojrz³ na Armanda. Bardzo lubi³ swoj¹ pracê. Wœród wszystkich tych pasa¿erów, których dot¹d wita³ na pok³adzie, spotka³ Tomasza Manna, Stokowskiego, Giraudoux, Saint-Exupery'ego, gwiazdy filmowe, takie jak Douglas Fairbanks, g³owy pañstw, wielkich œwiata literatury, kardyna³ów i grzeszników, a tak¿e koronowane g³owy niemal wszystkich europejskich pañstw. Ekscytuj¹ce by³o ju¿ samo oczekiwanie, a¿ podadz¹ swoje nazwiska, o ile oczywiœcie nie rozpoznawa³ ich od pierwszego rzutu oka, co zdarza³o mu siê w wiêkszoœci wypadków.

- Monsieur?

- Pañstwo de Villiers - odpar³ Armand.

- Ambassadeur? - zapyta³ m³ody cz³owiek i Armand w milczeniu skin¹³ g³ow¹. - Ah, bien sur. - Ponownie zerkn¹wszy na listê pasa¿erów,

stwierdzi³, ¿e de Villiersowie zajm¹ jeden z najbardziej luksusowych apartamentów na statku. Nie móg³ wiedzieæ, i¿ jest to gest ze strony "Transatu", jak nazywano CGT, i to, ¿e ambasador z rodzin¹ zajmie apartament Trouville grand luxe, wywar³o na nim potê¿ne wra¿enie. -

Natychmiast wska¿emy pañstwu kabiny. - Gestem przywo³a³ stewarda, który zmaterializowa³ siê u jego boku i przeje³ od Liane jej podrêczn¹ torbê.

Reszta kufrów zosta³a wys³ana kilka dni wczesniej, to zaœ, co mieli ze sob¹ w poci¹gu, pojawi³o siê w poczekalni zaledwie parê chwil po nich. Obs³uga na "Normandie" by³a najwy¿szej jakoœci.

Apartament Trouville by³ jednym z dwóch umiejscowionych na pok³adzie spacerowym i dysponowa³ w³asn¹ promenad¹ z widokiem na piêknie zaaran¿owan¹ przestrzeñ otwartej kawiarni. Ławki i lampy, schody i balustrady tworzy³y kompozycjê pe³n¹ wdziêku. Apartament sk³ada³ siê z czterech du¿ych eleganckich sypialni - dla Armanda i Liane, po jednej dla ka¿dej dziewczynki i dla niañki. By³y te¿ do dyspozycji pomieszczenia dla ewentualnej dodatkowej s³u¿by; jeden z tych pokojów przeznaczono dla Jacques'a Perriera, który odbywa³ z nimi tê podró¿, aby Armand móg³ kontynuowaæ pracê. Reszta jednak ma³ych kajut mia³a pozostaæ zamkniêta.

Jedynymi oprócz nich mieszkañcami tego ekskluzywnego pok³adu by³a rodzina zajmuj¹ca apartament Deauville, identyczny z Trouville, jeœli chodzi o rozmiar i szyk, poza tym jednak w ¿aden sposób nie przypominaj¹cy apartamentu de Villiersów. Ka¿da kabina pierwszej klasy na statku zosta³a urz¹dzona w odmiennym stylu, niczego nie powielano. Ka¿dy pokój do najdrobniejszego szczegó³u by³ absolutnie unikatowy. Armand i Liane chwilê wodzili wzrokiem po swoim apartamencie, wreszcie ich oczy siê spotka³y i Liane wybuchnê³a œmiechem. To wszystko by³o tak groteskowo luksusowe, tak eleganckie, tak piêkne, ¿e czu³a siê równie podekscytowana jak ich córeczki.

- Alors, ma chérie? - Stoj¹c obok obiecanego fortepianu dla dzieci, uœmiechn¹³ siê do niej, kiedy steward opuœci³ ich w foyer. - Qu'en penses-tu? Co o tym myœlisz?

Có¿ mog³aby myœleæ? By³o to najcudowniejsze miejsce do spêdzenia piêciu dni, piêciu tygodni... piêciu miesiêcy... piêciu lat... Mia³a ochotê pozostaæ na pok³adzie "Normandie" na zawsze i w oczach mê¿a dostrzeg³a to samo pragnienie.

- To niewiarygodne. - Zmierzaj¹c do swoich kabin, dos³ownie wszêdzie widzieli przepyszne ozdoby w stylu art deco, bogate boazerie, piêkne rzeŸby

i imponuj¹ce lustrzane szyby. To by³o coe³ wiêcej ani²eli p³ywaj¹cy hotel - raczej p³ywaj¹ce miasto cudów, gdzie nic nie wy³amywa³o siê ze stylu i wszystko stanowi³o rozkosz dla oka. Liane usiad³a na szezlongu obitym ciemnozielon¹ tkanin¹ i zachichota³a.

- Czy jesteœe pewien, ²e nie œniê? Obudzisz mnie, a ja stwierdzê, ²e jesteœemy z powrotem w Waszyngtonie.

- Nie, najdro²sza. - Usiad³ obok ²ony. - To wszystko prawda.

- Ale ten apartament, Armandzie! Przechodzi mnie dreszcz na myœl o tym, ile musia³ kosztowaæ.

- Mówi³em ci, ²e bez dop³aty zaproponowano nam go zamiast tych kabin pierwszej klasy, które zarezerwowa³em. - Uœmiechn¹³ siê do ²ony z wyrazem twarzy cz³owieka bardzo dumnego z siebie.

Sprawianie Liane przyjemnoœci by³o mi³e jego sercu, a teraz wrêcz rzuca³o siê w oczy, i² jest równie jak on oczarowana. Podczas wielu podró²y u boku ojca zakosztowa³a wszelkich luksusów, to wszak²e by³o coe³ wiêcej, coe³ ca³kowicie zdumiewaj¹cego i wyj¹tkowego. Pobyt na pok³adzie "Normandie", choœby przez jedn¹ chwilê, dawa³ poczucie uczestniczenia w historii. Łatwo by³o uwierzyæ, ²e nigdy nie pojawi siê statek taki jak ten i ²e ludzie bêd¹ go wspominaæ przez wiele, wiele lat.

- Napijesz siê czegoœ, Liane? - Otworzy³ dwuskrzyd³owe drewniane drzwiczki, które kry³y olbrzymi, znakomicie zaopatrzony barek.

- Dobry Bo²e, w tym alkoholu móg³by p³ywaæ statek!... - Zanim skończy³a zdanie, Armand otworzy³ butelkê szampana Dom Perignon, nape³ni³ kieliszki, jeden poda³ Liane, a potem, patrz¹c na swoj¹ piêkn¹ ²onê, wznioœ³ toast: - Za dwie najpiêkniejsze damy tego œwiata. Za "Normandie"... i za moj¹ ²onê.

Liane wygl¹da³a na uszczêœliwion¹. Upi³a ³yk szampana, potem podesz³a do Armanda. Mia³a wra²enie, jakby znów byli w podró²y poœlubnej, i musia³a sobie przypomnieæ, ²e w s¹iednim pokoju znajduj¹ siê przecie² ich córki.

- Rozejrzemy siê trochê? - zapyta³ Armand.

- Myœlisz, ²e dziewczynki mog¹ zostaæ same?

- Tutaj? - Popatrzy³ na ni¹ z rozbawieniem. - Na pewno dadz¹ sobie radê.

Ju² w tej chwili piastunka pomaga³a im wypakowywaæ z kufrów lalki i zabawki.

- Dok³adnie wiem, co chcê obejrzeæ.

- Co mianowicie?

Patrz¹c, jak przeci¹ga grzebieniem po swoich blond w³osach, poczu³ uk³ucie ²dzy. By³ w ostatnich tygodniach tak zajêty, ²e niemal nie widywa³ Liane, która ²ywi³a jednak nadziejê, i² na statku znaj¹ czas na przechadzki po pok³adach i pogawêdki, tak jak czynili wielokrotnie w ci¹gu minionych dziesiêciu lat. Armand czu³ siê samotny, kiedy nie mia³ czasu na rozmowy z ²on¹. Obieca³ sobie, ²e w trakcie tej podró²y poœwiêci pracy z Perrierem czas od dziewi¹tej rano do po³udnia, reszta dnia natomiast bêdzie wolna.

Dla Perriera podró² oczywiœcie by³a wyj¹tkowym prze²yciem.

Dwudziestokilkuletni m³odzieniec w zwyk³ych okolicznoœciach p³yn¹³by do Francji gorszym statkiem i w kabinie drugiej klasy, lecz tym razem, w nagrodê za piêæ lat pe³nej poœwiêcenia pracy, Armand wystara³ siê dla¹ o specjaln¹ zni²kê, dziêki czemu Perrier móg³ razem z nimi odbyæ podró² przez Atlantyk na pok³adzie "Normandie".

Liane by³a z tego rada, aczkolwiek spodziewa³a siê, ²e Jacques sam zorganizuje sobie jakieœ zajêcia. Podobnie jak Armand spragniona by³a chwil spêdzanych tylko we dwoje. Wiedzia³a równie², ²e dziewczynki czeka mnóstwo

atrakcji: do ich dyspozycji by³ basen, pokoje zabaw, psiarnie, gdzie b^êd¹ mog³by odwiedza^æ odbywaj¹ce podró[¿] zwierz^êta, teatr lalkowy i kino.

Kiedy wychodzili z apartamentu, Liane zapyta³a Armanda, czy jego zdaniem Jacques jest ju[¿] na pok³adzie.

- Odnajdzie nas, kiedy odbijemy, jestem tego pewien. - Perrier sp^êdzi³ przed odjazdem dwa dni sam w Nowym Jorku, spotka³ si^ê z przyjació³mi i bez w¹tpienia urz¹dzi³ u siebie niedu[¿]e przyj^êcie.

- A zatem co tak bardzo pragn^êaby^æ zobaczy^æ, Liane?

- Wszystko. - Jej oczy l^oni³y jak oczy ma³ej dziewczynki.

- Ch^ê zobaczy^æ bar ze ^oecianami wy³o[¿]onymi lakierowan¹ ^oewi^ñsk¹ skó¹r¹.

Ogród zimowy... Salon g³ówny. - U^oemiechn^êsi^ê do m^ê¿a. - Chcia³abym

zobaczy^æ nawet palarni^ê dla panów. W folderze wygl¹da wprost

niewiarygodnie. - Starannie przygotowa³a si^ê do lekcji, czym Armand by³ szczerze ubawiony.

- Nie s¹dz^ê, [¿]eby^æ zdo³a³a wej^æ do palarni dla panów, kochanie.

Znów ogarn¹³ ³akomym wzrokiem jej sylwetk^ê w czerwonej jedwabnej sukience. Trudno by³o uwierzy^æ, [¿]e s¹ ma³ [¿]eñstwem od dziesięciu lat, skoro Liane nie wygl¹da³a na wi^êczej ni[¿] dziewiętna^oecie. Z jego punktu widzenia - osoby o dwadzieścia cztery lata starszej - zawsze przypomina³a dziecko.

Tworzyli niezwykle przystojn¹ par^ê, kiedy sz³a z nim pod rami^ê w stron^ê

promenady dziobowej, sk¹d mieli nadziej^ê zobaczy^æ Nowy Jork sk¹pany w

skwarze s³onecznego czerwcowego dnia. Na statku lekka bryza sprawia³a, [¿]e

upa³u prawie si^ê nie czu³o. Kilka chwil pó^Źniej korytarzem dotarli na

pok³ad spacerowy, gdzie dokonali szybkich ogl^êdzin salonu pierwszej klasy i zerkn^êli na teatr. Na widok basenu Liane zauwa[¿]y³a:

- Ma p³yt¹ cz^êo^æ, dziewczynki b^êd¹ bezpieczne.

- Te dwie ma³e rybki - Armand u^oemiechn¹³ si^ê do [¿]ony - b^êd¹ bezpieczne w ka[¿]dym basenie.

- Ja jednak b^êd^ê si^ê czu³a lepiej, wiedz¹c, [¿]e nie jest tu g³êboko.

My^olisz, [¿]e jest ju[¿] otwarty? - Musia³a wszystko wiedzie^æ, i to od razu.

- Podejrzewam, [¿]e pozostanie zamkni^êty, dopóki statek nie wyjdzie z portu.

"Normandie" s³yn^êsi^ê ze swoich nies³ychanie wyrafinowanych przyj^êæ po[¿]egnalnych i niew¹tpliwie my^oel o odwiedzeniu basenu z butelk¹ szampana mog³aby niejednemu przyj^æ do g³owy, a wtedy obs³uga nigdy by nie zdo³a³a odes³a^æ wszystkich go^oeci na brzeg. I tak zadanie to nie nale[¿]a³o do ³atwych. Po ca³ym statku kr^êcili si^ê odwiedzaj¹cy, którzy zagl¹dali na ka[¿]dy pok³ad i zerkali ciekawie do eleganckich salonów i apartamentów.

De Villiersowie min¹wszy teatr, zaszli do biblioteki - wytwornej sali o

nobliwym wygl¹dzie - a zaraz potem Liane odkry³a ogród zimowy, o którym

czyta³a w folderze. Na jego widok a[¿] otwar³a usta ze zdziwienia: w

pomieszczeniu tym bujnie krzewi³a si^ê tropikalna zieleń, marmurowe fontanny

delikatnie rosi³y wod^ê, wysokie klatki pe³ne by³y rzadkich gatunków ptaków.

Liane uzna³a, [¿]e jest to najbardziej egzotyczne miejsce, jakie kiedykolwiek

widzia³a, odwróci³a si^ê zatem do m^ê¿a z wyrazem radosnego niedowierzania na

twarzy. Wydawa³o si^ê jej, [¿]e oeni.

- Jest jeszcze wspanialszy ni[¿] na fotografiach w folderze - powiedzia³a z zachwytem.

To samo zreszt¹ mo[¿]na by powiedzie^æ o ca³ym statku. Na pierwszy rzut oka

widaa^æ by³o, [¿]e s¹ tu skarby i cuda, których wspania³o^oeci nie by³aby w

stanie oddaa^æ [¿]adna fotografia, a z najwy[¿]szym trudem da³oby si^ê je opisa^æ.

Przypomina³o to ogromn¹ ba^oeniow¹ krain^ê, wype³nion¹ interesuj¹cymi lud^Źmi

b³dz¹cymi po krajobrazie bardziej spektakularnym niż Wersal czy Fontainebleau. Armand i Liane zgodnie przyznali, iż nie widzieli nigdy niczego, co mog³oby stan¹æ z tym statkiem w zawody. Kiedy cofali się ku rufie, na pok³ad plażowy, gdzie mieli spędzi¹æ najbliższy tydzień, zewsz¹d s³yszeli inne g³osy, powtarzaj¹ce szeptem ich w³asne myśli:
"Nadzwyczajne... extraordinaire... un miracle... incroyable... niewiarygodne..... zachwycaj¹ce... królowa w kaźdym calu..." Nieustannie porównywano "Normandie" do innych statków, aczkolwiek trudno tu mówić o porównaniu. By³a jedyna w swoim rodzaju. "Normandie". Unikatowe dzie³o sztuki.

Klejnot floty francuskiej.

- Moż¹e sprawdzimy, czy Jacques już dotar³? - zaproponowa³ Armand, gdy zbliżali się do swojego apartamentu.

Liane poczu³a lekkie uk³ucie w sercu. Nie chcia³a jeszcze widzi¹æ Jacques'a, nie chcia³a go tutaj widzi¹æ wcale, pragn¹æ Armanda tylko dla siebie, pragn¹æ dzieli¹æ tę podróż tylko z nim. By³o jej niemal przykro, że towarzyszy¹ im dziewcz¹ta. Jakż¹e cudownie by³oby spędzi¹æ pi¹æ dni tylko we dwoje!

- Jak sobie życzysz, Armandzie - odpar³a pos³usznie, wiedz¹c, jak bardzo Armandowi potrzebny jest Jacques. By³oby znacznie przyjemniej, gdyby w czasie tej podróży nie musieli wcale pracowa¹, ale takie w³acenie by³o życie Armanda. Odpowiedzialno¹æ ponad wszystko.

Zatrzymali się i zapukali do drzwi, a kiedy nie us³yszeli odpowiedzi, Liane odetchn¹æ z ulg¹. Podeszed³ do nich natomiast steward.

- Czy szuka pan monsieur Perriera, panie ambasadorze? - zapyta³.

- Tak.

- Jest z przyjaciółmi w kawiarni. Czy wskaza¹æ państwu drogę?

- Nie, dziękujemy. Trafimy sami - odpar³ Armand z uśmiechem. - Będzie na to wiele czasu, kiedy wyp³yniemy. - Wystarcza³a mu pewno¹æ, że jego sekretarz jest już na pok³adzie. Nie mia³ podstaw, by przypuszcza¹, że mog³oby być inaczej, ale wola³ się upewnia¹.

W zwi¹zku z przeniesieniem do Francji musia³ jeszcze sporz¹dzi¹æ kilka ważnych memorandów. - Dziękuj¹.

- Ależ drobiazg. Bêd¹æ państwa stewardem w czasie podróży. Nazywam się Jean-Yves Herrick. - Ze sposobu, w jaki m¹czyzna wymówi³ swoje nazwisko, Armand odgad³, iż pochodzi z Bretanii.

- W apartamencie znajd¹æ państwo list od kapitana Thoreau.

- Jeszcze raz dziękuj¹.

Weszli do swojego salonu, gdzie obok kosza z kwiatami, stoj¹cego na fortepianie, i dwóch koszy owoców od waszyngtońskich przyjaciół rzeczywiście znaleźli krótki list, w którym kapitan zaprasza³ ich na mostek, sk¹d mogliby obserwowa¹ wyp³ywanie statku z portu. By³ to rzadki przywilej, który sprawi³ Liane niema³1 satysfakcję.

- Jak myślisz, możemy wzi¹æ aparat fotograficzny?

- Nie widzę powodu, dla którego mia³oby to być niemożliwe. Chcesz przed wyjściem zajrze¹æ do dziewcz¹ty?

Zamiast dziewczynek znaleźli jednak tylko kartkę od ich opiekunki, z której dowiedzieli się, że Marie-Ange i Elisabeth chcia³y zobaczy¹æ psiarnię i kort tenisowy na górnym pok³adzie. Liane pokiwa³a gł³ow¹, rozumiej¹c doskonale ich zapa³ i niecierpliwos¹æ, po czym pod¹ł³y³a za Armandem.

Mostek, jak się przekonali, znajdowa³ się dok³adnie nad ogrodem zimowym, który tak bezgranicznie zachwyca³ Liane. Przed sterówk¹, powstrzymuj¹c

ciekawskich od wtargnięcia do wnętrza, pe³ni³o wartę dwóch oficerów, którym Armand wręczy³ liścik od kapitana Thoreau. Zostali wprowadzeni do ośrodka i przedstawieni dowódcy statku. By³ szczup³ym siwow³osym mę³czyzn¹, którego g³ęboko osadzone b³ękitne oczy okala³a siateczka zmarszczek. Uroczyście powita³ Armanda i Liane na pok³adzie, oni zaś wyrazili swój podziw dla "Normandie".

- Jesteśmy z niej bardzo dumni - odpar³ rozpromieniony. "Normandie" zdoby³a w³acenie po raz kolejny B³ękitn¹ Wstę³gę, a by³ to zaledwie jeden z wielu dowodów oświadcz¹ych o jej oświetności. Wszak w równej mierze s³ynę³a ze swej urody.

- Jest piękniejsza niż mogliemy sobie wyobrazić. Niezwyk³y statek.

Armand rozejrza³ się po mostku, na którym panowa³ idealny porz¹dek. Wnętrze przypomina³o mechanizm szwajcarskiego zegarka: wszystko by³o nieskazitelne, wyciszone, w doskona³ym ³adzie. Na wielkim stole roz³o³ono mapy, z okien rozpościera³ się doskona³y widok. Po ośrodku sterówki znajdowa³o się coś w rodzaju podwyższenia, z którego kapitan i pierwszy oficer kierowali manewrami. "Normandie" od lat cieszy³a się s³aw¹ statku najbardziej stabilnego. Pocz¹tkowo wspomniano o jakichś nieprzyjemnych wibracjach, ale i ten problem zosta³ już wyeliminowany. Pod ka³dym względem "Normandie" przekroczy³a najciemniejsze oczekiwania swoich budowniczych.

Z zacisznego k¹ta, w którym nie mogli nikomu przeszkodzić, Liane i Armand obserwowali, jak w asyście holowników statek odbija od nabrze³a, obraca się powoli w kierunku wschodnim i w końcu kieruje dziób w stronę Francji. Na koniec port nowojorski znikn¹³ w oddali i znale³li się na otwartym morzu. Armand by³ pe³en podziwu dla zwrotności statku i p³ynności dzie³ań za³ogi kapitana Thoreau.

- Mam nadzieję, że bę¹d¹ państwo mieli przyjemn¹ podró³.

- Thoreau ponownie ucemiechn¹³ się do Liane. - By³oby dla mnie wielkim zaszczytem, gdyby przyje¹li państwo moje zaproszenie na dzisiejsz¹ kolację. Gościmy na statku kilka niezmiernie interesuj¹ych osób. Jak zwykle zreszt¹. - Zbyt szczeni³ się swoim statkiem, żeby nie okazać tej odrobiny pychy, w pe³ni zreszt¹ uzasadnionej.

Armand przyj¹³ zaproszenie z przyjemności¹, a zarazem zaciekawieniem - kto jeszcze jest na pok³adzie i kogo spotkaj¹ przy kapitańskim stole? Mia³ nadzieję, że Liane trochę się rozerwie, zawrze nowe przyja³nie, znajdzie kogoś, kto bę¹dzie mógł j¹ zabawić, kiedy on zajmie się prac¹ z Perrierem. Podziękowawszy raz jeszcze kapitanowi, wrócili do apartamentu.

Dochodzi³a już piętnasta; Armand zasugerowa³, żeby zamówili jakieś kanapki i herbatę. Kiedy Liane wyci¹gnę³a się na wielkim, wygodnym ³o³u obitym b³ękitnym aksamitem, Armand odczyta³ jej menu, ona zaś ucemiechnę³a się szeroko.

- Jeżeli bę¹dę tyle jada³a, nie zdo³asz mnie stoczyć na francuski brzeg.

- Możesz sobie pozwolić na dorzucenie funta albo dwóch - pociesz³ j¹ Armand. Mia³a tendencję do nadmiernej szczup³ości, lecz - tak¹ w³acenie j¹ lubi³: wysok¹, smuk³¹, eleganck¹. By³o w niej coś dziewczęcego, coś, co przywodzi³o mu na myśl m³od¹ klacz. Teraz zdję³a sukienkę, ukazuj¹c cia³o obleczone w at³as i koronki. Powoli od³o³y³ menu, wsta³ i ruszy³ w jej stronę, ca³kowicie zmieniaj¹c plany, gdy nagle rozleg³ się dzwonek. Armand zawaha³ się, Liane zaś westchnę³a.

- Zaraz wracam - rzek³ Armand.

Zanim zza drzwi dobieg³ g³os Jacques'a Perriera, Liane wiedzia³a, że niespodziewanym gościem może być tylko on, zawsze skrupulatny i

obowi'zkowy. Zna³a go dobrze - uczciwa twarz, okulary w rogowej oprawie, nieskazitelne ciemne garnitury i zawsze po brzegi wype³niona teczka. Dzięki idealnemu sekretarzowi miesi¹c miodowy de Villiersów dobieg³ końca, zanim zdo³a³ się na dobre rozpocz¹æ. Liane s³ysza³a teraz, jak konferuj¹ w przedpokoju, a po chwili w drzwiach sypialni pojawi³ się jej m¹ż.

- Poszed³ już sobie? - Liane usiad³a na ³ó¹ku. Wci¹ż by³a w bieliŹnie i pończochach.

- Nie... Przepraszam, Liane... Tuż przed wyjazdem nadesz³y depesze... Musz¹e... To b¹dzie naprawd¹e jedna chwilka... - zaj¹kn¹³ się, usi³uj¹c wyczyta¹e co¹e z jej oczu, lecz Liane uo¹miechn¹e³a się tylko.

- W porz¹dku, rozumiem. B¹dziecie pracowa¹e tutaj?

- Nie, pójdziemy do Jacques'a. Zamów co¹e do jedzenia, wracam za pó³ godziny. - Podszed³, poca³owa³ j¹ w usta i znikn¹³ z dusz¹ wype³nion¹ powinno¹œciami wobec Francji.

Liane ponownie zajrza³a do menu, ale nie mia³a ochoty na jedzenie, pragn¹e³a Armanda, wi¹ecej jego czasu, którego zawsze niewiele jej po¹œwi¹eca³. Leż¹c na ³ó¹ku, rozluŹni³a się ws³uchana w cichy szept statku, który uko³ysa³ j¹ do snu. Ćni³a o Armandzie i o plaży gdzie¹e na po³udniu Francji. Próbowa³a dotrze¹e do m¹ża, lecz drog¹e zamyka³ jej srogi i nieust¹pliwy wartownik. Mia³ twarz Jacques'a Perriera.

Spa³a przez dwie godziny, w tym czasie za¹e Marie-Ange i Elisabeth wyci¹gn¹e³y guwernantk¹e nad basen.

W apartamencie Deauville Hillary Burnham z rozpacz¹ spogl¹da³a na wy³ożony drewnem barek. By³y tu galony szampana, nie mog³a natomiast znaleŹ¹æ ani jednej butelki szkockiej.

- Do diab³a z tym barkiem! Ci parszywi Francuzi potrafi¹ myœle¹e tylko o swoim pieprzonym wi¹Źsku. - Odwróci³a się i wbi³a w m¹ża w¹œciek³e spojrzenie. Jej czarne oczy l¹eni³y jak onyks, jedwabiste czarne w³osy sp³ywa³y na przepi¹ekn¹ sukienk¹e z bia³ej krepy.

Wszed³szy do apartamentu, rzuci³a kapelusz na krzes³o, nie zwracaj¹c najmniejszej uwagi na wystrój wn¹trza, i zaraz polec³a s³uż¹cej, aby zacz¹e³a rozpakowywa¹e kufry i przygotowa³a jej na wieczór czarn¹ at³asow¹ sukni¹e z amarantow¹ gór¹.

- Czy nie chcia³aby¹e się troch¹e rozejrze¹e, Hill, zanim wypijesz drinka?

Nick patrzy³, jak jego żona odchodzi od barku, kr¹e¹c¹c g³ow¹ i przypominaj¹c mu, podobnie jak przed laty, uparte i rozpaczliwie nieszczę¹liwe dziecko. Nigdy nie potrafi³ zrozumie¹e, dlaczego jest w³acenie taka. Można by³o mówi¹e sobie, że zosta³a zepsuta już w dzieci¹Źstwie, że ma³ ż¹e¹Źstwo drażni j¹ bardziej ni¹ż jak¹kolwiek inn¹ kobiet¹e, że jest rozczarowana życiem, nie sposób by³o jednak dociec przyczyny tego stanu rzeczy. Za ostrym j¹zykiem i grubia¹Źskimi s³owami wci¹ż kry³a się pi¹ekna dziewczyna, na której widok mi¹ek³y m¹skie nogi. Nick ze smutkiem uo¹wiadomi³ sobie, że jemu się nigdy nie uda³o doprowadzi¹e żony do podobnego stanu. Przed wyjazdem raz czy drugi wmawia³ sobie, że w czasie tej podróży b¹dzie mia³ do czynienia z inn¹ Hillary, że oddalona od przyjació³ i wiru szalonego życia znów stanie się dziewczyn¹, któr¹ kiedy¹e pozna³. By³a to jednak g³upia myœl, z czego teraz doskonale zdawa³ sobie spraw¹e. Ostatniej nocy w swojej garderobie odby³a kilka rozmów telefonicznych, a o jedenastej wieczorem wysz³a na par¹e godzin. Nie pyta³ dok¹d. Nie mia³o to już w tej chwili wi¹kszego znaczenia. Wyjeżdżali na rok i by³ pewien, że Hillary zostawi za sob¹ wszystko, co ³1czy się z Nowym Jorkiem.

Masz ochotę na odrobinę szampana? - spyta³ g³osem uprzejmym, choć nie tak ciep³ym jak chwilę wczeceniej.

- Nie, dzięki. Chyba zajrzę do baru. - Popatrzysz na plan statku stwierdzi³a, że jeden z barów znajduje się dok³adnie pod ich apartamentem. Pospiesznie przeci¹gnę³a szmink¹ po wargach i skierowa³a się ku drzwiom.

Johnny sta³ z piastunk¹ na ich prywatnym tarasie i z podnieceniem obserwowa³ oddalaj¹c¹ się linię budynków Nowego Jorku. Nick zawaha³ się, ale szybko podj¹³ decyzję i pod¹ł³y³ za łon¹. To by³ dobry moment i dobre miejsce, żeby coś zmieniać w rutynie codzienności, poza tym chcia³ mieć Hillary na oku. Cokolwiek robi³a w Nowym Jorku, nie chcia³, aby kontynuowa³a to w ci¹gu nadchodzącego roku. Środowisko amerykańskie w Paryżu nie by³o zbyt duże i nie życzy³ sobie tam żadnego skandalu wywołanego przez łonę. A gdyby mia³o j¹ nosić tak samo jak przez dziewięć minionych lat, on będzie po prostu ci¹gnąć się za ni¹ krok w krok.

- Dok¹d idziesz? - spyta³a spogl¹daj¹c nań przez ramię z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Pomyśla³em, że pójdę z tob¹ do baru - odpar³ Nick całkowicie beznamiętnie. Ich spojrzenia spotka³y się i zwar³y na chwilę. - Czy masz coś przeciwko temu?

- Ależ sk¹d.

Rozmawiali ze sobą jak zupełnie obcy ludzie.

Chwilę później Nick w ślad za łon¹ zszed³ do holu. Hillary pod¹ł³y³a do restauracji na pok³adzie głównym, gdzie bufet dzia³a³ cał³¹ dobę. By³a to olbrzymia przestronna sala, z której okien rozciąga³ się widok na promenadę pierwszej klasy. Kiedy statek wychodzi³ w morze, zgromadzi³o się tam wielu pasażerów. Teraz parami i w ma³ych grupkach nap³ywali do baru peroruj¹c z ożywieniem, rozgor¹czkowi, podnieceni podróż¹. Tylko Burnhamowie zdawali się trwać w absolutnym milczeniu, takie przynajmniej wrażenie odniós³ Nick, kiedy obserwowa³ ludzi siedzących przy sąsiednich stolikach.

Czu³ się z tym obopólnym milczeniem niezręcznie, ale ucwiadomi³ sobie, że w gruncie rzeczy są już sobie zupełnie obcy, że w³ażciwie przestali się znać. Wiedzia³ o Hillary jedynie to, iż nieustannie chodzi na przyjęcia, kupuje nowe stroje i kiedy tylko może, ucieka do Newport lub do Bostonu. To, że siedzieli tu razem, by³o naprawdę dość niecodzienne, a kiedy zamówi³a szkock¹ z wod¹ sodow¹, przyszed³o mu nagle do głowy, iż Hillary czuje się w jego towarzystwie jak osaczona. Nie potrafi³ sobie nawet wyobrazić, o czym mogliby rozmawiać. Cóż bowiem można powiedzieć kobiecie, która unika męża przez prawie dziewięć lat? "Cóż, co s³ychać ... " "Cóż, mam na imię...?"

Uśmiechn¹³ się do swoich absurdalnych myśli, a kiedy podniós³ wzrok, spostrzeg³, że Hillary wpatruje się weń z mieszanim¹ zaciekawienia i podejrzliwości.

- Co cię tak rozbawi³o, Nick?

Mia³ zamiar powiedzieć coś uspokajającego i wymijającego, ale po chwili zdecydowa³ inaczej.

- My. Usi³owa³em sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mieliśmy okazję siedzieć przy stole tylko we dwoje, nie spiesząc się donik¹d, nie mając zamiaru nigdzie pójść. I to jest zabawne, ot co... Zastanawiam się, co mógł³byś mi powiedzieć.

Bardzo ³atwo by³o wprowadzić j¹ we wciek³ość, a na to naprawdę nie mia³ najmniejszej ochoty. Żywi³ niejaki nadzieję, że zdo³aj¹ znowu się zaprzyjaźnią. Może ten rok w Paryżu wyjdzie im na dobre? Może bez tego

bostońskiego towarzystwa, do którego mog³aby umkn¹æ, Hillary podejmie jakiego wysi³ek? Uciemiechn¹³ siê znowu na tê myœl i przykry³ rêk¹ jej piêkn¹ wysmuk³¹ d³oœñ, czuj¹c pod palcami dziesiêciokaratowy diament, który jej sprezentowa³. Na pocz¹tku kupowa³ Hillary mnóstwo bi¿uterii, ale z rzadka przyjmowa³a klejnoty z tak¹ przyjemnoœci¹, z jak¹ on je dawa³, tak ¿e w ostatnich latach podarunki sta³y siê rzadkoœci¹. Nick wiedzia³ jednak, ¿e jego ¿ona dostaje prezenty od innych, na przyk³ad kurtkê z lisów, wielk¹ szmaragdow¹ broszkê, któr¹ czêsto nosi³a, jak gdyby zamierza³a rzuciæ mu j¹ w twarz... niczym wyzwanie... Pierœcieñ z rubinem...

Z wysi³kiem oderwa³ uwagê od tych myœli. Nikomu nie wyjd¹ teraz na dobre. Spojrza³ w ogromne czarne oczy ¿ony i uciemiechn¹³ siê do niej.

- Witaj, Hillary. Mi³o ciê tu widzieæ.

- Naprawdê? - Gniew zdawa³ siê odp³ywaæ, wyparty przez jakiego nieokreœlony smutek. - Nie wiem, dlaczego mia³oby ci byæ mi³o, Nick. Nienadzwyczajna ze mnie ¿ona. - W jej g³osie nie brzmia³ ton przeprasza³cy; po prostu lekki akcent goryczy.

- W ci¹gu ostatnich lat stalicemy siê sobie zupe³nie obcy, Hil, ale przecie¿ tak nie musi byæ zawsze.

- Zawsze tak by³o, Nick. Jestem teraz doros³a, a wczesniej mnie prawie nie zna³eœ, ja te¿, prawdê mówi¹c, nie potrafiê sobie przypomnieæ, jaki ty w³aœciwie by³eœ. Mam odleg³e wspomnienia przyjêæ, na których bywalicemy dawno temu, mgliœcie pamieætam, jaki by³eœ przystojny, podnieca³cy... Teraz patrzê na ciebie, a ty wci¹¿ wygl¹dasz tak samo... - jej oczy rozb³ys³y i Hillary odwróci³a wzrok - ale nie jesteœ taki sam.

- Czy a¿ tak bardzo siê zmieni³em? - Nick te¿ sprawia³ wra¿enie zasmuconego. Powinni sobie byli powiedzieæ to ju¿ dawno temu, lecz nigdy tego nie uczynili. I oto nagle tu, w barze na statku, który w³aœnie wyp³yn¹³ z portu, zaczęli otwieraæ przed sob¹ serca. - Czy tak bardzo siê różniê od tego Nicka, którego pozna³eœ, Hil?

Skinê³a g³ow¹ z oczyma pe³nymi łez i znowu podnios³a na niego wzrok.

- Tak, bo jesteœ moim mê¿em.

Wyrzuci³a to z siebie jak przekleñstwo albo obelgê, równoczenie Nick dostrzeg³ znajomy niepokój w ruchu jej ramion i drgnieniu cia³a, jakby chcia³a zerwaæ siê do ucieczki.

- Czy to naprawdê a¿ tak Ÿle?

- Myœlê... - Niemal zakrztusi³a siê tymi s³owami, ale postanowi³a wyrzuciæ z siebie wszystko. Nie zaszkodzi, je¿eli Nick siê dowie, co ona czuje. Niby czemu nie? - Myœlê, ¿e dla mnie tak. Nie jestem stworzona do ma³¿eñstwa, Nick - rzek³a niemal skruszona, jak na spowiedzi. Zniknê³a gdzieœ gorycz, Hillary znów wygl¹da³a jak piêkna panna debiutuj¹ca w towarzystwie. Panna, któr¹ Nick "zgwa³ci³", jak to uje³a pewnego razu, "zap³odni³", "porwa³ z domu" i "zmusi³ do ma³¿eñstwa". Ju¿ dawno temu napisa³ ten scenariusz, nauczy³a siê go na pamieæ i œwieêcie wierzy³a w ka¿de jego s³owo. Podejmowanie z ni¹ dyskusji nie mia³o sensu, jak te¿ nie mia³o sensu przypominanie jej, ¿e pragnê³a pójøæ z nim do s³odka, ¿e jej ci¹¿a by³a nie tylko jego win¹, ¿e to on czyni³ wszystko, aby ich zwi¹zek siê nie rozpad³, ona zaœ nie chcia³a nawet podj¹æ takiej próby. - Czujê siê... czujê siê tak zaszczuta w tym ma³¿eñstwie, jakbym by³a ptakiem, który nie jest zdolny wzbiaæ siê w powietrze i mo¿e tylko trzepotaæ skrzyd³ami, podskakiwaæ na ziemi, wyciemiewany przez swoich przyjaci³. Przez to... - zawaha³a siê - przez to wydajê siê sobie szpetna... mam takie wra¿enie, jakbym by³a kimœ zupe³nie innym ni¿ niegdyœ.

- Jesteś piękniejsza niż niegdyś - powiedzia³ Nick patrząc jej w oczy, delektując się kremową cerą, jedwabistymi włosami, delikatnym zarysem ramion. W Hillary Burnham nie było nic szpetnego, wyjąwszy może chwilę, kiedy Źle się prowadzi³a, ale nie o tym teraz mówi³. - Wyros³aś na niezwykle piękną kobietę, w czym zresztą nic zaskakującego, skoro by³aś niezwykle piękną dziewczyną.

- Ale nie jestem już dziewczyną, Nick. Nie jestem nawet kobietą... - urwała, jak gdyby szukając słów. - Nie masz pojęcia, co czuje kobieta, kiedy jest zamężna. To tak, jak gdybyś stawiała się czyjąś własnością, czyjąś rzeczą, jakby nikt nie mógł zobaczyć w tobie siebie samego.

Taka myśl nigdy dotąd Nickowi nie przyszła do głowy, a i teraz wydawała mu się odrobinę irracjonalna. Czy walenie o to kłóciła się z nim przez te wszystkie lata? Czy dlatego nawiązywała kolejne romanse? Czy toczyła walkę o to, aby stać się osobą w pełni autonomiczną, być kimś mającym własne istnienie? Była to dla niego myśl całkiem nowa.

- Nie myśl o tobie w kategoriach własności. Myśl o tobie jako o swojej żonie.

- A cóż to znaczy? - Po raz pierwszy od pół godziny w jej głosie znów pojawił się gniew i Hillary gestem poprosiła przechodzącego kelnera o następny szklak. - "Moja żona." To brzmi jak moje krzesło, mój stół, mój samochód. Moja żona. I co z tego? Kim przy tobie jestem? Jestem pani Nicholasów Burnham. Rany boskie, nie mam nawet własnego imienia. Matka Johnny'ego... To jak status czyjegoś psa. Chce być sobą, chce być Hillary.

- Tylko Hillary? - rzekł patrząc na nią ze smutnym uśmiechem.

- Tylko Hillary. - Odpowiedziała mu przeciwnym spojrzeniem i upiła łyk szklakiej.

- Czy tym walenie jesteś dla swoich przyjaciół, Hil?

- Dla niektórych. A przynajmniej dla ludzi, których głównie obchodzi, kim ty jesteś. Rzygać mi się chce od tego słuchania o Nicku Burnhamie. Nick Burnham to, Nick Burnham tamto... O! Musi pani być pani Nicholasów Burnham... on! Nicka Burnhama... Nick Burnham... Nick Burnham... Nick Burnham!!! - podniosła głos.

Nick usiłował uciszyć ją gestem. - Nie każ mi milczeć, do jasnej cholery! Nie masz pojęcia, jak to jest. - Jakże przyjemnie było stawiać mu wreszcie czołko! To było coś zupełnie nowego w ich biegnącym oddzielnymi torami życiu. Może on wreszcie zrozumie, co się kryje za jej drapieżną niezależnością. Zabawne jednak, że to wszystko, czego teraz tak nienawidziła, kiedy przyciągnęło ją do niego jak magnes; podobało się jej, że jest Nicholasów Burnham, z całą powagą traktowała cięć, jakby ze sobą to niosło. - I powiem ci coś jeszcze. W Bostonie wszyscy dokładnie chrzani to, kim jesteś, Nick. - Nie było to do końca prawdą i oboje doskonale zdawali sobie z tego sprawę, ale kiedy wyrzuciła to z siebie, poczuła się dużo lepiej. - Mam tam własnych przyjaciół, jeszcze z czasów, zanim cię poślubiłam.

Nick dotąd nie ucwiadamia³ sobie, iż ta kwestia jest dla niej tak rozpaczliwie ważna. Zastanowił się nagle, czy coś mogłoby jej brzemie uczynić lżejszym. I walenie kiedy ta myśl przeszła mu przez głowę, zbliżył się do nich steward.

- Pan Burnham?

- Tak? - Natychmiast pomyślał, że Johnowi coś się stało.

- Mam dla pana wiadomości od kapitana.

Nick zerknął na Hillary, dostrzegł jej roziskrzone spojrzenie i nagle

poj¹³ coœ, co nigdy dot¹d nie przysz³o mu do g³owy, a czego w ci¹gu minionej godziny mu nie powiedzia³a. By³a o niego zazdrosna.

- Dziêkujê.

Wzi¹³ kopertê ze z³otym paskiem, a kiedy steward siê oddali³, Nick wyj¹³ ozdoby arkusik i odczyta³ zaproszenie: "Kapitan Thoreau ma zaszczyt zaprosiæ pañstwa na kolacjê w Wielkiej Jadalni o 8 wieczorem." By³o to tak zwane drugie przyjêcie; pierwsze odbywa³o siê o dziewiêtnastej.

- I co, Nick? Ju¿ ci w³a¿¹ w dupê? - Hillary dopi³a drugiego drinka; oczy jej b³yszcza³y, ale tym razem nie od³ez.

- Przestañ, Hil, proszê. - Rozejrza³ siê, ¿eby sprawdziæ, czy ktoœ j¹ s³ysza³. Myœl o tym, ¿e ktokolwiek móg³by mu siê podlizywaæ, wyda³a siê Nickowi ¿enuj¹ca. Trudno by³o jednak ukryæ, ¿e jest kimœ, cz³owiekiem lic¹cym siê w pewnych sferach, co nieuchronnie prowadzi³o do zainteresowania jego osob¹. Wagê swojej pozycji znosi³ dobrze, jakkolwiek niekiedy z przesadn¹ pokor¹, w zwi¹zku z czym niechêæ jego ¿ony by³a tym bardziej niedorzeczna. By³ ostatnim cz³owiekiem, który móg³by jej o swojej pozycji przypominaæ, ale z innych ust s³ysza³a o niej a¿ nazbyt czêsto. - Kapitan zaprasza nas na kolacjê.

- Dlaczego? Chc¹, ¿ebyœ kupi³ ten statek? S³ysza³am, ¿e nazywaj¹ tê³ajbê p³ywaj¹cym d³ugiem Francji.

- Jeœli nawet tak jest, to równoczenie statek jest piêkny i wart ka¿dych pieniêdzy - odpar³ Nick. Ju¿ dawno nauczy³ siê nie odpowiadaæ wprost na jej pytania, jeœli by³a w takim nastroju jak dzie; bezpoœrednia odpowiedŸ tylko wzmag³a jej gniew. - Zaproszenie jest na ósm¹. Chcia³abyœ zjeœæ coœ tutaj czy wolisz przejœæ na podwieczorek do salonu?

- Nie jestem g³odna.

Zauwa¿y³, ¿e wzrokiem prosi kelnera o nastêpnego drinka, pokrêci³ jednak g³ow¹ i kelner znikn¹³.

- Nie traktuj mnie jak dziecko, Nick - syknê³a. Przez ca³e ¿ycie tak w³acenie wszyscy j¹ traktowali: matka, ojciec, guwernantka, Nick. Jedynymi, którzy siê z tego wy³amywali, byli mê¿czyŸni w rodzaju Ryana Hallwaya czy Philipa Markhama. Ci postrzegali w niej kobietê. - Jestem ju¿ doros³a. Jeœli mam ochotê na nastêpnego drinka, to go dostanê.

- Dostaniesz, ale choroby morskiej, jeœli bêdziesz za du¿o pi³a.

Ten jeden raz nie podjê³a z nim k³ótni. Wyjê³a z³ot¹ puderniczkê z diamentow¹ klamerk¹, a kiedy Nick podpisywa³ rachunek, musnê³a usta jaskrawoczerwon¹ szmink¹. By³a jedn¹ z tych kobiet, które stosunkowo niedu¿ym wysi³kiem sprawiaj¹, ¿e dos³ownie wszêdzie w ich stronê kieruj¹ siê wszystkie g³owy; tak w³acenie siê sta³o, gdy wychodzili na promenadê, aby zaczerpn¹æ œwie¿ego powietrza. Nowy Jork ju¿ dawno znikn¹³ za horyzontem. "Normandie" p³ynê³a do Europy z prêdkoœci¹ trzydziestu wêz³ów.

Ramiê w ramiê stali w milczeniu przy relingu. Nick rozmyœla³ o tym, co us³ysza³ od Hillary. Nigdy dot¹d nie zdawa³ sobie sprawy, jak¹ niechêæ budzi w niej status "¿ony mê¿a", przynajmniej z jednego z wymienionych przez ni¹ powodów. Chcia³a byæ kobiet¹ niezale¿n¹, niezale¿n¹ od jakiegokolwiek mê¿czyzny. Mo¿e mia³a s³usznocæ - mo¿e nie powinna by³a wychodziæ za m¹¿, tyle ¿e na takie refleksje by³o w tej chwili ju¿ za póŸno. On jej nigdy nie uwolni, bo nigdy nie zrezygnuje z Johnny'ego. Spojrza³ na ni¹ i przez moment zapagn¹³ otoczyæ j¹ ramieniem, wyczu³ jednak, ¿e nie by³by to w³acæiwý gest, tote¿ westchn¹³ tylko cicho.

Westchnienie utonê³o w lekkim poszumie wiatru.

Obok nich niespiesznie przesuwa³y siê inne pary. Pragn¹³ takiej przyjaŸni

i odprężenia, których mógłby doznawać w towarzystwie Łony, lecz coś takiego nigdy między nimi nie istniało. Był seks, namiętność, oczarowanie, kpiny, przynajmniej w początkach, nie zaś natomiast spokoju, który narasta pomiędzy dwojgiem ludzi znajdujących przyjemność w swoim towarzystwie. Stawia nawet znak zapytania przy tym, czy kiedykolwiek czyta ich miłość, czy też tylko óżko.

- O czym myślisz, Nick?

Było to tak dziwne dla niej pytanie, że odwróciła się ku Hillary i rozchyliła usta w uśmiechu.

- O nas. O tym, co mamy, a czego nie.

Nick wiedział, że to niebezpieczna sowa, ale w tej chwili czuł, iż może się zdobyć na odrobinę zuchwałości. Wiatr smagał jego twarz, a on doświadczał uczucia osobliwego wyzwolenia. Był to ten rodzaj magii, który ponoć istnieje na statkach, gdzie człowiek czuje się tak, jakby tkwił w odrębnym, samoistnym świecie. Reguły normalnego życia, tak skrzętnie gdzie indziej przestrzegane, tu zdawały się nie obowiązywać.

- A czy my cokolwiek mamy, Nick?

- Sam często tracę co do tego pewność. - Westchnęła i oparła się o balustradę. - Wiem, co mieliśmy na początku.

- Początek nie był prawdziwy.

- Początek nigdy nie jest prawdziwy. Nasz był po prostu taki jak inne.

Bardzo cię kochałem, Hill.

- A teraz? - Wpięła się w niego spojrzeniem.

- Wciąż cię kocham. - Dlaczego? zastanowiła się. Dlaczego? Może z powodu Johna.

- Mimo tego wszystkiego, co ci robię? - spytała, uczciwie stawiając kwestię swoich grzechów, a przynajmniej niektórych z nich. Podobnie jak Nick czuła się teraz dziwnie wolna, szczególnie po dwóch szklankach szkockiej.

- Tak.

- Jesteś dzielnym człowiekiem - powiedziała otwarcie i szczerze, choć nie dodała, że go kocha. Aby to powiedzieć, musiałaby się całkowicie obnażyć, przyznać, iż należała do niego, a tego nie miała zamiaru uczynić. Potrzebowała go, a włosy się jej rozsypały na wietrze, i powędrowała wzrokiem ku morzu. Nie patrzyła na Nicka, jakby nie chciała zranić go jeszcze bardziej, zapytała: - Co twoim zdaniem powinnam zrobić na tę kolację?

- Co chcesz. - W jego głosie nagle zabrzmiało znużenie i smutek. Tamten moment pierzchał, aczkolwiek Nick wciąż miał ochotę zapytać Hillary, czy go kocha. Może zresztą nie miała to już żadnego znaczenia, może miała sensowność? Byli małżeństwem, należała do niego, był jej właścicielem... Wiedziała jednak, iż w odniesieniu do Hillary wrażenie posiadania byłoby czysto ułudą. - Męczycyżn obowiązuje fraki, więc siędz, że powinnam zrobić coś oficjalnego.

Wiedziała, że w takim wypadku czarno-amarantowy atłasowy strój będzie zupełnie nieodpowiedni, toteż kiedy wracali do apartamentu, w duchu dokonywała przeglądu kreacji. Zdecydowała się w końcu na delikatną jasnofioletową suknię z atłasu.

Znalazszy się w apartamencie, Nick zajął się pokojem syna, ale ten najwyraźniej wciąż jeszcze zwiedza statek. Nick położyła się nagle, że sam nie zajęła się sobą.

Kiedy wróciła z pokoju Johna, pochwyciła na sobie spojrzenie Hillary. Zdjęła sukienkę i stała przed nim w satynowej bieliźnie, piękniejsza niż

kiedykolwiek. Była jedną z tych kobiet, które budzi w mężczyznach nieopanowane pożądanie. Nie myślała o niej w ten sposób, kiedy miała osiemnaście lat, lecz dopiero teraz. I to często.

- Dobry Boże, powinieneś zobaczyć swoją twarz. - Kiedy Nick się do niej zbliżyła, wybuchnęła swoim gardłowym ośmiechem. - Zdecydowanie wyglądasz na mężczyznę rozpustnego, Nicku Burnham.

Nie wydawała się jednak, żeby jej to nie odpowiadało. Stała bez ruchu, ramiączko halki zsunęło się jej i Nick zauważył, że nie ma na sobie stanika. Każdy cał jej ciężej rzucał mu wyzwania.

- Więc nie stój tu wyglądasz tak, jak wyglądasz, Hil, chyba że chcesz popaść w poważne tarapaty.

- Tarapaty? Jakiego rodzaju? - dopytywała się kokieteryjnie.

Nick stanął tuż przy niej, czując ciepło jej ciężej. Nie wdawała się dłużej w gierki słowne; przycisnęła wargi do jej ust, nie zastanawiając się nawet, czy zostanie odepchnięta. Z nią nigdy nic nie było wiadomo, wszystko zależało od tego, jak wiele akurat znaczy dla niej ten czy ów kochanek. Tyle że teraz nie było żadnego kochanka, znajdowała się na statku, daleko od domu, rzucona pomiędzy dwa światy, wyciągnęła więc ramiona do mężczyzny, który bez dalszych ceregieli przytulił ją, poprowadził do sypialni, a potem ułożył na posłaniu, zdzierając satynową bieliznę. Jego usta, jak usta człowieka umierającego z pragnienia, apocryficznie przywarły do jej ciężej. Oddała mu się z namierzeniem i mgliście pamiętała z przeszłości, teraz doprawioną zdobytym przez lata doświadczeniem. Nick jednak nie zadawał pytań, ogarnięty bezgranicznym, zda się, zaborczym pożądaniem. Ich ciężej złączyły się w miłosnych zmaganiach, aż na koniec wyczerpani legli obok siebie.

Przyglądała się jej później, kiedy już zasnęła, i pojęła prawdę słów wypowiedzianych godzinę wcześniej. Była jego żoną, co do tego nie miała żadnych wątpliwości, ale nigdy nie będzie jej posiadała na własność. Nie będzie jej posiadała żaden mężczyzna. Hillary była, jest i będzie panią samej siebie. Zawsze. I zawsze pozostanie poza zasięgiem czyjejkolwiek władzy.

Kiedy przyglądała się jej, uciepionej w jego ramionach, pojęła z gorzko-słodkim smutkiem, iż zawsze będzie czegoś, co nieosiągalne. Była jak dzikie zwierzę, które człowiek daremnie pragnie za wszelką cenę ujarzmić, posiadać na własność.

Rozdział piąty

Każda bez wyjątku dama, przybywająca na oczach gapiów do jadalni, przynosiła swoją osobą zaszczyt towarzyszącemu jej mężczyźnie. Wszystkie panie miały doskonałe fryzury i makijaż, wytworne toalety przeważnie od paryskich stylistów, z blaskiem ich klejnotów zaczęły konkurować jedynie jaskrawe światła sali, odbite w szklanych ścianach sześćdziesiąt stóp dłuższych anieleci Sala Lustrzana w Wersalu. Pomieszczenie o wysokości trzech pokładów zdawało się wycięte po brzegi rubinowymi taftami, szafirowymi aksamitami i szmaragdowymi atłasami, a także tu i ówdzie złotem.

Liane wyglądała wspaniale w czarnej kreacji z tafty od Balenciagi, kiedy jednak na schodach pojawiła się Hillary Burnham, wszystkie oczy spoczęły na

sylwetce opiêtej jasnofio³kowym at³asem. Suknia podkreœla³a jej kszta³ty w taki sposób, ¿e wszyscy ³¹cznie z kapitanem wstrzymali oddech. Na szyi Hillary mia³a sznur ogromnych pere³, nie one wszak¿e przykuwa³y uwagê, lecz kruczoczarne w³osy, alabastrowa skóra, læni¹ce oczy, a tak¿e ca³a postae piêknej kobiety, która ko³ysz¹c biodrami podesz³a niespiesznie do kapitañskiego sto³u.

Stó³ ustawiono dok³adnie na wprost symbolizuj¹cego pokój ogromnego pos¹gu z br¹zu, który jakkolwiek wznosi³ siê ponad g³owy wszystkich obecnych, zmala³ nagle, kiedy do sto³u zbli¿yli siê Burnhamowie. Nick, postêpuj¹cy krok za ¿on¹, ubrany by³ w nieskazitelny frak i koszulê z wykrochmalonym gorsem, zdobion¹ guzami z macicy per³owej i diamencików. Hillary te¿ mia³a na sobie diamenty - kolczyki, które wyzieraj¹c spoza jedwabistej czerni w³osów, roznieca³y w jej oczach migocz¹ce œwiate³ka.

- Dobry wieczór, kapitanie. - Jej g³os, g³êboki i gard³owy, sprawi³, ¿e wszyscy mimowolnie zamilkli. Kapitan Thoreau wsta³, sk³oni³ g³owê w precyzyjnym uk³onie i uca³owa³ d³oñ Hillary.

- Madame... witam pani¹... Oto madame Nicholasowa Burnham - przedstawi³ j¹ pozosta³ym biesiadnikom, po czym dokona³ prezentacji Nicka.

Wyj¹wszy Liane, wszyscy goœcie zgromadzeni przy kapitañskim stole byli starsi ni¿ Burnhamowie. Wiêszocæ z nich nale¿a³a do tego samego pokolenia co kapitan i Armand. Panie by³y eleganckie i ubrane doskonale, aczkolwiek z lekk¹ przesad¹, co dotyczy³o równie¿ klejnotów. Mo¿na by³o odnieœæ wra¿enie, i¿ iloœci¹ i blaskiem bi¿uterii staraj¹ siê odwróciæ uwagê ewentualnych obserwatorów od nadmiernej tuszy. Kiedy jednak pojawi³a siê Hillary, przestano po prostu na nie patrzeæ. Wszystkie mœkie oczy wbi³y siê w Hillary i jej sukniê, która zdawa³a siê op³ywaæ j¹ jak woda. Z przodu niemal ascetyczna w kroju, z ty³u mia³a dekolc koñcz¹cy siê poni¿ej pasa i ukazuj¹cy smakowite cia³o.

Hillary zdawkowo przywita³a obecnych, nie próbuj¹c nawet zapamiêtaæ ich nazwisk. Spojrzeniem obdarzy³a jedynie Armanda, który tego wieczoru prezentowa³ siê wyj¹tkowo efektownie. Nie podjê³a równie¿ rozmowy z Liane, chocia¿ siedzia³y naprzeciwko siebie. Nick za to czyni³ zdwojone wysi³ki, aby nadrobiæ zaniedbanie ¿ony, konwersuj¹c uprzejmie z dwiema starszymi damami, siedz¹cymi po jego lewej i prawej stronie, oraz starszym panem, jak siê okaza³o - angielskim lordem.

Liane zauwa¿y³a, ¿e Nick czêsto spogl¹da na ¿onê, nie tyle daj¹c wyraz uczuciu - jak w czasie kolacji niejednokrotnie czyni³ Armand - lecz jakby kontroluj¹c jej poczynania. Nie stara³ siê pods³uchaæ, co mówi Hillary, wygl¹da³o jednak na to, ¿e nie ufa ¿onie. Pomiêdzy serami a sufletem Grand Marinier Liane zaczê³a odgadywaæ powody takiego stanu rzeczy. Hillary rozmawia³a ze starszawym w³oskim ksiêciem, siedz¹cym po jej lewej stronie, i oœwiadczy³a mu w³acenie, i¿ dla niej Rzym jest bezgranicznie nudny, ale czyni¹c tê uwagê ucemiechnê³a siê uwodzicielsko, jak gdyby pragnê³a zaintrygowaæ rozmówcê; potem przenios³a wzrok na Armanda.

- Rozumiem, ¿e jest pan ambasadorem. - Spojrza³a na Liane, wyraŹnie zastanawiaj¹c siê, czy to jego córka, czy te¿ ¿ona. - Podrô¿uje pan z rodzin¹?

- Tak, z ¿on¹ i córkami. M¹¿ pani natomiast mówi³, ¿e pañstwo podrô¿ujecie z synem. Mo¿e poznalibyœmy ze sob¹ dzieci? Pobawi³yby siê razem.

Hillary skinê³a g³ow¹, choæ sprawia³a wra¿enie nieco poirytowanej. Dzieciêce zabawy nie le¿a³y raczej w polu jej zainteresowañ. Tego wieczoru

mia³a w sobie co^e drapie³nego; by³a kobiet¹ poszukuj¹c¹ ofiary, a skoro dysponowa³a takim cia³em i twarz¹, znalezienie owej ofiary nie powinno by^e trudne. Liane rozbawi³ uprzejmy sposób, w jaki Armand zgasi³ Hillary. Nigdy si^e o niego nie niepokoi³a, albowiem jedyn¹ osob¹, która niekiedy zabiera³a jej m^ez³a, by³ Jacques Perrier. Jak si^e okaza³o, musieli przepracowa^e ca³e popo³udnie i Armand wróci³ do apartamentu w ostatniej chwili, z^eby si^e wyk¹pa^e i przebra^e. Do takich sytuacji Liane ju³ dawno przywyk³a.

- By^e mo³z^e - powiedzia³a z udawan¹ gro³Źb¹, kiedy napu^eciwszy wody do wanny, poda³a mu kieliszek Kir Royal - b^ed^e musia³a wyrzuci^e Jacques'a za burt^e.

Armand rozec³emia³ si^e, dzi^ekuj¹c Bogu za wyrozumia³o^e z^eony. Ale nie widzia³ jej kilka chwil wczesniej, gdy stoj¹c na pok³adzie, spogl¹da³a na morze z wyrazem smutku na twarzy. T^es³kni³a za dawno minionymi dniami, kiedy Armand zajmowa³ nie tak znacz¹ce stanowiska i potoki memorandum³ i depesz nie zabiera³y mu tyle czasu. Tak rzadko si^e teraz widywali!

Pod koniec kolacji Liane j^ez³a si^e zastanawia^e, jaki naprawd^e jest Nick Burnham. Sprawia³ wra³zenie cz³owieka mi³ego, lecz zamkni^etego w sobie. Uprzejmy, dobrze wychowany, patrzy³ na otoczenie spokojnym wzrokiem, ale przy deserze by³ dla wszystkich równie obcy jak w chwili, kiedy zasiada³ do sto³u. Zastanawia³a si^e, czy nie przyj¹3 tej anonimowej fasady, aby w jakie³ sposób zrównowa³z^e wra³zenie, które wywiera³a jego z^eona. Liane przypuszcza³a, z^e jedynym celem Hillary jest szokowanie. Oczywiście nie sz³o o to, i³ jej sukni^e zaprojektowano w taki sposób, z^e przyci¹ga³a i zatrzymywa³a spojrzenia, cho^e jedno nie ulega³o w¹tpliwo^eci - Hillary Burnham nie nale³a do skromni^e.

Tego wieczoru Nicholas obserwow³a Hillary innym wzrokiem. Przygl¹da³ si^e jej od chwili, kiedy zosta³a przedstawiona jako jego z^eona; interesowa³a go reakcja Hil, wci¹z^e bowiem by³ zaintrygowany tym, co powiedzia³a mu w barze. Mia³ irracjonaln¹ nadziej^e, z^e dokona si^e w niej jaka^e przemiana - niestety, by³a taka jak zawsze. Kiedy kapitan wypowiada³ te s³owa, "Madame Nicholasowa Burnham", wyra³nie postanowi³a udowodni^e co^e wszystkim. Nick niemal jej w³sp³czu³ widz¹c, jak szarpie si^e w wi^ez³ach, których tak bardzo nienawidzi. W niczym jednak nie móg³ jej pomóc; zirytowa³o j¹ nawet mi³e spojrzenie, które jej pos³a³, i gwa³townie skierowa³a uwag^e na Armanda, zwracaj¹c si^e do³ z kuscielskim b³yskiem oczu. Tyle z^e ambasador jakby tego nie zauwa³a³.

- To nie jest Boston ani Nowy Jork, Hil - wyszepta³ Nick, kiedy go^ecie kierowali si^e do Wielkiego Salonu. - Jeceli wyrobisz sobie tutaj z³1 opini^e, przylg¹nie do ciebie na pi^e nast^epn³ych dni. - Mia³ oczywiście na my^eli nieudane próby zainicjowania flirtu z Armandem, kapitanem i dwoma innymi biesiadnikami.

- A kogo to obchodzi? To banda starych nudziarzy.

- Czy³by? By³by³m raczej sk³onny s¹dzi^e, z^e ambasador ci si^e spodoba³. - By³a to pierwsza bardziej jadowita uwaga, jak¹ wypowiedzia³ w czasie tej podró³y, ale mia³ ju³ po prostu do^e jej gierek. Nawet kiedy usi³owa³ j¹ zrozumie^e, Hillary nieuchronnie wprawia³a go w z³o^e tub rani³a. No i najwyra³niej gryz³a ju³ w^edzid³o, co napawa³o go niepokojem. Nigdy nie by³ w stanie przewidzie^e poczyna³ ani wypowiedzi swojej z^eony. - Podczas tej podró³y b¹d³ askawa wy^ewiadczy^e sobie pewn¹ przys³ug^e.

- Jak¹?

- Zachowuj si^e poprawnie.

Odwróci³a si^e, spojrz³a mu w oczy i ze z³o^eliwym u^emieszkiem zapyta³a: -

A to dlaczego? Dlatego, że jestem twoj¹ żon¹?

- Nie zaczynaj tych bzdur od poczt¹tku. A tak nawiasem mówi¹c, jeste¹ce moj¹ żon¹. Tym statkiem p³ynie z tyśi¹c ważnych osób. Jeżeli nie b¹dziesz uważa¹æ na swój ty³eczek, moja droga, ka¹dy dok³adnie si¹e dowie, kim naprawd¹e jeste¹ce.

Jego gniew osi¹gn¹³ apogeum, nic wi¹cej nie m³óg³ zrobia¹æ, aby go st³umia¹æ, nawet tego nie próbowa³.

- A niby kim jestem? - prawie si¹e za¹emia³a, absolutnie obojętna na jego troski. Nick ju¹z mia³ odpowiedzie¹æ jednym trec¹ciwym s³owem: "Dziwk¹", kiedy nagle pojawi³ si¹e przy nich kapitan, do którego Hillary zwróci³a si¹e z czaruj¹cym u¹emiechem: - Czy b¹ed¹ dzisiaj tańca?

- Oczywiście, droga pani. - Kapitan widzia³ ju¹z na tym statku ca³e hordy kobiet podobnych Hillary Burnham. Czasem m³odszych od niej, czasem starszych. Uroczych, zepsutych, znudzonych codziennym życiem, zm¹ęczonych ma³ż¹eństwami i m¹ęzami, którzy ju¹z dawno znikn¹eli ze sfery ich zainteresowa¹ñ. Niewiele by³o jednak równie pięknych jak Hillary. Sta³a teraz przy stole w Wielkim Salonie ¹wiadoma, że nawet w ca³ym splendorze tej sali ka¹da para m¹skich oczu spoczywa tylko na niej. Przez ca³y wieczór wygl¹da³a równie ¹wieżo jak na poczt¹tku kolacji, cho¹æ teraz sta³a si¹e jakby bardziej "musuj¹ca", niczym szemrz¹ca rzeka francuskiego szampana. - No w³acenie - kapitan u¹emiechn¹³ si¹e do Nicka - czy pozwoli pan, że poprosz¹e ma³ż¹onk¹e do pierwszego tańca?

- Naturalnie - zgodzi³ si¹e Nick z przyjaznym u¹emiechem i wzrokiem odprowadzi³ ich na parkiet.

Orkiestra gra³a spokojnego walca. Hillary, wprawnie prowadzona po parkiecie przez kapitana, z nadzwyczajnym wdzi¹kiem porusza³a si¹e w jego ramionach. Wkrótce do tańca ruszy³y inne pary, w¹ród nich Armand i Liane.

- I co, kochanie? Oczarowa³a ci¹e ta nimfa z Nowego Jorku?

- Liane promiennie u¹emiechn¹³a si¹e do m¹ż¹a.

- Nie. Jestem pod du¹o wi¹kszym wra¹eniem pewnej piękno¹ci z Zachodniego Wybrze¹a. S¹dzisz, że mam u niej szans¹e? - Uniós³ palce Liane do swoich ust i uca³owa³ je, nie odrywaj¹c wzroku od jej oczu. - Czy dobrze si¹e bawisz, ch¹rie?

- Tak - u¹emiechn¹³a si¹e rado¹enie, rozgl¹daj¹c si¹e po sali. Chwile, kiedy Armand trzyma³ j¹ w ramionach, nale¹ż¹a³y do najszc¹eliwszych w jej życiu. - Ale przyznasz, że jest niezwyk³a - doda³a, wci¹ż zaintrygowana osob¹ Hillary.

Armand nad g³ow¹ żony pos³a³ niewzruszone spojrzenie w stron¹e przedmiotu ich rozmowy.

- "Normandie"? Tak, w rzeczy samej.

- Przesta¹ñ - parskn¹³a ¹emiechem. - Wiem, że nie znosisz plotek, ale tym razem nie mog¹e si¹e powstrzyma¹æ. Dobrze wiesz, kogo mam na my¹eli. ¹on¹e Burnhama. W życiu nie widzia³am piękniejszej istoty.

- I owszem - skin¹³ g³ow¹ z wyrozumia³ym u¹emiechem m¹drca. - Piękno¹æ i bestia w jednej osobie. Nie zazdrozcz¹e mu. Ale on chyba dobrze wie, co ma na g³owie. Obserwuje ka¹dy jej ruch.

- A ona dobrze zdaje sobie z tego spraw¹e i nie przejmuje si¹e ani troch¹e.

- Tego bym nie powiedzia³. Raczej robi wszystko, żeby go zirytowa¹æ. Tak¹ kobiet¹e cz³owiek m³óg³by zamordowa¹æ bez mrugni¹cia.

- Mo¹że j¹ kocha do szale¹stwa - wysun¹³a przypuszczenie Liane, której my¹el o tak nami¹tnym uczuciu by³a nad wyraz mi³a.

- Chyba nie. Jeżeli spojrzysz mu g³ęboko w oczy, zobaczysz, że nie jest

cz³owikiem szczêeliwym. Wiesz, kim on jest, Liane?

- Mniej wiêcej. Obi³o mi siê o uszy jego nazwisko. Zajmuje siê stal¹,
prawda?

Armand wybuchn¹³ œmiechem. - On nie zajmuje siê stal¹. On jest stal¹.
Kilka lat temu by³ najm³odszy w gronie najwiêkszych przemys³owców w
Stanach. Kiedy umar³ jego ojciec, by³ bardzo m³ody i oto nagle zosta³ sam,
z maj¹tkiem, którego nie sposób obj¹æ wyobraŹni¹, i z obowi¹zkiem
prowadzenia prawdziwego imperium. Sprawdzi³ siê w sposób godzien
najwyŹszego podziwu. Jestem pewien, Źe p³ynie do Europy, bo ma tam waŹne
kontrakty. Dzisiaj jest niekwestionowanym królem tej branŹy.

- Przynajmniej stoi po naszej stronie.

- Niekoniecznie i nie zawsze - odpar³ Armand, a Liane popatrzy³a naŹ
pytaj¹co. - Ma równieŹ umowy z Niemcami. Ale na tym w³acenie, kochanie,
polega rz¹dzenie imperium. Serce nie zawsze jest potrzebne, zawsze
natomiast niezbêdna jest stanowcza d³oŹ i bystry umys³. Szkoda, Źe nie
potrafi tej w³adzy rozci¹gn¹æ na swój Źonê.

Liane powoli trawi³a s³owa mêt³a. Zaskoczy³o j¹, iŹ Burnham sprzedaje stal
zarówny Francji, jak i Hitlerowi. Z jej punktu widzenia równa³o siê to
zdradzie wszystkiego, w co wierzy³a. Zdumia³a siê takŹe, iŹ Armand z tak¹
³atwoœci¹ akceptuje zasadê, Źe interes to interes, nie ma w nim miejsca na
sentymenty. Ale w koŹcu by³ bardziej obznajomiony ze œwiatem polityki
miêdzynarodowej, a najrozmaitsze uk³ady i kompromisy by³y dla niego czymœ
naturalnym.

- Czy zdziwi³o ciê to, co powiedzia³em o Burnhamie, Liane?

- Owszem.

- Tak w³acenie toczy siê œwiat, kochanie.

- Ale ty w swoich interesach kierujesz siê innymi zasadami - zauwaŹy³a.

By³a wzruszaj¹c¹ wrêcz idealistk¹, tak bardzo wierzy³a w Armanda, w jego
prawoœæ, dla niego zaœ mia³o to ogromne znaczenie.

- Ja nie handlujê stal¹. W obcych krajach dbam o honor i korzyœci dla
Francji. Trudno powiedzieæ, Źe to ten sam rodzaj interesów.

- Powinny jednak obowi¹zywaæ takie same zasady. To, co jest s³uszne, jest
s³uszne bez wzglêdu na okolicznoœci.

- Nie wszystko jest zawsze tak jednoznaczne. A o Burnhamie mówi siê, Źe
to uczciwy cz³owiek.

Podobne wraŹenie odnios³a Liane, lecz teraz straci³a czêœæ swojej
pewnoœci. Przez chwilê zastanawia³a siê, czy nie na tym w³acenie polega
problem z Źon¹ Burnhama, która po prostu nie darzy go szacunkiem.
Natychmiast jednak uzna³a, Źe sprawy te nie maj¹ ze sob¹ nic wspólnego.
Hillary by³a samolubna, nieprzyjemna i zepsuta. I to prawdopodobnie od
zawsze. Mia³a w sobie coœ jadowitego, niemi³ego, coœ, czego nie sposób by³o
ukryæ, bo przytajone w duszy z³o spycha³o na drugi plan nawet urodê.

- Nie powiedzia³bym jednak, Źe jego Źona jest zacn¹ kobiet¹.

- Takie stwierdzenie rzeczywiêcie by³oby przesad¹ - zgodzi³a siê Liane z
uœmiechem.

- Niewielu mêt³czyznom dopisa³o takie szczêœcie jak mnie - rzek³ Armand,
pochyli³ siê, wyszept³ jej coœ do ucha i sprowadzi³ Źonê z parkietu.

PóŹniej Liane taŹczy³a z kapitanem, potem z w³oskim ksiêciem, znowu z
Armandem, a wreszcie, przeprosiwszy towarzystwo, de Villiersowie wrócili do
apartamentu, gdzie Liane ku swojej wielkiej radoœci nareszcie znalaz³a siê
z mêt³em sam na sam. Ziewnê³a i zdjê³a sukniê. Armand rozebra³ siê w swojej
garderobie, kiedy zaœ wróci³, zasta³ Liane czekaj¹c¹ juŹ w ³óŹku. I wówczas

w³asne s³owa odbi³y siê echem w jego g³owie; niewielu by³o na œwiecie mê¿czyzn równie szczêeliwych jak on. Po³o¿y³ siê, a wtedy Liane dowiod³a mu po raz kolejny, jak wielkim jest szczêœciarzem. Usnêli mocno do siebie przytuleni.

Zupe³nie inna scena rozegra³a siê w apartamencie Deauville, gdzie jak zwykle Hillary sprawia³a k³opoty. Do powrotu zmusi³ j¹ Nick. Znalaz³a interesuj¹cego partnera do tañca przy s¹siednim stoliku i œwietnie siê bawi³a, a¿ w koñcu Nick, maj¹c doœæ jej wyzywaj¹cego zachowania, podziêkowa³ kapitanowi za uroczy wieczór i wraz z ¿on¹ wróci³ do apartamentu.

- Jak ci siê zdaje, do cholery, kim ty w³œciwie jesteœ?

- Osob¹, której najbardziej nienawidzisz, kochanie. Twoim mê¿em, facetem trzymaj¹cym koniec z³otego ³añcucha, na którym jesteœ uwi¹zana. -
Uœmiechn¹³ siê, by uspokoiæ w³asn¹ furiê, Hillary zaœ wesz³a do sypialni zatraskuj¹c za sob¹ drzwi.

Tego wieczoru zatem pociechy w butelce szuka³ Nick. Popijaj¹c z³apa³ siê na tym, ¿e myœli o Armandzie i Liane. Tworzyli interesuj¹c¹ parê, w podziw go wprawia³ wdziêk i pe³na godnoœci postawa ambasadorowej. By³a kobiet¹ w dyskretny sposób imponuj¹c¹, wywieraj¹c¹ silne wra¿enie i nawet w cieniu jaskrawego blasku rozsiewanego przez Hillary moc jej osobowoœci trudno by³o przegapiæ. Mia³ doœæ gierek swojej ¿ony, uzna³, koñcz¹c szklaneczkê nie rozcieñczonej szkockiej. I to bardziej, ni¿ ona s¹dzi³a. Bardziej, ni¿ by³ sk³onny przyznaæ sam przed sob¹. Jeœli pozwoli sobie dalej zadawaæ ten ból, przyjmie na barki brzemiê a¿ nadto ciê¿kie.

Na koniec odstawi³ butelkê i rad, i¿ Hillary po za¿yciu tabletki nasennej œpi ju¿ jak zabita, o trzeciej nad ranem poszed³ do s³o¿ka.

Rozdzia³ szósty

Powietrze morskie na wszystkich wywar³o zapewne dobroczynny wp³yw, nastêpnego ranka bowiem pasa¿erowie obudzili siê wczesniej ni¿ zwykle po nocy przespanej lepiej ni¿ kiedykolwiek dot¹d, a w dodatku z apetytem tak zaostrozonym, ¿e stewardowie roznosili do kabin mocno ob³adowane tace.

Armand siedzia³ w prywatnej jadalni z guwernantk¹ i córkami, Liane natomiast bra³a k¹piel. Dziewczynki nie mog³y siê ju¿ doczekaæ chwili, gdy podejm¹ wêdrówkê po statku.

- Co zamierzacie dzisiaj robiæ? - Pos³a³ córkom uœmiech nad swym œniadaniem, sk³adaj¹cym siê z wêdzonego œledzia i kawioru.

Marie-Ange skrzywi³a siê z niesmakiem, patrz¹c na ojca jedz¹cego te okropnoœci. - Chcesz spróbowaa? - za¿artowa³, ona zaœ energicznie pokrêci³a g³ow¹.

- Nie, dziêkujê, tato. Idziemy pop³ywaæ z mademoiselle. Pójdiesz z nami?

- Chcê trochê popracowaæ z monsieur Perrierem, ale mo¿e mama z wami pójdzie.

- Dok¹d mama z wami pójdzie? - Liane wesz³a do jadalni ubrana w bia³¹ kaszmirow¹ sukienkê i uczesana w skromny kok. Wygl¹da³a jak p¹czek ró¿y i Armand, patrz¹c na ni¹ z nie skrywanym podziwem, po¿a³owa³, i¿ nie zosta³ w s³o¿ku na tyle d³ugo, ¿eby znów mogli dope³niaæ ma³¿eñskich obowi¹zków. -
Dzieñ dobry, dziewczynki. - Uca³owa³a córki, pozdrowi³a guwernantkê i

z³o³y³a poca³unek na czubku m^êo³wskiej g³owy.

- Wygl¹dasz cudownie, moja droga.

By³o oczywiste, i³ jego s³owa s¹ szczere, obdarzy³a go wi^êc pe³nym wdzi^êczno^êci u^oemiechem.

- Tak wczecenie? - uda³a zdziwienie, w duchu bardzo zadowolona. Armand zawsze zwraca³ uwag^ê na to, co nosi i jak si^ê prezentuje, a Liane bez trudu odgadywa³a z jego spojrzenia, kiedy jej wygl¹d naprawd^ê zwala³ go z n^og.

Ona tak^ê przez chwil^ê ³owa³a, i³ Armand nie zosta³ w sypialni nieco d³u³ej. Wsta³ jednak bardzo wczecenie, bo mia³ przed sob¹ sporo pracy, któr¹ zgodnie z obietnic¹ zamierza³ sko^ñczy^æ przed po³udniem. - Ale powiedz, do jakich to rozrywek z dziewczynkami zg³aszasz mnie tak ochoczo?

- Do p³ywania. Co ty na to?

- Pomys³ jest niez³y - u^oemiechn^ê³a si^ê do Marie-Ange i Elisabeth. -

Chcia³abym wprawdzie znale^Źæ troch^ê czasu na zakupy i mo³ê króciutki spacer, ale na pewno zd¹o³ymy sobie pop³ywa^æ. - Zerkaj¹c na Armanda, nala³a kawy do fili³anki. - Wiesz, jeżeli nie wychodz^ê cz^êoeci tego wszystkiego, co tu zjadam, w Hawrze b^êd^ê wa³y^æ dwieoeci funtów. - Znacz¹co spojrz³a na talerz Armanda i po³o³y³a na swoim male^ñk¹ grzank^ê.

- Nie s¹dz^ê, ³eby to niebezpiecz^ñstwo by³o realne. - Przyj¹³ z r¹k ³ony ostatni¹ fili³ank^ê herbaty i zerkn¹³ na zegarek. Jakby na zawo³anie rozleg³ si^ê dzwonek u drzwi, w których po chwili stan¹³ Jacques Perrier z nieod³iczn¹ teczk¹ w r^êku. Guwernantka wpu^oeci³a go do o^orodka, on za^o uroczy^oecie powita³ najpierw Liane, nast^êpnie Armanda.

- Bonjour, Madame... Monsieur l'Ambassadeur... Czy dobrze pa^ñstwo spali? - spyta³, po czym z ³obnym wyrazem twarzy usiad³ na krz^oo. Jak zwykle nie m^og³ doczeka^æ si^ê rozpocz^êcia pracy, tote³ Armand wsta³ z g³êbokim westchnieniem.

- Obawiam si^ê, drogie panie, ³e wzywaj¹ mnie obowi¹zki.

- U^oemiechn¹³ si^ê do sekretarza, poszed³ do sypialni po teczk^ê z dokumentami, a gdy wy³oni³ si^ê stamt¹d chwil^ê p^oŹniej, oblicze mia³ powa³ne i oficjalne. - Idziemy - rzuci³ krótko.

Kiedy wyszli, zaproponowa³ Perrierowi, aby ulokowali si^ê w palarni, gdzie przypuszczalnie o tej porze nie ma zbyt wielu go^oeci, b^êd¹ zatem mogli popracowa^æ w komforcie, usadowieni wygodnie w skórzanych fotelach. Perrier bez wahania wyrazi³ zgod^ê. W palarni w³o^oenie, niespecjalnie zainteresowany przyj^êciem w Wielkim Salonie, sp^êdzi³ ubieg³y wiecz^or, przegl¹daj¹c swoje notatki i przygotowuj¹c si^ê do zada^ñ, które oczekiw³a go nast^êpnego dnia. Wracaj¹c potem do kabiny, zajrza³ do przyleg³ej kawiarni, wypi³ koniak, zjad³ lekki posi³ek i o p^ono³cy, zanim Liane i Armand wyszli z przyj^êcia, po³o³y³ si^ê spa^æ.

- Dobrze pan spa³, Perrier? - zapyta³ Armand, kiedy po imponuj¹cych schodach zeszli do palarni.

Kobiety nie mia³y tu wst^êpu, sala bowiem zarezerwowana by³a wy³iczn¹ie dla m^êo³czyzn, którym mia³a przypomina^æ macierzyste kluby, charakteryzowa³a si^ê jednak wi^êkszym przepychem, ani³eli jakikolwiek klub. Jej o^ociany pokrywa³y z³ocone reliefy, przedstawiaj¹ce utrzymane w stylu egipskim sceny sportowe, wysoko^oeci¹ natomiast si^êga³a dwóch pok³adów, co zreszt¹ by³o cech¹ wsp^oln¹ wszystkich na "Normandie" sal ogólnego u³ytku. Armand wybra³ ciche k¹cik, z dwoma wielkimi skórzanymi fotelami i stoliczkiem, odsun¹³ na bok gazet^ê pok³adow¹. I bez niej mieli wiele zaj^êæ.

- Spa³em bardzo dobrze, dzi^êkuj^ê panu.

Przed przyst¹pieniem do pracy Armand rozejrza³ si^ê dooko³a.

- Imponuj¹cy statek, prawda, Perrier?

- W istocie, panie ambasadorze. Doprawdy imponuj¹cy.

Nawet on, nie zainteresowany na co dzień b³ahostkami, odk¹d postawi³ stopê na pok³adzie, pozostawa³ pod wielkim wraŹeniem. Osza³amiaj¹ce piêkno zdawa³o siê towarzyszyæ tu cz³owiekowi wszêdzie; zapieraj¹cy dech w piersiach wystrój wnêtrz - od boazerii przez rzeŹby po subtelnie szlifowane szk³o - dowodzi³ kunsztu francuskich mistrzów. Oczy nie mog³y siê od tych cudów oderwaæ, a zmys³y wpada³y w ekstazê.

- To co, zabieramy siê do pracy?

- Oczywiście, proszê pana.

Roz³o¹zyli na stoliku papiery i w skupieniu rozpoczêli kilkugodzin¹ pracê. W miarê rozstrzygania kolejnych problemów Perrier czyni³ skrzêtnie notatki i odk³ada³ na bok pliki dokumentów. Mniej wiêcej o 10.30 zaczêli odczuwaæ zmêczenie i wtedy w³acenie Armand zauwaŹy³ wchodz¹cego do palarni Nicka Burnhama. Mia³ na sobie sweter, bia³e spodnie i krawat absolwentów Yale. Wybra³ cichy zak¹tek po przeciwleg³ej stronie sali i roz³o¹zy³ gazetê pok³adow¹, ale poniewaŹ kilkakrotnie zerkn¹³ na zegarek, Armand wywnioskowa³, Źe jest tu z kimœ umówiony. Zastanawia³ siê, czy Burnham teŹ zabra³ w podróŹ swojego sekretarza. Wiedzia³, Źe tak robi wielu biznesmenów, aczkolwiek nie móg³ siê oprzeæ wraŹeniu, iŹ Nick Burnham nie naleŹy do tego typu ludzi. Wygl¹da³ raczej na mê¹czyznê, który pod koniec dnia zostawia wszystkie sprawy w biurze i koncentruje uwagê na zgo³a innych problemach. Nie mia³ owych cech, typowych dla wielu ludzi ze œwiata wielkich interesów, które pchaj¹ do nieustannego dzia³ania.

Chwilê póŹniej do palarni wszed³ jeszcze jeden mê¹czyzna, rozejrza³ siê, a Nick Burnham wsta³. Przybysz przeci¹³ salê krokiem niemal wojskowym, po mêsku uœcisn¹³ d³oñ Nicka, usiad³, zamówi³ u kelnera drinka, po czym obaj pogr¹zyli siê w cichej rozmowie, dotycz¹cej - jak zgadywa³ Armand - interesów. Nick czêsto kiwa³ g³ow¹, czasem pospiesznie coœ notowa³. W koñcu jego rozmówca z zadowoleniem rozpar³ siê w fotelu i potakuj¹c g³ow¹ zapali³ cygaro. Cokolwiek stanowi³o przedmiot ich dyskusji, zosta³o za³atwione ku obopólnemu zadowoleniu. Wstali, uœcisnêli sobie d³onie i starszy mê¹czyzna wyszed³ przez drzwi prowadz¹ce do kawiarni, Nick zaœ odprowadzi³ go wzrokiem, lekko wydymaj¹c wargi. Potem powróci³ do swoich notatek, a kiedy Armand ponownie na niego spojrze³, zaintrygowa³ go wyraz twarzy Burnhama. Podczas ca³ej rozmowy Nick wydawa³ siê zainteresowany, ale nieporuszony. S³ucha³ i mówi³ z powag¹, choæ rozluŹniony. Teraz, kiedy przegl¹da³ notatki, jego skupienie sta³o siê wyraŹnie widoczne. Byæ moŹe sprawa by³a dla niego waŹniejsza, niŹli siê zrazu wydawa³o.

Armand, uœwiadomiwszy sobie ponownie, jak grub¹ ryb¹ jest Nick Burnham, doszed³ do wniosku, iŹ niew¹tpliwie interes omawiany w palarni musia³ dotyczyæ osza³amiaj¹cych sum. Mimo to nowojorski przedsiêbiorca przez ca³y czas sprawia³ wraŹenie odprê¹zonego; teraz okazywa³o siê, Źe to jedynie fasada potrzebna dla zdekcentrowania partnera. W tej chwili w Burnhamie nie by³o ani krzty swobody i Armand niemal czu³, jak w jego umyœle z szalon¹ prêdkoœci¹ obracaj¹ siê tryby. Uzna³ go za cz³owieka niezwykle intryguj¹cego i mia³ nadziejê, Źe przed koñcem podróŹy bêd¹ mieli okazjê pogawêdziaæ.

Kiedy Burnham wychodzi³ z palarni, ich spojrzenia siê spotka³y. Nick z sympati¹ uœmiechn¹³ siê do Armanda. Podoba³ mu siê sposób, w jaki ambasador zby³ minionego wieczoru awanse Hillary - da³ uprzejmie do zrozumienia, iŹ jest odporny na jej urok, a Nick dozna³ wówczas niewys³owionej ulgi. Nie

miała najmniejszej ochoty na znoszenie jej kolejnego romansu, i to z siadaniem z pierwszej klasy. Wyczuł, iż Armand jest człowiekiem prawym. Wyczuwali to zresztą w sobie nawzajem, toteż kiedy Nick z uśmiechem na twarzy opuszcza palarnię, Armand znowu wraca do przerwanej pracy, istniała już pomiędzy nimi rodzaj milczącego porozumienia.

Nick wyszedł na spacerowy pierwszy klasy, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, i uniósł wzrok, na tarasie apartamentu Trouville dostrzegł Liane, która wystawiała twarz do wiatru. Obserwował ją przez chwilę; był w niej jakiegoś cudowny wdzięk - ubrana w biały kostium, sprawiała wrażenie rzeźby z kości słońskiej i Burnham przypominał sobie, jak spokojnie i pełną godności wydała mu się ubiegłego wieczoru. Po chwili na balkon wybiegły dwie dziewczynki natarczywie upominające się o uwagę matki i Liane wraz z nimi wróciła do apartamentu, nie zauważywszy nawet stojącej Nicka.

Przed pójściem na basen Liane z córkami udała się na obchód sklepów. Z tej wyprawy przyniosła prezenty dla Armanda: Liane wybrała krawat od Hermesa, gdy jednak Marie-Ange zdecydowanie zażądała, aby kupić ojcu wykonany z brzoźcu i osadzony na marmurowym postumencie niewielki model statku, który - jak utrzymywały dziewczynki - mógłby postawić na swoim biurku w Paryżu, Liane zgodziła się nabyć także ów skarb dla męża. Posiedziała trochę w apartamencie, a potem udała się na spacer.

Basen, mierzący siedemdziesiąt stóp długości, wyłożony emaliowanym piaskowcem w wielobarwne mozaiki, przedstawiał niezwykły widok. Nawet wypchnięty rozradowanymi pływakami, skupionymi po jego głębszej stronie, nie wydawał się zatłoczony. Dziewczęta popiskiwały z uciechy, kiedy Liane zaprowadziła je w końcu na pływalnię. Sama przebrała się w granatowy kostium kąpielowy z białym paskiem, a zanim zanurkowała w głębszą wodę, wcisnęła w uszy pod białe czepek. Długimi rzutami ramion podpłynęła do dziewcząt pluskających się w czerwonych kostiumkach i przystępujących do zawierania znajomości z chłopczykiem w czerwonych spodenkach; Elisabeth dowiedziała się akurat, że ma na imię John. Kiedy John spojrzał na Liane, ta spostrzegła, iż oczy ma jasnoszmaragdowe, silnie kontrastujące z kruczoczarnymi włosami i jasną cerą. W tych oczach i w uśmiechu chłopca było coś znajomego. Pływałc Liane zauważyła, iż ludzie zaczynają tworzyć grupy, zwracają się do siebie po imieniu i podobnie jak dzieci zawierają nowe przyjaźnie. Ona nie miała tu nikogo znajomego. Zaangażowanie Armanda w pracę z Perrierem sprawiało, iż prowadzili mniej intensywne życie towarzyskie, Liane znowu czuła się trochę skrępowana, kiedy sama wychodziła z apartamentu. Korzystała ze świeżego powietrza na prywatnym tarasie, odbywała samotne spacerki albo też - jak w tej chwili - towarzyszyła córkom. Nie należała zresztą do kobiet, które udzielały się towarzystwu, plotkują z innymi paniami w sklepach czy też zawierają znajomości przy herbacie w salonie.

Dopiero po godzinie Liane zdołała wygonić córki z wody; zabrała je do apartamentu, aby mogły przebrać się na lunch, potem zaprowadziła do jadalni dla dzieci, udekorowanej przez Laurenta de Brunhoffa ścianami z trzymających się za ogony. Poprzedniego wieczoru, jedząc posiłek w towarzystwie guwernantki, dziewczynki zakochały się w tej sali. Przy wyjściu Liane spotkała chłopczyka, którego widziała już na basenie. Teraz był z nią. Liane uśmiechnęła się do niego, a on pomachał dziewczynkom.

Kiedy w końcu wróciła do apartamentu, Liane miała tylko dziesięć minut na zmianę stroju. Włożyła białe kostium i usiadła na kanapie, czekała na

mêła, gdy do drzwi zadzwonił steward. Przyniósł jej bilecik od Armanda, który ją powiadomił, że nie skończy jeszcze pracy i będzie ją kontynuował, aby mieć dla niej wolne popołudnie. Liane ucieszyła się smutno do stewarda i samotnie ruszyła do jadalni.

Usadowiono ją przy stole nakrytym dla ośmiu osób, dwa małżeństwa zrezygnowały jednak z lunchu. Trzecia para pochodziła z Nowego Orleanu; byli to sympatyczni ludzie, którzy wszczęli nie zobowiązującą pogawędkę o statku. Liane zauważyła, iż pani nosi pierścionek z diamentem wielkości kostki cukru i nie ma zbyt wiele do powiedzenia. Jej mąż robi interesy w branży naftowej. Mieszkali przez wiele lat w Teksasie, przedtem w Oklahomie, teraz zaś, u zmierzchu życia, przenieśli się do Nowego Orleanu, gdzie Liane była kiedyś z Armandem. Udzielała się w rozmowie najdużej, jak mogła, ale przy deserze zapadło milczenie. Zanim podano kawę, para z Nowego Orleanu przeprosiła Liane i udała się na popołudniową drzemkę.

Liane siedziała samotnie, omiatając wzrokiem inne stoliki, przy których panowało wyraźne ożywienie. Czuła się bez Armanda i marzyła, aby wreszcie skończyć tę swoją pracę. Zjadłszy trochę owoców i wypijwszy filiżankę herbaty, wstała i wyszła na zewnątrz, gdzie niemal natychmiast wpadła na Nicka Burnhama i jego syna. Wtedy ucieszyła się, że widziała już chłopca: na basenie, potem w dziecięcej jadalni. Podobieństwo do Nicka sprawiło, że wydała jej się tak znajomy. Obdarzyła obydwu uśmiechem i zwróciła się do chłopca: - Jak tam lunch?

- Bardzo dobry. - Rozpromieniła się. Teraz, kiedy trzyma ojca za rękę, wydawała się niezmiernie szczęśliwa. - Idziemy na przedstawienie kukiełkowe.
- Nie chciałaby pani pójść z nami? - zapytał Nick.

Liane zawahała się; wolałaby poczekać w apartamencie na Armanda, ale przecież mogła mu zostawić wiadomość i zabrać dziewczętą. Później zaś, gdy Armand przyjdzie, dziewczynki same obejrzą przedstawienie, a guwernantka odbierze je po zakończeniu spektaklu.

- Tak, chętnie. Pójdę po córki i spotkamy się na miejscu.

Idąc szybkim krokiem, zastanawiała się, gdzie też podziwia się Hillary Burnham. Nie sprawiała wrażenia kobiety, która poświęca dziecku zbyt wiele czasu.

W apartamencie zastała Marie-Ange i Elisabeth bawiące się w pokojach; guwernantka próbowała namówić je do drzemki, Liane jednak w porę nadciągnęła z odsieczą. Zostawiła wiadomość dla Armanda: "Poszycemy na spektakl teatru lalkowego. Spotkajmy się tam. Kocham. L." i wszystkie trzy pobiegły do położonego na tym samym pokładzie pokoju zabaw dziecięcych. Z atrakcji była tam karuzela, ale przede wszystkim miało się zacząć przedstawienie "Punch i Judy". Liane wypatrzyła Nicka i Johna w rzędzie pustych foteli, wraz z córkami usiadła zatem obok dokładnie w chwili, gdy wygaszano światła. Następną godzinę była wypełniona uśmiechem i piskami dzieci, odpowiedziami na pytania zadawane przez Puncha, a wreszcie, kiedy spektakl dobiegł końca, rzęsiście oklaskami.

- Fajnie było - powiedziała John spoglądając na Nicka z szerokim uśmiechem. - Moglibyśmy teraz pójść na karuzelę?

Uruchamiano ją wroczenie i stewardesy pomagały dzieciom zająć miejsca, kelnerki zaś przygotowywały obfite porcje lodów. "Normandie" była bajkową krainą w równej mierze dla dorosłych, jak i dla dzieci. Elisabeth i Marie-Ange jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknęły spod boku matki i zajęły miejsca na konikach - jedna przed, druga za swoim nowym kolegą. Kiedy karuzela ruszyła, cała trójka zaczęła radośnie wymachiwać

r¹czkami.

- Nie do wiary - powiedzia³ z uc^omiechem Nick do Liane - ale bardziej podobaj¹ mi si^e ich pokoje zabaw ni^z nasze.

- Mnie te^z - rozc^oemia³a si^e Liane. Przez chwil^e obserwowali dzieci, które jecha³y na karuzeli rozchichotane i rozgadane. - Dzisiaj rano spotka³y^oemy na basenie paⁿskiego syna i wyda³ mi si^e dziwnie znajomy. - Uc^omiechn^e³a si^e do Nicka. - Wyj¹wszy kolor w³osów jest paⁿsk¹ wiern¹ kopi¹.

- A pani córeczki s¹ zwierciadlanym odbiciem mamy. - W istocie Elisabeth bardziej przypomina³a ojca, lecz obydwie mia³y po Liane jasne w³osy, w³osy Armanda natomiast, cho^e pokryte ju^z siwizn¹, by³y kiedy^oe równie czarne jak w³osy Johna. Nick, ze swoj¹ jasn¹ g^est¹ czupryn¹, zielonymi oczyma i pot^ełnymi ramionami, przywodzi³ na my^oł wikinga. - B^edzie to dla nich wszystkich niezapomniana podró^z - doda³ Nick.

Liane skin^e³a g³ow¹, pogr¹łona w my^ołach. Zastanawia³a si^e w³acenie, czy ten rejs b^edzie rozrywk¹ równie^z dla niej i dla Nicka. Mia³a wra^zenie, i^z od pocz¹tku podró^zy niemal nie widuje Armanda, w czasie lunchu nie spotka³a za^e ani Nicka, ani Hillary. Ciekawi³o j¹, jak urozmaica sobie czas taka kobieta jak Hillary. Zapewne czerpie przyjemno^oce jedynie w otoczeniu m^ełczyzn, odziana w ekstrawaganckie suknie, przyozdobiona futrami i klejnotami. Trudno by³o wyobrazi^e j¹ sobie, jak siedzi na brzegu basenu, czyta ksi¹łk^e lub gra w tenisa.

Jak gdyby odgaduj¹c jej my^oli, Nick zapyta³: - Gra³a ju^z pani tutaj w tenisa?

- Nie. Obawiam si^e zreszt¹, łe nie jestem w tym zbyt dobra.

- To tak jak ja. Gdyby jednak znalaz³a pani chwil^e na rozegranie meczu, z rado^oci¹ zosta³bym pani partnerem. Widzia³em dzisiaj rano w palarni pana ambasadora pogr¹łonego w pracy, gdyby wi^ec nie mia³ nic przeciwko temu, z prawdziw¹ przyjemno^oci¹ zagra³bym z pani¹ kilka setów.

Liane odnios³a wra^zenie, łe chodzi mu nie tyle o tenisa, co o znalezienie czyjegokolwiek towarzystwa.

- A czy pani Burnham grywa w tenisa? - spyta³a g³osem na pozór pozbawionym wszelkiego wyrazu, Nick jednak wyczu³ w nim jakie^o wyrzut.

- Nie, nie gra, cho^e w czasach panieⁿskich grywa³a cz^esto w Newport. Tyle łe znieawidzi³a ten sport... - Po chwili doda³: - Pani pochodzi z San Francisco, prawda? - Spojrza³a na niego szczerze zdumiona, szybko wi^ec wyja^eni³: - Wczoraj wieczorem kto^o wymieni³ pani rodowe nazwisko. Brzmi ono Crockett, prawda?

- Skin^e³a g³ow¹. - Nasi ojcowie prowadzili wspólne interesy.

- Nietrudno by³o w to uwierzy^e, Harrison Crockett musia³ bowiem zawiera^e ogromne kontrakty na dostawy stali do budowy statków.

- Mielicemy nawet biuro w San Francisco. To pi^ekne miasto, ale ja zawsze l¹dowa³em na drugim koⁿcu ^owiata i to zosta³o mi do dzie^o.

Uc^omiechn^e³a si^e do niego z rozbawieniem. - Pary^z nie jest taki straszny.

- Chyba nie - odwzajemni³ jej uc^omiech. Pary^z nie b^edzie straszny, tak jak nie by³a straszna "Normandie" ani inne miejsca, w których przebywa³.

Szkoda, łe Hillary nie podziela³a jego uczua^e, lecz w koⁿcu mia³a w³asne powody, dla których nie lubi³a wyje^zd^zaa^e.

- Pani m¹ł zosta³ wezwany do obj^ecia nowego stanowiska we Francji?

- Przynajmniej chwilowo. Nie mieszka³ tam od lat, mo^złe wi^ec uznano, łe dla odmiany troch^e czasu powinien sp^edzi^e w kraju.

- A gdzie paⁿstwo byli przed przyjazdem do Stanów?

- W Londynie, a wcz^eniej w Wiedniu.

- To też moje ulubione miasta. Mam nadzieję, że uda mi się je odwiedzić w drodze powrotnej z Berlina - powiedzia³ szczerze, jakby nie mia³ nic do ukrycia. Na twarzy Liane odmalowa³ się wyraz wielkiego zaskoczenia.

- Będzie pan mieszka³ w Berlinie?

- Nie, w Paryżu, ale w Berlinie też mam interesy. - Patrzy³ na ni¹ badawczo, jak gdyby doszukiwa³ się skrywanej reakcji. Zdo³a³ się zorientowaæ, i¹ na sam dŹwiêk s³owa "Berlin" Liane zdrêtwia³a.

- Mój interes, pani de Villiers, polega na sprzedawaniu stali, i to nie zawsze narodom, które darzê szczegôln¹ sympati¹.

Przypomina³o to s³owa Armanda, wyraz twarzy Liane mówi³ jednak za siebie.

- Ale chyba wkrótce nadejdzie czas, kiedy wszyscy bêdziemy musieli opowiedzieæ się po którejœ stronie.

- Tak - skin¹³ g³ow¹ - nadejdzie, ale jak s³ysza³em, jeszcze nie teraz.

Tymczasem mam kontrakty, z których muszê się wywi¹zaæ. Kontrakty nie tylko z Francj¹.

- Czy handluje pan równie¹ z Anglikami?

- Handlowa³em. Teraz zwi¹zali się z kim innym.

- Mo¹e nie akceptuj¹ pañskich powi¹zań z Berlinem - zauwa¹y³a Liane i uœwiadomiwszy sobie nagle, i¹ posunê³a się za daleko, obla³a się rumieñcem.

- Bardzo przepraszam... nie chcia³am powiedzieæ... nie powinienam by³a...

Jednak¹e Nick Burnham obdarzy³ j¹ niewzruszonym uœmiechem. Nie urazi³a go, ujê³a natomiast szczeroceci¹. - Byæ mo¹e ma pani s³usznocææ twierdz¹c, że nadejdzie czas, kiedy bêdziemy musieli opowiedzieæ się po którejœ stronie.

Ale na razie staram się, żeby osobiste przekonania i pogl¹dy nie mia³y wp³ywu na moj¹ pracê. Nie mogê sobie pozwoliæ na takie fanaberie. Prowadzê wielkie przedsiêbiorstwo, ale oczywiście dzielam pani uczucia - wyjaceni³, ³agodnie na ni¹ patrz¹c.

Liane poczu³a się jeszcze bardziej zaœenowana tym, co powiedzia³a. Nick Burnham by³ cz³owiekiem bardzo sympatycznym i bezpoœrednim, mia³ te¹ w sobie coœ wiêcej, jak¹œ otwartocææ, uczuwoææ, bezpretensjonalnocææ, a przy tym stanowczocææ i siê. Dawa³o się to zauwa¹yæ choæby w ³agodnym sposobie przemawiania do syna, kiedy dzieci wróci³y ju¹ z karuzeli. By³ mê¹czyzn¹, do którego mo¹na się w ka¹dej chwili zwróciæ ze œwiadomoceci¹, i¹ zawsze jest gotów do pomocy.

Odwróci³a g³owê i zobaczy³a, i¹ od drzwi spoziera na ni¹ Armand.

Pomacha³a mu, on zaœe podszed³ i wtedy Liane stwierdzi³a, że wygl¹da na równie wyczerpanego jak ostatnimi czasy w Ameryce.

- Jak tam przedstawienie? - zapyta³, czule ca³uj¹c j¹ w policzek, po czym rozejrza³ się za dziewczynkami, które razem z Johnem znowu okupowa³y karuzelê. Kiedy podszed³ do nich Nick Burnham, panowie przywitali się uœciskiem d³oni.

- Czy upora³ się ju¹ pan z codzienn¹ porcj¹ harówki, panie ambasadorze?

- Mniej wiêcej. Przynajmniej na dzie. - Uœmiechn¹³ się do Źony.

- Bardzo się czu³ace samotna w czasie lunchu, Liane?

- Bardzo, ale pan Burnham by³ tak mi³y, że zaprosi³ nas tutaj. Dzie rano dziewczynki pozna³y na basenie jego syna i szybko się z nim zaprzyjaŹni³y.

- Niepomna na resztê œwiata, ca³¹ uwagê skupi³a na Armandzie. - Gdzie Jacques? Czy mo¹e wypchn¹³ecæ go wreszcie za burtê?

- Zrobi³bym to, gdybym móg³, ale jego teczka jest niezatapialna, wiêc jak rekin œciga³aby mnie a¹ do Hawru i po¹ar³a, kiedy tylko zszed³bym na l¹d. - Liane i Nick Burnham wybuchnêli œmiechem, póŹniej zaœe we trójkê pogawêdzili trochê o statku. Tego wieczoru wystawiano w teatrze sztukê, która w Paryżu

by³a wielkim przebojem minionego sezonu, i de Villiersowie mieli ochotê zobaczyć spektakl.

- Panie Burnham, czy z ma³żonk¹ zechcieliby państwo dotrzymaæ nam towarzystwa? - zaproponowa³ Armand.

- Niestety, moja żona nie zna francuskiego - odpar³ Nick, z żalem uœmiechaj¹c siê do nowych przyjació³. - Ale z przyjemnoœci¹ wypijemy póŹniej z państwem drinka.

Liane i Armand uznali, i¹ jest to œwietny pomys³, kiedy jednak o ósmej wieczorem opuœcili salê teatraln¹, nie znaleŹli Burnhamów w Wielkim Salonie, Liane namówi³a zatem mê¹za, aby poszli do jej ulubionego pomieszczenia na statku - do ogrodu zimowego. Kiedy siedz¹c tam poœród akwariów z rzadkimi okazami ryb i klatkami pe³nymi egzotycznych ptaków, popijali szampana, Armand przyzna³, i¹ z ulg¹ przyj¹³ nieobecnoœæ Burnhamów. Perspektywa utrzymywania Hillary na dystans nie by³a zbyt nêc¹ca, chociaŹ Nick zdo³a³ wzbudziæ w nim spor¹ sympatiê. Liane w pe³ni zgodzi³a siê z mê¹em.

- Namawia³ mnie na tenisa, kiedy ty bêdziesz pracowaæ. Czy masz coœ przeciwko temu? - spojrze³a nañ ciemnoniebieskimi oczyma.

- AleŹ sk¹d! Czujê siê okropnie, kiedy zostawiam ciê skazan¹ na bezczynnoœæ.

- Bezczynnoœæ!? Na tym statku? - wykrzyknê³a ze œmiechem Liane. - Gdybym przyzna³a, Źe nie mam tu zajêcia, zas³u¹zy³abym na wieczne potêpienie.

- Czyli bawisz siê dobrze, tak?

- Znakomicie, kochany. - Przysunê³a usta do jego ucha i szepnê³a: - Zw³aszcza w tej chwili.

- To doskonale.

Na koniec powêdrowali do kawiarni, potem na pok³ad spacerowy, aŹ wreszcie dotarli do swojego apartamentu. Dochodzi³a druga w nocy i Liane niemal zasypia³a na stoj¹co.

- Czy jutro rano teŹ pracujesz?

- Obawiam siê, Źe to konieczne. MoŹe pogra³abyæ w tenisa z tym Burnhamem? Nie widzê w tym nic niestosownego - zaproponowa³ Armand.

Liane zgodzi³a siê z mê¹em. Nick nie naleŹa³ do mê¹czyzn, którzy uwodz¹ cudze żony, a bior¹c pod uwagê sytuacjê rodzin¹, mia³ aŹ nadto problemów na g³owie. De Villiersowie u³o¹zyli siê wygodnie do snu; Armand mia³ co prawda ochotê za¹daæ od żony wype³nienia ma³Źeñskich obowi¹zków, lecz zanim zdo³a³ przejszæ do czynu, pochrapywa³ juŹ cicho, zmorzony kamiennym snem.

Rozdzia³ siódmy

- Dok¹d wybierasz siê o tej porze? - Nick popija³ kawê w jadalni apartamentu, a John bawi³ siê z niani¹ na pok³adzie, kiedy w drzwiach pojawi³a siê Hillary, ubrana w bia³e spodnie i czerw¹ jedwabn¹ koszulê. Zniknê³a równieŹ poprzedniego dnia, wyjaœniwszy Nickowi, i¹ udaje siê na masaŹ do gabinetu obok basenu, a nastêpnie do kosmetyczki. Zabiegi te zajê³y jej niemal ca³y dzieñ.

- Nabra³am ochoty na spacer. - Obdarzy³a go zimnym spojrzeniem.

- Nie masz ochoty czegoœ zjeœæ?

- Nie, dziêkujê. MoŹe trochê pop³ywam. Potem coœ zjem.

- OK. Gdzie się spotkamy przed lunchem?

Zawahała się. W końcu odbywali tę podróż razem, musiały więc uczynić na jego rzecz jakiego wysiłek. - Co powiesz o kawiarni?

- Nie chcesz jeść w jadalni?

- Nasi stolikowi kompani nudzą mnie bezgranicznie. - Ubiegłego wieczoru wymówiła się od deseru i potem Nick potrzebował dwóch godzin, żeby ją odnaleźć. Zeszła na pokład turystyczny, żeby się rozejrzeć, a po powrocie uznała, że jest na nim znacznie weselej. Nick zasugerował jednak, iż nie powinna tam bywać.

- Niby dlaczego nie? - Była nieco zaskoczona i na pewno mocno porzytowana, gdy Nick wyjaśnił, że pomijać wszelkie inne względy, biżuteria, którą jest obwieszona, może ją narazić na niebezpieczeństwo. - Czy naprawdę się dżisz, że te awoki dokonają na mnie napadu?

- Nic nie odrzekł, a Hillary znowu wybuchła śmiechem. Tego popołudnia sprawiła jednak wrażenie bardziej potulnej - dopóki nie wspomniała o drinku z de Villiersami. Oświadczyła dobitnie, że uważa ich za nieznośnych nudziarzy, po czym udała się do swojego pokoju, aby opróżnić kolejną butelkę szampana.

Nick spostrzegł, że w czasie tego rejsu Hillary pije bardzo dużo, chociaż w Nowym Jorku nie stroniła od alkoholu. Tyle że tam nie widział tego tak wyraźnie; natomiast tu nietrudno było zauważyć, w jakim tempie butelki znikają z baru. Wyglądało na to, że solidnie pije dopiero w ich pokoju.

- Hil... - zaczęła, kiedy już stała w drzwiach. - Czy potrzebujesz dzisiaj towarzystwa? - Miała przecucie, że powinien dzisiaj być przy niej. Obiecała sobie przecieć, iż w czasie tej podróży wszystko będzie wyglądało inaczej. Jak dotąd jednak nie wyglądało. Nie mogło wyglądać. Nie dopuszczała go do siebie, i teraz też jak zwykle pokręciła głowę.

- Nie, dzięki. Chce wziąć przed lunchem jeszcze jeden masaż.

- Te masaże muszą być rewelacyjne. - W jego głosie znowu zabrzmiała podejrzliwość i Nick zganił się w duszy za swoje myśli. Okazywanie wspaniałej jej takiej nieufności było absurdem, choć z drugiej strony okazywała go tak często, iż teraz musiała podejrzewać ją przy każdej okazji.

- Bo i są.

- Do zobaczenia na lunchu. - Skinęła głową i nie pożegnawszy się z synem wyszła z pokoju. John pojawił się kilka minut później i rozejrzał się dokoła.

- Mama wyszła?

- Tak, znowu na masaż. Gdzieś koło basenu.

John spojrzął ze smutkiem na ojca i pokręcił głowę. - Ona nie ma pojęcia, gdzie jest basen. Chciałbym jej pokazać, ale mówiła, że ma coś innego do roboty.

Nick skinął mechanicznie głową, jakby nie słyszał słów syna, lecz przecieć usłyszał ją za wiele. A więc jednak. Znowu to samo. Nie, nie ma przecieć pewności. I z kim? Gdzie? W klasie turystycznej? W kabinie? Nie mógł tropić jej wszędzie. Postanowił stawić Hillary czoło podczas lunchu, teraz jednak skoncentrował uwagę na synu.

- Chcesz obejrzeć psy?

- No jasne. - Młec rozpromieniła się i ruszyli na górny pokład spacerowy, gdzie wyprowadzano z tuzin francuskich pudli, jednego doga, dwa małe szpetne mopsy i pekińczyka. John uznał za stosowne pogłaskać każdego z nich, kiedy jego ojciec, pogrzebony w rozmyśleniach, spoglądał na morze. Zastanawiała się, gdzie, u diabła, podziewa się jego żona. Chciałaby

przetrz¹sn¹æ ca³y statek, ale jaki mia³oby to sens? Tê bitwê, toczon¹ już od dziewięciu lat, przegra³ dawno temu. Wiedzia³ o tym aż za dobrze. Tu, na statku, by³a taka sama jak w Nowym Jorku czy Bostonie; zepsuta do szpiku kości. Jedynym powodem do wdzięczności wobec niej by³ syn. Spojrza³ na Johna i uśmiechn¹³ się. Ch³opiec tuli³ w³acenie jednego z zabawnych, poparskuj¹cych mopsików.

- Tato, czy bête móg³ mieć psa w Paryżu?
- Może. Musimy tylko się przekonać, jaki jest ten dom.
- Naprawdę bête móg³? - Oczywiście niemal wysz³y z orbit, a Nick wybuchn¹³ ęmiechem.
- Zobaczmy. A teraz może odstawisz swojego nowego przyjaciela? Pójdziemy do pokoju zabaw, poszukam innych znajomych.
- OK. Ale wrócimy tutaj?
- Jasne. - Kiedy odchodzili, Nick k¹tem oka dostrzeg³ kort tenisowy i przypomnia³ sobie o zaproszeniu, które z³oży³ Liane. Jej m¹ż zdawa³ się nie mieć żadnych obiekcji, on zaczął chętnie rozegra³by jakiś mecz, może dwa, żeby wytr¹sn¹æ z siebie gniew. Alternatyw¹ bowiem by³o rzucanie czymś o ścianę. Musia³ znaleźć coś, co pozwoli³oby mu ukoić nerwy. Niemal ża³owa³, że nie spotka³ dot¹d męczyzny, z którym móg³by sobie pogadać. Hillary mia³a jednak s³usznocę przynajmniej w tej jednej kwestii - ich współbiednicy byli niewiarygodnymi nudziarzami. Niebawem wysokie koszty podróży sprawiały, że na pok³adzie niemal w ogóle nie by³o m³odych ludzi, a już na pewno nie by³o ich w pierwszej klasie. Pasażerowie tej klasy - wybitni dziennikarze i pisarze, adwokaci i bankierzy, muzycy i dyrygenci - przeważnie osi¹gnęli s³uszny wiek już wiele lat temu i Nick nie miał tu żadnych rówieśników, poza żon¹ ambasadora i jego w³asn¹. By³ wprawdzie przyzwyczajony do statusu naj³odszeego w towarzystwie, ale w tej chwili wcale go ten status nie cieszył. Chcia³by mieć przyjaciela mniej więcej w swoim wieku.

Odprowadzi³ syna na dół, do sali zabaw, gdzie wypatrzy³ córeczki de Villiersów, a potem, po chwili wahania, postanowi³ spacerować się po pok³adzie obok restauracji i tam na awce dostrzeg³ Liane, która czyta ksi¹żkę. Mia³a pochylon¹ głowę, a wiatr rozwiewa³ jej włosy. Waha³ się przez chwilę, czy do niej podejść, ale w końcu się na to zdecydowa³.

- Cześć. - Zdumiona podnios³a głowę, a potem uśmiechnę³a się na jego widok. Mia³a na sobie różowy kaszmirowy sweter, popielate spodnie i podwójny sznur pereł. By³ to strój bardzo nieformalny, odpowiedni najwyżej na spacer po promenadzie, ale Liane chwilowo nie miała żadnych innych planów. - Przeszkadzam pani? - Sta³ przed nią z rękoma w kieszeniach białych flanelowych spodni.
- Ale sk¹d. - Zamknę³a ksi¹żkę, a Nick usiad³ obok niej.
- Czy pan ambasador jest już zajęty prac¹?
- Oczywiście - odpar³a. - Jego sekretarz pojawia się każdego dnia o dziewiętej z takim ogromnym bosakiem i wyciąga nim Armanda bez względu na to, czy zjad³ już śniadanie, czy też nie. - Nick uśmiechn¹³ się, bez trudu wyobrażaj¹c sobie tę scenę.
- Widziałem go wczoraj i muszę przyznać, że nie wygląda na zabawnego gościa.
- Bo nim nie jest, ale niew¹tpliwie pewnego dnia wyrocznie zeń doskonały ambasador. Dzięki Bogu, Armand nigdy taki nie by³.
- Gdzie się państwo poznali? - By³o to pytanie nieco zbyt bezpośrednio, de Villiersowie jednak do tego stopnia intrygowali Nicka, że nie mógł się

powstrzymaæ nawet od impertynencji. By³o oczywiste, ¿e³¹czy ich wiêŸy
szczególnego rodzaju - pomimo ró¿nicy wieku, ogólnej sytuacji i ogromu
pracy Armanda. Liane najwyraŸniej rozumia³a koniecznoœæ tej pracy i zawsze
cierpliwie czeka³a na mê¿a. Nick zastanawia³ siê, gdzie mo¿na znaleŸæ tak¹
kobietê. Mo¿e wystarczy nie poddaæ siê frontalnemu atakowi
dziewiętnastoletniej debutantki? A jednak z wieku starszej córki de
Villiersów wynika³o, ¿e Liane tak¿e wysz³a za m¹¿ bardzo m³odo; teraz nie
mog³a mieæ wiêcej ni¿ trzydzieœci lat. W istocie liczy³a ju¿ trzydzieœci
dwa, zawsze jednak by³a dojrza³a nad wiek i nawet dawno temu dostatecznie
doros³a, ¿eby wyjœæ za m¹¿; w przeciwieœtnie do Hillary - zawsze zepsutej
i dziecinnej.

- Poznalicemy siê w San Francisco, kiedy by³am bardzo m³oda.

- Wci¹¿ pani jest.

- Och, nie - rozcemia³a siê. - Mia³am wtedy piêtnaœcie lat i...

- Zawaha³a siê, ale na statku cz³owiek czêsto mówi obcym ludziom rzeczy,
których w innych okolicznoœciach nie wyzna³by nikomu za skarby œwiata.

Teraz i Liane pad³a ofiar¹ tej magii, spojrze³a wiêc na Nicka szeroko
otwartymi b³êkitnymi oczyma. - Armand by³ mê¿em kobiety, któr¹ bardzo
kocha³am. Moja matka zmar³a w czasie porodu, a Odile niemal mi j¹
zastêpowa³a. Armand pe³ni³ wówczas funkcjê konsula generalnego w San
Francisco.

- Rozwiedli siê? - Nick by³ zaintrygowany coraz silniej; Liane wydawa³a
mu siê wcielon¹ niewinnoœci¹, nie zaœ burzycielk¹ stade³ i zupe³nie nie
pasowa³a do takiego scenariusza. Ona jednak pokrêci³a g³ow¹.

- Nie. Umar³a, kiedy mia³am osiemnaœcie lat. Dla Armanda by³ to potworny
cios, podobnie zreszt¹ jak dla mnie i mojego ojca. Nie mog³am siê z tego
otr¹sn¹æ niemal przez rok.

- I Armand zakocha³ siê w pani. - Teraz ca³a historia zaczyna³a brzmieæ
sensownie.

Liane odp³ynê³a myœlami w przesz³oœæ, jej oczy mia³y nieobecny wyraz, a
usta u³o¿y³y siê w czu³y uœmiech. - To wszystko nie sta³o siê tak szybko.
Potrzebowalicemy roku albo dwóch, ¿eby uzmys³owiaæ sobie, jak bardzo jesteœmy
sobie bliscy. Mia³am dwadzieœcia jeden lat, kiedyœmy siê wreszcie do tego
przyznali i nast¹pi³y zarêczyny.

- A potem wziêlicie œlub, aby ¿yæ d³ugo i szczêeliwie. - Coraz bardziej
podoba³a mu siê ta historia. Jak z bajki. Liane jednak znowu pokrêci³a
g³ow¹.

- Nie. Tu¿ po og³oszeniu naszych zarêczyn Armand zosta³ przeniesiony do
Wiednia, mój ojciec zaœ upar³ siê, abym skończy³a studia w Mills. -
Uœmiechnê³a siê do Nicka. - By³ to dla nas d³ugi rok, ale jakoœ zdo³alicemy
go przetrwaæ. Pisywalicemy do siebie codziennie, a kiedy tylko dosta³am
dyplom, Armand przyjecha³, wziêlicemy œlub... no i tak to posz³o. -
Uœmiechnê³a siê szeroko. - Wiedeñ to cudowne miejsce, bylicemy tam
szczêeliwi, podobnie zreszt¹ jak póŸniej w Londynie. W Wiedniu urodzi³a siê
Marie-Ange, w Londynie zaœ Elisabeth; potem przenieœlicemy siê do Stanów.

- Ojciec pani musia³ byæ z tego powodu szczêeliwy. - I od razu uœwiadomi³
sobie, ¿e pope³ni³ b³¹d, skoro ojciec Liane nie ¿yje od ponad dziesiêciu
lat.

- Nie, ojciec ju¿ nie ¿y³. Umar³ tu¿ po narodzinach Elisabeth.

- Uœmiechnê³a siê czule. - Dzisiaj wydaje siê to odleg³¹ przesz³oœci¹.

- Czêsto bywa pani w San Francisco?

- Nie, to nie jest ju¿ moje miasto. Wyje¿d¿a³am stamt¹d na zbyt d³ugie

okresy, teraz mieszka tam tylko mój wuj. Nigdy nie byliśmy sobie specjalnie bliscy i... - jej głos przycichł - mój dom jest tam, gdzie przebywa Armand.

- Wielki z niego szczęściarz.

- Nie do końca. - Zażeniam się. - Nawet w bajkach ciężki pech się wertepów. Jestem równie trudna jak każda inna kobieta. Armand to bardzo dobry, bardzo młody i bardzo czuły mężczyzna. Miałam szczęście, że byłam z nim przez wszystkie te lata. Mój ojciec uważa, że nie mogłabym osiągnąć takiego porozumienia z rówieśnikiem. I teraz jestem pewna, że miałam szczęście. Zbyt długo przebywałam tylko z ojcem.

- Czy pani mi bardzo przypomina? - Jeszcze teraz, po wysłuchaniu całej historii, byłam zaintrygowana historią de Villiersów.

- Nie, wcale nie, ale ojciec dobrze mnie przygotował. Prowadzę mu dom, słucham, jak dyskutuję z wujem o problemach związanych z interesami. Trudno byłoby mi zamienić tamto życie na coś mniejszego formatu.

- Jest pani jedynaczką?

- Tak.

- Jak moja siostra. Hillary jednak jest dużo mniej odpowiedzialna niż pani, nie potrafi zrozumieć wymogów realnego świata. Dorastała, każdego dnia oczekując Gwiazdki, przyjęcia urodzinowych, balów. Takie radości się oczywiście niebędą, ale nie stanowił przeciętnej esencji prawdziwego życia.

- To bardzo piękna dziewczyna. Nic dziwnego, że jest rozpieszczona. Takie kobiety często oczekują od życia czegoś innego, niż jest ono w stanie im dać. - Chciałabym zapytać: "A pani? Dlaczego pani taka nie jest?" Liane też była piękna, ale piękna w inny sposób; cichy, spokojny, bardziej kobiecy. Przyszło mu jednak do głowy coś innego.

- Wie pani, to dziwne, że nigdy się nie spotkaliśmy, skoro nasi ojcowie prowadzili wspólne interesy, a my jesteśmy w końcu mniej więcej w jednym wieku. - Amerykańskie elity istotnie tworzą zwarte grupy. Może gdyby studiowała na Wschodzie, spotkałaby ją na jakimś przyjęciu, ponieważ jednak Liane studiowała w Mills, Nick natomiast - i to wcześniej - w Yale, nie dane było im się spotkać. Nastąpiło to dopiero teraz, na "Normandie", na pewnym morzu.

- Mój ojciec przez wiele lat był prawie jak pustelnik. Nie poznałam zbyt wielu osób, z którymi miałam do czynienia. W gruncie rzeczy nigdy nie doszedł do siebie po śmierci matki. Prawdziwy cud, że poznałam Armandą i Odile, a i to tylko dlatego, że ojciec chciał, abym popisała się swoim francuskim. - Przypomniała sobie relację Odile z pierwszego spotkania z Harrisonem, po tym zaś wspomnieniu napłynęły inne i Liane z najwęższym trudem ponownie skierowała swój uwagę na Nicka. - Nawiasem mówiąc, gdzie jest pani Burnham? - Nie było to pytanie impertynenckie, kiedy jednak dostrzegła wyraz twarzy Nicka, poróżniła się, że w ogóle padło. W tych oczach było bowiem jakieś tajemnicze coś.

- Chciała wziąć masaż i dlatego w końcu postanowiłam odszukać panią. - Liane wydawała się zaskoczona jego słowami; odłożyła książkę na bok. - Chciałam podjąć próbę namówienia pani na mecz tenisa, o którym rozmawialiśmy wczoraj. Czy nie słodzi pani, że to interesujący pomysł? W końcu byłam na kortach. John chciał pogłodać piekna. Tak czy inaczej: czy zrobię coś pani od lektury?

Zastanawiam się przez moment, a potem zerknęła na zegarek.

- W południe jestem umówiona z Armandem na lunch. Obiecała, że dzisiaj zrobię wcześniej wolną od pracy.

- Doskonale. Ja o pierwszej spotykam się w Grillu z Hillary. A zatem

zagrajmy.

Uśmiechnęła się do Nicka. Nie miała żadnego przyjaciela od lat, w gruncie rzeczy od chwili, kiedy poznała Armanda. Byłoby zabawne, gdyby teraz nagle znalazła kompana do tenisa.

- Pobiegnę się przebrać i spotkamy się na kortach.

- Za dziesięć minut? - Spojrzała na swój zegarek, wykonane przez Cartiera małe arcydzieło ze złota i czarnej emalii.

- Doskonale. - Wstali oboje, poszli do swoich pokojów, a dziesięć minut później spotkali się na kortach: Liane w plisowanej spódniczce, ukazującej do połowy jej smukłe uda, on zaś w doskonale skrojonych białych szortach i swetrze narzuconym na koszulkę od Braci Brook. Prowadzili lekkie, beztrudne grę. Nick zdobył wprawdzie dwa gemy, ale pod koniec Liane zaskoczyła go i pokonała 6:2, czemu towarzyszył okrzyk zwycięstwa i uścisk dłoni nad siatką. Nagle obydwójce poczuli się szczęśliwi, wolni i młodzi.

- Okamnie pan, jest pan doskonały. - Pogratulowała mu, wciąż zadyszana po meczu, ale też zrelaksowana do bólu.

- Wcale nie. To pani jest świetna. - Był to sposób odreagowania, którego od dawna potrzebowała, i teraz czuła się znacznie lepiej.

- Dzięki, potrzebowałam czegoś w tym stylu.

Obrzuciła spojrzeniem jego postawioną sylwetkę. - Musi się pan czuć tu jak więzień, bo statek, bez względu na swój rozmiar, to w końcu przestrzeń zamknięta. Ja jestem zbyt leniwa, żeby zwracać na to uwagę, ale z panem sprawa zapewne wygląda inaczej.

- W gruncie rzeczy nie. Po prostu zamykam się w sobie od czasu do czasu.

Mam na głowie mnóstwo spraw. - Przypomniała sobie o kontraktach, które miała w Paryżu i w Berlinie; teraz już ta kwestia nie wydawała się jej tak istotna.

Nick był miłym facetem, przypuszczalnie również uczciwym i prawym. Trudno było nie darzyć go sympatią i Liane pojęła, że w jego towarzystwie czuje się doskonale. - Tak czy owak, ogromnie dziękuję.

- Zawsze do pańskiej dyspozycji - odparła z uśmiechem.

- Może to doskonałe antidotum na te góry jedzenia.

Uśmiechnęła się. - A zatem zagrajmy jeszcze raz. Jutro o tej samej porze?

- Doskonale. - Zerknęła na zegarek. - Teraz naprawdę muszę już lecieć albo spójrzeć na powrót Armanda.

- Proszę go serdecznie pozdrowić - krzyknęła za nią, kiedy już biegła w stronę apartamentu Trouville.

- Na pewno to zrobię. I miłego lunchu. - Pomachała mu ręką i zniknęła, on zaś stał dłuższą chwilę przy relingu, rozmyślając o wszystkim, co mu powiedziała. Podobała mu się historia de Villiersów i Armand rzeczywiście był dla Liane idealnym partnerem...

Ona przynajmniej nie miała w tej kwestii żadnych wątpliwości. W przeciwieństwie do Hillary, która około trzynastej powitała Nicka przy barze z wyrazem twarzy człowieka oczekującego nieuchronnego kataklizmu.

- Masaż był przyjemny? - Skinął na kelnera i oboje zamówili drinki.

- Bardzo.

- Gdzie, jak powiadasz, znajduje się ta przyjemność? - Pozornie niewinnie mieszała drinka, ale wpiła się wzrokiem w jej oczy.

- Chcesz mnie sprawdzić, Nick?

- Nie wiem, Hil. Myślisz, że powinienem?

- A co za różnica, czy brałam ten masaż, czy nie? - Uciekła wzrokiem, jakby była znużona patrzeniem na nią, co jednak w jej piersi zatrzepotało nerwowo.

- Różnica polega na tym, czy mnie ok³amujesz, czy nie. I mówi³em ci, ¿e wszelkie twoje wyskoki na tym statku natychmiast stan¹ siê tajemnic¹ publiczn¹. Mam wra¿enie, ¿e zbyt du¿o czasu spêdzasz w drugiej klasie i chcia³bym po³o¿yæ temu kres.

- G³upi snob. Nasze towarzystwo to po prostu kupa wykopalisk. Na dole s¹ przynajmniej m³odsi faceci, ludzie, z którymi mogê sobie pogadaæ.

Zapomnia³eœ, mój drogi, ¿e nie jestem tak posuniêta w latach jak ty.

- Nie jesteœ równie¿ tak bystra. Miej to na uwadze. By³oby ¿enuj¹ce, gdybym musia³ zamykaæ ciê w kabinie. - Oczy Nicka p³onê³y, Hillary jednak wybuch³a œmiechem.

- Nie b¹dŸ durniem. Musia³abym jedynie zadzwoniæ na pokojówkê. I jak to sobie w³œciwie wyobra¿asz? - e przywi¹¿esz mnie do ³o¿ka?

- Odnosê wra¿enie, ¿e w tej kwestii podjê³aœ ju¿ w³asne starania. Z kim spotykasz siê na tym statku, Hil? Jakieœ stary przyjaciel z Nowego Jorku czy te¿ ktoœ nowy?

- Nic z tych rzeczy. Po prostu grupka m³odych mê¿czyzn podró¿uj¹cych nieco mniej deluxe.

- A zatem wyœwiadczy mi przys³ugê i daj im buzi na po¿egnanie. Nie róbcie sobie poœmiewiska, odgrywaj¹c nieszczêeliw¹, bogat¹ panienkê, odwiedzaj¹c¹ plebejuszy.

- Oni tego tak nie odbieraj¹.

- Nie rêcz za to g³ow¹. To stary numer. W m³odoœci sam czêsto odgrywa³em go na statkach, ale ja by³em wtedy na uniwersytecie i nie mia³em ¿ony. Nie chcia³bym ci prawiaæ mora³ów, Hil, ale nie jesteœ ju¿ panienk¹ i nie nale¿ysz do pok³adu A. Twoje miejsce jest tutaj. Rozumiesz, ¿ycie mog³oby byæ dla ciebie gorsze.

- Niewiele gorsze. - Znów wygl¹da³a jak znudzona dziewczynka. - Jestem tak wykończona, ¿e chce mi siê p³akaæ.

- Zatem p³acz. Ju¿ za dwa dni bêdziemy w Pary¿u, jakoœ wytrzymasz... - Nic nie odrzek³a. Zamówi³a kolejn¹ szkock¹, na lunch zjad³a zaledwie pó³ kanapki, a potem w towarzystwie mê¿a, który mia³ nadziejê odwróciæ jej uwagê od nowych przyjació³, odby³a rundê po sklepach. Kiedy jednak Nick zszed³ nad basen, aby sprawdziæ, jak bawi siê John, Hillary zniknê³a.

Siedzia³ w jej kabinie, dopóki nie wróci³a, aby siê przebraæ. Kiedy ju¿ stanê³a w drzwiach, poczu³, ¿e traci kontrolê nad sob¹, ¿e wpada we wœciek³oœæ. Jego d³oñ sama unios³a siê do ciosu. Na szczêœcie w ostatniej chwili dostrzeg³ Johna, który zagl¹d³ do ich pokoju. Natychmiast siê opanowa³. Niejednokrotnie Hillary doprowadza³a go do ostatecznoœci, ale po raz pierwszy podniós³ na ni¹ rêkê. Gestem zaprosi³ j¹ do œrodka. Widzia³, ¿e du¿o wypi³a, i nagle poczu³ siê tak, jakby to on zosta³ spoliczkowany. Na szyi mia³a œlad po ugryzieniu. Chwyci³ j¹ za ramiona, przyci¹gn¹³ do lustra i kaza³ siê przejrzeæ.

- Jak œmiesz wracaæ do mnie w tym stanie, ty ma³a kurewko?! Jak œmiesz?!

- By³ pewien, ¿e przez œcianê John s³yszy ka¿de jego s³owo, ale ostatecznie straci³ ju¿ panowanie.

Wyrwa³a siê z jego r¹k.

- Co mia³am zrobiæ? Zostaæ na dole?

- Powinnaæ by³a.

- Mogê tam wróciæ.

- Na rany boskie, Hil, co siê z tob¹ dzieje? Nie masz w sobie krztyny wstydu? Czy musisz w³aziæ do ka¿dego ³o¿ka, które zobaczysz na swojej drodze? - Tym razem to ona unios³a rêkê i wymierzy³a mu policzek.

- Już ci mówi³am. Zrobi^ê wszystko, na co, do kurwy nêdzy, mam ochotê. Nie jeste^æ moim w³acécielem, ty skurwysynu. Tak czy owak, przejmujesz siê tylko swoimi hutami, swoimi cholernymi kontraktami, swoj¹ pieprzon¹ dynasti¹, której dziedzicem pewnego dnia zostanie John. I co ja z tego wszystkiego mam? Co mnie obchodzi to ca³e imperium? Gównu! Rozumiesz? Gównu mnie obchodzi i ono, i ty!

- Zamilk³a, œwiadoma, ζ e powiedzia³a zbyt wiele. W oczach Nicka, kiedy odwróci³ siê do niej plecami, zab³ys³y ³zy. Nic nie odpowiedzia³, wyszed³ w milczeniu na taras, Hillary za^æ chwilkê œledzi³a go wzrokiem, a potem pod¹ ζ y³a za mê ζ em. Stanê³a za Nickiem, który przechyla³ siê przez reling, i powiedzia³a st³umionym g³osem: - Przepraszam ciê, Nick.

- Daj mi spokój. - Sprawia³ wra ζ enie zranionego dziecka i przez moment Hillary poczu³a w sercu nieokreœlony ból, cho^æ przecie ζ w jej oczach Nick by³ najgorszym wrogiem, jakiego kiedykolwiek mia³a. Chcia³ utrzyma^æ j¹ w kajdanach, gdy ona pragnê³a wolnoœci. Odwróci³ siê do niej ze ³zami w oczach. - Wracaj do œrodka.

- P³aczesz - stwierdzi³a z zaskoczeniem.

- Tak, p³aczê. - Nie by³ tym zawstydzony, co zaszokowa³o j¹ jeszcze bardziej. Mê ζ czy³ni przecie ζ nie p³acz¹, a zw³aszcza silni mê ζ czy³ni, tacy, jakich zna³a. Nick Burnham jednak p³aka³, cho^æ by³ najsilniejszy z nich wszystkich. Ale Nick nie rozpacza³ przez Hillary. Nie przez Hillary. P³aka³ - z powodu swojej g³upoty. G³upoty, która sprawi³a, ζ e poœlubi³ tê kobietê. - Ta gra jest ju ζ skończona, Hil.

- Chcesz rozvodu? - Wydawa³a siê niemal zadowolona i nie usi³owa³a go niczym pocieszy^æ.

Wpi³ siê wzrokiem w jej oczy. - Nie, nie chcê. I pozwól, ζ e powiem "ci to ju ζ teraz. Nigdy nie bêdê chcia³. Jedyne rozwi¹zanie tego ma³ ζ eñstwa to twoje odejœcie. Samotne odejœcie. Kiedy to uczynisz, rozwiodê siê bezzw³ocznie. Ale do tego momentu jeste^æ moj¹ ζ on¹. Na dobre i z³e. Zapamiêtaj to sobie. A od tej chwili gównu mnie obchodz¹ twoje poczynania.

- To znaczy, ζ e jeœli siê rozwiedziemy, mam ci zostawiæ Johnny'ego? - W jej g³osie brzmia³o niedowierzanie.

- W³acenie.

- Nigdy tego nie zrobiê.

- Dlaczego nie? Obchodzi ciê jeszcze mniej ni ζ ja. - By³o to zwyk³e stwierdzenie faktu, Hillary jednak nie zamierza³a mu przytakn¹æ. Nie teraz. - Nie zrezygnujê z niego. - W jej g³osie pobrzmiwa³ teraz upór.

Nick zawsze rozpieprza³ jej ζ ycie; mami³ j¹ perspektyw¹ rozvodu tylko po to, ζ eby powiedzia^æ, i ζ dostanie ten rozwód, jeœli zrezygnuje z syna. - Nawet mi to przez myœl nie przesz³o.

- Dlaczego nie? - Zauwa ζ y³, ζ e znalaz³a w sobie tyle przyzwoitoœci, ζ eby zas³onia^æ szyjê chust¹. Nagle znowu poczu³, ζ e chcia³by j¹ uderzy^æ.

- Co by sobie ludzie pomyœleli?

- A czy ciebie to w ogóle obchodzi?

- No pewnie, ζ e obchodzi. Pomyœl¹, ζ e jestem pijaczk¹ czy kimœ w tym stylu.

- W³acéciwie jeste^æ pijaczk¹. I, co gorsza, dziwk¹.

- Jeœli bêdziesz mnie l ζ y^æ, skurwysynu, nigdy nie dostaniesz swojego syna.

- Cól, bêdê to mia³ na wzglêdzie. Mo ζ esz siê wyrwa^æ w ka ζ dej chwili, ale bez niego. - Już chcia³a odpowiedzia^æ mu jak¹œ jadovit¹ uwag¹, ale pojê³a, ζ e jest wobec niego bezradna. Staraj¹c siê o rozwód, musia³aby powo³æ siê

na jego niewierność, a podobnych oskarżeń nigdy nie zdołałaby dowiedzieć. Nick zawsze był jej wierny, o czym świadczą gwałtowność, z którą brał ją od czasu do czasu, po daniu, jakie okazują mężczyźni dziewczynom pozbawieni kobiet. Ton był w swojej własnej, bezsilnej wściekłości, weszła do pokoju. Nigdy już nie dostanie od Nicka tego wszystkiego, co pragnęła dostać. Nigdy. Teraz doskonale zdawała sobie z tego sprawę. I dlaczego miałaby zostawić mu Johna? Za kilka lat syn u boku mógłby być nawet zabawny. Pewnie by go lubił, tak samo zresztą jak jego przyjaciół. Ona po prostu nie przepadała za dziećmi, ot i wszystko. Nigdy nie odda go Nickowi. Nigdy. Nie zdołałaby tego przekonać. Ludzie wytykaliby jej palcami przez całe lata, mówił, że Nick ją wyrzucił, a tego nie potrafiłaby znieść. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek się z Nickiem rozstała, wszyscy będą wiedzieli, że to ona go porzuciła.

Nick bardzo długo samotnie stał na pokładzie, usiłując uspokoić myśli. Zdawała sobie sprawę z tego, iż nadszedł kolejny punkt zwrotny. Po raz pierwszy rozmawiali poważnie o rozwodzie. Nawet tu, na statku, nie mogła się powstrzymać od wzięcia facetom do ręk. Poznała ją dogłębnie i wiedziała, że już nigdy się przed nią nie otworzy. Może z czasem Hillary się znudzi, może ucieknie, zostawiając mu Johnny'ego. Mógłby zapewnić dziecku szczęśliwe życie, bez względu na to, czy ożeni się ponownie, czy też nie. Teraz jednak nie warto o tym myśleć. Był żonaty z Hillary, bez względu na wszelkie udręki, jakie niesie za sobą ten fakt. Stała się wpatrując się w zachód słońca, i rozmyślała o swoim życiu, a wreszcie wróciła do środka i zamknęła za sobą drzwi apartamentu Deauville.

Dopiero wtedy, ogarnięta udręką, żenowaniem i bólem Liane mogła wstać z łóżka na tarasie apartamentu Trouville. Kiedy Burnhamowie wyszli na swój taras, nie dostrzegli jej ani też nie usłyszeli, ona zaczęła nie znalazła w sobie odwagi, aby poruszyć się czy przemówić. Za nic nie chciała, by zdali sobie sprawę z jej obecności. Zwłaszcza Nick. Kiedy już usiadła w swoim pokoju, ogarnęła ją głębokie współczucie dla tego mężczyzny. Jakże samotne i bolesne wiódł życie! Co teraz zrobić? Na jaki potworny los skazała go ta kobieta!

- Mój Boże, kto umarł? - Armand wszedł do pokoju i pocałował żonę, która siedziała przy toalecie, wbijając wzrok w podłogę.

- Co?... Och, to ty. - Usiłowała się ucieszyć, ale bez powodzenia. Zawsze bardzo głęboko przejmowała się tragediami bliźnich.

- Czy spodziewała się kogoś innego?

- Nie, oczywiście, że nie. - Ucieszyła się w końcu, ale Armand już wiedział, że coś jest nie w porządku.

- O co chodzi, kochanie?

Spojrzała nań z rozpaczą. - Tak się zorientowałam, że byłam świadkiem czegoś przerażającego.

- Czy komuś stała się krzywda? - Na twarzy Armanda pojawił się wyraz troski.

- Nie, to była scena pomiędzy Nickiem Burnhamem a jego żoną.

- Och, Boże, kłótnia małżeńska? Jak w niej wdepnęła?

- Siedziałam na tarasie i czytałam książkę. Burnhamowie wyszli, nie wiedziałam, że tam jestem. I usłyszałam wszystko. Ona chyba śpi z jakimś facetem na statku.

- Nie jestem tym zaskoczony. Ale to także jego wina. Widocznie nie kontroluje jej poczynań.

- Co ty mówisz? - Była zszokowana. - Co z niej za kobieta, skoro robi

podobne rzeczy?

- Ma³a kurewka, jak przypuszczam. Widocznie już wcześniej pozwala³ jej na to. - Liane podejrzewa³a, iż Armand ma ca³kowit¹ s³usznocæ.

- Ale jednak... ten biedak, Armandzie... No i oskarża³ j¹, że nie przejmuje się ich synkiem. - W oczach Liane pojawił³y się ³zy i Armand przytulił³ j¹ do siebie.

- Teraz chcesz przysparzyć ich obu i namówić, żeby zamieszkali razem z nami we Francji. Och, Liane, s³odka dziecino, masz bardzo miękkie serce. Œwiat jest pełen ludzi podobnych do Burnhamów. Wiodł¹ koszmarne, obrzydliwe życie.

- Ale Nick to mi³y cz³owiek, nie zas³uguje na taki los.

- Zapewne nie zas³uguje. Tak czy owak, nie współczuj mu zbyt mocno. Na pewno sam potrafi zatroszczyć się o siebie, ty zaś masz inne zmartwienia. - Armand zna³ kobiety, wiezia³, że często odczuwa¹ większy ból niż osoby, którym współczuj¹ - chcia³ ochronić Liane przed podobną sytuacją. Pod wieloma względami wciąż by³a naiwna jak dziecko i niejednokrotnie czu³ się w obowiazku bronić j¹ przed nim samym. - Co za³ożysz na dzisiejszą galę?

- Nie wiem... ja... och, Armandzie... jak możesz myśleć o takich b³ahostkach?

- A co mam robić? Zaproponowa³, że pójdę do nich i zastrzelę pani Burnham?

- Nie - rozeemia³a się. - Ale... ten biedny cz³owiek... i to dziecko...

- Przestań o tym myśleć. Maj¹ w końcu siebie, ona natomiast może po prostu któregoś dnia ucieknąć z jakimś facetem. By³oby to zapewne dla nich b³ogosławieństwem. A teraz przestań angażować się z takim zapamiętaniem w rodzinne kłótnie Burnhamów, bo ca³kiem możliwe, że oni sami oddają się w³acenie namiętnemu uprawianiu mi³oeci. Może Hillary podoba mu się taka, jaka jest.

- W¹pię.

- A sk¹d możesz wiedzieć? - Uważnie przyjrza³ się żonie, zastanawiając się, czy pod tym wszystkim nie kryje się coś więcej.

Uzna³ jednak, że nie.

- Gra³am z nim dzisiaj w tenisa. Pyta³ o nas, a z tego, co mówi³ o sobie wywnioskowa³am, że nie s¹ szczęśliwym małżeństwem.

- To przynajmniej dowodzi, że dopisuje mu zdrowie psychiczne. To jego problem, nie nasz. A teraz chcia³bym, żebyście już o wszystkim zapomnieli. Masz ochotę na lampkę szampana? - Po chwili wahania skinę³a g³ow¹. Armand przyniósł dwa kieliszki szampana i czule poca³owa³ żonę w policzek, szyć, usta, a wtedy Liane wyrzuciła z myśli oboje Burnhamów. Armand miał s³usznocæ; nic nie mog³a w tej sprawie robić. - A teraz wreszcie powiedz, co za³ożysz na dzisiejszą galę. - Znow mieli zasiadać przy kapitańskim stole, ten wieczór zaś był najważniejszy w ciągu całej podróży. Nazajutrz mia³ się odbyć bal połączony, za dwa natomiast dni dotr¹ do Hawru.

- Myśla³am o tej czerwonej...

- Będziesz wygl¹dać bajecznie. - B³ysk w jego oczach potwierdził szczerocæ s³ów.

- Dziękuj. - Usiadła przy toalecie i rozbierała się, obserwowała Armanda w lustrze. - Skończył³ już pracę?

- Mniej więcej. - Celowo nie udzielił precyzyjnej odpowiedzi.

- Cóż to znaczy?

- Zobaczymy.

- Ale idziesz na dzisiejszą galę, prawda? - Przez chwilę na jej twarzy

goœci³ niepokój.

- Oczywiście. - Podeszed³ do Liane, poca³owa³ j¹ w ramiê i kark.
- Byæ moŹe nie bêdê jednak móg³ zostaæ do koñca.
- Zamierzasz pracowaæ z Perrierem po gali. - Nagle poczu³a, Źe ma dosyæ tego rejsu, ci¹g³ej nieobecnoœci Armanda, ludzi na pok³adzie. Chcia³a juŹ byæ we Francji albo wróciæ do domu.
- MoŹe bêdziemy musieli popracowaæ jeszcze chwilê. Zobaczymy, jak d³ugo to potrwa.
- Och, Armandzie... - Nie mia³a juŹ nawet si³y, Źeby cokolwiek powiedzieæ.
- Wiem, wiem. Czasami mam wraŹenie, Źe nie widujê ciê wcale. Chcia³em, Źeby ten rejs by³ nasz¹ drug¹ podróŹ¹ poœlubn¹, ale mia³em tak¹ masê roboty, Liane, naprawdê... staram siê ze wszystkich si³.
- Wiem. Nie zamierza³am robiæ ci wyrzutów. S¹dzi³am po prostu, Źe dzie wieczorem...
- Ja teŹ tak myœla³em. - Perrier jednak przygotowa³ duŹo wiêcej materia³ów, niŹ Armand siê spodziewa³. W³œciwie nie mia³ czasu odetchn¹æ pomiêdzy ich kolejnymi konferencjami, lecz musia³ siê z tym pogodziæ, nie licz¹c siê z uczuciami Liane. - No, zobaczymy. MoŹe po uroczystoœci bêdê zbyt pijany, Źeby wracaæ do pracy.
- Inspirujesz mnie do uknuœcia spisku.
- Ani siê waŹ. - Uœmiechn¹³ siê do Źony, która posz³a przygotowaæ k¹piel.

W apartamencie Deauville dok³adnie w tej samej chwili Hillary nala³a sobie kolejn¹ szklaneczkê szkockiej. By³ to dla niej ciêŹki dzieñ, ciêŹszy niŹ s¹dzi³ Nick. Facet z drugiej klasy by³ tak brutalny, Źe omal nie skrêci³ jej karku. Utrzymywa³ z uporem, Źe nie wiedzia³, iŹ jest mêtatk¹, a kiedy juŹ dostrzeg³ jej obr¹czkê, oœwiadczy³, Źe ofiarowuje ma³y prezent jej ma³Źonkowi. Niez³y podarunek - œlad na szyi sta³ siê powodem od dawna unikanej sceny. Na swój sposób ta sytuacja przynios³a jej ulgê, mniej podoba³o siê jej jednak to, co powiedzia³ Nick.

Patrzy³ teraz na ni¹ wzrokiem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu.

Wzgl¹da³, jakby w ci¹gu kilku godzin postarza³ siê o wiele lat.

- Czy jesz dzisiaj kolacjê w pierwszej klasie? - Nic go to nie obchodzi³o, ale chcia³ przygotowaæ sobie jak¹œ wymówkê dla kapitana.

- Tak, chyba tak.

- Nie musisz, jeœli nie masz na to ochoty. - To by³o coœ zupe³nie nowego i Hillary spojrze³a na mêtã niemal zszokowana.

- A wola³byœ, Źeby tam nie jad³a? - W istocie zachowanie Nicka zaczyna³o w niej budziæ lêt, ale przecieŹ nie mog³a cofn¹æ raz wypowiedzianych s³ów.

Dok³adnie pamiêta³a rozpacz, która odmalowa³a siê na jego twarzy; tak, urazi³a Nicka do g³êbi. A teraz... sprawia³ wraŹenie zupe³nie obojêtneho, jego oczy by³y zaœ lodowato zimne.

- Jak wolisz. Wyœwiadczy jednak têt przys³ugê nam obojgu i jeœli zdecydujesz siê na biesiadê przy kapitañskim stole, postaraj siê zachowaæ przyzwoicie. Gdyby jednak by³o to zadaniem ponad twoje si³y, zjedz raczej kolacjê gdzie indziej.

- Na przyk³ad w swoim pokoju? - Nie pozwoli traktowaæ siê jak niegrzeczne dziecko. Ani jemu, ani temu kretynowi z do³u. Zreszt¹ nie mia³a specjalnej ochoty tam wracaæ. Odnosi³a wraŹenie, Źe ca³a sytuacja wymyka siê jej z r¹k. Bêdzie bezpieczniejsza w pierwszej klasie, u boku Nicka.

- Gównu mnie obchodzi, gdzie jesz, ale jeœli bêdziesz jeœæ ze mn¹, to

musisz dostosować się do pewnych zasad.

Nic nie odrzekła, weszła tylko do sieni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Rozdział ósmy

Tego wieczoru schodziła do jadalni Hillary nie miała już na ustach uwodzicielskiego uśmiechu. Jej oczy były posępne, a twarz nieruchoma; Nick, we fraku i muszce, siedział tuż za nią. Mimo to wywarła takie samo wrażenie jak poprzednim razem. Miała na sobie haftowaną białymi perłkami białą suknię z wysoko zabudowanym przodem i długimi rękawami. Kiedy znalazła się u podnóżka schodów i ruszyła przez salę, znowu przyciągnęła wszystkie spojrzenia, dekolt bowiem na jej plecach sięgał mocno poniżej talii. Nick siedzący przy stole naprzeciwko Liane nie wydawał się w najmniejszym stopniu poruszony wrażeniem, jakie wywarła jego żona.

Liane natychmiast zdała sobie sprawę, że oczy Nicka patrzyły teraz inaczej niż przedtem: wydawały się chłodniejsze i jakby odrobinę smutne. Przypomniała sobie podsłuchaną rozmowę. Obserwując Nicka, poczuła na sobie wzrok Armanda i natychmiast skierowała uwagę na męża. Zanim przyszli na przyjęcie, podkreślała, iż nie powinna dać po sobie poznać, że wie, co zaszło pomiędzy Burnhamami. Oświadczając, iż nie trzeba jej przypominać o dyskrecji, Armand jednak był odmiennego zdania.

- Ależ tak, powinienem ci przypominać. Znam cię aż za dobrze. Okazujesz serce każdemu, kto twoim zdaniem doznaje krzywdy, wprawiając więc tego biedaka w zażenowanie, gdybyś pozwoliła mu odczuć, że coś wiesz. Dość, że własna żona robi z niego idiotę.

Nadal uznawała całe historię za szokującą, lecz całkiem prawdopodobną. Nie mógł zresztą powstrzymać się od zerkania na Hillary. Była kobietą zdumiewająco piękną, wyglądała jednak na latawicę pierwszej wody, wysoko zabudowany przód sukienki ukrywał za to zapewne to, co wedle słów Liane było celem pozostawionym przez najnowszego kochanka.

Spojrzenie Armanda powiedział o Liane, iż miała odgadnąć jej uczucia, zwróciła się zatem do swojego siedzącego z lewej strony Niemca o surowym wyglądzie; miała monokl w oku i niezliczone baretki na piersi tworzące wystawkę dostatecznie szeroką, by mogła stanąć w zawody z odznaczeniami Armanda. Była to hrabia von Farbis z Berlina i Liane musiała uczynić nadludzki wysiłek, aby od pierwszego wejrzenia nie obdarzyć go antypatią. Armand natychmiast rozpoznał w nim owego człowieka, z którym Nick Burnham rozprawił w palarni pierwszego dnia podróży, i zadał sobie pytanie, czy którykolwiek z tych mężczyzn potwierdzi w jakiejś widoczny sposób, iż się znał. Hrabia jednak na widok Nicka nieznacznie pochylił się w ukłon, Nick zaś odpowiedział lekkim skinieniem głowy. Kapitan przedstawił wszystkich obecnych - oprócz Burnhamów, de Villiersów i gospodarza przy stole zasiedli zupełnie inni ludzie niż dotychczas. Liane dopiero teraz się zorientowała, z jak niewieloma osobami zawarła znajomość podczas tego rejsu.

- Czyż nie tak, madame de Villiers? - Kapitan Thoreau kończył wyczerpujące pytanie i Liane oblała się rumieńcem. Tego wieczoru nie była w nastroju do spotkań towarzyskich. Wmanewrowana pomiędzy dramat Burnhamów a nieprzyjemnego Niemca, który zarzucał jej propagandowymi opowieściami o Hitlerze, zanim zaczęto serwować kolację, miała już dość

całej imprezy i niemal żałowała, iż nie zamówili posiłku do kabiny.

- Przepraszam, kapitanie, nie słuchałam...

- Mówię, że nasze korty tenisowe są doskonałe. Zdaje się, że korzystała z nich pani dzisiaj rano w towarzystwie pana Burnhama.

- Graliśmy, to prawda. - Nick posiada Liane uśmiech, szczerzy i nie wymuszony, nie mający w sobie nic dwuznacznego. - I co więcej, madame de Villiers pokonała mnie sześć do dwóch.

- Ale najpierw straciłam dwa gemy - zacięła się Liane, nie czując jednak lekkości w sercu. Jej samopoczucie pogorszyło się jeszcze bardziej, kiedy pochwyciła nieprzyjazne spojrzenie Hillary Burnham.

- Naprawdę pokonała pani w dwóch gemach? - Oczywiście zaledwie zadowolona. - Jestem zaskoczona, bo gra z niego marny.

Uwaga ta stropiła nieco biesiadników, toteż Liane pośpiesznie przerwała zapadłe nagle milczenie:

- Pan Burnham gra znacznie lepiej niż ja.

Poczuła na sobie spojrzenie Armanda. Niemiecki hrabia prawił siedząc przy jego drugiej stronie Amerykance o cudach dokonanych przez Hitlera i przez chwilę Liane zastąpiła, czy zdała przez tę kolację. U wszystkich dawało się wyczuć napięcie, którego nie zdarzało się w Chateau d'Yquem, ani Chateau Margaux, ani szampan, ani też posiłek doskonały od kawioru po suflety. Jakim cudem tego wieczoru i jedzenie, i wino były czymś niemal przygnębiającym i zdawało się, że wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy mogli przejść do salonu na wielki bal. Myślała, przewodnicząca imprezy było przypomnienie beztroskiej atmosfery sylwestrowej, której jednak Liane nie zdarzało się odczuwać.

- Nie powinno być wyrażać tej uwagi w obecności lady Burnham - skarciła ją żagodnie Armand, kiedy zaczęli tańczyć.

- Przepraszam - odparła - ale ona jest taka nieprzyjemna. Ewentualnie mogłam w zamian rozbić temu Niemcowi kieliszek na głowie. Rany boskie, kim jest ten facet? Zwymiotowałabym, gdybym usłyszała jeszcze jedno słowo na temat Hitlera.

- Nie jestem pewien!. Podejrzewam, że pracuje w kancelarii Rzeszy. Na początku podróży widziałem, jak rozmawia w palarni z Burnhamem.

Jego słowa uciszyły Liane przypominając o tym, co Armand mówił już wcześniej: że Nick prawdopodobnie prowadzi interesy z Niemcami. Wciąż ją to zbijało z tropu, wydawała się przecież tak uczciwym człowiekiem! Jakim cudem mógł zaopatrywać w cokolwiek Trzecią Rzeszę? A sprzedawał jej stal, bo Niemcy, gwałcąc postanowienia traktatu wersalskiego, zbroili się ponownie, i to na potęgę. Wszyscy od lat zdawali sobie z tego sprawę, Liane jednak napawała wstrętem oświadczeniem, iż pomaga im w tym jeden z jej rodaków. Wydawało się, że tego wieczoru ma aż nadto tematów do przemyśleń, toteż niemal z ulgą powitała Perriera, który pojawił się o jedenastej i dyskretnie szeptem zamienił z Armandem kilka słów. Chwilę później Armand oświadczył Liane, że musi wrócić do pracy. Nie było jej przykro, kiedy przeprosiłszy kapitana, opuścili towarzystwo.

Nie miała nastroju do zabawy, z najwyższą więc radością zdjęła czerwony suknię z mory, którą włożyła zaledwie trzy godziny wcześniej. Była to piękna kreacja, jedna z ulubionych, ale teraz, po wyjściu Armanda, Liane wzgardliwie cisnęła ją na krzesło i położyła się z księżką. Obiecała mężowi, że będzie na niego czekać, chociaż powiedziała, że wcale nie musi tego robić. Nawet jednak księżka nie zainteresowała Liane tego wieczoru. Mogła myśleć tylko o intrygujących Burnhamach - o Nicku z jego tajemniczymi

interesami i Hillary z jej gorej¹cymi oczyma i posępnie zacięniętymi ustami.

Przez pół godziny próbowa³a czyta^æ, w końcu da³a za wygran¹, wsta³a z ółka i naci¹gn¹wszy spodnie oraz ciep³y sweter, usiad³a na tarasie, na tym samym krzesele, które zajmowa³a, kiedy mimowolnie pods³ucha³a rozmowę Hillary i Nicka. Do jej uszu s³abo dobiega³a muzyka z salonu. Zamkn¹wszy oczy, Liane wyobrazi³a sobie tańcz¹cych ludzi. By³a szczęśliwa, i^ż nie musi tam by^æ dzisiejszego wieczoru. Bal sprawi³by jej na pewno przyjemno^æ, gdyby mia³a u boku Armanda lub gdyby by³a w lepszym nastroju, skoro jednak Armand pracowa³, taniec z kapitanem, Niemcem czy którym^æ z tych nieznanomych m^êłczyzn wprawi³by j¹ najwy^żej w przygn^êbienie.

Tego wieczoru Liane nie by³a jedyn¹ przygaszon¹ osob¹. Rozmyślaj¹c nad najnowszymi b³azeństwami ^żony, Nick nie sprawia³ wra^żenia cz³owieka pogodnego. Hillary szybko dosz³a do siebie po awanturze, a potem ruszy³a w tany - z kapitanem, z niemieckim hrabi¹, wreszcie z m³odym W³ochem, sprawc¹ niema³ego poruszenia na pok³adzie statku. W³och ów, wraz z kobiet¹, która nie b^êd¹c jego ^żon¹ towarzyszy³a mu w podró^żcy, wydawa³ w swoim apartamencie nieustanne przy^żęcia, kończ¹ce się - wedle pog³osek - prawdziwymi orgiami; pono^æ razem i z osobna gospodarze ochoczo podejmowali wszelkie formy aktywno^æci seksualnej z ka^żdym, bez wzgl^êdu na p³æ, kto wyrazi³ na to ochot^ê. Byli lud^Źmi dok³adnie pokroju Hillary, my^æla³ Nick, mieszaj¹c szampana z³ot¹ pa³eczk¹, któr¹ w podobnych okazjach zawsze nosi³ przy sobie. Szampanowe b¹belki nieodmiennie przyprawia³y go o ból g³owy nast^êpnego dnia, w zwi¹zku z czym jeden z niemieckich przyjació³ ju^ż przed wielu laty obdarowa³ Nicka t¹ pa³eczk¹ zapewniaj¹c, i^ż pozwoli mu unikn¹æ kaca po szampanie. I rzeczywi^æcie pozwala³a.

Nicka przepe³ni³a smutkiem my^æl o tym, co dzieje się z Niemcami: ulegali g³upcom takim jak hrabia, a ich kraj by³ systematycznie niszczone przez Hitlera. Na pierwszy rzut oka wydawa³o się oczywiste, i^ż Niemcy nigdy nie prze^żywa³y tak dobrego okresu: ludzie mieli prac^ê, wszystko dzia³a³o jak w zegarku, fabryki pracowa³y pe³n¹ par¹ - a jednak w ^ży³ach mieszkańc³ów tego kraju niepostrze^żenie zaczyna³a p³yn¹æ trucizna. Nick wyczuwa³ to i niepokoi³ się coraz bardziej, ilekro^æ odwiedzi³ Berlin, Monachium czy Hanower. Podejrzewa³, ^że podczas obecnej wizyty spotka się z jeszcze wy^ższym stopniem tego zatrucia. Umówi³ się z hrabi¹ w Berlinie za trzy tygodnie w celu przedyskutowania najnowszych umów, chocia^ż robi³ z nim interesy ju^ż od roku, szczerze go nie znosi³.

Podobnie jak Liane stwierdzi³, ^że nie potrafi tego wieczoru skoncentrowa^æ się na czczej paplaninie. Nagle to wszystko wyda³o mu się nie do zniesienia, mia³ te^ż serdecznie do^ææ ogl¹dania, jak Hillary oddaje się ulubionym rozrywkom. Dopiwszy szampana, podszed³ do kapitana i wyjaceni³, ^że ma jeszcze w kabinie jak¹æ prac^ê, nie chce pozbawia^æ ^żony dalszych atrakcji zwi¹zanych z balem, prosi zatem o wybaczenie...

Kapitan oczywiście wyrazi³ pe³ne zrozumienie, przyzna³ tak^że, i^ż ^æwiadam jest, ^że jego statek to nie tylko miejsce rozrywki dla podró^żnych, ale i wielkie p³ywaj¹ce biuro ludzi na wysokich stanowiskach. Wspomnia³ przy tej okazji o Armandzie, którego te^ż wezwa³y obowi¹zki.

- Ogromnie mi przykro, ^że pan tak^że musi zaj¹æ się dzisiaj prac¹ - powiedzia³.

- Trudno, kapitanie. - Wymienili u^æmiechy i Nick znikn¹³, rad, i^ż mo^że się odci¹æ od muzyki i t³umu. Czuz³, ^że gdyby mia³ zost^æ jeszcze chwile^æ usi³uj¹c gaw^êdzia^æ i u^æmiecha^æ się bez ustanku, eksplodowa³by jak granat.

Poza tym nie mia³ najmniejszej ochoty ogl¹daæ Hillary.

Kiedy kilka chwil póŹniej dotar³ na pok³ad plaŹowy, przywo³a³ ochmistrza. Podj¹³ by³ decyzjê juŹ poprzedniego wieczoru. Ochmistrz, przyzwyczajony do duŹo bardziej ekscentrycznych Ź¹dañ, nie okaza³ zdumienia proœb¹ Nicka, który wyjaœni³ mu, Źe potrzebuje na resztê podróŹy dodatkowego gabinetu na biuro, przed dop³yniêciem do Hawru bêdzie musia³ bowiem nieco popracowaæ. Ochmistrz przydzieli³ Nickowi dwóch stewardów i kwadrans póŹniej przyleg³y do apartamentu Burnhamów gabinet by³ gotowy. Nick nie zostawi³ Źonie nawet liceiku. Nie by³ jej winien Źadnych wyjaœnieñ.

Rozejrza³ siê po pokoju, przyjemnie urz¹dzonym w stylu art deco. By³o to pomieszczenie zajmowane zwykle przez sekretarki, s³u¹ce czy dzieci. Odpowiada³o mu doskonale i Nick po raz pierwszy w tej podróŹy poczu³ siê swobodnie. Wyszed³ na taras i spojrze³ w stronê apartamentu Trouville, gdzie spostrzeg³ Liane na leŹaku. Siedzia³a z odchylen¹ g³ow¹ i przymkniêtymi oczyma. Wydawa³o siê, Źe œpi. Przygl¹da³ siê jej przez chwilê, Liane zaœ, jak gdyby wyczuwaj¹c czyj¹œ obecnoœæ, otworzy³a oczy i popatrzy³a na Nicka. Sta³ w innej czêœci tarasu niŹ podczas k³ótni z Źon¹, kiedy w Źaden sposób nie móg³ zauwaŹyæ Liane. Widzia³ j¹ jednak teraz. Liane z pytaj¹cym wyrazem twarzy unios³a siê na leŹaku.

- Nie jest pan na przyjêciu?

- Jak widaæ, nie - uœmiechn¹³ siê zza balustrady. - Nie chcia³em zak³ócaæ pani spokoju.

- Nie zak³óci³ pan. Po prostu delektowa³am siê cisz¹ nocy.

- Ja teŹ. Co za ulga po ca³ym tym zgie³ku!

Jej twarz rozjaœni³a siê w uœmiechu. - Takie imprezy bywaj¹ niekiedy uci¹liwe, prawda?

- Jezus, myœla³em, Źe pêknê, jeœli jeszcze raz siê do kogoœ uœmiechnê.

- Ja teŹ - odpar³a Liane.

- Ale pani, jako Źona ambasadora, musi mieæ wiele podobnych obowi¹zków. Dla mnie by³yby zbyt wyczerpuj¹ce.

- Mnie takŹe czasami wyczerpuj¹ - przyzna³a siê Liane. Nie wiedziaæ czemu bez trudu siê przed nim otwiera³a. - Ale na ogó³ sprawiaj¹ mi niejaki¹ przyjemnoœæ. Tylko Źe mam mêŹa, który mi pomaga... - Us³yszawszy jej s³owa, Nick spochmurnia³, rozmyœlaj¹c o Hillary, która najpewniej tañczy³a w tej chwili z W³ochem. Na widok wyrazu jego twarzy Liane siê zorientowa³a, Źe nie wykaza³a siê taktem.

- Przepraszam, nie chcia³am powiedzieæ... - zaczê³a, co jeszcze pogorszy³o sprawê.

Nick popatrzy³ na ni¹ ze smutnym ch³opiêcym uœmiechem.

- Proszê nie przeproszaæ. Nie s¹dzê, Źeby stan mojego ma³Źeñstwa by³ wielk¹ tajemnic¹. Niewiele mamy wspólnego... Niewiele prócz syna i wzajemnej nieufnoœci.

- Przykro mi. - Jej s³owa w ciszy nocy by³y prawie bezg³oœne. Musi byæ panu ciêŹko...

Westchn¹³ cicho, podniós³ wzrok ku niebu, potem znów spojrze³ na Liane. - Chyba tak... Zreszt¹ sam juŹ nie wiem, Liane. Wiem tylko, Źe trwa to juŹ od bardzo dawna. - Po raz pierwszy zwróci³ siê do niej po imieniu, ale nie mia³a mu tego za z³e. - Przypuszczam, Źe Hillary teraz pozwala sobie na duŹo wiêcej niŹ na pocz¹tku. Walczy³a z tym ma³Źeñstwem juŹ od pierwszego dnia... Moja porwana narzeczona...

- Próbowa³ siê uœmiechn¹æ, lecz efekty by³y mizerne. - Miêdzy tym, co powiedzia³æ mi o waszym ma³Źeñstwie, a moim zwi¹zkiem jest otch³añ.

- Ma³ż³eństwo rzadko bywa³ atwe na co dzień. My te³ mamy trudne chwile, ale³ cz³ nas wspólne cele, wspólne uczucia i zainteresowania.

- Poza tym w niczym nie przypominasz mojej ż³ony.

Spojrza³ jej prosto w oczy, uc³wiadamiaj³c sobie nagle, że musia³a s³ysze³ ich popo³udniow³ rozmow³e. Mia³ co do tego pewno³e, cho³e nie wiedzia³, sk³d si³e bierze. Liane za³e odgad³a, że Nick wie. Gdyby j³ w tej chwili zapyta³, nie usi³owa³aby si³e wyprze³e. Wyczuwa³a, że ten m³eżczyzna potrzebuje przyjaciela i szczer³ej, otwartej rozmowy.

Nick odnosi³ wra³żenie, jak gdyby jego dusza otwiera³a si³e na o³ecie, nagle odczu³ w sobie potrzeb³e znalezienia pomocnej d³oni. Liane by³a gotowa przyj³æ na siebie rol³e cz³owieka, który mu j³ poda, on za³e wyczuwa³ t³e gotowo³e i by³ jej za ni³ wdzi³eczny.

- Moje ma³ż³eństwo jest czyst³ kpin³, Liane, kpin³ ze mnie. Hillary nigdy nie by³a mi wierna. Musia³a udowadnia³, że nie nale³ży do nikogo, a ju³ na pewno nie do mnie.

- A czy ty jeste³e jej wierny? - zapyta³a ³agodnie.

- Dot³d by³em. Nie wiem dlaczego. Zapewne z g³upoty - wyzna³ i przypomniawszy sobie teraz ³lad po ugryzieniu na szyi ż³ony, istotnie poczu³ si³e jak g³upiec. I co³e w nim zadr³a³o. - Nie powinienem dzieli³ si³e z tob³ swoimi problemami, Liane. Musz³e wygl³da³e idiotycznie, kiedy stoj³c tu, skoml³e na temat ż³ony. Wiesz, największe przekle³ństwo polega na tym, że nie mam nawet pewno³eci, czy mnie to wszystko obchodzi. Widzia³em dzisiaj, jak ta³nczy z r³óżnymi facetami, i zupe³nie nic nie czu³em. Obchodzi mnie to, co widz³ ludzie, co my³el³, ale nie jestem pewien, czy ona mnie obchodzi. Kiedy³e, owszem, obchodzi³a mnie bardzo, ale to ju³ chyba bezpowrotnie min³e³o. - Wpatrzony w morze, rozmy³el³a³ o nadchodz³cych latach. Wiedzia³, że pozostanie z Hillary, dopóki John nie doroc³enie, lecz co potem? Znów spojrza³ Liane w oczy. - Przez to wszystko czasami czuj³e si³e jak starzec, jakbym mia³ ju³ za sob³ te szc³eśliwe chwile, które dzieli si³e z drugim cz³owiekiem. T³e ekstaz³e, jak³ daje tylko mi³o³e. W³tpi³e, że bym to jeszcze kiedy³e prze³ży³... - mówi³ g³osem cichym i smutnym.

Liane wsta³a i podesz³a bli³ej.

- Nie mów tak. Masz jeszcze przed sob³ wiele, wiele lat, a sk³d mo³esz wiedzie³æ, co życie trzyma dla ciebie w zanadrzu?

Armand cz³ęsto powtarza³ t³e my³el³. Na w³asnej sk³órze przekona³ si³e o jej prawdziwo³eci po ³emierci Odile, kiedy po roku rozpaczy w jego życie wkroczy³a Liane.

- Wiesz, co życie trzyma dla mnie w zanadrzu, moja droga? Interesy, kontrakty, kolacje z wa³żnymi facetami. Niewiele w tym tego, co w ch³odn³ noc mog³oby ogrza³æ serce.

- Masz syna - przypomn³a Liane g³osem równie cichym jak g³os Nicka.

Skin³ g³ow³ i Liane odnios³a wra³żenie, że widzi ³zy w jego oczach.

- Mam. I dzi³ekuj³e za to Bogu. Umar³bym bez Johna. - Wzruszy³a j³ mi³o³e Nicka do syna, ale wiedzia³a, że nie jest dobrze, je³eli m³eżczyzna w jego wieku ma tylko dziecko. Potrzebowa³ kobiety, potrzebowa³ odwzajemnianej mi³o³eci. Patrzy³ teraz sm³ętnie na Liane.

- Mam trzydzie³eci osiem lat i czuj³e si³e tak, jakbym nie mia³ ju³ przed sob³ dos³ownie nic.

Tej strony jego cierpienia Liane nie pozna³aby nigdy, gdyby nie dosz³o pomi³ędzy nimi do tej nocnej rozmowy. Przeci³e sprawia³ wra³żenie cz³owieka tak pewnego siebie, tak pe³nego życia... Z drugiej strony jednak widzia³a, jaka jest Hillary, wiedzia³a o jej sk³onno³eci do nieustannych w³drówek

pomiędzy różnymi różnymi mężczyznami.

- Dlaczego nie spróbujesz się z nią rozwieść i wywalczyć prawa do opieki nad synem?

- Myślisz, że miałbym szansę? - spyta niedowierzająco.

- Może.

- W Stanach, gdzie ludzie wierzą w macierzyństwo i domowe obiady? Poza tym musiałbym udowodnić, jaka jest naprawdę, a skandal zniszczyłby nas wszystkich. Nie chcę, żeby Johnny się o tym dowiedział.

- W końcu i tak się dowie. Jeżeli taka jest prawda.

Skin¹³ g³ow¹. W pewnym sensie miałam szansę, wiedziałam jednak, że nie miałam wielkiej szansy na uzyskanie praw do opieki nad synem. Hillary dysponowała rodzinnymi funduszami, które umożliwiłyby jej procesowanie się bez końca, nigdy zacię nie słyszała, żeby mężczyzna wygrał z żoną spór o opiekę nad dzieckiem. On też nie wygrał. - Myślenie, moja droga, że muszę pogodzić się z tym, co mam. Przynajmniej na ten najbliższy rok zmieniamy otoczenie. Będzie miała wiele pracy.

- Jak my wszyscy. - Liane zapatrzyła się w mrok, potem znów spojrzała na Nicka. - Kiedy człowiek nocą spogląda na morze, trudno mu uwierzyć, że gdzieś tam jest świat pełen niepokojów. - Była ciekawa, jak sytuację zastanie we Francji, zwłaszcza w świetle przewidywań Armanda co do rychłego wybuchu wojny. - Co będziesz robił, jeżeli rozpęta się wojna, Nick? Wrócisz do Stanów?

- Chyba tak. Być może zostanie na kontynencie przez jakiś czas, żeby pozakańczyć interesy... O ile będzie mógł je zakończyć. Ale nadal nie wierzę, że niebezpieczeństwo wybuchu wojny w tym roku jest realne - oświadczył, choć wiedział, że Niemcy przygotowują się do wojny, co wynikało jasno ze skali jego interesów z Rzeszą. Równocześnie jednak zdawał sobie sprawę, iż nie są jeszcze w pełni gotowi. - Miejmy nadzieję, że wszyscy na czas zdłżymy wrócić do kraju. Ameryka nigdy nie zaangażuje się w wojnę europejską. Tak przynajmniej utrzymuje Roosevelt.

- Armand powiada, że Roosevelt mówi co innego, niż myślimy. - e przygotowuje się do wojny już od kilku lat.

- Myślenie, że to działanie prewencyjne. Poza tym dobrze służy gospodarce, bo daje ludziom pracę.

- I przypuszczalnie dobrze służy też tobie. - Nie mówiła oskarżycielsko, po prostu konstatowała fakty. Miała zresztą szansę: branża Nicka prosperowała znakomicie. Popatrzyła jej w oczy.

- Tobie też przynosi korzyści - rzekł, doskonale wiedząc, jak znakomicie rozkwitły w ostatnich latach linie lotnicze Crockettów.

Liane, chociaż doskonale pojęła, do czego zmierza Nick, pokręciła przecząco głowę.

- Ja do tego świata już nie należę - wyznała, odkąd bowiem George zastąpił jej ojca na czele firmy, w końcu zerwała wszelkie więzy z tym życiem.

- Należysz, Liane, należysz - rzekł Nick, przypomniawszy sobie, że jest jedynym dziedzicem Harrisona Crocketta. Nie mógł się nadziwić, że zupełnie tego po sobie nie daje poznać. W przeciwieństwie do Hillary, która pyszniła się drogimi sukniami, futrami i klejnotami, w Liane było coś bardzo dyskretnego. Ktoś, kto by nie znał jej panieńskiego nazwiska, nie odgadłby nigdy, kim jest naprawdę.

- Ciężko też na tobie niemała odpowiedzialność.

- Za co? - spytała jakby stropiona.

- Jeżeli wybuchnie wojna, twoje statki będą wozić łożnierzów, będą brąy udział w bitwach, w których zginą ludzie.

- Nie możemy tego powstrzymać.

Nick ucemięchnię się do niej smętnie. - Niestety, masz całkowitą szusznocę. Czasem o tym rozmyślam. O tym, jak wykorzystywana jest nasza stal do budowy machin wojennych... I cóż mógłbym zrobić, żeby to zmienić? Niewiele. Właściwie nic.

- Ale handlujesz z Niemcami, prawda?

Zawaha się. - Tak. Za trzy tygodnie będę w Berlinie. Robię też interesy z Włochami, Belgią, Anglią i Francją. To potężny przemysł, Liane, a przemysł rzadko miewa serce.

- Miewaj je za to ludzie - rzekł spoglądając mu prosto w oczy, jakby w oczekiwaniu na coś więcej.

- To nie takie proste.

- Tak właśnie mówi Armand.

- I ma szusznocę.

Przez kilka chwil nie odpowiada, obudzi w niej bowiem coś, o czym nie myślała już od bardzo dawna - poczucie odpowiedzialności za linie kolejowe ojca. Odkłada dywidendy do banku, wypisuje czek, nigdy się jednak nie zastanawia, dokąd pływają i co wóli jej statki. Dlatego też poczuła się teraz bezradna, bo przecie nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby kwestionować poczynania wuja George'a. Gdyby ojciec żył, wiedziałaby o tym wszystkim więcej. Gdyby żył...

- Znał moje ojca, Nick?

- Nie. Za jego życia nasz firmę reprezentował na Zachodnim Wybrzeżu ktoś inny. A zresztą w tamtych czasach dopiero zdobywałem ostrogi na Wall Street.

- Był wyjątkowym człowiekiem... - powiedziała w zadumie.

Nickowi, gdy patrzył ponad ręką na Liane, nietrudno w to było uwierzyć. Już ją za rękę.

- Ty też jesteś wyjątkowa.

- Nie, nie jestem. - Nie cofnęła dłoń z ręki Nicka, cieplej, silniej i tak odmiennie od smukłych arystokratycznych palców Armanda, okrytych skórą pomarszczoną już przez wiek...

- Po prostu nie wiesz, jaka jesteś wspaniała, i to właśnie stanowi cię twojej wyjątkowości. Nie wiesz, jaka jesteś młoda i silna. Bardzo mi dzisiaj pomagasz. Zaczynam być tym wszystkim zmęczony i oto nagle, kiedy staliśmy tutaj, życie przestało mi się wydawać takie złe.

- Bo nie jest złe. A kiedyś stanie się dla ciebie znacznie lepsze.

- Dlaczego tak się dzieje? - Wciąż trzyma za rękę ucemięchając się do niego Liane. Był atrakcyjnym mężczyzną w kwiecie wieku i myślał o tym, że marnuje swoje życie z tonem tak jak Hillary, sprawiając Liane przykrość.

- Wierzę w sprawiedliwość, ot co.

- W sprawiedliwość? - Był niemal rozbawiony.

- Słuchaj, że człowiek musi przeżywać trudności po to, aby stać się silny.

W końcu jednak uczciwi ludzie zawsze są nagradzani innymi uczciwymi ludźmi, którzy stają u ich boku. I wtedy wszystko idzie ku lepszemu.

- Naprawdę w to wierzysz? - zapytał zaskoczony.

- Naprawdę.

- Ja jestem nieco bardziej sceptyczny...

Taki sam był Armand, przypuszczalnie zresztą większość mężczyzn. Liane wciąż jednak wierzyła, iż życie niesie człowiekowi głównie dobro. Wiedziała

oczywiście, że na świecie istnieje również nieszczęście - umierają dzieci, ludzie konają w straszliwych mękach - mimo to była przekonana, że życie jest sprawiedliwe w tym wszystkim, co ludziom przynosi. Hillary dostanie za swoje, Nick także otrzyma to, na co zasłużył.

- ...ale żywi nadzieję, że masz sukces, moja droga - dokończył Nick.

Spodobało jej się to, co powiedział, takich zresztą słów oczekiwała. -

Liczył, że spotkamy się kiedyś w Paryżu, jeżeli oczywiście nie pochłonie was życie dyplomatyczne.

- A ciebie interesy. - Uśmiechnęli się i w końcu Liane cofnęła dłoń. -

Mówi się, że na statkach wszystko dzieje się szybciej: przyjaźnie, romanse.

A potem, kiedy ludzie schodzą na ląd, wszystko wraca do normy i przychodzi zapomnienie.

Nick pokręcił głową.

- Ja ciebie nie zapomnę. Jeżeli kiedykolwiek będzie ci potrzebny przyjaciel, dzwoń. Przedsiębiorstwo Burnham Steel znajdziesz w paryskiej księgarni telefonicznej. Szukaj pod nazwą Burnham Company.

Myślał o tym, że będzie go mógł odnaleźć, sprawiła satysfakcję Liane, która jednak nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, że telefonuje do Nicka.

Jej życie z Armandem nie pozostawiało nic do życzenia, bardziej zatem prawdopodobne było to, że oni będą potrzebni Nickowi.

Patrzył na morze, stali w milczeniu jeszcze przez jakiś czas, wreszcie Liane zerknęła na zegarek i powiedziała:

- Obawiam się, że mój mąż pracuje zbyt ciężko. Zamierzam na niego poczekać, ale chyba pójdę jednak spać. Jutro ostatni dzień rejsu i czeka mnie solidne pakowanie. - Bagaż zabrali imponujący, lecz przecie musieli być przygotowani na sytuacje szczególne: teatr, kolacje przy kapitańskim stole, Liane każdego dnia musiała przebierać się na lunch i podwieczorek. Panowie mieli o wiele mniejszy problem, im bowiem wystarczał frak, smoking, koszule i muszki. - Zabawne, byliśmy na statku zaledwie dziesięć dni, a człowiek odnosi wrażenie, że podróż trwa dziesięć tygodni.

- Ja też mam takie wrażenie - uśmiechnął się Nick, który marzył, by znaleźć się już u celu. Miało dosyć wszystkiego i był rad, że do końca rejsu pozostało już tylko dzień. Naraz przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl. - Co byś powiedział na mecz tenisowy w ostatnim dniu podróży?

- Chętnie, pod warunkiem że Armand będzie zajęty - odparła, żywiła cichą nadzieję, że nie będzie. Nick bardzo się jej podobał, ale rozpaczliwie pragnęła spędzić choć trochę czasu z mężem.

- Oczywiście. Wpadnę do ciebie jutro rano i wtedy powiesz mi, jak sprawy stoją.

- Dziękuję ci, Nick. - Patrzyła nań przez dłuższą chwilę, potem dotknęła jego ramienia. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i odszedł. Była niezwykłą kobietą i żoną, że nie spotkała jej wcześniej. Choć... miała wtedy dopiero dwadzieścia kilka lat i zapewne nie zainteresowałby się Liane. Wówczas szukała ruchu, emocji, mocnych wrażeń, hulanki, kobiet, które zapierały dech w piersiach i tańczyły całymi nocami. Nie umiała wyobrazić sobie Liane oddającej się takim zajęciom. Była zbyt poważna, opanowana. Zbyt mądra... Ona też przypuszczalnie nie zwróciłaby na niego uwagi. A przecie chciała być już ujrzała, jak bosko biegnie przez ogród o północy... albo pływa w basenie... albo z rozwianym włosami stoi na plaży... Przepełniała go poczuciem ukojenia, cichego, szczęśliwego piękna, i kiedy wracała do siebie, uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna odczuwa

spokój.

Rozdział dziewięć

- Gdzie się w końcu cała wieczór? - Hillary patrzyła na Nicka wzrokiem przyzwyczajonym przez opary szampana. Nie wyglądała na zadowoloną, kiedy wszedła do apartamentu i naleła sobie kawy do filiżanki.

- Byłam u siebie.

- To znaczy gdzie?

- Obok.

- Sprytne. Widziałam, że przeniosła swoje rzeczy.

- I zapewne krzyczałam przez sen całą noc - rzekła z odrobiną zjadliwości, nie odrywając wzroku od gazety okrętowej i rogalika, którego smarowała masłem.

- Nie pojmuję, do cholery, dlaczego się przeprowadziła.

- Doprawdy? - Mówiła z niezwykłym spokojem, na co zareagowała wściekłym spojrzeniem.

- Czy te osobne pokoje to jakieś nowy pomysł w naszym życiu? A może przeniosła się tylko na górę?

- Czy to ma jakiegoś znaczenie, Hil? - Spojrzała ponad gazetę i odłożyła ją na bok. - Jestem przekonany, że tak będzie lepiej. A nic ci wczoraj nie powiedziałam, bo wyglądałaś na tak zadowoloną z balu, że nie chciałam psuć ci zabawy.

- Jak również swojej zabawy. Dzisiaj też grasz w tenisa? - Jej pytanie było z pozoru całkowicie niewinne, ale ze spojrzenia, które posłała Nickowi, ów zorientował się, że to jeszcze nie koniec.

- Jak tam twoja przyjaciółeczka, pani ambasadorowa? - Z satysfakcją stwierdziła, że w końcu drgnęła. - Przypuszczam, że gracie nie tylko w tenisa. Czyżby miała jakiś romantyczny romansik? - Jej głos ociekał jadłem.

- To bardziej w twoim stylu niżeli w moim.

- Nie jestem taka pewna.

- Zatem nie znasz mnie zbyt dobrze. Ani jej. Przypuszczam jednak, że po prostu odnosisz swoje normy do reszty świata. Na szczęście nie są przystawalne.

- Och, mój drogi nieskalany oświecony!... Czyżby twoja przyjaciółeczka była aż tak sódka i czysta? - Rozemniała się gwałtownie i szybkim krokiem przemierzyła pokój. - Włóż mi na dziwkę.

Nick zerwał się z krzesła, jego oczy błysnęły gniewem.

- Nie mów mi o ludziach, których nie znasz. O ile się orientuję, jesteś jedyną dziwką na tym statku. Jeżeli tobie ten status odpowiada, w porządku, ale nie trać czasu na szukanie podobnych ci osób. Takie określenie nie pasuje do nikogo oprócz ciebie i powinna być zadowolona, że nie wszyscy na statku rzucają ci je w twarz.

- Nie ośmieliliby się.

- Przy tempie, które sobie narząca, któregoś dnia jednak się ośmieli.

- A tobie wcale się to nie spodoba...

Wstała stropiona tym, co dojrzała w jego oczach, Nick bowiem nie wyglądał na człowieka, który się czymkolwiek przejmuje. Nie był rozgniewany, nie był smutny, był po prostu obojętny. Poruszyła go tylko zniewaga pod adresem Liane.

- Nie jestem pewien, czy obchodzi mnie, co na twój temat mówi¹ ludzie.

Znam prawdę, a czy coe poza ni¹ ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Czy²byœ zapomnia³, ²ie jestem twoj¹ ²on¹? To, co robiê, rzutuje te² na ciebie.

- Czy to coe w rodzaju gro²by?

- Nie, to stwierdzenie faktu.

- Nie powstrzymywa³o ciê to wczœniej i nie rozumiem, dlaczego mia³oby powstrzymywaæ teraz. Od lat ca³y Boston i Nowy Jork mog¹ ogl¹daæ twoje prawdziwe oblicze. Jedyna ró²nicza polega na tym, ²ie teraz chcê stawiaæ temu czo³o.

- I pozwoliaæ mi na to, na co mam ochotê? - zapyta³a oszo³omiona.

- Dopóki bêdziesz wzglêdnie dyskretna, co niestety by³oby dla ciebie czymœ zupe³nie nowym.

- Ty ³ajdaku!

Kiedy rzuci³a siê na niego, z³apa³ j¹ tak mocno za rêkê, a² Hillary siê przerazi³a. Nick by³ silnym mêt²czyn¹ i oto pozby³ siê hamulców, które dot¹d nie pozwala³y mu u²yæ si³y.

- Nie traæ czasu, Hil - poradzi³ spokojnie. Niczym ju² nie mog³a na niego podzia³æ: ani swoim gniewem, ani urokiem. I kiedy stali tak w jadalni naprzeciwko siebie, Hillary raptem siê rozp³aka³a.

- Nienawidzisz mnie, prawda?

Popatrzy³ na ni¹ z góry i pokrêci³ g³ow¹, zaskoczony tym, jak niewiele w tej chwili do niej czuje. Kilka dni wczœniej tli³a siê w nim jeszcze jakaœ nadzieja, lecz poprzedniego dnia zgas³a ostatecznie i to - jak s¹dzi³

- na zawsze. By³ z tego nawet zadowolony.

- Nie, wcale nie.

- Ale gówno ciê obchodzê. Zawsze tak by³o.

- To nieprawda. - Usiad³, wzdychaj¹c ze znu²eniem. - Kiedyœ mnie obchodzi³æ. I to bardzo. - Jego g³os z³agodnia³, - Bardzo ciê kocha³em.

Ale przez lata toczy³æ ze mn¹ nieustaj¹c¹ wojnê, któr¹ nareszcie wygra³æ.

Nie chcesz byæ moj¹ ²on¹, ale ni¹ jesteœ. Musimy zatem oboje z tym siê pogodziæ. Z powodu Johna nie mogê wypuœciæ ciê z r¹k, ale te² nie mogê ciê zmusiaæ, ²iebyœ poczu³a coe, czego nie czujesz. Nie mogê tak²e, i to nawet na tym statku, powstrzymaæ ciê od w³a²enia do ³ó²ek innych mêt²czyn¹. A zatem, Hillary, gra skończona. Ty sformu³owa³æ zasady, ja bêdê ich przestrzegaa, tylko nie oczekuj ode mnie, ²ie bêdziesz mnie obchodzi³a tak bardzo jak niegdyœ. Nie obchodzisz mnie i nie chcê siê tob¹ przejmowaæ. Tego w³acenie pragnê³æ i dopiê³æ swego. - Wsta³ i ruszy³ ku drzwiom.

- Co robisz? - jakby siê nagle wystraszy³a. Nie chcia³a byæ oddan¹ ²on¹ Nicka, nie chcia³a byæ kobiet¹ dojrz³1, nie chcia³a siê podporz¹dkowaæ wymogom konwenansów, ale wci¹ go potrzebowa³a.

- Wychodzê.

- Dok¹d?

- Nie mogê ujœæ daleko. Przynajmniej bêdziesz wiedzia³a, ²ie jestem gdzieœ na statku. Ale na pewno przyjaciele wype³ni¹ ci czas bez reszty. Zamkn¹³ drzwi i poszed³ do swojego pokoju. Czu³ siê znacznie lepiej ni² przez wszystkie ostatnie lata.

Pó³ godziny pó²niej wyruszy³ na poszukiwania syna, którego znalaz³ przy basenie. Pop³ywali razem, potem zostawi³ Johna z kolegami i poszed³ siê przebraæ. Rozmyœla³ o Liane, która - mia³ nadziejê - znajdzie czas na jeszcze jeden mecz tenisowy. Pragn¹³ jej powiedziaæ, jak bardzo mu pomog³a minionego wieczoru. Kiedy j¹ jednak ujrza³, rozradowana spacerowa³a u boku

Armanda; ich g³owy sk³ania³y siê ku sobie, a Liane œemia³a siê z czegoœ, co powiedzia³ m¹¿. Nick nie chcia³ im przeszkadzaæ, poszed³ wiêc do palarni, wiedz¹c zaœ, ¿e w ka¿dym innym miejscu na statku móg³by siê natkn¹æ na ¿onê, przesiadzia³ tam ca³e popo³udnie. W koñcu wróci³ do siebie, a poniewa¿ w³acenie w tej chwili zabrzmia³y dzwonki zapraszaj¹ce na kolacjê, przebra³ siê, jak ka¿dego wieczoru, we frak z bia³1 muszk¹, po czym uda³ siê do salonu ich apartamentu na spotkanie z ¿on¹. Mia³a na sobie czarn¹ sukniê z tafty i kurtkê ze srebrnych lisów, ale nawet to by³o mu dzieœ obojêtnie. Odnosi³ wra¿enie, ¿e w ci¹gu jednej nocy uwolni³ siê od udrêk, które sprawia³a mu tak d³ugo. To ugryzienie w szyjê by³o kropl¹ przepe³nij¹c¹ kielich.

- Œadnie wygl¹dasz.

- Dziêkujê. - Jej oczy by³y obce i ch³odne. - Jestem zdumiona, ¿e wróci³œ.

- Sam nie wiem dlaczego. Chyba dlatego, ¿e co wieczór chodzimy razem na kolacjê.

- Kiedyœ te¿ sypialicemy razem - stwierdzi³a zaczepnie, Nick wszak¿e nie chcia³ siê wdawaæ w roztrz¹sanie tej kwestii; nie teraz, kiedy stali tak blisko uchylonych drzwi do pokoju Johnny'ego.

- Rozumiem, ¿e wedle nowych, ustalonych przez ciebie zasad wspólne wystêpy publiczne s¹ w porz¹dku, podczas gdy prywatne nie wchodz¹ w grê?

- Masz mniej wiêcej s³usznocæ - odpar³ ch³odno i poszed³ poca³owaæ Johna na dobranoc.

Ch³opiec spojrze³ na niego z jasnym ucemiechem

- Œadnie pachniesz, tatusiu.

- Dziêkujê panu, pan równie¿. - Dzieciak pachnia³ myd³em i szamponem.

Raptem Nick zapragn¹³ pobyæ z nim trochê d³u¿ej, lecz w drzwiach pokoju sta³a ju¿ Hillary.

- Jesteœ gotów?

- Tak. - Nick wsta³ i pod¹¿y³ za ni¹, a John wróci³ do zabawy z piastunk¹.

W jadalni Burnhamowie zajêli miejsca przy tym samym stole, przy którym towarzystwo wzbudzi³o kiedyœ dezaprobatê Hillary, lecz teraz ju¿ nie mia³o to ¿adnego znaczenia - Nick i jego ¿ona spêdzali ze sob¹ ostatni wspólny wieczór.

Panowa³a atmosfera zaprawionej gorycz¹ radoœci i ¿alu; ludzie, którzy poznali siê podczas rejsu, stali w przyjacielskich grupkach b¹dŸ spacerowali po pok³adzie. Nawet muzyka brzmia³a rzewnie i smutno. Nick ujrza³ Armanda i Liane, której znów zapragn¹³ coœ powiedzieæ, ale chwila nie wydawa³a siê odpowiednia.

- a³ujesz, ¿e rejs siê ju¿ koñczy? - zapyta³ Armand, z czu³ym ucemiechem patrz¹c na Liane. Wygl¹da³a tak piêknie w jasnoniebieskiej sukni z organdy! W uszach mia³a kolczyki z osadzonymi w z³ocie akwamarynami i brylantami, do tego naszyjnik bêd¹cy cz¹stk¹ olbrzymiej kolekcji klejnotów odziedziczonych po matce. - Czy mówi³em ci ju¿, ¿e piêknie wygl¹dasz?

- Dziêkujê, kochanie. - Przechyli³a siê, aby poca³owaæ go w policzek. -

Przykro mi, ¿e to koniec podró¿y, ale te¿ jestem szczêliwa. Dojrza³am ju¿ do tego, ¿eby wróciæ do domu.

- Ju¿? Czy¿byœ nie zamierza³a jeszcze przez jakieœ czas zostaæ ze mn¹ w Pary¿u?

- Przecie¿ wiesz, co mam na myœli - odpar³a z ucemiechem.

- Chcia³abym byæ ju¿ w Pary¿u i stworzyæ dom.

- Wiem, że szybko się z tym uporzysz. Po tygodniu wszystko będzie wyglądało tak, jakbyśmy tam mieszkali od dwudziestu lat. Nie wiem, jak to robisz, Liane, że w okamgnieniu na ścianach pojawiają się obrazy, w oknach zasłony, stół jest nakryty, a dotknięcie twoich ręk czuję w każdym pokoju.

- Być może została stworzona na twoją dyplomatę - powiedziała żartobliwie, choć oboje wiedzieli, że to prawda. - Albo Cygana. Czasem myślenie, że to taki sam los.

- Bógam, nie mów tego w ministerstwie.

Spacerowali delektując się ciepłą nocą i rozprawiając o dniach spędzonych na statku.

- Szkoda, że nie mogę ci poświęcić więcej czasu. Prawie zabrałem Perriera, który ma bez wątpienia za dużo zapasu do pracy.

- Tak samo jak ty.

- Naprawdę? Cóż, być może to się zmieni, kiedy znajdziemy się we Francji. Na takie dictum Liane parsknęła śmiechem, nie miała bowiem złudzeń, tak samo zresztą jak Armand.

- Z czego to wnioskujesz? - spytała.

- Bo chcę, żeby tak było. Chcę spędzać z tobą więcej czasu.

- Ja też. - Westchnęła ciężko, lecz nie sprawała wrażenia nieszczerześciwej. - Ale rozumiem.

- Wiem, że rozumiesz, tylko to nie jest uczciwe. Przed laty w Wiedniu żyliśmy zupełnie inaczej.

Istotnie, mieli wtedy czas na długie spacerowanie po lunchu i spokojne popołudnia, kiedy Armand wracał z pracy. Ale to naprawdę działo się bardzo dawno temu. Byli teraz inni, tak samo jak inny był świat.

- Nie byłoby wtedy tak ważny osobistoci, kochanie.

- Teraz też nie jestem zbyt ważny. Po prostu przepracowany, a sama wiesz, że czasy są niespokojne. - Skinęła głową, przypominając sobie nagle wieczorną rozmowę z Nickiem. Przy oeniadaniu, używając określenia "siedzka pogawędka", wspomniała o niej mimochodem Armandowi, on jednak, mając w perspektywie rychłe spotkanie z Perrierem, praktycznie nie zwrócił uwagi na swoją żonę.

Teraz przystanęli w milczeniu na pokładzie, spoglądając w kierunku Francji. Liane hołubiła w duszy nadzieję, że to, co zastał po dotarciu na miejsce, zada kłam przekonaniom Armanda, a przynajmniej podważy je w jakimś stopniu. Bała się wybuchu wojny. Bała się sytuacji, w której obowiązki pochłonęły Armanda bez reszty. Pragnęła, by mieli dla siebie więcej czasu. Był to nader egoistyczny powód dla pacyfizmu...

- Wracamy, kochanie? - spytała wreszcie Armand. Potakując skinęła głową.

Kiedy cicho zamykali za sobą drzwi, Nick zbliżył się do swojego nowego pokoju. Zanim do niego wszedł, stanął na moment, myśląc o poprzednim wieczorze i kobiecie, której dłoń trzymał w swojej przez kilka krótkich minut. Liane powiedziała wtedy, że wszystko w jego losie musi się odmieścić. Miała tylko nadzieję, że ta odmiana nadejdzie już niebawem...

Rozdział dziesiąty

"Normandie" wpłynęła do portu w Hawrze rankiem następnego dnia, kiedy pasażerowie kończyli oeniadanie, Ich bagaże były spakowane, dzieci ubrane, guwernantki stały w pełnej gotowości, a wszystkich gnębiło poczucie żalu,

że rejs dobiega końca. Romanse, które zrodziły się na statku, wydawały się zanedbać, przyjaźnie zbyt serdeczne. Gorczykowa aktywność na nabrzeżu dowodziła jednak, iż wszystko dobiegło kresu. Kapitan stał na mostku pilnując, żeby wszystko przebiegało gładko - dla niego był to po prostu koniec kolejnego rejsu przez Atlantyk. Bezpiecznie doprowadził "Normandie" do Francji.

W apartamencie Trouville Armand i Liane byli gotowi do zejścia na ląd. Dziewczynki na tarasie podskakiwały jak piłeczki obserwując wejście statku do portu. Potem pomachały Johnowi, który ubrany w białe liny garniturek, białą koszulę, podkolanówki i trzewiki stał z rodzicami przed apartamentem Deauville. Jego matka w białej jedwabnej sukience i ogromnym strojnym kapeluszu wyglądała z okna. Nick wręczył już był napiwkami wszystkim stewardom, bagaż zabrano. Chwilę później Burnhamowie schodzili na dół, aby opuścić statek jako jedni z pierwszych - na nabrzeżu urzędnik imigracyjny biskawicznie ostempluje ich paszporty i będą mogli odjechać czekającym już autem.

- Gotowa, chérie? - spytał Armand.

Liane przytaknęła i w celad za nim zeszła z dziewczynkami na dół. Ubrana w obszyty różową lamówką kremowy żakiet od Chanel i różową jedwabną bluzkę, wyglądała pięknie i świeżo. Zerknęła przez ramię na dziewczęta w kwiecistych sukieneczkach i szampanowych kapelusikach. Trzymając w rękach ukochane lalki, dreptały u boku guwernantki - bardzo oficjalnej w mundurku w szare paski i wykrochmalonym czepeczku.

Niewielką grupę pasażerów poproszono o stawienie się w salonie - chodziło o to, aby umożliwić im wcześniejsze opuszczenie statku. Spotkanie pozostałych z urzędnikami imigracyjnymi i celnikami miało się odbyć w jadalni, ich zejście na ląd za godzinę później, na tyle jednak wcześnie, by zdążyć na pociąg z Hawru do Paryża. Liane zauważyła w salonie Niemca, którego poznała przy kapitańskim stole, a także kilka małżeństw, których poznać nie miała okazji. W sumie było tu najwyżej dwanaście szczególnie uprzywilejowanych osób - osób wyposażonych w paszporty dyplomatyczne albo noszących ważne nazwiska. Do których też do nich Jacques Perrier z ciężką teczką w ręku, w okularach na nosie, z jak zwykle żałosnym wyrazem twarzy. Jacques stanowił żywy wyrzut sumienia przypominający o nieukończonych pracach.

Wzajemnie wtedy, kiedy Armand prowadził z Perrierem ostatni pośpieszny naradę, Nick dobiegł do Liane, aby pożegnać się z nią i z dziewczynkami.

- Zamierzam pożegnać się już wczoraj, ale nie chciałem przeszkadzać. Widziałem cię z mężem na pokładzie... - Jego oczy zdawały się pieścić twarz Liane, którą ogarnęła pokusa, aby dotknąć dłoni Nicka, doszła jednak do wniosku, że to nie właściwe miejsce ani czas na podobne czułości.

- Ciesz się, że znowu cię widzę - odparła Liane. Żegnaj się z Nickiem, miała uczucie, jakby pozostawiała kogoś znajomego i bliskiego. Nagle opanowała smutek. - Mam nadzieję, że w Paryżu wszystko pójdzie po twojej myśli. - Nie spojrzawszy w tym momencie na Hillary, lecz po jego uśmiechu poznała, że zrozumiała ją właściwie.

- Na pewno. Już w tej chwili sprawy wyglądają lepiej. - Nie była pewna, o czym mówi, i wyobrażała sobie, że jego słowa odnoszą się do nieoczekiwanej poprawy stosunków pomiędzy nią a Lonem. Była może znowu jej przebaczyć albo ona obiecała się poprawić. Liane miała nadzieję, iż tak będzie w istocie. Nie mogła jednak wiedzieć, że Nick ma po prostu na myśli poczucie

wyzwolenia zdobyte tej nocy, kiedy przeprowadzili d³ug¹ rozmowê. - Nie chcia³bym traciæ z tob¹ kontaktu.

- Na pewno spotkamy siê w Paryżu. W pewnym sensie to ma³e miasteczko.

Przez d³ug¹ chwilê patrzyli sobie g³êboko w oczy; Liane sama nie wiedzia³a, co w³acéciwie odczuwa. Rozstanie z Nickiem przypomina³o utratê przyjaciela, brata, a przecie¿ prawie nie zna³a tego mê¿czyzny. Uœmiechnê³a siê na myœl, ¿e to pewno sprawa czaru podró¿y statkiem.

- Uwa¿aj na siebie... I na Johna...

- Nie omieszkam. Ty te¿ dbaj o siebie.

- Liane! Idziemy! - w g³osie Armanda brzmi³a teraz niecierpliwocæ.

Chcia³ jak najszybciej zejœæ na l¹d, a dowiedzia³ siê w³acenie, ¿e jest to ju¿ mo¿liwe. Podszed³ do nich, z szerokim uœmiechem potrz¹sn¹³ d³oni¹ Burnhama i chwilê póŹniej wszyscy byli ju¿ na nabrze¿u, ich baga¿e zaœ³adowano do ma³ej furgonetki. Liane, Armand i dziewczêta zajêli miejsca na tylnym siedzeniu wygodnego Citroena, guwernantka i Perrier usiedli obok szofera. Kiedy samochody ruszy³y, Liane zauwa¿y³a na nabrze¿u olbrzymiego czarnego Duesenberga i Nicka Burnhama udzielaj¹cego szoferowi instrukcji. Odwróci³a g³owê i Nick pomacha³ jej rêk¹, zaraz jednak znów skierowa³a uwagê na to, co mówi³ do niej Armand.

- Zdaje siê, ¿e w ambasadzie w³oskiej jest dzisiaj przyêcie. Ja na pewno muszê na nim byæ, ale ty mo¿esz zostaæ w hotelu. Czekaj nas wiele zajêæ, kochanie. - Zerkn¹³ na zegarek. - Jazda potrwa przynajmniej trzy godziny.

- Czy orientujesz siê, kiedy dotr¹ meble? - Usi³owa³a skoncentrowaæ siê na bie¿¹cych problemach, ale wci¹¿ przeœladowa³ j¹ obraz Nicka machaj¹cego na po¿egnanie. Zastanawia³a siê, czy kiedykolwiek go zobaczy, choæ przecie¿ sama powiedzia³a, ¿e nast¹pi to na pewno. "Pary¿ to ma³e miasteczko." Nagle jednak straci³a tê pewnoœæ.

Armanda sprawy bie¿¹ce absorbowa³y bez reszty. - Meble bêd¹ za jakieœ szeœæ tygodni. Do tego czasu musimy wytrzymaæ w Ritzu.

By³ to hotel, w którym nawet ambasadorowie nie stawali zbyt czêsto, Ritz jednak zafundowa³a Liane i tym razem - jak zreszt¹ nie raz wczecniej - Armand przyj¹³ jej propozycjê. By³ co prawda poirytowany, ¿e jego nie staæ na taki gest, ale rozumia³, i¿ Liane nie przywi¹zuje do tej sprawy najmniejszej wagi, czyst¹ zaœ g³upot¹ by³oby zupe³nie nie korzystaæ z jej pieniêdzy. Dysponowa³a maj¹tkiem tak ogromnym, ¿e nawet najd³u¿szy pobyt w Ritzu nie móg³ go nadszarpn¹æ.

Dziewczynki papla³y ze sob¹ przez wiêksz¹ czêœæ drogi, co Liane przyjê³a z satysfakcj¹, mia³a bowiem mo¿liwoœæ pogawêdзиа z Armandem. Zdawa³a sobie sprawê, ¿e ledwie dotr¹ na miejsce, Armand zniknie. Przecie¿ ju¿ tego wieczoru musia³ iœæ na przyêcie dyplomatyczne... By³o jej wiêc niemal smutno, kiedy w polu widzenia pojawi³a siê wie¿a Eiffla, potem łuk Triumfalny i plac Zgody. Nagle zapagnê³a cofn¹æ wskazówki zegara i wróciæ do luksusowej, kameralnej, niemal rodzinnej atmosfery statku. Nie mia³a pewnoœci, ¿e jest gotowa stawiaæ Pary¿owi czo³o.

Do zarezerwowanego apartamentu eskortowa³o ich trzech portierów. De Villiersowie mieli do dyspozycji du¿¹ sypialniê dla dziewcz¹t, przyleg³¹ do niej sypialniê dla guwernantki, salon, sypialniê dla siebie z garderob¹, a wreszcie gabinet. Kiedy znaleŹli siê w sypialni, Armand popatrzy³ na wypiętrzon¹ pod sufit górn¹ waliz i uœmiechn¹³ siê do Liane.

- Ca³kiem nieŹle, moja droga.

- Têskniê za statkiem - powiedzia³a ze smutkiem. - Chcia³abym tam wróciæ.

Czy to nie idiotyczne?

- Nie. - Łagodnie dotkn¹³ jej twarzy, ona zać przytuli³a się do niego. - Na pocz¹tku wszyscy tak to odczuwaj¹. Statki s¹ czymś wyj¹tkowym, a "Normandie" stanowi wyj¹tek p^ośród wyj¹tków.

- Wymienili ciep³e ucemiechy i Armand z ła¹lem odsun¹³ się od ła¹ony.

- Obawiam się, kochanie, że d¹entelmeni, którym mam z³o¹ła¹ raport, licz¹ dzisiejszego popo³udnia na chwilę mojego towarzystwa, a potem jest to przyjęcie... - spojrz³ na ni¹ przepaszaj¹co. - Pójdiesz ze mn¹ czy wolisz zosta¹?

- Szczerze mówi¹c, wola³abym zosta¹ i upora¹ się z ca³ym tym ba³aganem.

- Znakomicie.

Znikn¹³, aby przygotowa¹ sobie k¹piel, i p^o3 godziny p^oŻniej pojawi³ się w smokingu. Liane gwizdn¹³a na jego widok.

- C^oż to za przystojniak?! - Ucemiechn¹³ się do niej z b³yskiem w oku.

Liane, ubran¹ w satynowy peniuar, otacza³y poniewieraj¹ce się po ca³ym pokoju pootwierane walizy i kufrы. - Najgorsze jest to, że za kilka tygodni znowu b¹d¹ musia³a się pakowa¹ i przeprowadza¹.

- Liane z j¹kiem usiad³a na ³ó¹ku. - I w³a¹ciwie po co ci¹gn¹³am ze sob¹ to wszystko?

- Ponieważ jeste¹ mo¹ pi¹kn¹, eleganck¹ ła¹on¹. Ale je¹li się teraz nie pospiesz¹, to nast¹pnym razem b¹d¹ziesz się rozpakowywa¹ w jakiej¹ uroczej kwaterze na plac^owce w rodzaju Singapuru.

- S³ysza³am o tym miejscu dobre opinie.

- To ¹wietnie. - Pogrozi³ jej palcem, wpad³ do pokoju dziewczynek, aby uca³owa¹ je na dobranoc, po czym zszed³ na d^o. Już wcz¹niej recepcja powiadomi³a, że czeka na niego limuzyna, Armand wi¹c wypad³ z foyer jak burza. Nagle znowu poczu³, że ła¹yje. By³ w ojczy¹nie, we Francji, nie musia³ czeka¹ na informacje otrzymywane z drugiej r¹ki. Rych³o otrzyma naj¹wi¹sz¹ wie¹ci i b¹d¹zie wiedzia³, jak rzeczyw¹cie wygl¹daj¹ sprawy.

Opuszczaj¹c tego wieczoru Pa³ac Elizejski, Armand by³ wr¹cz zaszokowany spokojem okazywanym przez kolegów. Sprawiali wra¹enie absolutnie przekonanych, i¹ż pokój potrwa jeszcze bardzo d³ugo. Zamiast zgrozy wyczuwa³o się w Pary¹u co¹ na kszta¹t ekscytacji. Koledzy Armanda nie w¹tpili, i¹ż Hitler stwarza dla nich zagro¹enie, ła¹wili jednak równ¹ temu pewno¹ci, że nigdy nie zdo³a sforsowa¹ linii Maginota. Armand tej pewno¹ci nie podziela³, a poza tym spodziewa³ się, i¹ż us³yszy od nich ca³kiem co innego: że mianowicie Francja jest doskonale przygotowana do wojny totalnej i że podjęto wszelkie mo¹liwe dzia³ania. Niestety, tego nikt nie powiedzia³. Armand odnosi³ wra¹enie, że ¹ci¹gni¹to go wprawdzie do Francji, aby gasi³ po¹żar wraz z innymi strażakami, lecz teraz proponuje mu się rol¹ gapia, który biernie przygl¹da się po¹doze. By³ mocno skonsternowany, kiedy usadowiwszy się w Citroenie, poleci³ szoferowi jecha¹ na rue de Varenne na lewym brzegu Sekwany, do ambasady w³oskiej.

Tam jeszcze mocniej odczu³ owego ducha beztroski, który tak go uderzy³ w przestronnych salonach Pa³acu Elizejskiego. By³ szampan, pi¹ckne kobiety, rozmowy o planach wakacyjnych, kolacjach dyplomatycznych, balach dobroczynnych. Nikt nawet s³owem nie wspomnia³ o niebezpiecz¹stwie wojny, a kiedy po dwóch godzinach pobytu, wymianie powita¹ z tuzinami znanych sobie ludzi Armand wróci³ do Ritza i usiad³ przy stole, aby towarzyszy¹ ła¹onie przy posi³ku, oznajmi³ stropiony:

- Nic nie rozumiem. Wszyscy doskonale się bawi¹. - W znacznym stopniu przypomina³o to jego kwietniow¹ wizyt¹ w kraju. - Czy oni ¹lepli?

- Mo¹że. A mo¹że po prostu boj¹ się otwory¹ oczy.

- Ale jak mog¹ tego nie widzieæ?

- Powiedz wreszcie, jak przebieg³o spotkanie w Pa³acu Elizejskim.

- Tak samo jak zawsze. Oczekiwa³em powa¿nych sprawozdañ, a tymczasem us³ysza³em dyskusjê o rolnictwie, o gospodarce i o tym, jak bardzo wszyscy s¹ pewni linii Maginota. Chcia³bym podzielaæ tê pewnoœæ.

- Czy w ogóle nie obawiaj¹ siê Hitlera?

- Obawiaj¹ siê. W pewnym stopniu. Przypuszczaj¹, ¿e w którymœ momencie wybuchnie wojna miêdzy Niemcami a Brytyjczykami, ale wci¹¿ maj¹ nadzieję, ¿e wtr¹ci siê Opatrznoœæ i... - Westchn¹³ i zdj¹³ smoking. Sprawia³ wra¿enie zmêczonego, rozczarowanego i du¿o starszego ni¿ by³ w istocie; przywiód³ Liane na myœl rycerza gotowego do bitwy, która siê nie rozpoczyna. Nagle zatroska³a siê o niego. - Nie wiem, Liane - ci¹gn¹³ - mo¿e widzê coœ, czego nie ma, mo¿e zbyt d³ugo przebywa³em z dala od Francji...

- Nie w tym rzecz. Trudno stwierdzaæ, kto ma s³usznnoœæ, mo¿e postrzegasz sprawy przenikliwiej ni¿ oni, a mo¿e to oni ¿yli z groŸb¹ wojny od tak dawna, ¿e przestali siê ni¹ przejmowaæ i doszli do wniosku, ¿e nigdy nie wybuchnie.

- Czas to poka¿e.

W milczeniu skinê³a g³ow¹ i odsunê³a barek na kó³kach. - Mo¿e lepiej zapomnij dzie o tym wszystkim. Zbyt mocno bierzesz sobie te rzeczy do serca.

Czule wymasowa³a mu kark, a chwilê póŸniej Armand rozebra³ siê, po³o¿y³ do ³ó¿ka i zapad³ w niespokojny sen.

Liane tego wieczoru nie by³a zmêczona, d³ugo wiêc siedzia³a w salonie. Wci¹¿ têsni³a za statkiem i ¿a³owa³a, i¿ nie mo¿e wyjœæ na pok³ad, popatrzaæ na ucepione morze. Raptem poczu³a, jak daleko jest od domu. Dobrze zna³a Pary¿, teraz jednak dostrzeg³a w nim coœ odmiennego. Nie wydawa³ siê miejscem, które jest jej domem, nie mieszkali jeszcze zreszt¹ w domu, mieszkali w hotelu, nie mia³a tu przyjació³. To przypomnia³o jej Nicka. Ciekawi³o j¹, jak ten dzieñ min¹³ Burnhamom. Odnosi³a wra¿enie, i¿ minê³y lata od chwili, kiedy sta³a na pok³adzie rozmawiaj¹c z Nickiem, a przecie¿ up³ynê³y zaledwie dwa dni! Przypomnia³a sobie jego proœbê, by dzwoni³a do niego, ilekroæ bêdzie potrzebowa³a przyjaciela, choæ mia³a œwiadomoœæ, ¿e w tej chwili nie wypada³o jej siê z nim kontaktowaæ. To, co by³o normalne na statku, tu mog³o siê okazaæ kompromituj¹ce.

Kiedy sz³a do sypialni, w apartamencie panowa³a cisza i tylko Armand pochrapywa³ w ich ma³¿eñskim ³o¿u. Byæ mo¿e mimo rozczarowania w gruncie rzeczy dobrze przyj¹³ nowiny. Jeœli sytuacja w Pary¿u nie by³a tak dramatyczna, jak siê obawia³, to jest szansa, ¿e bêdzie bywa³ w domu znacznie czêœciej, a taka perspektywa by³a dla Liane niezwykle kusz¹ca. Mo¿e bêd¹ mieli czas na spacer w Lasku Buloñskim albo w Ogrodach Tuileryjskich?... Mo¿e nawet pójd¹ razem na zakupy lub zabior¹ dziewczynki na przeja¿d¿kê ³ódk¹? Pokrzepiona tymi myœlami Liane wy³¹czy³a œwiat³o i po³o¿y³a siê do ³ó¿ka.

Rozdzia³ jedenasty

Hillary wkroczy³a do domu przy Avenue Foch, pod¹¿aj¹cy zaœ za ni¹ szofer ugina³ siê pod ciê¿arem siedmiu pude³ z sukniami od Diora, Madame Gres i

Balanciagi, a także kilku mniejszych pakunków. Spędzi³a uroczy dzieñ i czeka³ j¹ jeszcze bardziej uroczy wieczór, skoro Nick nadal przebywa³ w Berlinie.

- Po³ó¿ je tutaj - rzuci³a przez ramiê i skrzywi³a siê dojrza³y wyraz niezrozumienia na twarzy szofera. Przeciê¿ wyraŹnie wskaza³a na krzes³o. - Ici.

Najlepiej jak móg³ u³o¿y³ pakunki na krzeœle stoj¹cym w d³ugim marmurowym holu, œwietlonym olbrzymim kryszta³owym kandelabrem. Dom by³ piêkny, od pierwszej chwili oczarowa³ Nicka, Hillary zaœ oczywiœcie znacznie mniej. Woda nigdy nie by³a dostatecznie gor¹ca na jej k¹piel, brakowa³o natrysku, utrzymywa³a te¿ z uporem, ¿e dom jest pe³en komarów i ¿e wola³aby apartament w Ritzu. S³u¿¹cych, zatrudnionych przez paryskie przedstawicielstwo firmy Nicka, uzna³a za nieprzyjemnych, a ich znajomoœæ angielskiego za ¿adn¹. Poza tym ca³ymi dniami narzeka³a te¿ na upa³.

Przebywali w Pary¿u niemal od miesi¹ca i Hillary musia³a przyznaæ, i¿ miasto o tej porze roku nie jest miejscem tak beznadziejnie nudnym. Utrzymywano powszechnie, ¿e lato roku 1939 bije pod ka¿dym wzglêdem ubieg³e, kiedy to traktat monachijski zwarzy³ nastroje mieszkañców. Teraz z niemal mœciw¹ zawziêtoœci¹ wydawano jedne po drugich przyjêcia i bale. Hrabia Etienne de Beaumont wyda³ nie tak dawno bal kostiumowy, prosz¹c wszystkich goœci, aby przybyli przebrani za postacie ze sztuk Racine'a - aby skupiaæ na sobie ogóln¹ uwagê, Maurycy Rotszyld przyozdobi³ swój turban s³ynnymi brylantami matki, szarfê zaœ renesansowymi klejnotami, dzie³em Celliniego. W Wersalu lady Mendl goœci³a na garden party siedemset piêædziesi¹t osó³: sprowadzi³a trzy s³onie, aby daæ zaproszonym temat do rozmów. Najlepsze zaœ przyjêcie wyda³a Louise Macy, która na ten wieczór wynajê³a s³ynny Hotel Sale, poprzestawia³a bezcenne meble, zainstalowa³a dodatkowe urz¹dzenia hydrauliczne i ruchom¹ kuchniê oraz ustawi³a kilka tysiêcy œwiec. Goœciom "rozkazano" obficie przyozdobiaæ siê diademami i innymi klejnotami, Hillary postara³a siê zatem wypo¿yczyæ od Cartiera tiarê - godn¹ najwy¿szego podziwu ozdobê z dziesiêciu czternastokaratowych szmaragdów otoczonych k¹eciami przezczystych brylantów.

Tak, Hillary nie mog³a powiedzieæ, ¿e nudzi siê w Pary¿u, a jednak nie bawi³a siê najlepiej, dlatego na resztê lata poczyni³a inne plany. Przy odrobinie szczêœcia ona i jej bostoñscy przyjaciele jeszcze przed powrotem Nicka znajd¹ siê na po³udniu.

Od przyjazdu do Francji Nick wprawia³ j¹ w nieustanne zak³opotanie. Wci¹¿ zachowywa³ tê now¹ pozê, przybran¹ jeszcze na statku. By³ oziêb³y i daleki, zawsze uprzejmy, ale niezbyt zainteresowany jej poczynaniami. Jej towarzystwa wymaga³ jedynie przy okazji kolacji wydawanych w zwi¹zku z interesami albo do podejmowania herbatk¹ ¿ony jakiegoe¿ wa¿nego przemys³owca. Wyrazi³ jasno, czego od niej oczekuje, ona zaœ dosz³a do wniosku, ¿e tej jego nowej postawy nie znosi jeszcze bardziej ni¿ poprzedniej. W czasach kiedy tak rozpaczliwie usi³owa³ sprawiaæ jej przyjemnoœæ, budzi³ w Hillary poczucie winy, które obraca³o siê w nienawioœæ. Teraz czu³a siê w jego ¿yciu elementem równie istotnym jak klamka, a to potêgowa³o jej z³oœæ.

W niespe³na tydzieñ od przyjazdu do Francji postanowi³a sobie, ¿e poka¿e mu, co potrafi. Nie pozwoli wyci¹gaæ siê z szafy jak stary ³ach, ilekroæ jest potrzebna na jak¹œ wa¿n¹ kolacjê. Nie by³a tañcz¹cym niedŹwiedziem, ¿eby dostarczaæ goœciom rozrywki, a poza tym ¿ycie w Pary¿u przyprawia³o j¹ ju¿ o md³oœci. Podczas tygodniowej nieobecnoœci Nicka wszystko sobie

zaplanowa³a.

Wesz³a teraz do wy³o¿onej boazeri¹ biblioteki, przyozdobionej przygnêbiaj¹cymi kobiercami z Aubusson, i wyrza³a na ogród. John bawi³ siê z niani¹ i szczeniakiem, którego kupi³ mu Nick - ma³ym terierkiem szczekaj¹cym zbyt czêsto i zbyt g³oœno jak na gust Hillary. W tej chwili szczekanie i œmiech te¿ porazi³y jej uszy i mocno j¹ poirytowa³y. Skwar i d³ugotrwa³e zakupy przyp³aci³a bólem g³owy. Rzuci³a kapelusz na krzes³o, œci¹gnê³a rêkawiczki, podesz³a do baru ukrytego za boazeri¹ i nieomal zemdla³a us³yszawszy za swoimi plecami:

- Dobry wieczór. Jak min¹³ dzieñ?

Obróci³a siê na piêcie i ujrza³a Nicka siedz¹cego w k¹cie przy olbrzymim biurku w stylu Ludwika XV. Wchodzi³c do pokoju, nawet nie spojrze³a w tamt¹ stronê.

- Co tu robisz? - Nie wygl¹da³a na uszczêœliwion¹ jego obecnoœci¹.

- Mieszkam tutaj, tak mi siê przynajmniej wydaje.

W istocie, podobnie jak na statku, trzyma³ siê tylko w³asnego pokoju, czym Hillary siê wcale nie przejmowa³a, wyj¹wszy mo¿e to, ¿e czu³a siê w ten sposób zniewa¿ana. Niepokoi³o j¹ natomiast, i¿ od wielu lat trzyma³a go na dystans b¹dŸ zwabia³a do swego³o¿ka, kiedy mia³a na to ochotê, a teraz... teraz on podejmowa³ decyzjê w jej imieniu, choœ w gruncie rzeczy nie by³a to strata, nad któr¹ mog³aby boleæ. Mia³a ju¿ inne plany. A teraz, gdy przygl¹da³ siê jej zza biurka jak kot myszy, mia³a ochotê go spoliczkowaæ.

- Czy nie zamierza³aœ nalaæ sobie drinka? Nie chcê ci zak³oœæ rytua³u.

- Nie zak³oœasz. - Podesz³a do baru i nala³a sobie podwójn¹ szkock¹. - Jak by³o w Berlinie?

- Czy ma to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie?

- Praktycznie ¿adnego - przyzna³a. Ostatnimi czasy byli wobec siebie zdumiewaj¹co szczerzy, co pod pewnymi wzglêdami przynosi³o ulgê.

- Jak siê miewa Johnny?

- Œwietnie. Za kilka dni zabieram go do Cannes.

- Doprawdy? A móg³bym zapytaæ, w czym towarzystwie?

- Podczas twojej nieobecnoœci spotka³am kilku przyjació³ z Bostonu. W weekend jad¹ do Cannes, a ja z nimi. - Przez przyzmat szklaneczki popatrzy³a na niego wyzywaj¹co. Skoro Nick ¿yczy sobie osobnego ¿ycia, proszê bardzo, ale nie bêdzie jej mówi³, co ma robiæ.

- Móg³bym jeszcze spytaæ, jak d³ugo zamierzasz tam byæ?

- Nie wiem. W Pary¿u jest dla mnie za gor¹co. Rzygaæ mi siê tu chce.

- S³yszê to z prawdziw¹ przykroœci¹, ale chcia³bym mieæ jakieœ wyobra¿enie o d³ugoœci twojego pobytu w Cannes.

Hillary z najwy¿szym trudem rozpoznawa³a w tym lodowatym tonie g³os swojego mê¿a. W ci¹gu minionego miesi¹ca zrobi³ siê wobec niej niewiarygodnie twardy i niemal zaczyna³a ju¿ podejrzewaæ, i¿ znalaz³ sobie kochankê, choœ trudno by³o jej w to uwierzyæ. Na pewno by siê wypar³, gdyby zapyta³a. Nie uczyni³a tego jednak, on zaœ nic na ten temat nie napomkn¹³. Siedzia³ teraz czekaj¹c na jej odpowiedŸ, Hillary zaœ postukiwa³a obcasem, wpatrzona w szklaneczkê szkockiej.

- Miesi¹c, mo¿e d³u¿ej - odpar³a w koñcu. - Wrócê we wrzeczniu.

- Baw siê dobrze - uœmiechn¹³ siê zimno - ale wybij sobie z g³owy, ¿e zabierzesz Johna.

- Czy mogê wiedzieæ dlaczego?

- Poniewa¿ chcia³bym go widywaæ, a nie mam ochoty jeŸdziaæ co tydzieñ do

Cannes i ogl¹daæ przy tej okazji równie¿ siebie.

- Nareszcie dobre nowiny. Ale nie mo¿esz trzymaæ dziecka w mieœcie przez ca³e lato.

- Sam gdzieœ z nim pojedã.

Hillary siê zawaha³a. Wyrz³nie mia³a ochotê coœ ostrego mu powiedzieæ - Nick niemal s³ysza³, jak jej szare komórki pracuj¹. W gruncie rzeczy wcale nie chcia³a zabieraæ ze sob¹ dziecka, czego by³ doskonale œwiadom.

- W porz¹dku. Zostawiê go tutaj.

To by³a ³atwa bitwa, pomyœla³. Bêdzie musia³ siê zastanowiæ, dok¹d pojedzie z Johnnym. Tak czy owak zamierza³ zrobiæ sobie tego lata urlop, a oto trafia³ siê po temu idealny pretekst. Mimo atmosfery potêgi i agresywnoœci, której wzrost wyczuwa³o siê w Berlinie, Nick wci¹¿ by³ pewien, i¿ wojna nie wybuchnie zbyt szybko. Przyjemnie zatem by³oby pojechaæ gdzieœ z Johnnym, zw³aszcza gdyby mieli wybraæ siê we dwóch.

- Kiedy, powiadasz, zamierzasz wyjechaæ?

Nick wsta³, obszed³ biurko. Hillary omiot³a go przeci¹g³ym spojrzeniem, w którym nawet nie próbowa³a zgasiaæ nienawiœci. Ich ma³¿eñstwo wesz³o w takie stadium rozk³adu, ¿e niemal czuli trupi odór.

- Za dwa dni. Czy to dla ciebie dostatecznie szybko?

- Chcia³em tylko wiedzieæ. Zjesz dzisiaj ze mn¹ kolacjê?

- Mam inne plany.

Nick skin¹³ g³ow¹ i zszed³ do ogrodu, aby przywitaæ siê z Johnnym. Na widok ojca malec pisa¹³ z radoœci i pad³ mu w ramiona. Hillary przez chwilê obserwow³a ich z okna, potem obróci³a siê na piêcie i wysz³a z biblioteki.

Wyjecha³a dwa dni póŹniej, ni¿ planowa³a, ale przez ten czas Nick prawie jej nie widywa³; do póŹna przesiadywa³ w biurze, chodzi³ na kolacje z jakimœ goœciami z Chicago, ilekroæ zaœ pyta³ Hillary, czy ma ochotê mu towarzyszyæ - stanowczo odmawia³a.

Utrzymywa³a, ¿e jest zbyt zajêta pakowaniem, Nick uzna³ zaœ, i¿ lepiej nie przyciskaæ jej do muru. Widzia³ j¹ rankiem tego dnia, kiedy wyje¿d¿a³a do Cannes: wsiada³a do wielkiej limuzyny, która mia³a j¹ zawieŹæ na dworzec. Przez chwilê zastanawia³ siê, z kim wyje¿d¿a, lecz postanowi³ nie zadawaæ ¿onie ¿adnych pytañ.

- Baw siê dobrze - powiedzia³ tylko na po¿egnanie. Poprosi³a go o dwa tysi¹ce dolarów na podró¿ i wrêczy³ jej te pieni¹dze poprzedniego wieczoru, równie¿ o nic nie pytaj¹c. Ledwie mruknê³a "dziêkuj¹".

- Do zobaczenia we wrzœeniu - krzyknê³a radoœnie, biegn¹c do samochodu. By³a ubrana w czerw¹n¹ sukienkê w groszki i stosowny kapelusik.

- Mog³abyœ od czasu do czasu zadzwoniæ do swojego syna - przypomnia³, Hillary zaœ skinê³a g³ow¹ i wsiad³a do samochodu.

Po raz pierwszy od bardzo dawna widzia³ j¹ szczêœliw¹. Wróciwszy do domu, aby przygotowaæ siê do wyjœcia do biura, poczu³ coœ na ksztãt ¿alu, ¿e upar³ siê za wszelk¹ cenê ocaliæ ma³¿eñstwo. Mo¿e obojgu nale¿y siê w ¿yciu coœ lepszego ani¿eli ten niefortunny zwi¹zek? Kiedy poprawia³ krawat i wk³ada³ marynarkê, z³apa³ siê na tym, ¿e myœli o Liane, ciekaw, co siê z ni¹ dzieje. Nie spotka³ de Villiersów podczas ¿adnej z kolacji, na które by³ zapraszany, przypuszcza³ jednak, i¿ obracaj¹ siê raczej w dyplomatycznych krêgach, gdzie on z kolei bywa³ sporadycznie. Wiedzia³, ¿e za kilka tygodni ambasada polska wydaje wykwintne przyjêcie, i podejrzewa³, ¿e de Villiersowie wezm¹ w nim udzia³. Ale có¿ z tego, skoro on nie móg³ siê na nim pojawiaæ? Nikt nie móg³ siê dowiedzieæ, jakim gestem wykaza³ siê wobec Polski, Polakom zaszkodzi³oby bowiem, gdyby rozesz³a siê wieœæ, i¿

oni również się zbroją. Ciekawki dyplomatyczne, które wykorzysta Nick, aby przedstawić im swoją propozycję, były zdumione minimalnymi cenami, jakie znalazły się w jego ofercie. Ale tylko w ten sposób mógł udzielić Polsce pomocy.

Niemcy skądali ostatnimi czasy dużo większe zamówienia i Nicka oganiała coraz większa chęć zwinięcia prowadzonych z nimi interesów. Ilekroć był w Niemczech, czuł się nieprzyjemnie, i bez względu na to, jak wielkie zyski przynosiły te kontrakty, nie mógł dłużej udawać przed samym sobą, że to uczciwe. Trudno było powiedzieć, co nadciąga, Liane jednak miała przesusznocę - zbliżał się czas, kiedy trzeba będzie podjąć decyzję, po której staną strony. Dla Nicka ten czas już nadszedł.

Wychodził do biura, ucałował Johna na pożegnanie, stwierdzając z satysfakcją, że choć nie wydaje się przesadnie zmartwiony wyjazdem matki. Nick obiecał mu już wycieczkę do Deauville, gdzie mieli jeździć konno po plaży. Perspektywa wyprawy, zaplanowanej na pierwszego sierpnia, bardzo obydwo podniecała. Mieli spędzić razem co najmniej dwa tygodnie.

- Dobrze się baw, tygrysie, zobaczymy się później.

- Cześć, tato.

Jony bawił się kijem baseballowym i piórkami, skarbami, które udało mu się przemyścić w jednym z kufrów. Kiedy limuzyna skręcała za róg Avenue Foch, Nick spostrzegł, że piórko wybiła szybę w jednym z okien salonu. Rozczemniał się, wspomniał rozmowę z nowojorskim odwiecznym. Szybko Nicka, szofer odwrócił głowę.

- Oui, monsieur?

- Powiedziałem, że na tym właśnie polega baseball.

Szofer z nieprzeniknionym wyrazem twarzy skinął głową.

Rozdział dwunasty

Trzydziestego pierwszego lipca przyjechała z Waszyngtonu reszta rzeczy de Villiersów, którzy w ciągu tygodnia przenieśli się do domu wybranego przez Armanda jeszcze w kwietniu. Położony był w przyjemnym miejscu, na Place du Palais-Bourbon w VII dzielnicy. Przez dziesięć następnych dni Liane harowała jak wyrobnica przy rozpakowywaniu kufrów i skrzyń. Niemal wszystko robiła sama, bo tylko ona wiedziała, gdzie ma się znaleźć każdy przedmiot. Szybko prosiła jedynie o odkurzanie i zmywanie naczyń, resztę zaczęła z satysfakcją wykonywać w asporęcznie, wypełniając tym samym kolejne dni bez Armanda. Marzenie o przechadzkach w Lasku Bulońskim i Ogrodach Tuileryjskich rozwiązało się jak dym - wojna nie wojna, centrala pochłonęła Armanda bez reszty. Jadała obiady z kolegami pracującymi w rozmaitych ambasadach i zwykle wracała do domu około dwudziestej, o ile oczywiście nie przytrafiała mu się jakaś ważna kolacja. Bo jeżeli tak, zjawiała się dopiero późną noc.

Nie przypominało to w niczym waszyngtońskich czasów, kiedy jako pani ambasadorowa Liane stanowiła integralną część towarzyskiego życia Armanda, kiedy podejmowała gości, pełniła rolę gospodyni, organizowała wieczorki, wydawała uroczyste przyjęcia, uczestniczyła u boku męża we wszystkich audiencjach. Tu na ogół Armand wszędzie bywał sam i raczej wyjątkiem niż regułą była sytuacja, kiedy dokądkolwiek zabierała Liane. Często więc jej życie koncentrowało się teraz na córkach, albowiem kiedy

póŸnym wieczorem widzia³a w koñcu Armanda, ten by³ zbyt zmêczony, aby z ni¹ rozmawiaæ. Zjada³ kolacjê, po czym wyczerpany k³ad³ siê do, ³óka i zapada³ w g³êboki sen najpóŸniej dziesiêæ sekund po tym, jak przy³o¿y³ g³owê do poduszki.

Osamotniona Liane z nostalgii¹ wspomina³a Waszyngton, Londyn czy Wiedeñ. By³o to dla niej ca³kiem nowe ¿ycie, wiêcej - ¿ycie, które wcale siê jej nie podoba³o, i chocia¿ czyni³a wszystko, aby tego po sobie nie pokazaæ, Armand coæ jednak wyczuwa³. Ona przypomina³a mu teraz kwiat wiêdn¹cy w zaniebanym ogrodzie, co przepe³nia³o go ogromnym poczuciem winy. Ko³o historii toczy³o siê jednak coraz szybciej; Francja zaczyna³a ucwiadamiaæ sobie niebezpieczeñstwo, jakie niesie Hitler, i chocia¿ obywatele kraju wci¿ mieli pewnoœæ, ¿e nic im nie grozi, coraz wiêksz¹ uwagê zwracano na kwestiê bezpieczeñstwa narodowego i gotowoœci bojowej armii. Uczestnicz¹c w nie koñcz¹cych siê naradach i konferencjach, Armand poczu³ przyp³yw si³. By³ to dla niego dobry okres, z³y jednak dla Liane. Armand o tym wiedzia³, ale nic nie móg³ poradziæ. Nie mia³ nawet czasu, ¿eby chocia¿ czasami zabraæ j¹ na kolacjê we dwoje.

- Têskniê za tob¹, wiesz? - ucemiechnê³a siê do niego, kiedy wróciwszy pewnego wieczoru zasta³ j¹ przy wieszaniu obrazów. Jak zwykle zdo³a³a stworzyæ wra¿enie, ¿e w domu tym mieszka¹ od lat, i Armand by³ jej za to bezgranicznie wdziêczny. Poca³owa³ Liane, pomóg³ zejœæ ze sto³ka i przez d³u¿sz¹ chwilê przytrzyma³ w ramionach.

- Ja te¿ za tob¹ têskniê, maleñka. Mam nadziejê, ¿e zdajesz sobie z tego sprawê.

- Czasem tak... - westchnê³a, po³o¿y³a m³otek na biurku i ze smutnym ucemiechem popatrzy³a na Armanda. - Ale czasem myœlê, ¿e zapomni³eœ o moim istnieniu.

- To siê nigdy nie zdarzy, maleñka. Jestem po prostu bardzo zajêty.

- Czy kiedykolwiek jeszcze bêdziemy mieli prawdziwe ¿ycie?

Skin¹³ g³ow¹. - Miejmy nadziejê, ¿e ju¿ wkrótce. Rzecz w tym, ¿e akurat w tej chwili bardzo wzros³o napiêcie miêdzynarodowe. Musimy poczekaæ i przekonaæ siê, co nast¹pi... Musimy siê przygotowaæ...

Kiedy to mówi³, w jego oczach jarzy³ siê tak silny blask, ¿e w Liane zamar³o serce. Czuj³a, ¿e traci Armanda na rzecz Francji dok³adnie tak samo, jak mog³aby go straciæ na rzecz innej kobiety. Sytuacja w³œciwie przedstawia³a siê gorzej, poniewa¿ mia³a do czynienia z rywalk¹, której nie by³a w stanie stawiaæ czo³a.

- A jeœli wybuchnie wojna, Armandzie?... Co wtedy?

- Zobaczymy - odpar³ dyplomatycznie, jak to on zawsze czujny i ostro¿ny. Zachowywa³ siê tak nawet wobec w³asnej ¿ony, która jednak nie pyta³a go w tej chwili o Francjê, lecz o swoje miejsce w jego ¿yciu.

- Wtedy nie bêdê ciê widywaæ ju¿ wcale. - W jej g³osie brzmia³o zmêczenie i bezgraniczny smutek. Tego wieczoru nie mia³a ochoty udawaæ weso³ej i pogodnej.

- To s¹ niezwyk³e czasy, Liane, jak na pewno doskonale pojmujesz...

By³by rozczarowany, gdyby tego nie rozumia³a. Musia³a dŸwigaa swój krzy¿. Musia³a byæ przygotowana na sk³adanie takich samych ofiar, jakie sk³adaa musia³ Armand, ale niekiedy to wymaganie przerasta³o jej si³y. Gdyby tylko trafia³ im siê od czasu do czasu wspólnie spêdzony wieczór, kilka chwil na pogawêdkê, noc, kiedy zmêczenie nie odbiera³oby mu si³ do mi³oœci... Oczy Liane mia³y do opowiedzenia w³asn¹ historiê.

- Niewa¿ne. Chcia³byœ coæ zjeœæ?

- Już jad³em - odpar³, Liane za³e nie wspomnia³a ani s³owem, ³e czeka³a na niego z kolacj¹. - Jak tam dziewczêta?

- Bardzo dobrze. Obieca³am, ³e w przysz³ym tygodniu, jak tylko uporam siê z urz¹dzaniem domu, zabiorê je na piknik do Neuilly.

Marie-Ange i Elisabeth tak³e czu³y siê samotne; kiedy pójd¹ do szko³y, znajd¹ nowe przyjació³ki, ale chwilowo by³y skazane na towarzystwo mamy i guwernantki.

- Jeste³e jedyn¹ kobiet¹, jak¹ znam, która potrafi w ci¹gu tygodnia urz¹dziæ dom - rzek³ z u³emiechem, siadaj¹c w fotelu, by³ jednak przera³ony koniecznoœci¹ zakomunikowania Liane, i³ marzy jedynie o tym, aby pój³æ do ³ó³ka i zasn¹æ.

- Jestem szczê³eliwa, ³e wynieœliœmy siê ju³ z hotelu.

- Ja te³. - Przebieg³ spojrzaniem po znajomych przedmiotach i wreszcie poczu³, ³e jest w domu. Niewiele zauwa³a w ci¹gu minionego miesi¹ca. By³ tak zajêty prac¹ w biurze, ³e nie zwróci³by zapewne uwagi, gdyby podczas jego nieobecnoœci apartament hotelowy czy dom zamieni³ siê w szopê zbit¹ ze zbutwia³ych desek. Liane zreszt¹ nie mia³a co do tego z³udzeñ.

- Mo³e zaparzyæ ci rumianku? - zaproponowa³a pó³niej w sypialni, Armand za³e uj¹³ j¹ za rêkê, poca³owa³ i usiad³ na ³ó³ku.

- Jeste³e dla mnie bardzo dobra, maleñka.

- Bo bardzo ciê kocham.

W bardzo wielu sytuacjach by³o odwrotnie, to Armand okazywa³ jej dobroæ. Nie jego wina, ³e jest teraz tak bardzo zajêty, myœla³a. To zreszt¹ nie mo³e trwaæ wiecznie, wczesniej czy pó³niej wszelkie problemy zostan¹ rozwi¹zane. Liane zanosi³a mod³y jedynie o to, ³eby nie zakoñczy³y siê wybuchem wojny.

Posz³a do kuchni, aby zaparzyæ mu rumianku, a kiedy wróci³a z delikatn¹ porcelanow¹ fili³ank¹ z Limoges, któr¹ wraz z innymi wypakowa³a ze skrzyni tego popo³udnia, Armand ju³ spa³.

Rozdzia³ trzynasty

- I co, tygrysiu, o czym myœlisz? - Nick i John ramiê w ramiê przejechali konno ca³¹ pla³ê, a teraz stali obok siebie, podziwiaj¹c niebo i morze, w którym chwilê wczesniej utonê³o s³oñce. Tydzieñ w Deauville by³ zaiste niebiañski. - Jeste³e gotów wrzuciæ co³e na ruszt?

- Jasne. - Przez minion¹ godzinê John udawa³, ³e jest kowbojem na ranczu. Dos³ownie zakocha³ siê w ros³ym ³agodnym siwku, na którym je³dzi³. Jego ojciec dosiada³ zgrabnej kasztanki. John zerkn¹³ na ojca. - ³ebyœmy tak mogli wtr¹chn¹æ hamburgera, tak jak kowboje na ranczu!

Nick u³emiechn¹³ siê do syna. - Racja. Hamburger i koktajl mleczny. To by by³o to - przyzna³, znajdowali siê jednak w miejscu, gdzie podobne smako³yki by³y absolutnie niedostêpne. - A mo³e zadowol³by ciê przyzwoity soczysty stek? - Wiedzia³, ³e jedyn¹ potraw¹ zbli³on¹ do kuchni amerykañskiej, na któr¹ mog¹ liczyæ, jest ostro przyprawiony stek.

- Mo³e byæ - zgodzi³ siê ch³opiec.

Na jego proœbê poprzedniego dnia zadzwonili do Hillary. Doskonale bawi³a siê w Cannes i by³a bardzo zaskoczona ich telefonem. Nick nie powiedzia³ ch³opcu, ³e cztery razy próbowa³, zanim zdo³a³ zlokalizowaæ Hillary. Poza tym w ci¹gu miesi¹ca od jej wyjazdu zaczê³y do niego nap³ywaæ plotki. Do

"grupy" przyjaciół bawiłcej w Cannes do³czy³ znany Nickowi z Nowego Jorku cz³owiek o nazwisku Philip Markham, dandys najgorszego gatunku, czterokrotnie dot³d³ onaty. Teraz jego nazwisko³ czono z osob³ Hillary Burnham. Nicka zupe³nie nie obchodzi³o, co robi jego³ ona, ale nakaza³ jej zachowanie dyskrecji, najwyraŹniej jednak spe³nienie tego³ dania przerasta³o jej si³y. Co wiecz³or³ wraz z Markhamem uprawiali hazard w Monte Carlo, tañczyli do bia³ego rana, w Carltonie wydali zgie³kliwe przyjêcie, które trafi³o nawet na³ amy prasy paryskiej. Nick rozwaŹa³ przez jak³e czas myœl, czyby nie zadzwoniæ do Hillary w celu przywo³ania jej do porz³dku, lecz uœwiadomi³ sobie, Źe jest juŹ za p³õno. Nie panowa³ nad ni³, a bez wzglêdu na to, co jej powie, Hillary zrobi swoje.

- Fajnie by³o pogadaæ z mam³ - rzek³ John, jakby czytaj³c w jego myœlach.
- Bardzo za ni³ têsknisz?
- Czasami... - wyzna³, potem lojalnie uœmiechn³ siê do ojca.
- Ale z tob³ naprawdê dobrze siê bawiê.
- Ja teŹ.
- Myœlisz, Źe szybko wróci do domu?

To pytanie porazi³o Nicka. chociaŹ Hillary nie interesowa³a siê synem, by³o oczywiste, Źe Johnny kocha ich oboje. Matka przys³a³a mu kilka prezentów, ale rzadko dzwoni³a, Nick zaæ jak zwykle robi³ wszystko, Źeby ch³opiec nie zdawa³ sobie z tego sprawy. Hillary by³a, jaka by³a, i Nick dobrze wiedzia³, Źe któregoœ dnia jego syn pozna ca³¹ prawdê o matce.

- Nie wiem, kiedy wróci, synu. Prawdopodobnie za kilka tygodni.

John skin³ g³ow³ i nie powiedzia³ juŹ ani s³owa, kiedy odstawiali konie do stajni i wracali do hotelu.

Zgodnie z umow³ zamówili tego wieczoru stek, p³õniej zaæ w pokoju Nick czyta³ Johnowi jego ulubion³ ksi³kê. Spêdzali w ten sposób wszystkie wieczory. Nick nie zabra³ nawet piastunki. Chcia³, Źeby ten czas spêdzili we dwóch, i rozkoszowa³ siê œwiadomoœci³, Źe ma Johnny'ego tylko dla siebie.

Ostatniego dnia odbyli jak zwykle przejaŹdkê brzegiem morza. Zachód s³oñca by³ tego wieczoru jeszcze piêkniejszy niŹ zwykle. Wczêœniej grali w tenisa i urz³dzili sobie piknik na plaŹy. Kiedy teraz podziwiali zachodz³ce s³oñce, Nick z uœmiechem patrzy³ na syna.

- Bêdziemy to pamiêtaæ bardzo d³ugo. Ty i ja.

To by³ najlepszy okres, jaki ze sob³ spêdzili. Nick siêgn³ po d³oñ ch³opca. Siedzieli tak, trzymaj³c siê za rêce, bardzo d³ugo, i John nawet nie zauwaŹy³³ ez, które nap³ynê³y do oczu ojca.

Nazajutrz po powrocie Nick musia³ na kilka dni pojechaæ do Lyonu, aby przeprowadziæ rozmowy z w³aœcicielem fabryki tekstyliów. Wróci³ po czterech dniach, by przygotowaæ siê do ostatniej, jak postanowi³, wyprawy do Berlina. Johnny pyta³, czy mógłby z nim pojechaæ, ale Nick siê nie zgodzi³, obiecuj³c wróciæ za dzieñ lub dwa.

Zaraz po przybyciu do Berlina wyczu³, Źe w mieœcie panuje zupe³nie inna niŹ zwykle atmosfera: ludzi przepe³nia³o jakby uniesienie. Jeszcze tego samego popo³udnia zrozumia³ powód takiego stanu rzeczy. By³ to dwudziesty trzeci sierpnia - tego dnia Niemcy podpisa³y ze Zwi³zkiem Radzieckim pakt o nieagresji. Negocjacje prowadzono potajemnie, toteŹ ich wynik by³ wielk³ nowin³. Najwiêkszy potencjalny wróg Niemiec zosta³ obezw³adniony. Nick, jak zreszt³ wszyscy, natychmiast poj³, Źe ta ugoda stwarza dla Francji i reszty Europy ogromne zagroŹenie, i nagle poczu³ nieprzepart³ chêæ

natychmiastowego powrotu do Paryża, do syna. Kto wie, jak szybko zaczną się rozwijać wydarzenia, które gotowe go uwięzić w Berlinie? Gorczkowo zażąda tego dnia swoje sprawy, czuję gorzką satysfakcję, że uczynię dla Polski wszystko, co będzie w jego mocy.

Po pośrodku odbył ostatnie spotkanie i najbliższym pociągami wrócił do Paryża. Kiedy dostrzegł wyłaniając się zza horyzontu wieżę Eiffla, zdał sobie sprawę, że jedyne, czego pragnie, to znaleźć się blisko Johna. Pospiesznie wrócił do domu przy Avenue Foch i chwycił w objęcia syna, który jadł wczajnie.

- Szybko wróciłeś, tato.
- Bo tęskniłem za tobą.
- Ja też za tobą tęskniłem.

Popijał kawę, gawędził z synem i przeglął gazetę. Ciekaw był reakcji Paryża, choć oczywiście wiedział, w czym się ona przejawia. Ogłoszono powszechną mobilizację, czyniono przygotowania do wojny, z wnętrza kraju przerzucano wszystkie oddziały nad granicę, do obrony linii Maginota.

- O co tu chodzi, tatusiu? - zapytał Johnny, z ciekawości zaglądnął mu przez ramię, Nick wyjaśnił więc wszystko na temat aliansu Niemców i Rosjan, a także znaczenie tego sojuszu dla Francji. Chłopiec patrzył szeroko otwartymi oczyma. - Chcesz powiedzieć, że wybuchnie wojna? - Nie był z tej perspektywy zbyt niezadowolony. Dostatecznie miał, aby uznać ją za intrygującą, wciąż uwielbiał wszystko, co miało jakikolwiek związek z bronią.

Kiedy John poszedł się bawić, Nick podszedł do biblioteki i poprosił telefonistkę o połączenie z hotelem Carlton w Cannes. Najwcześniejszy czas, aby znaleźć się u niej w domu, bez względu na to, czy jej się to spodoba, czy nie.

Dłuższy czas szukano jej daremnie, wreszcie zaproponowano, by zadzwonić później. Nick jednak był uparty: jeżeli Hillary przebywa gdziekolwiek na terenie hotelu, ma zostać odnaleziona. W końcu odszukano ją - w czimie pokoju, jak podejrzewał Nick, nie przywiózł zresztą do tego faktu żadnej wagi. Dziwka czy nie dziwka, był również matką jego syna i na wypadek, gdyby we Francji miało się dziać coś tragicznego, chciał ją mieć z powrotem w Paryżu.

- Przepraszam, że cię niepokoję, Hil.
- Czy stało się coś z tego? - Kiedy naga przemierzała pokój Philipa Markhama, przyszedł jej do głowy, że Johnny'ego spotkało jakiegoś nieszczęście.

- Czytałeś dzisiejsze albo wczorajsze gazety?
- Chodzi ci o tę historię z Niemcami i Rosjanami?
- Tak. Wczajnie o to.
- Rany boskie, Nick, już myślałem, że coś się stało Johnny'emu.
- Uśmiechnęła się, ogarnięta poczuciem ulgi, a kiedy usiadła na krześle, Philip zaczął pieścić jej udo.

- John ma się doskonale. Ale chcę, żeby wrócił do domu.
- Chcesz powiedzieć: teraz?
- Tak. Dokładnie to chcę powiedzieć.
- Dlaczego? Tak czy owak, zamierzam wrócić w przyszłym tygodniu.
- Może być za późno.
- Za późno na co? - zdumiała się, dochodził do wniosku, że jej mąż jest roztrzęsionym durniem. Miała ochotę parsknąć śmiechem na widok Philipa, który krzywił zabawnie twarz i wykonywał obsceniczne gesty, rzucił się na rozbebeszone łyce.

- S'dzê, że wybuchnie wojna. We Francji ogłoszono mobilizację i możliwe, że zacznie się lada dzień.

- To się nie może stać tak szybko.

Hillary niepokoi się tak ewentualności jeszcze przed wyjazdem z Nowego Jorku, ale teraz, w Cannes, ma inne zajęcia i perspektywa wybuchu wojny wydawa się jej bardzo odległa.

- Nie chcę się z tobą spierać, Hillary. Masz wrócić do domu. Natychmiast.

- Miarowo uderzajcie dżoni w biurko, podnieś głos. Zmuszajcie się do zapanowania nad sobą, po prostu, że martwi się w równej mierze o Hillary i o Johnny'ego. Do niedawna on także s'dzi, że od wybuchu wojny europejskiej dzieli ich co najmniej rok. Nigdy nie zamierza narażać rodziny na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, teraz więc poczuł, że skonił on do tej wyprawy. - Hillary, proszę... Wracenie wróciłem z Berlina. Wiem, o czym mówię. Zaufaj mi ten jeden raz. Chcę, żebyście byli w Paryżu... na wypadek gdyby cokolwiek miało się zdarzyć.

- Przestańcie tak się trząść, na rany boskie. Wróćcie do domu w przyszłym tygodniu. - Mówi te słowa, przyjmując z ręk Philipa kieliszek z szampanem.

- Czy mam tam przyjechać i przywieść cię osobiście?

- A zrobiłbyś coś takiego? - spyta z zaskoczeniem w głosie, a Nick obserwujący Johnny'ego zajętego zabawą w ogrodzie, skinął głową i powiedział:

- Tak.

- W porządku. Zobacz, co się da zrobić. Dzień wieczorem wydaję przyjęcie dla kilku przyjaciół, a...

- Odpuszczaj sobie. Mówi ci, do jasnej cholery, że masz wsadzić dupsko do najbliższego pociągu do Paryża!

- A ja ci mówię, że wydaję przyjęcie...

- Posłuchaj - przerwa jej. - Jeśli nie docieraj do ciebie sensowne argumenty, to do cholery powiedz temu sukinkotowi Markhamowi, żeby cię przywiózł do domu. Wracaj nawet z nim, bo masz tu dziecko, a Francja lada chwila zostanie wpląta w wojnę.

- Wracajcie o co ci chodzi, do diabła? - zapyta drżącym głosem. Po raz pierwszy Nick wspomnia o Philipie; Hillary nie zdawała sobie dotąd sprawy, że o nim wie. Zakopotanie wywołane świadomością tylko rozogniło jej gniew.

- Hillary, mówię ci, dlaczego dzwonię. Nie mam nic więcej do powiedzenia - oświadczysz ze znużeniem Nick.

- Chciałabym, żebyś mi dokładnie wyjaśnił, co miałeś na myśli.

- Odstawił kieliszek i sztywno wyprostowana usiadła na krześle obok Philipa.

- Nie zamierzam ci już nic wyjaśniać. Słyszysz. Oczekuję twojego powrotu w ciągu dwóch dni - rzekł stanowczo i odłożywszy słuchawkę, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w aparat telefoniczny.

- O co mu chodziło? - Philip Markham, obserwując twarz kochanki, w okamgnieniu odgadł odpowiedź. - Wie o nas.

- Najwyraźniej.

- Wciąż się?

- Nie, wcale nie. Przynajmniej nie bardzo. Po prostu rozstrząsał się, że nie zamierzam natychmiast wracać do domu. Jest przekonany, że cały ten cholerny kraj eksploduje w ciągu kilku najbliższych dni.

- Upił się szampana i popatrzył na młóczyznę, który był jej

kochankiem od dwóch miesięcy. Bardzo jej odpowiada³. By³ w równej co ona mierze zepsuty, dekadentki i hedonistyczny.

- Ale wiesz? On może mieć s³usznocę. Zesz³ej nocy w Croisette nie mówiono o niczym innym.

- A niech diabli wezm¹ tych rozhisteryzowanych Francuzów! Tak czy siak, jeżeli wybuchnie wojna, zabieram się do domu. Nie do Paryża. Do Bostonu albo Nowego Jorku.

- Jeżeli zdo³asz się tam dostać, moja droga. On chce, żebyś wróci³a natychmiast?

- Nie wiem, nie powiedzia³. Po prostu chce, żebyś by³a w Paryżu z naszym synem.

- Ale, rozumiesz, tu by³abyć bardziej bezpieczna. Do diab³a, jeżeli Niemcy zamierzaj¹ cokolwiek zbombardować, to przypuszczalnie w pierwszej kolejności Paryż.

- To rzeczywiście pocieszaj¹ce... - Sarkazm Markhama nie zmniejszy³ lęku Hillary. Przez chwilę milcza³a w zadumie, wreszcie wyci¹gnę³a kieliszek, prosz¹c o dolanie szampana. - Myślisz, że powinnam wrócić?

Philip pochyli³ się i poca³owa³ ciep³e miejsce pomiędzy jej piersiami.

- Kiedyś tak, ołecznotko, ale nie teraz.

Delikatnie uj¹³ ustami jej sutek, a kiedy opad³a na ³o³ce, zapomni³a o wszystkim, co Nick powiedział³ jej przez telefon. Dopiero później, leż¹c na plaży, wróci³a myślami do tego problemu; co jej mówi³o, że powinna wracać. Wyzna³a to Markhamowi, gdy ubierali się na przyjęcie. Philip nonszalancko wzruszy³ ramionami.

- Odstawię cię do domu za kilka dni. Nie masz się czym martwić.

- A potem? - zapyta³a, szcztokuj¹c w³osy. Po raz pierwszy zada³a pytanie na temat przysz³ości, Markham popatrzy³ więc na ni¹ zaskoczony.

- Czy musimy się tym przejmować?

- Nie przejmuj¹ się. Po prostu pytam. Zostaniesz ze mn¹ w Paryżu przez jakiego czas? - Jej g³os by³ niemal b³agalny i na twarzy Markhama rozla³ się szeroki uśmiech.

- Nick Burnham pewnie by³by wniebowzięty takim rozwi¹zaniem?

- Nie mia³am na myśli domu, ty idioto. Móg³być się zatrzymać u Ritza czy gdzie indziej. Nie musisz jeszcze wracać do kraju.

Markham u³y z kieszonkowego wyp³acanego przez matkę i wszyscy wiedzieli, że jest lekkoduchem goni¹cym za przelotnymi mi³ostkami. Nie ukrywa³ ani tego, ani też niech¹ęci do sta³ych zwi¹zków. Cztery eks-³ony drogo go kosztowa³y i bynajmniej nie szuka³ pi¹tej. Dla jego potrzeb Hillary - mę³atka, która w dodatku oznajmi³a na wstępie, że nowe mał³eństwo raczej nie wchodzi w grę - by³a idealn¹ partnerk¹. Tym bardziej zatem stropi³ go wyraz niepokoju, który zagroci³ na twarzy Hillary.

- Chyba się we mnie nie zakocha³o, co? - Udawa³ beztruskę i ona w³oenie tak silnie dzia³a na Hillary. Nie by³ cz³owiekiem równie ³atwym do okie³znania i tak ³atwym do prowadzenia jak Nick. Zmusza³ j¹ do wysi³ku, co bardzo się jej podoba³o. By³ pierwszym mę³czyzn¹, który otwarcie, a zarazem mi³oenie nazywa³ j¹ "kurewk¹". - Jestem niebezpiecznym obiektem uczu³o, ołecznotko. Zapytaj któr¹kolwiek z kobiet. Do diab³a, zapytaj moich ³onatyckich kumpli...

- Nie muszę. Wiem, jaki jesteś. Równie zepsuty jak ja.

- No i wspaniale... - Delikatnie przyci¹gn¹³ j¹ do siebie za w³osy, poca³owa³, a potem ugryz³. - Może zatem stanowimy idealn¹ parę.

Nie chcia³ się przed ni¹ przyznać, lecz zaangażowa³ się w ten zwi¹zek

bardziej, niż zamierza³. Gdy w Nowym Jorku Hillary niemal otwarcie zachęca³ go do spotkania we Francji, uznając, że będzie to interesujący cyromansik na lato. Wówczas jednak Hillary nie s¹dzi³a, że zechce z Markhamem być d³użej zwi¹zana, teraz zaś oboje zdumiewa³o, iż jej zainteresowanie Philipem nie wygas³o, chociaż spędzili wspólnie ca³e lato.

- Niewykluczone, że zatrzymam się w Paryżu na jakiegoś czas... - mrukn¹³ Markham. Pomyśla³, że pomieszkanie z miesi¹c w hotelu Georges V może się okazać całkiem przyjemne, a perspektywa wojny nie przepe³nia³ go najmniejsz¹ obaw¹. - Wiesz, co? Zawioz¹ cię do Paryża osobiście na początku przysz³ego tygodnia. Myślisz, że to wystarczy, czy też wcześniej Nick spadnie na nas jak grom z jasnego nieba?

- Ma³o prawdopodobne - odpar³a z uśmiechem. - Jest zbyt zajęty naszym synem. No i swoimi interesami.

- Świetnie. A zatem wrócimy do domu, kiedy przyjdzie nam na to ochota. Zadzwoń jutro do hotelu i zapytam, czy dostanę swój sta³y apartament.

Hillary wysz³a do garderoby, by zakończyć przygotowania do przyjęcia, a kiedy się z niej wy³oni³a, Markham gwizdn¹³ przeci¹gle. Mia³a na sobie czerw¹ sukni¹ z organdy z dekoltem sięgaj¹cym niemal p¹ępek. W gruncie rzeczy suknia wcale nie zas³ania³a tego, co odzienie zwykle skrywa. Markham był³ tym zachwycony. Zachwycony do tego stopnia, że rzuciwszy zaledwie jedno lubię¹ne spojrzenie, brutalnym szarpnięciem obna¹ży³ Hillary, cisn¹³ j¹ na³o¹ i wzi¹³ z tak¹ moc¹, że zdyszana i bez tchu nawet przez moment nie pomyśla³a o wartej tyśi¹c dolarów kreacji od Diora, która w strzępach poniewiera³a się na pod³odze.

Rozdział czternasty

W weekend 26 sierpnia Nick i John udali się na Gare de l'Est, aby popatrzeć na żołnierzy, których tyśi¹ce wsiada³y do poci¹gów kieruj¹cych się przeważnie do przygranicznych fortec na północy. Johnny przygl¹da³ się im niemal z trwog¹. Nick zrazu się waha³, kiedy ch³opiec zapyta³, czy nie mogliby pójść na dworzec, w końcu jednak uznając, że skoro wokół nich dzieje się historia, Johnny powinien być jej naocznym świadkiem. Od ostatniej rozmowy telefonicznej Nick nie miał od Hillary żadnych wiadomości, przypuszcza³ jednak, iż pojawi się w domu łąda chwila. Dzwonienie po raz kolejny nie mia³o sensu, skoro dostatecznie jasno wyrazi³ swoje intencje.

Tego samego niedzielnego popo³udnia na Place du Palais-Bourbon na lewym brzegu Sekwany Liane i jej córki czeka³y na powrót Armanda do domu. Musia³ pracować przez ca³y weekend, ale - o dziwo! - niezmiennie bi³ od niego niewzruszony spokój. W końcu coś zaczyna³o się dziać. Wszędzie na ulicach pojawi³y się afisze ze słowami "Appel immediat", wzywaj¹ce m¹ęczyzn do wojska. Dziewczynki widzia³y te plakaty na każdym murze po drodze z parku do domu i Liane usi³owa³a wyt³umaczyć im ich znaczenie, albowiem ojciec nie potrafi³ znaleźć na to czasu. Elisabeth był³a za matką, żeby zrozumieć cokolwiek z wyjaśnień matki, poza tym panicznie ba³a się wszelkiej broni, Marie-Ange był³a jednak mocno zaintrygowana wydarzeniami ostatnich dni. Na ulicach widnia³y zreszt¹ jeszcze inne afisze, które Marie-Ange odczytywa³a na głos guwernantce i siostrze; zawiera³y wskazówki dla mieszkańców na wypadek ataku gazowego i określa³y zasady zaciemnienia. Minionej nocy Paryż był³ oświetlony tylko w części.

Liane musia³a te³ wyja³enia³e córkom, dlaczego na ulicach jest tyle samochodów: ludzie masowo wyje³d³ali z Pary³ża, wioz¹c ze sob¹ przedziwn¹ rozmaito³e dobytku - czasem nawet krzes³a i sto³y przymocowane do masek, wózki dla dzieci, garnki i patelnie. W³adze apelowa³y co prawda, aby nie gromadzono ³ywno³ci na zapas i nie wpadano w panik³e, lecz nie na wiele si³e to zda³o. Pragn¹c odwróci³e uwag³e dziewczynek od wydarze³ni, Liane zabra³a je do Luwru, muzeum jednak okaza³o si³e zamkni³ete, a wartownik poinformowa³ j¹, ³e najcenniejsze eksponaty ju³ wywieziono na prowincj³e. Na ulicach za³e, w nie maj¹cych ko³ncu dyskusjach o pakcie mi³ędzy Moskw¹ a Berlinem, s³ysza³o si³e zdanie "Nous sommes trahis", zostali³emy zdradzeni. Takich s³ów nie u³y³ nawet Armand, tote³ Liane wci¹ ³e nie mog³a uwierzy³e, ³e to wszystko dzieje si³e naprawd³e.

- Czy Niemcy mog¹ zaatakowa³e nas ju³ jutro? - Takie pytanie w kilka dni po kryzysie zada³a w czasie ³eniadania Marie-Ange, Liane za³e sm³tnie pokr³ci³a g³ow¹. Wszyscy z l³kiem czekali na to samo, nawet dzieci.

- Nie s¹dz³e, kochanie. Miejmy nadzie³j³e, ³e nigdy tego nie zrobi¹.

- Ale s³ysza³am, jak tata mówi³...

- Nie powinna³e zwraca³e uwagi na rozmowy doros³ych - odruchowo zwróci³a jej uwag³e Liane. Wszyscy ws³uchiwali si³e w s³owa innych w nadziei, ³e dowiedz¹ si³e czego³e nowego, wszyscy ³akn³eli informacji, trudno by³o zatem wymaga³e od dzieci, ³eby zachowywa³y si³e inaczej. - W³acenie dlatego ³o³nierze udaj¹ si³e nad granic³e. Maj¹ zapewni³e nam bezpiecze³stwo.

Liane by³a g³ęboko przekonana, ³e przynajmniej Marie-Ange powinna wiedzie³e, co si³e dzieje. Nie chcia³a jednak przestraszy³e córki, gdy ca³y ich ³ewiat ogarnia³o przera³enie. Mimo pozorów spokoju, dostrzegalnych wsz³edzie dooko³a, w g³ębi duszy bali si³e wszyscy, i to do tego stopnia, ³e gdy w czwartek rutynowo og³oszono próbny alarm, to tylko na chwil³e, aby spo³ecze³stwo przypadkiem nie uzna³o, i³ kraj zosta³ naprawd³e zaatakowany. Kiedy zawy³y syreny, w rzeczy samej zapanowa³o powszechne napi³ecie, a ca³e miasto zamar³o i dopiero gdy po krótkiej chwili ucich³y, odetchn³o z ulg¹.

Ale 1 wrze³enia znowu wszystkim zapar³o dech, albowiem nadesz³y wiadomo³ci o niemieckim ataku na Polsk³e. Rok wczesniej dok³adnie to samo nast¹pi³o w chwili, gdy Niemcy zaj³y cz³e³e terytorium Czechos³owacji, po ugodzie monachijskiej jednak ³ewiat znowu nabra³ otuchy. Czechos³owacja sta³a si³e kolejnym koz³em ofiarnym; s¹dzono, ³e ostatnim. Teraz wszak³e Niemcy, wzmo³nione uk³adem z Rosj¹, nabra³y przekonania, ³e nie maj¹ si³e czego obawia³e ze strony reszty Europy, i z m³ociw¹ satysfakcj¹ ruszy³y na Polsk³e.

Te nowiny przyniós³ w czasie lunchu Armand. Liane w milczeniu usiad³a do sto³u, po jej policzkach sp³ywa³y ³zy.

- Biedacy. Czy nie mo³emy im pomóc?

- Jeste³emy za daleko, Liane. Tak samo zreszt¹ jak Brytyjczycy. Kiedy³e na pewno ruszymy im z odsiecz¹, ale nie od razu. Chwilowo... - zawiesi³ g³os.

Tego samego popo³udnia Nick Burnham siedzia³ przy oknie w bibliotece domu przy Avenue Foch. W³acenie dzwoni³ do Hillary do Cannes, tylko po to jednak, aby us³ysze³e, ³e wyprowadzi³a si³e z Carltona. Min¹³ tydzie³ni, odk¹d nakaza³ jej powrót do domu, a ona wci¹ ³zwleka³a. Powiedziano mu, ³e wymeldowa³a si³e tego ranka, lecz nikt nie wiedzia³, w jaki sposób zamierza wróci³e do Pary³ża. Mia³ nadzie³j³e, ³e poci¹giem i ³e wróci szybko. By³o mu potwornie g³upio, i³ ³oci¹gn¹³ tutaj nie tylko j¹, ale i Johnny'ego. W Europie najwyra³niej zaczyna³a si³e wojna.

Nast³epny dzie³ni³ by³ dla wszystkich pe³en napi³ecia. Ca³a Europa wstrzymuj¹c oddech czeka³a na rozwój wydarze³ni w Polsce. Armand przekaza³ Liane tego

wieczoru to, czego dowiedzia³ się kana³ami dyplomatycznymi: Warszawa p³onê³a, na kraj lecia³y tysi¹ce pocisków, ale Polacy nie zamierzali się poddać. Bêd¹ walczyæ z Niemcami a¹ do końca, gotowi umrzeæ z honorem.

Tej nocy, stosownie do wymogów zaciemnienia wygasiwszy œwiat³a, poczuli się wrêcz niesamowicie w pogr¹onym w g³êbokim mroku pokoju przy zaci¹gniêtych zas³onach. Ąadne nie mog³o spaæ, a Liane z³apa³a się na tym, æe nie potrafi oderwaæ myœli od ludzi, którzy w Polsce walcz¹ przeciwko Niemcom. Myœla³a o kobietach takich jak ona, kobietach mieszkaj¹cych z dwiema córkami... A mo¹æe te kobiety wcale nie siedz¹ w domach, lecz razem ze swoimi dzieæmi walcz¹ o æycie? By³a to przera¹aj¹ca wizja.

Nazajutrz, 3 wrzeœnia, ju¹ nie tylko kwestia Polski sta³a w centrum powszechnej uwagi. Tego dnia Armand d³ugo nie wraca³ do domu, Liane jednak znacznie wczesniej us³ysza³a nowiny przez radio: brytyjski statek "Athenia" zosta³ zatopiony przez niemieck¹ ³od¹ podwodn¹ na zachód od Hybrydów. Reakcja by³a natychmiastowa - Wielka Brytania wypowiedzia³a Niemcom wojnê, a Francja, w myœl zobowi¹zania z³o¹onego Polsce, posz³a za jej przyk³adem. Lata ustêpstw i kompromisów bezpowrotnie minê³y; Europê ogarnê³a wojna.

Liane siedzia³a w salonie, spogl¹daj¹c ze ³zami w oczach w paryskie niebo, wreszcie posz³a do pokoju córek i powiedzia³a im o wszystkim. Obydwie natychmiast się rozp³aka³y, podobnie zreszt¹ jak guwernantka. Potem zaæ dwie doros³e kobiety i dwie ma³e dziewczynki d³ugo zalewa³y się ³zami. Po jakimœ czasie Liane, ju¹ opanowana, namówi³a córki do umycia twarzyczek i posz³a przygotowaæ dla wszystkich lunch.

- Koniecznie powinniemy zachowaæ spokój, p³acz w niczym jeszcze nikomu nie pomóg³ - t³umaczy³a im. - A musimy robiæ wszystko, æeby pomóc tatusiowi.

- Czy zostanie teraz æo³nierzem? - Elisabeth popatrzy³a na matkê swoimi wielkimi jasnyniebieskimi oczyma i niemal zakrztusi³a się jedzeniem, usi³uj¹c powstrzymaæ szloch. Liane czule pog³adzi³a j¹ po buzi i pokrêci³a g³ow¹.

- Nie, kochanie. Tatuæ s³u¹æy Francji w inny sposób.

- A poza tym jest za stary - doda³a rzeczowo Marie-Ange.

Liane zaskoczy³a ta uwaga. Nigdy nie myœla³a o Armandzie jak o starym cz³owieku i zdumia³o j¹, æe córka zdaje sobie sprawê z wieku ojca. Na co dzieñ by³ tak m³odzieñczy i dynamiczny, i¹ dla Liane jego wiek nie mia³ najmniejszego znaczenia. Elisabeth natychmiast pospieszy³a w sukurs ojcu.

- Tatuæ wcale nie jest stary.

- Ale¹ jest - obstawa³a przy swoim Marie-Ange i zanim Liane zdo³a³a je powstrzymaæ, dziewczynki bi³y się ze sob¹ zawziêcie. W końcu omal nie przy³o¹æy³a obu po klapsie. Wszystkie trzy mia³y nerwy napiête do granic mo¹liwoœci.

Po lunchu Liane zostawi³a córki z guwernantk¹, nakazawszy, aby się pobawi³y w swoim pokoju. Nie chcia³a, æeby przebywa³y w ogrodzie. Kto wie, co się teraz mo¹æe wydarzyæ? Skoro Francja oficjalnie przyst¹pi³a do wojny, móg³ nast¹piæ nalot albo atak gazowy, Liane zatem pragnê³a je mieæ ca³y czas pod dachem. Bardzo chcia³a porozmawiaæ z Armandem, lecz nie mia³a odwagi mu przeszkadzaæ.

- Tatusiu, czy to znaczy, æe bêdziemy musieli wracaæ do Nowego Jorku? - John patrzy³ na ojca szeroko otwartymi oczyma, gdy Nick przekaza³ mu szokuj¹ce nowiny. Myœl, æe wybuch³a wojna, zrazu wyda³a się Johnny'emu szalenie ekscytuj¹ca, ale poniewa¹ ojciec mówi³ o tym tak powa¹nie i

posępnie, pierwotne wrażenie prysło.

- Nie chcę jeszcze wracać do domu. - I nagle wystraszony dodał: - Czy będę mógł zabrać do domu pieska?

- Oczywiście, że tak - odparł Nick, choć wcale nie myślał o psie. Myślał o matce Johnny'ego. Hillary wyjechała z Cannes przed dwoma dniami i jeszcze się nie pojawiła.

Po chwili zostawił syna i szedł na dół do swojego gabinetu. Pospieszył z biura do domu, jak tylko usłyszał wiadomości, pragnąc podtrzymać Johnny'ego na duchu, teraz jednak zaczął się zastanawiać, czy nie powinien tam wrócić. Zadzwoił w końcu do biura i przekazał pracownikom polecenie, aby w razie potrzeby kontaktowali się z nim w domu. Chciał być z synem, dopóki nie uzyska nowych informacji na temat rozwoju wydarzeń. Wieści jednak nie nadchodziły. Od chwili wypowiedzenia wojny w Paryżu panowała osobliwa spójność. Trwał wprawdzie exodus mieszkańców na prowincję, ale nie widać było znamion paniki.

Późnym popołudniem 3 września Nick usłyszał dzwonek u wejścia, gwar podekscytowanych gości, a po chwili drzwi biblioteki otworzyły się z rozmachem i stanęła w nich Hillary, mocno opalona, z rozpuszczonymi włosami, Hillary, której twarz sprawiała wrażenie markieterii z onyksu i kości słoniowej. Nonszalancko wymachiwała trzymanym w dłoni kapeluszem słomkowym, który idealnie współgrał z beżową bawelnianą sukienką.

- Rany boskie, Hil... - Zareagował jak ojciec, który odzyskuje zaginione dziecko, nie wie, czy przytulając je do serca, czy też porządnie sprząść.

- Cześć, Nick.

Jej twarz wydawała się nadzwyczajnie spokojna, nie zanoszący się więc na to, że powitanie przebiegnie w gorzej atmosferze. Nick natychmiast zauważył na jej ramieniu szeroki brylantowy bransoletę, pozostając w oczywistej dysharmonii ze wszystkim, co tego dnia miał na sobie. Ani słowem jednak, ani spojrzeniem nie zdradził, że dostrzega ów przedmiot, najwyraźniej kosztowny podarunek od nowego kochanka. Gość Hillary zabrzmiał tak bez troski, a Nick popatrzył na nią nie wiedząc, czy przypadkiem nie ceni.

- Czy zdajesz sobie sprawę, iż Francja i Anglia wypowiedziały dzisiaj Niemcom wojnę? .

- Owszem, obió mi się o uszy. - Kiedy sadowiła się na kanapie i zakładała nogę na nogę, wyglądała na osobę niewiarygodnie opanowaną.

- Gdzie ty się, do diabła, podziewała?

- Byłam w Cannes.

- Pytam o te dwa ostatnie dni. Dzwoniłem i powiedziano mi, że już się wprowadziacie.

- Jechałam z przyjaciółmi.

- Z Philipem Markhamem? - zapytał i przez goś mu przemknęło, że chyba oszalał. Francja przystąpiła do wojny, a on wypytuje ją o kochanka.

- Czyżbyśmy mieli zacząć to wszystko do początku? Słodziłam, że te dni już dawno minęły.

- Nie w tym rzecz. Rany boskie, to nie pora, żeby szwendać się po Francji.

- Kazałam mi wrócić, więc wróciłam.

W jej oczach jarzyła się otwarta wrogość. Hillary ani słowem nie zapytała o syna. Patrzył na nią, Nick zaczął sobie uświadomianą, że jej nienawidzi.

- Wróciłam dokładnie dziesięć dni po moim telefonie. A kazałam ci przyjeżdżać natychmiast.

- Mia³am plany, z których nie mog³am zrezygnowaæ.
- Masz syna, a w tej chwili toczy siê wojna.
- No wiêc wróci³am. I co teraz?

Westchn¹³ g³êboko. Rozmyœla³ o tym ca³y dzieñ i wiedzia³ ju¿, jak¹ nale¿y podj¹æ decyzjê. - Wysy³am was oboje do kraju, jeœli tylko bêdzie to mo¿liwe.

- S¹dzê, ¿e pomys³ jest nieg³upi - uœmiechnê³a siê po raz pierwszy, odk¹d wesz³a do pokoju. Rozwa¿a³a tê kwestiê z Philipem, zanim wysiad³ z samochodu przed hotelem George V. Powiedzia³, ¿e bez wzglêdu na to, czy Nickowi siê to spodoba, czy nie, zabiera j¹ do Nowego Jorku. Nick jednak rozwi¹za³ za nich ten problem. - Kiedy wyje¿dziemy?

- Zlecê komuœ w biurze ustalenie terminu. Teraz nie bêdzie to ³atwe.

- Powinieneœ by³ zastanowiæ siê nad tym ju¿ w czerwcu. - Zerwa³a siê, okr¹¿y³a pokój, potem spojrze³a przez ramiê na mê¿a. - S¹dzê jednak, ¿e by³eœ zbyt zajêty robieniem interesów ze szkopami, aby zastanawiaæ siê nad niebezpieczeñstwem, w które nas pakujesz. Oczywiœcie zdajesz sobie sprawê, ¿e jesteœ wspó³odpowiedzialny za to wszystko? Tak, jesteœ po czêœci odpowiedzialny za wybuch wojny. Któ¿ mo¿e wiedzieæ, w jaki sposób Niemcy wykorzystali stal, któr¹ im sprzeda³eœ?

By³a to przera¿aj¹ca myœl, i to myœl drêcz¹ca Nicka przez ostatnie dwa tygodnie. Jedy¹n pociechê znajdowa³ w tym, ¿e przed dwoma dniami anulowa³ wszelkie nie zrealizowane jeszcze kontrakty z Niemcami. Oœwiadczy³, i¿ jego spó³ka jest gotowa ponieœæ straty, lecz ¿e za ¿adne skarby nie bêdzie d³u¿ej prowadziæ interesów z hitlerowsk¹ Rzesz¹. ³owa³ tylko, ¿e nie podj¹³ tej decyzji wczesniej. Stoj¹c teraz przed ¿on¹, wspomnia³ s³owa Liane wypowiedziane na statku: "Nadejdzie czas, kiedy trzeba siê bêdzie opowiedzieæ po którejœ stronie..." I czas ten nadszed³, on opowiedzia³ siê po jednej ze stron, tyle ¿e uczyni³ to zbyt póŹno, w zwi¹zku z czym musia³ teraz ¿yæ ze œwiadomoœci¹, i¿ - co prawda bezwiednie - pomóg³ Niemcom. Tylko niewielk¹ pociechê dawa³o mu to, ¿e pomóg³ równie¿ zbroiæ siê Anglii, Francji i Polsce... W tej chwili jednak najbardziej bola³o Nicka, ¿e Hillary po raz kolejny zdo³a³a go zraniæ. I chocia¿ nie by³o to niczym nowym, ze zdumieniem spojrze³ na swoj¹ ¿onê.

- Dlaczego nienawidzisz mnie a¿ tak bardzo, Hil?

Próbowa³a udawaæ, ¿e zastanawia siê nad odpowiedzi¹, w koñcu wzruszy³a tylko ramionami. - Nie wiem... - Pos³a³a mu smutne spojrzenie. - Mo¿e dlatego, ¿e zawsze przypomina³eœ mi o tym, kim nie jestem. Zawsze pragn¹³eœ czegoœ, czego nie mog³am ci daæ, bo tego po prostu w sobie nie mia³am. - Z t¹ prawd¹ Nick pogodzi³ siê dopiero niedawno. - Dawa³eœ mi zbyt wiele. Dusi³eœ mnie od chwili naszego pierwszego spotkania. Powinieneœ by³ o¿eniæ siê z jak¹œ uroc¹ nauczycielczk¹, która obdarzy³aby ciê tuzinem dzieci.

- Nie o to mi wtedy chodzi³o. Kocha³em ciê. - Nick wygl¹da³ na znu¿onego i smutnego. Wszystko pomiêdzy nimi by³o raz na zawsze skoñczone.

- Ale ju¿ mnie nie kochasz, prawda? - Musia³a mu zadaæ to pytanie, musia³a wiedzieæ, bo odpowiedŹ mog³a siê okazaæ jej biletem do wolnoœci.

Nick wolno pokrêci³ g³ow¹.

- Nie, nie kocham ciê. Tak jest lepiej dla nas obojga.

- Tak, tak jest lepiej - przytaknê³a, a potem westchnê³a g³êboko i ruszy³a ku drzwiom. - Idê przywitaæ siê z Johnnym. Kiedy wyje¿dziemy?

- Jak tylko zdo³am za³atwiaæ wyjazd.

- Pojedziesz z nami? - spyta³a patrz¹c nañ wyczekuj¹co, lecz Nick z ¿alem pokrêci³ g³ow¹.

- Na razie nie mogę. Ale wrócę, jak tylko będę mógł.

Hillary skinęła głowę i wyszła z pokoju, Nick zaś podszedł do okna i nie widząc wzrokiem zapatrzył się w spokojną zielenią ogrodu.

Późnym wieczorem 6 września de Villiersowie zjedli lekką kolację. Armand, zbyt wyczerpany, aby odczuwać głód, prosił tylko o odrobinę zupy i trochę pieczywa. Ten dzień wyprzenił mu jeden cykl gorączkowych narad. Z Polski nadchodziły wieści gorsze niż kiedykolwiek dotąd, chociaż na szczęście Warszawa jeszcze się broniła. Wszelkie doniesienia podawały wszakże zgodną ocenę sytuacji - była krytyczna, a Polacy stanęli w obliczu zagłady.

Obserwując twarz Armanda, Liane dostrzegła w niej nie tylko rozpacz, lecz również bezgraniczne zmęczenie i głęboką troskę o własną ojczyznę.

- Liane... Muszę ci coś powiedzieć.

Zastanawiała się, jak następny potworny wiadomością chce jej przekazać, bo że będzie straszna, nie ulegało wątpliwości; inne nowiny ostatnio w ogóle się nie zdarzały.

- Tak?

- "Aquitaine", statek brytyjski, który przybił wczoraj wieczorem w Southampton, wyruszy w ostatni rejs do Stanów, gdzie zostanie przerobiony na transportowiec. Dlatego kiedy... - Armand omal nie zakrzuszył się własnymi słowami. - Dlatego kiedy będzie odpływał, chciałbym, żebyście byli na jego pokładzie. Ty i dziewczęta.

Słuchała w całkowitym milczeniu. W pierwszej chwili nie zareagowała, potem wolno pokręciła głowę, wyprostowała się na krześle i spojrzała międzywprost w oczy.

- Nie, Armandzie, nigdzie nie popłyniemy.

Był tak zaskoczony jej słowami, że milczał przez długą chwilę.

- Czy oszalała? - wykrzyknął w końcu. - Francja jest w stanie wojny.

Musisz wracać. Chcę mieć pewność, że jesteście bezpieczni!

- Na angielskim statku, gdy Atlantyk roi się od niemieckich U-Bootów? Skoro zatopili "Athenię", dlaczego nie mieliby zatopić i tego statku?

Armand pokręcił głowę. Okropieństwa, które słyszał na temat Warszawy, wcielił zbyt donośnie brzmiały mu uszach. Nie mógł pozwolić, by ona i córki pozostały we Francji, narażając się na podobne przeżycia.

- Proszę, nie dyskutuj ze mną. - Był zbyt zmęczony, aby powiedzieć cokolwiek więcej, a zetknął się z taką determinacją Liane, jakiej nigdy by się po niej nie spodziewał.

- Nie płyniemy, zostajemy z tobą. Rozmawiałyśmy o tym zaraz po wypowiedzeniu wojny. Są tu inne kobiety z dziećmi, dlaczego więc wzięcie mymiałybyśmy odpłynąć?

- Ponieważ w Stanach będziecie bezpieczni. Roosevelt z uporem twierdzi, że nie przyjdzie do tej wojny.

Tę informację, zupełnie nową, Liane przyjęła z niesmakiem.

- Czyżbyś nie wierzyła w potęgę Francji? Przecież nie może paść jak Czechosłowacja czy Polska.

- A jeżeli Niemcy zrzuć bomby? Czy wtedy chciałabyś być tutaj z dziewczynkami?

- Inni zdawali to przeżywać w czasie poprzedniej wojny - nieustępliwie zauważyła Liane.

Armand był tak znudzony, że niemal zasypiał na siedzisku. Nie umiał stawić jej czoła.

Podjął ten temat ponownie nazajutrz z samego rana, kiedy tylko Armand

się obudzi³, ale Liane okaza³a jeszcze wiêks¹ stanowczoœæ. Ignorowa³a niemal wszystko, co mówi³ Armand, a gdy oko³o wpo³ do ósmej gotowa³ siê do wyjœcia do biura, jeszcze raz pos³a³a mu to swoje czu³e spojrzenie.

- Kocham ciê, Armandzie, moje miejsce jest tu, przy tobie, i nie proœ mnie ju¹, bo nigdzie nie pojedê.

Przez d³ug¹ chwilê patrzy³ jej w oczy. - Jesteœe niezwyk³¹ kobiet¹, Liane, ale wiem o tym od dawna. Wci¹ masz mo¹liwoœæ wyboru. Powinnaœ wracaœ do Stanów, póki mo¹esz.

- Nic tam nie mam. Mój dom jest tutaj, przy tobie. - Kiedy pochyli³ g³owê, aby poca³owaœ j¹ na po¹egnanie, w jego oczach zaszkl³y siê ³zy. Poruszy³a go silniej niê kiedykolwiek dot¹d. By³a bardzo mêt¹na, tak mêt¹na jak Polacy walcz¹cy z Niemcami. - Kocham ciê.

- I ja te¹ ciê kocham - wyszept³a.

Potem Armand odszed³.

Liane wiedzia³a, iê zobaczy go dopiero po pó³nocy, gdy ze zmêczenia bêdzie pada³ z nóg. Teraz jego wyczerpanie by³o jednak usprawiedliwione. Francja toczy³a wojnê. Liane zamierza³a pozostaœ w tym kraju. Zamierza³a byœ zawsze u boku mêt¹a.

Rozdzia³ szesnasty

- Jesteœe gotów? - Szeroko otwarte oczy Johna by³y przera¹aj¹co smutne. Trzyma³ szczeniaka w ramionach, u jego boku sta³a piastunka.

Skin¹³ g³ow¹. - Wzi¹³ee kij baseballowy? - Dzieciak przytakn¹³ i wreszcie po jego policzkach pop³ynê³y ³zy. Ojciec przytuli³ go do siebie. - Wiem, synu... Wiem... Ja te¹ bêdê za tob¹ têskn³... Ale to tylko krótkie rozstanie. - Nick zacisn¹³ zêby, modl¹c siê, aby to, co mówi, okaza³o siê prawd¹. Nie móg³ jeszcze wracaœ, nie móg³ zostawiæ europejskich interesów.

- Ale ja nie chcê wracaœ do domu bez ciebie, tatusiu.

- To tylko na krótko... Obiecujê... - Nad g³ow¹ syna popatrzy³ na Hillary, która zachowywa³a niezmi¹cony spokój.

Baga¹e czêka³y ju¹ w holu. Tym razem mia³y siê zmieœciaœ w jednym samochodzie, powiedziano im bowiem, iê ka¹dy mo¹e zabraœ tylko dwie walizy.

Statek by³ przepe³niony i nie nale¹a³o liczyæ na podró¹ w luksusie, chocia¹ lista pasa¹erów przedstawia³a siê zaiste imponuj¹co. Setki bogatych amerykańskich turystów, uwiêzionych za granic¹, ju¹ od wielu dni oblega³y ambasadê amerykańsk¹, domagaj¹c siê umo¹liwienia powrotu do kraju.

Wszystkie rejsy statków amerykańskich i francuskich zosta³y odwo³ane.

"Normandie" dotar³a do Nowego Jorku 28 sierpnia, a jej w³aœciciele do³o¹yli wszelkich stara¹, by zacumowa³a tam na dobre. Amerykańskie linie równie¹ odwo³ywa³y swoje rejsy, tote¹z ambasador Kennedy w Londynie odchodzi³ od zmys³ów, rozsy³aj¹c gdzie siê da alarmuj¹ce depesze, iê mnóstwo amerykańskich turystów pozosta³o w Starym Œwiecie i iê natychmiast trzeba zorganizowaœ niezbêdne œrodki transportu. Ze Stanów wys³ano co prawda kilka jednostek, jak "Washington", "Manhattan" czy "President Roosevelt", lecz Nick nie wiedzia³, kiedy dotr¹ do celu, "Aquitaine" zatem wci¹ by³a jedynym statkiem, który mia³ wyjœæ w morze w konkretnym terminie - i to w ostatni rejs przed podjêciem s³u¹by wojskowej. Niebezpiecze¹stwa owej ostatniej przeprawy nie stanowi³y dla nikogo tajemnicy, bo wszêdzie powtarzano sobie, przera¹aj¹ce historie o niemieckich U-Bootach bezkarnie

grasuj¹cych po oceanach. "Aquitaine" wszak²e dzięki swojej konstrukcji by³a mniej bezradna wobec podwodnych ataków ani²eli większo²eæ innych statków. Ostatni rejs przez Atlantyk odby³a be² przygód, p³yn¹c zygzakowatym kursem, z wielk¹ prędko²eci¹ i ca³kowicie zaciemniona, w drodze powrotnej za² podró²nych i za³og² niew¹tpliwie czeka³a solidna dawka mocnych wra²eñ.

Wielki czarny duessenberg czeka³ przed domem przy Avenue Foch. Hillary, John i piastunka w ponurym nastroju zaj²eli w nim miejsca. Jechali do Calais, gdzie Nick wynaj¹³ wielki jacht, który mia³ jego rodzin²e odstawi²æ do Dover, tam z kolei czeka³ samochód, by dowie²Ïæ wszystkich do Southampton. Ca³a ta wyprawa okaza³a si²e nie tyle niebezpieczna co wyczerpuj¹ca. W dniu wyj²ecia statku w morze dotarli w koñcu do portu. Hillary ku swojemu ogromnemu zdumieniu by³a bliska ³ez, kiedy za² pasa²erom wchodzi¹cym na pok³ad odczytywano ostrze²enie, mocno przytuli³a si²e do Nicka.

Poinformowano wszystkich, i² odbywaj¹ ten rejs na w³asne ryzyko, "na statku pañstwa zaangażowanego w wojn²e, a zatem nara²onego na zatopienie bez ostrze²enia". Je²eli nawet ²adne inne sprawy nie wywiera³y na Hillary nale²ytego wra²enia, to przekona³o j¹, ²e sytuacja jest powa²na. Dzięki temu Burnhamowie przez d³ug¹ chwil²e mocno tulili si²e do siebie. Nick zdo³a³ za³atwi²æ dla ²ony i syna zaledwie ma³1 ²elep¹ kajut²e z trzema kojami - jedn¹ dla Hillary i drug¹ podwójn¹ dla Johna i piastunki, mieli za to do dyspozycji w³asn¹ ³azienk²e.

Nick pozosta³ na pok³adzie a² do ostatniego sygna³u, a przed samym zej²eciem na l¹d mocno wy²eciska³ syna.

- B¹d²Ï m²e²czyzn¹, tygrysie, i dbaj o mam²e. No i rób wszystko, co ci ka²e. To bardzo wa²ne.

- Och, tatusiu... - G³os ch³opca dr²a³ niemal równie mocno jak g³os Nicka. - My²elisz, ²e utoniemy?

- Nie, tak nie my²el²e. Ale o was b²d²e my²ela³ codziennie. A jak tylko dotrzecie do domu, macie wys³a²æ mi depesz²e.

Piesek Johna dygota³ pod ³ó²kiem. Ch³opiec musia³ przemyci²æ go na statek - poinformowano ich, ²e zwier²eta nie maj¹ na pok³ad wst²epu, ale wiedz¹c, jak Anglicy lubi¹ zwier²eta, Johnny mia³ niemal pewno²eæ, ²e jego pupilowi nie stanie si²e ²adna krzywda, je²eli nawet zostanie wykryty.

- A co b²dzie z pieskiem, je²eli utoniemy?

- Nie utoniecie. A gdyby² musia³ skaka²æ do wody, po prostu trzymaj go mocno i znajd²Ï dla niego miejsce w swojej kamizelce ratunkowej... -

Powiedziawszy to, Nick a² si²e przerazi³. Mocno ²ecisn¹³ d³oñ syna, spojrze³a na ²on²e. - Uwa²aj na siebie, Hil, i dbaj o Johna. - Zerkn¹³ na malca, który w tej chwili zupe³nie otwarcie p³aka³.

- Zrobi²e to, Nick. Ty te² na siebie uwa²aj. - Potem, prze³ykaj¹c ²elin²e, mocno przytuli³a si²e do m²e²a. - I szybko wracaj.

Wydawa³o si²e, ²e podczas tych ostatnich chwil sp²dzonych na pok³adzie statku ich wzajemna nienawio²eæ zupe³nie si²e rozmy³a - nie by³o po prostu na ni¹ czasu. Wszyscy troje rapt²em u²wiadomili sobie, ²e by²æ mo²æ nigdy si²e ju² nie zobacz¹. Piastunka Johna wpad³a niemal w histeri²e i teraz zap³akana siedzia³a na skraju koi. Schodz¹c na l¹d, Nick wiedzia³, ²e czeka ich nie³atwa podró². Mia³ tylko nadzieje², i² "Aquitaine" bezpiecznie dotrze do celu.

Pó²niej samotnie sta³ na nabrze²u, energicznie machaj¹c r²ek¹, a² przesta³ rozr²oznia²æ sylwetki syna i Hillary. Kiedy zyska³ ca³kowit¹ pewno²eæ, ²e Johnny tak²e go ju² nie widzi, ukry³ twarz w d³oniach i z oczu pociek³y mu

zy. Przechodz¹cy obok doker chrz¹kn¹³ dyskretnie, zatrzyma³ si³e i poklepa³ Nicka po ramieniu.

- Wszystko b³dzie w porz¹dku, bracie... To c³wietna ³ajba, wiesz?... Przyp³yn¹³em ni¹ z Nowego Jorku. Sunie jak wiatr. Szkopy nie maj¹ szans jej dogonia³.

Nick skin¹³ g³ow¹, wdzi³eczny za te s³owa otuchy, ale nie mia³ si³y odpowiedzie³. Czu³ si³e tak, jak gdyby tym statkiem odp³ywa³o ca³e jego ³ycie, ca³a jego dusza. Wszed³ do poczekalni, aby napi³e si³e wody, i jego wzrok pad³ na przyklejon¹ do c³eciany list³e pasa³er³ow. I jak gdyby mia³o to na powr³ot przybli³z³y³e ich do niego, zacz¹³ szuka³e znajomych nazwisk. "Pani Burnham, Hillary... Panicz Burnham, John." Nia³nk³e wymieniono znacznie ni³zej. A potem serce Nicka zamar³o, kiedy przeczyta³: "Pan Markham, Philip..."

Rozdzia³ siedemnasty

W normalnych warunkach "Aquitaine" zabiera³a trzy tysi¹ce dwustu trzydziestu pasa³er³ow i dziewi³eciuset siedemdziesi³ciu dw³och cz³onk³ow za³ogi. Jednak³e przed tym rejs³em maksymalnie zredukowano wyposa³enie, by wstawia³e dodatkowe koje, statek wi³oz³ zatem o czterysta os³ob wi³cej ni³ zwykle, przez co na pok³adzie panowa³ niezno³eny c³ecisk. Wiele rodzin, kt³ore w normalnych warunkach, tak samo jak Hillary i John, zajmowa³yby dwie, trzy kabiny albo nawet apartament, st³oczono w jednej ma³ej kajucie. Tyle ³e ten rejs pod ka³dym wzgl³edem r³ozni³ si³e od wszystkich innych. Obiad podawano o czwartej lub pi¹tej po po³udniu, a wraz z zapadni³ciem zmierzchu statek, kt³orego bulaje zosta³y zamalowane na czarno, ca³kowicie zaciemniano. Dla unikni³cia jakichkolwiek incydent³ow w korytarzach polecono pasa³erom przebywa³e o tej porze we w³asnych kajutach, za³l¹dano tak³e, aby z ³azienek korzystali bez w³iczenia c³ewiat³a. Wszyscy si³e z tymi nakazami jako³e pogodzili. Na pok³adzie znajdowa³o si³e mn³stwo Amerykan³ow i Anglik³ow, kt³orzy sprawiali wra³zenie szczeg³olnie opanowanych. Na kolacji zjawiali si³e w strojach wieczorowych, jakby wszystko toczy³o si³e zwyk³¹ kolej¹ rzeczy, i bez nadmiernej ekscytacji omawiali wiadomo³eci wojenne.

Co si³e za³e tyczy samego statku, to wszystko, czego w nim nie zmieniono, zachowa³o eleganck¹ atmosfer³e dawnych wiktoria³nskich salon³ow; mo³ze w³acenie dlatego tym bardziej dramatyczne wra³zenie sprawia³y widniej¹ce na ka³dej c³ecianie instrukcje dla pasa³er³ow o zachowaniu w razie ataku U-Boot³ow.

Drugiego dnia rejsu Johnny nieco si³e uspoko³, Hillary zatem uzna³a, ³e powinna go przedstawia³e Philipowi Markhamowi. Wyja³eni³a, ³e Markham jest jej starym nowojorskim znajomym, spotkanym przypadkowo na statku, lecz kiedy pogr¹zyli si³e w rozmowie, malec obserwowa³ ich z nie skrywan¹ podejrzliwo³eci¹, a ujrza³wszy oboje nazajutrz na jednym z pok³ad³ow spacerowych, powiedzia³ do niani: - Nienawidz³e tego faceta. - Niania go skarci³a, ale nie zrobi³o to na ch³opc³u wi³kszego wra³zenia. Tego samego wieczoru swoj¹ opini³e wyrazi³ wobec matki, Hillary za³e w odpowiedzi wymierzy³a mu siarczysty policzek. Johnny popatrzy³ na ni¹ oczyma, w kt³orych nawet nie zal³eni³a ³za.

- Nie obchodzi mnie, co mi robisz - o³ewiadczy³. - Jak dorosn³e, b³de mieszka³ z tat¹.

- A nie s¹dzisz, ³e ja te³? - Jej d³onie wci¹z³ dr³a³y, usi³owa³a

zapanowaæ nad g³osem. Ten smarkacz by³ za sprytny, ale dziêki Bogu nie mia³ jak przekazaæ swoich spostrze¿eñ ojcu. Zastanawia³a siê, czy widzia³, jak ca³uj¹ siê z Philipem. Ka¿d¹ noc spêdza³a w swoim ³ó¿ku, bo po prostu musia³a. Philip mieszka³ w jednej kajucie z trzema jeszcze mê¿czyznami. - Co masz na myœli mówi¹c, ¿e bêdziesz mieszka³ z tat¹? Przecie¿ ja te¿ bêdê z nim mieszkaæ.

- Nie, ty nie bêdziesz. Idê o zak³ad, ¿e zamieszkaasz z nim.

Nie wymieni³ nawet imienia Markhama, w ¿aden te¿ sposób nie da³ poznaæ, i¿ go zauwa¿a, kiedy siê spotkali.

- Opowiadasz g³upstwa - skwitowa³a jego s³owa Hillary, aczkolwiek o poruszanej w³oœnie przez jej syna sprawie wiele ostatnio z Philipem dyskutowali. Hillary niezbyt zgadza³a siê z przekonaniem Nicka, ¿e pozostan¹ ma³¿eñstwem. Gdyby sk³oni³a go do rozwodu po powrocie do kraju b'dŸ znalaz³a podstawy, aby samej o rozwód wyst¹piæ, uczyni³aby to bez wahania i poœubi³a Philipa. - Wiêcej nie chcê czegoœ podobnego od ciebie, s³yszeæ - przestrzeg³a.

I nie us³ysza³a ju¿ ani s³owa na ten temat. Johnny trzyma³ siê piastunki i wiêkszoœæ czasu spêdza³ na zabawach z psem.

Dla wszystkich by³a to d³uga i nu¿¹ca podró¿, znaczona zygzakowatym kursem i nocnymi zaciemnieniami. Dotarcie do Nowego Jorku trwa³o d³u¿ej ni¿ zwykle, kiedy zaœ wreszcie osi¹gnêli cel, Hillary modli³a siê, aby ju¿ nigdy nie by³o jej dane widzieæ na oczy statku. Nigdy te¿ nie by³a tak rada, ¿e jest w Nowym Jorku, chocia¿ pozosta³a w mieœcie zaledwie dwa dni, bo zaraz odwioz³a Johnny'ego do Bostonu do swojej matki.

- Dlaczego mam tu mieszkaæ? - nie rozumia³ John. - Nie wracamy do domu?

- Ja wracam. Muszê najpierw przygotowaæ mieszkanie.

By³o zamkniête przez cztery miesi¹ce i Hillary utrzymywa³a, ¿e musi w³o¿yæ wiele pracy w doprowadzenie go do porz¹dku. Dwa tygodnie póŸniej jednak babcia Johnny'ego zapisa³a go do szko³y w Bostonie, mówi¹c, ¿e to tylko chwilowo, aby pod nieobecnoœæ matki nie traci³ zbyt wiele nauki. Tyle ¿e nieco póŸniej Johnny pods³ucha³ rozmowê, z której wynika³o, ¿e zapisanie go do szko³y by³o pomys³em babci, poniewa¿ nie mia³a pojecia, kiedy Hillary zabierze syna, wszystko zaœ wskazywa³o na to, ¿e raczej bêdzie z tym zwlekaæ. Johnny, chocia¿ zmilcza³, doskonale zna³ powody takiego stanu rzeczy. Przypuszczalnie by³a z tamtym mê¿czyzn¹, z panem Markhamem... Zastanawia³ siê, czyby nie napisaæ o wszystkim ojcu, ale coœ w duszy podpowiada³o mu, ¿e to nie najlepszy pomys³, bo tata móg³by siê bardzo zmartwiaæ. Lepiej opowie mu o wszystkim, kiedy siê spotkaj¹. W ostatnim liœcie przecie¿ obiecywa³, ¿e wróci do domu najszybciej, jak bêdzie móg³, przypuszczalnie tu¿ po Bo¿ym Narodzeniu. Johnny'emu wydawa³o siê to wiecznoœci¹, chocia¿ - o czym w liœcie przypomnia³ mu ojciec - do Bo¿ego Narodzenia pozosta³y zaledwie dwa miesi¹ce.

Pod opiek¹ babki, starszej nerwowej damy, Johnny wiód³ samotne ¿ycie. Jedyne, co go pociesza³o, to ¿e pozwoli³a mu zatrzymaæ pieska.

Dok³adnie w tydzieñ po wys³aniu do Johna ostatniego listu Nick natkn¹³ siê na Armanda i Liane na niewielkim przy¿êciu wydanym przez konsula amerykańskiego. Wtedy to po raz pierwszy od wielu miesiêcy de Villiersowie wspólnie gdziekolwiek wyszli.

Prze¿ycia ostatnich miesiêcy wszystkim doda³y lat i nawet Liane w swojej piêknej czarnej satynowej sukni sprawia³a wra¿enie bardzo zmêczonej. Jakkolwiek z pozorów w Pary¿u panowa³ spokój, na twarzach jego mieszkañców

malowa³o siê napiêcie. Miesi¹c wczêœniej wszyscy ciê¹ko prze¹yli kapitulacjê Warszawy. Polacy walczyli mêt¹nie a¹ do koñca, ale 17 wrzêœnia zostali zaatakowani przez Sowietów i 28 tego samego miesi¹ca mimo nadludzkich wysi³ków, mimo stali podsy³anej przez Nicka by³o ju¹ po wszystkim. Siostrzane miasto Pary¹a na wschodzie upad³o.

- Co u ciebie? - zagad¹³ Nick. Siedzia³ na przyjêciu obok Liane, maj¹c Armanda po przeciwnej stronie sto³u. Armand wydawa³ mu siê o dziesiê¹ lat starszy ani¹eli podczas rejsu na "Normandie". Pracowa³ w ostatnim czasie po piêtnaœcie, osiemnaœcie godzin na dobê i nie pozosta³o to bez wp³ywu na jego wygl¹d. Wygl¹da³ jak starzec, chocia¹ skoñczy³ zaledwie piêædziesi¹t siedem lat.

- Wszystko w porz¹dku - odpar³a cicho Liane - tyle ¹e Armand spala siê jak pochodnia.

Ona tak¹e widzia³a spustoszenie, którego w organizmie jej mêt¹a dokona³y wydarzenia ostatnich miesiêcy, lecz przecie¹ nic nie mog³a na to poradziæ - z mi³œci do ojczyzny Armand gotów by³ zaharowaæ siê na œmieræ. Akceptowa³a równie¹ fakt, i¹ w zwi¹zku z tym wszystkim by³a ostatnimi czasy skazana wy³cznie na towarzystwo cœrek. Nie mia³a ¹adnego wyboru. Poza tym ochotniczo udziela³a siê w Czerwonym Krzy¹u i choæ na razie nie mog³a zwojowaæ wiele, coœ tam jednak robi³a. Czerwony Krzy¹ pomaga³ wysy³aæ z Francji do Stanów Zjednoczonych, Kanady i Australii rzesze niemieckich i wschodnioeuropejskich ¹ydów, co przynajmniej dawa³o Liane satysfakcjê, i¹ przyczynia siê do ocalenia znacznej liczby istnieñ ludzkich.

- Jak tam mój przyjaciel John? - ucemiechnê³a siê do Nicka.

- W porz¹dku. Chocia¹ nie mam pe³nej jasnoœci, gdzie w tej chwili jest. - Nick podejrzewa³, ¹e w Nowym Jorku, ale z listu, który otrzyma³ od Johna, wynika³o, ¹e jednak w Bostonie, prawdopodobnie z wizyt¹ u babki.

Liane lekko siê stropi³a. - To nie jest z tob¹?

- Nie. Wyprawi³em ich ostatnim rejssem na "Aquitaine". W gruncie rzeczy chcia³em powiedziæ, ¹e wprawdzie mia³ byæ w Nowym Jorku, ale chyba przebywa w Bostonie pod opiek¹ babki.

- Wys³a³eœ go samego? - Liane by³a zaszokowana. Przecie¹ tym w³acenie statkiem Armand chcia³ wysy³aæ do Stanów j¹ i dziewczynki.

- Nie, pop³yn¹³ z matk¹. Wola³em ich tu nie zostawiaæ. Czujê siê lepiej wiedz¹c, ¹e s¹ w Stanach.

Liane skinê³a g³ow¹. By³ to sensowny krok, choæ nie tak¹ informacjê pragnê³a us³yszeæ. Podejrzewa³a jednak, ¹e Hillary uda³a siê w tê podrô¹z z najwy¹sz¹ radoœci¹. Liane s³ysza³a pog³oski o Philipie Markhamie.

Kosmopolityczna spo³ecznoœæ Pary¹a by³a niewielka, obraca³a siê we w³asnym krêgu i charakteryzowa³o j¹ ogromne gadulstwo.

Liane patrzy³a na Nicka, który te¹ sprawia³ wra¹zenie zmêczonego, chocia¹ nie tak bardzo jak Armand. Wspomniawszy ich ostatni¹ rozmowê na statku, zastanowi³a siê, jakimi torami potoczy³y siê losy Nicka. Tamte dni wydawa³y siê odleg³e o tysi¹ce lat, a up³ynê³y przecie¹ zaledwie cztery miesi¹ce.

- A ty jak siê masz?

- Chyba dobrze... - Œciszy³ g³os. Obecnoœæ Liane zawsze sprawia³a, ¹e œcisza³ g³os, aby mówiæ szczerze. - Muszê jakoœ ¹yæ ze swoimi b³êdami i chybionymi decyzjami.

Natychmiast pojê³a, o czym mówi: mia³ na myœli swoje kontakty handlowe z Niemcami.

- Nie ty jeden oceni³eœ ich b³êdnie. Zauwa¹ tylko, co mówi siê w Stanach. Roosevelt znowu próbuje wygraæ przysz³oroczne wybory, pos³uguj¹c siê w

kampanii argumentem, że Ameryka za żadne skarby nie da się wciągnąć w europejską wojnę. To czyste szaleństwo.

- Willkie mówi to samo. W gruncie rzeczy mogliby kandydować z tej samej listy.

- Jak się dźwisz, kto wygra? - zapytała Liane, myślc jednocześnie, że nieco dziwaczne jest to, iż w Europie ogarniętej wojenną polog rozmawiają o wyborach prezydenckich w Stanach.

- Oczywiście Roosevelt.

- Trzeci raz?

- Czyżbyś miała wątpliwości?

- Wąćciwie nie. - Ućmiechnęła się. Mió byó pogawędzić z Nickiem na takie tematy. W tym domu wariatów, gdzie wypadó im żyć, dawaó to zóudzenie normalności.

Przyjćcie skończyó się dosyć wczćenie i Armand, ziewajcy przez caó drogę, odwiózł Liane do domu.

- Widziałam, że Burnham też był - zauważył. - Nie miałem okazji z nim pogadać. Co u niego?

- Wszystko dobrze. - Dzisiejsza pogawędka nie miała nic z intymności rozmów, które odbywali na statku, ale czegoś takiego wóćenie należaó się spodziewać.

- Zdziwió mnie, że wciąż przebywa w Paryżu.

- Mówi, że po ćwićtach wraca do domu. Jego syn i óna popóynęli do Stanów na "Aquitaine".

- Przypuszczalnie z Philipem Markhamem.

- Wiedziałam o tym? - Spojrzawszy na Armanda ze zdumieniem, ućmiechnęła się szeroko. Nigdy jej o tym nie wspominaó, ona otrzymała tę informację z własnych Źródł, od jakiegoś znajomego Amerykanina przebywajcego w Paryżu.

- Czy jest w ogóle coś, o czym nie wiesz, Armandzie?

- Miejmy nadzieję, że nie. Gromadzenie informacji to moja specjalność.

Armand wiedział również o potajemnych ukóadach Burnhama z Polską, lecz o tym nie wspominaó. Zerknó z niepokojem na szofera. Ten czóowiek był jednak zaufany, sprawdzono go na wszelkie możliwe sposoby, zanim został uznany za osobę godną peńnienia funkcji osobistego szofera Armanda de Villiers.

- Naprawdę? - Liane była zaskoczona. Niegdyś inaczej określaó charakter swojej pracy, ale teraz wszystko się zmieniaó.

Armand szybko uciekó od tego tematu. - Jakże mió byó cię widzieć tak wspaniale wyszykowanó, kochanie. Jak za dawnych czasów, kiedy żylicemy w spokojnym ćwiecie.

Z roztargnieniem skinęła głowó, rozważajc to, co jej powiedziaó, ale nie chciała indagować go w samochodzie. Zauważyła jego spojrzenie rzucone na szofera. Teraz nie opowiada jej już o wszystkim, co dzieje się w biurze, przekazywał jedynie wiadomości, które i tak każdego dnia mogó przeczytać w gazetach. Byó znacznie bardziej skryty niż dawniej, no i nieporównanie bardziej zmęczonej. Ostatni raz kochali się w końcu sierpnia i Liane podejrzewała, że tego wieczoru sytuacja nie ulegnie zmianie. Zanim dotarli do Place du Palais-Bourbon, Armand pogrzył się we ćnienie. Obudził go, poszli na górę i rozebrali się do snu - ona powoli, on możliwie najszybciej. Armand natychmiast padł na óóko i kiedy Liane weszła do sypialni, spał już jak zabity.

Trzeciego października, dwa dni po tym, jak Amerykanie w Stanach Zjednoczonych poświęcili i zjedli cenne indyki, lotnicze i lądowe wojska sowieckie zaatakowały Finlandię.

Liane jak zwykle prawie nie widywała Armada. Chwilami odnosiła wrażenie, że wraz z Europą obraca się w przynę ich małżeństwo. Przez cztery miesiące żywiła nadzieję, iż może służyć Francji służyć, lecz teraz Armand coraz częściej trzyma ją na dystans, którego nigdy wcześniej w ich związku nie odczuwała. Był roztargniony i milczący, nie interesował się córkami; ich życie seksualne zupełnie zanikło. Całą energię poświęcał Francji i nie pozwalał, aby ona w najmniejszym bodaj stopniu odwracała jego uwagę. O niczym już jej nie mówił, ona zaczęła zadawać żadnych pytań. Czuła się jak samotna matka wychowująca córki, a równocześnie widziała, że dziewczynki też są świadome nowej sytuacji. Usiłowała jednak tłumaczyć jakoś Armada.

- Tatuś jest bardzo zajęty. Przecież wiecie, że jest wojna - powtarzała wielokrotnie, często jednak zadając sobie pytanie, czy to istotnie tylko praca, czy też wchodzi w grę jakieś inne sprawy. O najdziwniejszych porach dnia i nocy Armand brał udział w cichej tajnych spotkaniach, raz czy dwa wyjechał z domu również na weekend nie informując dokąd i z kim. Zaczęła jej w głowie, że może ma kochankę, lecz po krótkim zastanowieniu tę myśl odrzuciła.

Cokolwiek tak bardzo go absorbowało, nie pozostawiało w jego życiu miejsca dla niej. Równie dobrze mogła być wyjechała do Stanów. Łapała się od czasu do czasu na myśl, jak utrzymuje kontakty z synem Nick Burnham, żyjący samotnie w ogromnym domu przy Avenue Foch.

W istocie był jeszcze bardziej samotny niż Liane. Ona miała przynajmniej córki, Nick nie miał nikogo. Od wyjazdu Hillary nie dostał od niej żadnych wiadomości. Otrzymywał tylko listy od Johnny'ego, dostał też jeden od teściowej. Z niego wyciągnął wnioski, że Hillary jest straszliwie zajęta w Nowym Jorku, Johnny zaczął z jakiegoś powodu uzasadnionego pozostaje cię z babcią. Nick doskonale wiedział, co tak pochłania Hillary: albo Philip Markham, albo jakieś inny mężczyzna. Tak czy owak jego żona, podobnie jak minionego lata, nie chciała mieć dziecka na karku. Na myśl o synu przebywającym z babcią w Bostonie w Nicku przewracały się wnętrzności, chwilowo jednak nic nie mógł na to poradzić.

Pierwotnie zamierzał pozostać w Paryżu tylko do czasu, ale niebawem pojął, iż nie może jeszcze wracać. Miała zobowiązania, z których musiała się wywiązać - chodziło o udzielenie Francuzom bardzo konkretnej pomocy. Teraz miała nadzieję, iż uda mu się wrócić do Nowego Jorku może w kwietniu, choć nie napisał o tym do Johna, nie chciał odbierać synowi nadziei, dopóki jego plany nie nabiorą ostatecznego kształtu. Powiadomił go tylko, że zjawi się już wkrótce. Zadełszy do swojego nowojorskiego biura, aby zakupiono w jego imieniu dla chłopca górę gwiazdkowych prezentów i aby dostarczono je do Bostonu. Była to licha namiastka obecności ojca czy matki, zawsze jednak coś. Tylko tyle mógł chwilowo zrobić dla syna w owe święta, które dla niego były jeszcze gorsze.

Stał samotnie w wyłożonej boazerią bibliotece, z której okien obserwował kiedyś Johnny'ego bawiącego się w ogrodzie; teraz nie było tam nic. Otaczała go pustka. Bezlistne drzewa, bladoszary ogród, z którego domu nie docierał najłagodniejszy dźwięk... Nie było choinki, nie było kolęd ani rozgorączkowanej buzi promieniejącej radością podczas przeszukiwania bogactw narodzeniowej północy. Tylko odgłos jego kroków, kiedy szedł po

schodach do sypialni, nios¹c zakupion¹ jeszcze przed wojn¹ butelkê koniaku, który mia³ mu zapewniæ kilka godzin zapomnienia, z³agodziæ têsknôtê za synem.

Ale nawet koniak nie by³ w stanie pomóc, co Nick stwierdzi³ po trzech solidnych kieliszkach. Pozwoli³ mu jedynie opanowaæ nerwowe rozgor¹czkowanie. Nick usiad³ w koñcu, aby napisaa do Johna list, w którym da³ wyraz swojej têsknocie i nadziei, ¿e nastêpne Bo¿e Narodzenie bêdzie lepsze ni¿ to. Dziêkowa³ Bogu, kiedy wreszcie zapad³a noc i zaci¹gn¹wszy zas³ony móg³ po³o¿yæ siê do ³ó¿ka i zasn¹æ.

Rozdzia³ dziewiêtnasty

Nastêpne miesi¹ce up³ynê³y pod znakiem pró¿ni znanej jako "dziwna wojna", w czasie której nic siê z pozoru nie dzia³o. Francuzi nieporuszenie trwali na linii Maginota, gotowi broniæ swego kraju, do czego jednak wci¹¿ nie mieli sposobnoœci, a ¿ycie w Pary¿u toczy³o siê prawie normalnie. Po pocz¹tkowym szoku niewiele siê tu zmieni³o w przeciwieñstwie do Londynu, gdzie obowi¹zywa³o racjonowanie dos³ownie wszystkiego, a syreny obwieszczaj¹ce naloty rozbrzmiewa³y ka¿dego wieczoru.

¿ycie w Pary¿u - jako siê rzek³o - by³o zupe³nie inne, a cechowa³o je po³czenie jakiegoœ irracjonalnego podskórnego napiêcia oraz fa³szywego poczucia bezpieczeñstwa, z którego wyp³ywa³o przekonanie, i¿ nic siê ju¿ nie zmieni. Armand uczestniczy³ w swoich nie koñcz¹cych siê potajemnych konferencjach, Liane zaœ, miast niezmiennie dawaæ mu wsparcie, zaczyna³a byæ tym wszystkim raczej poirytowana. W koñcu - tak sobie przynajmniej mówi³a - móg³by jej powiedziaæ cokolwiek na temat tego, co robi. Zawsze dot¹d jej ufa³, by³o jednak oczywiste, i¿ nie ufa jej teraz. Kontynuowa³ swoj¹ tajemnicz¹ dzia³alnoœæ, znikaj¹c niekiedy na kilka dni. Otrzymywa³a w takich wypadkach z jego biura telefon informuj¹cy, i¿ monsieur de Villiers wyjecha³ z miasta.

Spokój, który ogarn¹³ Pary¿, pozwoli³ Nickowi kontynuowaæ pracê. Omal nie wyjecha³ w kwietniu, jak to sobie wczeciej zaplanowa³, wszystko jednak uk³ada³o siê tak g³adko, ¿e zdecydowa³ wyprowadziæ swoje sprawy na czyste wody i zostaæ miesi¹c d³u¿ej. I ów miesi¹c w³acenie okaza³ siê krytyczny. Oto nagle rak, rozwijaj¹cy siê dot¹d potajemnie, zaatakowa³ zewsz¹d. Dziesi¹tego maja Hitler uderzy³ na pañstwa Beneluksu - Belgiê, Holandiê i Luksemburg. Piêtnastego maja Belgowie siê poddali i Niemcy od pó³nocy wkroczyli w granice Francji. Naraz, tak samo jak poprzedniego roku w sierpniu i wrzeceniu, zapanowa³a gor¹czka i pe³na gotowoœæ, nast¹pi³o pe³ne zgrozy przebudzenie, bo sta³o siê oczywiste, ¿e Hitler gra³ tylko na zw³okê, przymierzaj¹c siê do zaatakowania reszty Europy. I znów wysz³o na jaw, ¿e Brytyjczycy mieli s³usznœæ. Liane bezskutecznie próbowa³a podj¹æ na ten temat dyskusjê ze swoim mê¿em - ca³kowicie poch³ania³a go owa tajemnicza praca.

W dniu 21 maja upad³o Amiens i Arras, tydzieñ póŹniej skapitulowa³a Holandia. W tym czasie, 24 maja, rozpoczê³a siê ewakuacja Dunkierki. Przez jedenœcie okropnych dni wieœci docieraj¹ce do Pary¿a przejmowa³y zgroz¹. Straty w ludziach przekracza³y najœmielsze wyobra¿enia. 4 czerwca, kiedy ewakuacja siê skoñczy³a, Churchill wyg³osi³ w Izbie Gmin przemówienie, w

którym zapowiedzia³ walkę we Francji, w Wielkiej Brytanii i na morzach bez względu na koszty. Będziemy - mówi³ - walczyć na plażach, będziemy walczyć na przyczółkach, będziemy walczyć na polach i ulicach, będziemy walczyć w górach. Nigdy się nie poddamy.

Sześć dni później wojnę Francji wypowiedziały Włochy, a 12 czerwca doszło do największej tragedii - Paryż ogłoszono miastem otwartym. Francuzi zdecydowali się oddać stolicę bez walki. W jedenast¹ rocznicę ślubu Armanda i Liane, 14 czerwca, do Paryża wkroczyli Niemcy i po kilku zaledwie godzinach nad każdym większym budynkiem zawisła flaga ze swastyką¹. Kiedy Liane z Place du Palais-Bourbon patrzyła na nie - trzepoczące na wietrze szpetne czerwone pałachy, z jej oczu płynęły łzy. Cała dobitnie nie widziała Armanda i modliła się o jego bezpieczeństwo, ale pakała też z powodu Francji. Francuzi zwrócili się o pomoc do jej ojczyzny, lecz pomocy im odmówiono i teraz Paryż znalazł się w rękach niemieckich. Było tego dość, by każdemu zabrać serce.

Tego popołudnia Armand zjawił się w domu zaledwie na chwilę. Przybiegł pieszo, bocznymi ulicami, aby się upewnić, iż Liane i dziewczynom nic nie grozi. Nakazał im spuścić zasłony i zaryglować drzwi. Niemcy nikogo nie skrzywdzili, lepiej jednak nie zwracać na siebie ich uwagi. Znalazł Liane zaparkowaną w sypialni i wziął ją w ramiona, chociaż bardzo spieszył się do biura. Poprzedniego dnia zniszczyli całe stosy dokumentów, ale wciąż było wiele do zrobienia, zanim oficjalnie przekazać miasto w ręce Niemców. Armand oświadczył Liane, iż za dwa dni poda się do dymisji gabinetu premiera Reynauda i ministrowie wyjadą na południe, do Bordeaux. Liane, ogarnięta nagłą paniką, spojrzała na męża. - Pojedziesz z nimi?

- Oczywiście, że nie. Mycelisz, że zostawiłbym cię tu samą?

Głósł miało znużony, ostry i gniewny. Liane odniosła wrażenie, że nie rozumie jego słów.

- Czy jednak nie powinieneś, Armandzie...

- Omówimy to później. Teraz, jak powiedziałem, siedźcie w domu. Niech dziewczynki zachowują ciszę. I nie zwalniamy się...

Udzielwszy jeszcze całego szeregu pospiesznych instrukcji, zniknął w ogarniętych ciszą ulicach. Mieszkańcy pochowali się w domach, tak i kiedy ulicami Paryża kroczyli Niemcy, stolica sprawiała wrażenie miasta całkowicie wymarzonego. Ani jedna kafejka nie była otwarta, sklepy pozamykane, nigdzie żywego ducha - ani cywilów, ani żołnierzy francuskich. Ci, którzy zdecydowali się na ewakuację, zdążyli wcześniej wyjechać, ci zaś, którzy postanowili zostać, trwali w ukryciu. Jednakże wieczorem gdzieś ludzie zaczęli wychodzić na balkony, wymachując małymi niemieckimi flagami. Na ten widok Liane zebrała się na wymioty. "Zdrajcy, świnie" - miała ochotę wrzeszczeć na ich widok, lecz zacięła tylko zasłony i czekała na powrót Armanda. Długo rozmyślała, co w tej sytuacji począć. Teraz nie było już drogi ucieczki, znaleźli się w rękach niemieckich. Kiedy wybuchła wojna i zdecydowała się zostać z Armandem w Paryżu, wiedziała, iż coś takiego może się zdarzyć, choć w głębi duszy w to nie wierzyła. Paryż nie mógł być zdobyty i nie został zdobyty. Został wrogowi oddany.

Armand wrócił do domu dopiero o świcie dwa dni później. Był osobliwie cichy, miał bladą twarz. W milczeniu, nie zdejmując ubrania, popłynął się na łóżko. Nie spał, nie mówił, po prostu leżał. Po dwóch godzinach wstał, wykąpał się i przebrał. Liane, która obserwowała to wszystko, nie miała wątpliwości, że jej mąż dokonał wyboru... Dokąd jednak? Nie miała już

biura, do którego mógłby pójść. To biuro należało teraz do Niemców.

- Gdzie idziesz?

- Dzisiaj gabinet Reynauda podaje się do dymisji. Muszę tam być.

- Naprawdę musisz? - Skinął głową. - A co potem?

Smutno popatrzył na Lianę. W końcu musiał jej coś powiedzieć. Na całe miesiące, zapomniawszy o Liane, oddał się bez reszty Francji. Przypominało to życie z dwiema kobietami naraz, tyle że nie starczało mu siły na obie równocześnie. Czuł się tak, jak gdyby zdradził Lianę, która okazała mu tyle cierpliwości, zaufania i miłości. Musiał jej powiedzieć. Ale nazbyt długo żył ze swoimi sekretami.

- Reynaud wyjeżdża dzisiaj do Bordeaux, Liane. - Te słowa zabrzmiały w jej uszach z owieszczą nutą, ale nie były niczym nowym. Armand mówił już o tym przed dwoma dniami. Oświadczył także, iż on nigdzie się nie wybierze. - Przed wyjazdem premiera zostanie podpisana oficjalna kapitulacja.

- I znajdziemy się pod niemiecką władzą.

- Nie bezpośrednio. Marszałek Petain zostanie za niemiecką aprobatą naszym prezydentem. Popieraj go Jean-Francois Darlan i Pierre Laval, dwaj wybitni przedstawiciele francuskiej marynarki wojennej - powiedz im bez przekonania, jak propagandowy tekst.

Liane spojrzała nań z uwagą.

- Armandzie, o czym ty mówisz? - Te słowa Petain będzie kolaborował z Niemcami?

- Dla dobra Francji - wyjaśnił.

Nie mógł w to uwierzyć. I gdzie w tym całym zamieszaniu było miejsce Armanda? Z Reynaudem i starym prezydentem czy z Petainem i jego aliansem z Niemcami? Niełatwo było jej zadać Armandowi takie pytanie, musiał to jednak uczynić.

- A ty?... - zaczęła i nagle uświadomiła sobie, że już jej to powiedział, informując o wyjeździe gabinetu Reynauda do Bordeaux. Przecież oznajmił wtedy, że zostaje w Paryżu! Poczuli dziwną słabość na wspomnienie tej rozmowy i teraz z szeroko otwartymi oczyma usiadła na skraju łóżka. - Armandzie, proszę, odpowiedz.

Milczał przez chwilę, wreszcie powoli usiadł obok niej. Tęsknił za nią od tak dawna! Może bez obaw powiedział więcej, niż zamierzał, lecz za żadną cenę nie mógł wtajemniczyć jej we wszystko.

- Armandzie... - Z oczu Liane powoli toczyły się łzy.

- Zostaję z Petainem.

Te słowa runęły jak gromy, ale wypowiadając je do Liany, Armand odnosił wrażenie, że zdejmuje z ramion ogromny ciężar. Liane pokręciła głową, rozpaczała się, w końcu z rozpaczą popatrzyła na męża.

- Nie wierzę ci.

- Muszę.

- Ale dlaczego? - spytała z oskarżycielską nutą w głosie.

- W ten sposób mogę lepiej przysłużyć się Francji - wyszeptał.

- Z Petainem?! Oszalałaś?... - krzyknęła i nagle dostrzegła w jego oczach coś, co sprawiło, że zamilkła i usiadła na łóżku. - Co masz na myśli? - ościszyła głos, kiedy ujrzała jej dłoń.

- Moja kochana... Jak byś chciała cudownych kobiet przez te wszystkie miesiące... Tak dzielna i silna... Czasami silniejsza niż ja...

- Westchnął głęboko i podjął tak cicho, że ledwie mógł ją usłyszeć.

- Petain mi ufa. Zna mnie z czasów pierwszej wojny, dobrze słyszę pod jego rozkazami i marszałek wierzy, że teraz też będę to dobrze robił.

- Armandzie, o czym ty mówisz?

Przez ca³y czas rozmawiali szeptem, chocia³ Liane nie wiedzia³a, dlaczego w³acéciwie tak robi¹. Przysz³o jej wszak³e do g³owy, ³e Armand zamierza jej wyjacenia³ to, nad czym zastanawia³a si³e od tak dawna.

- Mówi³e, ³e zostanie³ w Pary³u i b³ed³e pracowa³ dla Petaina.

- Czyli dla Niemców? - Nie by³o to oskar³enie, lecz pytanie.

- Tylko na poz³ór.

- A w rzeczywisto³eci?

- W rzeczywisto³eci w ka³dy mo³liwy sposób b³ed³e pracowa³ dla innych. Ruch oporu przybierze rozmaite formy. By³e mo³e rz¹d uda si³e do Afryki Pó³nocnej. B³ed³e w kontakcie z Reynaudem, de Gaulle'em i pozosta³ymi.

- Ale jeżeli zostaniesz schwytany, zginiesz. - Ledwie powstrzymywane ³zy zacz³u³ si³e teraz obficie. - Na mi³o³e bosk¹, co ty robisz?

- Jedyne, co mog³e teraz robi³e. Jestem za stary, ³eby razem z innymi kry³e si³e po lasach czy w górach. A zreszt¹ nie jestem w tym dobry. Ca³e ³ycie sp³edzi³em w s³u³bie dyplomatycznej. Wiem, co trzeba zrobi³e, ³eby im pomóc. Mówi³e po niemiecku... - Nie dokończy³ zdania, bo nagle Liane chwyci³a go w ramiona i mocno przytuli³a.

- Co³e ci si³e stanie... Nie mog³e tego znie³e...

- Nic mi si³e nie stanie. B³ed³e bardzo ostro³ny. B³ed³e bezpieczny - mówi³ uspokajaj¹co, lecz Liane wyczu³a, co zamierza powiedzie³e w nast³epnej kolejno³eci. Tego wcale nie chcia³a us³ysze³e. - Ale chc³e, ³eby³e wróci³a z dziewczynkami do Stanów, kiedy tylko uda si³e nam przerzuci³e was poza granice Francji.

- Nie opuszcz³e ci³e.

- Nie masz wyboru. Nie powinienem by³ si³e zgodzi³e we wrz³eceniu na twoje pozostanie, ale tak bardzo chcia³em mie³e ci³e przy sobie...

- Jego g³os zdr³u³a³. Wiedzia³, jak ci³e³kie by³o dla niej ostatnie dziewi³e³ miesi³cy, i ³a³owa³, ³e trzyma³ j¹ w Pary³u, zw³aszcza ³e czyni³ to z czysto egoistycznych pobudek. Ale d³u³ej tak nie mog³o by³e.

- Pozostaj³c narazisz na niebezpieczeństwo moj¹ misj³e... - t³umaczy³. - No i dziewczynki. Sytuacja b³ed³zie dla nich zbyt niebezpieczna, skoro Niemcy okupuj¹ Pary³. Musisz wyjecha³e, jak tylko zdo³am to za³atwi³e.

Liane mia³a nadzieję, ³e nie uda mu si³e to zbyt szybko. Z przera³eniem my³ela³a o pozostawieniu we Francji m³e³a dzia³aj¹cego na dwa fronty, walcz¹cego z Niemcami i Petainem.

Kiedy Armand nieco pó³niej uda³ si³e na kolejn¹ narad³e, Liane, cho³e obawia³a si³e o niego, ogarn³e³a wielka ulga, jakiej nie zazna³a od miesi³cy. Czu³a przecie³, ³e co³e si³e dzieje, lecz nie potrafi³a tego odgadn¹e. Taki stan rzeczy omal jej nerwowo nie wyko³czy³. Zacz³e³a nawet traci³e do Armanda zaufanie, zacz³e³a go podejrzewa³e i teraz mia³a w zwi¹zku z tym ogromne poczucie winy, aczkolwiek znowu do³ewiadczy³a w stosunku do m³e³a czego³e, czego nie czu³a od bardzo dawna: oddania i szacunku granicz¹cych z nami³etno³eci¹. Odkry³ si³e przed ni¹, zaufa³, a ona uwierzy³a weń tak samo jak na pocz¹tku ich zwi¹zku. Po upadku Pary³a ich ma³u³eństwo odrodzi³o si³e z popio³ów, tak ³e kiedy Liane wsta³a rano, by przygotowa³e córkom ³eniadanie, jej serce przepe³nia³o uniesienie, jakiego nie zazna³a od bardzo, bardzo dawna.

Tego popo³udnia Petain zosta³ oficjalnie g³ow¹ państwa. Jak przepowiada³ Armand, Reynaud umkn¹³ do Bordeaux, genera³ Charles de Gaulle przedar³ si³e do Londynu, aby omówi³e kwestię transportu wojsk do Afryki Pó³nocnej, Churchill za³e przysi¹g³, i³ w ka³dy mo³liwy sposób b³ed³zie wspiera³ francuski ruch oporu. Osiemnastego czerwca de Gaulle wyg³osi³ krótkie

radiowe przemówienie do wszystkich Francuzów, b³agaj¹c tych, którzy s¹wci¹ wierni Francji, aby kontynuowali walkę. Liane z wypiekami na twarzy s³ucha³a jego orędzia przez radio, które na wypadek gdyby Niemcy nagle zechcieli przeszukać dom, ukry³a w swojej garderobie. Nikt już nie mógł być pewien bezpieczeństwa, jak wielokrotnie ostrzega³ j¹ Armand.

Wieczorem zrelacjonowa³a przemówienie mę¹owi, który odpar³, że szuka dla niej statku. Jak najszybszy wyjazd Liane z Francji by³ spraw¹ najwy¹szej wagi. Gdyby wyjecha³a pó¹niej, wśród współpracowników Petaina mog³yby zrodzić się podejrzenia - dlaczego bowiem mia³aby wyje¹d¹ z Francji, gdzie nic jej nie grozi? Gdyby jednak okaza³o się, że wyjecha³a bezpośrednio po upadku Pary¹a, Armand mógł³by argumentować, że Liane, jako Amerykanka, wyrazi³a dezaprobatę wobec przyjętej przez niego opcji politycznej i uzn³a za lepsze rozwi¹anie powrót do kraju.

Cztery dni pó¹niej Armand uda³ się do Compiègne, aby być świadkiem, jak Hitler, Göring i Keitel og³aszaj¹ warunki kapitulacji i oficjalnie staj¹ się w³adcami Francji. Podczas uroczystości cierpia³ okrutnie, a kiedy orkiestra gra³a "Deutschland, Deutschland über alles", mia³ wrażenie, że zemdleje. Mimo to uciesza³ się mę¹nie przez ca³y czas, powtarzaj¹c sobie w duchu, że przecież kiedyś okupacja się skończy. Chętnie odda³by życie, gdyby to mia³o wyrwać Francję z r¹k Niemców.

Wieczorem po powrocie do domu wygl¹da³ tak źle jak nigdy dot¹d. Przez tyle lat zachowywa³ m³odzieńczy wygl¹d, ale w ci¹gu minionych miesięcy zaczą¹³ się starzeć w zastraszaj¹cym tempie. Tej nocy po raz pierwszy od bardzo dawna obróci³ się ku żonie w ich ma³ęńskim ³o¹u i dotkn¹³ Liane z czu³ości¹ i namiętności¹, jak¹ pamięta³a z dawnych czasów. Potem le¹eli obok siebie, pogr¹żeni we w³asnym myśleniu i marzeniach. Armand usi³owa³ wyrzucić z duszy to, czego by³ owego dnia świadkiem; by³ zać świadkiem gwa³tu na ojczyźnie - swojej pierwszej i największej mi³ości. Liane wspar³a się na ³okciu, popatrzy³a na mę¹a i spostrzeg³a, że z jego oczu powoli tocz¹ się ³zy.

- Nie p³acz, kochany... - Przytuli³a go do siebie. - To się skończy, już nied³ugo... - doda³a pocieszaj¹co. Wola³aby jednak, aby teraz wraz z innymi politykami przebywa³ w Bordeaux, nie zać wykonywa³ w Pary¹u swój taniec na linie.

G³ęboko westchn¹³ i spojrz³ na żonę. - Muszę ci coś powiedzieć, Liane. - Zastanawia³a się, co jeszcze może jej oznajmiać, i na chwilę w jej oczach zap³onę³a obawa. - Znalaz³em statek dla ciebie i dziewczynek. Frachtowiec, który kotwiczy nie opodal Tulonu. Nie mam pewności, czy Niemcy już o nim nie wiedzą, ale jest chyba zbyt ma³o wa¹ny, żeby mieli się nim zajmować. Wiadomości otrzyma³em kana³ami konspiracyjnymi. Trzyma się z dala od brzegu, i to w sporej odleg³ości. Tydzień temu jego kurs przeci¹³ kuter rybacki i poinformowa³ za³ogę o upadku Francji, dlatego frachtowiec czeka. Mia³ p³yn¹æ do Afryki Pó³nocnej i oddać się na us³ugi rz¹du emigracyjnego. Zamierzam osobiście odwie¹æ was do Tulonu, stamt¹d zabierze was kuter. To niebezpieczna wyprawa, ale pozostanie w kraju by³oby jeszcze bardziej ryzykowne.

- Będzie dużo bardziej niebezpieczne dla ciebie, Armandzie.

- Liane usiad³a na ³o¹ku i popatrzy³a ze smutkiem na jedyne mę¹czyznę, którego kiedykolwiek kocha³a. - Dlaczego nie wyjedziesz do Afryki Pó³nocnej, żeby tam współpracować z w³adzami emigracyjnymi?

Pokręci³ g³ow¹. - Nie mogę. Oni mają swoje zadania tam, ja mam swoje tutaj. - Ucieszn¹³ się smutno. - I ty masz swoje. Musisz wyjechać,

zabieraj¹c ze sob¹ moj¹ tajemnicê i nasze córki. I musisz zapewniæ im bezpieczeñstwo, dopóki na œwiecie znów nie zapanuje spokój. Wtedy do mnie wrócisz. - Westchn¹³, jego usta u³o³u³y³ siê w smutny ucæmiech. - Byæ mo³e przejdê wówczas w stan spoczynku.

- Powinieneœ podað siê do dymisji ju³ teraz.

- Nie jestem a³ taki stary.

- Da³e z siebie dostatecznie wiele.

- Dam jeszcze wiêcej.

Liane wiedzia³a, æe tak uczyni, i mog³a jedynie b³agaæ niebiosa, aby nie przyp³aci³ tego æyciem.

- A nie móg³byœ robiæ dla Francji czegoe mniej niebezpiecznego?

- Liane... - porwa³ j¹ w ramiona.

A³ za dobrze zna³a swojego mêt³a. By³o ju³ za pó³no, o wiele za pó³no, aby zmieni³ zdanie. Cieszy³a siê tylko, æe wyzna³ jej prawdê, zanim wyjecha³a z Francji. Umar³aby chyba maj¹c œwiadomoœæ, æe z ca³ym przekonaniem wspó³pracuje z Petainem. Teraz jednak wiedzia³a, co Armand naprawdê robi. Tej tajemnicy nie wolno jej wyjawiaæ nikomu, albowiem jakakolwiek niedyskrecja mog³aby kosztowaæ æycie Armanda, ale zna³a prawdê i tylko to siê liczy³o - kiedyœ zdradzi j¹ córkom, zbyt ma³ym teraz, by mog³y cokolwiek zrozumieæ.

Potrzebowa³a d³u³szej chwili, æeby zebraæ w sobie odwagê niezbêdn¹ do zadania pytania, które najmniej pragnê³a postawiæ.

- Kiedy musimy wyjechaæ?

Przez chwilê nie odpowiada³, potem jeszcze mocniej przytuli³ j¹ do siebie. - Jutro wieczorem.

Liane a³ dech zapar³o w piersiach i chocia³ ze wszystkich si³ stara³a siê byæ dzielna, jej ramionami wstrz¹sn¹³ szloch.

- Ciii... cicho, kochana... Nie trzeba p³akaæ, nie warto... Niebawem znów bêdziemy razem.

Jeden Bóg wiedzia³, kiedy na powrót siê po³cz¹. Nie œpi¹c leæeli ramiê przy ramieniu, a kiedy wreszcie wesz³o s³oñce, Liane ogarn¹³ æal, æe ta noc nie mog³a trwaæ wiecznie.

Rozdzia³ dwudziesty

Podrój do Tulonu odbyli bocznymi drogami poæ³zonym samochodem, który jecha³ z wygaszonymi œwiat³ami. Pos³ugiwali siê nowymi okupacyjnymi dokumentami Armanda. Liane mia³a na sobie czarn¹ sukniê i czarny szal, dziewczynki zaæ ubra³a w spodnie, koszule i wygodne buciki. Ka³da z nich mia³a jedn¹ torbê z niezbêdnymi rzeczami, resztê dobytku musia³y bowiem pozostawiæ we Francji. Niewiele ze sob¹ rozmawiali po drodze. Dziewczynki spa³y, a Liane prawie nie odrywa³a oczu od Armanda, jak gdyby pragnê³a nasyciæ nim wzrok w ostatnich chwilach spêdzonych w jego towarzystwie. Z trudem przyjmowa³a do wiadomoœci, æe za kilka godzin rozstan¹ siê na dobre.

- To bêdzie gorsze ni³ mój ostatni rok w college'u - zaæartowa³a cicho, kiedy córki zasnê³y.

Wspomnieli obydwójce ów rok po zarêczynach. Armand przebywa³ wtedy w Wiedniu, Liane zaæ w Mills College w Oakland. Jednakæe obecny stan rzeczy - z czego obydwójce doskonale zdawali sobie sprawê - móg³ trwaæ o wiele d³u³ej; i nikt nie wiedzia³, jak d³ugo. Hitler mocno trzyma³ Europê za

gard³o, trzeba więc bédzie wytêłyæ si³y, by rozluŸniæ ten zabójczy uchwyt. Liane mia³a wszakê pewnoææ, ił Armand uczyni wszystko co w jego mocy, aby sta³o siê to jak najszybciej. Ludzi równie oddanych sprawie jak on by³o naprawdê wielu - choæby guwernantka ich dziewczynek. Liane zapowiedzia³a jej z łalem, łe wyjełdłæ z córkami do Stanów, lecz jej nie mołe zabraæ, i zdumia³a siê us³yszawszy, ił guwernantka jest z tego wrêcz zadowolona. Oæwiadczy³a Liane zuchwale, łe nie bédzie pracowaæ dla jednego z popleczników Petaina, po czym z łarem w g³osie wyjawi³a, łe i tak zamierza³a odejæ, poniewał chce walczyæ z Niemcami gdzieœ w centralnej Francji. By³o to odwałne wyznanie, guwernantka jednak ufa³a Liane. Kobiety objê³y siê i zap³aka³y, tak samo jak w chwili rozstania p³aka³y dziewczynki.

Ca³y ten dzieñ, dzieñ połegnañ, by³ d³ugi i bolesny, lecz najgorsze chwile przysz³o im przełyæ na trzeszcz¹cym molu w Tulonie, kiedy Armand podawa³ córki krzepakom rybakom z kutra. Potem de Villiersowie z p³aczem przytulili siê do siebie, na koniec Liane raz jeszcze przywar³a do mêłæ. Oczy mia³a zalane łzami, jej g³os drłæ.

- Armandzie, p³yñ z nami... Kochanie, proszê...

Pokrêci³ tylko g³ow¹. - Mam obowi¹zki. - Raz jeszcze popatry³ na córki, póŸniej na łonê. - Pamiêtaj, co ci powiedzia³em. Bédziesz dostawaæ ode mnie listy, niektóre ocenzurowane, inne nie, w zalełnoæci od tego, jakimi kana³ami zdo³am je przes³aæ. Ale jeœli nawet nie otrzymasz ode mnie ani s³owa, b¹dŸ pewna, łe łyjê... B¹dŸ pewna, kochanie... B¹dŸ dzielna... - Jego g³os zadrłæ, do oczu nap³ynê³y mu łzy, mimo to Armand z ucemiechem patry³ na Liane. - Kocham ciê ca³ym sercem i dusz¹, Liane. - Krztusz¹c siê w³asnymi łzami, Liane poca³owa³a go w usta, a wtedy Armand delikatnie pchn¹³ j¹ w rêce rybaków. - Niech ciê Bóg ma w swojej opiece, kochana. Au revoir, dziewczynki.

Kuter zaraz odbi³ od mola, pozostawiaj¹c na nim samotnego Armanda, który wcił macha³ rêk¹. - Au revoir... - Wyszep³ raz jeszcze, kiedy stateczek uton¹³ w mroku nocy. - Au revoir...

Modli³ siê, aby nie by³o to połegnanie na zawsze.

Rozdzia³ dwudziesty pierwszy

Jak siê okaza³o, dotarcie na frachtowiec "Deauville" zajê³o im nie jeden, lecz dwa dni. Statek musia³ nieco dalej wyjæ w morze, aby go nie wykryto, a kuter z Tulonu dok³adnie zna³ jego poprzednie po³ołenie. Rybacy pokonywali tê trasê codziennie przez ca³y tydzieñ, za kałdym razem zatrzymuj¹c siê w drodze powrotnej i zarzucaj¹c sieci, aby w razie kontroli uzasadniæ swoj¹ obecnoææ na morzu. Na szczêœcie Niemcy zbyt byli zajêci smakowaniem łatwego zwyciêstwa. Na razie w okupowanym kraju nikt im nie stawia³ czo³a, a tak wiele rzeczy na l¹dzie przyciłga³o ich uwagê - kafejki, dziewczêta, bulwary! Przez ca³y ten czas "Deauville" sta³ na kotwicy, przyjmuj¹c kolejnych pasałerów. Statek pozostawi³ ładunek w Afryce Północnej, tak łe p³yn¹³ prawie pusty, wioz¹c tylko szecædziesiêciu pasałerów, którzy zajmowali piêtnaœcie kabin - przewałnie Amerykanów, dwóch francuskich łydów, jakioœ tuzin Anglików mieszkaj¹cych na po³udniu Francji i kilku Kanadyjczyków. Ogólnie rzecz bior¹c, by³a to dziwna zbieranina ludzi, których łczy³a tylko chêæ jak najszybszego wydostania siê z Francji i

poczucie ulgi, że znaleźli się na statku.

Oczekując rozpoczęcia rejsu, całymi dniami przesiadywali skuleni na pokładzie, wieczorami zaś wraz z zaogł w zatoczonym mesie. Kapitan oznajmił, iż odpłynął cichutko północ tego wieczoru. Oczekiwać jeszcze ostatnich pasażerów - kobiety i dwóch dziewczynek, rodziny francuskiego dyplomaty. Kiedy Liane i jej córki znalazły się na pokładzie, stwierdziły, iż są tam jedynymi przedstawicielkami pięćdziesięciu pięknej, Liane jednak była zbyt wyczerpana, aby się tym przejmować. Dziewczynki przez dwa dni wypłakiwały oczy za tatę, wszystkie trzy po rejsie kutrem cuchnęły rybą. Elisabeth przez cały dzień cierpiała na chorobę morską, Liane zaś potrafiła myśleć wyłącznie o Armandzie.

Był to koszmarne poczucie powrotu do Stanów, ale podróż już się zaczęła, należało zatem okazać wytrwałość. Liane winna była Armandowi zapewnienie córkom jak najlepszej opieki, dopóki znów nie będą razem. Ilekroć jednak zastanawiała się nad sytuacją, nie potrafiła powstrzymać łez. Wyczerpana osunęła się w ręce marynarzy z "Deauville", którzy niemal zanieśli ją i dziewczynki do kajuty. Matki były spalone słońcem i przemarznięte, Liane zaś odczuwała zbyt wielkie wyczerpanie, aby poruszać się o własnych siłach. Zamknęły drzwi, osunęły się na koje i wszystkie zapadły w głęboki sen.

Liane obudziła się dopiero północnym wieczorem, czując lekkie drgania przebiegające kadłubem statku. Spojrzała przez bulaj w noc i uświadomiła sobie, że statek odpływa. Zastanawiała się, czy zanim dotrze do Stanów, dopadnie ich jakiegoś U-Boot. Ale było już za późno, by zawracać, zresztą Armand by nie pozwolił na to za żadne skarby. Wracały do domu.

Otuliwszy córeczki, Liane wróciła na swoją kaję i spała aż do świtu. Rano wzięła prysznic w kabinie, którą dzieliły z kilkunastoma dziewczynkami. Na piętnaście kajut przypadały na statku cztery kabiny, tak że zwykle stały przed nimi długie kolejki. Na ogół jednak tworzyły się nieco później, Liane szybko wróciła więc do kabiny, po raz pierwszy od trzech dni odwołując się do głośnie.

- Madame? - usłyszała ciche pukanie do drzwi i pytanie zadane nieznanemu gościem. Otworzywszy, ujrzała krępego francuskiego marynarza, który podawał jej dymiący kubek. - Du cafe?

- Merci.

Upijając się gorącą kawą, poczuła się ujęta trochę przez troskę okazaną przez zaogła. Jako jedyna kobieta na pokładzie mogła korzystać z wyjątkowych przywilejów, aczkolwiek nie uważała, żeby to było zupełnie sprawiedliwe. "Wszyscy jedziemy na tym samym wózku..." Uśmiechnęła się na ten kiepski dowcip. Z równą mocą, jak nie chciała opuszczać Francji i Armanda, dziękowała teraz Bogu, że ucieczka się udała. Przysięgła sobie w duszy, że będzie czynić wszystko, aby w czasie tego rejsu okazać się pomocną, lecz wczesnym rankiem wraz z córkami do mesy, stwierdziła, że wszystko jest w doskonałym porządku.

Pasażerom ceniadanie podawano w turach i każdy starał się jeść jak najszybciej, aby ustąpić miejsca następnym. Panowała tu atmosfera braterstwa i wzajemnej życzliwości, Liane nie pochwyciła też żadnych impertynenckich spojrzeń. Kilku dziewczyn uprzejmie zagadało do dziewczynek - przeważnie byli to Amerykanie, którzy z takiego czy innego powodu nie zdecydowali wrócić do kraju przed wybuchem wojny. Odkryła szybko, iż przynajmniej dwanaście osób to dziennikarze. Dwaj Kanadyjczycy byli lekarzami, reszta natomiast biznesmenami, którzy z niepojętych powodów siedzieli we Francji aż do ostatniej chwili. Wiele mówiono o Hitlerze, o

upadku Francji, o tym, jak ³atwo Paryż otworzy³ przed nieprzyjacielem bramy, o ostatnim przemówieniu de Gaulle'a, o Churchillu... Sala a_z gotowa³a się od interpretacji nowin i ploteczek, które przekazywano sobie z ust do ust.

W drugim końcu mesy Liane dostrzeg³a znajom¹ jakby sylwetkê wysokiego jasnow³osego m_êczyzny w marynarskim niezbyt dobrze dopasowanym mundurze - bary rozpiera³y szwy, spodnie kończy³y się wysoko ponad kostkami. Gdy m_êczyzna ów odwróci³ g³owê si_êgaj¹c po dzbanek z kaw¹, ich oczy się spotka³y. D³ug¹ chwilê patrzyli na siebie z rosn¹cym niedowierzaniem, które z wolna zaczę³o ust_êpowa_æ bezgranicznej radości. M_êczyzna w końcu zerwa³ się z krzes³a i podbieg³, aby u_æcisn¹æ d³oñ Liane i przytul_æ dziewcz_êta.

- Co ty, u diab³a, tu robisz? - Nick Burnham z szerokim u_æmiechem wpatrywa³ się w Liane, potem opu_æci³ wzrok na swoje spodnie. - Mój багаż wypad³ za burt_ê, kiedy wchodzi³em na pok³ad. Cholernie mi³o was widzi_æ. Gdzie Armand? - Rozejrza³ się doko³a, lecz widz¹c spos_êpnia³¹ nagle twarz Liane, odgad³ odpowied_Ÿ.

- Zosta³ we Francji - odpar³a ochryple.

- Czy pojedzie do Afryki Pó³nocnej? - spyta³ _æciszonym g³osem.

Liane pokr_êci³a g³ow¹. Zabrak³o jej odwagi, aby wyzna_æ, _ze Armand zosta³ w Paryżu z Petainem.

- Czyż to nie zdumiewaj¹ce, Nick? Rok temu p³yn_êli_æmy wszyscy razem na "Normandie", a teraz... tylko popatrz! - U_æmiechem skwitowa³a jego przykrótkie spodnie, po czym obydwój rozejrzeli się sm_êtnie po sali. - Francja w r_êkach Niemców, my szukamy ratunku w ucieczce... Kt_óż by uwierzy³?... - Znów spojrze³a na Nicka.

- S¹dzi³am, _ze wyjecha³o_æ już dawno temu.

- Nie okaza³em się a_z tak przewiduj¹cy. Pozornie panowa³ spokój, więc postanowi³em zosta_æ jeszcze miesi¹c, a potem rozp_êta³o się piek³o i by³o już za p_óŸno na wyjazd. Mog³em wróci_æ do domu w marcu na "Queen Mary", ale... - u_æmiechn¹³ się. - No cóż, tak czy owak wrócimy do domu. Mo_ze nie tak luksusowo, jak jechali_æmy tutaj, ale czy ma to jakie_æ znaczenie?

- Wiesz, co s³ycha_æ u Johna?

- Mi_wa się dobrze. Wracam do domu, _zeby, pospieszy_æ mu z odsiecz¹. Od przyjazdu do Stanów ca³y czas jest u babki. - W jego oczach pojawi³ się na moment bolesny wyraz; ka_zdy mia³ problemy w _zyciu, ka_zdy na tym statku wi_óz³ w³asne cierpienia... Nick wskaza³ trzy puste krzes³a. - Mo_ze si¹d_Ÿcie i skończcie posi³ek. Znajd_ê was p_óŸniej, to sobie pogadamy.

- _æadnych partyjek tenisa tym razem? - u_æmiechn_ê³a się Liane.

Nie posiada³a się ze zdumienia, _ze go tutaj spotka³a, równocześnie z_æc czu³a ogromn¹ ulg_ê. Nagle ca³y dramat ucieczki przed wojn¹ zamieni³ się w absurdaln¹ przygod_ê. Podobne refleksje odczytywa³a tak_ze w jego oczach.

- Niesamowite, prawda? A jeszcze bardziej niesamowite jest to, _ze ci_ê tu znalaz³em.

Nick przez ca³y poprzedni dzieñ ciekawie przys³uchiwa³ się opowie_æciom o tym, jak inni pasażerowie dowiedzieli się o statku i trafili na jego pok³ad. Na "Deauville" znalaz³o się niebywa³e gremium osób i mozaika firm - Linie _æglugowe Crocketta reprezentowane przez Liane, Korporacja Stalowa Burnhama w jego osobie, dalej dwóch profesorów Harvardu, którzy przed miesi¹cem zakończyli cykl wyk³adów w Cambridge i teraz starali się wydosta_æ z Europy, i wielu innych nietuzinkowych ludzi.

Nick wróci³ na chwilê do swojego stolika, chwyci³ kubek z kaw¹ i podszed³ raz jeszcze do Liane, aby zamien_æ z ni¹ kilka s³ów, po czym wyszed³ z mesy

- w czasie rejsu béd¹ mieli na rozmowy wiele czasu. Nikt przecieź, nie wiedzia³, kiedy dotr¹ do Nowego Jorku. Zaleźa³o to od tego, jak bardzo béd¹ musieli zejœæ z kursu, by unikn¹æ zagrożeń, których obawia³ siê kapitan. Mówiono Nickowi, że dowódca statku ma doskona³ego nosa - by³ ponoæ pewien, że zdo³a ochroniaæ pasażerów przed wszelkimi niebezpieczeństwami; nieco póŹniej, stoj¹c na górnym pok³adzie, Nick przekaza³ tê pokrzepiaj¹c¹ wiadomoœæ Liane.

- A zatem, przyjació³ko, gdzie siê podziewa³ac? - Dziewczêta bawi³y siê na s³oñcu swoimi lalkami, Liane siedzia³a wsparta o trap, Nick zaœ opiera³ siê o reling. - Wygl¹da na to, że spotykamy siê w najdziwniejszych miejscach. - Jego myœli pobieg³y do wydarzeñ sprzed roku, potem jednak Nick odwróci³ spojrzenie od morza i zerkn¹³ na Liane. - Czy wiesz, że mój apartament na "Normandie" nazywa³ siê Deauville? Musia³o w tym byæ coœ wieszczego - potrz¹sn¹³ g³ow¹.

- A pamiętasz, jak rozmawialiœmy o wojnie w taki sposób, jakby mia³a nigdy nie wybuchn¹æ?

- Armand by³ przekonany, że wybuchnie. To ja okaza³em siê g³upcem. - Wzruszy³ ramionami. - A ty powiedzia³ac, że pewnego ca³kiem nieodleg³ego dnia bédê musia³ podj¹æ decyzjê, komu sprzedajê stal. I mia³ac s³usznocæ.

- I dokona³ec w³aceciwego wyboru. - Te s³owa sprawi³y, że znów pomyœla³a o Armandzie. Jak zdo³a komukolwiek wyjacenia, dlaczego jej m¹¿ pracuje w tej chwili dla Petaina?

Nick przenikliwie popatrzy³ na Liane. - Czy to wszystko nie wydaje siê straszliwie nierzeczywiste? Nie wiem... Czujê siê tak, jakbym ca³y miniony rok spêdzi³ na obcej planecie.

Liane skinê³a g³ow¹, poniewaź postrzega³a to w taki sam sposób.

- Byliœmy wszyscy zbyt przejęci aktualnymi wydarzeniami.

- Nasz powrót do Stanów bédzie bardzo, bardzo dziwny, wiesz? Nikt nie zechce wys³uchaæ, co mamy do powiedzenia, coœmy widzieli.

- Naprawdê tak s¹dzisz? - Liane s³owa Nicka uzna³a za co najmniej szokuj¹ce. Wojna w Europie wydawa³a siê przecieź, tak oczywista, tak namacalna! Jakim cudem Stany Zjednoczone mog³y j¹ ignorowaæ? A przecieź zdawa³a sobie sprawê, że wszyscy obywatele Stanów Źywi¹ przekonanie, że ich kraj jest ca³kowicie bezpieczny, bo Europa leży wszak tak daleko. Pokrêci³a g³ow¹. - Chyba jednak masz s³usznocæ.

- Gdzie zamierzasz zamieszkaæ z córkami, Liane? - zagadn¹³ Nick.

Ten problem dyskutowa³a obszernie z mêžem w czasie podróży do Tulonu. Armand chcia³, aby uda³a siê do San Francisco, do swojego wuja George'a, Liane by³a jednak temu pomys³owi niechêtna. Waszyngton wydawa³ siê jej miejscem, w którym bédzie siê czu³a swobodniej.

- Wracam do Waszyngtonu. Mamy tam przyjació³, a dziewczêta béd¹ mog³y wróciæ do swojej starej szko³y.

Postanowi³a, że zatrzyma siê w hotelu Shoreham, jeœli dostanie w nim pokój, a potem spróbuje wynaj¹æ coœ w Georgetown, najchêtniej umeblowany dom, w którym mog³yby przeczekaæ wojnê. Nie by³a nawet pewna, czy od razu powiadomi wuja o swoim powrocie, choæ George bez w¹tpienia dowie siê o tym z jej banku. W g³êbi ducha zreszt¹ Liane Źywi³a przekonanie, i, mimo wszystko powinna go poinformowaæ. Nie by³a jednak w stanie ukryæ nawet przed sob¹, że nigdy nie czu³a Źadnego przywi¹zania do tego cz³owieka i nie chce, Źeby j¹ namawia³ do zamieszkania w swoim domu. Jedynym prawdziwym domem, jaki mia³a od lat - i teraz w pe³ni zdawa³a sobie z tego sprawê - by³o to miejsce, w którym akurat mieszka³a z Armandem.

Zerknê³a na Nicka, zastanawiaj¹c siê nad jego Ÿyciem. Nurtowa³o j¹ kilka pytañ.

- Wracasz do Nowego Jorku, Ÿeby powi¹zaæ nitki swojego dawnego Ÿycia? - By³ to jedyny sposób, w jaki potrafi³a go zapytaæ o Ÿonê. W odpowiedzi skin¹³ g³ow¹.

- Chcê zabraæ Johna z Bostonu. - Spojrza³ jej prosto w oczy. Bywa³ z ni¹ szczerzy ju¿ wczesniej, nie widzia³ zatem powodu, dla którego teraz mia³oby byæ inaczej. - W gruncie rzeczy nie mam zielonego pojęcia, co Hillary nawyczynia³a, odk¹d wyjecha³a z Francji. Pisa³em do niej, kilkakrotnie wysy³a³em depesze, ale od wrzeceniowego telegramu, w którym informowa³a mnie o przyjeŸdzie do Nowego Jorku, nie otrzyma³em od niej ani s³owa. Podejrzewam, Ÿe bardzo rzadko widuje siê z Johnnym. - Ogieñ zap³on¹³ w zielonych oczach Nicka, który zapagn¹³ naraz wyjawiaæ Liane, Ÿe zobaczy³ nazwisko Philipa Markhama na wykazie pasażerów "Aquitaine". Nikomu dot¹d o tym nie mówi³.

- Czy z listów wynika, Ÿe u Johna wszystko w porz¹dku? - zapyta³a patrz¹c Nickowi w oczy. Zastanawia³a siê dok³adnie nad tym samym co on, przede wszystkim zaæ interesowa³o j¹, dlaczego Hillary zostawi³a ma³ego w Bostonie.

- Raczej tak, ale chyba dokucza mu samotnoœæ.

Liane ucemiechnê³a siê z czu³oœci¹. - Na pewno bardzo za tob¹ têsni - powiedzia³a; ju¿ rok wczesniej bowiem przekona³a siê, Ÿe Nick jest wspania³ym ojcem.

- Ja te¿ za nim têsniê. - Na wspomnienie syna spojrzenie Nicka z³agodnia³o. - Zabra³em go do Deauville przed wybuchem wojny i bawiliœmy siê tak wspaniale...

Oboje pogr¹Ÿyli siê w milczeniu. To wszystko wydawa³o siê odleg³e o tysi¹ce lat. Potem, jak za dotkniêciem czarodziejskiej ró¿dŸki, myœli obojga zwróci³y siê ku okupacji Pary¿a. Wci¹¿ trudno by³o uwierzyæ, i¿ Pary¿ znalaz³ siê w rêkach Niemców; Liane natychmiast, rzecz jasna, pomyœla³a o Armandzie i trudnym po³o¿eniu, w jakim siê znalaz³. Ba³a siê o mê¿a, a nie by³o nikogo, z kim mog³aby siê podzieliæ obawami. Nikogo. Nawet Nick nie wchodzi³ w grê. A on w³aczenie obserwowa³ twarz Liane i - jak mu siê zdawa³o - odgad³ jej myœli, nieuchronnie biegn¹ce do Armanda. Kiedy Liane zapatrzy³a siê w morze, delikatnie dotkn¹³ jej ramienia.

- On da sobie radê, Liane. Jest cz³owiekiem m¹drym i stanowczym. I sprytnym. - Kiwnê³a g³ow¹, ale nic nie odrzek³a. Problem polega³ na tym, czy Armand jest dostatecznie sprytny, aby przechrztaæ Niemców. - Wiesz? - ci¹gn¹³ Nick. - Jak w zesz³ym roku wsadzi³em Johna na ten cholerny statek, myœla³em przez chwilê, Ÿe zemdlejê na nabrze¿u, Ÿe nieustannie bêdê myœla³ o tej przeprawie, o niebezpieczeñstwie, o U-Bootach... Ale dotarli bez problemów, a przecie¿ Bóg œwiadkiem, Ÿe morza ju¿ wtedy by³y niebezpieczne.

- Znac¹co popatrzy³ na Liane. - Armand, nawet otoczony przez Niemców, da sobie radê. By³ dyplomata¹ przez ca³e Ÿycie. To mu teraz pomo¿e. W ka¿dych okolicznoœciach.

W ka¿dych okolicznoœciach, zawtórowa³a w myœli jego s³owom. Gdyby¿ tylko wiedzia³...

Popatrzy³a smutno na Nicka, a jej oczy nape³ni³y siê łzami.

- Chcia³am z nim zostaæ.

- Jestem pewien, Ÿe chcia³aœ. Ale post¹pi³aœ znacznie rozs¹dniej, wyje¿d¿aj¹c z Francji.

- Nie mia³am wyboru. Armand nalega³. I powiedzia³, Ÿe mog³abym naraziaæ

dziewczynki... - g³os jej siê za³ama³.

Odwróci³a g³owê, ¿eby Nick nie widzia³, jak p³acze, i nagle poczu³a, ¿e obejmuje j¹ w ciep³y, braterski sposób. Sta³a wiêc na pok³adzie, wyp³akuj¹c siê w jego ramionach. Na tym statku, choœ jego pasa¿erami byli niemal wy³cznie mê¿czyŹni, nie by³ to widok niezwyk³y. Ka¿dy z tych ludzi doœwiadczy³ straty, prze¿y³ okropne rozstania. I nagle to p³akanie w ramionach Nicka przesta³o wydawaæ siê Liane czymœ niezwyk³ym, osobliwym, nienaturalnym, poniewa¿ Nick by³ wprawdzie mê¿czyzn¹, którego szlaki krzy¿owa³y siê z jej szlakami zaledwie od czasu do czasu i którego ledwie zna³a, ale przecie¿ tak samo jak on czu³a, i¿ znaj¹ siê bardzo dobrze. Zawsze dot¹d spotykali siê w szczególnych okolicznoœciach; okolicznoœciach, które pozwala³y im obojgu zachowywaæ siê w sposób zdumiewaj¹co otwarty. A mo¿e wszystko wynika³o z takiej a nie innej natury Nicka?... Teraz jednak Liane nie zawraca³a sobie g³owy t¹ kwestii¹, lecz po prostu trwa³a w jego ramionach, wdziêczna za ciep³o i wspó³czucie, którymi j¹ obdarza³. Pozwoli³ jej p³akaæ przez chwilê, potem ³agodnie poklepa³ j¹ po plecach.

- Uspokój siê. WejdŹmy do œerodka i napijmy siê kawy.

W miesie zawsze sta³ dzbanek pe³en kawy. Na statku nie by³o nic do roboty; mo¿na by³o jedynie siedziaæ, rozmawiaæ, przechadzaæ siê po pok³adach b¹dŹ te¿ w kabinie spaæ albo wys³uchiwaæ opowieœci o losach wspó³pasa¿erów. Tego statku nie zaprojektowano dla rozrywki turystów, tote¿ wszystkie ksi¹¿ki ustawione na pó³ce w miesie - w gruncie rzeczy by³o ich niewiele - zniknê³y wraz z pojawieniem siê pierwszej fali pasa¿erów. Nawet zygzakowaty kurs statku bardzo szybko wszystkim spowszednia³, a monotonia pustego horyzontu sprawia³a, ¿e ludzie z trudem umykali przed w³asnymi myœlami, które mimowolnie bieg³y ku ostatnim tygodniom, ku wydarzeniom minionego miesi¹ca, ku bliskim pozostawionym na kontynencie.

Liane, staraj¹c siê powstrzymaæ ³zy, usiad³a przy pustym stole. Wytar³a nos w koronkow¹ chusteczkê - urodzinowy prezent od córek - po czym sil¹c siê na uœmiech, popatrzy³a na Nicka.

- Przepraszam.

- Za co? Za to, ¿e zachowujesz siê po ludzku, za to, ¿e kochasz swojego mê¿a? Nie wyg³upiaj siê, Liane. Jak odstawi³em Johnny'ego na pok³ad "Aquitaine", sta³em na nabrze¿u i p³aka³em jak dziecko.

Nick wci¹¿ pamiêta³ dokera, który wtedy poklepa³ go po ramieniu i wymamrota³ kilka pocieszaj¹cych s³ów. Nic mu to jednak w gruncie rzeczy nie pomog³o. Nigdy w ca³ym swoim ¿yciu nie czu³ siê tak osamotniony. Liane patrzy³a teraz na niego, a na jej twarzy malowa³o siê nie wypowiedziane pytanie, Nick bowiem ani s³owem nie wspomnia³ o Hillary.

- Ale mówi³œe, ¿e pop³yn¹³ z Hillary... - zauwa¿y³a i nagle siê zmiesza³a. Mo¿e jednak wys³a³ syna samego? Tylko ¿e zdawa³o siê jej, ¿e...

- Owszem - przyzna³, postanawiaj¹c wyznaæ jej prawdê.

- Z ni¹ i z Philipem Markhamem. Wiesz, kto to jest? - Nick na chwilê wbi³ wzrok w swoj¹ fili¿ankê kawy, potem znowu przeniós³ go na Liane. Jego spojrzenie stwardnia³o, a d³oñ trzymaj¹ca uszko fili¿anki z lekka zadr¿a³a.

- S³ysza³am to nazwisko - odpar³a zgodnie z prawd¹. O Markhamie mówiono w ka¿dym zak¹tku Pary¿a, zawsze w po³1czeniu z imieniem Hillary. O tym jednak Nickowi nie wspomnia³a. - Ten cz³owiek cieszy siê miêdzynarodow¹ s³aw¹.

- S³aw¹ dandysa, mówi¹c œcieœle. - Nick uœmiechn¹³ siê z gorycz¹. - Moj¹ ¿onê charakteryzuje zgo³a czaruj¹cy gust. Spêdzili razem lato na po³udniu Francji.

- Czy wiedzia³œe, ¿e on te¿ bêdzie p³yn¹³ tym statkiem?

- Nie - pokrêci³ g³ow¹. - Znalaz³em jego nazwisko na liœcie pasa¿erów ju¿ po wyjœciu "Aquitaine" w morze.

- Czy nadal ciê to martwi? - spyta³a wprost Nicka, który powinien by³ ju¿ przywykn¹æ do jej bezpoœredniego sposobu bycia.

Popatrzy³ na jej piêkn¹ twarz, na g³adk¹ skórê, i znowu go zastanowi³o, jakim cudem dwie kobiety mog¹ tak bardzo ró¿niæ siê od siebie.

- Martwi mnie to, ¿e Hillary ci¹gle jest moj¹ ¿on¹. Resztê mam ju¿ za sob¹. Nigdy nie mia³em okazji ci tego powiedzieæ, ale chyba po naszej rozmowie na "Normandie" zacz¹³em do wszystkiego podchodziæ trochê inaczej. Doszed³em do wniosku, ¿e Hillary posunê³a siê za daleko, dlatego w Pary¿u pozwoli³em jej robiæ, co tylko zechce. Ale teraz chodzi mi g³ównie o Johna. Jeœli Hil nadal bêdzie tak samo postêpowaa, mo¿e kiedyœ trafiæ na cz³owieka, który naprawdê bêdzie jej odpowiada³, a wtedy gotowa jest mnie opuœciæ, zabieraj¹c ze sob¹ ch³opca. Dot¹d by³a zadowolona z ¿ycia: bêd¹c moj¹ ¿on¹, mog³a jednoczeœnie puszczaæ siê na prawo i lewo, a ja osi¹gn¹³em punkt, w którym po prostu akceptowa³em jej postêpowanie... - Zamilk³ na chwilê, po czym wyzna³: - Bojê siê... Diabelnie siê bojê, ¿e móg³bym straciæ Johnny'ego.

- Przecie¿ nigdy do tego nie dopuœcisz!

- Mo¿e siê okazaæ, ¿e jestem bezradny. Hillary jest jego matk¹ i jeœli weŹmiemy rozwód, bêdzie mog³a robiæ wszystko, na co jej przyjdzie ochota... nawet przeprowadziæ siê do Timbaktu. I co wtedy? Mia³bym widywaæ go raz w roku podczas dwutygodniowych wakacji?

Ta myœl go przera¿a³a, a rozwa¿a³ j¹ czêsto, szczególnie ostatnimi czasy. Z milczenia Hillary wnioskowa³, ¿e w ci¹gu ostatnich szeœciu miesiêcy wiele siê zmieni³o. Przedtem poczuwa³a siê jakby do obowi¹zku sk³adania mu regularnych meldunków, tym razem wszak¿e po depeszy nie otrzyma³ od niej ani s³owa, najkrótszego bodaj listu.

- Nie s¹dzi³am, ¿e a¿ tak obchodzi j¹ ch³opiec - powiedzia³a Liane, patrz¹c z trosk¹ na Nicka.

- Bo jej nie obchodzi. Ale nie jest te¿ obojêtna na to, co myœl¹ ludzie, a gdyby porzuci³a syna, bêd¹ mówiæ na jej temat wiele nieprzyjemnych rzeczy. Raczej zatrzyma go przy sobie i upchnie gdzieœ pod opiek¹ niañki, a sama bêdzie siê weso³o bawiæ. Zesz³ego lata, kiedy by³a w Cannes z Markhamem, w³œciwie wcale do niego nie dzwoni³a.

- Co w zwi¹zku z tym zamierzasz robiæ, Nick?

Westchn¹³ g³êboko, dopi³ kawê, odstawi³ fili¿ankê i popatrzy³ Liane w oczy. - Mam zamiar wróciæ do domu i wzi¹æ j¹ znowu na smycz, przypomnieæ jej, ¿e jest moj¹ ¿on¹ i ¿e ni¹ pozostanie. Znienawidzi mnie za to, ale gwi¹d¿ê na jej uczucia. Tylko w ten sposób mogê zatrzymaæ swoje dziecko, dlatego tak zrobiê.

S³uchaj¹c Nicka, Liane poczu³a przyp³yw odwagi, wrêcz zuchwa³oœci. Zapagnê³a zwierzyc mu siê ze wszystkich myœli. Znów byli na statku, zawieszeni pomiêdzy dwoma œwiatami, i znów wszelkie chwytby by³y dozwolone.

- Zas³ugujesz na lepsz¹ kobietê, Nick. Nie znam ciê zbyt dobrze, ale wystarczaj¹co. Jesteœ porz¹dnym cz³owiekiem i móg³byœ wiele z siebie daæ, ale przez Hillary nie masz nic prócz nieustannych trosk.

Przytakn¹³. W przysparzaniu trosk Hillary mia³a istotnie niema³e osi¹gniêcia, ale przynajmniej nie by³ ju¿ w to zaangażowany uczuciowo. Teraz chodzi³o mu tylko o syna i tylko on siê dla niego liczy³.

- Dziêkujê, Liane. Mi³o, ¿e tak mówisz. - Przes³ali sobie uœmiechy nad pustymi fili¿ankami.

W tej chwili do mesy wesz³a grupa podró¿uj¹cych statkiem dziennikarzy, z których jeden niós³ do po³owy opró¿nion¹ butelkê whisky, ¿eby wzmocniæ kawê. zaproponowa³ yczka Nickowi i Liane, lecz odmówili. Nick zastanawia siê nad tym, co powiedzia³a Liane.

- Problem polega na tym, ¿e chcêc znaleŸæ sobie inn¹ ¿onê, musia³bym zrezygnowaæ z syna. A tego nigdy nie zrobiê.

- To faktycznie wysoka cena.

- Nie mam wyboru. Ale za dziesiêæ lat Johnny bêdzie doros³y i wtedy wszystko siê zmieni.

- Ile ty bêdziesz mia³ wóczas lat? - zapyta³a cicho.

- Czterdzieœci dziewiêæ.

- Bêdziesz musia³ d³ugo czekaæ na swoje szczêœcie.

- W jakim wieku by³ Armand, kiedy za niego wysz³a?

Uœmiechnê³a siê. - Mia³ czterdzieœci szeœæ lat.

- Bêdê wiêc tylko trzy lata starszy od niego. I jeœli dopisze mi szczêœcie, znajdê kogoœ takiego jak ty. - Zarumieni³a siê i odwróci³a wzrok, Nick zaœ wyci¹gn¹³ rêkê i dotkn¹³ jej d³oni. - Nie b¹dŸ za¿enowana. Naprawdê jesteœ cudown¹ kobiet¹, Liane. Powiedzia³em ci przy naszym pierwszym spotkaniu, ¿e Armand to wielki szczêœciarz. I mówi³em serio.

Liane popatrzy³a na niego ze smutkiem.

- NieŸle mu nadokucza³am tego roku w Pary¿u - wyzna³a. Czu³a siê z tego powodu winna, zw³aszcza teraz, kiedy wiedzia³a, czym siê zajmowa³. - Nie rozumia³am presji, pod jak¹ musia³ ¿yæ. Prawie nie widywaliœmy siê ze sob¹ i... - Do oczu znowu nap³ynê³y jej łzy.

W ostatnim czasie jak widmo przeœladowa³ j¹ gniew, który odczuwa³a wobec Armanda w ci¹gu ubieg³ych miesiêcy, a przecie¿, gdyby tylko wiedzia³a... Tylko sk¹d mia³a wiedzieæ?

- Musieliœcie oboje ¿yæ w strasznym napiêciu.

- yliœmy - westchnê³a. - Tak samo jak dziewczêta. Ale najciê¿ej by³o Armandowi. W dodatku teraz nie bêdzie mia³ nawet nas jako wsparcia... - Powiedziawszy to, uœwiadomi³a sobie, ¿e w gruncie rzeczy ju¿ przez ca³y ten rok Armand samotnie dŸwiga³ swoje brzemie. Z udrêk¹ w oczach spojrze³a na Nicka. - Jeœli przydarzy mu siê coœ z³ego...

- Nic mu siê nie przydarzy. Jest zbyt szczwany, ¿eby niepotrzebnie ryzykowaæ. Da sobie radê. A ty musisz to po prostu przetrzymaæ - rzek³ Nick pewien, ¿e Liane wszystko przetrzyma. By³a tak¹ w³acenie kobiet¹.

Wyszli na zewn¹trz, postali na pok³adzie, potem Liane ruszy³a na poszukiwanie córek. Rejs by³ dla nich niez³¹ zabaw¹, a dokuczliwa nuda jeszcze ich nie dopad³a, chocia¿ Liane podejrzewa³a, ¿e wœcieniej czy póŸniej musi do tego dojœæ.

Dopiero wieczorem ponownie spotka³y siê z Nickiem, który w os³oniêtym od wiatru zak¹tku pok³adu zacz¹³ bawiæ siê z dziewczynkami w zgadywanki. Wiêkszoœæ pasa¿erów przesiadywa³a w mesie, gawêdzi¹c przy kieliszku, tote¿ Liane uzna³a, ¿e lepiej wyprowadziæ stamt¹d dziewczêta, chocia¿ bowiem na razie nikt siê nie awanturowa³, nie mog³a wykluczyæ, ¿e wkrótce do tego dojdzie. Na zaciemnionym statku ros³o napiêcie, bo mimo ¿e otwarcie o tym nie mówiono, trudno by³o umkn¹æ obawom przed atakiem U-Boota, a jedynym lekarstwem na ich uœmierzenie by³o picie. Mê¿czyŸni zatem pili. I to têgo.

Liane siedzia³a z Nickiem i córkami, usi¹uj¹c podtrzymaæ je na duchu.

- Puk, puk, kto tam... - arty, bajki i zagadki ci¹gnê³y siê w nieskoñczonoœæ, ale wreszcie przysz³a pora, gdy Liane zagoni³a ma³e do s³o¿ka i ponownie wysz³a na zewn¹trz, ¿eby siê przespacerowaæ. Przed

wyjściem - zgodnie z instrukcjami udzielonymi pasażerom - ułożyła dziewczynkom w nogach kamizelki ratunkowe, nie oddaliła się też zanadto od kajuty. Odczuwała jednak potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza, bo w tym maleńkim pomieszczeniu panowała atmosfera wręcz przytłaczająca.

"Deauville", przystosowany do przewozu dwudziestu pasażerów i ani jednego więcej, miał dwie podwójne kabiny i dziesięć pojedynczych, które teraz zajmowała, nie licząc dwudziestojednosobowej załogi, sześćdziesięciu mężczyzn, kobieta i dwójka dzieci. Wioząc zatem osiemdziesiąt cztery osoby, statek niemal pękał w szwach. Zgłęboko dobiegający z masy coraz natarczywiej rozbrzmiewał w uszach Liane, która stojąc z zamkniętymi oczyma na pokładzie, ani trochę nie przejmowała się dokuczliwym chłodem. Liczyła się tylko to, że oddycha czystym powietrzem.

- Słodziem, że poszła spać. - Odwróciła się, uszyszawszy za plecami głos Nicka.

- Położyłam dziewczynki, ale nie mam jeszcze ochoty iść do łóżka.

Kiwnęła głową. - Bardzo ciepło masz w kajucie?

- Nieznocenie.

Uśmiechnęła się. - Moja przypomina piekarnik, poza tym mieszka w niej sześciu facetów.

- Sześciu? - zdumiała się Liane.

- Mam luksusowy apartament, tak to się przynajmniej nazywa na "Deauville", wstawiono mi więc tylko pięć łóżek. Właściwie koi. Ale nie słodzę, żeby ktokolwiek się tym przejmował. - Wszyscy dziękowali Bogu, że w ogóle mają możliwość ewakuacji. - Prawdę mówiąc, wcale nie śpiam w swojej kabine.

Przypomniała sobie gabinet, do którego przeniósł się na "Normandie" po kłótni z Johnem. - Często tak postępujesz, prawda?

- Tylko podczas transatlantycznych przepraw. - Uśmiechnęła się kłikiem ust i obydwójce parsknęli śmiechem. - Tym razem kapitan wskazał mi idealny zakątek. Taka nieduża kłitka pod mostkiem, gdzie zawieszono dla mnie hamak. Nikt się tam nie płacze, jestem osłonięty przed wiatrem, a jeżeli dobrze się rozejrzę, mogę zobaczyć gwiazdy. Lokal więc, można rzec, niebiański.

Wygłądał na zadowolonego. Mimo olbrzymiej fortuny był człowiekiem o niewielkich wymaganiach. Hamak pod schodami, pożyczony od marynarza przyodziewek... Tak, Nick był jowialny, sympatyczny, bezpretensjonalny i pod tym względem bardzo przypominał Liane. Reprezentowali dwie bodaj największe prywatne fortuny w Stanach Zjednoczonych, a jednak w najmniejszym stopniu nie dawali tego po sobie poznać. Nick nosił pożyczony strój marynarski, Liane - szare flanelowe spodnie i stary sweter. Miała rozpuszczone włosy i żadnej biżuterii oprócz wiotkiej obrączki. Pasażerowie statku zdumieli się na wieść, kim jest Nick, a przeżyliby zapewne szok, gdyby wiedzieli, iż Liane to w gruncie rzeczy dziedziczka Linii Tęglugowych Crocketta. Jej zachowanie, podobnie jak zachowanie Nicka, pozbawione było jakiegokolwiek pozycy. Stanowiło to czystą piękność ich charakterów.

Stali przez chwilę w milczeniu, wreszcie Nick spojrzął na Liane.

- Masz może ochotę na kawę albo na drinka?

- Nie, dziękuję. Zaraz idę spać. Jeżeli tego nie zrobię, dziewczęta przegadają całą noc, bo w kajucie jest tak gorąco, że mają kłopoty z zasnięciem.

- To może w mojej dziupli także zawiesić dla nich jeszcze jeden hamak? Na dwa nie ma tam miejsca, ale dziewczynki zmieszczą się w jednym, a ty

miałabyś spokój w kajucie.

Liane uśmiechem podziękowała Nickowi za tę sympatyczną propozycję.

- Nie zaznałabyś ani chwili spokoju. Si tak rozdokazywane, że oka być nie zmrużyła.

- Nie miałabym nic przeciwko temu.

Wiedziała, że mówi szczerze, lecz musiała mieć córki przy sobie. Zaraz potem życzyła Nickowi dobrej nocy i wróciła do swojej kabiny. Dopiero wtedy w pełni pojęła, jak zdumiewającym zbiegiem okoliczności jest to ich ponowne spotkanie - i to raz jeszcze podczas przeprawy przez Atlantyk.

Przed pójściem do łóżka znów umyła włosy. Od zaokrętowania na "Deauville" myła je już trzykrotnie, aby usunąć z nich dokuczliwy rybi odór, pamiętając po przeprawie kutrem. Cóż za przygoda! Rozbierając się do snu, uśmiechała się pod nosem. To wszystko byłoby całkiem zabawne, gdyby w gruncie rzeczy nie było tak tragiczne. Ale przynajmniej dzięki temu, że potrafiła oemiać się z całej tej historii, nie wylewała łez z powodu Armanda. Na myśl o rozstaniu z mężem zaraz napływały jej do oczu. Myła włosy w miniaturowej umywalce i suszyła je ręcznikiem, z najwyższym trudem odganiając smutne wspomnienia. Po powrocie do kajuty uciszyła dziewczynki. Po chwili w miniaturowym wnętrzu zapanowała wreszcie spójność i Liane wywnioskowała, że córki wreszcie zasnęły.

Ledwie położyła się na koi i przykryła kocem, kiedy cisza nocy rozdarła przeraźliwy obcy dźwięk. Liane gwałtownie usiadła, usiłując sobie uświadomić, co oznacza. Czy był to alarm przeciwpożarowy, zapowiedź nalotu czy też statek toni? Ze zwinnością, o którą się nie podejrzewała, zeskoczyła z łóżka, pochwyciła kamizelki ratunkowe i zaczęła potraszać córkami.

- Wstawajcie, dziewczynki, wstawajcie szybko!

Naciągnęła kapok na Elisabeth, zasnęła mimo zgiełku, pomogła włożyć kamizelkę Marie-Ange, po czym ją wypychała z kajuty dziewczynki, ubrane w koszule nocne, kamizelki i buty, borykając się jednocześnie z własnym sprętem ratunkowym. Nie miała czasu szukać w ciemności swoich butów, ale to było bez znaczenia. Wraz z innymi pasażerami, na których twarzach malowało się oszołomienie, wypadła do zatłoczonego korytarza. Większość mężczyzn nie zdziwiła się jeszcze zasnęła, lecz niektórzy sprawiali wrażenie bardziej zasnętych niż jej córki. Dokoła rozbrzmiewała nieustająca zgiełk dziesiątków głosów, padały pytania przerywane krzykami ludzi, którzy nie potrafili znaleźć swoich kamizelek ratunkowych. Przepychając się w ciasnym korytarzu, wybiegli na pokład, gdzie wyjaśniło się wyczenie syreny: na morzu jarzyła się ognista kula - płonący statek. Marynarze z "Deauville", przebijając się przez tłum pasażerów, wyjaścili im w gwałtownie wyrzucanych francuskich zdaniach, iż to transportowiec z Halifaxu storpedowany przez U-Boot. Statek ów, wiozący do Anglii cztery tysiące żołnierzy, płonął już od kilkunastu godzin, ale "Deauville" dopiero teraz odebrała sygnał SOS; ponieważ ocaleli w szalupach rozbitkowie dysponowali jedynie nadajnikiem małej mocy, o bardzo ograniczonym zasięgu.

W ciszy i spokoju letniej nocy zarówno ta wieść, jak i widok płonącego statku wstrząsnęły wszystkimi. Jeszcze niedawno wiała lekka bryza, lecz teraz i ona ucichła. Wydawało się, że "Deauville" zmierza w stronę piekła, którego buchające płomienie przyciągały oczy jak magnesy.

Na mostku pojawił się kapitan i przez tubę przemówił po angielsku; wiedział, iż większość pasażerów to Amerykanie, chciał zatem bezzwłocznie skupić na sobie ich uwagę.

- Jeżeli oprócz dwóch lekarzy, którzy z nami p³yn¹, ktoś ma wykształcenie medyczne albo sanitarne, wie cokolwiek o zasadach udzielania pierwszej pomocy, proszony jest o wyst¹pienie. Nie wiem, ilu ludzi z "Królowej Wiktorii" żyje... WeŹmiemy na pok³ad, ilu tylko zdo³amy. Nie możemy wezwać przez radio innych statków, bo przebywaj¹ce w tym rejonie okręty niemieckie mog³yby nas namierzyć.

Kiedy sens s³ów kapitana dotar³ do świadomości zgromadzonych, zapad³a absolutna cisza. By³e może Niemcy nadal byli w pobliżu i "Deauville" mógł się stać ich następn¹ ofiar¹. By³a to przerażaj¹ca perspektywa, bo p³omienie szaleją¹ce na "Królowej Wiktorii" dowodzi³y jasno, jakie by³yby tego skutki.

- Tym ludziom możemy pomóc tylko my - ci¹gn¹³ kapitan.

- Liczy się każda para r¹k. Proszę więc, żeby wyst¹pili wszyscy z jakimkolwiek doświadczeniem medycznym... - Pó³ tuzina mę¹czyzn bez wahania ruszy³o w stronę kapitana, który skin¹³ g³ow¹, powiedział³ coś do nich cicho, po czym znów podniós³ tubę. - Proszę zachować spokój. Będziemy potrzebować bandaży... Trzeba zebrać ręczniki, prześcierad³a, czyste koszule... I lekarstwa. Możliwości mamy bardzo ograniczone, ale musimy je w pełni wykorzystać.

Podchodzimy teraz bliżej statku, żeby zbierać rozbitków... - Z pok³adu "Deauville" widać już by³o w oddaleniu jedn¹ czy dwie szalupy, nikt jednak nie wie, ile ich w sumie jest ani ilu rozbitków p³ywa w wodzie. - W mesie urz¹dzimy szpital - doda³ kapitan. - Dziękuj³e za pomoc. Ta noc będzie d³uga... Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Liane cisnę³o się na usta "Amen". Spojrza³a na córki, które w oczach mia³y przerażenie, i pochyliwszy się, aby us³ysza³y w zgie³ku jej s³owa, powiedzia³a: - Dziewczynki, odprowadź was do kajuty i chcę, żebyście tam zosta³y. Jeżeli coś się stanie, zaraz wrócę do was. A gdybym nie przychodzi³a, macie wyjść na korytarz i tam czekać, aż ktoś się wami zaopiekuje. - Wiedzia³a, że gdyby statek zosta³ storpedowany, ktoś zajmie się jej córkami. - Tylko musicie czekać bardzo grzecznie. Możecie zostawić otwarte drzwi, jeżeli się boicie. A teraz idziemy.

- Chcemy z tob¹ zostać - p³nym l³ku cichutkim g³osem wyb¹ka³a Marie-Ange.

- Nie możecie. Muszę pomóc tym panom...

Liane w czasie pobytu w Paryżu przesz³a kurs pierwszej pomocy, chociaż teraz, w atmosferze paniki, straci³a pewność, czy zdo³a sobie cokolwiek przypomnieć. Jednakże pomyśla³a, że dodatkowa para r¹k na pewno nie zaszkodzi, popędzi³a zatem córki do kabiny, gdzie obdar³a swój¹ koj¹ z ca³ej pościeli, a koje dziewcz¹t z poszew na koce, które i tak w ciepłym panuj¹cym w kajucie wcale nie by³y im potrzebne, mog³y się za to okazać niezbędnymi, gdyby przyszed³o im szukać ratunku w szalupie. Potem otworzy³a drzwi szafki i przepatrzy³a szybko ubrania. Wisia³o tam kilka bawe³nianych sukieneczek dziewcz¹t, poewi³ci³a zatem dwie na szarpie dla rozbitków z "Królowej Wiktorii". Zabra³a także kilka kostek myd³a, ma³y zwitek w³asnych bandaży i fiolkę pastylek przeciwbólowych, które da³ jej w Francji dentysta, po czym ubra³a się szybko, uca³owa³a córki na pożegnanie i przypomniawszy im, że mają spać w kamizelkach ratunkowych, wysz³a z kajuty. Zanim zniknę³a w korytarzu, Elisabeth, olęniona jak¹o myś¹, krzyknę³a w celad za ni¹: - Gdzie pan Burnham?

- Nie wiem - odkrzyknę³a i pobieg³a, modl¹c się, aby Bóg czuwa³ nad bezpieczeństwem jej córek. Opuszcza³a je z najwy¹sz¹ niechęci¹, ale

wiedzia³a, że béd¹ bezpieczniejsze z dala od zamieszania, które zapanowa³o na statku.

W mesie zasta³a wszystkich chyba pasażerów, s³uchaj¹cych z uwag¹ chiefa - starszego mêt¹czyzny o grobowym g³osie, który wydawa³ lapidarne, precyzyjne rozkazy. Pasażerów podzielono na trzyosobowe grupy, w miarê moŹliwoœci do kaŹdej trójki do³¹czaj¹c kogoœ o jakiej takiej znajomoœci zasad udzielania pierwszej pomocy. Dwóch przebywaj¹cych na pok³adzie lekarzy organizowa³o juŹ zaplecze materia³owe; jeden z nich wyg³osi³ w dodatku krótki wyk³ad na temat opatrywania oparzeñ, Jego wyjaœnienia sprawi³y, że niejednemu Źo³¹dek podszed³ do gard³a, lecz trudno by³o w takiej chwili uciec przed rzeczywistoœci¹.

Przekazuj¹c swoje przeœcierad³a i inne materia³y opatrunkowe, Liane zauwaŹy³a Nicka w przeciweg³ym k¹cie mesy. Podnios³a rêkê, chc¹c zwróciæ na siebie jego uwagê, on zaœe podszed³ do niej dostatecznie szybko, aby chief przydzieli³ ich do tej samej grupy. Wola³ tworzyæ zespo³y z osób, które zd¹Źy³ siê juŹ poznaæ, albowiem - jak pokrótce wyjaœni³ - sprzyja³o to wspó³pracy. Potem w mesie znowu zjawi³ siê kapitan.

- S¹dzimy, że wielu ludzi zginê³o od pierwszej eksplozji - oznajmi³ - wielu jednak z pewnoœci¹ ocala³o. Na morzu s¹ i szalupy, i kilkuset chyba rozbitków w kapokach. Noszowych proszê o zajêcie stanowisk na pok³adzie; moi ludzie zajm¹ siê wyci¹ganiem z wody rozbitków. Pierwszej pomocy proszê udzielaæ im na miejscu albo przynosiæ ich tutaj. Lekarze zdecyduj¹, komu niezbêdna jest opieka szpitalna. Chcê jeszcze podziêkowaæ tym, którzy udostêpnili nam swoje kajuty. Nie wiemy, czy z nich skorzystamy, ale mog¹ okazaæ siê potrzebne... - Powiód³ po sali skupionym, posêpnym spojrzeniem, skin¹³ g³ow¹ i wyszed³.

Mia³o up³yn¹æ jeszcze oko³o godziny, zanim béd¹ mogli wy³awiaæ rozbitków, kapitan skierowa³ wiêc na pok³ad tylko kilka trzyosobowych zespo³ów, nakazuj¹c im trwaæ w gotowoœci. Nick powiedzia³ Liane, że ponad po³owa pasażerów zrezygnowa³a z kajut, decyduj¹c siê spaæ na pok³adzie. Cz³onkowie za³ogi rozwieszali w nich teraz dodatkowe hamaki, aby zapewniæ dach nad g³ow¹ moŹliwie najwiêkszej liczbie osób. Nie powiedzia³ wprawdzie tego wprost, Liane jednak wywnioskowa³a z jego s³ów, że naleŹa³ do tych, którzy zrezygnowali z kabin; Nick wprawdzie juŹ wczesniej przeniós³ siê gdzie indziej, ale z pewnoœci¹ post¹pi³by tak samo, gdyby tego nie zrobi³. By³ równieŹ w grupie pierwszych ochotników, którzy odpowiedzieli na apel kapitana. Teraz, spokojny i opanowany, sta³ na pok³adzie, podaj¹c Liane filiŹankê kawy mocno doprawionej szkock¹.

- Chyba nie powinienam... - próbowa³a odmówiaæ, ale Nick by³ uparty.

- Nie marudŹ. Wypij. Przyda ci siê, zanim wstanie dzieñ.

- Dochodzi³a juŹ pierwsza, lecz mieli jeszcze przed sob¹ wiele nocnych godzin. Nick z trosk¹ popatrzy³ na Liane. - Powiedz, znasz zapach spalonego cia³a? - Pokrêci³a g³ow¹ i upi³a ³yk kawy. - Przygotuj siê, to bédzie brutalne doœwiadczenie.

Nie wiedzia³, jak wiele osób przeŹy³o wybuch i poŹar. Nie wiedzieli tego nawet rozbitkowie, którzy nadali wiadomoœæ z szalupy. Zdryfowali doœæ daleko od statku, a w wodzie doko³a widzieli przewaŹnie zw³oki - tak przynajmniej twierdzili. Z "Deauville" odpowiedziano tylko raz, aby potwierdziæ odebranie sygna³u SOS. Nie moŹna by³o pozwalaæ sobie na d³uŹsze nadawanie ze wzglêdu na Niemców. Dopiero gdy "Deauville" znalaz³ siê niedaleko wraku, z pok³adu przes³ano œwietln¹ wiadomoœæ, że ratunek nadchodzi. Krótka odpowiedŹ rozbitków, któr¹ Nick odczyta³ Liane, brzmia³a:

"Dziękuję Bogu".

Na pokładzie nie wolno było palić, a whisky, której flaszki przekazywano sobie z ręk do ręki, jedynie zaostrzała napięcie. Wydawało się, że upłynęły godziny, zanim dotarli w końcu w okolice wraku. Niebawem natrafili na grupę unoszonych falami trupów, potem nagle uszyszeli wołanie i po chwili marynarze z "Deauville" delikatnie ułożyli na pokładzie dwóch żywych rozbitków, którzy ocaleli w małym gumowym pontonie. Żywych, lecz potwornie poparzonych. Pospiesznie przeniesiono ich do mesy, gdzie czekali lekarze. Pomieszczenie jasno oświetlono, choć było to sprzeczne z regułami zaciemnienia, lecz zamalowane czarną farbą bulaje nie przepuszczały na zewnątrz ani promyka, w tej sytuacji zaczęły przepisy można było uchylać.

Liane z niedowierzaniem patrzyła na dwa ciała, usiłując powstrzymać torsję. Instynktownie wczepiła się w ramię Nicka. Nie odezwała się słowem, ale poczuła w swojej ręce jego dłoń i już w chwilę później, kiedy wraz z nim i kanadyjskim dziennikarzem udzielała na pokładzie pomocy trzem kolejnym rozbitkom, nie odczuwała najmniejszej odrazy ani lęku. Dwaj z nich byli straszliwie poparzeni na całym ciele, trzeciemu zaczęło na tyle dopisać szczeniście, że miał poparzoną jedynie twarz i ręce oraz złamane obydwie nogi. Liane podtrzymała głowę tego wścawiego nieszczęśnika, gdy Nick z Kanadyjczykiem układali go na noszach.

- To koszmar... Trafili nas w rufę i dziób...

W szklistych oczach chłopaka widniało dzikie przerażenie, jego twarz przemieniła się w masę spieczonego ciała. Liane musiała powstrzymać się, słuchając jego słów i szepcząc w odpowiedzi:

- Już dobrze... już wszystko dobrze...

Tak by mówiła do dziewczynek, gdyby nabiły sobie guza. Tuliła też do siebie rannego, kiedy lekarze go opatrywali. Ochłonięła nieco, gdy jeden poprosił, aby pozostała przez chwilę z chłopcem, który rany miał już zabandażowane i amputowane obydwie dłonie. Nicka wtedy nie było w mesie.

Ta noc miała na długo utkwiać wszystkim w pamięci. O szóstej rano lekarze usiedli na chwilę i przejrzyli notatki. Na pokładzie "Deauville" znalazło się dwustu czterech rozbitków z "Królowej Wiktorii", na morzu zaczęło nie widać już było ciał życia. W pobliżu przepływały setki zwęglonych ciał, a jeszcze pół godziny wcześniej wycignięto na pokład szalupę z rozbitkami, którzy doznali tylko drobnych obrażeń. Zabrano ich wszystkich do jednej z kabin. Na każdym przypadało teraz dwunastu do czternastu mężczyzn - hamaki wisiały jeden obok drugiego, ludzie gnędzili się na kojach i rozłożonych na podłodze materacach. W mesie, przekształconej w szpital polowy, unosił się odór spalonego ciała. Wyciżnani z morza rozbitkowie byli pokryci sadzą i olejem. Najgorsze było przemywanie ran. Spadło ono na Liane, która teraz, siedząc obok utrudzonych lekarzy, poczuła nagle, że nie potrafi się zdobyć już na najmniejszy wysiłek. Bolało ją dosłownie wszystko - szyja, ramiona, głowa i kark - a przecież gdyby na pokład wyciżniano jeszcze jednego rozbitka, wstałaby tak samo jak inni i ruszyła do pracy.

Pasażerowie "Deauville" powoli, jeden po drugim, rozchodzili się do pomieszczeń. Zrobili, co mogli, starając się jak najlepiej, wielu rozbitków zawdzięczało życie tylko ich poświęceniu. Dla większości mężczyzn był to pierwszy kontakt z okrucieństwami wojny.

Praca lekarzy jeszcze się nie skończyła, choć wiele osób zgłosiło się na ochotnika do opieki nad rannymi. Najgorsze jednak wszyscy mieli za sobą. O ósmej rano z pokładu "Deauville" widziano, jak "Królowa Wiktorii", z obrzydliwym sapnięciem, posławszy w niebo pióropusz pary, zniknęła pod

powierzchni¹ morza. Przepatrywano okolicę jeszcze przez dwie godziny, lecz nikt nie zauważył żadnych oznak życia - tylko trupy, ³agodnie unoszące się na falach.

Dziewięciu rozbitków zmarło na pokładzie, liczba ocalonych wynosiła zatem sto dziewięćdziesiąt pięć osób. Wszystkich umieszczono w kabinach.

Pasażerowie mieli spać teraz wraz z załogą, w hamakach bitych na materacach, ich bagaże zaczęto poupychać pod kojami lub na korytarzach. Nie chciano tylko zajmować kajuty Liane, która uparła się jednak, aby i tam ulokowano rannych. O czwartej nad ranem pośpieszyła na dół z jednym z marynarzy, by przenieść dziewczynki na właściwe kaję w kajucie bosmanmata. Ten przez resztę podróży miał spać razem z kapitanem.

- A pani? - zatroszczył się o nią bosmanmat, spoglądając na Liane z trwożliwym podziwem. Przez całą noc pracowała z nieopisanym zapałem i poświęceniem. Teraz wzruszyła obojętnie ramionami.

- Mogę spać na podłodze - odparła i pośpiesznie wróciła do przemienionej w szpital mesy, aby pomagać lekarzom, trzymać rannych za ręce, przemywać im rany, pomagać przy nastawianiu poranionych kończyn. Odgłosy rwanych na szarpie przecieradeł i ludzkie jęki stały się w miarę upływu godzin równie monotonne jak szum morza. Dopiero kiedy wrak "Królowej Wiktorii" skrył się fale, na "Deauville" te dwadzieścia uciekły. Chwilę później kapitan przemówił do wszystkich przez tubę.

- Dziękuję wszystkim... Wykazali się państwo ogromnym hartem ducha i poświęceniem... Nie skłamię mówiąc, że bez waszej pomocy byłoby o dwieście ofiar więcej.

Wiedzano już, że na trafionym statku zginęło trzy tysiące dziewięćset ludzi. Pasażerowie i członkowie załogi pracowali na zmianę, usiłując utrzymać przy życiu ocalałych i robić wszystko, aby zapobiec infekcjom. Niektórzy rozbitkowie mieli tak wysoką gorączkę, że majaczyli, ale zmarło jeszcze tylko dwóch i w końcu udało się opanować sytuację. Lekarze tak samo jak Liane pracowali na ostatnich nogach, a przecięli byli zaledwie w połowie podróży. Stracili przeszło dobre udziały pomocy rozbitkom z "Królowej Wiktorii", zygzakowaty kurs również pochłaniał sporo czasu. Jednakże statek musiał kluczyć, zmniejszało to bowiem ryzyko spotkania z niemieckimi okrętami wojennymi.

Dopiero drugiego dnia po akcji ratunkowej Liane dała się nakłonić do pójścia do kajuty bosmanmata, gdzie jak ciężkie drzewo runęła na kaję. Dziewczęta były gdzieś na statku pod opieką członków załogi, Liane zresztą i tak nie była teraz w stanie o nich myśleć, kiedy bowiem kładła się na wziutkiej koi, czuła się tak, jakby nie spała od lat. W sekundę osunęła się w bezdenną czeluść snu.

Kiedy się obudziła, na statku, znowu zaciemnionym, panował mrok. Jej uszu dobiegło szuranie stóp, usiadła więc gwałtownie, usiłując sobie przypomnieć, gdzie w końcu jest. Potem usłyszała znajomy głos.

- Dobrze się czujesz? - spytał Nick. Kiedy zbliżył się do koi, z trudem rozróżniła rysy jego twarzy w bladej pościeli księżycowej przez nie pokryty czarną farbą skraj bulaja. - Spałaś szesnaście godzin.

- Dobry Boże. - Potrzebna goś, usiłując się dobudzić. Miała na sobie nie zmieniane od dwóch dni brudne ubranie, ale Nick wyglądał jeszcze gorzej. - Jak ranni?

- Niektórzy mają się lepiej.

- Dużo umarło?

- Na razie nikt. Miejmy nadzieję, że wszyscy przeżyją. Niektórzy nawet

już chodz¹. - Nick by³ bardziej zatroskany stanem Liane. Zachowywa³a się niesamowicie w prowizorycznej sali operacyjnej. Widzia³ j¹ w ruchu za każdym razem, kiedy przynosi³ kolejnego rozbitka. - Zjesz coś? Przynios³em ci kanapkę i trochę wina.

Liane na sam¹ myś¹ o jedzeniu poczu³a md³ość. Pokręci³a gł³ow¹, usiad³a na koi i poklepa³a materac obok siebie, daj¹c mu do zrozumienia, żeby usiad³.

- Nie mog³abym nic prze³kn¹æ. A ty? Przespa³eś się choć trochę?

- W sam raz.

Ujrzawszy, że Nick się uśmiecha, odetchnę³a gł³ęboko. Co za niewiarygodne przeżycia!

- Gdzie dziewczynki?

- Ćpi¹ w moim hamaku na pok³adzie. S¹ tam bezpieczne, a oficer wachtowy ma je na oku. Owin¹³em je w koce. Nie chcia³em ich tu przyprowadza^æ, żeby cię nie obudzi³y. - Po krótkiej pauzie doda³: - Daj spokój, Liane.

Chcia³bym, żebyś coś zjad³a.

Racje żywnościowe mocno ograniczono, skoro liczba pasażerów z nag³a się potroi³a, ale kucharz dokonywa³ prawdziwych cudów, tak że nikt nie odczuwa³ gł³odu. Nick poda³ Liane kanapkę i potem odkorkowa³ opróżnion¹ do po³owy butelk¹ wina. Z kieszeni pożyczonej kurtki, któr¹ mia³ na sobie, wyj¹³ szklankę i nala³ nieco trunku.

- Nick, nie mog¹ę. Zwymiotuj¹ę.

- Wypij, wypij, ale najpierw zjedz kanapkę.

Z wahaniem ugryz³a kęs i poczu³a skurcz w żo³łdku, ale po pierwszej fali md³ości nabra³a apetytu. Kanapka jej posmakowa³a, podobnie jak pierwszy łyk wina. Poda³a szklankę Nickowi, który też się napi³.

- Powinam wsta^æ i zobaczy^æ, czy nie mog³abym w czymś pomóc.

- Tyle czasu dawali sobie radę bez ciebie, to i porad¹ sobie jeszcze przez godzinę.

Uśmiechnę³a się do niego w ciemnościach. Ich oczy przyzwyczai³y się już do braku świat³a.

- Da³abym nie wiem co za gor¹c¹ k¹piel!

- I czyste ubranie - doda³ z uśmiechem. - Mojego nie wolno sk³ada^æ, boby się po³ama³o. Może tylko sta^æ... - Równocześnie przypomnieli sobie "Normandie" i zaczęli się śmia^æ tak serdecznie, aż z oczu pop³łynę³y im ły³y. Tu, w mroku kabiny bosmanmata, gdzieś daleko odesz³a koszmarna rzeczywistość i ranni rozbitkowie, a myś¹ o ca³ym absurdzie przyje^æ, kolacji i balów sprzed roku przynosi³a im ulgę. - Pamiętasz te stosy bagaży, które mieliśmy wtedy ze sob¹? - Znów parsknęli śmiechem; by³a to weso³ość zrodzona z napięcia, wyczerpania i poczucia ulgi. W podartych brudnych ubraniach na statku wioz¹cym niemal trzystu ludzi postrzegali "Normandie" z jej psiarniami, promenadami, luksusowymi apartamentami, salonami i palarni¹ jako statek gł³upców. By³ to cudowny statek, ale należa³ do przesz³ości, oni za^æ byli tutaj, dziel¹c się winem i w¹sk¹ koj¹ i zastanawiaj¹c się, czy jakieś U-Boot nie storpeduje ich w ci¹gu najbliższej godziny.

W końcu się uspokoili i Liane mimo mroku dostrzeg³a cię na twarzy Nicka.

- Pomyś¹ tylko, jak bardzo zmieni³o się nasze życie. Aż trudno uwierzy^æ, prawda?

- Niebawem zmieni się ca³y świat. To tylko pocz¹tek. My po prostu zostaliśmy w t¹ przemian¹ zaangażowani wcześniej niż inni. - Gł³ęboko zajrza³ jej w oczy i nawet w ciemności wyczu³ ten wzajemny magnetyzm. Bez

chwili namysłu powiedziało to, co cisnęło mu się na usta, bo kto wie, może za godzinę zginie i nie nadarzy się następna okazja? - Jesteś piękna, Liane. Piękniejsza niż jakakolwiek kobieta, którą w życiu znałem... Piękna wewnątrz i zewnątrz. Tamtej nocy byłem z ciebie dumny.

- Trzymam się tylko dzięki temu, że ty byłeś w pobliżu. Czuję przy sobie twoje myśli...

Nagle przestało dla Liane istnieć jakikolwiek inny świat. Nie było życia innego niż ich życie. Byli sami w maleńkim pomieszczeniu. Nick ujął dłoń Liane, bez słowa przyciągnął ją do siebie i pocałował. Długo tulili się do siebie, potem znów całowali się z rozpaczą i namiętnością, która zrodziła się ze smaku cierpienia i z radości, że w końcu żyją.

- Kocham cię, Liane... kocham...

Wargami pieczę jej szyć, twarz, usta.

- Kocham cię, Nick... - usłyszał po chwili zmieniony głos Liane, głos pełen czułości i pieszczoty.

Zrzucili z siebie ubrania, ich ciała się splątały i oboje zapomnieli o innym życiu, innych twarzach, innych czasach... Byli parą rozbitków z zapomnianego czasu i jedyną wartą zapamiętania rzeczą był ten ulotny moment namiętności, kiedy kochali się ze sobą, a potem złączeni w uścisku zasnęli i spali aż do świtu.

Rozdział dwudziesty drugi

Jasne słońce dnia przebijało się niechętnie przez czarną farbę na oknach, gdy Nick i Liane budzili się powoli w swoich ramionach. Nick, niczego nie żałując, popatrzył na Liane i w jej spokojnej twarzy dostrzegł tak samo aprobatę dla tego, co się stało. Spoglądał na smukłe nogi, ogromne oczy, zmierzwił jasne włosy... I uśmiechał się.

- Wczoraj mówiłem najzupełniej poważnie. Kocham cię, Liane.

- Ja też cię kocham. - Nie pojmowałam, jakim cudem zdobyła się na te słowa. Kochała Armandę, a przecież zdawała sobie sprawę, że w jakiś osobliwy sposób również tego mężczyzny kocha od bardzo, bardzo dawna. Często myślała o nim w ciągu owych długich samotnych miesięcy, kiedy czuła, jak Armand coraz bardziej się od niej oddala. Głęboki szacunek dla Nicka żywiła od ich pierwszego spotkania, a teraz jedno przetrwało dzięki obecności drugiego i oboje tkwili zamknięci razem w świecie, który był tylko im dany. Liane należała do niego. Może to się już nigdy nie powtórzy, ale całym sercem żywiła przekonanie, że teraz sprawy wyglądają tak, jak wyglądać powinny.

- Nie wiem, jak ci powiedzieć, co czuję... - Szukała słów, choć w jego oczach i tak znajdowała zrozumienie dla swoich intencji.

- Nie musisz, wiem, i nic w tym z tego. Jesteśmy sobie teraz nawzajem potrzebni. Może byliśmy potrzebni sobie już od dawna.

- Ale kiedy wrócimy... - chciała podjąć wątek przyszłości, lecz Nick tylko pokręcił głową.

- W tej chwili nie musimy się nad tym zastanawiać, Liane.

Jesteśmy tutaj i tutaj żyjemy, obok tych wszystkich ludzi na statku. Przetrwalicemy i jest w tym coś godnego uczczenia, coś, co zobowiązuje nas do okazywania sobie większej miłości. Nie musimy sięgać spojrzeniem dalej.

W niewytłumaczalny sposób zdawała sobie sprawę, że Nick ma słuszną rację.

Czule ca³owa³ j¹ w usta, ona za³e b³¹dzi³a d³oñmi w górê i w dó³ jego pleców, po udach... Pojê³a, ÷e pragnie go znowu, i zada³a sobie pytanie, czy jest to wystêpne, czy te¿ za wszelk¹ cenê pragn¹ po prostu potwierdziæ, ÷e ÷yj¹. Nie zadawa³a mu kolejnych pytañ, kiedy znowu siê kochali, a potem z ÷alem wsta³a i zaczê³a siê myæ w maleñkiej umywalce. Wygl¹da³o to tak, jak gdyby od lat byli kochankami i problem wstydu czy skromnoœci po prostu miêdzy nimi nie istnia³. Zaledwie kilka godzin wczesniej przygl¹dali siê z bliska œmierci, a to, co dzia³o siê teraz, by³o du¿o bardziej naturalne. By³o ÷yciem.

- Wyjdê sprawdziæ, co u dziewcz¹t. - Nick uœmiechn¹³ siê do niej, czuj¹c siê cz³owiekiem szczêœliwszym ni¿ kiedykolwiek od wielu lat. Pracuj¹c ramiê w ramiê, przyczynili siê do ocalenia niemal dwustu ludzkich istnieñ i teraz mieli prawo do tego wszystkiego, co sta³o siê ich udzia³em, mo¿e nawet do czegoœ wiêcej. - A potem sprawdzê, czy nie da siê gdzieœ znaleŹæ wolnego prysznic. Spotkajmy siê na górze przy fili¿ance kawy, zanim wrócimy do pracy.

- Zgoda - uœmiechnê³a siê do Nicka, ani trochê nie za÷enowana, i¿ widzi j¹ przy intymnej b¹dŹ co b¹dŹ czynnoœci. Przed wyjœciem poca³owa³a go jeszcze raz, odsuwaj¹c myœli o Armandzie, zanim zd¹÷y³y w niej wzbudziæ w¹tpliwoœci. Wiedzia³a, ÷e tutaj nic dobrego by z nich nie wynik³o. Potem jakoœ to wszystko u³o÷¹ z Nickiem, teraz natomiast powinni ÷yæ zgodnie z obowi¹zuj¹cymi w tym œwiecie regu³ami. Jeszcze tak naprawdê nie przetrwali, od ojczyzny dzieli³a ich wci¹¿ bardzo d³uga droga. By³o za wczesnie na cokolwiek innego ni¿ kierowanie siê w³asnymi uczuciami, ni¿ ÷ycie z dnia na dzieñ, z godziny na godzinê. Po raz pierwszy od dawna dziêkowa³a Bogu, ÷e ÷yje.

Spotkali siê przy kuchni. Nick by³ z dziewczynkami, które wygl¹da³y teraz równie nêdźnie jak inni pasa¿erowie, ale w jego towarzystwie sprawia³y wra¿enie najzupe³niej szczêœliwych. Opowiedzia³y Liane o godzinach spêdzonych na mostku, wyjaœni³y zasady dzia³ania radia pok³adowego, a poza tym by³y najwyraŹniej po imieniu z kukiem, który Bóg wie jakim sposobem upichci³ ma³y torcik i poprzedniego dnia wrêczy³ go dziewczêtom. Zdumiewaj¹co dobrze przystosowa³y siê do nowego ÷ycia i wcale nie wydawa³y siê przestraszone. Wyzna³y matce, ÷e ogromnie im odpowiada spanie pod gwiazdami, po czym znów powêdrowa³y na mostek, Nick za³e i Liane powoli zeszli na dolny pok³ad, gdzie wypili razem wielki dzbanek paruj¹cej kawy i zjedli po kawa³ku grzanki. Liane spojrze³a przeci¹gle na Nicka, kiedy dotarli do mesy, wype³nionej teraz ludŹmi, których ocalili, i zanim weszli do œrodka, po³o÷y³a mu d³oñ na ramieniu.

- Myœlisz, ÷e jesteœmy szaleni? - spyta³a.

Pokrêci³ g³ow¹, nie sprawia³ zreszt¹ wcale wra¿enia szaleñca.

- Nie, ludzie to osobliwe istoty, Liane. Potrafi¹ przywykn¹æ niemal do wszystkiego. Silnych ludzi nie sposób pokonaæ. - I bez cienia zak³opotania doda³: - Ty, tak samo jak ja, jesteœ bardzo silnym cz³owiekiem. Odgad³em to, kiedy po raz pierwszy spojrzeliœmy na siebie, i odt¹d uwielbiam w tobie tê cechê.

- Jak mo¿esz mówiæ takie rzeczy? - Mówi³a cicho, aby nikt ich nie us³ysza³. - Przez ca³e swoje ÷ycie mia³am wszystko, czego dusza zapagnie. By³am znakomicie sytuowana, rozpieszczana, kochana. Nawet nie wiem, czy w gruncie rzeczy jestem silna, czy nie.

- Siêgnij pamiêci¹ do tego, co prze÷y³æ w ci¹gu ostatniego roku, do w¹tpliwoœci, lêków, samotnoœci, do pierwszego miesi¹ca wojny... Chocia¿ w

tym czasie wcale cię nie widywa³em, wiem, że ani razu się nie zachwia³acę. A ja... ja wsadzi³em syna na statek, mimo że nie wiedzia³em, czy będzie na nim bezpieczny, czy nie. Pozwoli³em mu odp³yn¹æ, bo mia³em oświadmoceæ, że wprawdzie ta podróż jest ryzykiem, ale trzeba je podj¹æ, żeby John dotar³ do domu, jedyne naprawdę bezpiecznego miejsca. Spędzi³em u boku żony wiele samotnych lat... I przetrwa³em. Tak samo jak ty. Przetrwalicemy też, jakocę to, co spotka³o nas zesz³ej nocy, a przecie, że żadne z nas nigdy nie widzia³o podobnego koszmaru. - Popatrzy³ na Liane. - Damy też sobie radę z wszystkim innym, kochanie... Bo mamy teraz siebie - doda³ czule.

Weszli do mesy i Liane aż wstrzyma³a oddech, kiedy uderzy³a w nią fala smrodu nie mytych ciał, potu, wymiocin, krwi i zgorzelin. Ale podjęli pracę, ramię przy ramieniu, i przez wiele godzin pos³uszenie wykonywali polecenia lekarzy. Nie uczyni³o ich to zubożeni³ymi na rozmiar tragedii, której byli oświadczeniami, pozwoli³o jednak odsun¹æ na bok troski, ciesząc się z drobniactw i postrzegając wszystko inaczej niż dot¹d. Kiedy więc po jakimś czasie Liane ponownie zobaczy³a dziewczęta, znalaz³a w sobie nowy rodzaj cierpliwości wobec ich wybryków; widok Nicka budzi³ w niej namiętność, której istnienia nawet nie podejrzewa³a. Nigdy tak mocno nie kocha³a mężczyzny, nigdy też nie czu³a się równie silna i m³oda. Wycie z Armandem stanowi³o część innego świata. Kocha³a go, szanowa³a, odnosi³a do niego wszystkie swoje zachowania, a przecie, teraz odnalaz³a coś całkowicie odmiennego. Człowieka, który budzi³ w niej jak¹o straszliw¹ się, którego obecność przy niej by³a Źródłem potężnej mocy. Pod pewnymi względami przypomina³o to zwi¹zek z Armandem, lecz w gruncie rzeczy by³o czymś większym.

Pe³nili wspólnie s³u¹bę od dziewiętej do pierwszej, potem poszli do kajuty Liane, skoro zaczęły dziewczynki znów spać w hamaku Nicka - o co zreszt¹ same b³aga³y - padli na kolę i kochali się z takim zapamiętaniem jak nigdy dot¹d. Później zasnęli spokojnie w swoich ramionach, po przebudzeniu znów się kochali, po czym uprzedzaj¹c innych pasażerów, pobiegli razem pod prysznic, a wreszcie stanęli na pok³ładzie i tul¹c się do siebie oczekiwali na wschód s³ońca.

- Pewnie uznasz to, co ci powiem, za przejaw szaleństwa - rzek³a Liane spogl¹daj¹c z uśmiechem na Nicka - ale nigdy dot¹d nie by³am tak szczęśliwa. Tyle jest wokół nas cierpienia, a że zdaje mi się, że to, co mówię, jest niemal grzeszne... Tylko że tak czuję.

Otoczy³ ją ramieniem i przytuli³. - Ja też tak czuję.

Żadne z nich nie potrafi³o oprzeć się przekonaniu, iż zostali stworzeni, aby przeżywać tę w³aczenie chwilę; Liane przesta³a pytać, co nast¹pi później. Już nie chcia³a tego wiedzieć.

Przez sześć następnych dni pracowali razem przy rannych, jedli posi³ki w towarzystwie dziewczynek, nocami zaczęły kochali się w kajucie bosmanmata. Trzynastego dnia rejsu wstrz¹snę³a nimi do g³ębi wiadomości od kapitana, że za dwa dni znajd¹ się w Nowym Jorku. Popatrzyli na siebie bez słowa. Pojęli, że zbliża się koniec, i chociaż najważniejsze w tym wszystkim by³o to, iż ranni znajd¹ się niebawem pod w³acęciw¹ opiek¹, Liane zapragnę³a w g³ębi duszy, aby przeprawa trwa³a w nieskończoność. Takie samo pragnienie odczyta³a w oczach Nicka. Z westchnieniem usiad³a w znajomym mroku kajuty, która w ostatnim tygodniu by³a ich domem. Nie zamierza³a pytać teraz Nicka, co zrobi¹, s³owa wszakże same wybieg³y z jej ust.

- Wiele o tym rozmyśla³em, Liane - odpar³.

- Ja też. Ale nie znalaz³am odpowiedzi. Przynajmniej nie tak¹, jakiej bym

pragnę³a.

Ubolewa³a, i¿ nie pozna³a Nicka wczesniej ni¿ Armanda, skoro wszak¿e los u³o¿y³ ich ¿ywoty w taki a nie inny sposób, musieli braæ pod uwagê ludzi, z którymi ich po³czy³. Nie mog³a nie zauwa¿aæ istnienia Armanda, a przecie¿ zarazem nie potrafi³a zapomnieæ o Nicku. Czu³a, ¿e jest z nim w tej chwili mocno zwi¹zana i co wiêcej - bardzo go potrzebuje. Wplót³ siê w najtajniejszy¹ tkankê jej duszy. C¿¿ ma zatem powiedzieæ Armandowi? I czy w ogó³e ma mu cokolwiek mówiæ? Przez ca³e wspólne ¿ycie by³a z nim absolutnie uczciwa, zna³a swe powinnoœci wobec niego, lecz nie mog³a siê zmusiæ do rezygnacji z Nicka. Podjêcie takiej decyzji po prostu nie le¿a³o w jej mo¿liwoœciach. NajwyraŹniej jednak z perspektywy Nicka sprawy przedstawia³y siê zgo³a odmiennie.

- Zamierzam wzi¹æ rozwód z Hillary - powiedzia³ spokojnym g³osem. - Powinienem by³ uczyniæ to ju¿ wiele lat temu.

- A John? Czy bêdziesz móg³ ¿yæ ze œwiadomoœci¹, ¿e go porzuci³eœ?

- Chyba nie mam wyboru.

- Na pocz¹tku tego rejsu mówi³eœ coœ zupe³nie innego. By³eœ zdecydowany wróciæ do domu i zabraæ go od babci. Czy bêdziesz naprawdê szczêliwy, widuj¹c syna najwy¿ej kilka razy w miesi¹cu i maj¹c œwiadomoœæ, ¿e jest zanedbywany przez Hillary? - spyta³a z niepokojem, zauwa¿aj¹c podobny niepokój w oczach Nicka.

- Muszê zdecydowaæ, czy¿e ¿ycie jest wa¿niejsze: jego albo moje. Nasze... - ucemiechn¹³ siê bez przekonania.

- Potrafi³byœ dokonaæ takiego wyboru?

- Co mi próbujesz powiedzieæ?

- To, co moim zdaniem czujesz w g³êbi duszy. Jeœli rozwiedziesz siê z Jon¹, ¿eby byæ ze mn¹, jakæœ cz¹stka ciebie nigdy ci tego nie wybaczy. Ilekroæ spojrzysz na Elisabeth i Marie-Ange, bêdziesz myœla³ o Johnie i o tym, z czego zrezygnowa³eœ, ¿eby byæ ze mn¹. Nie mogê tego od ciebie wymagaæ i prawdê mówi¹c, sama nie jestem jeszcze gotowa do podjêcia decyzji. Nie wiem, co robiæ. W ci¹gu tego tygodnia usi³owa³am o tym nie myœleæ. Zawsze by³am wobec Armanda uczciwa, a teraz... Jak wyobra¿e sobie, ¿e mówiê mu o tym w oczy albo w lice, teraz czy po zakoñczeniu wojny... coœ we mnie krzyczy i ca³a skrêcam siê na myœl o krzywdzie, jak¹ mu wyr¹dzam. Jemu i dziewczêtom... - Popatrzy³a ze smutkiem na mê¿czyznê, którego pokocha³a w ci¹gu tego rejsu. - On we mnie wierzy, Nick, nigdy go dot¹d nie zawiod³am i nie mogê tego uczyniæ teraz. - Do jej oczu nap³ynê³y z³y, g³os ochryp³. - A jednoczenie nie mogê siê z tob¹ rozstaæ.

- Kocham ciê, Liane. Ca³ym sercem. - W g³osie Nicka pobrzmiwa³a rozterka.

- Ja te¿ ciê kocham, jeœli chcesz to wiedzieæ. - Nie spuszcza³a wzroku z jego twarzy. - Ale kocham te¿ Armanda. Wierzê w œluby, które z³o¿yliœmy sobie jednaœcie lat temu. Nigdy nie s¹dzi³am, ¿e mog³abym byæ mu niewierna. A najdziwniejsze jest to, ¿e wcale nie mam uczucia, ¿e dopuœci³am siê zdrady. Ja tylko otworzy³am drzwi, ty w nich stan¹³eœ i okaza³o siê, ¿e po prostu ciê kocham. Pragnê byæ z tob¹, ale nie wiem, co zrobiæ z Armandem. Gdybym powiedzia³a mu teraz, mog³abym go zabiæ, Nick. Móg³by poniechaæ wszelkiej ostro¿noœci, móg³by staæ siê zuchwa³y, niepomny na w³asne bezpieczeñstwo. A pokój przecie¿ musi kiedyœ nadejœæ... Armand zosta³ we Francji, ¿eby walczyæ. Czy wolno mi go teraz porzuciæ? Czy to w³asnie przyrzek³am mu jednaœcie lat temu? - e zerwê ten zwi¹zek, kiedy tylko bêdê mia³a go doœæ? To nieuczciwe.

- Ycie nie rz'dzi siê takimi zasadami. Ja pokocha³em ciê za to, ζ e jesteœ taka, a nie inna... W tej kwestii nie mo ζ esz byæ jednak uczciwa. Cokolwiek robimy, ktoœ na tym cierpi, z czegoœ rezygnujemy, kogoœ tracimy... Johnny'ego, Armanda, ciebie czy... mnie.

- To wybór ponad si³y - powiedzia³a z napiêciem w g³osie. - To tak, jak gdyby cz³owiek sta³ z gotowym do strza³u pistoletem i zastanawia³ siê, kogo zabiaæ.

Nick skin¹³ g³ow¹ i uj¹³ d³oñ Liane. D³ugo tak siedzieli popr¹zeni we w³asnych myœlach, w koñcu zaœ, wyrzuciwszy z g³owy wszystkich prócz siebie, znów siê kochali. Tej nocy, podobnie jak nastêpnej, niczego nie postanowili. Pe³nili s³u ζ bê przy rannych, a potem, w ³ó ζ ku, tulili siê do siebie namiêtniej ni ζ , kiedykolwiek.

Ostatniej nocy na statku oboje mieli œwiadomoœæ, ζ e nic nigdy nie bêdzie ju ζ takie samo. Jeœli wybior¹ wspólnie ζ ycie, bêd¹ musieli pokonywaæ piêtr¹ce siê przed nimi trudnoœci, sprawiaæ ból sobie i innym, jeœli zaœ postanowi¹ siê rozstaæ - obojgu bêdzie dokuczaæ uczucie straty nie do odrobienia. Jeszcze tylko tej nocy mogli siê kochaæ tak mocno jak dot¹d.

Nad ranem znowu podjêli ten temat, a w³œciwie uczyni³a to Liane. Usiad³a na ³ó ζ ku, dotknê³a twarzy Nicka, poca³owa³a go w usta i popatrzy³a takim wzrokiem, jakim patrzy siê na dziecko. Czeka³a wiele godzin i oto nadszed³ moment, kiedy nie mo ζ na by³o zwlekaæ d³u ζ ej. Niebawem zej¹ na l¹d, trzeba wiêc podj¹æ decyzjê... Liane zrobi³a to za siebie i za Nicka.

- Wiesz, co musimy zrobiaæ, prawda? - Uniós³ spojrzenie na jej twarz, ale nic nie powiedzia³. - Musisz wracaæ do syna. Nigdy nie by³byœ w pe³ni szczêœliwy bez niego.

- A jeœli wyst¹piê do s¹du o przyznanie opieki nad Johnnym?

- A wygrasz?

By³ wobec Liane równie szczerzy jak ona wobec niego. - Przypuszczalnie nie, ale móg³bym spróbowaaæ.

- I rozerwaæ dziecko na dwoje. Nie móg³byœ ζ yæ z tak¹ œwiadomoœci¹, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Ja te ζ nie mog³abym ζ yæ ze œwiadomoœci¹, ζ e porzuci³am Armanda. Jesteœmy oboje uczciwi, mamy sumienie, odpowiedzialnoœæ, mamy ludzi, których kochamy. Te sprawy s¹ znacznie prostsze dla osób innego ni ζ my pokroju, które mog¹ siê po prostu rozstaæ, mówi¹c sobie "zegnaj". My tak nie potrafimy. Gdybyœ tak bardzo nie kocha³ Johnny'ego, rozszed³byœ siê z ζ on¹ wiele lat temu; nie zrobi³eœ tego jednak i nie mogê ci pozwoliæ na to teraz. Dla naszego wspólnego dobra. - Nick skin¹³ g³ow¹, a Liane cicho westchnê³a. - Poza tym dla mnie to te ζ nie jest proste - rzek³a g³osem przechodz¹cym w szept. - Wci¹ ζ kocham Armanda. - Do jej oczu nap³ynê³y ³zy i Liane odwróci³a g³owê, aby Nick ich nie zobaczy³.

- Co teraz zrobisz, Liane? - Uj¹³ jej d³oñ, pog³adzi³ i g³êboko zajrza³ jej w oczy. Niemal ζ a³owa³, ζ e nie mo ζ e zawróciæ statku i rozpocz¹æ tego rejsu od nowa. Niestety, musieli iœæ naprzód bez wzglêdu na to, z jak wielkim bólem siê to wi¹za³o. - Co bêdzie z tob¹?

- Poczekam, a ζ wojna siê skoñczy.

- Sama? - Pragn¹³ jej a ζ do bólu. By³a kobiet¹, która potrzebowa³a mêt¹czyzny, która pragnê³a daæ komuœ ca³¹ tê mi³oœæ, jak¹ w sobie mia³a, on zaœ móg³ tê mi³oœæ w pe³ni odwzajemniæ.

- Oczywiście, ζ e sama - odpar³a z bladym uœmiechem.

- Myœlisz, ζ e... - zacz¹³ Nick, do g³owy bowiem ju ζ przed kilkoma dniami przyszed³ mu pewien pomys³. Nie wiedzia³ jednak, jak zareaguje na jego propozycjê Liane. Ledwie us³ysza³a pierwsze s³owa, pokrêci³a g³ow¹.

- Nie mogê tego zrobiæ. Jeceli pozwolimy trwaæ temu d³u¿ej, nigdy nie zdo³amy siê rozstaæ. Spójrz, bylicemy ze sob¹ niespe³na dwa tygodnie, a ja ju¿ nie potrafiê powiedzieæ, ¿e to koniec. Za rok lub dwa by³oby to ca³kiem niemo¿liwe. - Westchnê³a. - S¹dzê, przyjacielu, ¿e nadszed³ czas, abyemy okazali tê siê, któr¹, jak powiadasz, ma w sobie ka¿de z nas. Nie istnieje inne rozwi¹zanie. Zakochalicemy siê w sobie, mielicemy dwa tygodnie... prawdziwy cud, ca³e ¿ycie, które bêdê pamiêta³a przez resztê swoich dni. Ale nie mo¿e byæ tego ¿ycia wiêcej. Dla ¿adnego z nas. - Jej g³os zacz¹³ siê³ amaæ i z oczu Liane pop³ynê³y³ zy. - Kiedy zejdziemy ze statku, powinniemy patrzeæ tylko przed siebie. Nie ogl¹daæ siê ani przez moment... Z jednym mo¿e wyj¹tkiem: po to, ¿eby sobie przypomnieæ, jak bardzoemy siê kochali i jak dobrze ¿yczylicemy sobie nawzajem...

W oczach Nicka równie¿ pojawi³y siê³ zy. - Czy zadzwonisz do mnie od czasu do czasu?

Pokrêci³a g³ow¹ i ze szlochem rzuci³a siê w ramiona Nicka, który hamuj¹c p³acz, tuli³ j¹ przez ca³¹ godzinê. Nic nie mogli poradziæ. Wiêzy, które ich po³¹czy³y, musia³y zostaæ przeciête. Ten zabieg mia³ byæ dla nich równie bolesny jak dla m³odego rozbitka amputacja rêki, któr¹ przed tygodniem ogl¹dali w prowizorycznej infirmerii.

Rozdzia³ dwudziesty trzeci

Kiedy tu¿ po ósmej ¿egnali siê w jej kajucie szybkim poca³unkiem, nadal mieli oczy pe³ne³ ez. Potem Nick przys³a³ do Liane jej córki, ona zaæ pomog³a im siê ubraæ. Wszystkie trzy wygl¹da³y teraz jak w³óczêgi, choæ wygl¹dem wcale nie odbiega³y od reszty pasażerów. Kapitan zapowiedzia³, ¿e do Nowego Jorku przybij¹ oko³o po³udnia. Zawczasu poprosi³ telegraficznie o pomoc, zw³aszcza o karetki dla rannych, z których jeszcze trzech zmar³o z powodu zaka¿enia krwi. W sumie "Deauville" wraca³ triumfalnie ze stu dziewiêædziesiêcioma ocala³ymi rozbitkami.

Kiedy statek zbli¿a³ siê do portu, na pok³adzie panowa³a œwi¹teczna atmosfera i nios³ siê zgie³k o¿ywionych rozmów. Dziewczêta by³y ju¿ zaprzyjaŹnione z wszystkimi pasażerami statku, a tak¿e tymi z rozbitków, którzy mogli siê poruszaæ o w³asnnych si³ach. Podekscytowani pasażerowie stali ramiê w ramiê przy relingach, a s¹dz¹c po tym, jak zwracali siê do siebie, mo¿na by³o odnieœæ wra¿enie, ¿e s¹ w komitywie przynajmniej od roku. Tylko Nick i Liane trzymali siê w niewielkim oddaleniu od innych. Nick mia³ na twarzy wyraz oszo³omienia, Liane zaæ gorliwie zajmowa³a siê córkami, ale od czasu do czasu spotykali siê wzrokiem, a raz, kiedy dziewczêta pobieg³y po lalki, przytulili siê do siebie na krótki moment.

adne z nich nie mog³o sobie wyobraziæ, jak przetrwaj¹ bez siebie resztê ¿ycia. Tyle ¿e nie mieli w tej kwestii ¿adnego wyboru. Rzeczywistoœæ, nios¹ca ich naprzód równie uparcie jak "Deauville", nie pozwala³a im pozostaæ w krainie marzeñ. Chwile spêdzone na statku mia³y siê niebawem skoñczyæ, czeka³ ich marsz w³asnymi œcie¿kami i nieustannie powtarzane w duchu pytanie, czy kiedykolwiek jeszcze siê spotkaj¹.

Nick zastanawia³ siê, czy pewnego dnia na jakimœ innym statku znów nie natknie siê na Armanda i Liane. Wojna dobiegnie koñca, dziewczynki dorosn¹, a on dla dobra syna wci¿ bêdzie mê¿em Hillary... Przez sekundê, tylko przez jedn¹ sekundê prawie nienawidzi³ Johna, który przecie¿, podobnie jak

Armand, nie by³ niczemu winien. Zapragnęli wszak z Liane czegoś, czego nie mogli otrzymaa, dlatego teraz musieli stawiać czo³o nie tylko powinnościami względem siebie, lecz również, względem Armanda i Johna. Nick zdawa³ sobie sprawę, iż Liane ma ca³kowit¹ s³usznocę, kiedy jednak na horyzoncie zamajaczyły drapacze chmur Nowego Jorku, uzmys³owi³ sobie, iż nigdy w życiu nie cierpia³ tak okrutnie. Z najwyższym trudem kierowa³ myśli ku synowi, bo Johnny by³ w tej chwili w jego życiu jedynym realnym punktem zaczepienia, mimo że w tych ostatnich chwilach pragn¹³ ze wszystkich si³, by owym punktem mog³a być dla niego Liane.

Kiedy pojawiła się Statua Wolności, a s³ońce zaleni³o na jej pochodni, na pok³adzie rozległy się radosne okrzyki. Wkrótce potem do burty "Deauville" podpłynęły holowniki, aby wprowadzić statek do nowojorskiego portu, stateczki straży porannej zaczęły, które do³¹czyły do konwoju, jęły na wiwat wystrzeliwać w niebo s³upy wody.

Kiedy statek przybił do nabrzeża, okazało się, że szeregiem stoją tam karetki, gotowe zabrać z pok³adu wszystkich rannych, i że wyjątkowo poniechano wszelkich procedur imigracyjnych. "Deauville" zaczęła przy b³yskach fleszy, a zaraz potem ruszyli do ataku dziennikarze usiłując przeprowadzać wywiady z kim się da. Kiedy Liane, która znała po imieniu wszystkich rozbitek, pochyliła się, aby jednego uca³owała na pożegnanie, strzelił flesz aparatu fotograficznego.

Większość pasażerów nie kwapiła się zbyt do zejścia na ląd; ludzie obejmowali się, wymieniali adresy, poklepywali po ramionach, dziękowali kapitanowi i członkom za³ogi za udaną przeprawę, ale w końcu jeden po drugim zaczęli zbierać swoje bagaże i schodzić po trapie. Liane, Nick i dziewczęta opuszczali statek wśród ostatnich. Stan¹wszy na nabrzeżu, popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

- Cóż, jesteśmy w domu... - Nick spoglądał na Liane ponad g³owami dziewcząt; żadne z nich nie potrafiło się radować, a Liane marzyła tylko o tym, aby przytulić się do Nicka.

- Jeszcze nie czuję się jak w domu. Musiała dojechać z dziewczynkami na Grand Central Station i zapaść pociąg do Waszyngtonu.

- Ale się poczujesz - odparł Nick, wzięwszy się już w garść. Potem uparł się, że zapie dla Liane taksówkę i odwiezie je na dworzec. Kiedy zajęli miejsca w aucie, Liane parsknęła śmiechem, a Nick lekko skrzywił usta. - Musimy wyglądać jak banda wódczągów. - Zerknął na pożyczone marynarskie ubranie, które wciąż miał na sobie, i uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu ze statku nie odbiera go limuzyna.

Jadąc na dworzec gawędzili beztrosko i droga minęła już nazbyt szybko. Kiedy Liane kupowała bilety, Nick sprowadził dziewczynki na peron. Liane wzięła przez chwilę myślenie, czyby nie zatrzymać się w hotelu w Nowym Jorku, doszła jednak do wniosku, że wówczas odczuwałaby zbyt wielki pokusę, aby zobaczyć się z Nickiem.

Nick ułożył ich skromne bagaże na półkach w przedziale, potem spojrzął na Liane i dziewczęta.

- Do widzenia, wujku, odwiedź nas jak najszybciej - zaprosił Nicka Elisabeth, której Marie-Ange zawtórowała z zapałem. Już dawno przestały się do niego zwracać "panie Burnham".

- Na pewno was odwiedzę. A wy opiekujcie się mamą. - Słyszyc, że jego głos staje się ochrypły ze wzruszenia, Liane znów musiała powstrzymać zęby, które pojawiły się jednak, gdy objęła go na pożegnanie, a Nick szepnął cicho w jej włosy: - Uważaj na siebie, najdroższa przyjaciółko.

Powoli wycofa³ się z przedzia³u i ocieraj¹c ukradkiem³ zy, wyszed³ na peron, gdzie stan¹³, machaj¹c ręk¹ na pożegnanie, szeroko ucemiechnięty. Wtedy Liane nakaza³a córkom usi¹ceæ, sama zaæ przez okno przes³a³a Nickowi poca³unek i bezg³oænie wyszepta³a "Kocham ciæ". Nick ze œcieniem gard³em, t³umi¹c szloch, tkwi³ na peronie, dopóki móg³ j¹ widzieæ.

Liane usiad³a na beżowej welwetowej kanapie, a gdy dziewczynki zajm³y się poci¹ganiem i przyduszaniem najrozmaitszych d³wigienek i przycisków, zamkn³a na chwilê oczy. Zobacz³a przed sob¹ twarz Nicka, znów przemożnie zapagn³a dotkn¹æ go jeszcze raz... przez moment ujrza³a się w jego ramionach i poczu³a bolesne uk³ucie nieznoœnej straty. Niezdolna d³uzej hamowaæ p³acz, powiedzia³a coœ do córek, wysz³a na korytarz i zamkn³a za sob¹ drzwi.

- Czy móg³by³m w czymœ pomóc? - zapyta³ wysoki czarnoskóry konduktor w nieskazitelnie bia³ym uniformie. Liane, nie mog¹c wykrztusiæ ani s³owa, pokrêci³a tylko g³ow¹. - Proszê pani... - zacz¹³ znów, zaniepokojony udrêk¹ maluj¹c¹ się na twarzy kobiety. Liane raz jeszcze zaprzeczy³a gwa³townym ruchem g³owy.

- Wszystko w porz¹dku - powiedzia³a, choæ wcale tak nie by³o. Jak¹e bowiem mog³a mu wyjaœnienia, ¹e w ci¹gu ostatnich dwóch tygodni pozostawi³a m³æa w okupowanym Paryżu, a potem, nie bacz¹c na niemieckie U-Booty, przep³yn³a frachtowcem Atlantyck, by³a œwiadkiem tragedii ton¹cego statku, widzia³a trupy ko³ysz¹ce się na falach i ludzi umieraj¹cych jej na rękach, pomog³a utrzymaæ przy Źyciu i przywróciæ do zdrowia niemal dwustu m³æczyzn cierpi¹cych od ran i poparzeñ... I ¹e zakocha³a się w m³æczyŹnie, którego w³acenie poŹegna³a i byæ może nigdy juŹ nie zobaczy... Nie znajdowa³a na to wszystko s³ów, wiêc tylko z rozdartym sercem wygl¹da³a przez okno odjeżdaj¹cego poci¹gu.

Na dworcu zaæ Nick, z pochylon¹ g³ow¹, wilgotnymi oczyma i wyrazem twarzy cz³owieka, który straci³ najbliŹszego przyjaciela, ruszy³ ku wyjœciu. Na ulicy zatrzyma³ taksówkê i pojecha³ do domu tylko po to, ¹eby stwierdziæ, iŹ jest pusty. Nowa s³u¹ca poinformowa³a go, ¹e pani Burnham przebywa z przyjació³mi na Cape Cod.

Akurat wtedy poci¹g do Waszyngtonu nabiera³ szybkoœci.

Rozdzia³ dwudziesty czwarty

Liane wraz z córkami o ósmej wieczorem dotar³a do hotelu Shoreham. Cz³a się tak, jakby nie spa³a od wielu dni. Wszystkie trzy zreszt¹ by³y wyczerpane i brudne, dziewczynki co chwilê wybuchaj³y p³aczem. Wiele przesz³y w ci¹gu ostatnich miesiêcy, teraz zaæ z trudem ucwiadamia³y sobie, ¹e s¹ z powrotem w Stanach. Wszyscy sprawiali tu wraŹenie tak szczêœliwych, beztroskich i normalnych! Nie widzia³o się ani owych skażonych napiêciem twarzy jak w Paryżu przed okupacj¹, ani swastyk, które zaczerni³y się na murach po upadku miasta; nie by³o teŹ rannych jak na statku. Nie by³o tu nic z tego, co dla nich sta³o się powszednie, choæ tak dalece przecieŹ odbiega³o od normalnoœci.

Leż¹c w hotelowym³ ółku, Liane godzina po godzinie musia³a zwalczaæ pokusê, ¹eby zadzwoniæ do Nicka i odwróciæ o sto osiemdziesi¹t stopni wszystkie rozs¹dne przecieŹ postanowienia, które w obliczu

odpowiedzialności ponoszonej względem innych podjęli przed rozstaniem. Tak naprawdę pragnęła jedynie znaleźć się na powrót w jego ramionach. W Nowym Jorku Nick przechodził dokładnie tak sam męczarnię.

Nazajutrz rano Liane wyszła do Armanda depeşe z informacją, że przybyła do Stanów bezpiecznie. O "Deauville" pisały wszystkie gazety, w wielu opublikowano zdjęcie, na którym Liane całuje w policzek wynoszonego na ląd Kanadyjczyka. Na zdjęciu tym, w tle, widoczny był również Nick, patrzący na Liane z wyrazem smutku na twarzy. Widząc ową fotografię, Liane znów poczuła w piersi znajomy ołowiany ciężar. Jej córki stwierdziły nagle, że z trudem przychodzi im nawiązać kontakt z matką. Tyle zmieniło się w ich życiu w ciągu tak krótkiego czasu, że dziewczynki były nieznocenie pęczliwe, a Liane wiecznie rozdrażniona. Przeszły zbyt wiele i doświadczyły zbyt bolesnych rozstań, aby mogło to przejść bez echa.

Efekt ich przeżywania był taki, że kiedy Liane zdecydowała się w końcu zadzwonić do wuja George'a w San Francisco i powiadomić go, że wróciły do Stanów, rozmawiała z nim niemal grubiańsko, aczkolwiek winę częściowo ponosił on: bez ustanku czynił bowiem nietaktowne uwagi na temat upadku Francji i tego, jak Francuzi dosłownie wcisnęli Paryż w niemieckie ślapy, podając go - jak to ujął - na srebrnym półmisku, w związku z czym zasługują na wszystko, co ich spotkało. Liane musiała użyć całej siły woli, żeby mu nie nawymyślała.

- Cóż, dzięki Bogu, żeście wróciły - rzekł wreszcie wuj. - Od jak dawna jesteście w kraju?

- Od wczoraj. Przypłynęliśmy frachtowcem.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. - Na "Deauville"?!

- Relację z przybycia francuskiego statku zamieściły również gazety z San Francisco, nie publikują jednak żadnych zdjęć.

- Tak.

- Cóż za obłąkanym idiotą jest twój mąż, że wsadził cię na taki statek.

To nie było innego sposobu na wywiezienie was z Francji?... Pewnie brałacie też udział w tej akcji ratunkowej na morzu?

- Brałam. - W głosie Liane pobrzmiwało wyczerpanie i zniechęcenie. Nie chciała bronić Armanda przed wujem, nie chciała nawet pamiętać o swoim małżeństwie, ponieważ jedynym, o czym potrafiła myśleć, był Nick. - Ocaliliśmy stu dziewięćdziesięciu ludzi.

- Czytałam. Na pokładzie była tylko jedna kobieta. Niania z dwójką dzieci.

Liane ucieszyła się z lekką. - Niezwykle niania, wuju. Po prostu ja i dziewczęta.

- Rany boskie... - wykrztusił, po czym zapytał, kiedy zamierza przyjechać do San Francisco, gdy zaczął odparć, że wcale się tam nie wybiera, krzyknął:

- Co takiego?

- Wczoraj wieczorem przyjechał do Waszyngtonu. Zamierzam wynająć tu dom.

- Nie pozwól na to.

Po wszystkim, przez co przeszła, nie miała już siły spierać się z wujem. - Mieszkaliśmy w Waszyngtonie przez pięć lat. Mamy tu przyjaciół, a dziewczynki lubiły swój szkół.

- To absurdalne. Dlaczego Armand nie wysłał cię do mnie?

- Bo mu powiedziałam, że zamierzam zamieszkać w Waszyngtonie.

- Cóż, jak ci wróci zdrowy rozsądek, będziesz mile widziana. Obce miasto to nie jest właściwe miejsce dla samotnej kobiety. Mogłabyś zamieszkać ze

mn¹, w moim domu. By³ przecie^ł twoim domem, zanim przenios³ac^e si^e do Waszyngtonu. C^o^ł za nonsensowne pomys³y przychodz¹ ci do g³owy? A w og^ole jestem zaskoczony, ^łe nie próbowa³ac^e przedosta^e si^e do Londynu albo Wiednia.

Uwagi wuja wcale nie wydawa³y si^e Liane zabawne, odrzek³a zatem cicho: - Chcia³am zosta^e w Pary^łu z Armandem.

- Przynajmniej nie by³ a^ł takim idiot¹, ^łeby ci na to pozwoli^e. Przypuszczam zreszt¹, ^łe sam nie zagrzeje tam d³ugo miejsca. Ten dure^ñ de Gaulle ruszy³ ju^ł do Afryki P^onocnej, a o ile wiem, reszta rz¹du rozproszy³a si^e po ca³ej Francji. Jestem zaskoczony, ^łe Armand wci¹^ł siedzi w Pary^łu. Czy przeszed³ w stan spoczynku?

- Nie, nie przeszed³. - Nie zamierza³a go informowa^e, i^ł Armand wsp^opracuje z Petainem.

- C^o^ł, w takim razie jak wszyscy inni ju^ł nied³ugo gdzie^e si^e wyniesie. M¹drze post¹pi³ac^e wracaj¹c z c^orkami do kraju. Jak one si^e maj¹? - zapyta³ ³agodniejszym tonem.

Liane z³o^ły³a zatem obszerny raport na temat samopoczucia dziewczynek, pozwoli³a im nawet porozmawia^e ze stryjecznym dziadkiem. Odetchn^e³a jednak z ulg¹, gdy rozmowa dobieg³a wreszcie ko^ñca. Nigdy nie ³1czy³y jej z wujem przesadnie bliskie wi^ezy; pod ^ładnym wzgl^edem nie przypomina³ brata i zawsze krytykowa³ styl ^łycia Harrisona i jego c^orki, z dezaprobat¹ odnosi³ si^e do faktu, ^łe Liane dzieli³a obawy i troski ojca, ^łe by³a przeze^ñ informowana dos³ownie o wszystkim. Uznawa³ to za wysoce b³edny spos^ob wychowywania m³odej dziewczyny. Nic zatem dziwnego, ^łe nie zachwyca³ si^e Liane, kiedy osi¹gn^e³a dojrz³o^eac^e. "Zbyt nowoczesna jak na m^oj gust" - mawia³ z nie skrywan¹ niech^eci¹. Poznawszy Armanda, te^ł nie wyra^ła³ si^e o nim pochlebnie. Uwa^ła³, ^łe jest dla Liane za stary, czemu zreszt¹ bez zahamowa^ñ da³ wyraz, gdy zace³ poc^elubi³a Armanda i przenios³a si^e z nim do Wiednia, ^łycz¹c jej szcz^eocia nie omieszka³ doda^e, ^łe bardzo si^e jej przyda. W nast^epnych latach widywali si^e z rzadka i przy tych okazjach nie zgadzali pod ^ładnym wzgl^edem, w szczeg^olno^eci co do strategii, jak¹ George narzuci³ Liniom ^leglugowym Crocketta. Firma jednak nadal prosperowa³a doskonale, a chocia^ł Liane i na t^e kwesti^e miewa³a odmienne pogl¹dy, nie mog³a nic zarzuci^e mened^łerskim talentom wuja. Interes kwit³, co ku satysfakcji Liane zapowiada³o, ^łe pewnego dnia jej c^orki odziedzicz¹ olbrzymi maj¹tek. Ale poza tym ^ładna z cech wuja nie budzi³a w niej zachwytu; by³ przem¹drza³y, apodyktyczny, staromodny i niezwykle nudny.

Tego samego ranka Liane skontaktowa³a si^e z agentem od nieruchomo^eci i um^owi³a si^e na ogl¹danie trzech dom^ow w Georgetown. Szuka³a czeg^oe niewielkiego i bezpretensjonalnego, gdzie w spokoju mog³yby przeczekaa^e wojn^e, podejmuj¹c od czasu do czasu kilku go^eci. Dni wspania³ych dyplomatycznych przyj^eac^e min^e³y bezpowrotnie, Liane jednak doskonale wiedzia³a, ^łe nie b^edzie za nimi t^esknia^e.

Wynaj^e³a drugi z ogl¹danych dom^ow i za³atwi³a wszystkie sprawy zwi¹zane z przeprowadzk¹, kt^ora mia³a nast¹pi^e za tydzie^ñ, po czym zatrudni³a s³u^łc¹, sympatyczn¹ starsz¹ Murzynk^e, kt^ora umia³a gotowa^e i bardzo lubi³a dzieci. Poczyni³a niezb^edne zakupy dla siebie i c^orek, tak ^łe wreszcie wszystkie trzy zacz^e³y wygl¹da^e jak za dawnych czas^ow. Kupi³a nawet dziewcz^etom nieco nowych zabawek, skoro nie przywioz³y ze sob¹ niemal ^ładnej spo^er^od tych, kt^ore zabra³y do Pary^ła. Cieszy³a j¹ ka^łda chwila aktywno^eci i wszystko, z czym nale^ła³o si^e upora^e w zwi¹zku z przeprowadzk¹. Pozwala³o jej to odsun¹ac^e my^eli o Nicku, przynajmniej na kilka minut, bywa³y jednak i takie

chwile, gdy wydawało się jej, że dłużej tego nie wytrzyma. Zastanawiała się, co teraz robi Nick, czy pojechał do Bostonu i odzyskał Johna. Myślała często też uciekała ku chwilom spędzonym na statku, ku dniom, które uważała teraz za najważniejsze w całym swoim życiu. Nie mogła wprost uwierzyć, że tych dni było zaledwie trzynastu. Raz za razem musiała przypominać sobie, że nie powinna myśleć o Nicku, lecz cała uwagę skoncentrować na Armandzie.

Napisała do męża, podała adres nowego domu, i dwa tygodnie po przeprowadzce otrzymała od niego pierwszy list. Był krótki - Armand wyjaśnił, że pisze go na kolanie - ale i tak pozostała część tekstu została zamazana przez niemieckich cenzorów. Mimo to Liane zdawała się zorientować, że jej mąż jest wprawdzie zapracowany, ale miewa się dobrze. Armand z kolei wyrażał nadzieję, że córki są zdrowe i doskonale się czują wśród starych przyjaciół. Prosił o przekazanie najlepszych życzeń Eleanor, z czego Liane wywnioskowała, że Armand sugeruje również, aby pozdrawiła prezydenta.

Najogólniej rzecz biorąc dla Liane i jej córek było to długie i samotne lato. Wszyscy przyjaciele wyjechali z Waszyngtonu na Cape Cod, do Maine czy gdzie indziej, Rooseveltowie jak zwykle przebywali w Campobello, tak że dopiero we wrzeczniu Liane zobaczyła znajomą twarz. Jednakże przedtem zdarzały się chwile, kiedy zaczynała dochodzić do wniosku, że zwariuje, usiłując zająć córkom czas i równocześnie odwrócić myśl od Nicka. Każdego dnia na nowo ogarniała ją pragnienie, aby mimo przysięgi milczenia, którą sobie złożyli, zadzwonić do niego lub napisać. Zamiast tego co kilka tygodni otrzymywała list od Armanda... List, który nie mówił wcale nic, ponieważ większa część była zacerniona przez faszystowskich cenzorów. Dlatego też Liane czuła się tak, jakby wraz z córkami była w próżni, i wielokrotnie zadawała sobie pytanie, jak długo jeszcze potrafi to znosić.

Wieści ze świata potęgowały w niej wrażliwość, że wyjeżdżając z Europy, przeniosła się na inną planetę: w odległości trzech tysięcy mil szalała wojna, mąż Liane mieszkał w okupowanym Paryżu, Niemcy pustoszyli stary kontynent, tu natomiast ludzie po staremu robili zakupy, jeździli samochodami, chodzili do sklepów, w czwartku waszyngtońskiej gazety ukazał się artykuł informujący, że Tiffany and Co. z Nowego Jorku, znana firma jubilerska, przeniosła się na 57 Ulicę, zmieniając po trzydziestu czterech latach miejsce swej głównej siedziby. Nowy budynek był, jak nazwali to dziennikarze, prawdziwym "cudem z klimatyzacją", która bez względu na panującą na zewnątrz temperaturę pozwalała utrzymać we wnętrzu miłą chłod. Mając do czynienia z taką sensacją na pierwszej stronie Liane doszła do wniosku, że albo oszalała świat, albo ona.

Siedemnastego sierpnia Hitler obwieścił rozpoczęcie blokady brytyjskich wód terytorialnych. Armand w liście przekazał tę informację w taki sposób, że cenzorzy niemieccy nie mieli zastrzeżeń, lecz Liane dowiedziała się o tym wcześniej skądinąd, 20 sierpnia zaczęła przeczytać w gazetach o poruszającym przemówieniu, jakie w Izbie Gmin wygłosił Churchill. Trzy dni później po raz pierwszy zbombardowano Londyn i odtąd noc w noc zrzucano na miasto grad pocisków i bomb, a londyńczycy zaczęli spędzać więcej czasu w schronach aniżeli w mieszkaniach. Kiedy dla Elisabeth i Marie-Ange rozpoczęła się rok szkolny, Anglicy, skoro walczyli domy, a każdej nocy ginęły całe rodziny, podjęli próbę ewakuowania z Londynu przynajmniej dzieci. Z Wielkiej Brytanii wyruszały do Kanady jeden po drugim statki z małymi pasażerami.

W pozostałym wrzeczniu Liane omal nie rozpadła się z ulgi, słysząc w słuchawce znajomy głos Eleanor: - Tak się ucieszysz, kiedy w Campobello

dosta³am twój list, moja droga. Cóż za upiorn¹ przeprawę mia³acę na "Deauville"!

Gawędzi³y o tym przez chwilę i rozmowa ta na nowo skierowa³a myślici Liane ku Nickowi. Po od³ożeniu s³uchawki d³ugo siedzia³a samotnie w ogrodzie, myślic o nim i wyobrażaj³c sobie, jak uk³ada mu się życie. Zastanawia³a się, jak d³ugo będzie tak odczuwa³e rozstanie, jak d³ugo będzie się jej wydawa³e, że z powodu tęsknoty w³acęciwie żyje na niby. Minę³y dwa miesi¹ce, odk¹d odprowadzi³ j¹ do poci¹gu, a przecie³ż wci¹ż mieszka³ w jej sercu. Każdy artyku³, który czyta³a, każda myśl i każde s³owo zdawa³y się w jakieś niepojęty sposób budzić w jej duszy obraz Nicka. Y³a w swoim prywatnym piekle oświadoma, że z Nickiem jest chyba bardzo podobnie. Nie ośmiela³a się jednak do niego dzwoni³; obiecali to sobie i Liane wiedzia³a, że w tym względzie musi by³e silna. I by³a, ale teraz o wiele ³atwiej ni³ż kiedyś wybuch³a p³aczem, córki za³e często stwierdza³y, że jest przesadnie wrażliwa. Yczliwa s³u¹ca wyjaśni³a im, że to z powodu nieobecności ojca i że z mam¹ znów wszystko będzie w porz¹dku, jak tylko ca³a rodzina się po³1czy. Dziewczęta zgodzi³y się z ni¹, że wszyscy będą znacznie szczęśliwsi, kiedy wojna dobiegnie wreszcie końca.

Liane nie prowadzi³a w Waszyngtonie żadnego życia towarzyskiego. Ludzie, którzy w dawnych czasach zapraszali j¹ tak ochoczo, teraz nie mieli pewności, czy powinni to czyni³; by³a kobiet¹ samotn¹, a to stwarza³o nader k³opotliw¹ sytuację. Wszyscy wprawdzie obiecywali, że umówi¹ się już zaraz, natychmiast, ale nikt się z takiej obietnicy nie wywi¹za³. Wyj¹tkiem by³a Eleanor, która w ostatnim tygodniu wręceni zaprosi³a Liane na kolację w rodzinnym gronie. Liane nie posiada³a się z radości, gdy podjechawszy taksówk¹ pod Biały Dom, ujrza³a znajom¹ bramę. Tęskni³a za sensown¹ rozmow¹ z kimkolwiek i pragnę³a us³ysze³ z ust Eleanor najnowsze wojenne wieści. Bezgranicznie delectowa³a się t¹ wizyt¹ aż do chwili, gdy po kolacji, odprowadziwszy Liane na stronę, Franklin oświadczy³:

- S³ysza³em o Armandzie, moja droga. Jest mi bardzo, bardzo przykro...

Serce w Liane niemal zamar³o. Co s³ysza³? Jak¹ informację, której jeszcze nie zna³a? Czy Niemcy w końcu spl¹drowali Paryż, czy Armand zgin¹³? Czy do Stanów dotar³a jakacę poufna wiadomość, o której ona nie mia³a pojęcia? Poblad³a ze strachu, a prezydent dotkn¹wszy jej ramienia doda³: - Rozumiem teraz, dlaczego go porzuci³acę.

- Ale³ż nie porzuci³am go... Nie w takim sensie... - Zmieszana patrzy³a na Roosevelta. - Wyjecha³am, bo Paryż znalaz³ się pod okupacj¹ i Armand uzna³, że w Stanach będzie bezpieczniejsza. Zosta³abym z nim, gdyby mi pozwoli³.

Twarz prezydenta stęła³a. - Czy zdajesz sobie sprawę, że on współpracuje z Petainem, a zatem kolaboruje z Niemcami?

- Ja... tak... Ja wiedzia³am, że zamierza zostacę w Paryżu...

- Czy rozumiesz, co to znaczy, Liane? - przerwa³ jej Roosevelt.

- Ten cz³owiek jest zdrajc¹ Francji.

Jego s³owa zabrzmia³y jak podzwonne dla Armanda i Liane poczu³a, że jest bliska ³ez. Jak mia³a broni³e mę³a? Nie mog³a przecie³ż powiedzi³e wszystkim, co wie, nawet prezydentowi. Nic nie mog³a robi³e, aby oczyścić imię mę³a. Dot¹d nie zdawa³a sobie sprawy, że te nowiny dotr¹ do Stanów. Bezradnie spojrze³a na prezydenta.

- Francja jest pod okupacj¹, panie prezydencie. To nie s¹... normalne czasy. - Jej g³os się jednak za³ama³.

- Ludzie naprawdę wierni Francji uciekli. Niektórzy przebywaj¹ teraz w Afryce Pó³nocnej. Oni te³ż zdaj¹ sobie sprawę, że ojczyzna jest pod

okupacji, ale przynajmniej nie pracuj dla Petaina. Liane, jesteś żoną faszysty! Czy możesz się z tym pogodzić?

- Jestem żoną mężczyzny, którego kocham, którego poślubiłam jedenaste lat temu - sprostowałam z godności, myślałam: "I dla którego zrezygnowałam wcale z kogoś, kto był mi bardzo drogi".

- Jesteś żoną zdrajcy.

Z głosu Roosevelta wynikało jasno, że etykietę zdrajcy przypina również Liane. Wszystko było w porządku, dopóki sidiła, że rozstała się z Armandem na dobre, skoro jednak upierała się, by trwać u jego boku, była równie winna jak on. Miała to wypisane na twarzy, Liane wyczuła to również w słowach pożegnania.

Eleanor nie zadzwoniła już do Liane, a w ciągu tygodnia w całym Waszyngtonie rozszalała się wieść, że Armand jest zdrajcą, pracuje dla Petaina i faszystów. Ogromnie wstrząsnęło to Liane, zwłaszcza że paru przyjaciół zatroszczyło się, aby jej o wszystkim donieść.

Właściwie nie wiedziała, co przeżywa bardziej - plotki o rzekomej przynależności Armanda do faszystów czy informację, że 2 października U-Booty zatopiły "Cesarzów Brytanii", angielski statek wiozący do Kanady grupę dzieci. Młodzi na wspomnienie "Królowej Wiktorii" i unoszonych na falach zwłok. Teraz w wodzie pływają ciała niewinnych dzieci.

Usiłując uporać się z depresją wywołaną biegiem wydarzeń, a także towarzyszącym jej nieustannie poczuciem utraty, Liane trwała w ciągłym koszmarze. Tonęła. Jakimś cudem przeżywała dzień za dniem, oczekując listów od Armanda i odrzucając telefoniczne propozycje wuja George'a, który ze wszystkich sił skłaniał ją do powrotu do Kalifornii. Potrzeba było zaledwie paru tygodni, aby dotarły doń plotki na temat dziedziczki fortuny Crockettów, która na fasadzie swego domu w Georgetown zawiesza faszystowski flagę.

- Zawsze ci mówię, że ten facet to jakiś! - rycza w słuchawkę wuj George.

- Nie wiesz, co mówisz, wuju.

- Diabła tam nie wiem! Nie powiedziano mi, że wcale dlatego została w Paryżu.

- Jest wierny Francji. - Zaczyna odnosić wrażenie, że powtarza puste frazesy. Tylko ona i Armand znali prawdę, której nikomu nie mogła wyjawiać. Zastanawiała się tylko, czy ta wieść dotarła również do Nicka.

- Chrzątać tak wiernie, Liane. Ten facet to faszysta.

- Nie jest faszystą. Francja została zajęta przez Niemców.

- W jej głębie pobrzmiwało bezgraniczne znużenie i Liane była bliska

śmierci.
- Dzięki Bogu, nas nikt nie okupuje. Nie zapominaj o tym zaski swojej, Liane. Jesteś Amerykanką i najwcześniejszy czas, żeby wrócić tam, gdzie twoje miejsce, do jasnej cholery. Za długo obracać się w kosmopolitycznym towarzystwie i stracić poczucie tożsamości.

- Nie, nie straciłam. Jestem żoną Armanda i proszę, żebyś zaski swojej o tym nie zapominała.

- Może pewnego dnia wróci ci zdrowy rozsądek. Czy czytałaś o wszystkich tych dzieciach, które zginęły na brytyjskim statku? Cóż, Armand jest jednym z ludzi, którzy je zabili.

Te brutalne słowa sprawiły, że Liane aż zeszywniała. Doskonale wiedziała, jak wygląda zatapianie statków.

- Nie waży się tak mówić. Nie waży się!... - rzuciła i drżąc bez

jednego s³owa wiêcej od³o³y³a s³uchawkê.

Uœwiadomi³a sobie, ζ e koszmar dopiero siê zacz¹³ i potrwa d³ugo, bardzo d³ugo. Aby jakoœ to znieœæ, co dzieñ musia³a sobie przypominaæ s³owa Nicka: "Silnych ludzi nie mo³na pokonaæ." Jednak ζ e le³c samotnie w ³ó³ku w kolejne bezsenne noce powoli przestawa³a mu wierzyæ.

Rozdzia³ dwudziesty pi¹ty

Kiedy po powrocie do domu Nick dowiedzia³ siê od s³u³l¹cej, ζ e Hillary bawi na Cape Cod, a Johnny jest wci¹ ζ w Bostonie, ze sposêpnia³¹ twarz¹ wyprowadzi³ z gara³u nie u³lywanego od roku ciemnozielonego cadillaca i pojecha³ wprost do Gloucester. Dok³adnie wiedzia³, gdzie jest Hillary - domyœli³ siê tego, a kilka dyskretnych telefonów potwierdzi³o jego przypuszczenia.

Nie zapowiedziawszy telefonicznie swojej wizyty, niczym od dawna oczekiwany goœæ przyby³ do imponuj¹cej starej posiad³oœci, pewnym krokiem wszed³ po schodach i zadzwoni³ do drzwi. By³a piêkna, czerwcowo noc, w domu najwyraŹniej odbywa³o siê przyjêcie. Drzwi otworzy³a s³u³l¹ca w czarnym czepeczku i koronkowym fartuszk. Nieco zdumia³ j¹ posêpny wyraz twarzy przybysza, który uprzejmie zapyta³, czy móg³by zobaczyæ siê z pani¹ Burnham bêd¹c¹, wed³ug jego informacji, goœciem tego domu. Ze stroju przybysza jasno wynika³o, ζ e nie ma zamiaru pozostaæ na kolacji. Wrêczy³ s³u³l¹cej swoj¹ wizytówkê, a dziewczyna zniknê³a na chwilê, po czym wróci³a wyraŹnie zdenerwowana i poprosi³a, by pod¹ ζ y³ za ni¹ do biblioteki.

Nick zasta³ tam imponuj¹c¹ pani¹ Aleksandrow¹ Markham, matkê Philipa. Gdy spojrze³a nañ przez lornion trzymany w upierœcienionej d³oni, rozpozna³ j¹ natychmiast. By³a ubrana w lodowob³êkitn¹ sukniê wieczorow¹, w kolorze niemal identycznym z barw¹ jej w³osów.

- S³ucham, m³ody cz³owieku. Czego pan sobie ζ yczy?

- Mi³o mi pani¹ widzieæ, pani Markham. Mielicemy okazjê poznaæ siê wiele lat temu. - Nick mia³ na sobie bia³e lniane spodnie, nieskazitelnie bia³¹ jedwabn¹ koszulê, pulower i muszkê. Bardzo oficjalnie uœcisn¹³ d³oñ gospodyni i przedstawi³ siê: - Jestem Nicholas Burnham. - Pod warstw¹ pudru wyraŹnie poblada³a, ale jej wzrok niczego nie zdradzi³. - Wiadomo mi, ζ e moja ζ ona spêdza tu weekend. To bardzo uprzejme z pani strony, ζ e zechcia³a j¹ tu pani goœciaæ - rzek³ z uœmiechem. Twardo patrzyli sobie w oczy, œwiadomi subtelnoœci sytuacji. Nick by³ zdecydowany toczyæ tê grê do koñca, zreszt¹ na korzyœæ starszej pani. - Wróci³em wreszcie z Europy, nieco póŹniej ni³ planowa³em. \bar{m} ona o tym nie wie, uzna³em zatem, ζ e przyjadê i sprawiê jej drobn¹ niespodziankê. - I aby dowieœæ, ζ e nie jest z³oœliwy, doda³: - Chcia³bym zabraæ j¹ jeszcze dzie do Bostonu, do syna. Nie widzia³em go od wrzecenia, kiedy zaokrêtowa³em ich na "Aquitaine".

Starsza pani bez s³owa patrzy³a nañ uwa³nie. Przez chwilê w bibliotece panowa³a absolutna cisza.

- Nie przypuszczam, aby pañska ζ ona przebywa³a u nas, panie Burnham. - Siedzia³a z wdziêkiem i absolutnie spokojnie, przy czym jej wyprostowane plecy nawet przez chwilê nie dotknê³y oparcia krzes³a, a lornion ani drgn¹³ w d³oni.

- Rozumiem. Byæ mo³e zatem pani kuzynka by³a w b³êdzie. Zadzwoni³em do niej, zanim tu przyjecha³em. - Wiedzia³, jak blisko s¹ ze sob¹ te dwie

kobiety; by³y ma³onkami dwóch braci. - Wspomnia³a, że widzia³a tu Hillary w czasie ostatniego weekendu, a ponieważ ona nie wróci³a od tego czasu do domu, wysnu³em wnioski, że wci³e u pañstwa przebywa.

- Naprawdê nie wiem, jak... - Zanim zdo³a³a dokoñczyæ zdanie, do biblioteki wpad³ jej syn.

- Mamo, rany boskie, nie musisz... - urwa³, ale by³o za póŹno.

Zamierza³ jej powiedzieæ, że nie ma potrzeby zawracaæ sobie g³owy Nickiem Burnhamem. Nick odwróci³ siê i spojrze³ Philipowi w oczy.

- Czeææ, Markham. - Po chwili absolutnej ciszy doda³: - Przyjecha³em zabraæ Hillary.

- Nie ma jej tu. - Markham powiedzia³ to z wyraŹnym szyderstwem w g³osie, a jego oczy zalœni³y kpi³co.

- Tak w³aczenie twierdzi twoja matka.

W koñcu k³am twierdzeniom obojga Markhamów zada³a sama Hillary, która nagle pojawi³a siê w drzwiach biblioteki, ubrana w z³oto-bia³¹ sukniê wieczorow¹ z hinduskiej materii, cieniutkiej jak pajêczyna. Z zaczesanymi do ty³u ciemnymi w³osami, mocn¹ opalenizn¹, mrowiem brylantów w uszach i na szyi przyci³ga³a wszystkie spojrzenia. Stanê³a zaskoczona i spojrze³a przeci³gle na Nicka.

- A wiêc to jednak ty. Myœla³am, że to kiepski dowcip. - Nie uczyni³a najmniejszego ruchu, z którego mog³oby wynikaæ, że zamierza do niego podejœæ.

- Bardzo kiepski dowcip, moja droga. Albowiem najwyraŹniej ciê tu nie ma.

Hillary spojrze³a kolejno na Philipa i jego matkê, po czym wzruszy³a ramionami.

- Mimo wszystko dziêkujê wam, ale to bez znaczenia. Owszem, jestem tutaj, i co z tego? Rzecz w tym, po co ty tu przyjecha³eœ?

- Aby zabraæ ciê do domu. Ale najpierw pojedziemy po Johna.

Nie widzia³em go od dziesiêciu miesiêcy, a mo¿e ju¿ o tym zapomni³aœ?

- Nie, nie zapomni³am. - Jej oczy lœni³y równie mocno jak kolczyki w uszach.

- A kiedy ty widzia³aœ go po raz ostatni? - Wpi³ w ni¹ p³on¹ce spojrzenie.

- W zesz³ym tygodniu - odpar³a beznamiêtnie.

- Jestem pod wra¿eniem. Teraz b¹dŹ³askawa spakowaæ swoje rzeczy i pozostawmy tych mi³ych ludzi ich rozrywkom. - Mówi³ g³adkim, spokojnym tonem, by³o jednak oczywiste, że od wybuchu dzieli go zaledwie krok.

- Nie mo¿esz ot, tak zabraæ jej z tego domu. - Philip Markham post¹pi³ krok naprzód, ale spojrzenie Nicka zatrzyma³o go w miejscu.

- Jest moj¹ on¹.

Starsza pani obserwowa³a zajœcie bez s³owa, Hillary potrafi³a zreszt¹ sama zabraæ g³os w swojej sprawie.

- Nigdzie nie jadê.

- Pozwól sobie przypomnieæ, że nadal jesteœ mê¿atk¹. A mo¿e w czasie mojej nieobecnoœci z³o¿y³aœ pozew o rozwód?

Zauwa¿y³, że Hillary i Philip wymieniaj¹ krótkie spojrzenie. Nie z³o¿y³a pozwu, ale zamierza³a to uczyniæ, a nag³e przybycie Nicka mog³o opóŹniæ realizacjê ich planów. Byli w³aciwie gotowi og³osiæ swoje zarêczyny. Pani Markham nie by³a tym zbyt uszczêliwiona. Zna³a reputacjê Hillary i nie darzy³a jej choæby cieniem sympatii. Powiedzia³a to zreszt¹ Philipowi. Ta dziewczyna by³a gorsza od wszystkich jego poprzednich on i mog³a go kosztowaæ maj¹tek.

- Zada³em ci pytanie, Hillary. Czy z³o¿y³a³e pozew o rozw³d - powt³rzy³ Nick.

- Nie, nie z³o¿y³am. - Pochwyci³ w jej g³osie dawny wyzywaj¹cy ton. - Ale zamierzam to zrobiæ.

- Interesuj¹ca wiadomoœæ. Na jakiej podstawie?

Pos³a³a mu w³ciek³e spojrzenie. - Porzucenie oczywiêcie. Mia³eœ wróciæ na œwiêta, a potem w kwietniu.

- Przez ca³y ten czas, moje biedne kochanie, ty usycha³a³e z têsknoty za mn¹. Zabawne, ¿e nigdy nie otrzyma³em odpowiedzi na liczne listy i depesze.

- Nie s³dzi³am, ¿e mo¿e dotrzeæ do ciebie poczta... skoro jest wojna i w og³ole... - jej g³os siê za³ama³, a Nick wybuchn¹³ œmiechem.

- C³¿, jestem w domu, wiêc to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia. Zabieraj swoje rzeczy i wyje¿d¿amy. Jestem pewien, ¿e pani Markham ma ju¿ zupe³nie dosyæ naszego towarzystwa. - Zerkn¹³ na starsz¹ pani¹ i po raz pierwszy dostrzeg³, ¿e siê uœmiecha.

- W gruncie rzeczy jestem rozbawiona. To wszystko przypomina angielsk¹ sztukê, tyle ¿e jest ciekawsze, bo prawdziwe.

- Jak najprawdziwsze - uœmiechn¹³ siê ciep³o Nick i zwróci³ siê do ¿ony:

- Dla twojej informacji podajê, ¿e sprawy, które zatrzyma³y mnie we Francji tak d³ugo, by³y zwi¹zane z obronnoœci¹ naszego kraju. Powa¿ne kontrakty o niebagatelnym znaczeniu na wypadek, gdyby Niemcy mieli nam bezpoœrednio zagroziæ. By³oby ci bardzo trudno przekonaæ s³d, ¿e zosta³a³e porzucona. S³dzê, ¿e opowiedziano by siê raczej po stronie powodów, dla których pozostawa³em poza krajem tak d³ugo.

S³owa Nicka wprawi³y Hillary we w³ciek³oœæ, a i Markham nie wygl¹da³ na zachwyconego. - S³dzi³am, ¿e handlujesz z Niemcami. Tak by³o przecie¿ w zesz³ym roku.

- Ponios³em wprawdzie znaczne straty, ale zerwa³em wszystkie umowy z Rzesz¹, z czego prezydent by³ bardzo zadowolony, kiedy go o tym powiadomi³em - wyjaœni³ Nick, nie wspominaj¹c o pomocy dla Polski, która równie¿ uradowa³a prezydenta. - A zatem szach, przyjaciele - uœmiechn¹³ siê do obecnych. - Porzucenie wam odpada, a na zdradê ma³¿eñsk¹ nie macie dowodów. - Mówi¹c to, si³¹ wyrzuci³ z myœli wizerunek Liane, chocia¿ wspomina³ j¹ nieustannie, odk¹d rozstali siê na nowojorskim dworcu. - Obawiam siê w zwi¹zku z tym, ¿e wci¹¿ pozostajemy ma³¿eñstwem, które w dodatku ma syna czekaj¹cego na rodziców w Bostonie. ChodŸmy, zabawa skoñczona.

Przez d³u¿sz¹ chwilê stali we trójkê bez s³owa, a¿ wreszcie pani Markham uzna³a za stosowne w³czyæ siê w przedstawienie.

- Moja droga, idŸ po swoje rzeczy, proszê. Jak mówi ten pan, zabawa skoñczona.

Hillary z wyrazem ca³kowitego zniechêcenia na twarzy popatrzy³a najpierw na pani¹ Markham, p³yniej na Philipa, wreszcie na Nicka.

- Nie mo¿esz tego zrobiæ, do jasnej cholery. Nie mo¿esz znikae prawie na rok, a potem oczekiwae, ¿e dam siê odebraæ jak mebel pozostawiony w przechowalni...

Zamachnê³a siê rêk¹ na Nicka, lecz zd¹¿y³ przytrzymaæ jej d³oñ, mówi¹c pogodnym niewzruszonym g³osem:

- Nie tu, Hillary, nie wypada.

Na takie dictum wypad³a z pokoju jak burza i dwadzieœcia minut p³yniej powróci³a z dwiema du¿ymi torbami, swoj¹ s³u¿¹c¹ i francuskim pudlem. Philip wyszed³ za ni¹ z pokoju, pani Markham natomiast poprosi³a Nicka,

żeby w czasie ich nieobecności usiadł i napił się czegoś. Obydwoje nalali sobie podwójnego bourbona i Nick przeprosił gospodynię, i zatrzymuje ją z dala od gości:

- Drobiazg. Właściwie... - ucieszył się - sprawi mi to satysfakcję. Wyświadcz mi pan wielką przysługę. Bardzo niepokoiłam się o Philipa. - Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, wpatrując się w swoje szklanki, wreszcie pani Markham znów spojrzała na Nicka. Doszła do wniosku, że darzy go sympatią. Miała charakter i nie mogła go nie podziwiać za sposób, w jaki radzi sobie z tą latawicą, którą pocelubił. - Proszę powiedzieć, Nick... mógłbyś mówić do ciebie Nick?

- Oczywiście.
- Jakim cudem udało się uwikłać w to małżeństwo?
- Obędnie się w niej zakochałem, kiedy miała dziewiętnaście lat - wyjaśnił i westchnął na wspomnienie Liane. - Była wtedy bardzo piękna.
- Nadal jest piękna. Ale to niebezpieczna kobieta. Właściwie nie - zachnęła się. - To nie kobieta. To dziewczyna... Raczej zepsute dziecko. - Pochwyciła spojrzenie Nicka. - Zniszczy mojego syna, jeżeli dostanie go w swoje ręce.
- Obawiam się, że zniszczy mojego. - Nick powiedział to bardzo cicho, a pani Markham skinęła głową, jak gdyby jakaś myśl sprawiała jej satysfakcję.
- Nie pozwolisz jej na to. Pamiętaj, nie daj się zniszczyć. Potrzebujesz zupełnie innej kobiety...

Spędzili dwa kwadransy na bardzo dziwnej rozmowie. Na myśl o Liane Nick nie mógł powstrzymać ucieszenia. Była w istocie kobietą zupełnie odmiennego rodzaju. Niemal wyznała pani Markham, że już właściwie dla siebie kobietę znalazł... i zaraz ją stracił, lecz akurat wróciła Hillary z bagażami, siostrą i Philipem. Nick podziękował pani Markham za uroczą rozmowę, Hillary zaś pożegnała gospodynię i jej syna, posyłając przy tym mężowi kolejne wściekłe spojrzenie:

- Tylko sobie nie myśl, że ci się udało. Po prostu nie chciała urządzić sceny w czasie ich przyjęcia.

- Ach, jakież piękne nowe oblicze. Jakież okazała troskę! - Ucisnął dłoń pani Markham, skinął głową jej synowi, a następnie ujął Hillary pod ramię i wyprowadził z pokoju. Lokaj niosł za nimi bagaże. Kilka chwil później usadowili się w samochodzie, Nick przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszyli do Bostonu.

- Tylko pamiętaj, nie ujdzie ci to pazurem. - Siedziała wtulona w kąt, jak najdalej od Nicka. Jej pies, ciężko ziewający w nagrzanym samochodzie, miał pazurki pomalowane tym samym lakierem, którego używała jego pani.

- Tobie też nie. - Czarujcy, starannie modulowany głos, którym Nick konwersowała z panią Markham, brzmiał teraz nieco inaczej. - I im wcześniej wbijesz to sobie do głowy, Hillary, tym lepiej będzie dla nas wszystkich.

Wyjechawszy z terenu posiadłości Markhamów, Nick zatrzymał wóz na poboczu i spojrzał na żonę wzrokiem mówiącym jasno, że nie zniesie z jej strony żadnych wyskoków.

- Jesteśmy małżeństwem i mamy syna, którego haniebnie zaniedbujesz - przypomina. - Ale nie przestaniemy być małżeństwem. I od tej chwili albo zaczniesz się przywoić zachowywać, albo przy ludziach będzie cię przywoływać do porządku.

- Ty mi grozisz?! - wrzasnęła.

- Dokładnie tak. Porzucił naszego syna na rok, przynajmniej tak sąsiadzi mówią. Ale to się nigdy nie powtórzy, rozumiesz?! Teraz dla odmiany

będziesz siedzieć w domu jako przykadna matka. A jeżeli tak szalenie kochacie się z Markhamem, to świetnie. Za dziewięć lat, jak Johnny osiągnie pełnoletniość, będziesz mogła sobie, do cholery, robić, co ci się żywnie spodoba. Dam ci rozwód. Zafunduję wam nawet wesele. Tymczasem jednak, moja droga, sprawy stoją tak, a nie inaczej. - Zniżył głos. - Przez dziewięć najbliższych lat, czy ci się to podoba, czy nie, będziesz nadal pani Nicholasów Burnham.

Te słowa zabrzmiały jak wyrok śmierci i Hillary wybuchnęła płaczem.

Kiedy dotarli do domu matki Hillary, Nick wysiadł z auta. Nie patrzył nawet na żonę, zadzwonił do drzwi i wpadł do ośrodka, jak tylko je otworzyło. Johnny, ubrany w piżamę, był już w swojej sypialni; dopóki z radosnym okrzykiem nie przypadł do ojca, sprawiając wrażenie najbardziej nieszczeniwego dziecka na świecie.

- Tatusiu, tatusiu... wróćcie... A mamusia mówiła, że już nigdy nie wrócisz.

- Tak mówiła? - Nick ze zgrozą popatrzył na syna.

- Powiedziała, że bardziej ci się podoba w Paryżu.

- I ty w to uwierzyłeś? - Nick usiadł na łóżku. W oczach jego teściowej, obserwującej tę scenę z korytarza, pojawił się żal.

- Wściekniecie nie - szeptem odpowiedział matce. - A przynajmniej nie wierzyłem, kiedy czytałem twoje listy.

- Czuję się bez ciebie taki samotny, tygrysie. Co wieczór chciało mi się płakać. Nigdy nie myślałem, że mógłbym gdziekolwiek być szczęśliwy bez ciebie. Ale już więcej cię nie opuszczę. Nigdy.

- Obiecujesz? - Teraz żył zaskliżył się również w oczach Johna i Nicka.

- Przysięgam. Przybij piłtkę - rzekł wyciągając dłoń.

- To znaczy, że niedługo będę mógł wrócić do domu?

- A ile czasu zajmie ci pakowanie?

Twarzyczka Johna zapłonęła radością. - Chcesz powiedzieć, że mogę jechać już teraz? Do naszego domu w Nowym Jorku?

- To wcale nie chciałem powiedzieć. - Przeprasza ją co popatrzył przez ramię na teściową. - Przykro mi, że ci to robię, ale nie przeżyłbym bez niego ani dnia więcej.

- Ani on bez ciebie - odparła ze smutkiem. - Robiliśmy co w naszej mocy, ale... - rozplakała się na dobre i Nick otoczył ją ramieniem.

- W porządku, rozumiem. Wszystko będzie dobrze.

Uśmiechnęła się przez żył i podniosła wzrok.

- Tak bardzo niepokoiłem się o ciebie, a kiedy Paryż się poddał, myśleliśmy, że wpadacie w ręce Niemców. - Westchnęła ciężko i wytarła nos. - Kiedy wrócicie?

- Dzień rano. Na "Deauville".

- Na tym statku, który ratował rozbitków? - Skinął głową.

- Och, mój Boże...

Johnny, który usłyszał kilka słów z rozmowy, zaczął nalegać, aby ojciec opowiedział o wszystkim. Nick walczył w myślach, czy nie powiedzieć, że spotkał na statku córkę de Villiersów, ale uznał, że nie powinien tego robić. Nie chciał, by jakiegokolwiek informacji na ten temat dotarły do Hillary.

Opuścili dom pół godziny później pośród śniegu i obietnic, że będzie z babcią do siebie dzwonić i pisać. Johnny był tak uszczęśliwiony, że kiedy z psem w ramionach pakował się do auta, ledwie obejrzał się za babką, która doskonale rozumiała, iż powrót do rodzinnego domu jest dla malca najlepszym

rozwi¹zaniem.

W samochodzie Johna czeka³a jeszcze jedna niespodzianka - zobaczy³ matkê.

- Co tu robisz, mamo? - zdziwi³ siê. - Mia³acê byæ w Gloucester.

- By³am, ale twój ojciec mnie stamt¹d zabra³.

- Ale mówi³acê, ¿e bêdziesz tam trzy tygodnie... - zacz¹³ John,

zauwa³wszy jednak, ¿e matka siê zmiesza³a, szybko zmieni³ temat.

- Czemu nie wesz³acê do domu przywitacê siê z babci¹?

- Nie chcia³am zostawiacê psa samego w samochodzie, bo w nowym miejscu staje siê nerwowy.

To wyjacenie zadowoli³o chyba Johnny'ego. Nick zauwa³ly, ¿e jego syn przywita³ siê z matk¹ zaledwie krótkim poca³unkiem. Ch³opiec zas¹³ na d³ugo przedtem, zanim dotarli do Nowego Jorku, Nick zatem zaniós³ go na górê, u³o³ly i na oczach zdumionej s³u¹cej otuli³ ko³dr¹. Rzeczywicie wrócili do domu, i to wszyscy.

Tej nocy Nick przechadza³ siê po pokojach, aciera³ d³oni¹ grube warstwy kurzu i rozgl¹da³ siê dooko³a, na nowo przywykaj¹c do starych k¹tów.

Hillary znalaz³a go w gabinecie, gdzie siedz¹c w ciszy, patrzy³ przez okno na niebo nad Nowym Jorkiem i jasny letni ksiê¹yc. By³ tak zatopiony w rozmyśleniach, ¿e nie zauwa³ly nawet jej wejścia. Patrzy³a na mêt¹czyznê, który kilka godzin wcześniej porwa³ j¹ od Philipa Markhama, i nie potrafi³a mieæ do niego najmniejszych bodaj pretensji. By³ dla niej cz³owiekiem zupe³nie obcym. Prawie nie pamiêta³a, co oznacza zwi¹zek ma³¿eñski z tym mêt¹czyzn¹. Wydawa³o siê, ¿e minê³y stulecia, odk¹d siê ze sob¹ kochali. I wiedzia³a te¿, ¿e nie bêd¹ siê kochaæ ju¿ nigdy. Nie przejmowa³a siê tym zreszt¹ wcale. Pamiêta³a dok³adnie, co powiedzia³ jej w aucie, kiedy jechali po Johna. Jeszcze dziewiêæ lat. Dziewiêæ... Mimowolnie powtórzy³a na g³os te s³owa, a wtedy Nick odwróci³ siê i popatrzy³ na ni¹.

- Dlaczego b³kasza³ siê po nocy?

- Jest tak gor¹co, ¿e nie mogê spaæ.

Skin¹³ g³ow¹. Niewiele ju¿ mia³ jej do powiedzenia. Gdyby sta³a tu Liane, móg³by przegadaæ z ni¹ ca³ noc.

- Johnny siê chyba nie obudzi³, prawda?

Pokrêci³a g³ow¹. - Tylko on ciê obchodzi?

- Owszem. Ale przecie¿ nie zawsze tak by³o i pod pewnym wzglêdem ty tak¿e nadal mnie obchodzisz. - Obchodzi³a go o tyle, o ile dotyczy³o to ich syna.

Zmiana zakresu by³a ogromna, z czego oboje doskonale zdawali sobie sprawê.

- Dlaczego chcesz, ¿ebyemy dalej byli ma³¿eñstwem? - spyta³a, siadaj¹c po ciemku na krzesele.

- Dla dobra Johna. Potrzebuje i jeszcze d³ugo bêdzie potrzebowa³ nas obojga.

- Przez dziewiêæ lat.

- Nie zamierzam siê nad tob¹ pastwiaæ, Hil, dopóki bêdziesz zachowywacê siê przyzwoicie. - Chêtnie by j¹ zapyta³, jak mog³a opuścić syna niemal na ca³y rok. Z bólem myœla³, jak bardzo samotne w owym czasie by³o ich dziecko. I jak samotny by³ on we Francji.

- Czy nie pragniesz dla siebie czegocê wiêcej, Nick? - Stanowi³ dla niej zagadkê. Nie chcia³a z nim byæ, oboje o tym wiedzieli i niczego nie musieli ju¿ ukrywacê. Wci¹¿ nie mog³a uwierzyæ, ¿e zmusi³ j¹ do powrotu, Nick by³ jednak silnym mêt¹czyzn¹. Zbyt silnym, by mog³a podj¹æ z nim równ¹ walkê. Po czêœci w³acenie dlatego czasami tak bardzo go nienawidzi³a.

Popatrzy³ na ni¹, zadaj¹c sobie niemal dok³adnie te same pytania.

- Tak, chcê dla siebie czegocê wiêcej. Ale jeszcze nie nadszed³ na to

czas.

- Może po prostu dotąd nie spotka odpowiedniej kobiety.

Nick nie odpowiedział, toteż przez chwilę Hillary zastanawiała się, czy... Ale nie, to nie leżało w jego charakterze. Wiedziała, że był jej wierny, co nie miało zresztą dla niej żadnego znaczenia, a w gruncie rzeczy nawet ją irytowało.

- Może nie - odrzekł wreszcie i wstał z gębokim westchnieniem. - Dobrej nocy, Hil.

Zostawił ją samą w ciemnościach i poszedł na górę, do pokoju gościnnego, gdzie zanieśono jego rzeczy. Już nigdy nie będzie dzielił ze sobą, bo to zresztą oczywiste od chwili, kiedy na "Normandie" wyprowadził się do osobnego pokoju. Czasy wspólnej sypialni bezpowrotnie minęły.

Tego lata wynajął dom w Marblehead i w sierpniu wziął urlop, aby spędzić go z Johnnym. Hillary pojawia się tam i znika. Wiedziała, że wciąż romansuje z Philipem Markhamem, lecz niewiele go to obchodziło. Była teraz dużo bardziej dyskretna, a zorientowany się, że Nick nie zamierza jej w niczym przeszkadzać, zaczęła zachowywać się w jego towarzystwie nieco uprzejmiej. W jakimś niepojętym sposób Nick wyczuwał, że Philip Markham dobrze na nią wpływał. Byli do siebie niebywale podobni i zastanawiała się, czy to nie Markhamowi zawdzięcza poprawę jej zachowania.

Akcja ratunkowa, godziny przegadane z Liane, chwile wielkiej miłości w maleńkiej kabinie - to wszystko wydawało się teraz odległym snem. Ilekroć spoglądał na syna, pojmował wyraziście, że Liane postąpiła szlachetnie, dając mu wolność, chociaż oboje zapłacili za swoją miłość tak wysoką cenę. Często zastanawiała się, czyby do niej nie zadzwonił i nie zapytał, jak się miewa, powiedzie, jak bardzo wciąż ją kocha i że będzie ją kochał zawsze... Nie miała przy tym wątpliwości, że wyświadczą im, aby ją dotknąć, choćby na sekundę, byłoby okrucieństwem.

Dopiero jesienią posunął się tak daleko, że pewnego wieczoru sięgnął po szaławkę. Hillary wyjechała na kilka dni, Johnny spał i Nick przez wiele godzin siedział sam w salonie, wspominając dźwięk głosu Liane, miękkość jej skóry, słodkie pocałunków... Pojmował, że nigdy o niej nie zapomni, mimo to powoli odłożył szaławkę, po czym wyszedł z domu na długi spacer.

Była chłodna, wietrzna wrzesniowa noc. Nick był pewien, że się ucieknie usłyszy Johna, jeżeli się obudzi, nie spieszy się więc do domu i przez kilka godzin wędrował ulicami Nowego Jorku. Nie spał jeszcze, gdy o drugiej nad ranem zjawiła się Hillary i usłyszał trzask zamykanych drzwi jej sypialni. Aż za dobrze pamiętał dni, kiedy coś takiego doprowadzało go do szału. Teraz było mu to obojętne. Teraz do szaleństwa doprowadzało go brak Liane.

Rozdział dwudziesty szósty

Gdy w roku 1940 pod przewodnictwem Petaina utworzono rząd w Vichy, Armand de Villiers znalazł w nim wysoką pozycję. Odtąd jego rzekoma zdrada wobec dawnej Francji nie stanowiła już dla nikogo tajemnicy. Liane przywykła do tego, że ludzie jej unikają, że w Waszyngtonie stała się pariasem.

Przestała w końcu czekać, aż zadzwoni telefon, aż skądkolwiek pojawi się zaproszenie. Przez wiele dni po prostu siedziała w domu, czekając na powrót dziewczynek ze szkoły. Pod niejednym względem przypominało to dni spędzone

w Paryżu po wypowiedzeniu wojny, gdy Armand do póŹna przesiadywa³ w biurze. Ale wtedy wiedzia³a przynajmniej, Źe wczesniej czy póŹniej, lecz na pewno siê pojawi. Teraz tylko Bóg wiedzia³, kiedy spotkaj¹ siê ponownie. Czasami siê zastanawia³a, czy nie post¹pi³a Źle oœwiadczej¹c Nickowi, Źe ich zwi¹zek nie moŹe d³uŹej trwaæ. JakaŹ wynik³aby z tego szkoda? Komu wyrz¹dziliby krzywdê? Kto by siê dowiedzia³?... No cõŹ, wiedzia³aby ona, po pewnym czasie pewno równieŹ jej córki. Kiedyœ moŹe Armand. Post¹pi³a zatem s³usznie, mimo to gdy myœla³a o Nicku, owa s³uszn³a decyzja nape³nia³a j¹ gorycz¹. Przez cztery miesi¹ce cierpia³a na wspomnienie owych trzynastu cudownych dni na statku, który zygzakowatym kursem zd¹Źa³ do Ameryki.

Listy Armanda by³y teraz rzadkie, lakoniczne i czêsto nie podpisane. Wychodzi³y z Francji tajnymi konspiracyjnymi drogami, dociera³y do Londynu lub jakiegocœ brytyjskiego portu i wêdrowa³y dalej do Stanów frachtowcami, okrêtami wojennymi b¹d¹Ź czymkolwiek, co p³ynê³o w³acenie w tamtym kierunku. Miêdzy jednym a drugim listem up³ywa³o niekiedy sporo czasu i Liane zastanawia³a siê wtedy, czy to ginêli pos³añcy, czy teŹ tonê³y statki. Trudno by³o na te pytania znaleŹæ odpowiedzi, Liane wszakŹe czu³a, Źe nad g³ow¹ Armanda wisi nieustannie niebezpieczeñstwo. Zajmowa³ teraz tak eksponowane stanowisko, Źe gdyby jego podwõjna gra wysz³a na jaw, natychmiast by go rozstrzelano.

"Jesteœmy teraz bardzo zapracowani, najdroŹsza - pisa³. - Próbujemy ratowaæ nie tylko Źycie ludziom, ale takŹe skarby, które chy³kiem wydostajemy z Luwru i ukrywamy po stodo³ach, chlewach, stajniach i stogach siana w ca³ej Francji. Bêdziemy moŹe potrzebowaæ wielu lat, aby je póŹniej odnaleŹæ, pokryte sianem i gês³im ³ajnem, lecz kaŹde w ten sposób ukryte arcydzie³o to jedno mniej, które mog¹ nam zrabowaæ... Nawet jeden maleñki element historii, zatrzymany w naszych rêkach, jest kolejnym zwyciêstwem... To samo moŹna zreszt¹ powiedzieæ o ludziach, którzy zdo³ali znikn¹æ, zanim pozbawiono ich Źycia. Œwiadomoœæ, Źe robimy to wszystko, Źe moŹna ocaliaæ chociaŹby jednego cz³owieka, pozwala mi znieœæ brak Twojego czu³ego dotkniêcia, Twojej mi³oœci, Twojego ucœmiechu..."

Te listy rozdziera³y jej serce i sk³ania³y do rozmyœlañ, czy to, co robi Armand, jest warte ponoszonego ryzyka. Jeden obraz, jeden pos¹g, jeden wycinek historii... i to byæ moŹe za cenê jego Źycia... Czy Armand naprawdê myœli, Źe gra jest warta œwieczki? A przy tym wyczuwa³a w jego listach tê sam¹ pe³n¹ poœwiêcenia pasjê, któr¹ zawsze okazywa³ Francji. Ojczyzna by³a dla niego pierwsz¹ mi³oœci¹. Mi³oœci¹ wiêksz¹ nad wszystkie inne. Dobrze jej s³uŹy³ w rozmaitych miejscach globu, a teraz usi³owa³ ocaliaæ j¹ przed tymi, którzy wykrwawion¹, martw¹ i wycieniê¹ na wiór, chcieliby porzuciæ w przydroŹnym rowie.

Liane zawsze by³a pe³na podziwu dla zasad stoj¹cych za decyzjami Armanda, a przecieŹ teraz, gdy zaczê³a dostrzegaæ, Źe koleŹanki unikaj¹ jej córek, znów postawi³a znak zapytania nad sensem jego poczynañ. By³oby lepiej, gdyby wyjecha³ do Afryki Põ³nocnej albo z de Gaulle'em do Londynu. Tam móg³by walczyæ, tam z otwart¹ przy³bic¹ stan¹³by w szeregach oddzia³ów Wolnej Francji, zamiast w kraju bez Źadnej dla siebie chwa³y sabotowaæ faszystów przy kaŹdej okazji udaj¹c, Źe stoi pod sztandarem Petaina. Zdawa³a sobie sprawê, iŹ wykonuje zadania znacznie waŹniejsze niŹ ratowanie dziedzictwa kulturowego Francji, skoro jednak - podobnie jak przed upadkiem ParyŹa - jego usta zamyka pieczêæ milczenia, silniejsza nawet tym razem, skoro kaŹde jej naruszenie naraŹa na niebezpieczeñstwo Źycie wielu ludzi, ona nie jest w stanie oceniaæ jego prawdziwej udrêki, prawdziwych

niebezpieczeństw, którym stawia czołowo.

Armand w swoim gabinecie w Paryżu, ozdobionym wiszącą na łańcuchach flagami ze swastykami, wspomina dotyk dłoni Liane, jej twarz, słoneczną pogodę jej gósu. Wspomina, jak wyglądała mając dziewiętnaście czy dwadzieścia lat... Potem najwyższym wysiłkiem woli usuwa jej wizerunek z myśli i wraca do pracy. Od wyjazdu Liane wychudła na szczerbę - z przepracowania, z braku snu, z nieustannego napięcia. Wyjawszy nerwowy tik, który porusza czasem jednym jego okiem, zawsze wyglądała na człowieka charakteryzującego się kamiennym spokojem. Sprawia wrażenie, że wierzy w politykę Vichy, i niewzruszenie d'Ywiga ciężył na jego barki. Jedynym powodem obaw Armanda była świadomość, że czas nie jest jego sprzymierzeńcem. W ciągu dwóch minionych lat postarza się o piętnaście; lustro nie usłowało go nawet okłamać. Zbliżyła się jego pięćdziesiąte ósme urodziny, a czuł się tak, jakby dobiegał setki. Pocięszającą była tylko świadomość, że gdyby umarł przysięgłszy się Francji, oszczędziłby z honorem. Mia przy tym całkownie pewność, że Liane także o tym wie. Raz czy dwa poruszył ten temat w swoich listach: "Si je meurs pour ma patrie, mon amour, je mourrai en paix. - Jeżeli umrę za ojczyznę, umrę w spokoju." Ale słowa takie lub podobne sprawiały tylko, że d'oni Liane zaczynały drżeć. Utraty Armanda nie mogła sobie wyobrazić.

Niektóre listy jednak przynosiły anegdoty, relacje z zabawnych, a czasem wręcz groteskowych przygód towarzysza Armanda z Resistance. Czasem myślała z niedowierzaniem o tych relacjonowanych przez Armanda poczynaniach francuskiego Ruchu Oporu. Myślała z niedowierzaniem, że tak rzadko faszyci trafiają na trop bojowników, ale "rzadko" wcale nie oznaczało, iż gra jest bezpieczna. Ryzyko towarzyszyło Armandowi zawsze, znacznie częściej, niż s'dziła Liane.

W listopadzie miała miejsce wydarzenie, które omal nie kosztowało go życia. Dostarcza wówczas sporządzone przez siebie odręcznie kopie ważnych dokumentów. Mia je przyklejone plastrem do piersi, kiedy przy wyjściu z miasta został zatrzymany przez policję. Wyjaśnił, że udaje się z wizytą do przyjaciela, i oczywiście wylegitymował się dokumentami dowodzącymi, że jest bliskim współpracownikiem Petaina. Niemieccy funkcjonariusze po chwili namysłu pozwolili mu jechać dalej. Dokumenty trafiły do właściwych r'ek, ale kiedy tej nocy Armand powrócił do domu, był niemal obezwładniony zmęczeniem i świadomością, że tym razem wprowadzi się udłowo, ale następny raz może być ostatnim. Kiedy jednak spojrzął na pustą stronę ołża, które niegdyś dzielił z Liane, pozbył się wszelkich wątpliwości. Nigdy ich zresztą nie miało. "Ca vaut la peine, Liane... ca vaut bien la peine... pour nous, pour la France" - powiedziała na głos. To warte trudu... naprawdę warte trudu... dla nas... dla Francji...

Takiego poglądu wszakże Liane nie podzieliła, aby tego pi'tkowego popołudnia w swoim domu w Georgetown. Dziewczynki już przed półgodziną powinny być wrócić ze szkoły, toteż Liane co chwilę niespokojnie zerkała na zegarek. Pokojówka Martha powtarzała jej, że nie należy się martwić, lecz myślała się, co stwierdziła Liane ujrawszy w końcu dziewczęta. Stała na schodkach prowadzących do drzwi, w potarganych ubraniach, umazane czerwonymi farbami i udręczone. Liane słowo nie mogła wykrztusić, prowadząc je do ośrodka. Zapakowana Elisabeth dręcała od stóp do głów, ale we wzroście jej siostry, Marie-Ange, było coś więcej niż tylko rozpacz - była wściekłość.

- Dobry Boże... co się stało?

Zamierza³a je zaprowadziæ do kuchni, gdzie mog³aby œci¹gn¹æ z nich podarte ubrania, lecz zobaczywszy plecy Marie-Ange, zamar³a, jak gdyby wymierzono jej potê²ny policzek: ujrza³a wymalowan¹ grubymi czerwonymi krechami swastykê. Bez s³owa odwróci³a Elisabeth - na jej plecach widnia³o identyczne malowid³o. Rozpaczliwie przygarnê³a do siebie córki i p³acz¹c tuli³a je na oczach Marthy, po której czarnych pomarszczonych policzkach sp³ywa³y strumienie ³ez.

- Och, moje maleñstwa... Co oni wam zrobili? - Martha delikatnie uwolni³a je z objêæ matki i zaczê³a rozbieraæ. Dziewczynki zanosi³y siê ³kaniem, Liane zae z ca³ych si³ stara³a siê, odzyskaæ równowagê. P³aka³a nie tylko z ich powodu, ale te² nad sob¹, nad Francj¹, nad Armandem i okropieñstwami, przez które wszyscy musieli przechodziæ. Znalaz³a siê w punkcie, sk¹d nie by³o odwrotu, wiedz¹c zarazem, i² nie mo²æ w nim d³u²ej pozostaæ. Nie mog³a nara²æ córek na podobne przejœcia. Musia³y wyjechaæ, nie mia³y ²adnego wyboru.

W milczeniu zaprowadzi³a je do ³azienki i nape³ni³a wannê ciep³¹ wod¹. Umy³a je starannie, tak ²e pó³ godziny pó²niej znowu wygl¹da³y jak dawniej, choæ Liane zdawa³a sobie sprawê, ²e ju² nie s¹ i nigdy nie bêd¹ takie same. Ze zmarszczonym czo³em, rozgniewana i wystraszona, cisnê³a w k¹t poszarpane ubranka. Przynios³a im obiad do pokoju, a potem d³ugo ze sob¹ rozmawia³y. Patrz¹c na twarz Elisabeth odnosi³o siê wra²enie, ²e ca³e jej dzieciñstwo ulecia³o gdzieœ tego popo³udnia. W wieku oœmiu lat doœwiadczy³a wiêcej ani²eli dzieci dwukrotnie od niej starsze. Zazna³a cierpienia, poczucia straty i zdrady, jakiej siê wobec niej dopuszczono.

- Mówi³y, ²e tatuø jest faszyst¹... Pani Muldock powiedzia³a pani McQueen, a ona powiedzia³a Annie... ale przecie² tatuø nie jest faszyst¹! Nie jest! Nie jest!... - Po czym z trosk¹ na buzi zapyta³a:

- A kto to jest faszysta?

Liane uœmiechnê³a siê po raz pierwszy tego popo³udnia. - Jeœli nie wiesz, kto to jest faszysta, dlaczego jesteœ tak zmartwiona?

- Myœlê, ²e to znaczy tyle co bandyta albo cz³owiek bardzo niedobry.

- Coœ w tym rodzaju. Faszyci to bardzo niedobrzy Niemcy. W tej wojnie walcz¹ przeciwko Francji i Anglii, zabili wielu ludzi - wyjaœni³a, nie wspominaj¹c, ²e przyczynili siê tak²e do œmierci dzieci.

- Ale przecie² tatuø nie jest Niemcem. - Cierpieniu widocznemu w jej oczach towarzyszy³o teraz wyra²ne zagubienie. - I pan Schulenberg z targu miêsnego jest Niemcem... Czy on te² jest faszyst¹?

- Nie, to nie to samo - westchnê³a Liane. - On jest ¹ydem.

- Nieprawda, jest Niemcem.

- Jest i jednym, i drugim, to zreszt¹ niewa²ne. Faszyci nie lubi¹ ¹ydów.

- Czy ich zabijaj¹? - wypytywa³a dalej Elisabeth, a gdy matka przytaknê³a, by³a wyra²nie wstrz¹œniêta. - Dlaczego?

- Bardzo trudno to wyjaœniaæ. Faszyci to strasznie Ÿli ludzie, Elisabeth. Niemcy, którzy przyszli do Pary²a, to w³œnienie faszyci. W³œnienie dlatego tatuø wyprawi³ nas z Francji. Chcia³, ²ebyœmy by³y tu bezpieczne.

T³umaczy³a im to ju² wczêœniej, lecz dopiero teraz jej wyjaœnienia przemówi³y do wyobra²ni dziewczynek. Dopiero teraz wojna zaczê³a ich dotyczyæ bezpoœrednio. Obawy Elisabeth nie koñczy³y siê jednak na tym.

- Czy zabij¹ tatusia?

Liane nigdy nie widzia³a u córek tak szeroko otwartych oczu. Chcia³a im powiedziæ, ²e do tego na pewno nie dojdzie, czy jednak powinna mówiæ coœ takiego? Mocno zacisnê³a piêœci i energicznie potrz¹snê³a g³ow¹.

- Wasz tatuø nigdy do tego nie dopuœci. - Zanosi³a mod³y, ¿eby siê nie pomyli³a, ¿eby Armand zawsze potrafi³ przechytrzyæ nieprzyjació³.

Marie-Ange rozumia³a wszak¿e wiêcej ni¿ Elisabeth. Nie tknê³a posi³ku, a kiedy k³ad³a siê spaæ, po jej policzkach znowu pop³ynê³y ³zy.

- Nigdy, za nic nie wrócê do szko³y. Nigdy. Nienawidzê ich.

Liane nie wiedzia³a, co odpowiedzieæ. Nie mog³y nie chodziæ do szko³y do koñca wojny, ale nie mo¿na te¿ by³o nara¿aæ dziewczynk na podobne prze¿œcia.

- W poniedzia³ek porozmawiam z dyrektork¹.

- Mo¿esz rozmawiaæ, ale i tak wiêcej tam nie pójdê.

Marie-Ange zosta³a trwale zraniona. Liane znienawidzi³a wszystkich, którzy wyrz¹dzili krzywdê jej dzieciom.

- A ja bêdê musia³a iœæ, mamusiu? - spyta³a Elisabeth z nie skrywanym przera¿eniem. Widok córek w tym stanie rozdziera³ serce Liane na strzêpy. Dziewczynki, chocia¿ w ró¿ny sposób, boleœnie prze¿ywa³y coœ, czego nie by³y w stanie poj¹æ. Jak mia³a im wyjaœniæ, ¿e ich ojciec nie jest faszyst¹, ¿e nie jest tym, za kogo siê podaje, poplecznikiem Petaina, lecz po prostu podwójnym agentem? Pewnego dnia, kiedy to wszystko siê skoñczy, ale kiedy te¿ bêdzie za póŸno, byæ mo¿e im to powie. Tylko czy wtedy bêdzie to mia³o jakiegokolwiek znaczenie? Powinny siê dowiedzieæ teraz, lecz ona musia³a milczeæ.

- Muszê iœæ do szko³y, mamusiu? - zapyta³a z b³aganem w oczach Elisabeth.

- Nie wiem, zobaczymy.

Przez ca³y weekend trzyma³a je przy sobie. Wszystkie trzy by³y ciche i przygaszone. Wybra³y siê na spacer do parku, potem do zoo, ale ¿adna z dziewczynk nie dosz³a do siebie. Sprawia³y wra¿enie zbitych i to w³aczenie w poniedzia³ek Liane powiedzia³a dyrektorce szko³y. Dziewczynki pozosta³y w domu, ich matka zaœ przed dziewi¹t¹ zjawi³a siê w szkole, tak ¿e kiedy dyrektorka, pani Smith, wkracza³a do swojego gabinetu, ona ju¿ na ni¹ czeka³a. Opisa³a stan, w jakim wróci³y do domu jej córki, opowiedzia³a, co im zrobiono, na koniec zapyta³a z rozpacz¹:

- Jak mog³a pani do tego dopuœciæ?

- Ale¿ ja o niczym nie wiedzia³am!...

- To sta³o siê tutaj, w szkole. Marie-Ange powiedzia³a mi, ¿e zrobi³o to siedem dziewczynk z jej klasy. Wziê³y no¿yczki, farbê i zaci¹gnê³y do klasy j¹ i jej m³odszy¹ siostrê. Rany boskie, przecie¿ to jak bandycka sprawiedliwoœæ w getcie, tylko jeszcze gorsza. Dzieci wymierzaj¹ karê innym dzieciom za coœ, czego w ogóle nie rozumiej¹, za coœ, z czym nie maj¹ ¿adnego zwi¹zku, i to tylko z powodu plotek, które rozpowszechniaj¹ ich rodzice.

- Zapewne nie spodziewa siê pani, ¿e mo¿emy mieæ wp³yw na kr¹¿enie takich plotek? - zapyta³a z fa³szywym oburzeniem dyrektorka.

Liane podnios³a g³os. - Oczekujê, ¿e bêdzie pani chroniaæ moje dzieci.

- Z pozorów mog³oby siê wydawaæ, pani de Villiers, ¿e pani dzieci doznaj¹ krzywdy od innych dzieci, ale w rzeczywistoœci cierpi¹ z powodu pani mê¿a.

- Do diab³a, a có¿ pani mo¿e wiedzieæ o moim mê¿u? Jest w okupowanej Francji, codziennie ryzykuje ¿yciem, a pani mi mówi, ¿e dzieci cierpi¹ z jego powodu. Prze¿y³yœmy rok w Europie po wypowiedzeniu wojny, by³yœmy tam, kiedy podda³ siê Pary¿, spêdzi³yœmy dwa straszne dni na kutrze rybackim, na stosach œmierdz¹cych ryb, ¿eby dop³yn¹æ do frachtowca, a potem przez dwa tygodnie ucieka³yœmy po Atlantyku roj¹cym siê od U-Bootów i patrzy³yœmy,

jak umieraj¹ setki m^êczyzn ze storpedowanego statku. Wi^êc prosz^ê nie mówia^ê nic o moim m^êu i o wojnie, bo nie ma pani poj^êcia ani o jednym, ani o drugim, siedz¹c na ty³ku w Georgetown.

- Ma pani absolutn¹ s³usznoc^æ - przyzna³a pani Smith podnosz¹c si^ê z miejsca.

Liane zaniepokoi³o jej spojrzenie. Mo[¿]e posun^ê3a si^ê za daleko, lecz nic jej to w tej chwili nie obchodzi³o. Mia³a wszystkiego do^æ. Waszyngton sta³ si^ê miastem gorszym ani[¿]eli Pary[¿] - przed okupacj¹ i po wkroczeniu Niemc^{ów}. Niewykluczone, [¿]e dzia³oby si^ê im lepiej, gdyby mieszka³y razem z Armandem w okupowanym Pary[¿]u. Liane najch^êtniej wróci³aby tam przy najbli[¿]szej okazji. Oczywiście by³a to mrzonka, w dodatku Liane wiedzia³a, [¿]e Armand by jej na to pod [¿]adnym pozorem nie pozwoli³. W ko^ñcu nie po to ryzykowa³a [¿]yciem wracaj¹c do Stan^{ów}, aby cztery miesi¹ce pó^Źniej ucieka^æ do Europy. Czu³a si^ê jak w potrzasku i doprowadza³o j¹ to do ob^êdu.

Dyrektorka patrzy³a na ni¹ z w^æciek³oc^æi¹, nie próbuj¹c nawet ukry^æ wzgardy i gniewu.

- Ma pani ca³kowit¹ s³usznoc^æ. Nie wiem o wojnie nic, skoro siedz^ê na ty³ku w Georgetown, jak by³a to pani ³askawa uj¹æ, ale znam dzieci i ich rodziców. Ot^ó¿ rodzice mówi¹, a dzieci powtarzaj¹. Mówi¹ za^æ, [¿]e pani m¹¿ jest cz³onkiem rz¹du Vichy, [¿]e kolaboruje z Niemcami. To [¿]adna tajemnica. W Waszyngtonie wiadomo o tym od miesi^êcy. Ja si^ê dowiedzia³am ju[¿] w pierwszym tygodniu po powrocie pani córek do szko³y. Wys³ucha³am tego z przykro^æi¹, bo lubi³am pani m^ê¿a. Teraz dzieci p³ac¹ za jego decyzje, tak samo zreszt¹ jak pani. To nie pani wina, ale fakt jest faktem. Dziewczynki b^êd¹ musia³y si^ê z nim pogodzi^æ. A je^æli nie zdo³aj¹, có[¿], b^êd¹ musia³y wróci^æ do Pary[¿]a i ucz^êszcza^æ do szko³y z francuskimi i niemieckimi dzie^æmi. Toczy si^ê wojna, wiemy o tym my, pani i ja, wiedz¹ o tym równie[¿] pani dzieci. I w tej wojnie pani m¹¿ opowiedzia³ si^ê po niew³ac^æciwej stronie, ot co. Podejrzewam, [¿]e dlatego w³ac^ænie porzuci³a pani m^ê¿a. Chodz¹ zreszt¹ pog³oski, [¿]e zamierza si^ê pani z nim rozwie^æ. To by niew¹tpliwie pomog³o pani córkom.

Liane zerwa³a si^ê z p³on¹cym wzrokiem.

- Czy tak w³ac^ænie mówi¹ ludzie?

- Tak. W³ac^ænie tak - odpar³a bez wahania pani Smith.

- To k³amstwo. Kocham m^ê¿a i ca³1 sob¹ opowiadam si^ê za wszystkim, co robi³ i robi. Tak[¿]e teraz, przede wszystkim teraz. Jeste^æmy mu potrzebne i on jest nam potrzebny. A Pary[¿] opu^æci³am tylko dlatego, [¿]e Armand chcia³ mie^æ pewnoc^æ, [¿]e nie grozi nam niebezpieczeństwo... - Liane wybuchn^ê3a p³aczem, tak samo jak przed trzema dniami jej córki, p³aczem zrodzonym z wyczerpania nerwowego, poczucia krzywdy i gniewu.

- Pani de Villiers, w³ó³czuj^ê pani z powodu tego, przez co musi pani prze[¿]oc^æ, ale ze s³ów pani wnioskuje¹, [¿]e ca³a wasza rodzina okazuje sympati^ê Niemcom, a za to trzeba zap³aci^æ...

- Nienawidz^ê Niemc^{ów} - przerwa³a jej Liane. - Nienawidz^ê ich! ... - Podesz³a do drzwi i otworzy³a je. - I nienawidz^ê pani. Za to, co pozwoli³a pani robi^æ moim dzieciom.

- To nie ja pozwoli³am, tylko pani. Pani sama - rzek³a lodowato zimnym g³osem pani Smith. - I jestem pewna, [¿]e i one, i pani b^êdziecie bardziej zadowolone z innej szko³y. ^Źycz^ê mi³ego dnia, pani de Villiers.

Liane zatrzasn^ê3a drzwi gabinetu i wysz³a na jasne s³o^ñce jesieni. W domu dziewcz^êta czeka³y na ni¹, gotuj¹c si^ê z ciekawoc^æi. Marie-Ange zbieg³a po schodach. - B^êd^ê musia³a chodz^æ do szko³y?

- Nie, a teraz idŹ do siebie i daj mi spokŹj.

Liane posz³a do swojej sypialni, zamkn³a drzwi, usiad³a na ³o³ku i rozp³aka³a si³. Dlaczego to wszystko musi byæ tak cholernie trudne?... Chwil³ póŹniej do pokoju wesz³y cŹrki, nie powodowane zreszt¹ ciekawoœci¹, lecz ch³ci¹ ul³enia troskom matki. Liane uspokoi³a si³ ju³, troch³, ale oczy wci³ mia³a czerwone od ³ez. By³a wœciek³a na Armanda i w ogŹle na wszystko. Armand postawi³ je w nieznoœnej sytuacji. Ba³a si³ o niego, kocha³a go, ale zarazem go nienawidzi³a. Dlaczego, na mi³oœæ bosk¹, nie mŹg³ wrŹciæ z nimi do kraju? Nie by³ to jednak jego kraj, wiedzia³a o tym dobrze. Jego ojczyzn¹ by³a Francja, pozosta³ zatem, aby broniæ kraju, który kocha³. Tylko ³e walczy³ w sposŹb, ktŹrego nikomu nie mo³na by³o wyjaœniaæ.

- Mamusiu... - Elisabeth wolno podesz³a do ³o³ka i otoczy³a matk³ ramionami.

- Tak, najdro³sza?

- Kochamy ci³. - To wyznanie wywo³a³o u Liane now¹ fal³ ³ez.

- Ja te³ was kocham. - Spojrza³a na Marie-Ange. - Przepraszam, ³e krzycz³am na ciebie. WrŹci³am bardzo z³a.

- Na nas? - zaniepokoi³a si³ jej starsza cŹrka.

- Nie, na pani¹ Smith. Ona nie rozumie sytuacji taty.

- Nie potrafi³aœ jej tego wyjaœniaæ? - Elisabeth wydawa³a si³ rozczarowana. Lubi³a szko³³, chocia³ nikt nie zaprasza³ jej ju³, do zabawy. Lubi³a tam chodziæ w przeciwieñstwie do Marie-Ange. Liane pokr³ci³a g³ow¹.

- Nie, nie potrafi³am tego wyjaœniaæ, kochanie. To zbyt skomplikowane, ³eby ktokolwiek zrozumia³.

- No to mo³e jednak b³dziemy chodzi³y? - zaproponowa³a w koñcu Marie-Ange.

- Nie, nie b³dziecie. Znajdziemy wam now¹ szko³³.

- W Waszyngtonie?

- Nie wiem. - Przez ostatnie pŹ³ godziny zadawa³a sobie to samo pytanie.

- Musz³ sobie wszystko przemyœlaæ.

A potem nadesz³o decyduj¹ce popŹudnie. Liane zobaczy³a zap³akan¹ Elisabeth stoj¹c¹ przy telefonie w holu.

- Co si³ dzieje, kochanie? - Podejrzewa³a, ³e ma³a t³skni za przyjaciŹ³mi, o ile jeszcze jakichœ posiada³a.

- Nancy Adamson powiedzia³a, ³e pani Smith rozg³osi³a wszystkim, ³e zosta³yœmy wyrzucone ze szko³³y.

- Tak powiedzia³a? - zapyta³a ze zgroz¹ Liane. Ma³a przytkn³³a. - Ale³ to nieprawda. Powiedzia³am jej... - W myœlach przebieg³a tamt¹ rozmŹw³ i uœwiadomi³a sobie, ³e dyrektorka zauwa³y³a, i³ jej cŹrki czu³yby si³ lepiej w innej szkole, ona zaæ zgodzi³a si³ z jej zdaniem. Westchn³³a i usiad³a na pod³odze obok Elisabeth.

- Uzna³yœmy, ³e nie powinnyœcie wracaæ do szko³³y, ale nikt was przecie³ z niej nie wyrzuci³.

- Jesteœ pewna?

- Najzupe³niej.

- Czy oni mnie nienawidz¹?

- Oczywiście, ³e nie - zaprzeczy³a Liane, aczkolwiek w œwietle pi¹tkowych wydarzeñ trudno by³oby to udowodniæ.

- A czy nienawidz¹ tatusia?

Liane zastanowi³a si³ chwil³. - Nie, po prostu nie rozumi³¹, co robi.

- A co robi?

- Usi³uje ocaliaæ Francj³, ³ebyœmy pewnego dnia mog³y tam wrŹciæ.

- Dlaczego?

- Dlatego, że w³aczenie na tym polega praca tatusia. Przez ca³e życie reprezentowa³ Francjê w ró¼nych krajach. Troszczy siê o swoj¹ ojczyznê. I teraz pracuje dla Francji w taki sposób, żeby Niemcy nie zniszczyli jej na zawsze.

- To dlaczego wszyscy mówi¹, że tatuś kocha Niemców? Czy tak jest naprawdę?

Liane by³a ju¼ zmêczona dziecinnymi pytaniami, na ka¼de jednak trzeba by³o udzieliæ przemyœlanej odpowiedzi. To bowiem, co powie teraz, bêdzie dziewczêtom towarzyszyæ przez ca³e życie. Na zawsze zapamiêtaj¹ jej s³owa. S³owa, które wp³yn¹ na ustalenie pogl¹dów dziewczynek na temat ojca i na temat ich samych.

- Nie, tatuś nie kocha Niemców.

- Czyli ich nienawidzi, tak?

- Myœlê, że tata nikogo nie darzy nienawiœci¹. Nienawidzi tylko tego, co Niemcy wyrz¹dzaj¹ Europie.

Elisabeth wolno kiwnê³a g³ow¹. Tak¹ w³aczenie odpowiedzi pragnê³a us³yszeæ. OdpowiedŸ, z której wynika³o, że jej tata jest przyzwoitym cz³owiekiem.

- Rozumiem. - Wsta³a i powoli posz³a na górê, aby odszukaæ siostrê.

Tej nocy Liane d³ugo siê g³owi³a nad tym, co powinna pocz¹æ. Musia³a bowiem coœ robiæ, lecz umieszczenie dziewczynek w jakiegokolwiek innej waszyngtoñskiej szkole nie by³o ¼adnym rozwizaniem. Zna³a ju¼ odpowiedzi na swoje pytania, ale post¹pienie zgodnie z nimi napawa³o j¹ niechêci¹. Postanowi³a wszystko przespaæ, nazajutrz jednak odpowiedzi brzmia³y dok³adnie tak samo. Po³¹czy³a siê zatem z central¹ telefoniczn¹ i zamówi³a rozmowê. Czekaa a¼ do po³udnia czasu wschodniego, a zatem do dziewi¹tej czasu kalifornijskiego. Podniós³ s³uchawkê natychmiast.

- Liane? Czy coœ siê sta³o?

- Nie, wujku, w³œciwie nie.

- Mówisz, jakbyœ by³a chora, zmêczona czy coœ w tym rodzaju.

- George'owi nie brakowa³o przenikliwoœci.

W istocie by³a i chora, i zmêczona, ale nie chcia³a siê teraz do tego przyznaæ. Musia³a wróciæ do domu z podwiniêtym ogonem, a ju¼ samo to by³o dostatecznie nieprzyjemnym doznaniem.

- Œwietnie siê czujê. - Postanowi³a niezw³ocznie przejœæ do rzeczy. - Czy nadal chcesz, żebyœmy z tob¹ zamieszka³y?

- Oczywiście. - S³ysza³a zadowolenie w jego g³osie. Chcesz powiedzieæ, że nareszcie odzyska³eœ zdrowy rozs¹dek?

- Chyba mo¼na to tak nazwaæ. Chcê zmieniaæ szko³ê dziewczynkom, a skoro zdecydowa³am siê na takie rozwizanie, uznaj¹, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebyœmy siê przeprowadzi³y do Kalifornii.

Natychmiast wyczu³, że jej decyzja jest wywo³ana jak¹œ niebagatel¹ przyczyn¹. Liane by³a zbyt uparta, aby siê poddaæ, póki nie legnie znokautowana na deskach. A teraz naprawdę zosta³a pokonana, i to w znacznie szerszym sensie, ni¼ s¹dzi³a.

Uzgodnili co trzeba. Liane przez ca³¹ rozmowê z trudem wstrzymywa³a³y, ale dziêkowa³a Bogu, że ma dok¹d jechaæ. Przecie¼ mog³o byæ znacznie gorzej. Europa wszak roi³a siê w tej chwili od bezdomnych.

- Wujku...

- Tak, Liane?

- Dziêkujê, że pozwalasz nam przyjechaæ.

- Nie ¼artuj sobie, Liane. To tak¼e twój dom. Zawsze nim by³.

- Dziękujê.

Wuj George u³atwi³ jej, ani s³owem nie wspomnia³ bowiem o Armandzie. Liane natychmiast poinformowa³a o planach dziewczynki.

Marie-Ange pos³a³a jej dziwne spojrzenie. - A wiêc uciekamy, mamó?

By³o to wiêcej, ni¿ potrafi³a znieœæ. Czu³a siê tak wyczerpana, ¿e nie mog³a stawiaê czo³a ani jednemu wiêcej pytaniu.

- Nie, Marie-Ange - odpar³a g³osem, który zdumia³ dziewczynkê. - Nie uciekamy. To taka sama ucieczka jak z Pary¿a. Postêpujemy w³œciwie i we w³œciwym momencie. Mo¿e nie jesteœmy tym zachwycone, ale to najbardziej sensowne rozwi¹zanie.

Potem kaza³a dziewczynkom iœæ siê bawiaê, potrzebowa³a bowiem trochê czasu dla siebie. Stanê³a w oknie sypialni, obserwuj¹c córki. Bardzo doros³y przez ostatnie cztery miesi¹ce. Tak samo zreszt¹ jak ona. Du¿o bardziej ni¿ w ci¹gu ca³ego ¿ycia dorastaj¹ inni.

Rozdzia³ dwudziesty siódmy

Przed wyjazdem Liane zjad³a z córkami cichy obiad w Œwiêto Dziêkczynienia. Wydawa³o im siê, ¿e przebywaj¹ w zupe³nie obcym mieœcie. Nikt do nich nie zadzwoni³, nikt nie wpad³, nikt nie zaprosi³ ich na œwi¹tecznego indyka. Jak wiele milionów Amerykanów posz³y do koccio³a, wróci³y do domu, zasiad³y do obiadu, ale w gruncie rzeczy czu³y siê tak, jak gdyby fale morza wyrzuci³y je na bezludn¹ wyspê.

W najbli¿szy weekend spakowa³y rzeczy, które kupi³y po przybyciu do Stanów, i Liane wys³a³a wszystko poci¹giem na Zachodnie Wybrze¿e, w poniedzia³ek zaœ same zajê³y miejsca w przedziale. Kiedy uk³ada³y baga¿e, Liane przez jedn¹ krótk¹ chwilê pomyœla³a o Nicku i ich po¿egnaniu na nowojorskim dworcu. Od tego dnia up³ynê³y zaledwie cztery miesi¹ce, Liane wszak¿e mia³a wra¿enie, ¿e minê³o tysi¹c lat. Te cztery miesi¹ce by³y zarówno dla Liane, jak i dla jej córek bardzo d³ugie. Ąadna nie opuszcza³a miasta z ¿alem. W ogóle powrót do Waszyngtonu by³ b³êdem. Armand chocia³, ¿eby od razu jecha³y do San Francisco, ale Liane przez myœel nawet nie przesz³o, jak¹ cenê bêdzie musia³a zap³aciaê za wspó³pracê mê¿a z rz¹dem Vichy.

Podróż by³a równie monotonna co spokojna. Dziewczynki bawi³y siê i czyta³y, czasami siê k³óci³y i w ten sposób dostarcza³y matce zajêæ. Liane jednak przewa¿nie spa³a. Czu³a siê tak, jakby odzyskiwa³a si³y po piêciu pe³nych napiêcia miesi¹cach, nie wspominaj¹c o jeszcze gorszych wczesniejszych. W³œciwie nie toczy³y normalnego ¿ycia od przesz³o roku, a nawet d³u¿ej, od pó³tora roku, odk¹d przyby³y do Pary¿a. I oto nagle znów by³a zdolna rozluŸniã siê i wyrzuciã z myœli praktycznie wszystko. Dopiero w czasie postojów na stacjach, kiedy do poci¹gu dostarczano gazety, Liane na powrót uœwiadamia³a sobie, ¿e losy œwiata tocz¹ siê dalej, a nie s¹ to losy spokojne. Angliê bombardowano dniem i noc¹, ulice miast zalega³y stopy ruin, wci¹¿ ewakuowano dzieci. Churchill za¿¹da³, aby RAF bombardowa³ Berlin, co tylko spotêgowa³o niemieckie wysi³ki zmierzaj¹ce do zniszczenia Londynu.

We wszystko to jednak by³o bardzo trudno uwierzyã, gdy poci¹g toczy³ siê przez zacienione pola Nebraski albo gdy pasa¿erowie ogl¹dali wy³aniaj¹ce siê na horyzoncie Góry Skaliste. Kiedy Liane i jej córki obudzi³y siê w

czwartkowy poranek, od San Francisco dzieli³o je już tylko kilka godzin jazdy. Poci¹g wjecha³ do miasta od po³udnia, przez najbrzydsz¹ dzielnicę, która ku zdumieniu Liane wci¹ż, wydawa³a się jej znajoma. Bardzo niewiele zmieni³o się w San Francisco, odk¹d by³a tu po raz ostatni przed o⁶miu laty, po o⁶mierci ojca.

- Przyjechalicemy? - z niedowierzaniem zapyta³a Marie-Ange.

Dziewczynki nigdy nie widzia³y San Francisco, nie by³o bowiem powodu, żeby je tu przywoziać. Ojciec Liane nie ż³ył, a wuj George jak Cygan zatrzymywa³ się to w tym, to w innym mieście.

- Tak-u⁶emiechnę³a się Liane. - Ale jest tu dużo ³adniej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Jedziemy teraz przez niezbyt przyjemn¹ dzielnicę.

- Naprawdę nie jest przyjemna.

Na stacji czeka³ wuj George z szoferem i samochodem, lincolnem continentalem, w którym Liane z córkami w wielkim stylu dotar³y do celu podróży. Wóz zosta³ dosyć niedawno sprowadzony z Detroit i na dziewczynkach wywar³ ogromne wrażenie. Wtedy też Liane wyczu³a ich podniecenie związane z przyjazdem do miasta. Wuj George na powitanie podarowa³ im lalki, znalaz³szy się za⁶ w domu Liane stwierdzi³a, iż zada³ sobie wiele trudu, aby urz¹dzić dla nich pokoje: pe³ne zabawek i gier, o⁶ciany mia³y ozdobione wielkimi wizerunkami postaci z filmów rysunkowych Walta Disneya. Na Liane czeka³ w jej pokoju wazon kwiatów. Tutaj nawet w grudniu powietrze by³o ciep³e, rośliny wci¹ż zielone, w ogrodach kwit³y kwiaty.

- Dom wygl¹da cudownie, wuju.

George dokona³ pewnych zmian po o⁶mierci brata, w sumie by³y one jednak mniejsze, niż Liane się obawia³a. Wszystko by³o doskonale utrzymane, pozostawa³o pod opiek¹ skrupulatnie dobranego personelu. Na staro⁶æ George nieco się uspokoi³, rezygnuj¹c z szaleńczych przyje⁶æ, które zwyk³ by³ wydawa⁶æ w m³odo⁶ci. Dobrze też prowadzi³ interesy Linii ³eglugowych Crocketta. W pewnym sensie ten powrót do domu okazywa³ się naprawdę mi³y: przynosi³ b³ogos³awion¹ ulgę po miesi¹cach wzdury. Tak przynajmniej s¹dzi³a Liane aż do kolacji.

Dziewczeta posz³y już spać, a Liane w bibliotece gra³a w domino z wujem tak samo, jak niegdy⁶ grywa³a z ojcem.

- I cóż, Liane?... Oprzytomnia³æ wreszcie? - zagadn¹³ wuj.

- W jakiej kwestii? - spyta³a udaj¹c, ż⁶e koncentruje się na grze, lecz w istocie gra³a na zw³okę.

- Wiesz, o czym mówię. Mam na myśli tego durnia, za którego wysz³æ.

Popatrzy³a mu w oczy twardym, zimnym spojrzeniem. - Nie zamierzam z tob¹ na ten temat dyskutować, wujku. Mam nadzieję, ż⁶e to do ciebie dociera.

- Nie mów do mnie takim tonem, dziewczynko. Pope³ni³æ b³id i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

- Z niczego takiego nie zdaję sobie sprawy. Ten zwi¹zek trwa jedna⁶cie i pół roku i bardzo kocham mę⁶za.

- Praktycznie ten facet jest faszyst¹. A może określenie "praktycznie" jest dla niego zbyt ³agodne? Czy naprawdę możesz z nim żyć mają¹c tego o⁶wiadomo⁶æ?... - Liane milcza³a. - Rany boskie, on jest prawie sze⁶æ tyśięcy mil st¹d, a twoje miejsce jest tutaj. Gdyby⁶ wyst¹pi³a teraz o rozwód, uzyska³aby⁶ go bez trudu. Mog³aby⁶ nawet pojechać do Reno i rozwie⁶æ się w sze⁶æ tygodni. Wtedy wszystkie trzy mog³yby⁶cie zacząć nowe życie tam, gdzie jest wasze miejsce.

- Nie tu jest moje miejsce. Przyjecha³am tutaj, bo dopóki Francja jest okupowana, nie mam się gdzie podziać. Nasze miejsce jest tam, przy

Armandzie, i zajmijmy je, jak tylko skończy się wojna.

- Zwariowa³ac.

- Przestańmy roztr¹sać ten temat. O pewnych sprawach nie masz pojęcia.

- Na przyk³ad?

- Dajmy temu spokój. - Jak zawsze mia³a zwi¹zane ręce i nie by³a za to wdzięczna Armandowi. Zaczę³a się już jednak przyzwyczajając do wymogu życia w milczeniu.

- Bzdury opowiadasz, i to oświadczam. Ja wiem naprawdę sporo. Na przyk³ad wiem, co sk³oni³o cię do ucieczki z Waszyngtonu: dziewczęta zosta³y wyrzucone ze szko³y, nikt cię do siebie nie zaprasza³... Sta³ac się pariasem. - Podnios³a na niego smutne spojrzenie. Mówi³ prawdę. - Przynajmniej mia³ac tyle rozs¹dku, żeby przyjechać tutaj, gdzie masz szansę na przyzwoite życie.

- Jeżeli przestaniesz nazywać mojego męża faszyst¹ - rzek³a ze znużeniem i smutkiem w głosie. - Bo jak nie przestaniesz, st¹d też będę musia³a uciec, a nie mogę zniknąć co pięć miesięcy. Jeżeli będziesz mówi³ to samo co ludzie w Waszyngtonie, moje córki znów za to zap³ac¹.

Nie zapyta³a, sk¹d się dowiedzia³, George bowiem miał wszędzie znajomych i współpracowników, poza tym nie miało to żadnego znaczenia. To, co mówi³, by³o prawd¹, prawd¹ jednak by³y też jej s³owa.

- A czego po mnie oczekujesz? Mam powiedzieć, że to mi³y gość?

- Nie musisz nic mówić, jeżeli go nie lubisz. Ale gdybyś się na jego temat wypowiada³, wspomnij moje s³owa. Rozp³aczesz się tak samo jak ja, kiedy dziewczynki wróc¹ pewnego dnia w podartych ubraniach, wymalowane czerwoni¹ farb¹, ze swastyk¹ na plecach. - Przy ostatnich s³owach w jej oczach zaszkli³y się oczy. Wuj popatrzy³ na nią ze współczuciem i niedowierzaniem.

- Tak zrobili dziewczynom? - Przytaknę³a. - Kto?

- Inne dzieci ze szko³y. Ma³e dziewczynki z dobrych rodzin. Dyrektorka powiedzia³a, że nie by³a w stanie temu zapobiec.

- Zabi³bym babę.

- Ja też, z najwyższ¹ przyjemności¹, ale to by nie rozwi¹za³o problemu.

Jak by³a ³askawa to określać, rodzice mówi¹, a dzieci s³uchaj¹. Tak się sk³ada, że w tej kwestii ma ca³kowit¹ s³usznoc³. Jeżeli zatem ty zaczniesz gadać, wujku, będ¹ gadali też inni i w końcu znowu za wszystko zap³ac¹ dziewczynki.

Przez chwilę milcza³, w końcu powoli skin¹³ gł³ow¹. - Rozumiem. Nie podoba mi się to wszystko, ale rozumiem.

- To dobrze.

Spojrza³ na nią z trosk¹. - Ciesz się, że do mnie zadzwoni³ac.

- Ja też. - Uśmiechnę³a się do niego. Nigdy nie byli sobie bliscy, ale teraz Liane by³a rada z jego obecności. Dawa³ jej schronienie, i to w chwili, kiedy rozpaczliwie go potrzebowa³a. Życie w tym mieście wydawa³o się tak spokojne i dalekie od wojny, aż odnosi³o się wrażenie, że żadnej wojny nie ma. Aczkolwiek nie do końca. Na sprawy świata patrzy³o się tu jednak z bardzo odleg³ej perspektywy.

Po tej wymianie pogl¹dów pogawędzili jeszcze trochę na bezpieczniejsze tematy, po czym udali się do swoich pokojów. Po³ożywszy się tego wieczoru do s³ółka, Liane zapad³a w kamienny sen - po raz pierwszy od dawna.

- Spa³am jak zabita - wyzna³a George'owi rano. Potem, kiedy wyszed³ do biura, zatelefonowa³a pod kilka numerów, które nie należa³y do żadnego ze starych przyjaciół. Zreszt¹ w³aczeiście nikogo już tutaj nie zna³a.

Kwesti¹ szko³y dla dziewczynek zaję¹³ się wuj. Sz³y pod opiekę panny Burke

i zaczyna³y naukê w najbli¿szy poniedzia³ek. Liane myœla³a jednak o czymœ jeszcze i póŸnym popo³udniem zajê³a siê t¹ spraw¹.

- Co takiego zrobi³aœ?! - wykrzykn¹³ skonsternowany wuj George, gdy mu zrelacjonowa³a swoje dzia³ania.

- Powiedzia³am, ¿e znalaz³am sobie pracê. Czy to a¿ takie szokuj¹ce?

- Chyba tak... tak. Jeœli tak siê palisz do dzia³ania, wst¹p do jakiegoœ klubu kobiecego, organizacji charytatywnej czy czegoœ w tym stylu.

- Ale¿ ja chcê robiæ coœ u¿ytecznego. Zamierzam pracowaæ w Czerwonym Krzy¿u.

- Za pieni¹dze?

- Nie.

- Dziêki Bogu - odetchn¹³. Tego by³oby ju¿ dla niego za wiele.

- Sam nie wiem, Liane... Dziwna z ciebie kobieta. Dlaczego chcesz pracowaæ, i to codziennie?

- A co twoim zdaniem powinnam robiæ? Siedzieæ tutaj i liczyæ swoje przep³ywaj¹ce statki?

- To nie tylko moje statki, twoje te¿. Liczenie ich wcale by ci nie zaszkodzi³o. Wygl¹dasz na wyczerpan¹ i jesteœ chuda jak szczapa. Dlaczego nie odpoczniesz, nie pograsz w golfa czy w tenisa?

- To mogê robiæ w czasie weekendów. Razem z córkami.

- Masz nie po kolei w g³owie, a jeœli nie bêdziesz na siebie uwa¿aæ, na staroœæ po prostu zdziwaczejesz - ostrzeg³.

W g³êbi duszy wszak¿e by³ z niej dumny, do czego nazajutrz przyzna³ siê w klubie jednemu z przyjació³. Grali w domino w Pacific Union Club i George, popijaj¹c szkock¹ z wod¹ sodow¹, che³pi³ siê bratani¹.

- To diabe³ nie kobieta. Inteligentna, opanowana, spokojna, pod wieloma wzglêdami przypomina mojego brata. I niesamowicie bystra. Du¿o w Europie prze¿y³a... - Wyjaœni³, i¿ by³a na kontynencie w czasie upadku Pary¿a, lecz pomny na ostrze¿enia Liane, nie wspomnia³ ani s³owem, ¿e jest ¿on¹ cz³owieka, który wspó³pracuje z faszystami.

- Mê¿atka? - Przyjaciel patrzy³ na rozmówcê z zainteresowaniem. Po jego oczach George rozpozna³ gambit otwarcia. Pragn¹³ pomóc Liane. Rozwa¿a³ to przez kilka dni i wymyœli³ nawet, jak wszystko przeprowadziæ.

- Mniej wiêcej. - yje w separacji i przypuszczam, ¿e lada moment wybierze siê do Reno. Nie widzia³a go ju¿ pó³ roku... - Przynajmniej to by³o prawd¹.

- I nie ma pojęcia, kiedy go znowu zobaczy. - To tak¿e by³o prawd¹. W koñcu George rzuci³ kartê atutow¹: - Chcia³bym, ¿eby pozna³a siê z twoim synem.

- W jakim jest wieku?

- Ma trzydzieœci trzy lata i dwoje uroczych dzieci.

- Tak samo jak Lyman. - Przyjaciel George'a zwyciêsko zakoñczy³ rozgrywkê w domino i rozpar³ siê w fotelu. - Ma trzydzieœci szeœæ lat, w czerwcu skoñczy trzydzieœci siedem. - Nale¿a³ ponadto do najlepszych prawników w mieœcie, a do tego, zdaniem George'a, by³ nadzwyczaj przystojnym mê¿czyzn¹. Pochodzi³ z dobrej rodziny, ukoñczy³ uniwersytet, by³ szanowany i mieszka³ w San Francisco. Idealny partner dla Liane, a jeœli nie przypadnie jej do gustu, znajdzie siê mnóstwo innych kandydatów. - Zobaczê, co siê da zrobiæ - oœwiadczy³ przyjaciel George'a, Lou. - Mo¿e zaaran¿ujemy ma³¹ kolacyjkê?

Nazajutrz George wyda³ stosowne polecenia swojej sekretarce, a parê dni póŸniej zadzwoni³ pod kilka numerów. Do ofensywy przyst¹pi³ tego samego dnia po powrocie Liane z Czerwonego Krzy¿a. Lubi³a tê pracê i dopisywa³o jej zdrowie, a tak¿e humor, otrzyma³a bowiem list od Armanda, przeadresowany z Waszyngtonu - przyszed³ dzieñ po jej wyjeŸdzie z miasta.

Wydawało się, że u Armanda wszystko dobrze i nie grozi mu większe niebezpieczeństwo, a ta obawa nieustannie spędza jej przeciętę sen z oczu.

- Jak ci min¹³ dzień, wujku? - Pocałowa go w czoło i usiadła, żeby wypić z nim drinka. Życie w San Francisco było tak bez troskie, że szczególnie w chwilach, kiedy rozmyślała o Armandzie i tym wszystkim w ciągłym zagrożeniu, docierała poczucia winy. Wiedziała, jak cenę musi płać jej mąż za swoje życie, podczas gdy ona mieszka we wspaniałym domu, otoczona służbą, z hojnym wujem pod ręką.

- Nie najgorzej. A tobie?

- Ustalimy plan rozmieszczenia brytyjskich dzieci.

- Szlachetne zajęcie. Jak się mają dziewczynki?

- Promienie! Odrabiają lekcje na górze. Nie mogą się doczekać ferii świątecznych.

- Wiesz? przyszedł mi dzień do głowy pewna myśl. Czy mogłaby mi pomóc w wydaniu naszego przyjęcia? Nigdy byś w tym dobra. Jak mieszkałaś z ojcem.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie, które podobnie jak wszystkie inne, wywołało w jej myślach obraz Armanda. Przecięta i dla niego organizowała przyjęcia - po śmierci Odile i później, przez jedenaście lat małżeństwa.

- Dziękuję za uznanie, wujku. To była nieźle zabawa.

- A więc nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby mi pomóc? Mam pewne zaległości w życiu towarzyskim.

- Nic a nic. Masz jakiś konkretny pomysł?

- Wystarczy nieduża kolacyjka. W przyszłym tygodniu. - Nie powiedziała Liane, że wszyscy goście przyjęli już zaproszenie. - Na jakieś osiemnaście osób. Moglibyśmy zamówić orkiestrę i po kolacji potańczyć w bibliotece.

- Potanńczyć? To ambitny zamiar jak na "niedużą kolacyjkę".

- Nie lubisz tańczyć?

- Oczywiście, że lubię. - Zapomniała, jak rozrywkowym człowiekiem był wuj George. Ba, nie tylko był, ale zapewne jest nadal. Miała wprawdzie siedemdziesiąt trzy lata, lecz jak na swój wiek był nad podziw dziarski.

Przyszło jej też do głowy, że może pobudki jego działania są niższe, może emuluje aktualnie jakiegoś pana. - Chętnie ci pomogę. Powiedz tylko, co mam robić.

- Ja zaproszę gości, a ty zajmij się resztą. Kup sobie nową suknię, zamów kwiaty... Wiesz sama zresztą najlepiej, co trzeba robić.

Oczywiście, że wiedziała. W dniu przyjęcia osobiście sprawdziła, czy wszystko zostało należycie przygotowane. Cała osiemnastoosobowa grupa gości miała być usadzona przy owalnym stole, przystrojonym imponującymi kompozycjami białych i różowych róż i białymi świecami w ozdobnych złotych świecznikach. Liane położyła na stole jeden z koronkowych obrusów odziedziczonych po matce, a pozostawionych w rodzinnym domu. Zgodnie z sugestiami wuja zamówiła orkiestrę, która jeszcze przed przybyciem gości cicho grała w salonie nastrojowe tematy. Rozejrzawszy się dokoła Liane uznała, że wszystko jest w porządku. Wtedy dostrzegła, że zza kolumny balustrady ciekawie wyglądają głowy Marie-Ange i Elisabeth.

- Co tam robicie?

- Możemy się poprzyglądać?

- Ale nie za długo. - Liane uśmiechnęła się i posłała im całusa. Miała na sobie białą suknię wieczorową z satyny, dokładnie w kolorze swoich oczu, którą w przeddzień przyjęcia kupiła u Magnina. Włosy zaczesła do tyłu i nareszcie czuła się elegancka.

- Wygl¹dasz jak Kopciuszek na balu - wyszepta³a Elisabeth i Liane wbieg³a po schodach, by uca³owaæ cór³kê.

- Dziêkujê, kochanie.

Potem zszed³ na dó³ wuj George, przyszli pierwsi goæcie i przyjêcie moŹna by³o uznaæ za rozpoczête. Liane uzna³a, Źe przebiega g³adko. George zaj¹³ siê usadzaniem przyby³ych, jako Źe zna³ wszystkich goæci. Liane zajê³a miejsce pomiêdzy dwoma przystojnymi panami; jednym z nich by³ makler gie³dowy Thomas MacKenzie - rozwodnik w wieku oko³o czterdziestu trzech lat, ojciec dwóch synów. Drugim by³ Lyman Lawson, prawdopodobnie jej rówieœnik, teŹ rozwiedziony, ale dla odmiany ojciec dwóch córek. Kiedy Liane pochwyci³a na sobie spojrzenie wuja, nagle wszystko zrozumia³a: usi³owa³ poznaæ j¹ ze wszystkimi wolnymi mêt³czyznami w mieœcie. Pocz³a siê wstrz¹œniêta, by³a wszak mêt³atk¹.

Przyjêcie uda³o siê wspaniale, orkiestra znakomicie gra³a, Liane jednak przerazi³a siê nieco odkrytymi planami wuja. Przy œniadaniu postanowi³a ostroŹnie podj¹æ ten temat.

- No, jak tam, moja droga? Dobrze siê wczoraj bawi³acê? - Wuj sprawia³ wraŹenie osoby niezmiernie z siebie zadowolonej i Liane odpowiedzia³a mu uœmiechem.

- Doskona³e. To by³ piêkny wieczór, wujku. Dziêkujê.

- AleŹ nie ma za co. JuŹ od dawna powinienem by³ odwzajemniæ kilka zaproszeñ. Ale skoro w domu nie by³o Źadnej kobiety... - Usi³owa³ oblec twarz w Źa³obny wyraz, lecz bez powodzenia. Liane rozœmieszy³y jego starania.

- Chyba jesteœ ma³o przekonywaj¹cy. - SpowaŹnia³ym wzrokiem popatrzy³a na niego i postanowi³a przejœæ do rzeczy bez ogródek.

- Wujku, czy mog³abym ci zadaæ œmia³e pytanie?

- To zaleŹy jak œmia³e - uœmiechn¹³ siê do bratanicy. Darzy³ j¹ coraz wiêksz¹ sympati¹. By³a wspania³¹ kobiet¹, choæ w kwestii wyboru mêt³a nie popisa³a siê zbytnio. To jednak da siê naprawiæ. Wiedzia³, Źe powoli wraca jej rozs¹dek. By³a nieg³upia, a zatem musia³a myœleæ o córkach. - O co wiêc chcia³abyœ zapytaæ?

- Nie próbujesz chyba swataæ mnie... z... hm... z wszystkimi wolnymi mêt³czyznami w mieœcie, prawda?

Na jego twarzy pojawi³ siê wyraz uraŹonej niewinnoœci, ale George uœmiechn¹³ siê pod nosem.

- CzyŹbyœ wola³a Źonatych, Liane? - spyta³ przebiegle. On zawsze wykazywa³ sk³onnoœæ do zamêt³nych kobiet.

- Nie, wuju George. Wolê w³asnego mêt³a. - Po tych s³owach przy stole na chwilê zapad³a cisza.

- Nie ma nic z³ego w tym, Źe poznasz kilku panów. Nie s¹dzisz?

- Pytanie to tylko z pozoru by³o niewinne.

- To zaleŹy od tego, czy ci panowie znaj¹ moj¹ sytuacjê rodzinn¹. Czy uwaŹaj¹ mnie za mêt³atkê, czy za rozwiedzion¹.

- Nie mogê sobie przypomnieæ, co dok³adnie im powiedzia³em.

- Odchrz¹kn¹³ i roz³oŹy³ gazetê, Liane jednak delikatnie wyjê³a mu j¹ z d³oni i spojrze³a wujowi w oczy.

- Chcia³abym otrzymaæ odpowiedŹ. Myœlê, Źe to bardzo waŹne.

- Ja teŹ tak myœlê. Moim zdaniem czas juŹ najwyŹszy, Źebyœ rozejrza³a siê doko³a i przemyœla³a sobie wszystko. Ten cz³owiek jest prawie szeœæ tysiêcy mil st¹d. Robi Bóg wie co, ale o tym oczywiœcie nie bêdziemy rozmawiaæ, skoro ty sobie nie Źyczysz. Wiesz jednak, co sobie myœlê na ten temat. A

myœlê, ¿e tu czeka³by ciê o wiele lepszy los.

- Nie zgadzam siê z tob¹ - zaprotestowa³a i natychmiast przy³apa³a siê na myœli o Nicku Burnhamie. Odeгна³a j¹ szybko od siebie, by ponownie stawiaê wujowi czo³o. - Jestem mê¿atk¹ i zamierzam ni¹ pozostae. Zamierzam równie¿ dochowaê wiernoœci mê¿owi... - I znów coœ b³ysnê³o w jej pamieci, Liane jednak ca³ym wysi³kiem woli odsunê³a te myœli. Nie mog³a ju¿ tego ci'gn¹ae. Marzenia o Nicku Burnhamie prowadzi³y donik¹d.

- To, czy jesteœ wierna, czy nie, stanowi wy³cznie twój problem. Pomyœla³em po prostu, ¿e nie zaszkodzi, jeœli poznasz kilku obywateli San Francisco.

- I by³o to bardzo mi³e. Natomiast próba zniszczenia mojego ma³¿eñstwa nie jest ju¿ mi³a.

- Ale¿ twoje ma³¿eñstwo nie istnieje, Liane - powiedzia³ z tak¹ moc¹, a¿ Liane siê przerazi³a.

- Istnieje.

- Ale nie powinno.

- Nie masz prawa podejmowaê za mnie decyzji.

- Ale mam prawo robiæ wszystko co w mojej mocy, ¿eby przywo³ae ciê do rozs¹dku. Trwonisz m³odoœae dla starego g³upca, który najpewniej do cna postrada³ rozum, skoro robi to, co robi. - Liane zacisnê³a usta, George zae mówi³ dalej: - I ty, do diab³a, bêdziesz idiotk¹, jeœli nie zrobisz niczego w tej sprawie.

- Dziêkujê. - Wsta³a i wysz³a z pokoju z poczuciem winy i karc¹c siê za niewdziêcznoœae. Wuj mia³ dobre intencje, lecz ¿adnego pojecia o tym, co robi Armand. Ona zae nigdy nie zdradzi Armanda, nigdy. Nie by³a debutantk¹, któr¹ mo¿na poddawaê próbom na wieczorkach tanecznych.

Nagle poczu³a siê g³upio, ¿e mimowolnie da³a siê wci'gn¹ae w toczon¹ przez wuja rozgrywkê, A jeszcze bardziej g³upio siê poczu³a, gdy tego samego dnia po po³udniu do Czerwonego Krzy¿a zadzwoni³ Lyman Lawson. Zaprosi³ j¹ na kolacjê nastêpnego wieczoru, odpar³a jednak, ¿e jest bardzo zajêta. Nie on jeden zreszt¹ zadzwoni³ - odezwa³ siê te¿ makler gie³dowy i Liane z za¿enowaniem dosz³a do wniosku, ¿e wuj stara³ siê przekonaê wszystkich, i¿ jego bratanica jest kobiet¹ woln¹. Gdyby oœwiadczy³a teraz, ¿e jest mê¿atk¹, jej wuj wyszed³by na ³garza.

Sprawy zaczê³y wygl¹daæ jeszcze gorzej, kiedy kilka dni póŹniej w gazecie ukaza³ siê artykulik o przyby³ej z Waszyngtonu uroczej bratanicy George'a Crocketta, któr¹ wojna rozdzieli³a z mê¿em i która zamieszka³a w San Francisco. Artyku³ informowa³ nawet, ¿e owa dama w najbli¿szej przysz³oœci zamierza odwiedziæ Reno i pozostae tam przez szeœæ tygodni.

- Wuj, jak mog³œe?! - Sta³a na œrodku biblioteki, wymachuj¹c gazet¹.

- Nic im nie powiedzia³em. - Nie sprawia³ wra¿enia stropionego. By³ przekonany o s³usznœoci swoich poczynañ.

- Ale¿ musia³œe coœ powiedzieæ. Poza tym Lyman Lawson znów dzisiaj do mnie dzwoni³. Do licha, co mam im powiedzieæ?

- e któregoœ dnia chêtnie zjesz z nimi kolacjê.

- Ale ja nie mam na to najmniejszej ochoty.

- Na pewno wysz³oby ci to na dobre.

- Jestem mê¿atk¹! Mê¿atk¹!!! Nie rozumiesz?!

- Znasz moje zdanie na ten temat, Liane.

- I ty znasz moje. Jak byœ wyjaœni³ dziewczynkom, ¿e zdradzam ich ojca? Spodziewasz siê, ¿e po prostu zapomn¹ o jego istnieniu? S¹dzisz, ¿e ja mog³abym zapomnieæ?...

- Mam nadzieję, że z czasem tak w³aczenie siê stanie.

Nie wiedzia³a, jak rozwi¹zaæ ten konflikt. Wuj wieczorami zaprasza³ goœci, wpada³ ze znajomymi na drinka, porywa³ Liane z Czerwonego Krzy¿a na lunch z przyjaci³ami. Nied³ugo przed œwiêtami nabra³a przekonania, że zna ju¿ ka¿dego wolnego mê¿czyznê w mieœcie i ¿aden z nich nie postrzega jej jako kobiety zamê¿nej. By³oby to mo¿e zabawne, gdyby nie doprowadza³o jej do sza³u. Szuka³a ucieczki w pracy i w towarzystwie córek, unika³a te¿ jak mog³a zaproszeñ.

- Kiedy zamierzasz wyjœæ w koñcu z tego domu, Liane? - zaatakowa³ kiedyœ wuj George w czasie wieczornej gry w domino.

- Jutro, jak pójdê do pracy - odpar³a, zamachawszy rêkoma.

- Mia³em na myœli wyjœcie wieczorne.

- Jak skoñczy siê wojna i wróci mój m¹¿. Czy twoim zdaniem jest to termin dostatecznie bliski, czy te¿ chcesz, że bym wyprowadzi³a siê natychmiast? - krzyknê³a na niego, czuj¹c jednocześnie wyrzuty sumienia z tego powodu. - B³agam ciê, wujku, zostaw mnie w spokoju. To ciê¿ki okres dla nas wszystkich, nie pogarszaj go. Wiem, że masz dobre intencje, ale nie zamierzam umawiaæ siê z synami wszystkich twoich przyjaci³.

- Powinnae dziêkowaæ Bogu, że chc¹ siê z tob¹ umawiaæ.

- A to dlaczego? Dla nich jestem po prostu dziedziczk¹ Linii ðeglugowych Crocketta.

- I to ciê odstrêcza? Zapewniam, że widz¹ w tobie coœ wiêcej. Jesteœ piêkn¹ i cholernie inteligentn¹ kobiet¹.

- Dobrze ju¿, dobrze. Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że jestem mê¿atk¹. W koñcu ich rozmowê mimochodem us³ysza³y dziewczynki.

- Dlaczego wuj chce, że byœ umawia³a siê z innymi panami?

- Bo oszala³ - warknê³a i zaczê³a przebieraæ siê do pracy.

- Naprawdê? - zainteresowa³a siê Marie-Ange. - Chcesz powiedzieæ, że jest stetrycza³y?

- Nie, chcê powiedzieæ... Na mi³oœæ bosk¹, dajcie mi spokój! - W³acziwy problem polega³ na tym, że od dwóch tygodni nie dosta³a od Armanda listu i odchodzi³a od zmys³ów z obawy, że coœ mu siê przydarzy³o. Tym lêkiem nie mog³a siê jednak podzieliæ z córkami.

- Pos³uchajcie, wujek George chce dobrze, a sprawa jest zbyt skomplikowana, że byœcie zrozumia³y. Najlepiej zapomnijcie o wszystkim.

- To co? Bêdziesz siê spotykaæ z innymi panami? - spyta³a wyraŹnie zatroskana Marie-Ange.

- Oczywiście, że nie, g³uptasie. Jestem ¿on¹ waszego tatusia.

- Wydawa³o siê jej, że przez ostatnie dni powtarza tê kwestiê w nieskoñczonoœæ.

- Na statku bardzo ciê lubi³ pan Burnham. Czasem tak na ciebie patrzy³... jak na skarb.

Dzieci wszystko zauwa¿¹, pomyœla³a Liane, przesta³a siê ubieraæ i popatrzy³a na córkê.

- To bardzo mi³y cz³owiek - powiedzia³a. - W pewnym sensie on te¿ sta³ siê dla mnie skarbem. Jesteœmy dobrymi przyjaci³ami, ale to wszystko. No i on te¿ jest ¿onaty.

- Nie, wcale nie jest.

- Ale¿ oczywiście, że jest. - Dzieñ siê w³acziwie nie zacz¹³, a Liane ju¿ czu³a zmêczenie. Nie mog³a doczekaæ siê chwili, kiedy nareszcie wyjdzie z domu. - Pozna³yœcie jego ¿onê w zesz³ym roku na "Normandie". Bawi³yœcie siê z jego synem, Johnem.

- Pamiêtam, ale przeczyta³am wczoraj w gazecie, ¿e siê rozwodzi.
- Naprawdê? - Serce Liane zamar³o na chwilê. - Gdzie?
- W Nowym Jorku.
- Pytam, gdzie przeczyta³aœ. - Szukaj¹c wieœci o wojnie, przebieg³a wzrokiem tylko pierwsz¹ stronê, tym bardziej ¿e spieszy³a siê do pracy.
- Nie wiem. Pisali, ¿e strasznie siê ze sob¹ pok³ócili i ¿e pan Burnham wyst¹pi³ o rozwód, i ¿e chce zatrzymaæ swojego syna, i ¿e ona mu nie pozwala.

Liane zdrêtwia³a. Dziêki pomocy s³u¿¹cej odnalaz³a gazetê. Marie-Ange mia³a s³usznocæ; wszystko to rzeczywiêcie napisano w artykule na stronie trzeciej. Wedle doniesieñ Nicholas Burnham wda³ siê ze swoj¹ ¿on¹ w ostry konflikt. Hillary Burnham i Philip Markham wywo³ali skandal w Nowym Jorku, Burnham wyst¹pi³ wiêc o rozwód, wymieniaj¹c Markhama jako przyczynê. W dodatku domaga³ siê opieki nad synem, trudno jednak by³o przewidzieæ, czy odniesie w tej sprawie sukces.

Ju¿ w pracy Liane czu³a ogromn¹ pokusê, by zadzwoniæ do Nicka, lecz jak zwykle od³y³a s³uchawkê, zanim wykrêci³a numer. Nawet jeœli on siê rozwodzi, ona pozostaje w swoim zwi¹zku. Z jej punktu widzenia nic siê nie zmieni³o. Nic. Nawet uczucia do Nicka. Ani do Armanda.

Rozdzia³ dwudziesty ósmy

Tydzieñ przed œwiêtami Bo¿ego Narodzenia Nick Burnham wkroczy³ do biura swojego adwokata.

- Czy jest pan umówiony z panem Greerem, sir? - zapyta³a sekretarka.
- Nie, nie jestem.
- Pan Greer rozmawia teraz z klientem i obawiam siê, ¿e potem udaje siê do s¹du.
- Poczekam.
- Ale¿ nie mogê... - zaczê³a wypowiadaæ rytualn¹ formu³ê, pochwywszy jednak jego spojrzenie, niemal cofnê³a siê o krok. By³ przystojnym mê¿czyzn¹ budz¹cym zaufanie, lecz teraz sprawia³ wra¿enie cz³owieka, który najlêiej nawet sprowokowany, gotów jest zabiaæ. Nigdy nie spotka³a siê z osob¹ tak rozwœcieczon¹. - Czy wolno wiedzieæ, z kim mam przyjemnocæ?
- Nick Burnham.

Zna³a to nazwisko, zniknê³a wiêc natychmiast, a dziesiêæ minut póŹniej, po wyjœciu poprzedniego klienta, wprowadzi³a Nicka do gabinetu Bena Greera.

- Czeœæ, Nick. Co u ciebie?
- W porz¹dku. Mniej wiêcej.
- Och, ch³opie... - Greerowi wystarczy³o jedno spojrzenie, aby poj¹æ, ¿e Nick prze¿ywa k³opoty. Oczy mia³ podkr¹¿one, a szczêki zaciska³ tak mocno, ¿e niemal widaæ by³o, jak bezskutecznie próbuje prze³kn¹æ wœciek³ocæ.
- Mia³byœ ochotê na drinka?
- Wygl¹dam a¿ tak kiepsko? - RozluŹni³ siê odrobinê, usiad³ w fotelu i zdoby³ siê na zmêczony ucemiech. - Chyba rzeczywiêcie sprawy nie uk³adaj¹ siê najlepiej.
- Tak te¿ mi siê wydaje. W przeciwnym razie nie zaszczyci³byœ mnie wizyt¹. W czym mogê ci pomóc?
- Zabij moj¹ ¿onê - powiedzia³ takim tonem, jakby rzuca³ dowcip, ale Ben Greer wcale nie mia³ pewnocæci, czy to tylko ¿art. Widywa³ ju¿ mêskie twarze

o podobnym wyrazie, pamięta³ też taki przypadek w swojej karierze, kiedy broni³ klienta w sprawie o morderstwo, zamiast być jego rzecznikiem w sprawie rozwodowej. Nick westchn¹³ g³ęboko, opad³ na oparcie fotela i zmierzwi³ d³oni¹ w³osy. Potem sm³ętnie popatrzy³ na Greera. - Wiesz, stara³em się utrzymać nasze mał³żeństwo, chcia³em, żeby przetrwa³o jeszcze z dziesięć lat, ale to na nic. - Historia ich konfliktu nie by³a w Nowym Jorku tajemnic¹ i Greer też j¹ dobrze zna³. - Kiedy w lipcu wróci³em z Europy, wyra³nie da³em jej do zrozumienia, że chc³ę ten zwi¹zek utrzymać. Ale potem... - szuka³ w³acęciwych s³ów. - Przerodzi³o się to w mał³żeństwo z rozs¹dku, mimo wszystko ja obstawa³em przy swoim. Dla dobra dziecka... - Greer skin¹³ g³ow¹. Takich opowieści wys³uchiwa³ tysi¹ce. - Romansowa³a wtedy z Philipem Markhamem. Trwa³o to mniej więcej od roku. I wyra³nie da³em jej do zrozumienia, że ma woln¹ r³ekę, ale nigdy nie zgodz³ę się na rozwód. I wiesz, co ten sukinsyn wczoraj zrobi³?

- No?... Gadaj.

- Przystawi³ spłuw³ę do g³owy mojego syna!... Jak wróci³em z pracy, Markham siedzia³ w salonie, granitowo spokojny, i trzymaj¹c rewolwer przy g³owie Johnny'ego, oświadczy³, że jeżeli nie zwróc³ę wolności Hillary, zabije mojego syna. - Nick opowiada³ tę historię z poblad³¹ twarz¹. Prawnik zmarszczy³ czo³o. Wygl¹da³o to naprawdę dramatycznie.

- Czy broń by³a na³adowana?

- Nie, ale wtedy tego nie wiedzia³em. Zgodzi³em się na rozwód... on opuści³ broń... - Nick zamyci³ się, zaciskaj¹c d³onie w pięści.

- I co potem?

- Dopieprzy³em mu. Ma z³amane trzy żebra, r³ekę i wybite dwa z³ęby. Hillary wyprowadzi³a się wczoraj wieczorem. Usi³owa³a zabrać Johna, ale powiedzia³em, że jeżeli kiedykolwiek go dotknie albo pojawi się w domu, zabij³ę j¹ i Markhama. I na Boga, mówi³em poważnie.

- Cóż, masz zatem podstawy do wyst¹pienia o rozwód. S¹dzisz, że potrafi³być dowiedzieć jej niewierności?

- Bez najmniejszego trudu.

- Tylko na jakiej podstawie mia³być się domagać opieki nad synem?

- Potrzeba czegoś więcej?... Przecież grozi³ broni¹ mojemu dziecku!

- Broń nie by³a na³adowana. I zrobi³ to Markham, a nie twoja żona.

- Ale ona bra³a w tym udział³. Siedzia³a tam sobie i spokojnie pozwoli³a mu na to wszystko.

- Przypuszczalnie wiedzia³a, że broń nie jest na³adowana. Przyznaj³ę, że to kiepski dowcip, ale nie daje podstaw do wyst¹pienia o opiekę nad dzieckiem.

- Ale tak¹ podstawę daj¹ wszystkie inne fakty. Hillary jest beznadziejn¹ matk¹, Johnny jej w ogóle nie obchodzi i nie obchodzi. Jak by³a z nim w ci¹ży, chcia³a robić skrobankę. Traktuje go jak powietrze. Kiedy po wybuchu wojny utkn¹³em w Europie, na dziesięć miesięcy podrzuci³a go swojej matce i aż do mojego powrotu nie widywa³a się z nim prawie wcale. To wyrodna matka. Wyrodna, s³yszysz?

Nick mówi³ w gor¹czce, chodz¹c w t³e i z powrotem po gabinecie. Nie należa³o s³uchać Liane. Powinien by³ już przed pół rokiem rzucić Hillary i wyst¹pić o opiekę nad dzieckiem. Nie zrobi³ tego jednak i przez to straci³ również Liane. Gdyby by³ wolny, kto wie, jak by się wszystko potoczy³o? Mimo up³ywu czasu utratę Liane odczuwa³ z nie s³abn¹c¹ moc¹.

- Czy ona jest sk³onna zrezygnować z opieki nad synem?

Nick oderwa³ myśli od Liane i pokręci³ g³ow¹. - Boi się, co b³ęd¹ mówić

ludzie, jeżeli zrezygnuje z syna. Boi się, że uznaj¹ j¹ za dziwkê i pijaczkê... A chocia¿ jest i dziwk¹, i pijaczk¹, za nic nie przyzna siê do tego przed ca³ym miastem. A zreszt¹ co za ró¿nica, do cholery, skoro sypia³a tu z wszystkimi facetami? - Ostatnimi czasy wszak¿e by³o inaczej, Nick musia³ to przyznaæ. Hillary by³a wierna Markhamowi, choæ w³asnego mê¿a zdradza³a na potêgê.

- Czeka ciê ciê¿ka walka, Nick. Przy takich dowodach rozwód to drobiazg, zw³aszcza jeżeli Hillary rzeczywiêcie go chce, ale z opiek¹ nad dzieckiem bêdzie du¿y problem. Przysiêgli zazwyczaj opowiadaj¹ siê po stronie matki, o ile nie jest chora psychicznie i leczona w zak³adzie zamkniêtym. Nawet jeżeli, jak to uj³eæ, jest pijaczk¹ albo dziwk¹, to prawdopodobnie nie wystarczy. S¹dy ¿ywi¹ g³êbokie przekonanie, że opiekê nad dziećmi powinny sprawowaæ kobiety, nie mê¿czyŹni.

- Ale nie w tym wypadku.

- Byæ mo¿e masz s³usznocæ, tylko że bêdziemy musieli tego dowieæ. Czeka nas wstrêtna walka. Bêdziesz musia³ wygrzebaæ ka¿d¹ grudkê b³ota, jak¹ uda ci siê znaleŹæ. Naprawdê chcesz wci¹gaæ w to syna?

- Nie chcê. Ale jeżeli bêdê musia³, zrobiê to. Jeżeli mi powiesz, że nie mam wyboru, rozpoczniemy kampaniê obrzucania b³otem i bêdziemy j¹ ci¹gn¹æ w nieskończonoæ. Przez wszystkie te lata dostarczy³a mi ogromnej iloœci amunicji. Zamierzam teraz zu¿yæ ca³¹, do ostatniego pocisku. W koñcu idzie o dobro Johnny'ego.

Greer skin¹³ g³ow¹. Lubi³ trudne sprawy. - Byæ mo¿e masz s³usznocæ, że ona w gruncie rzeczy nie chce ch³opca. W takim razie na pewno ostatecznie da za wygran¹.

- Mo¿e... - przytackn¹³ Nick, aczkolwiek nie s¹dzi³, żeby do tego dosz³o.

- A tymczasem potrzebujê nakazu s¹dowego zabraniaj¹cego Markhamowi zbli¿ania siê do mojego syna.

- Gdzie jest teraz ch³opiec?

- Wci¹¿ w naszym mieszkaniu. Zabroni³em s³u¿¹cej wpuszczaæ Hillary, gdyby przysz³a po swoje rzeczy. Sam odeœlê je do domu Markhama.

- Ma prawo widywaæ siê z dzieckiem.

- Do diab³a z prawem. A przynajmniej tak d³ugo, dopóki sypia z facetem, który przytkn¹³ mu broñ do g³owy.

- Chodzi³o mu o to, żeby wyrzeæ na tobie wrázenie - rzek³ spokojnie Greer, lecz Nick by³ za bardzo zdenerwowany, aby s³uchaæ rozs¹dnych argumentów.

- Owszem, i wiesz co? To wywar³o na mnie wrázenie... To jak, bierzesz tê sprawê czy nie?

- Biorê. Chcia³bym tylko jedn¹ kwestiê postawiæ jasno. Nie mogê gwarantowaæ wyniku, Nick.

- Niewa¿ne. Postaraj siê najlepiej, jak mo¿esz.

- A bêdziesz siê stosowa³ do moich poleceñ?

- Jeżeli uznam je za sensowne. - Uœmiechn¹³ siê i Greer zza biurka pogrozi³ mu palcem. - W porz¹dku, w porz¹dku. Jak d³ugo to potrwa twoim zdaniem?

- Móg³byæ siê zgodziæ na jej wyjazd do Reno po rozwód. W ten sposób zajê³oby to raptem szeœæ tygodni. Ale sprawa o opiekê mo¿e potrwaæ d³ugo.

- Jak d³ugo? Nie chcia³bym, żeby to wisia³o nad Johnem. Ani nade mn¹.

- Mo¿e rok.

- Jasny gwint!... Ale jeżeli wygram, ona zniknie z jego ¿ycia na dobre, tak?

- Możliwe. Mógłby też próbować j' przekupiać.
- Nick pokręci' g'ow'. - To się nie uda. Ma fundusz powierniczy na sześć milionów dolarów, a i Markham jest wart kupić forsy.
- Więc odpada. Pozostaje nam wygrać w uczciwej walce.
- Ale gdyby nie mógł wygrać uczciwie, oszukuj. - Na usta Nicka wypłyn' ucemiach, który Greer po chwili odwzajemni'.
- Podsuń mi tylko pomys', a na pewno go wykorzystam. Tak czy inaczej, jeszcze dzie' za'atwi' ci nakaz, o który prosic'.
- Zerkn' na zegarek. - Za p' godziny powinienem by' w s'dzie. Musimy si' spotka' i zaplanowa' nasz' kampani'. Co powiesz o przysz'ym tygodniu?
- Nick sprawia' wra'enie rozczarowanego. - A nie da'oby si' szybciej?
- Sprawa trafi na wokand' nie wczesniej ni' za sze' miesi'cy.
- Dobra. Ale Ben... - przeci'gle popatrz' na adwokata. - Zapami'taj jedno.
- Co mianowicie?
- Ja zamierzam wygra'.

Rozdzia' dwudziesty dziewi'ty

Nick nie widzia' Hillary przez kilka dni, a kiedy zjawi'a si' wreszcie w mieszkaniu, ju' na ni' czeka'. Wsz'a u'zywaj'c swojego klucza, w porze gdy Nick zwykle by' w pracy, i na palcach pobieg'a na g'.

Nick podejrzewa' jednak, 'e Hillary tak w'a'enie post'pi, tote' od jej odej'cia nie chodzi do biura. Wszelkie telefony przyjmowa' w domu, nie puszcza' te' Johnny'ego do szko'y. Ch'opiec by' w swoim pokoju, kiedy Hillary otworzy'a drzwi. Nick w okamgnieniu znalaz' si' za ni'.

- Wyno' si' z tego domu.

Podskoczy'a, us'yszawszy jego g'os za plecami, odwróci'a si' i wtedy Nick zobaczy' jej poblad' wystraszon' twarz. Najwyra'niej ba'a si', 'e j' uderzy.

- Przysz'am po mojego syna. - Usi'owa'a zachowywa' si' nonszalancko, ale dygota'a na ca'ym ciele. Potem zwróci'a si' do Johna. - Pakuj si', idziesz ze mn'.

Ch'opiec pyta'co spojrz'a na ojca.

- Johnny, prosz' zaczeka' w moim gabinecie, chc' porozmawia' z twoj' matk'.

- Pakuj si' - powtórzy'a Hillary bliska hysterii.

Nick przeszed' przez pokój, wzi' przestraszone dziecko za r'ê i wyprowadzi' je do holu.

- Tatusiu, czy ona mnie zabierze?

- Nie, nie zabierze, wszystko b'dzie dobrze. Jest po prostu zdenerwowana. A teraz zaczekaj na dole. B'd' grzecznym ch'opcem.

- Odprowadzi' wzrokiem syna id'cego po schodach, po czym zawróci' do pokoju Johna, gdzie Hillary wrzuci'a do walizki jego rzeczy. - Nie marnuj czasu, Hil. Zaraz wzywam policj'. Niech ci' wyrzuc' st'd na zbit' twarz. Chyba 'e wyjdiesz natychmiast i oszcz'dzisz mi fatygi?

- Nie mo'esz tu przetrzymywa' mojego dziecka. Zabieram je ze sob'. - Odwróci'a si' z ogniem w oczach.

- Jeste' dziwk'. Nie zas'ugujesz na to, 'eby by' jego matk'.

- Z rozmachem wymierzy'a mu policzek. Nick przytrzyma' jej r'ê.

- A teraz wynoœ siê z mojego domu. Wracaj do tego sukinsyna, bo ja ciê tu nie chcê.

Hillary patrzy³a na niego z bezsiln¹ wœciek³oœci¹. Wiedzia³a, ¿e przegrywa tê potyczkê. Ale wiedzia³a te¿, ¿e wygra nastêpn¹. Bez wzglêdu na wszystko. Wygra.

- Mój syn nale¿y do mnie.

- W ¿adnym razie, skoro ¿yjesz z facetem, który przytkn¹³ mu rewolwer do g³owy, aby wymusiæ na mnie zgodê na rozwód. Wnioskujê, ¿e otrzymaliœcie nakaz s¹dowy.

Skinê³a g³ow¹. - Markham dosta³ go wczoraj rano.

- To dobrze, a teraz wynoœ siê st¹d, zanim wezwê gliny.

- Nie odbieraj mi syna, Nick... - Zmieni³a taktykê na prosz¹c¹ i Nick musia³ siê z ca³ych si³ hamowaæ, ¿eby jej nie uderzyæ. Pchn¹³ drzwi i zaczeka³, a¿ Hillary wyjdzie z pokoju.

- Dot¹d nie chciaæ go nigdy i nie widzê powodu, dla którego teraz mia³oby siê coœ zmieniaæ.

- Jeceli go nie dostanê, moje imiê zostanie zmieszane z b³otem - rozp³aka³a siê.

Matka Philipa ju¿ teraz sprawia³a im powa¿ne k³opoty. Markham przepuœci³ wiêszoœæ swojego maj¹tku na cztery poprzednie ¿ony i matka by³a mu potrzebna, aby wykupywaæ jego d³ugi i w przysz³oœci pozostawiæ w spadku fortunê. Zapowiedzia³ Hillary, ¿e musi dostaæ ch³opca, w przeciwnym bowiem razie Bóg jeden raczy wiedzieæ, co sobie pomysli mamusia. Musi go dostaæ, bez wzglêdu na wszystko. I Hillary obieca³a, ¿e siê postara. Zna³a jednak Nicka, a patrz¹c nañ teraz jasno pojê³a, ¿e sprawa bêdzie trudna.

- Wynoœ siê.

- Kiedy bêdê mog³a siê z nim zobaczyæ?

- Jak sprawa stanie przed s¹dem.

- To znaczy?

- Mo¿e latem przysz³ego roku.

- Zwariowa³eœ?! Do tego czasu nie bêdê mog³a zobaczyæ swojego dziecka?

Nie by³o to zgodne z tym, co powiedzieli Nickowi adwokaci, ale nie przejmowa³ siê tym ani trochê. Nie zamierza³ dopuœciæ tej kobiety w pobli¿e Johna. Wci¹¿ dygota³ z wœciek³oœci na wspomnienie chwili, kiedy Markham trzyma³ lufê rewolweru przy g³owie ch³opca, a Hillary siedzia³a obok jakby nigdy nic. Mog³a wprawdzie wiedzieæ, ¿e broñ nie jest na³adowana, lecz na pewno nie wiedzia³ o tym Johnny. By³ przera¿ony, mia³ œmiertelnie blad¹ twarz i oddycha³ z najwy¿szym trudem. Na myœl o tym w Nicku budzi³o siê pragnienie zamordowania ¿ony.

- Po tym, co zrobi³aœ, nie zas³ugujesz na to, ¿eby go kiedykolwiek zobaczyæ.

- Gówny zrobi³am - wrzasnê³a. - Philip po prostu chcia³ ciê przestraszyæ.

- Gratulacje, uda³o mu siê. Mam nadziejê, ¿e bêdziecie bardzo szczêliwi.

On jest idealnym partnerem dla ciebie, Hil. Bardzo ¿a³ujê, ¿e nie spotkaliœcie siê wczêœniej. - Chwyci³ j¹ za ramiê, wyci¹gn¹³ do holu i pchn¹³ w kierunku schodów. - A teraz wynoœ siê, zanim ciê st¹d wykopiê.

Przez chwilê patrzy³a na niego dziwnym wzrokiem; gdyby zrealizowa³ swoj¹ gro¿bê, mimowolnie poszed³by jej na rêkê. Przytrafi³a siê jej ci¹¿a, któr¹ chcia³a usun¹æ. Philip przysi¹g³ jej na wszystko, ¿e znajdzie kogoœ, kto przeprowadzi zabieg w New Jersey, bo tak samo jak ona - nie chcia³ dziecka. Gdyby jednak nie trafi³ na osobê godn¹ zaufania, uzna³, ¿e powinni wzi¹æ œlub, i to jak najszybciej. St¹d wzi¹³ siê pomys³ z broni¹: musieli siê

pobraæ, zanim jego matka coæ wywêszy.

- Nick, jeæeli bêdziesz mi grozi³, Philip ciê zabije.

- Niech tylko spróbuje.

Pos³a³ mu wœciek³e spojrzenie i ruszy³a ku drzwiom. Nie mog³a uwierzyæ, ðe kiedyæ by³ to jej dom. Nie odczuwa³a z nim ðadnego zwi¹zku, zawsze zreszt¹ tak by³o. Do Nicka nie ðywi³a nigdy nawet cz¹stki tego uczucia, którym teraz darzy³a Philipa. Doszed³szy do drzwi wyjœciowych, odwróci³a siê i twardo spojrze³a na mêt¹a.

- Nigdy nie wygrasz przed s¹dem tej sprawy, Nick. Nigdy. Johna oddadz¹ mnie, zobaczysz.

- Po moim trupie.

- Och... - uœmiechnêt³a siê s³odziutko. - To doprawdy urocza perspektywa.

Kiedy wysz³a, Nick odnalaz³ w bibliotece Johna pop³akuj¹cego cichutko na sofie. Usiad³ obok syna i czule pog³adzi³ go po g³owie.

- W porz¹dku, tygrysie. Ju¹ dobrze.

Johnny odwróci³ siê do ojca. - Nie chcêt³ mieszkaæ z ni¹ i z tym panem.

- Chyba nie bêdziesz musia³.

- Jesteæ pewien?

- Prawie. To potrwa, ale wygramy. Pójdziemy do s¹du i poka¹emy im, co potrafimy. - Pochyli³ siê i poca³owa³ ch³opca w g³owêt.

- A po zimowych feriach, przyjacielu, wrócisz do szko³y i wszystko bêdzie po staremu. Z jednym wyj¹tkiem: bêdziemy siê rz¹dziaæ we dwóch. Bez mamy.

- Myœla³em, ðe ten pan chce mnie zabiaæ.

Nick zacisn¹³ zêt³y. - Ja bym jego zabi³, gdyby tylko spróbowa³.

- PóŸniej zmusi³ siê do uœmiechu. Wiedzia³, ðe wraz z synem musz¹ sobie u³o¹ÿæ w miarê normalne ðycie. - Nic podobnego nigdy ju¹ siê nie zdarzy.

- A jeæeli wróc¹?

- Nie mog¹.

- Dlaczego?

- To zbyt skomplikowane, ðebyæ zrozumia³, ale z grubsza wygl¹da to tak, ðe Markham otrzyma³ od s¹du zakaz zbli¹ania siê do ciebie.

Tego samego popo³udnia, kiedy Johnny bawi³ siê w swoim pokoju, Nick poczyni³ pewne nowe kroki. W nowojorskim wydziale policji wynaj¹³ mianowicie trzech ochroniarzy, by na zmianêt³ czuwali nad nim przez ca³¹ dobêt. Zawsze jeden mia³ towarzyszyæ ch³opcu - w mieszkaniu, w szkole, w parku. Mieli siê staæ cieniami Johna.

Nazajutrz z uczuciem ulgi Nick przeczyta³ w rubryce towarzyskiej nowojorskiej gazety, ðe Hillary i Philip udali siê do Reno. Zaraz po wydarzeniu z broni¹ adwokat Nicka powiadomi³ Hillary, ðe jej m¹ÿ godzi siê na rozwód w Reno, co oznacza³o, i¹ bêdzie on ca³kowicie legalny. Hillary zatem nie traci³a czasu. Spieszy³a siê, aby uzyskaæ rozwód i poœlubiaæ Philipa Markhama.

Nick mia³ wiêc powód do radoœci. By³a to Wigilia i chcia³ ten wieczór spokojnie spêdziaæ z Johnnym. Zjedli kolacjê w domu, a w pierwszy dzieñ œwi¹t poszli pobawiaæ siê do parku. Nick kupi³ Johnny'emu rower, pi³kê i narty. Ch³opiec wypróbowa³ narty na ma³ym pagórku pokrytym œniegiem. Ochroniarz przygl¹da³ mu siê z uœmiechem na twarzy. Johnny by³ mi³ym dzieciakiem, a Nick dobrym ojcem. Ochroniarz mia³ nadziejê, ðe Nick wygra tê sprawêt. A tymczasem z ca³¹ pewnoœci¹ nikt Johnowi nie zagrozi.

- Wesołych  wi t, wujku. - Liane wr czy a mu wielk  paczk .

George zdumiony podni s wzrok. Siedzieli wok  choinki ustawionej w bibliotece na dole. W tym domu nie stawiano choinki od lat, ale George pragn , aby dziewczynki mia y tego roku pi kne  wi ta.

- Nie powinny  kupowa  mi prezent w. - Zrazu zak opotany, otworzy  paczk  i z zadowoleniem wyj s z niej jedwabny granatowo-bordowy szlafrok. A do tego sk rzane ranne pantofle. Liane pokpiwa a niewinnie ze znoszonego stroju, kt rego u ywa  jej wuj, on za  odpowiada ,  e ma go od czterdziestu lat i niezmiernie lubi. Od dziewczynek dosta  nowy zegarek kieszonkowy, kt ry dostarczy  im co najmniej tyle samo rado ci co obdarowanemu. Liane pomog a im wybra  go u Shreve'a. Poza tym w szkole wykona y dla wuja inne drobne podarki - popielniczki, ozdoby choinkowe, a Elisabeth odcisk swojej d oni w glinie. Te  wi ta sprawi y,  e w oczach George'a zakr ci y si   zy. Liane by a bardzo zadowolona,  e chocia  raz mog y co  zrobi  dla wuja, kt ry dla nich uczyni  tak wiele.

Zjedli w domu obiad  wi teczny, p  niej za  pojechali obejrza  udekorowane miasto. Ju  siedz c w samochodzie Liane zda a sobie spraw ,  e niepokoi si  o Armanda i zastanawia, w jakim nastroju sp dza  wi ta jej m   w Pary u. Podejrzewa a,  e w ponurym, przepe nionym t sknot  za ni  i dziewczynkami. Po raz pierwszy od jedenastu lat sp dzali Bo e Narodzenie osobno. Liane z t pym b lem w piersi t umi a pragnienie, aby znale  si  przy Armandzie.

Kiedy zatrzymali si  obok  wi tego Franciszka na herbat , wuj George spostrzeg  wyraz jej oczu i tak  poczu  smutek. Chcia ,  eby Liane zapomnia a o m  u,  eby pozna a kogo  innego, wiedzia  jednak,  e w czas Bo ego Narodzenia pami a o m  u wr ci do niej ze zdwojon  si .

- Wujku, wujku, popatrz!... - Dziewczynki oderwa y uwag  obojga od tych rozmy la . Odkry y ustawiony we foyer olbrzymi marcepanowy dom. By  tak wielki,  e mog y wej  do  rodka, a pokrywa y go tysi ce cukiereczk w i tony waty cukrowej. - Patrzcie!

Liane z ucemiechem stan a obok c rek, my lami jednak by a bardzo daleko. Od wielu ju  dni prze ladowa  j  ci g y niepok j o Armanda.

- Monsieur de Villiers?

Podni s spojrzenie znad biurka. By  wigilijny wiecz r, ale Armand nie mia  powod w, aby zrobi  sobie wolny dzie . Kilka innych os b tak  stawi o si  w biurze. Panowa a w nim od tygodni atmosfera pe na napi cia. W ci gu ostatnich miesi cy Ruch Oporu tak bardzo wzm g  aktywno a, i  ludzie Petaina musieli wk ada  wiele trudu w uprzedzanie jego poczyna . Niemcom ca a ta sytuacja nie wydawa a si  zabawna. Aby zaakcentowa  swoje niezadowolenie, przed dwoma dniami urz dzili pierwsz  publiczn  egzekucj : Jacques Bonsergent zosta  rozstrzelany za "akt przemocy wobec oficera armii niemieckiej" i Pary  pogr  y  si  w  a obie, kt rej nie pomniejszy o nawet z agodzenie rygor w godziny policyjnej z okazji Bo ego Narodzenia. Zezwolono, aby kawiarnie by y tej nocy otwarte do 2.30 nad ranem, ruch miejski natomiast mia  prawo bytu do trzeciej. Po rozstrzelaniu Bonsergenta nikt nie chcia  jednak korzysta  z tej swobody, wyj wszy oczywi cie Niemc w.

Silny ch d, kt ry tego roku panowa  w Pary u, korespondowa  z nastrojem Armanda. Kiedy siedzia  za biurkiem, rozmy laj c o Liane i c rkach, jego palce by y zdr twia e z zimna.

- Widzia³ pan to? - Gorliwy m³ody asystent Armanda ze wzgard¹ wręczy³ mu arkusik papieru. By³a to gazetka zatytu³owana "La Resistance" i datowana na 15 grudnia 1940 roku. Obwieszcza³a, że jest pierwszym wydaniem jedyne go w swoim rodzaju biuletynu, publikowanego przez Narodowy Komitet Bezpieczeństwa Publicznego, i że prezentuje wydarzenia "tak, jak się naprawdę rozgrywa¹", w przeciwieństwie do propagandy rozpowszechnianej przez si³y okupacyjne. Biuletyn donosi³ o demonstracjach studenckich, które mia³y miejsce w listopadzie i doprowadzi³y do zamknięcia 12 listopada Sorbony, sygnalizowa³ także wzmo³żon¹ aktywność podziemia. Teraz, czyli w grudniu, Ruch Oporu mia³ się wyra³nie wzmacniać. "B¹d³ćcie m³ni, przyjaciele - pisano w gazecie. - Pokonamy zdrajców i szkopów. Francja przetrwa mimo wszystko... Niech żyje de Gaulle!"

Armand przeczyta³ tekst i³uj¹c, że nie może pokazać gazetki Liane. Nie o³mieli³by się przes³ać jej w liceum, który mogliby przechwycić Niemcy, ba³ się też zatrzymać j¹ przy sobie. Odda³ zatem biuletyn asystentowi zastanawiaj¹c się, co porabia Jacques Perrier. Latem wyjecha³ do Mers-el-Kebir w Algierii, gdzie zebrali się wierni de Gaulle'owi Francuzi. Tam w³acenie flota francuska ponios³a poważne straty w sprzęcie i ludziach - zginę³o oko³o tysi¹ca osób. Armand dowiedzia³ się przed paroma miesi¹cami, że Jacques Perrier żyje. Mia³ nadzieję, iż jego by³y sekretarz przetrwa tę wojnę. Nowy natomiast wyczekuj¹co patrzy³ teraz na szefa, czyhaj¹c na jego reakcję.

- To niewiele warte, niech pan się nie przejmuj - rzek³ Armand.

- (Ewinie!... Nazywaj¹ się prawdziw¹ pras¹).

Dzięki Bogu choć za to, pomyśla³ Armand, zastanawiaj¹c się równocześnie, dlaczego ten m³ody cz³owiek darzy Niemców aż tak¹ sympati¹. Możliwość pracowania dla Armanda, który pełni³ funkcję ³icznika pomiędzy ekip¹ Petaina a w³adzami okupacyjnymi, wprawia³a go niemal w ekstazę. Od kolaboruj¹cej z faszystami administracji oczekiwano, że będzie meldowa³ o kolekcjach dzie³ sztuki, które mia³y być przekazywane Niemcom, o ³ydach zamykanych następnie w gettach oraz o cz³onkach Ruchu Oporu. By³a to praca niezmiernie wyczerpuj¹ca, toteż Armand wygl¹da³ z dnia na dzień gorzej, chociaż w³acenie ten niewdzięczny obowi¹zek pozwala³ fa³szowa³ informacje, ukrywa³ skarby kultury i uprzedza³ zagrożonych, że powinni uciec na po³udnie Francji. M³ody cz³owiek, który wręczy³ Armandowi gazetkę, stanowi³ największ¹ przeszkodę w realizacji tych planów. By³ aż nadto sumienny. Na przyk³ad teraz, mog¹c spędzić ³więta z rodzin¹ lub narzeczon¹, wychodzi³ ze skóry, aby zaimponowa³ Armandowi.

- Czy nie chcia³by pan już pój³ do domu, Marchand? Robi się późno.

- Wyjdę z panem, monsieur - ucieszył³ się. Lubi³ Armanda, w jego mniemaniu by³ to wielki cz³owiek w s³u³bie Francji, w niczym nie przypominaj¹cy owych zdrajców, którzy wraz z de Gaulle'em uciekli do Afryki Północnej. Gdyby jednak mógł w tej chwili odczyta³ myśli Armanda i odkry³ utajone w jego duszy uczucia, zdrza³by ze zgrozy. Lata spędzone w dyplomacji dobrze jednak przys³u³y się Armandowi. Zawsze by³ czaruj¹cy, spokojny, kompetentny i b³yskotliwy. Oto dlaczego Petain potrzebowa³ go tak bardzo i dlaczego naczelne dowództwo niemieckie darzy³o go sympati¹, nie maj¹c wszak absolutnej pewności, czy może mu ufa³ bezgranicznie. Liczy³, że zdobędzie takie zaufanie, lecz tymczasem nie mógł się nim pochwalia³. Rz¹d Petaina by³ wci¹ jeszcze zbyt m³ody, w dodatku tworzyli go Francuzi. Mimo wszystko niew¹tpliwie Armand by³ cz³owikiem bardzo Niemcom potrzebnym.

- Zostanę pewnie jeszcze kilka godzin, Andre.

- Mnie to nie przeszkadza.

- Nie chcia³by pan spędzi³ w domu przynajmniej paru chwil w cewi¹t? -

Przepracowali tu ca³y dzień i m³odzieniec doprowadza³ już Armanda do sza³u.

- Cewi¹ta s¹ dużo mniej wa³ne niż to wszystko.

A có³ tak wa³znego robili? Studiowali nie kończ¹c¹ się list¹e nazwisk ludzi podejrzanych o pochodzenie żydowskie, prawdopodobnie pochodzenia żydowskiego, żydów w po³owie i żydów w jednej czwartej. Jak domniemywano - ukrywaj¹cych się gdzieś na przedmie¹ciach. To zaj¹cie przyprawia³o Armanda o md³oeci, lecz jego asystent je uwielbia³. Armand kiedy tylko móg³, pomija³ ca³e grupy nazwisk albo pali³ listy w kominku w swoim gabinecie.

Wreszcie zdesperowany Armand postanowi³ i¹ce¹ do domu. Nie mia³ już nic do zrobienia i nie móg³ d³u³ej nie przyjmowa³ do wiadomo¹eci tego, i³ mieszkanie, do kt³rego musi wróci³, jest ciche i puste. Podrzuci³ Marchanda pod jego dom w VII arrondissement i jak zwykle t¹skni¹c¹ a³ do bólu za Liane i dziewczynkami, uda³ się na Place du Palais-Bourbon.

- Dobrej nocy, dziewczynki. - Liane poca³owa³a córki w sypialni. -

Weso³ych cewi¹t.

- Mamusiu... - Kiedy zgas³o ostatnie cewi¹ta, Marie-Ange unios³a g³ow¹e z poduszki i Liane zatrzyma³a się w drzwiach.

- Tak?

- Kiedy ostatnio mia³ac¹ wiadomo¹eci od tatusia?

Liane poczu³a ostre uk³ucie smutku i t¹sknoty.

- Jakic¹e czas temu.

- Jak on się ma?

- Doskonale. I bardzo za wami t¹skni.

- Czy mog³abym czasami popatrze³ na jego listy?

Liane zawaha³a się, zanim skin¹e³a g³ow¹. Listy zawiera³y wiele rzeczy, którymi z nikim nie chcia³a się dzieli³, ale w końcu dziecko mia³o prawo do chociaż takiej formy kontaktu z ojcem. Armandowi brakowa³o ci¹gle czasu i papieru, by cz¹sto pisywa³ do córek, albowiem wi¹kszo¹ac¹e energii i my¹eli poświęca³ Liane.

- Mog³aby¹ce.

- Co tatu¹ce pisze?

- e nas kocha, oprócz tego opowiada o wojnie i o tym wszystkim, co się dzieje.

Marie-Ange skin¹e³a g³ow¹ i na ile mo³na się by³o zorientowa³ w s³abym blasku cewi¹ta padaj¹cego z korytarza, odetchn¹e³a z ulg¹.

- Tutaj w szkole nikt nie mówi, i³e tatu¹ce jest faszyst¹.

- Bo nie jest - odpar³a ze smutkiem Liane.

- Wiem. - I po krótkiej przerwie doda³a: - Dobranoc, mamusiu. Weso³ych cewi¹t.

Liane zawróci³a i raz jeszcze uca³owa³a córk¹e. Marie-Ange mia³a prawie jedenac¹cie lat i dorasta³a bardzo szybko.

- Bardzo ci¹e kocham. - Musia³a prze³kn¹æ œlin¹e, aby powstrzyma³ z³zy. - Tatu¹ce te³.

Liane spostrzeg³a, i³e oczy córki s¹ wilgotne.

- Mam nadzieję, i³e wojna szybko się skończy. Tak za nim t¹skni¹e. -

Za³ka³a. - I nienawidzi³am... kiedy... nazywano go... faszyst¹...

- Cichutko, kochanie... cii... my znamy prawd¹e i tylko to się liczy.

Marie-Ange skin¹e³a g³ow¹, przytuli³a się do matki, a potem z westchnieniem opad³a na poduszk¹e. - Chcia³abym, i³eby już wróci³ do domu.

- Wróci. Musimy się tylko modlić, aby stało się to jak najszybciej. A teraz odpij już.

- Dobranoc, mamusi.

- Dobranoc, kochanie.

Cicho zamknęła drzwi i poszła do siebie. Dochodziła ósma wieczorem, zatem prawie piąta nad ranem w Paryżu. W domu przy Place du Palais-Bourbon Armand leżał w słońcu, pogrzebiony w głębokim cieniu czowieka skrajnie wyczerpanego. Cenił o swojej żonie i córkach.

Rozdział trzydziesty pierwszy

W grudniu Roosevelt zrobił sobie dwutygodniowe wakacje i pojechał na ryby na Morze Karaibskie, skąd przywiózł rewolucyjny pomysł - program Lend-Lease dla Anglii. Był to system, dzięki któremu Ameryka mogła za darmo zasilać Wielką Brytanię rezerwami amunicji i środków bojowych, w zamian za co zyskiwała prawo korzystania z brytyjskich baz marynarki wojennej od Nowej Fundlandii po Amerykę Południową. Program ten pozwalał Stanom Zjednoczonym zachować neutralność, a jednocześnie udzielać Anglikom znacznej pomocy. Najprościej rzecz ujmując - pod koniec 1940 roku Ameryka wreszcie wycofała się z rezerwy wobec wydarzeń w Starym Świecie. Teraz wszyscy już się zgadzali, że Hitler stanowi śmiertelne zagrożenie dla Europy, podziw zaś dla Brytyjczyków sięgnął szczytu. Byli mędnym, szlachetnym narodem walczącym o życie. Dochodziła do Londynu apele Churchilla nie odbijały się już o ścianę milczenia: "Dajcie nam narzędzia, a my skończymy pracę..." 6 stycznia Roosevelt wygłosił w Kongresie przemówienie. Dzięki Lend-Lease przagnął dostarczyć Brytyjczykom "narzędzia". Po tym wystąpieniu rozpoczęła się dwumiesięczna dramatyczna debata, która trwała jeszcze, gdy 8 lutego Hillary Burnham powróciła z Reno jako kobieta stanu wolnego.

Przez sześć tygodni mieszkała z Markhamem w hotelu Riverside i jak wszystkie inne kobiety po uzyskaniu rozwodu wrzuciła do rzeki Truckee z otwartą obrączką, którą dostała od Nicka. Pierścieniem z brylantem - również podarunkiem od niego - postanowiła zachować i sprzedać po powrocie do Nowego Jorku. Miała jednak i inne, ważniejsze plany. Usiłowała zobaczyć się z Johnnym pod szkołą, lecz pełniący służbę ochroniarz nie dopuścił do tego. Udała się więc bez uprzedzenia do biura Nicka i mimo protestów sekretarki wdarła się do środka. Stała w drzwiach, ubrana w nowe sobolowe futro, błąskając pierścieniem z brylantem w kształcie gruszki. Klejnot ów nie umknął uwadze Nicka.

- A więc wielki człowiek pracuje - rzekła Hillary z przekłosem. - Audiencję u ciebie trudniej jest uzyskać niż u samego Pana Boga.

Była bardzo pewna siebie, jadłowita i niewiarygodnie piękna, Nick wszakże był niewrażliwy na jej wdzięki. Uniósł spojrzenie znad biurka, jak gdyby przybycie Hillary wcale go nie zaskoczyło.

- Czekaj, Hillary. Czego sobie życzysz?

- Krótko mówiąc, mojego syna.

- Strzelaj dalej. Może będziesz miała więcej szczęścia.

- Tak właśnie się dzieje. Co to za osiołek, który sterczy nad nim jak kwoka?

Oczy Nicka błysnęły nieprzyjemnie. - Wnioskuje, że próbowała się już z nim zobaczyć.

- Masz słusność. Johnny jest także moim dzieckiem.

- Już nie jest. Powinno być o tym pomyśle dawno temu.
- Nie możesz liczyć na to, że machniesz różdżką, a ja zniknę, Nick. Nadal jestem matką Johna.

Nick podniósł się z miejsca i przeszedł przed biurko, patrząc na byłą żonę bezwzględny wzrokiem.

- To dziecko nie obchodzi cię ani trochę - wysycza.

Mylił się jednak. Obchodziło ją. Miała brać cel lub 12 marca, pani Markham zaczęła nie szczędzić komentarzy na temat skandalicznego konfliktu pomiędzy Hillary a Nickiem. Wyczytała sobie, by Hillary uzyskała opiekę nad synem, co mogłoby zapobiec dalszym skandalom.

Razem z Philipem narzabiali już dostatecznie wiele, więc ze sobą bez celu.

- Wychodzę za miesiąc za pięć tygodni i chcę mieć Johnny'ego.

- Po co? żeby ludzie nie gadali? Idź do diabła.

- Należę do mnie. Kochamy go, Philip i ja.

- A to niespodzianka. - Nick oparł się o biurko. Nie chciał zbliżyć się do żony. Odnosił wrażenie, że emanuje z niej trucizna.

- O ile sobie przypominam, mówimy o tym samym facecie, który przyłożył splotów do głowy mojego dziecka.

- O Boże. Przestań już o tym gadać.

- To ty przyszedłaś się ze mną zobaczyć, a nie odwrotnie. Jeżeli nie podoba ci się to, co mówię, wynoś się z mojego biura.

- Nie wyjdę, dopóki nie pozwolisz mi zobaczyć się z synem.

A jeżeli nie pozwolisz... - Jej oczy płonęły. - Dostanę nakaz sądowy i będziesz musiała się zgodzić. - Philip przedstawił jej już swoich adwokatów. Hillary przypadła do gustu ich styl postępowania. Byli parą bezwzględnych adwokatów.

- Doprawdy? Cóż, może po prostu poproś swojego adwokata, żeby skontaktował się z moim. I niech przedyskutują to między sobą. Mogłoby dzięki temu oszczędzić na taksówce.

- Stać mnie na to.

- To prawda. - Uśmiechnęła się. - Ale twojego narzeczonego nie stać.

Podobno skończyła mu się forsą i więc z kieszonkowego wydzielanego przez mamuszkę.

- Ty gnoju... - Trafił w czuły punkt Hillary. Ruszyła do drzwi i pchnęła je z rozmachem. - Skontaktuj się z tobą moi prawnicy.

- Przyjemnego celu...

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Nick sięgnął po telefon, by zadzwonić do Bena Greera.

- Wiem, że ci się to nie spodoba, ale musisz pozwolić jej na widzenie z synem. Czuwaj przy nim ochroniarze, więc nic mu nie grozi.

- Ale on nie chce się z nią widzieć.

- Nie może o tym decydować.

- A kto tak powiedział?

- Prawo stanu Nowy Jork.

- Mam to gdzieś.

- Nick, bądź rozsądny i pozwól jej zobaczyć się z Johnnym. Może straci dla niego zainteresowanie po paru spotkaniach, a ty dzięki takiej decyzji na pewno zyskasz w oczach sędziego. Naprawdę powinieneś to przemyśleć.

Nick zastanowił się co prawda, ale wciąż trwa przy swoim, kiedy spotkał się z Greerem w jego biurze.

- Wiesz, że jeżeli nie wyrazisz zgody, Hillary uzyska nakaz sądowy i

wymusi na tobie widzenie z ch³opcem?

- Tak w³acenie mówi³a.

- No i mówi³a s³usznie. Nawiasem mówi¹c, kto j¹ bédzie reprezentowa³?

- Chyba adwokaci Markhama, Fulton i Matthews. - Greer zmarszczy³ brwi. -

Znasz ich?

Skin¹³ g³ow¹. - S¹ twardzi. Bardzo twardzi.

- Twardsi ni³ ty? - Nick ucemiechn¹³ siê, ale poczu³ niepokój.

- Mam nadzieję, że nie.

- Masz nadzieję?!... Kretyńska odpowiedź. Dasz im radê czy nie?

- Byæ mo³że, bo ju³ ich rozk³ada³em. Ale oni te³ przy³o³zyli mi kilka razy.

- e te³ Hillary musia³a sobie wzi¹æ najgorszych sukinsynów w mieście!

- To by³o do przewidzenia. Co teraz?

- Pozwól jej zobaczyć siê z ch³opcem.

- Rzygaæ mi siê chce na tê myśel.

- Jeszcze bardziej bédzie ci siê chcia³o rzygaæ, jeżeli ciê do tego

zmusz¹.

- No dobrze - zgodzi³ siê w końcu.

Tego samego popo³udnia poleci³ sekretarce zadzwoniæ do Hillary i wyznaczyæ jej termin spotkania z synem pod koniec nastêpnego tygodnia.

Liczy³, że ma zaplanowany na ten czas wyjazd, ale zgodzi³a siê i o

umówionej godzinie zjawi³a siê w mieszkaniu. Nick poleci³ ochroniarzowi

wezwaæ policjê, gdyby wraz z Hillary przyszed³ Markham, on jednak mia³ docææ

rozumu, aby siê nie pokazywaæ w domu Burnhama. Hillary w granatowym

kostiumie i futrze z norek, które swego czasu dosta³a od Nicka, wygl¹da³a

skromnie i smutno.

Nick pracowa³ na dole w swoim gabinecie, a przed pokojem dzieciennym siedzia³ ochroniarz, który mia³ nie dopuœciæ do zamkniêcia drzwi. Nie by³a to pod jak³ym wzglêdem ³atwa wizyta. Wychodz¹c Hillary ociera³a oczy i ca³owa³a Johna na po³egnanie.

- Do rych³ego zobaczenia, skarbie.

Po jej wyjœciu sta³o siê jasne, że matczyne ³zy wprawi³y ch³opca w rozterkê i zak³opotanie.

- Tatusiu, ona mówi, że co wieczór d³ugo p³acze przed zaœniêciem.

Wygl¹da³a naprawdê smutno...

Johnny równie³ sprawia³ wra³zenie g³êboko zasmuconego, kiedy pokazywa³ ojcu prezenty od matki - kask do baseballa, parê pistoletów-zabawek, wielkiego misia, na którego by³ zdecydowanie za du³zy, i miniaturow¹ kolejkê. Hillary nie mia³a pojęcia, czym bawi siê ch³opiec, kupowa³a więc co popadnie. Nick powstrzyma³ siê od wyg³oszenia kolejnego komentarza, wiedz¹c, że powiêkszy w ten sposób troski ch³opca. Hillary toczy³a z synem grê i Nick uzna³, że nie powinien utrudniaæ ma³emu ³ycia.

Sytuacja przez jak³o czas nie ulega³a zmianie. Hillary zjawia³a siê co niedziela ob³adowana prezentami i wylewa³a ³zy rozpaczy w synowskim pokoju. Johnny schud³ i robi³ siê nerwowy. Nick poinformowa³ o tym swojego adwokata.

- Pos³uchaj, ona doprowadza dzieciaka do ob³êdu. Johnny nie wie, co myœleæ, a ona siedzi, p³acze i zmyœla, jak to zasypia zalana ³zami.

- Przejecha³ d³oni¹ po w³osach. Tego ranka pok³óci³ siê z synem: nazwa³ Hillary dziwk¹, a John stan¹³ w jej obronie.

- Mówi³em, że to bédzie brutalna rozgrywka. A zanim siê skończy, stanie siê jeszcze bardziej bezwzglêdna. Fulton i Matthews nie s¹ g³upcami. Mówi¹ jej dok³adnie, co ma robiæ. Napisali scenariusz, a ona perfekcyjnie go

realizuje.

- W gruncie rzeczy odgrywa tragedię?
- Oczywiście, a czegoż być się po niej spodziewa?
- Jest zdolna do wszystkiego.

Skądą te cotygodniowe wizyty aż do dnia œlubu, po którym wraz z Philipem udali się w podróż na Karaiby. Hillary rzeczywiście potrzebowa odpoczynku. Od usunięcia ciły, które w Reno zaatwi Philip, nie czuą się najlepiej, a wizyty u Johna były dla niej pieksem.

Jej zdrowie szwankowa, wykańcza j' teł ci'g'e kupowanie prezentów i popakiwanie przy synu.

- Posuchaj, do jasnej cholery - powiedzia do Philipa, lełc na plały w St.Croix. -To nieatwy dzieciak i ma kræka na punkcie ojca. Co mam mu jeszcze kupia? Do diabła, wykupi'am juł ca'ego Schwarza! I w ogóle co dalej?

- Ha, lepiej coœ tam wykombinuj. Matka mówi, łe jełci ten skandal bêdzie się jeszcze ci'gn'æ po naszym powrocie, odetnie mnie od forsy.

- Jesteœ doros'y, wiêc j' ucisz. Do diabła, co mam jeszcze zrobia?

- Nie wiem. A co z tym funduszem powierniczym? Mołe to atwiejsza droga nił zmuszanie Burnhama, łeby zrezygnowa z dziecka?

- Nie mogê tkn'æ tych pieniędzy do trzydziestego pi'tego roku łycia. A wiêc jeszcze przez szeœæ lat. - Renta, któr' otrzymywa'a Hillary, rozwi'zywa'a czêœæ ich problemów, ale nie pozwala'a łyæ na poziomie, do którego przywykli. W tej kwestii niezbêdna by'a pomoc pani Markham.

- A wiêc musimy dostaæ dzieciaka. Nick to g'upiec. Jełci sprawa trafi do s'du, on nie wygra.

- Spróbuj to jemu powiedzieæ. - Westchnê'a i spojrze'a w niebo.

- To twardy facet.

- Ale dureñ. Na pewno przegra, tylko łe do tego czasu matka doprowadzi mnie do szaleñstwa. - Wpatrzy' się w morze, a Hillary wsta'a i ruszy'a brzegiem plały. Irytowa'o j' to, ił Philip tak bardzo jest uzaleñniony od matki. Wczœniej nie odnosi'a takiego wrałenia, lecz teraz przesta'a mieæ w'tpliwœci. Kiedy wróci'a, ponownie po'oly'a się obok Philipa, westchnê'a i zamknê'a oczy przed jaskrawym s'oñcem. Problem Johna szybko wyparowa' jej z g'owy, gdy poczu'a, łe m'ł œci'ga z niej biustonosz.

- Philipie, przestañ! - wykrzyknê'a ze œmiechem. By' nieopanowanym kochankiem, co zreszt' od razu j' w nim urzek'o.

- Dlaczego mia'bym przestaæ? W promieniu wielu mil nie ma ływej duszy.

- A jełci się ktoœ pojawi?...

Philip pocaunkiem zamkn' jej usta, chwilê póŃniej ca'y kostium leł'a na piasku razem ze spodenkami Philipa, a oni się kochali. Ostatnie, co by im wtedy przysz'o do g'owy, to problem zwi'zany z Johnnym.

Rozdzia' trzydziesty drugi

Markhamowie wrócili do Nowego Jorku 1 kwietnia, lecz dopiero po tygodniu Hillary zadzwoni'a do Nicka do biura. Dzieñ by' niezwykle ciep'y i Hillary œwiadczy'a, łe chce zabraæ syna do zoo. Ten telefon po'oly' kres nadziejom Nicka, który 'udzi' się, łe po powrocie z podróły poœlubnej jego by'a łona przestanie odwiedzaæ syna.

- Dlaczego do zoo? - zapyta' z irytacj' w g'osie.

- A dlaczego nie? Johnny zawsze lubi³ zoo.

Rzeczywiście lubi³, ale Nick czu³ się lepiej, jeżeli wizyty mia³y miejsce w domu, gdzie panowa³ nad sytuacj¹. Potem uświadomi³ sobie, że jeżeli odmówi, Hillary zapewne powie o tym ch³opcu, który nie pomyśli o ojcu najlepiej.

- No dobrze.

Pos³a z nimi ochroniarza, chociaż wiedzia³, że nie ma się czego obawiać. Hillary postanowi³a grać na zw³okê a¹ do rozprawy s¹dowej, wykupuj¹c tymczasem wszystkie zabawki w mieście, żeby zrobić wrażenie na ch³opcu. Mimo to Nick czu³ się lepiej, gdy z Johnem by³ ochroniarz.

Zjawi³a się punktualnie o drugiej po po³udniu, ubrana w jasnoczerwon¹ suknię, taki¹ kapeluszek i bia³e rękawiczki. Pomyśla³a nawet o tym, żeby w³o¹z¹yć pantofle na p³askim obcasie. Wygl¹da³a niewinnie i bardzo ³adnie.

- Cześć, kochanie, jak się miewasz? - zaszczębiota³a do Johna.

Nick poszed³ do biblioteki. Mia³ trochę pracy. W zwi¹zku z programem Lend-Lease, który w marcu zosta³ ostatecznie zatwierdzony, z Waszyngtonu nap³ywa³y ogromne zamówienia. Nick osobicie by³ dwa razy w Waszyngtonie, aby przys³uchać się dyspacie, i by³ bardzo zadowolony z jej efektu.

Przybywa³o mu pracy, ale i jego zyski wzrasta³y trzykrotnie. Dzięki wojnie w Europie korporacja Burnham Steel prosperowa³a znakomicie.

Przebi³ się niemal przez po³owę papierzyśki, kiedy us³ysza³ walenie do drzwi, a po chwili do biblioteki wpad³ bez tchu ochroniarz Johna. Bieg³ ca³1 drogê z zoo. Spojrza³ na Nicka b³ędnym wzrokiem, w d³oni wci¹ż ościskaj¹c rewolwer.

- Panie Burnham... Johnny znikn¹³... - Twarz mia³ ośmiertelnie blad¹, lecz twarz Nicka by³a jeszcze bledsza, kiedy zrywa³ się z biurka.

- Co?!

- Nie wiem, jak to się sta³o... Nie rozumiem... Byli tuż obok mnie. Pani Markham chcia³a pokazać ch³opcu coś obok klatki lwa i nagle ruszyli biegiem... By³o tam trzech m¹ę¹czyzn... Na trawniku sta³ samochód. Bieg³em jak oszala³y, ale ba³em się strzelać, żeby nie zranić Johna... - Nagle w jego oczach pojawi³y się ³zy. Lubi³ ch³opca, lubi³ Nicka, a teraz tak zawiód³. - Jezu... Nie wiem, co powiedzieć... - j¹kn¹³ zdruzgotany. Nick chwyci³ go za ramiona i potr¹sn¹³ nim jak dzieckiem.

- Pozwoli³ę jej zabrać mojego syna? Pozwoli³ę jej... - Niemal be³kota³ z w¹ciek³o¹ści, ale z najwyższym trudem zdo³a³ się nieco opanować. Odepchn¹³ ochroniarza, chwyci³ s³uchawkê, wezwa³ policjê, a potem zadzwoni³ do Greera. Oto spe³ni³y się najgorsze obawy. Jego syn znikn¹³ i Bóg jeden wie, gdzie teraz jest.

Policjanci pojawili się po p³ogodzinie, Greer w chwilê po nich.

- Porwa³a mojego syna - powiedzia³ Nick dr¹czym g³osem.

Kiedy ochroniarz zrelacjonowa³ przebieg wydarzeń, Nick zwróci³ się do Bena: - Chcê odnale³ć mojego syna, a j¹ wsadzić do więzienia.

- Nie możesz tego zrobić, Nick - rzek³ Greer opanowanym g³osem, chociaż w oczach mia³ smutek.

- Mam gdzieś takie prawo... A co z ustaw¹ Lindbergha?

- Ona jest jego matk¹. To nie to samo.

- Ale Markham nie jest jego matk¹, a to on stoi za tym wszystkim. Do cholery... - Ben uspokajaj¹co po³o¹y³ mu d³oń na ramieniu.

- Znajd¹ ch³opca.

- I co potem? - W oczach Nicka b³yszcza³y ³zy, podbródek dr¹a³ mu jak dziecku. - S¹d mi go odbierze?... Do diab³a, czy naprawdę nie ma ¹adnego

sposobu, żebym mógł zatrzymać przy sobie syna? - krzykn¹³, po czym uciek³ na górę, zatrzasn¹³ drzwi swojego pokoju, ukry³ twarz w d³oniach i zap³aka³.

Rozdzia³ trzydziesty trzeci

Nazajutrz w San Francisco Liane przeczyta³a o tym zdarzeniu w gazetach. "Johnny Burnham znikn¹³!" - g³osi³ nag³ówek, a tuż pod nim napisano: "Dziedzic korporacji Burnham Steel uprowadzony". Czu³a, jak serce podchodzi jej do gard³a, i dopiero kiedy przeczyta³a ca³y artyku³, dowiedzia³a się, że Johnny'ego porwa³a Hillary. Liane wiedzia³a, że Nick musi wychodzić z siebie, i znowu przysz³o jej do g³owy, że mog³aby do niego zadzwonić. Tylko co mu w tej sytuacji powie? Z³o³y wyrazy współczucia lub ubolewania? Nie by³o raczej sensu pytać, jak się miewa. Artyku³ w gazecie udziela³ odpowiedzi na to pytanie - Nick gor¹czkowo poszukiwa³ syna.

Przez dwa następne miesi¹ce śledzi³a doniesienia, lecz wieści by³y wci¹ż takie same: na ślad Johnny'ego nie natrafiono.

W tym samym okresie Rudolf Hess, jeden z najbliższych współpracowników Hitlera, potajemnie polecia³ do Wielkiej Brytanii, aby nak³onić Anglików do ugody. Jego samolot rozbi³ się i Hess zosta³ aresztowany, Hitler zaczął obwieści³ światu, że jego cz³owiek oszala³. Wkrótce okaza³o się, że jego poczynania z pozoru tylko by³y szalone: gdyby zawarto ugodę z Angli¹, Niemcy nie musiałyby się angażować na froncie zachodnim, co mia³o dla nich ogromne znaczenie w związku z planami wojennymi. Otóż 22 czerwca Hitler zaatakowa³ Zwi¹zek Radziecki, ³ami¹c tym samym pakt o nieagresji. Jego wojska przekroczy³y granicę na ca³ej d³ugości, ponosz¹c ogromne straty w ludziach. Nie minę³o jedenaste dni, a Niemcy zajmowali obszar większy niż terytorium Francji. W wyniku tych wydarzeń 25 lipca Harry Hopkins, prawa r¹eka Roosevelta, polecia³ do Moskwy, aby zaproponować Rosjanom przyst¹pienie do programu Lend-Lease. Spotka³ się z odmow¹ i jedynym efektem podróży Hopkinsa by³o uzgodnienie terminu spotkania Churchilla z Rooseveltem.

Odby³o się ono 9 sierpnia w Argentia Bay na Nowej Fundlandii i doprowadzi³o do podpisania 14 sierpnia Karty Atlantyckiej. By³o to pierwsze spotkanie Churchilla i Roosevelta. Męż¹owie stanu przybyli na statkach - Churchill na "Księżu Walii", Roosevelt na "Auguście". Obaj wyrazili zadowolenie z rezultatów narady, ponieważ Anglia mog³a liczyć na dalsz¹ pomoc.

Nick Burnham tymczasem wci¹ż szuka³ syna.

Datę rozprawy odroczone już dawno, a przez cztery miesi¹ce od zniknięcia Johnny'ego Nick schud³ o trzydzieści funtów. Ca³a armia detektywów i ochroniarzy przeczesywa³a Stany, zapuszcza³a się do Kanady, szukaj¹c dos³ownie wszędzie. Ten jeden raz Hillary przechytry³a męż¹a. Nick mia³ tylko nadzieję, że dziecku nic nie grozi.

Wreszcie 18 sierpnia odebra³ niespodziewany telefon. Dziecko o wyglądzie odpowiadaj¹cym rysopisowi Johna widziano w Po³udniowej Karolinie, w pobliżu stylowej, niegdysie modnej miejscowości wypoczynkowej. Dziecko przebywa³o tam z rodzicami, przy czym jego matka by³a blondynk¹.

Nick wynaj¹³ samolot i polecia³ do Po³udniowej Karoliny z trzema ochroniarzami; dwunastu innych czeka³o już na miejscu. Znalezione tam

wszystkich - Johna, Philipa Markhama i Hillary z włosami ufarbowanymi na blond. Wynajęli stary dom i zamieszkali w nim z dwojgiem czarnych słuźcych oraz starym kamerdynerem. Markham przysięgł matce, iż skandal się skończy, wierzy, że tak właśnie się stało, chociaż porwanie Johna pogorszyło ich sytuację. Pani Markham myślała teraz z przerażeniem, że jej syn może trafić do więzienia. Za ich kryjówkę pociąga ona, mając nadzieję, że sprawa w końcu przycichnie, ale domaga się, by oddali chłopca. W końcu, zrozpaczona i powodowana poczuciem przyzwoitości wobec Nicka, dała mu znać o miejscu pobytu syna.

Detektywi otoczyli dom, a Markham, usłyszawszy nawoływania przez megafony, rzucił się do ucieczki. Było już jednak za późno. Stanęło oko w oko z dwoma mężczyznami, którzy mierzyli go z rewolwerów.

- O rany boskie... - Gorączkowo usiłowała znaleźć wyjście z tej sytuacji.
- No dobra, bierzcie chłopca.

Oczywiście detektywi wzięli dziecko, lecz wtedy w stronę Philipa z morderczym błyskiem w oku ruszył Nick.

- Jeceli kiedykolwiek jeszcze zbliżysz się do nas, zabiję cię, skurwielu - ostrzegł, chwyciwszy go za gardło.

Podbiegła do nich Hillary i zaczęła szarpać Nicka za ramię.

- Na Boga, puść go.

- Bóg nie ma z tym nic wspólnego - odrzekł Nick, odwrócił się do niej i grzbietem dłoni uderzył ją w twarz. Philip wymierzył mu cios w szczękę.

Nick usłyszał w czasie straszny zgrzyt, padł na ziemię, lecz natychmiast się zerwał i przy akompaniamencie krzyków Hillary rzucił się na Markhama.

- Przestańcie... Przestańcie!

Nick, straciwszy nad sobą panowanie, wgniół głowę Markhama w ziemię, potem wstał i odszedł, zostawiając pokonanego przeciwnika, który pojękiwał cicho na ziemi, obficie krwawił z rozcięcia nad brwi. Hillary raz jeszcze przypadła do Nicka i podrapała mu twarz, ale odepchnęła go od siebie i spokojnym krokiem podszedł do syna.

- Chodź, tygrysie. Wracamy do domu. - Szczeka bolała go okrutnie, nie czuł tego jednak, gdy ujął dłoni Johna i poprowadził go do samochodu z ochroniarzami u boku, chociaż nic im już nie groziło - była tam tylko Hillary, i leżała na ziemi Markham, z ganku domeczku zaczęła zająć obserwować dwoje czarnych słuźcych.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, Nick mocno przytulił syna i pociągnął ze szczęścia zaczęła całować go po twarzy. Zakończyły się oto cztery miesiące pieką. Miała nadzieję, że czegoś takiego nigdy więcej nie przeżyje.

- Och, tatusiu - westchnął John, trzymając się go ze wszystkich sił.

Skończył właśnie dziesięć lat i wyglądało na to, że ostatnio urósł niemal o stopę. - Chciałbym cię znać, że wszystko u mnie w porządku, ale nie pozwalali mi dzwonić.

- Zrobili ci krzywdę, synku? - spytał Nick ocierając oczy.

- Nie. Byli nawet fajni. Mama mówiła, że pan Markham chce teraz zostać moim tatą. Ale jak przyjechała jego matka, powiedziała, że muszę cię oddać albo przynajmniej zawiadomić cię, że wszystko w porządku. - Nick pojął, w jaki sposób uzyskał informację o miejscu pobytu Johna. Przrzekł sobie złością gorące podziękowania pani Markham. - Powiedziała, że nie da mu już żadnych pieniędzy, i to już nigdy, i że pan Markham skończy w więzieniu. - Nick, choć z żalem, zdawał sobie sprawę, że do tego nie dojdzie. - Zawsze była dla mnie miła i pytała, jak się miewam. Mama powtarzała, że to stara zdzira.

Ochroniarze i Nick ućmiechnęli się pod nosem.

W drodze do domu Johnny dućo opowiada³ o pobycie w Po³udniowej Karolinie. Z jego s³ów Nick wywnioskowa³, će Hillary i Markham stracili kontrolę nad planem, nie bardzo bowiem wiedzieli, co pocz¹æ z Johnnym po porwaniu.

- Czy nadal musimy się procesować z mam¹? - zagadn¹³ wreszcie ch³opiec.

- A jak¹e!... I to jak najszybciej.

Ta odpowiedź przygnębi³a Johna, kiedy jednak leća³ juć w swoim ³óćku i uj¹³ ojca za rękę, jego twarz rozjaćni³a się w ućmiechu. Nick czuwa³ przy nim, dopóki ch³opiec nie zasn¹³, potem poszed³ do swojego pokoju, zastanawiaj¹c się, jak skończy się ca³a afera.

Nazajutrz w San Francisco Liane przeczyta³a w końcu dobr¹ wiadomoćæ: "Johnny Burnham odnaleziony". Tydzień póćniej s¹d wyznaczy³ datę pierwszej rozprawy. Mia³a się odbyć 1 paćdziernika.

Jednak¹e najwięćej miejsca na pierwszych stronach gazet zajmowa³o zupę³nie co innego. W Moskwie odby³a się konferencja z udziałem Averella Harrimana, lorda Beaverbrooka i Mo³otowa, sowieckiego ministra spraw zagranicznych. Zaowocowa³a podpisaniem protoko³u, ić Stany Zjednoczone i Anglia bęć¹ zaopatrywać Zwi¹zek Radziecki, Harriman podpisa³ teć umowę o Lend-Lease, zak³adaj¹c¹ pomoc w wysokoćci miliarda dolarów. Stalin domaga³ się, aby Stany Zjednoczone w³czy³y się do wojny, lecz zgodnie z instrukcjami Roosevelta Harriman odmówi³. Rosja musia³a się zadowolićæ zaopatrzeniem i broni¹. Uczyni³a to zreszt¹ bez więćszych oporów.

Kiedy te sensacje nieco przycich³y, Liane przeczyta³a w gazetach, će w Nowym Jorku toczy się proces Nicholasa Burnhama przeciwko Hillary Markham.

Rozdzia³ trzydziesty czwarty

Hillary wkroczy³a na salę rozpraw ubrana w ciemnoszary kostium i bia³y kapelusz. Jej w³osy znów mia³y dawny kolor. Zjawi³a się w asyćcie dwóch prawników i usiad³a pomiędzy nimi z ća³obnym wyrazem twarzy. Po przeciwnej stronie siedzia³ Nick w towarzystwie Bena Greera, który w³acenie upomina³ go, by nie patrzy³ w stronę by³ej ćony wzrokiem przepe³nionym tak¹ wóćiek³oćci¹.

Przedstawiono przedmiot sporu - kwestię opieki nad dziesięcioletnim synem pani Markham i pana Burnhama, Johnem - i kaćda ze stron zosta³a poproszona o zaprezentowanie swojego punktu widzenia. Ben Greer wypowiedzia³ się o Hillary jako o kobiecie, która nigdy nie pragnę³a dziecka, rzadko widywa³a syna, wyjećd¹a³a w d³ugie podróće, zostawiaj¹c go samego. Juć jako ćona Nicholasa Burnhama wielokrotnie dopuszcza³a się zrad ma³ćeńskich.

Panowie Fulton i Matthews wyjaćnili, će Hillary ćywi gor¹ce matczyne uczucie wobec syna i wyraćona przez męća odmowa opieki nad dzieckiem doprowadzi³a j¹ do hysterii i kryzysu nerwowego. Philip Markham zosta³ scharakteryzowany jako cz³owiek przepadaj¹cy za dziećmi, pragn¹cy ochoczo pomóc nowej ćonie w budowaniu domu dla Johna. Jednakowoć, kontynuowali prawnicy, Nick Burnham jest cz³owiekiem o tak gwa³townym usposobieniu i tak opęćtanym zazdroćci¹, će grozi³ ćonie i robi³ wszystko, aby zerwać jej zwi¹zek uczuciowy z synem. A wszystko to czyni³ dlatego, će nie móg³ zniećæ myćeli, ić ćona pragnie się z nim rozwiećæ. Adwokaci snuli ten w¹tek w nieskończonoćæ, sprawę porwania zae potraktowali z wielk¹ subtelnocći¹. Otóć Hillary, za³amana psychicznie utrat¹ dziecka, bezradna wobec gróćb

Nicka, zabra³a do siebie Johna w nadziei, ¿e doczeka pod jej opiek¹ rozprawy. Potem sytuacja wymknê³a siê jej spod kontroli. Za bardzo ba³a siê Nicka, aby wróciæ... Ba³a siê, ¿e Nick móg³by skrzywdziæ dziecko.

Siedz¹c na sali s¹dowej i s³uchaj¹c tej perory Nick czyni³ wszystko, aby nie zerwaæ siê i g³oœno nie zaprotestowaæ. Co gorsza dopiero teraz siê zorientowa³, z jak silnym przeciwnikiem maj¹ do czynienia. Fulton i Matthews byli najlepsi i chocia¿ Ben Greer nale¿a³ do œwietnych adwokatów, Nick zacz¹³ siê obawiaæ, ¿e nie zdo³a ich pokonaæ.

Zanosi³o siê na to, ¿e rozprawa potrwa ze dwa, trzy tygodnie. Pod sam koniec mia³ zeznawaæ Johnny jako œwiadek koronny. W trzecim dniu procesu zachorowa³ jednak na œwinkê, œêdzia zarz¹dzi³ wiêc odroczenie do 24 paŸdziernika.

Nick i jego adwokat doszli do wniosku, ¿e ta przerwa dzia³a na ich korzyœæ. Pozwala³a im odœwie¿yæ si³y i poszukaæ nowych œwiadców. Nick czu³ siê rozczarowany tym, jak niewiele osób jest gotowych z³o¿yæ zeznanie. Ludzie nie chcieli siê mieszaæ, t³umacz¹c siê brakiem pewnoœci, up³ywem czasu... Nawet pani Markham nie zamierza³a zeznawaæ na jego korzyœæ. Zrobi³a co w jej mocy, daj¹c mu znaæ o miejscu pobytu dziecka, ale resztê pozostawi³a w jego rêkach. By³a zdania, ¿e z³o ju¿ siê sta³o - nazwisko jej i Nicka wystarczaj¹co d³ugo szargano na³amach prasy brukowej. Pani Markham w równym stopniu mia³a o to pretensje do Nicka co do swojego syna. To, komu przypadnie opieka nad dzieckiem, by³o w tej chwili kwesti¹ ma³o dla niej istotn¹. Ona wszystkim ¿yczy³a miejsca w piekle.

Nick zdo³a³ œci¹gn¹æ zaledwie kilka s³u¿¹cych, które nienawidzi³y Hillary, ale i one nie mog³y przyznaæ, ¿e by³y œwiadcami zaniedbywania dziecka przez matkê. Pod koniec drugiego dnia po wznowieniu procesu, kiedy Markhamowie opuœcili ju¿ salê, Nick z rozpacz¹ wyrzuci³ do góry ramiona.

- Jezu Chryste! Dlaczego ona to robi, Ben? Przecie¿ wcale nie chce tego dziecka.

- Nie mo¿e siê ju¿ wycofaæ. Posunê³a siê za daleko. Na tym polega wiêkszoœæ rozpraw s¹dowych. Zanim sprawa siê zakoñczy, wszyscy maj¹ jej dosyæ, ale maszyny sprawiedliwoœci nie da siê zatrzymaæ.

Zdesperowany Nick próbowa³ nazajutrz przekupiaæ Hillary i przez krótk¹ chwilê s¹dzi³, ¿e bitwê wygra³. Spozreg³ b³ysk zainteresowania w oczach Markhama, gdy spotkali siê w gmachu s¹du, nie zauwa¿y³ go natomiast we wzroku Hillary. Kiedy odszed³ zrozpaczony, Philip chwyci³ Hillary za ramiê.

- Do diab³a, dlaczegoœ go odprawi³a? Jak s¹dzisz, z czego bêdziemy ¿yæ przez kilka najbli¿szych lat? Ty nie mo¿esz skorzystaæ ze swojego funduszu powierniczego, a sama wiesz, co powiedzia³a moja matka.

- Gówno mnie to obchodzi. Nie wezmê od niego ani grosza.

- Kretynka. - Znów chwyci³ j¹ za ramiê, lecz wzgardliwie str¹ci³a jego d³oñ.

- Do diab³a z wami! Chcê mojego syna.

- Dlaczego? Przecie¿ nie lubisz dzieci.

- Ale on jest mój. - Jak futro albo klejnot, albo jakakolwiek zdobycz, której w gruncie rzeczy nie potrzebowa³a, ale o któr¹ siê dopomina³a. - Dlaczego mia³abym Nickowi cokolwiek dawaæ?

- WeŸ tê forsê, na mi³oœæ bosk¹.

- Nie potrzebujê pieniêdzy - rzek³a wpatruj¹c siê weñ lodowatym wzrokiem.

- Wrêcz przeciwnie, potrzebujesz. Oboje potrzebujemy.

- Twoja matka coœ nam odpali.

Na to liczy³ równie¿ Markham, gdyby jednak matka zawiod³a oczekiwania,

czeka³a ich walka o byt, na któr¹ nie mia³ najmniejszej ochoty. Byæ moŹe nawet - absolutnie wbrew swej woli - bêdzie musia³ pójœæ do pracy. Wiedzia³ bowiem, Źe Hillary nie uczyni tego w Źadnym razie. Teraz wszakŹe zwróci³a mu uwagê na coœ, co zupe³nie mu umknê³o.

- Czy nigdy nie s³ysza³eœ o alimentach? - uœmiechnê³a siê s³odziutko. - Nick bêdzie chcia³ mieæ pewnoœæ, Źe Johnowi niczego nie brakuje. Tak samo jak my, voila - dygnê³a przed nim. Markham uœmiechn¹³ siê szeroko.

- Jesteœ diablo bystra jak na tak³ adn¹ dziewczynê. - Poca³owa³ j¹ w policzek i wrócili do sali s¹dowej, gdzie na nowo rozpêta³a siê walka.

Sêdzia ocenia³, iŹ proces dobiegnie koñca przed Dniem Dziêkczynienia, a Nick aŹ truchla³ na tê myœl. Co bêdzie, jeœli przegra? Co wtedy zrobi? Nie wyobraŹa³ sobie Źycia bez syna. Nie mia³ nawet odwagi o tym pomyœleæ. Wreszcie niepostrzeŹenie dla wszystkich nadszed³ ostatni dzieñ rozprawy. Przedstawiciele obu stron wyg³aszali mowy koñcowe. Kiedy Johnny zeznawa³, mówi³ jak zagubione dziecko, rozdarte pomiêdzy dwojgiem rodziców - ojcem, którego uwielbia³, i matk¹, która pop³akiwa³a na sali s¹dowej i której najwyraŹniej wespół³czu³.

Sêdzia wyjaci³ obecnym, Źe w normalnych okolicznoœciach podjêcie decyzji zajmuje mu tydzieñ albo dwa, bior¹c jednak pod uwagê napiêcie, w którym przysz³o Źyæ obu stronom przez niemal rok, a takŹe nag³ocenie ca³ej sprawy w prasie krajowej i presjê, jak¹ wydarzenia wywieraj¹ na dziecku, do³oŹy wszelkich starañ, aby tym razem werdykt zapad³ w trybie nadzwyczajnym. Strony zostan¹ powiadomione o terminie og³oszenia wyroku, tymczasem zaœ poprosi³ wszystkich, by udali siê do domów i cierpliwie czekali.

Kiedy Nick tego dnia opuszcza³ budynek s¹du, oœlepi³ go b³ysk fleszy i ze wszystkich stron posypa³y siê pytania: "Co powiedzia³ sêdzia?... Gdzie jest teraz dziecko?... Kto wygrywa?... Myœli pan, Źe matka znów uprowadzi ch³opca?..." Przywyk³ do tego i on, i Hillary, która przystanê³a na najwyŹszym stopniu schodów i obdarzy³a dziennikarzy czaruj¹cym uœmiechem.

Nick opad³ na siedzenie limuzyny i przymkn¹³ oczy. Od powrotu Johna wygl¹da³ nieco lepiej, ale maj¹c czterdzieœci lat, czu³ siê jak osiemdziesiêcioletni starzec.

Popatrzy³ na Greera, który obok wertowa³ swoje zapiski, i smutnie pokrêci³ g³ow¹. - Wiesz, czasami myœlê, Źe to siê nigdy nie skoñczy.

- Skoñczy siê - odrzek³ Greer, unosz¹c g³owê.

- Ale jak?

- Tego nie wiemy. Musimy poczekaæ na decyzjê sêdziego.

Nick westchn¹³. - Czy ty w ogóle masz pojêcie, jak to jest, kiedy kogoœ, kogo kochasz najbardziej na œwiecie, nagle ci odbior¹?

Greer wolno pokrêci³ g³ow¹. - Nie, nie wiem. Ale wiem, przez co przechodzisz, i cholernie mi przykro. - Przez chwilê patrzy³ na Nicka nie jak prawnik, lecz jak przyjaciel. - Mam nadziejê, Źe wygrasz, Nick.

- Ja teŹ. Ale jeœli nie wygram, czy moŹemy wniesæ apelacjê?

- Oczywiście, Źe moŹemy. Ale to d³ugo trwa. Radzi³bym ci poczekaæ. Niech przez pó³ roku pomieszka z ch³opcem, a przybiegnie do ciebie szybciej, niŹ uciek³a. Obserwowa³em j¹ przez ca³y ten tydzieñ i jest dok³adnie taka, jak j¹ przedstawi³eœ: twarda, zimna, przenikliwa. Ale nie kocha go. Wygl¹da to tak, jakbyœ ty by³ stron¹ atakuj¹c¹, a ona zamierza³a siê odkuæ, uderzaj¹c w najboleœniejszy miejsce.

- JuŹ to zrobi³a.

- Ale nie powtórzy tego. Zapamiêtaj moje s³owa, odda ch³opca.

W tej chwili pragnie tylko wygrać, zyskać rozgłos. Chce wyglądać na dobrą matkę. Ameryka, macierzyństwo i szarlotka, znasz te wszystkie idiotyzmy.

Nick uśmiechnął się po raz pierwszy od tygodnia. - Nie s'dziem, że Hillary mieści się w tym stereotypie. Bardziej jest zainteresowana sobolami i biżuterią Van Cleefa.

Greer też się uśmiechnął. - Ale nie przed s'dem. Jest bystra, a jej adwokaci spisali się na medal.

Nick popatrzył na męża, który w ostatnim czasie stał się jego przyjacielem.

- Ty też. - I ze złością dodał: - Przegramy czy zwyciężymy, Ben, będzie wspaniały. Wiem, że zrobię wszystko co w twojej mocy.

- To bez znaczenia, jeżeli przegramy.

- Musimy wygrać.

Greer skinął głową. W milczeniu wpatrywali się w zimowe niebo, kiedy limuzyna cicho sunęła ulicami.

Tydzień oczekiwania na decyzję sędziego był dla wszystkich udręką. Nick dniem i nocą przemierzał w nieskończoność swój pokój, jeździł do biura, wracał w te pędy do domu, starał się spędzać z synem każdą wolną chwilę. Greer natomiast czuł się jak przyszyty ojciec. Nigdy aż tak nie przeżył się sprawą, a tę, prowadzoną od blisko roku, potraktował jak osobistą.

W mieszkaniu Markhama Hillary miotała się jak rozjuszona kotka. Miała ochotę gdzieś pójść, zabawiać się, ale Philip wyjątkowo zdążył przekonać, że powinna zostać w domu.

- Jak s'dziesz - powiedział - co by napisali w kronice towarzyskiej, gdyby cię zobaczono w El Morocco?

- No to co mam robić? Siedzieć tutaj i strugać konika na biegunach dla mojego syna?

- Nie wym'drzaj się. Siedź spokojnie w domu, to już się kończy.

Markham nie chciał irytować matki. Zaczynała już ulegać, a jeden fałszywy krok mógł wszystko zepsuć. Musiała zatem trzymać w domu Hillary. Nie byłaby tym uszczęśliwiona, lecz Philipowi udało się postawić na swoim. Godzinami grał z nią w remikę, kupował jej galony szampana dla podtrzymania dobrego nastroju i żywił coraz silniejszą nadzieję, że matka rychło otworzy kieszę.

Hillary była bowiem kosztowną kobietą, a i jego gusta nie należały do pospolitych. Mieli ze sobą wiele wspólnego, co zresztą przy każdej okazji podkreślała jego matka, i to niezbyt sympatycznym tonem. Oczywiście żadne z nich nie przejmowało się tym nadmiernie. Jak tylko dobiorą się do pieniędzy Markhamów lub alimentów Johna, znowu będą szczęśliwi. Philip starał się wywierać dobre wrażenie tylko na wszelki wypadek, o czym poinformował ją, niosąc ją do ich olbrzymiego ożka. Zdłżył zerwać z niej odzież, którą ciskał na podłogę, kiedy uszyszeli dzwonek telefonu.

Dzwoniono z kancelarii Fultona i Matthews'a. S' d' miało się zebrać o drugiej. Sędzia podjął wreszcie decyzję.

- Alleluja! - wykrzyknęła Hillary, stojąc nago obok ożka. - Dzień wieczór będzie wolna!

Philip pchnął ją na ożka i rozsunął jej nogi. Ani słowem nie wspomnieli o Johnnym.

Sędzia w powiewającej todze z kamienną twarzą wkroczył do sali sądowej. Wołny wygłosił tradycyjną formułę, wszyscy więc wstali, po czym na powrót usiedli. Nick czekał wstrzymując oddech. Johnny też czekał, ale w domu, ponieważ Nick nie chciał go narażać na dodatkowe stresy. Korytarze gmachu sądowego roiły się od dziennikarzy. Jak sędziowie wyczuwali zdobycz na odległość, poza tym ktoś z administracji sądowej dał im znać, że tego dnia będzie ogłoszony werdykt. Strony precyzyjnie się do sali z najwyższym trudem.

- Pani Burnham - zaczął sędzia - czy by pan askaw podejść?

Nick zaskoczony spojrzał na Bena. Podobnie jak on nie był przygotowany na to zaproszenie, będące odstępstwem od procedury. Potem sędzia zwrócił się do Hillary, prosząc ją o to samo.

Wstali i zbliżyli się do sędziego w ciszy jak makiem zasiał. Sędzia zmierzył ich powagą wzrokiem. Był starym człowiekiem o młodym spojrzeniu i wydawał się, iż wiele czasu strawił na rozmyślaniu, jaki wydać wyrok. Była to mała przyjemna sprawa, toteż decyzja z pewnością nie należała do najłatwiejszych, jakkolwiek wedle Nicka rozwiązanie było oczywiste od samego początku.

- Chciałbym państwu powiedzieć - zaczął sędzia - że sercem opowiadam się po obu stronach. Spadło na moje barki niewdzięczne zadanie Salomona. Komu dać jedyne dziecko? Czy rozciąć je na dwoje? W takiej sytuacji każda decyzja jest zła. Przyznawanie prawa do opieki nad dzieckiem to przykre zadanie, jakkolwiek zatem podejmę decyzję, skrzywdzę dziecko i jedno z was. Ogromnie mnie martwi, że dla dobra dziecka nie zdacie sami uporać się ze swoimi problemami...

- Nick czuł, iż ma mokre dłonie, po plecach spływał mu pot. Zerknął na Hillary, ona też była zdenerwowana. Nadane nie spodziewała się tej przemowy.

- Jesteście rozwiedzeni, a pani - zerknął na Hillary - ponownie wstąpiła w związek małżeński. I z tego powodu - spojrzał teraz na Nicka, który w żaden sposób nie był przygotowany na to, co miało nastąpić za chwilę - żywię przekonanie, że dziecko będzie miał trwalszy dom przy pani. Ogłaszam zatem, że opiekę nad dzieckiem przyznaję pani Markham. - Z ojcowskim uśmiechem popatrzył na Hillary.

Do Nicka dopiero po chwili dotarło znaczenie słów sędziego. Zapominał, gdzie się znajduje, wybuchł rozgorączony.

- Ależ on przyłożył broń do głowy mojego syna! - zawołał podniesionym głosem. - W ręce takiego człowieka wysoki sąd oddaje mojego syna?

- Oddaję go pańskiej żonie, a o ile sobie przypominam, broń nie była nadawana. Pańska żona o tym wiedziała i... - Głos rozmył się, Nick poczuł silny zawrót głowy. Nie miał pojęcia, czy to zaważ, czy po prostu umiera z rozpaczy. - ...będzie pan mógł odwiedzać chłopcę.

Może pan zobaczyć w sądzie plan takich spotkań lub, jeżeli takie rozwiązanie jest dla pana wygodniejsze, wypracować agendę spotkań z panią Markham. Przekażę pan dziecko pani Markham do szóstej wieczorem dnia dzisiejszego. A biorąc pod uwagę pańskie dochody, sąd przyzna alimenty w wysokości dwóch tysięcy dolarów miesięcznie. Jesteśmy przekonani, że suma ta nie będzie dla pana zbyt dużym obciążeniem.

Hillary wygrała na całej linii. Promieniejącą niczym słońce podbiegła do Philipa i swoich adwokatów, zanim sędzia skończył przemowę. Nick zaczął patrzeć tym wzrokiem i niedowierzająco potrząsał głową, kiedy sędzia wstał, a wołny obwieścił: - Koniec rozprawy!

Nick zwrócił na pięcie i jak burza wypadł z sądu. Szedł z pochyloną

g³ow¹, u jego boku pod¹ła³ Ben Greer. Przepisnêli siê przez t³um zgromadzony na zewn¹trzy, nie mówi¹c nic dziennikarzom, a¹ w końcu skryli siê w p³roku limuzyny i tylko jeden fotoreporter zd¹ł³ b³ysn¹æ fleszem. Nick wbi³ w Bena ciê¹kie spojrzenie.

- Nie mogê uwierzyæ w to, co us³ysza³em.

- Ani ja.

Niestety, taka by³a prawda. Ben s³ysza³ podobne s³owa ju¹ wcześniej, nowoœci¹ by³y wszak¹e dla Nicka, który przez ca³1 drogê do domu siedzia³ z kamienn¹ twarz¹ zastanawiaj¹c siê, co powie synowi. Mia³ czas do sz³ostej, aby spakowaæ rzeczy Johnny'ego i wys³aæ go ku innemu Źyciu, œwiadom, ¹e nie bêdzie dla niego niedobre. Przez moment wa¹ł³ myœl, czyby nie post¹piæ tak samo jak niegdyœ Hillary. Nie m³g³by jednak ukrywaæ siê w nieskończonoœæ, a takie rozwi¹zanie by³oby zbyt trudne dla ch³opca. Musia³ przynajmniej chwilowo podporz¹dkowaæ siê wyrokowi s¹du.

Nick wysiad³ z auta i wszed³ do domu jak cz³owiek prowadzony na szafot. Ben, pow³ócz¹c nogami, pod¹ła³ za nim, niepewny, czy powinien siê oddalaæ, czy zostaæ. Ujrzawszy twarz Johna, po¹ła³owa³, ¹e nie odszed³. By³o w niej tyle rozpacz¹, ¹e stanowi³a widok nie do zniesienia.

- Wygralibyśmy? - spyta³ John, ca³y rozdygotany.

- Nie, tygrysie, przegralibyśmy.

Ch³opiec wybuchn¹³ p³aczem, a Nick porwa³ go w ramiona. Ben odwróci³ siê i czuj¹c na twarzy ³zy, nienawidzi³ siebie za to, ¹e nie uda³o mu siê sprawy wygraæ. Najgorszy by³ jednak w tej chwili p³acz skrzywdzonego dziecka.

- Nie pójdê do niej, tato, nie pójdê!... - Johnny hardo popatrzy³ na ojca. - Ucieknê.

- Nie, nie uciekniesz. Zrobisz to, co postanowi³ s¹d. Bêdziemy siê widywaæ w ka¹dy weekend.

- Nie chcê widywaæ siê z tob¹ w weekendy. Chcê ciê widzieæ codziennie.

- C³ł¹, zrobimy co w naszej mocy. No i Ben powiada, ¹e mo¹emy podj¹æ jeszcze jedn¹ próbê. Mo¹emy z³o¹ł³æ apelacjê. To potrwa, ale mo¹e tym razem wygramy.

- Na pewno nie wygramy. A ja nie chcê z nimi mieszkaæ.

- W tej chwili nic nie mo¹emy zrobiaæ, musimy trochê poczekaæ. Pos³uchaj, bêdê dzwoni³ do ciebie codziennie, a ty do mnie kiedy tylko zechcesz... - mówi³ Nick dr¹ł¹cym g³osem, z oczyma pe³nymi ³ez. Tuli³ do siebie syna, nie posiadaj¹c siê z Źalu, ¹e tak to siê potoczy³o. Jak¹e niesprawiedliwy by³ los! Kocha³ syna, który by³ dla niego ca³ym œwiatem. Nie mia³o jednak sensu roztr¹zanie tej myœli w nieskończonoœæ. By³o im obu ciê¹ko, lecz on musia³ pomóc Johnowi.

- Chod³Ÿ, tygrysie, spakujemy siê.

- Teraz? - niedowierzaj¹co spyta³ John. - Kiedy muszê iœæ?

- O sz³ostej. Widzisz, sêdzia uzna³, ¹e powinniemy mieæ to z g³owy jak najszybciej...

Johnny wbi³ w Nicka nie rozumiej¹ce spojrzenie. Nie potrafi³ siê otrz¹sn¹æ, podobnie zreszt¹ jak jego ojciec. By³ to najgorszy dzieñ w ich Źyciu. Wreszcie pow³ócz¹c nogami ruszy³ zap³akany ku drzwiom, przy których znów popatrzy³ na ojca.

- Naprawdê bêdziesz do mnie dzwoni³ co wieczór?

Nick skin¹³ g³ow¹, usi³uj¹c jego ³zom przeciwstawiaæ w¹t³y uœmiech.

- Bêdê.

- Obiecujesz?

- Obiecujê - przyrzek³ unosz¹c d³oñ.

Poszli na górê i na oczach s³u¹cych spakowali do trzech toreb zabawki i ubrania, Nick chcia³ to bowiem robiæ osobicie. Kiedy skończy³, wsta³ i rozejrza³ siê doko³a.

- To ci powinno wystarczyæ. Resztê mo³esz zostawiæ tutaj, ¹eby mieæ co³e do zabawy, jak przyjdiesz.

- Myœlisz, ¹e ona mi pozwoli?

- Oczywiście, ¹e tak.

Dzwonek u drzwi odezwa³ siê punktualnie o szóstej.

- Mogê wejœæ? - zapyta³a Hillary z nieprzyjemnym s³odziutkim uœmiechem.

Dopiero wtedy Nick poczu³ w pe³ni, jak bardzo jej nienawidzi. - Spakowa³eœ Johnny'ego?

Dla Nicka by³o to niczym sól na rany. G³êboko spojrze³ jej w b³yszcz¹ce piêkne czarne oczy; widnia³a w nich tylko pustka.

- Musisz byæ z siebie bardzo dumna.

- Sêdzia okaza³ siê m¹drym cz³owiekiem.

- Jest starym g³upcem. - Nicka podtrzymywa³a na duchu jedynie nadzieja, i¹ Ben siê nie myli i Hillary szybko znu¹y siê dzieckiem. Stoj¹cy u jego boku Johnny patrzy³ przez ³zy na matkê.

- Gotów, kochanie?

Pokrêci³ g³ow¹ i przywar³ do Nicka. Hillary spojrze³a Nickowi w oczy.

- Czy on jest spakowany?

- Tak - wska³a torby stoj¹ce w holu. - Chcia³bym ustaliæ z tob¹ terminy wizyt.

- Oczywiście - przysta³a, gotowa okazaæ teraz wielkodusznocæ.

Nick mo³e widywaæ siê z synem, kiedy tylko zechce. Dopie³a swego, ch³opiec by³ jej. Niech Nick opowiada sobie co chce na temat jej przesz³oœci, skoro nie zap³aci³a za ni¹ utrat¹ praw do dziecka. Nawet matka Philipa zadzwoni³a z gratulacjami. - Ja te¹ chcia³abym ciê o co³e zapytaæ.

- O co? - Cisn¹³ w ni¹ to pytanie jak kamieñ.

- Czy moglibyœmy wejœæ gdzieœ na chwilê? - Do tej pory jej nie zaprosi³ do mieszkania.

- Po co?

- Chcia³abym porozmawiaæ z tob¹ w cztery oczy.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Ja uwa¹am, ¹e jest. - Twardo spojrze³a w oczy Nickowi, który delikatnie odsun¹wszy Johnny'ego, ruszy³ do biblioteki. Hillary pod¹ÿy³a za nim.

- Jeœli nie masz nic przeciwko temu, chcia³bym go mieæ ju¹ w najbli¹szy weekend.

- Sprawdzê i dam ci znaæ. Nie jestem pewna, jakie bêdziemy mieli plany.

A¹ go swêdzia³a d³oñ, ¹eby jej daæ w twarz.

- Upewnij siê i zadzwoñ jeszcze dzisiaj. Ma³y bêdzie potrzebowa³ czasu, ¹eby siê przyzwyczaiaæ do nowej sytuacji, dlatego rych³y powrót do domu dobrze mu zrobi.

- Sk¹d mam wiedzieæ, ¹e z nim nie uciekniesz?

- Czegoœ takiego mu nie zrobiê. - Tego Hillary mog³a byæ pewna. - O czym chcia³acæ ze mn¹ rozmawiaæ?

- O moim czeku.

- Jakim czeku?

- O alimentach. Skoro zabieram Johna, powinieneœ uieciaæ alimenty.

Nick przez chwilê patrzy³ na ni¹ w milczeniu, wreszcie gwa³townie wysun¹³ szufladê, rzuci³ ksi¹ÿczkê czekow¹ na biurko, wpisa³ nazwisko Hillary oraz

sumê i odda³ jej czek dr¹c¹ rêk¹.

- Rzygaæ mi siê chce na twój widok.

- Dziêki - ucemiechnê³a siê i wysz³a.

Nick pod¹çy³ za ni¹ do holu, gdzie obok swojego baga¹u sta³ Johnny.

Nadszed³ koniec, wojna by³a przegrana. Nick mocno uciska³ ch³opca, po czym sprowadzi³ windê i wstawi³ do niej torby Johnny'ego. Hillary, mocno uj¹wszy syna za rêkê, wesz³a z nim do windy.

Ch³opiec pochyli³ g³owê i zap³aka³, drzwi windy zamknê³y siê powoli. Nick sta³ na progu swojego mieszkania z pochylon¹ g³ow¹, szlochaj¹c rozpaczliwie.

Rozdzia³ trzydziesty szósty

Johnny sprowadzi³ siê do matki wieczorem 3 grudnia. Trzy dni póŹniej Liane z rozpacz¹ przeczyta³a o zakoñczeniu procesu Nicka. Ba³a siê, çe do tego dojdzie. Do rzadkoœci nale¹a³o powierzenie ojcu opieki nad dzieckiem. Tak samo jednak jak Nick mia³a nadziejê i modli³a siê, aby ta sprawa nale¹a³a do owych rzadkich przypadków. Z³oçy³a gazetê zgnêbiona, a wuj przyjrza³ siê jej z zainteresowaniem.

- Co siê sta³o? - Jeszcze nigdy nie widzia³ jej w takim stanie.

Odpowiedzia³a dopiero po chwili. George zastanawia³ siê przez moment, czy aby nie sta³o siê coœ we Francji, ale kiedy sam przegl¹da³ prasê, nie zauwa¹çy³ niczego na ten temat.

- Coœ okropnego przydarzy³o siê w³acenie jednemu z moich przyjació³.

- Znam go?

Pokrêci³a g³ow¹. Przypuszczalnie czyta³ o procesie, nigdy jednak nie mówi³a mu, i¹ zna Nicka Burnhama. Czu³a w sercu o³owiany ciê¹ar, wyobra¹aj¹c sobie, jak Nick oddaje dziecko Hillary... W koñcu podnios³a siê z miejsca. CzeKa³a j¹ praca.

Przez ca³y ten dzieñ drêczy³y j¹ myœli o Nicku, tote¹ç siêgn¹wszy wreszcie po s³uchawkê, nie od³oçy³a jej na wide³ki. W nowojorskiej informacji otrzyma³a numer korporacji Burnham Steel, a kiedy uzyska³a po³1czenie i na drugim koñcu linii odezwa³o siê biuro firmy, poprosi³a o po³1czenie z Nickiem, lecz oœwiadczone jej, çe go nie ma. Nie zostawi³a swojego nazwiska. Zaczê³a siê zastanawiaæ, dok¹d pojecha³ lizaæ swoje rany. Przysz³o jej nawet do g³owy, czy aby ogarniêty rozpacz¹ nie bêdzie chcia³ do niej zadzwoniaæ, sk¹d jednak mia³by wiedzieæ, çe ona przebywa na Zachodnim Wybrze¹u? Ju¹ dawno przeciêli ³1cz¹ce ich wiêzy. Mo¹çe tak w³acenie by³o lepiej? Wiedzia³a, çe nie mo¹çe ci¹gn¹æ tego romansu, bo czu³aby siê nieustannie winna wobec Armanda. Nicka wszak¹çe i tak spotka³o to, czego siê obawiali - straci³ syna. Teraz nie mia³ ju¹ç nic... Tu Liane ucemiechnê³a siê do siebie, ucwiadamiaj¹c sobie naiwnoœæ tego rozumowania. Nie widzieli siê od siedemnastu miesiêcy, Nick by³ rozwiedziony prawie od roku. Prawdopodobnie mia³ teraz uroc¹ przyjació³kê, mo¹çe nawet dlatego siê rozwió³. Jeceli taka przyjació³ka rzeczywiœcie istnia³a, Liane pozostawa³o mieæ nadziejê, çe jest to kobieta dobra, zdolna przy³oçy³aæ balsam na jego rany. Jeceli ktokolwiek w ogó¹le by³ w stanie to uczyniaæ. Wiedzia³a, jak straszliwie ten mêtczyzna musia³ przeçy³waæ utratê jedyne³ dziecka na rzecz kobiety, której nienawidzi³.

- Wygl¹dasz, jakby umar³ ci ktoœ bliski - zauwa¹çy³ tego wieczoru George.

- Myślę, że za cięko pracujesz w tym idiotycznym Czerwonym Krzyżu.

Jego niechęć do działalności bratanicy powiększa się tego dnia to, że akurat była sobota, a Liane pracowała także w weekendy.

- To, co robimy, wcale nie jest głupie, wujku.

- Czemu wobec tego jesteś taka przygnębiona? Powinność gdzieś wyjść, zabawić się...

Takich uwag Liane wysłuchiwała do znudzenia. Uśmiechnęła się do wuja. Dała sobie przynajmniej spokój z podstawianiem jej synom swoich przyjaciół, uświadomiwszy sobie już przed rokiem, że Liane się nie podda. Była tylko listami Armanda. Przemycane przez działaczy Ruchu Oporu gdzieś na południu Francji, dochodziły do niej pognicione i brudne, czasem opóźnione o kilka tygodni, jeżeli czekały, ale ktoś będzie się przedzierał do Anglii czy Hiszpanii, zawsze jednak w końcu docierały i za każdym razem Liane z westchnieniem ulgi mogła przekazać córkom wiadomości, i tata ma się dobrze. George'a nieustannie zdumiewała, i Liane tak stanowczo trzyma stronę męża. Znała mnóstwo kobiet, które z całą pewnością nie dochowywałyby wierności ale tak bezwzględnie. Pomyślała z uśmiechem, że wiele takich poznała podczas pierwszej wojny. Liane jednak dużo bardziej przypominała swojego ojca niż wuja. Podziwiała tę jej cechę, aczkolwiek nie uznawała jej za przejaw mądrości.

- Byłaby z ciebie wspaniała zakonnica, wiesz? - zainteresowała.

- Może minęłam się z powołaniem.

- Nigdy nie jest za późno.

- Odpracowuję teraz nowicjat.

Zawsze wieczorami grywała z nim w domino i zawsze toczyła podobne rozmowy. Trudno było uwierzyć, że zbliża się następne Boże Narodzenie i że Liane już od roku mieszka w San Francisco. Wydawała się jej, że wojna trwa z tysiąc lat. W gruncie rzeczy we Francji toczyła się dwa lata, a Armand dzięki Bogu wciąż był cały i zdrowy. Napomykał teraz od czasu do czasu o wykonywanej przez siebie pracy, tak że Liane wiedziała o Andrem Marchandzie. Znikł jednak nie pojawiały się zwiastuny końca wojny. Trwały bombardowania Londynu i chociaż tysiące Niemców ginęły na froncie wschodnim, Rzesza nie przejawiała chęci przerwania ofensywy. To wszystko wydawało się szalenie odległe od świata, w którym żyła Liane.

Tej nocy, 6 grudnia, wstała i zaczęła spacerować po tonącym w ciszy domu. Na koniec dotarła do biblioteki i usiadła przy biurku. Lubiła pisywać do Armanda późną noc, albowiem miała wtedy więcej czasu na zebranie myśli. Nie spała dobrze już od wielu miesięcy i tej nocy pisała bardzo, bardzo długo, wiadoma, że znaczna część listu zostanie ocenzurowana. Armand mógł przesyłać swoją korespondencję kanałami konspiracyjnymi, lecz ona nie mogła z nich korzystać. Jej listy musiały do niego docierać za pośrednictwem urzędujących w Paryżu niemieckich cenzorów. Starała się zatem uważać na to, co pisze. Ale wreszcie, ziewając, napisała adres i wstała, popatrzyła przez okno w grudniową noc, po czym w lepszym już nieco nastroju poszła do sypialni.

Nazajutrz jednak wciąż dręczyła ją niepokój. Jej myśli bez reszty wypełniał Armand, kiedy uważnie studiowała gazetę, szukała jak co dzień informacji o wojnie w Europie.

- Czy to ty bratankaś się zeszłej nocy po domu, czy wamywacz? -

uśmiechnęła się do niej George nad stołem zastawionym do niedzielnej kolacji. Wiedziała o jej nocnym bratanku. Kiedy po raz pierwszy ją usłyszała, cicho wyszedł ze swojej sypialni z rewolwerem w dłoni. Wtedy obydwoje odskoczyli od siebie z krzykiem.

- Chyba w³amywacz, wujku.

- Ukrad³ nasze miko³ajkowe prezenty? - Do pokoju wpad³a Elisabeth. Mia³a ju¿ dziewiêæ lat i z wiary w Œwiêtego Miko³aja bezpowrotnie wyros³a, ale niezmiernie siê zmartwi³a, ¿e w³amywacz uszczkn¹³ coœ z góry prezentów czekaj¹cych w garderobie na górze.

- Pójdê sprawdziæ - Liane uœmiechnê³a siê do córki, która wraz z siostr¹ wybieg³a do ogrodu. By³y szczêœliwe w San Francisco i chocia¿ wci¹¿ têskni³y za ojcem, dobrze przystosowa³y siê do nowego otoczenia, a okrucieñstwo, którego doœwiadczy³y w Waszyngtonie, tutaj nigdy ich nie dosiêg³o g³ównie dziêki dyskrecji wuja George'a. Liane by³a mu za to wdziêczna i tego dnia sz³a do pracy z l¿ejszym sercem. Zastanawia³a siê, jak daje sobie radê Nick pozbawiony syna. Z w³asnych doœwiadczeñ wiedzia³a, ¿e czas potrafi zaleczyæ rany zadane przez los, a cierpienie staje siê mniej dojmuj¹ce, choœ nikomu nie przychodzi to ³atwo. Ona tak¿e nie myœla³a w tej chwili o Nicku z takim bólem jak niegdyœ. D³ugo nie potrafi³a wyrzuciæ go z myœli, czêsto ze zdumieniem sobie uœwiadamia³a, jak wydaje siê jej bliski, zw³aszcza gdy przymkn¹wszy oczy wspomina³a rejs na "Deauville". Teraz jednak to wszystko wydawa³o siê odleg³ym snem. Czasem tylko noc¹ œni³a na przemian o Nicku i Armandzie, po przebudzeniu zaœ nie wiedzia³a, gdzie i z kim jest, jak siê tu znalaz³a. Dopiero gdy przez okno zobaczy³a most Golden Gate, gdy us³ysza³a bucuki mg³owe, przypomina³a sobie wszystko - równie¿ to, ¿e obydwaj s¹ daleko.

Nick stanowi³ cz¹stkê przesz³oœci, czule pielêgnowan¹ przez Liane w duszy. Da³ jej coœ, czego przedtem nie ofiarowa³ nikt inny, a jego s³owa pozwoli³y jej przetrwaæ ostatnich szesnaœcie miesiêcy. Potrzebowa³a ka¿dej uncji tej si³y, któr¹ wedle jego zapewnienie istotnie w sobie mia³a. Potrzebowa³a jej za ka¿dym razem, gdy przez trzy, cztery, piêæ tygodni daremnie czeka³a na list od Armanda, gdy czyta³a w gazecie artyku³ przepe³niaj¹cy j¹ przera¿eniem albo gdy pomyœla³a o mê¿u pracuj¹cym w Pary¿u pod bokiem Niemców. Potrzebowa³a jej ka¿dego dnia i w ka¿dej godzinie. Dla siebie, dla córek, nawet dla wuja George'a. I potrzebowa³a jej tego dnia, kiedy po powrocie z koœcio³a w³czy³a radio w sypialni.

Czêsto s³ucha³a radia, szukaj¹c w nim najnowszych doniesieñ, teraz jednak zastyg³a w bezruchu, niezdolna uwierzyæ w s³owa spikera. Szeœæ wielkich kr¹¿owników zosta³o zatopionych lub powa¿nie uszkodzonych w bazie Pearl Harbor na Hawajach, a stacjonuj¹cym tam si³om powietrznym pozosta³o zaledwie szesnaœcie zdolnych do latania bombowców. Japoñczycy przeprowadzili niespodziewany poranny atak na Hawaje, dziesi¹tkuj¹c oddzia³y amerykańskich wojsk. Nie by³o ju¿ w¹tpliwœci, i¿ jednym szybkim morderczym gestem wci¹gnêli Stany Zjednoczone do wojny.

Z trzepoc¹cym sercem i poblad³¹ twarz¹ Liane zbieg³a po schodach i odnalaz³a wuja, który w swoim gabinecie z wilgotnymi oczyma s³ucha³ tych samych wiadomoœci. Po raz pierwszy w ¿yciu jego ojczyzna, kraj, który tak bardzo kocha³, zosta³ zaatakowany. Liane podesz³a do niego i kilka chwil póŹniej objêli siê ramionami, s³uchaj¹c przemówienia prezydenta Roosevelta. Ameryka przyst¹pi³a do wojny, co mia³ jeszcze zatwierdziæ tylko senat. Trzy dni póŹniej, 11 grudnia, wojnê Stanom wypowiedzia³y W³ochy i Niemcy, Kongres zaœ przy¹³ jednog³oœnie uchwa³ê o w³czeniu siê Stanów Zjednoczonych do wojny. Dla Amerykanów nadesz³y nowe czasy, i to bardzo smutne. W ca³ym kraju wci¹¿ jeszcze panowa³o powszechne poruszenie zwi¹zane z atakiem na Pearl Harbor. Wszyscy zastanawiali siê bez ustanku, czy Japoñczycy posun¹ siê w swej zuchwa³oœci jeszcze dalej, atakuj¹c wielkie

miasta na kontynencie amerykańskim. Nagle rozwia³o si³e dotychczasowe poczucie pewno³ci i bezpiecze³stwa.

Rozdzia³ trzydziesty siódmy

Rankiem 7 grudnia tak³e w Nowym Jorku wybuch³a panika, ale przera³enie spo³ecze³stwa nie by³o a³ tak odczuwalne jak na Zachodnim Wybrze³u. Hawaje le³a³y daleko, chocia³z œwiadomoœæ, ³e zaatakowano amerykańskie wojsko, porazi³a wszystkich. Ulg³e przynios³o dopiero orêd³zie Roosevelta do narodu, deklaruj³ce przyst³pienie do wojny. Stany Zjednoczone, zakasawszy rêkawy, mog³y teraz rewan³owaæ si³e wrogowi. Amerykanie liczyli, ³e Japo³nczy³cy nie dobior³ si³e do nich pierwsi, atakuj³c reszt³e kraju tak jak Pearl Harbor.

Nick us³ysza³ wiadomoœci z p³toragodzinnym op³Ÿnieniem. Kiedy Hillary zabra³a Johnny'ego, wsiad³ do samochodu i ruszy³ przed siebie, nast³pnego ranka za³e obudzi³ si³e na poboczu szosy gdzieœ w Massachussetts. Jecha³ prosto przed siebie, nie zwa³aj³c dok³d, chocia³z bowiem tylko gna³e bez opami³etania. Nazajutrz zadzwoni³ do Hillary, porozmawia³ z Johnnym, lecz zapytawszy o weekend, us³ysza³, ³e pa³stwo Markham maj³ inne plany. Wybierali si³e na kilka dni do Palm Beach z wizyt³ do pani Markham. Nick doskonale wiedzia³, po co tam jad³ - podlizaa³ si³e matce Markhama i wycisn³la³ z niej wi³ecej pieni³ędzy. Co nie znaczy, ³e byli w potrzebie. Tak czy inaczej dla Nicka wa³ne by³o jedynie to, ³e nie zobaczy si³e z Johnnym w nast³pnny weekend.

Po otrzymaniu tej wiadomoœci zadzwoni³ do biura i oznajmi³, ³e idzie na tygodniowy urlop. Wszyscy zrozumieli dlaczego, Nick nie próbowa³ zreszt³ uzasadniaæ swojej decyzji. Nie móg³by skoncentrowaa³ si³e na pracy, a wyjazd na wieœ zwykle przynosi³ mu ulg³e. Chocia³z do bólu t³skni³ za synem, wiedzia³, ³e poczuje si³e lepiej po kilkudniowym pobycie na œwie³ym powietrzu.

Zgodnie z obietnic³ dzwoni³ do Johna co wiecz³ór, je³d³ c od jednego miasteczka do drugiego. Zatrzymywa³ si³e w schludnych gospodach, jada³ proste po³zywne posi³ki, odbywa³ d³ugie spacer³y zadrzewionymi drogami pomi³ędzy jeziorami skutymi lodem. Te wiejskie w³dr³wki przywraca³y go do ³ycia. W dniu, w którym zaatakowano Pearl Harbor, Nick by³ na kolejnym d³ugim spacerze, a wczesnym popo³udniem wróci³ do gospody na solidny posi³ek. Zjad³ talerz zupy, wielki kawa³ sernika i wypi³ kufel piwa. Z roztargnieniem nastawi³ ucha, kiedy w drugim ko³cu jadalni ktoœ w³czy³ radio. W³œciwie nic istotnego nie mog³o wydarz³æ si³e w niedziel³e. Zrazu nie rozró³nia³ s³ów, potem nagle dotar³y do³ z wielk³ wyrazistoœci³. I jak miliony rodaków w ca³ym kraju, skamienia³ wstrz³œni³ty. Wreszcie bez s³owa wsta³ i poszed³ do pokoju, aby si³e spakowaæ.

Uczyni³ to w niezrozumia³ym odruchu - co³e mu mówi³o, ³e powinien niezw³ocznie wróciæ do Nowego Jorku. Idylla w Nowej Anglii dobieg³a ko³ca. Uregulowa³ rachunek, zadzwoni³ do mieszkania Hillary i zostawi³ wiadomoœæ dla Johna, ³e wraca i zobaczy si³e z nim jeszcze tego wieczoru. Do diab³a z planem odwiedzin! Chwyci³ torby i wypad³ z gospody.

Potrzebowa³ czterech i p³ godziny, aby dojechaæ do Nowego Jorku. Nie zatrzymawszy si³e nawet w domu, ³eby si³e przebraæ, pojecha³ wprost do biura na Wall Street. D³ugo tam siedzia³, otoczony niedzieln³ cisz³, odziany jak w czasie w³dr³wek po lasach Massachussetts. Wiedzia³, co zrobi w nast³pniej

kolejnoœci, a do biura przyszed³ g³ównie po to, ¿eby znaleŸæ chwilê spokoju i nabraæ pewnoœci, ¿e jego decyzja jest s³uszná.

Przez ca³¹ drogê do domu s³ucha³ radia. Samoloty zwiadowcze patrolowa³y ca³e wybrze¿e, nie dostrzeg³y jednak maszyn nieprzyjacielskich. Po Pearl Harbor japoñskie ataki ju¿ siê nie powtórzy³y.

Poczyni³ pewne notatki, wreszcie wykrêci³ prywatny numer prezydenta. Po³czono go zdumiewaj¹co szybko. Prawdopodobnie wszyscy znacz¹cy obywatele tego kraju usi³owali dodzwoniæ siê teraz do Roosevelta, ale Nick, jako prezes rady nadzorczej korporacji Burnham Steel, mia³ zawsze pierwszeństwo.

Przytrzymuj¹c s³uchawkê ramieniem, pospiesznie notowa³. Znów czu³, ¿e panuje nad sob¹. Po raz pierwszy w ¿yciu zosta³ pokonany, ale nie na dobre. Kiedyœ odzyska Johnny'ego, teraz natomiast chyba nawet lepiej, ¿e dziecko znajduje siê pod opiek¹ Hillary. Nick mia³ wiele spraw na g³owie, a du¿o jeszcze mog³o siê zmieniaæ w kraju, który przyst¹pi³ do wojny. Przez d³u¿szy czas nie bêdzie mia³ wolnej chwili.

Kiedy w s³uchawce rozleg³ siê g³os prezydenta, Nick z powag¹ wyjaœni³, dlaczego telefonuje. Rozmowa by³a krótka, lecz rzeczowa i w pe³ni zadowolaj¹ca - Nick uzyska³ wszystko, czego pragn¹³. Pozosta³o mu teraz tylko zamkn¹æ biuro i zobaczyæ siê z Johnnym. Przedtem zadzwoni³ jeszcze do Brettá Williamsa.

Brett Williams by³ jego praw¹ rêk¹ i w ci¹gu roku, który Nick spêdzi³ w Europie, prowadzi³ centralê firmy w Stanach. Nick z³apa³ go w domu. Brett spodziewa³ siê telefonu szefa przez ca³e popo³udnie, tote¿ nie by³ ani trochê zaskoczony. Obaj wiedzieli, co siê kroi. Wojna oznacza³a dla korporacji wielk¹, aczkolwiek doœæ przera¿aj¹c¹ hissê.

- I jak, Nick, co o tym myœlisz?

Nie wymienili uœcisku d³oni, nie przywitali siê po d³u¿szym rozstaniu, nie wspomnieli o nieudanej próbie uzyskania prawa do opieki nad Johnnym. Znali siê na wylot. Brett Williams zacz¹³ pracê dla korporacji Burnham Steel jeszcze w czasach, gdy kierowa³ ni¹ ojciec Nicka, kiedy zaœ interesy przej¹³ Nick, sta³ siê dlañ wrêcz nieoceniony.

- Myœlê, ¿e bêdziemy mieli cholernie du¿o roboty. No i myœlê te¿ o paru innych rzeczach. Dzwoni³em w³aczenie do Roosevelta.

- Dzwoni³oœ ty i wszystkie staruszki z Kansas.

Nick uœmiechn¹³ siê szeroko. Williams by³ interesuj¹cym facetem. Dorasta³ na farmie w stanie Nebraska, zdoby³ stypendium w Harvardzie i by³ stypendyst¹ fundacji Rhodes w Cambridge. Przeby³ dalek¹ drogê od pól Nebraski.

- Porobi³em sobie pewne notatki, Peggy przepisze ci je jutro na maszynie. Ale teraz chcia³bym ci zadaæ kilka istotnych pytañ.

- Wal œmia³o.

Nick waha³ siê przez chwilê, zastanawiaj¹c siê, czy Brett zechce spe³niaæ jego proœbê - proœbê nie byle jak¹. Nigdy dot¹d Williams go nie zawiód³, tote¿ Nick wierzy³, ¿e i teraz bêdzie podobnie. By³ rad, s³ysz¹c odpowiedŸ Williamsa, ani trochê nie zaskoczonego jego proœb¹, podobnie zreszt¹ jak wczesniej prezydent Roosevelt. Tylko to Nick móg³ uczyniaæ ze wzglêdu g³ównie na swoj¹ funkcjê i pozycjê. Wszyscy trzej zdawali sobie z tego sprawê, Nick nie wiedzia³ tylko, czy zrozumie to równie¿ Johnny.

Nick odebra³ Jaha z mieszkania Hillary w pi¹tek. Wcześniej uporządkowa³ wszystkie sprawy w pracy, tak że miał do dyspozycji cały weekend. Chłopięcała³ z radości ujrawszy ojca, co Hillary, wydymaj¹c wargi, obserwowa³a od drzwi.

- Cześć, Hillary - przywita³ ją chłodno Nick. - Odwioz² Johna w niedzielę o siódmej.

- Lepiej będzie o pi¹tej.

Napięcie pomiędzy nimi grozi³o wy³adowaniem, toteż Nick uzna³, że lepiej nie podejmować z nią dyskusji w obecności dziecka. Johnny i tak przez wiele już przeszedł i Nick nie chciał zepsuć mu tego weekendu.

- Dobrze.

- Gdzie będziecie?

- W domu.

- Dopilnuj, żeby jutro zadzwonił. Chcę wiedzieć, jak się czuje.

Jej słowa smagnęły Nicka jak bicz, ale skinął głową w milczeniu. W samochodzie dokładnie wypytął Johnny'ego, który przyznał, że chociaż wolałby mieszkać z ojcem, zachowaniu matki wobec siebie nie może nic zarzucić, a starsza pani Markham podczas wizyty w Palm Beach była wręcz serdeczna. Obdarowała go mnóstwem prezentów, zabierała na spacer i Johnny w gruncie rzeczy ją polubił. Matki i Philipa nie widuje zbyt często, na ogół bowiem przebywają poza domem, poza tym odnosi wrażenie, że Markham raczej nie przepada za dziećmi.

- Oni są chyba w porządku, tatusiu, ale to całkiem co innego niż jak mieszkalibyśmy razem - powiedziała.

John uśmiechnął się szeroko, kiedy wszedł do swojego pokoju i rzucił się na łóżko.

- Witaj w domu, synu. - Nick przyglądał się chłopcu z radosnym uśmiechem. Ból, jaki odczuwał w ciągu minionych dni, zaczął się abnormalnie. - Naprawdę bombowo jest mieć cię z powrotem.

- Naprawdę bombowo jest być tu znowu.

Zjedli razem w przyjemnym nastroju kolację, potem Nick utulił go do snu. W czasie tego weekendu miał do omówienia z synem wiele rzeczy, ale one mogły poczekać.

W sobotę jeździli na wrotkach w Central Parku, później poszli do kina i na hamburgera. Spędzany razem czas w niczym nie przypominał ich dotychczasowego życia, w stosunkach między ojcem a synem brakowało bowiem owej lekkości, jak daje jedynie obcowanie ze sobą na co dzień. Nick był jednak szczęśliwy, mając syna przy sobie.

W niedzielę zakomunikował mu to, co odkładał przez cały weekend. Kilkakrotnie rozmawiali wprawdzie o Pearl Harbor i o tym, co japoński atak oznacza dla Stanów Zjednoczonych, lecz dopiero w niedzielę Nick oświadczył synowi, iż zgłosił się na ochotnika do wojska.

- Naprawdę?! - zdumiał się Johnny. - Chcesz powiedzieć, że będziesz walczył z Japończykami? - To określenie usłyszał w szkole. Nick nie był pewien, czy podoba mu się ono w ustach syna, ale skinął głową.

- Nie wiem, gdzie zostaną wysłani, John. Mogę mnie skierować do wszędzie.

Chłopięcał dumą nad czymś przez chwilę, wreszcie spojrzął ojcu w oczy.

- To znaczy, że znów wyjeżdżasz, jak wtedy, kiedy byłeś w Paryżu - zauważył. Nie przypominał ojcu obietnicy, że nigdy się już nie rozstać, Nick jednak dostrzegł w jego oczach wyrzut. Nieważne, że cały świat stanął

na g³owie, ¿e Hawaje zosta³y zbombardowane. Nagle poczu³ siê winny, ¿e chce wst¹piæ do wojska. W³acenie z tego powodu skontaktowa³ siê z Williamsem. Jako szef wielkiej firmy o ogólnokrajowym znaczeniu móg³ bez trudu zostaæ zwolniony z obowi¹zku s³u¿by, tego jednak nie chcia³. Pragn¹³ walczyæ za ojczyznê. Nie mia³ ju¿ przy sobie syna i musia³ uciec jakoœ od tego wszystkiego. Od Hillary, od s¹dów, od udrêki, która bêdzie siê wi¹za³a z apelacj¹, a nawet od wyrzutu w oczach syna, ¿e nie potrafi³ go zatrzymaæ. Kiedy godzinami maszerowa³ po lasach Massachusetts, uœwiadomi³ sobie, i¿ musi w swoim ¿yciu dokonaæ jakiejœ radykalnej zmiany, us³yszawszy zatem o Pearl Harbor, wiedzia³ ju¿, na czym bêdzie ona polega³a. Zadzwo³ do Roosevelta, aby poinformowaæ go o swojej decyzji i jak najbardziej przyspieszyæ mobilizacjê. Z Brettem natomiast rozmawia³ o przejêciu kierownictwa nad korporacj¹ pod jego nieobecnoœæ. Brett by³ jedynym cz³owiekiem, któremu by³ sk³onny powierzyæ firmê, a skoro siê zgodzi³, Nick móg³ pójœæ do wojska.

- Kiedy wyjedziesz, tato? - Zadaj¹c to pytanie, John sprawia³ wra¿enie cz³owieka w pe³ni dojrza³ego. W ci¹gu ostatnich miesiêcy widzia³ wiele i bardzo dorós³.

- Nie wiem, Johnny. Przypuszczam, ¿e nie od razu, ale wszystko zale¿y od tego, dok¹d zdecyduj¹ siê mnie wys³aæ.

Ch³opiec przetrawi³ s³owa ojca, potem skin¹³ g³ow¹, ta rozmowa zasnu³a jednak smutkiem resztê popo³udnia. Nick cieszy³ siê, ¿e nie powiedzia³ Johnny'emu wczêœniej o swojej decyzji.

Nawet Hillary zauwa¿y³a, jak bardzo przygaszony jest ch³opiec, kiedy Nick odwióz³ go do niej. Popatrzy³a na syna, póŸniej na Nicka i zapyta³a:

- Co siê sta³o?

- Powiedzia³em mu, ¿e idê do wojska.

- Do piechoty morskiej? - Stropi³a siê, kiedy przytakn¹³. - Ale przecie¿ odby³eœ ju¿ s³u¿bê.

- Nasz kraj toczy wojnê, chyba o tym s³ysza³aœ?

- Ale ty nie musisz s³u¿yæ, jesteœ z tego zwolniony.

Nick zauwa¿y³, ¿e Johnny z wielkim zainteresowaniem przys³uchuje siê ich rozmowie.

- Czujê siê odpowiedzialny za swój kraj.

- Czy chcesz, ¿ebym zaczê³a œpiewaæ teraz "The Star-Spangled Banner"?

- Dobrej nocy, John. - Ignoruj¹c Hillary, Nick poca³owa³ syna.

- Zadzwo³ do ciebie jutro.

We wtorek mia³ siê zg³osiæ w bazie Quantico w stanie Wirginia, a potem zapewne bêdzie bardzo zajêty przez tydzieñ albo dwa. Pozostawa³ w aktywnej rezerwie ju¿ od dawna, nie musia³ zatem ponownie przechodziæ szkolenia i mia³ otrzymaæ stopieñ, z którym go zdemobilizowano - stopieñ majora.

Tego wieczoru po powrocie do domu Nick zastanawia³ siê, co Johnny'emu powie Hillary. Czy to, ¿e wcale nie musia³ iœæ na wojnê? - e jest g³upcem? No i co o tym wszystkim pomyœli ch³opiec? Niechybnie uzna, ¿e ojciec go porzuci³.

Usi³uj¹c dojsæ do ³adu z drêcz¹cymi go problemami, Nick poczu³ nagle ogromne znu¿enie. Musia³ jeszcze uporz¹dkowaæ dokumenty. W ogóle do wtorku musia³ bardzo wiele zrobiæ.

Rozdział trzeciasty dziewięćty

Zgłosiwszy się we wtorek rano do bazy w Quantico, Nick zdumiał się widząc, jak wielu Amerykanów stawia się już do służby w wojsku. Dostrzegł dwie, może trzy twarze znane z ćwiczeń rezerwy i całe rzesze młodych chłopaków, wstępujących do wojska w stopniu szeregowych. Był też zaskoczony tym, jak doskonale czuje się przywdziewszy na powrót mundur. Sprężył krokiem maszerowa przez hol, gdy jakiego roztrzęsionego młodziaka stanął przed nim na baczność i nazwał go pułkownikiem.

- Jestem generałem, szeregowy! - ryknął Nick, na co młody człowiek omal się nie sfajdał w spodnie. Nick z całych sił musiał powstrzymać się od uderzenia.

- Tak jest, panie generale! - Szeregowy znikł, a Nick jeszcze szeroko się uśmiechał, kiedy za rogiem natknął się na starego kumpla, który był świadkiem tego incydentu.

- Powinieneś się wstydzić. Ci gówniarze są takimi samymi patriotami jak ty, może nawet lepszymi. A co ty właściwie tu robisz? Próbujesz się wykręcić od codziennej harówki w biurze?

Mężczyzna, który zagadał do Nicka, był prawnikiem. Razem studiowali w Yale, razem też odbywali służbę wojskową.

- Gdzie ty się podziewasz, Jack? Wypieprzyli cię z palestry?

- Do diabła, to chyba oczywiste, bo czegoś bym tu szukał?

- Wybuchnęli uśmiechem i ruszyli korytarzem. Musieli odebrać rozkazy wyjazdu. - Ale musisz ci się przyznać, że wczoraj wieczór uznałem, że mi odbiło.

- O tym mogłem ci powiedzieć już w Yale. - Zerknął na przyjaciela. - Jak myślisz, dokąd mogł nas wysłać?

- Do Tokio, do hotelu Imperial.

- Zapowiada się nieźle - uśmiechnął się Nick. Powrót do wojska sprawił, że czuł się nieco dziwnie, ale na pewno nie źle. Poprzedniego wieczoru rozmawiał z Johnnym i doszedł do wniosku, że choć trochę w końcu zrozumiał, co robi jego ojciec. Z rozmowy wynikało, że jest z niego dumny, co zdjęło z barków Nicka wielki ciężar.

Zasalutowali niewinnie w stopniu oficerskim, która wręczyła im zabezpieczone rozkazy. Byli najprzystojniejszymi mężczyznami, jakich widział od tygodnia. Jack Ames miał na palcu ulubioną obrączkę, major Burnham natomiast nie, co zauważyła od razu.

- Mamy je otworzyć od razu, pani porucznik, czy możemy później?

- Jak panowie wolicie, byleście się zgłosili do służby na czas.

Jack z nerwowym uśmiechem jako pierwszy otworzył swoją kopertę.

- Zwyciężyła zając... A niech to!... San Diego. A co u ciebie, Nick?

Nick rozerwał kopertę i zerknął na rozkaz. - San Francisco.

- A potem do Tokio, nieprawdaż, ciekawa? - Jack uszczypnął dziewczynę w policzek.

- Dla pana jestem porucznikiem.

Wyszli na korytarz, Nick pogrążony w myślach.

- Co jest? Nie odpowiada ci San Francisco?

- Cholernie mi odpowiada.

- Więc o co chodzi?

- Z rozkazu wynika, że mam się tam stawiać w przyszłym wtorek.

- No i co z tego? Masz inne plany? Może nie jest za późno na zmianę zdania.

- Nie w tym rzecz. Muszę wyjechać za dwa dni. Powiedziłem synowi... -

Sta³ zatopiony w myślach i Jack nagle wszystko zrozumia³.

On też musia³ brać pod uwagę Łonę i trzy córki. Poklepa³ Nicka po ramieniu i pozostawi³ go jego rozmyśleniom.

Wieczorem Nick zadzwoni³ do Johna. Wiedzia³ już, że musi wyjechać poci¹giem w czwartkowy wieczór i że przedtem otrzyma dwudziestoczerogodzin¹ przepustkę. Czasu mia³ więc niewiele, aby pożegnać się z synem jak należy, na nic więcej jednak nie mógł³ liczyć.

Najpierw porozmawia³ z Hillary, przedstawiaj¹c jej sytuację. Po raz pierwszy zachowa³a się przyzwoicie - zgodzi³a się, by zabra³ syna następnego dnia i by³ z nim w czwartek do chwili, gdy będzie musia³ jechać. Potem zawo³a³a do telefonu Johnny'go, pozwoliwszy Nickowi osobicie powiadomić ch³opca.

- Cześć, tato.

- Tato majorze, jeżeli ³aska. - Próbowa³ zachować lekki ton g³osu, ale w³ażciwie wszystkie jego myśli koncentrowa³y się na pożegnaniu. Dla Ładnego z nich nie będzie to ³atwe i Nicka przeraża³a myśl, że ch³opiec może się poczuć opuszczony. Wiedzia³ jednak, że robi to, co powinien. - Jak sobie dajesz radę, tygrysie?

- Nie! - odpar³ John, lecz z jego g³osu przebija³ smutek. Nie doszed³ jeszcze do siebie po nowinach, które Nick przekaza³ mu w niedzielę, a przecieŁ czeka³y go znacznie gorsze.

- Co być powiedzia³ na spotkanie ze swoim tat¹-majorem już jutro?

- A mogę? - zapyta³ z podnieceniem. - Myślisz, że mama mi pozwoli?

- Już j¹ prosi³em i wyrazi³a zgodę.

- Hurra! To bomba.

- Przyjadę po ciebie o pi¹tej. Możesz spać u mnie i zastanowić się, gdzie chcesz zjeść obiad.

- To znaczy, że już dosta³ę przepustkę?

- Jasne. Nie jestem byle kim.

Johnny wybuchn¹³ ęmiechem. - Chyba fajnie jest być komandosem, co?

Nick jękn¹³. - Ja bym się z tym nie zgodzi³. - Wspomnienie by³o dosyć odleg³e, ale wci¹Ł pamięta³ obóz rekrutów, w którym się znalaz³ przed osiemnastu laty. - Tak czy inaczej zobaczymy się jutro po po³udniu. O pi¹tej. - Od³oŁy³ s³uchawkę i powoli odszed³ od aparatu.

Rozstanie będzie cięŁkie, nie tak jednak cięŁkie jak to, co przeszli obaj przed paroma zaledwie tygodniami. Znowu przypomni³ sobie proces, lecz czym prędzej odsun¹³ to wspomnienie. Nie mógł³ bez bólu myśleć o wieczorze, kiedy Hillary zabra³a Johna. Ich kolejne pożegnanie zapewne nie będzie ³atwiejsze.

Okaza³o się, że mia³ s³usznocęć.

Nazajutrz w czasie kolacji powiedzia³ o wszystkim synowi. Johnny nie zap³aka³, nie okaza³ przygnębia³, ale też nie powiedzia³ ani s³owa. Po prostu patrzy³ na ojca w taki sposób, że omal nie z³ama³ Nickowi serca.

- Daj spokój, tygrysie, nie jest tak !le.

- Obieca³ę, że nigdy mnie już nie opuścisz. Obieca³ę, tato - rzek³ cichutko smutnym g³osem, w którym nie by³o cienia skargi.

- AleŁ, Johnny, jest wojna.

- Mama mówi, że wcale nie musisz na ni¹ iocęć.

Nick g³ęboko zaczerpn¹³ powietrza. - Ma s³usznocęć. Gdybym chcia³, mógł³bym ca³¹ wojnę przesiedzieć za biurkiem. Ale to nie by³oby w porz¹dku. Czy by³być ze mnie dumny, gdybym tak w³acenie post¹pi³? Za kilka tygodni ojcowie twoich przyjació³ też wst¹pi¹ do wojska. Jak być się wówczas czu³?

- Cieszy³bym siê, ¿e jesteœe ze mn¹ - odpar³ szczerze. Nick pokrêci³ g³ow¹.

- Czu³byœe siê zawstydzony. Czy naprawdê chcia³byœe, ¿eby³ post¹pi³, jak mówisz?

- Nie wiem. - Ma³y przez d³ug¹ chwilê wpatrywa³ siê w talerz, w koñcu podniós³ g³owê. - Ale wola³bym, ¿ebyœe nigdzie nie jecha³.

- A ja by³ wola³, ¿eby Japoñczycy nigdy nie zaatakowali Pearl Harbor. Tylko ¿e tak siê sta³o i teraz musimy z nimi walczyæ. W Europie wojna toczy siê ju¿ od bardzo dawna.

- Ale przecie¿ mówi³eœe, ¿e my nigdy nie weŸmiemy w tej wojnie udzia³u.

- Myli³em siê, synu. Ogromnie siê myli³em... A teraz zamierzam zrobiæ to, co do mnie nale¿y. Bêdê za tob¹ strasznie têsadni³, w dzieñ i w nocy, ale obaj musimy wierzyæ, ¿e postêpujê s³uszenie.

Oczy ch³opca wype³ni³y siê z³ami. Argumentacja ojca wcale go nie przekona³a. - A jeœli nie wrócisz?

- Wrócê - odpowiedzia³ Nick ochryple i ju¿ chcia³ dodaæ "przysiêgam", ale przecie¿ sk³ada³ takie przyrzeczenia wczesniej, ostatnio zaœe kiepsko siê z nich wywi¹zywa³. - Musisz to sobie zapamiêtaæ, synku: ja wrócê...

Doda³ jeszcze, ¿e zosta³ skierowany do San Francisco, po czym uregulowa³ rachunek i wrócili do domu. Nick nadal dosyæ dziwnie czu³ siê w mundurze, choæ w ostatnich dniach mundury pojawia³y siê dos³ownie wszêdzie. Kiedy trzymaj¹c siê za rêce wychodzili z restauracji, zastanawia³ siê, czy jego syn pewnego dnia bêdzie zeñ dumny, czy te¿ w ogóle nie bêdzie to mia³o dla niego znaczenia, bo nad wszystkim zapanuje poczucie wielokrotnej zdrady. Ze strony matki, która siê o niego nie troszczy, ze strony sêdziego, który nic nie zrozumia³, i ze strony ojca, który uciek³, by zabawiæ siê w ¿o³nierzyka.

Z ciê¿kim sercem otula³ tej nocy Johnny'ego ko³dr¹, nastêpny dzieñ wszak¿e by³ znacznie gorszy. Odbyli d³ugi spacer po parku, obserwowali y¿wiarzy na lodowisku, lecz myœleli o czym innym, czas up³ywa³ im zaœe zdecydowanie za szybko. Nick odwióz³ syna do Hillary o czwartej. Otworzywszy drzwi, popatrzy³a na ch³opca, który wygl¹da³ tak, jakby umar³ mu ktoœ bliski. Uwa¿nie obserwowa³a te¿ ich po¿egnanie.

- Uwa¿aj na siebie, synu. Zadzwoñê z San Francisco, jak tylko bêdê móg³.

- Nick ukl¹k³ obok zap³akanego dziecka. - Uwa¿aj na siebie, s³yszysz?

Wrócê, musisz pamiêtaæ, ¿e wrócê.

Johnny zarzuci³ mu ramiona na szyjê.

- Nie jedŸ... Nie jedŸ... Zabij¹ ciê.

- Nie zabij¹. - Nick musia³ hamowaæ³zy, a Hillary odwróci³a siê do nich plecami. Po raz pierwszy ich ból dotkn¹³ równie¿ j¹. Nick jeszcze raz uœcisn¹³ syna i wsta³. - IdŸ teraz, synu.

Johnny jednak wciê¿ sta³ w tym samym miejscu, kiedy Nick odchodzi³, kiedy odwróci³ siê, by pomachaæ mu rêk¹, a potem pobieg³ ulic¹, zatrzyma³ taksówkê i znikn¹³ w jej wnêtrzu.

Po powrocie do domu Nick zabra³ spakowane rzeczy i po¿egna³ siê ze s³u¿¹c¹. P³aka³a, przed odejœciem przytuli³ j¹ zatem, uœcisn¹³ d³oñ odŸwiernemu Mike'owi, po czym ruszy³ na dworzec. Zajmuj¹c wraz z innymi mê¿czyznami miejsce w przedziale, przypomina³ sobie, kiedy by³ w poci¹gu po raz ostatni: wtedy Liane jecha³a do Waszyngtonu, on zaœe sta³ na peronie, patrz¹c za ni¹. Jak¿e zmieni³o siê od tego czasu ich ¿ycie - w ka¿dym razie jego ¿ycie, bo mia³ nadziejê, ¿e w sytuacji Liane niewiele siê zmieni³o, ¿e Armand wciê¿ daje sobie radê. I wiedzia³ teraz, przez co de Villiersowie

musieli przejść, gdy rozstawali się w Tulonie.

Nick starał się na czymś skoncentrować, myśłami jednak wciąż wracał do syna, którego zapakowana przy poźegnaniu buzia stawała mu przed oczami. W pośowie drogi udał się do Johnny'ego, ale chłopca nie było w domu, Nick zaczął nie miał czasu powtórnie się położyć, gdy poczęła już ruszać. Telefonował potem zaraz po przybyciu do San Francisco, znowu jednak wybrał zły moment, a później utonął w wirze rozkazów i wszystkiego, co wiązało się z ponownym przystosowaniem do zapomnianego już reżimu życia w wojsku.

Z uczuciem ulgi dotarł na koniec do swojego pokoju w jednym z kilku niewielkich hotelików na Market Street zajętych przez piechotę morską. Zamknął za sobą jego drzwi owego wtorkowego wieczoru, z trudem potrafił uwierzyć, że jest w wojsku zaledwie od tygodnia. Zdawało mu się, że nosi mundur od lat i ma tego serdecznie dosyć. Niestety, trwała wojna, nie mógł go więc zrzucić. Miał tylko nadzieję, że w niedługim czasie zostanie wysłany na front. W tym momencie zupełnie nie miał co robić. Teraz natomiast marzył tylko o tym, żeby się spokojnie wyspać.

Leżał w ciemnościach na wiskim hotelowym łóżku i w końcu zasypiał, gdy usłyszał pukanie. Mamrocząc coś pod nosem, ruszył po omacku ku drzwiom, otworzył je i ujrzał zdenerwowanego szeregowca.

- Major Burnham?

- Tak?

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale polecono mi powiadomić wszystkich...

- Nick spodziewał się co najmniej nowin o ataku nieprzyjaciela, stępał zatem w oczekiwaniu na dalsze słowa szeregowca.

- Dzisiejszej nocy odbywa się raut zorganizowany przez Czerwony Krzyż...

Dla wyższych rang oficerów... i z powodu Bożego Narodzenia... i w ogóle...

- b'ka coraz bardziej stropiony.

Nick, ubrany tylko w slipy, z jękiem wsparł się o framugę drzwi.

- I po toście mnie obudzili?... Przebyłem prawie trzy tysiące mil, nie spałem porządnie od pięciu dni, a wy walicie do moich drzwi, żeby zaprosić mnie na herbatkę organizowaną przez Czerwony Krzyż?...

- Usiłowałam przybrać gniewny wyraz twarzy, lecz potrafił się tylko uśmiechać.

- Rany boskie...

- Przepraszam, sir... Sztab uznał...

- Czy sztab udaje się na herbatkę w Czerwonym Krzyżu?

- To nie jest herbatka, sir, to koktajl.

- Urocze. - Groteskowość sytuacji przerastała wytrzymałość Nicka, który osunął się na podłogę przy drzwiach i wybuchł niepohamowanym śmiechem. - Jaki koktajl? Kool-Aid z dżinem?

- Nie, sir, miałem na myśli... Nie wiem, sir. Rzecz w tym, że ci ludzie byli dla nas bardzo mili, to znaczy dla piechoty morskiej, i sztab chce, żeby się wszyscy pokazali na imprezie... Aby wyrazić nasze uznanie dla...

- Dla czego?

- Nie wiem, sir.

- Doskonale. W takim razie pożyczę wam swój mundur i pójdziecie za mnie.

- Skończymy w areszcie, gdybym podawał się za oficera. - Od początku rozmowy szeregowiec stał wyprostowany jak struna.

- To rozkaz, szeregowy, czy zaproszenie?

- Jedno i drugie, jak się dź. Zaproszenie od Czerwonego Krzyża i...

- Rozkaz ze sztabu - przerwał mu Nick. - Boże!... O której zaczyna się ten cyrk?

- O osiemnastej, sir.
 Nick zerkn¹³ na zegarek. A więc lada chwila.
 - Szlag by trafił!... No to już się wyspa³em. Dziękuję, ło³nierzu.
 - Już zamyka³ drzwi, gdy naraz co³ sobie przypomina³. - A gdzie to się odbywa?
 - Informację znajdzie pan na tablicy ogłoszeniowej na dole.
 - Sir - doda³ Nick z rozbawieniem. Na szczęście nie opuszcza³o go poczucie humoru. Szeregowy obla³ się rumieńcem.
 - Przepraszam, sir.
 - Sk¹d jesteście?
 - Z Nowego Orleanu.
 - Jak wam się tu podoba?
 - Nie wiem, sir. Jeszcze nie ruszy³em się z miejsca.
 - Jak d³ugo tu jesteście?
 - Dwa tygodnie. Przedtem by³em w obozie szkoleniowym w Missisipi.
 - Nie!le musia³ce się bawiæ. - Wymienili porozumiewawcze ucemiechy. - Tak czy siak, szeregowy, skoro nie zgadzacie się przebraæ dzisiaj w mój mundur, chyba w³o³ê go sam.

Nick nale³a do nielicznych szczęściarzy, którzy mieli do dyspozycji prysznic. Zmy³ brud podró³ży, w³o³ży³ mundur wyj³eciowy i dwadzieścia minut pó³niej szuka³ na dole informacji o adresie. Przyj³ęcie odbywa³o się u pani MacKenzie na Jackson Street. Nie mia³ po³jęcia, jak tam dotrzeæ. Nie by³ w San Francisco od lat, postanowi³ zatem wezwæ taksówkê. Poniewa³ takie samo "zaproszenie" otrzyma³o jeszcze trzech oficerów, pojechali razem.

Wysiedli przed imponuj¹cym budynkiem otoczonym 3eliwnym ogrodzeniem i schludnym ogrodem. Jeden z oficerów cicho gwizdn¹³ przez z³ęby, kiedy Nick p³aci³ za taksówkê, po czym wszyscy trzej podeszli do bramy i zadzwonili. Kiedy kamerdyner ich prowadzi³, Nick zastanawia³ się, ile takich rautów wyda³a już pani MacKenzie. Wojna æci¹gn³a do miasta ca³e rzesze m³czyzn z ró³nych stron kraju. Mi³o z jej strony, 3e otworzy³a swój dom dla wojska. Do Bo³ego Narodzenia pozostawa³y zaledwie dwa dni. Nick wr³czy³ Johnny'emu gwiazdkowe prezenty przed wyjazdem. Obu ich czeka³y samotne æwi³ta. W tym roku wszystko wygl¹da³o inaczej. Oto na przyk³ad on, przejechawszy trzy tysi¹ce mil na Zachodnie Wybrze³e, przemierza³ hol domu obcej kobiety i wkracza³ do salonu zape³nionego wojskowymi w mundurach i kobietami w sukniach wieczorowych, po³ród których z tacami wype³nionymi kieliszkami z szampanem kr¹3yli lokaje.

Przez chwilê Nick patrzy³ na most Golden Gate, odnosz¹c nieprzeparte wra³enie, 3e wszystko to jest snem. Wreszcie zacz¹³ b³¹dziaæ wzrokiem po sali. I wtedy spostrzeg³... j¹... Sta³a w rogu, pogr¹3ona w rozmowie z kobiet¹ w ciemnoczerwonej sukni, z kieliszkiem w d³oni. Kiedy na ni¹ patrzy³, odwróci³a g³owê. Ich spojrzenia się spotka³y.

Dla Nicka czas się zatrzyma³, jej ca³a sala zatańczy³a przed oczyma. Powoli ruszy³ w jej stronê, ona za³e us³ysza³a g³os, który przez pó³tora roku przemawia³ do niej tylko w snach. G³os by³ pieszczot¹, wydawa³o się, 3e otaczaj¹ce ich t³umy znikaj¹, kiedy Nick wypowiedzia³ jedno jedyne s³owo: "Liane..." Patrzy³a na niego ze zdumieniem i niedowierzaniem, jego usta za³e rozchyli³y się w ucemiechu.

- Czy to naprawdę ty? - Nick popatrzył Liane głęboko w oczy.

Kobieta, która z nią rozmawiała, oddaliła się bez słowa ujrawszy wyraz jego twarzy. Liane ucieszyła się, nie wiedząc, co powiedziała.

- Nie jestem pewna.

- To tylko sen. - Ucieszyła się w odpowiedzi. - A może się myli?

- Możliwe, majorze. Jak się miewasz? - Jej ucieszył ciepły, lecz słowa zmuszały do zachowania dystansu. - Tyle czasu minęło!...

- Co tu robisz? - spytał, nie mogąc oderwać wzroku od jej twarzy.

- Mieszkam tutaj. Przenieścemy się w zeszłym roku.

Nick wpatrywał się w jej oczy szukając wszystkiego, o czym aż do bólu pragnął się dowiedzieć, nie znalazł jednak niczego, co byoby wypisane w nich wyraźnie. Były równie wielkie i piękne jak niegdyś, lecz teraz, jak mu się zdawało, przesłaniała je mgła. Liane tęskniła i cierpiała, to było widać. I Nick oczywiście natychmiast pomyślał o Armandzie. Opuścił wzrok na dlonie Liane - nadal nosiła cienką obręczkę ołubną.

- Szczęściem, że jesteś w Waszyngtonie.

- Powrót tam nie byłby dobrym pomysłem. - Ich oczy się spotkały, Liane wszakże nic więcej nie dodała. Potem Nick spostrzegł, że na jej twarzy wypływa znany z dawnych czasów ciepły ucieszył. Cenił o nim od blisko dwóch lat. Taki wacenie ucieszył widział na jej twarzy, gdy leżała w jego ramionach. - Miło cię widzieć, Nick.

- Naprawdę? - Wcale nie był tego pewien. Sprawiała wrażenie niemal wystraszonej.

- Oczywiście, że tak. Od jak dawna jesteś w mieście?

- Od dzisiaj. A co ty właściwie tu robisz, u diabła? - To miejsce i koktajl wydany na cześć wojskowych jako do niej nie pasowały. Skoro wciąż nosiła obręczkę, nie mogła polować na męską, poza tym nie byłoby to w stylu kobiety, z którą przed półtora rokiem rozstała się na nowojorskim dworcu. Chyba że całe jej życie uległo aż tak drastycznej zmianie. A może zaczęła jej dokuczać samotność?

- Pracuję w Czerwonym Krzyżu. A na przyjęciu jestem na wyraźny rozkaz przełożonych.

Nachylił głowę i wyszeptał jej do ucha: - Tak samo jak ja.

Rozczemniała się i ciekawości przemknęła przez jej oblicze. Zrazu nie chciała zadawać tego pytania, ale teraz się na nie zdecydowała:

- Co tam u Johna?

Nick zaczerpnął powietrza. - Wszystko w porządku. Nie wiem, czy miała tu wiadomości o procesie. Rozwiedliśmy się z Hillary ponad rok temu, potem procesowałem się z nią o opiekę nad Johnnym i kilka tygodni temu przegrałem sprawę. Johnny zniósł to dosyć ciężko.

- Zerknij na swój mundur. - Tak samo jak to.

- Ty też nie przeżyłeś tego wszystkiego bez bólu. - Jej głos był gładki jak jedwab. Nie mogła oderwać spojrzenia od oczu Nicka, ale wiedziała, że nie może nawet na chwilę zmniejszyć dystansu pomiędzy nimi. Zrobiła to już raz i wciąż z najwęższym trudem wyrzucała z myśli tamte wspomnienia. - Owszem, czytałem o procesie - mówiła tym delikatnym głosem, który tak bardzo lubił. - Współczuję ci całym sercem.

Skin głowił i upił się szampana. - Sędzia uznała, że Johnny'emu lepiej będzie z Hillary, skoro wyszła za nią. A wiesz, co zrobił ten jej sukinyń?... - Jego twarz stwardniała na kamień, gdy opowiadała Liane o Markhamie i rewolwerze. - Zamierzałem złożyć apelację, ale akurat nastąpił

atak na Pearl Harbor. Spróbujê po powrocie, zreszt¹ mo¿e bêdzie wtedy gotowa zrezygnowaæ z Johnny'ego. Mój adwokat uwa¿a, ¿e chocia³a siê po prostu na mnie odegraæ.

- Za co? - zdumia³a siê Liane. Czy¿by opowiedzia³ Hillary o ich zwi¹zku?

- Chyba za to, ¿e nigdy mnie nie kocha³a, chocia¿ brzmi to niewiarygodnie. By³em cz³owiekiem, który j¹ wiêzi³ przez wszystkie te lata.

Liane natychmiast przypomnia³a sobie incydent na statku. Podobnie zreszt¹ jak Nick.

- By³eœ bardziej zniewolony ni¿ ona.

Przytakn¹³. - Cóż, ten zwi¹zek jest ju¿ skończony i nie ma sensu rozprawiaæ, co z niego wynik³o. Nie mogê narzekaæ, skoro da³ mi Johnny'ego. Teraz muszê go tylko odzyskaæ.

- Odzyskasz. - Jej g³os by³ silny i stanowczy. Przypomnia³a sobie, co Nick kiedyœ powiedzia³ o niej: "Silnych ludzi nie mo¿na pokonaæ".

- Mam nadzieję ¿e siê nie mylisz. - Dopi³ szampana i popatrzy³ na Liane. Uczesana w koczek, by³a jeszcze piêkniejsza ni¿ niegdyœ, ale mia³a teraz w sobie wiêcej spokoju i surowoœci. Za rygory, które sobie narzuci³a, musia³a zap³aciaæ, mimo to jej twarz pozosta³a taka sama. Oczy zaæ jakby jeszcze bardziej zb³êkitnia³y. Poza tym jak zawsze wygl¹da³a bardzo szykownie. Nick uœmiechn¹³ siê do swoich myœli.

- Gdzie tutaj mieszkasz?

- Z moim wujem.

- A jak tam dziewczêta?

- Doskonale - odpar³a i opuœciwszy wzrok doda³a: - Wci¹¿ ciê pamiêtaj¹.

Potem nagle do³czy³o do nich dwóch wojskowych i jakaœ kobieta z Czerwonego Krzy¿a, a chwilê póŹniej Liane wysz³a. Nie szuka³a Nicka, ¿eby siê z nim po¿egnaæ, tak by³o lepiej. Wróci³a samochodem wuja i powoli wesz³a do domu. Dziwnie by³o spotkaæ Nicka ponownie. To spotkanie otworzy³o rany, które dawno siê ju¿ wygoi³y, tak siê jej przynajmniej wydawa³o. Nic jednak nie mog³a na to poradziæ. Czêsto siê zastanawia³a, czy jeszcze siê kiedyœ zobacz¹, i oto los przywiód³ Nicka do San Francisco. Od ich rozstania wiele siê w jego ¿yciu zmieni³o, u niej natomiast wszystko pozosta³o tak samo: Armand wci¹¿ przebywa³ w okupowanej Francji, a ona tutaj na niego czeka³a.

- Dobrze siê bawi³acê?- zapyta³ George, cierpliwie czekaj¹cy na jej powrót.

- Bardzo dobrze, dziêkujê - odpar³a, choæ wyraz jej twarzy wcale o tym nie œwiadczy³.

- Nie wygl¹dasz na zadowolon¹.

Uœmiechnê³a siê. - Spotka³am starego przyjaciela. Z Nowego Jorku.

- Naprawdê? Kogo?

- Nicka Burnhama. - Nie wiedzia³a, dlaczego mu to mówi. Mo¿e dlatego, ¿e musia³a coœ powiedzieæ?

- Czy on ma jakieœ zwi¹zek z korporacj¹ Burnham Steel?

- Ma. On jest korporacj¹ Burnham Steel.

- A niech mnie!... Jakieœ trzydzieœci lat temu pozna³em jego ojca.

Wspania³y facet. Niekiedy bywa³ lekko szurniêty, ale w tamtych czasach tacy bylicemy wszyscy. Jaki jest jego ch³opak?

Liane uœmiechem skwitowa³a u¿yte przez wuja okreœlenie. - Mi³y i te¿ troszkê szurniêty. W³acenie wst¹pi³ do piechoty morskiej, jest majorem.

Dzisiaj rano przyjecha³ do miasta.

- Musisz go zaprosiæ któregoœ dnia, zanim odp³ynie. - Olœni³a go pewna

myœel. - A mo¿e jutro?

- Wujku, nie wiem, czy...

- To Bo¿e Narodzenie, Liane. A ten cz³owiek jest tu sam. Masz po¿ecie, co to znaczy byæ samotnym w obcym mieœcie? Zachowaj siê wobec niego przyzwoicie, na mi³oœæ bosk¹.

- Nawet nie wiem, jak siê z nim skontaktowaæ. - Nie powiedzia³a wujowi, ¿e nawet gdyby potrafi³a go odszukaæ, nie uczyni³aby tego.

- Zadzwoñ do sztabu piechoty morskiej. Bêd¹ wiedzieli, gdzie go znaleŹæ.

- Naprawdê nie s¹dzê...

- Dobra, dobra, mniejsza o to - przerwa³ jej George, po czym wymamrota³ pod nosem: - Gdyby mia³ odrobinê oleju w g³owie, sam by do ciebie zadzwoni³.

Nick mia³ sporo oleju w g³owie. Po powrocie z rautu stan¹³ przy oknie rozmyœlaj¹c o Liane i o kaprysie losu, który zetkn¹³ ich ponownie. Gdyby ów m³ody szeregowiec z Nowego Orleanu nie zapuka³ wieczorem do jego pokoju... Porwa³ ze stolika ksi¹¿kê telefoniczn¹, zacz¹³ szukaæ George'a Crocketta, a znalaz³szy jego adres przy Broadwayu, wpatrywa³ siê w niego przez d³u¿sz¹ chwilê. Mieszka³a tam, w tym domu. To by³ jej numer telefonu. Zanotowa³ go i nazajutrz rano zadzwoni³, lecz Liane wysz³a ju¿ do Czerwonego Krzy¿a. Wyczliwa s³u¿¹ca poda³a Nickowi jej numer do pracy. Zatelefonowa³ natychmiast i s³uchawkê podnios³a Liane.

- Ju¿ pracujesz, Liane? Chyba siê przemêczasz.

- Tak w³acenie twierdzi wuj. - Jej d³oñ zadr¿a³a na dŹwiêk g³osu Nicka.

Wola³aby, ¿eby do niej nie dzwoni³, byæ mo¿e jednak wuj mia³ s³usznocæ.

Mo¿e zaproszenie Nicka na kolacjê by³oby szlachetnym gestem? A mo¿e jeœli przyjmie wobec niego postawê przyjacielsk¹, stare marzenia wreszcie siê rozwiej¹?

- Masz dzisiaj jakieœ plany w porze lunchu?

- Muszê coœ za³atwiaæ dla wuja - sk³ama³a Liane, nie chc¹c siê znaleŹæ z Nickiem sam na sam.

- Czy to nie mo¿e poczekaæ?

- Obawiam siê, ¿e nie. - Ton jej g³osu nieco deprimowa³ Nicka, ale mo¿e nie mog³a swobodnie rozmawiaæ. Nadal otacza³a siê murem, tym samym co przez ostatnie dwa lata, ucwiadomi³ sobie. NajwyraŹniej nie chcia³a go burzyæ tylko dlatego, ¿e on wpad³ do miasta. Poza tym zesz³ego wieczoru nie zapyta³ o Armanda. Zna³ jej uczucia dla mê¿a i kiedyœ ju¿ siê z nimi pogodzi³. Teraz pragn¹³ siê z ni¹ po prostu zobaczyæ.

- A co powiesz o lunchu w pi¹tek?

- Naprawdê nie mogê, Nick - odpar³a, po czym g³êboko zaczerpn¹wszy powietrza doda³a: - Ale zapraszam ciê dzisiaj do nas na kolacjê. Jest Wigilia i pomyœlelicemy, ¿e...

- To bardzo mi³e z waszej strony. By³bym niezmiernie rad - zgodzi³ siê szybko, aby nie zmieni³a zdania. Poda³a mu adres, a Nick nie przyzna³ siê, ¿e ju¿ go zna. - O której?

- O siódmej?

- Œwietnie. Bêdê.

Z triumfalnym ucœmiechem i radosnym okrzykiem od³u¿y³ s³uchawkê. Nie czu³ siê ju¿ cz³owiekiem czterdziestoletnim, zdawa³o mu siê, ¿e znowu ma piêtnaœcie lat. Przepe³nia³o go szczêœcie - uczucie, którego dawno nie zazna³.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Do domu przy Broadwayu Nick przybył punktualnie o siódmej. Odziany w mundur wyjściowy i obdarowany prezentami dla dziewcząt prezentował się niezmiernie efektownie. Wcześniej z pewnym znużeniem myślał o tym, jak będzie wyglądało jego życie w San Francisco. Nie miał tu zupełnie nic do roboty. Posadzono go przy biurku i powierzono kwestię jakichś dostaw, ale w zasadzie tak samo jak inni koledzy miał po prostu wyczekiwać beczynnie, aż zostanie wysłany na front. Dawało mu to dużo czasu na wyciszenie po miesiącu i spotkaniu z przyjaciółmi. Teraz, kiedy odnalazł Liane i jej córkę, był rad, że nie ma żadnych zajęć.

Lokaj poprowadził go długim eleganckim korytarzem do biblioteki, gdzie cała rodzina zgromadziła się już przy choince. Wuj George zadbał, żeby wyposażyć prezentami półkozy wiszące nad kominkiem. Dziewczynki do przyjęcia Nicka zajęte były oglądaniem otrzymanych już podarunków, teraz jednak ochoczo rzuciły się na nowe paczuski. Nick kupił im przepiękne zabawki, w podziękowaniu dostał serdeczne uściski, po czym wręczył upominek głowie rodziny - statecznemu George'owi Crockettowi. Była to księżka, o której George od dawna marzył.

Na koniec Nick wręczył Liane niewielkie pudełeczko, pierwszy prezent, jaki jej ofiarowywał, chociaż najchętniej obdarowywałby ją wszystkimi skarbami świata. Chciał, aby Liane miała od niego coś, co mogłoby jej go przypominać, nie uświadomiamy sobie bowiem, ile wspomnienia, które jej pozostały, są dużo trwalsze niż jakikolwiek upominek.

- Nie powinienem... - powiedział z uśmiechem, trzymając w dłoni wciąż zapakowane pudełeczko.

- Ale chciałem. Otwórz, proszę. To nie gryzie.

George przyglądał im się z zainteresowaniem. Miała wrażenie, że znalazł się lepiej, niż początkowo przypuszczał, a może nawet lepiej, niż chciałoby okazać. Z równą jak Nick ciekawością wpatrywał się w twarz Liane, kiedy otwierała pudełeczko. Zawierało złotą bransoletkę - prosty krętek bez zapinki. Wsunęła ją na nadgarstek, lecz Nick przytrzymał jej dłoń i wyszeptał ochryple:

- Przeczytaj inskrypcję.

Zsunęła bransoletkę i na wewnętrznej stronie znalazła wygrawerowane jedno jedyne słowo: "Deauville". Chwilę patrzyła na Nicka, niepewna, czy powinna przyjąć prezent. Nie miała jednak serca zwrócić go Nickowi.

- Jest piękna. Naprawdę nie powinienem, Nick...

- Dlaczego nie? - Usiłowała bagatelizować swoje uczucia i znów powiedział szeptem, który dotarł wyraźnie do jej uszu: - Chciałem to zrobić już dawno temu. Traktuj ją jako prezent zaległy. George, który nazachwycał się już swoim podarunkiem, uśmiechnął się serdecznie do ofiarodawcy i zaczął snuć opowieści o ojcu Nicka, o tym, jak się poznali, i o niesamowitej awanturze, którą wywołali kiedyś w Nowym Jorku i która omal nie zakończyła się aresztowaniem ich obu. Popijając szampana jechali z zabójcą prędkością przez Park Avenue w towarzystwie dwóch niewiast w tchliwej kondycie. George rozemocjonował się na to wspomnienie, czując się znowu młody.

- Dzięki Bogu, że pański ojciec znał wszystkich gliniarzy w mieście.

Liane przygotowała drinki dla siebie i dla Nicka, a potem popijała obserwując, jak jej gość gawędzi z wujem George'em. Co rusz dotykała bransoletki na przegubie. Czuła nie tylko ciężar złota, ale też wagę słowa

wygrawerowanego po wewnętrznej stronie. "Deauville". Musiała znów odpychać od siebie wspomnienia i zmuszać się do s³uchania rozmowy.

- Przep³ynêcie przez Atlantyck³ raz³em, prawda?

- Nawet dwukrotnie. - Nick ucemiechn³ siê do Liane, która na moment spotka³a siê z nim spojrzeniem. Nie mówi³a George'owi, ¿e Nick p³yn³ na "Deauville".

- Za ka¿dym razem na "Normandie"? - spyta³ lekko stropiony George.

Nick pokrêci³ g³ow¹. By³o zbyt póŹno, aby uciec siê do k³amstwa, nie mieli zreszt¹ ju¿ nic do ukrycia.

- Raz na "Normandie", w trzydziestym dziewi¹tym. A drugi raz na "Deauville", kiedy oboje wracali³emy do kraju. Za d³ugo zosta³em w Europie i ugrz¹z³em tam na dobre. Wydostanie siê kosztowa³o mnie masê starañ. Syna wys³a³em wczesniej na "Aquitaine", tu¿ po wybuchu wojny, ale ja wyjecha³em dopiero po upadku Pary¿a.

Brzmia³o to doœæ niewinnie. George zerkn³ na Liane, lecz nie zdo³a³ wyczytaæ w jej oczach niczego.

- Ho, ho!... Ten rejs z akcji¹ ratunkow¹ na morzu to musia³o byæ coœ.

- By³o. - Twarz Nicka spowa¿nia³a na wspomnienie rozbitków wyci³ganych z topieli na pok³ad. - Harowali³emy jak wo³y, ¿eby utrzymaæ tych ludzi przy ¿yciu. Liane by³a wspania³a. Pracowa³a przez ca³¹ noc na sali operacyjnej, a póŹniej opiekowa³a siê rannymi. Bez chwili wytchnienia.

- Wszyscy byli w to zaangażowani i wszyscy dawali z siebie ile mogli - wtr³ci³a pośpiesznie Liane.

- Nieprawda - sprzeciwi³ siê Nick patrz¹c jej w oczy. - Zrobi³aœ wiêcej ni¿ ktokolwiek inny i gdyby nie ty, niejeden z tych rozbitków nie dotrwa³by do koñca rejsu.

Nic nie odpowiedzia³a, a wuj siê ucemiechn³.

- Ma charakterek ta moja brataniczka. Czasem za ma³o rozs¹dku - ucemiechn³ siê czule - ale wiêcej ikry ni¿ wiêkszoœæ mê¿czyzn, których znam.

Spojrzeli na ni¹ obaj z uznaniem, a Liane zarumieni³a siê po uszy.

- Doœæ tego gadania o mnie. A co u ciebie, Nick? Kiedy wyje¿dzi³asz? - Z jej tonu mo¿na by³o wnioskowaæ, ¿e chcia³aby, aby sta³o siê to jak najszybciej. Tak by³o istotnie, aczkolwiek nie chodzi³o jej oczywiœcie o to, ¿eby nara¿aæ go na niebezpieczeñstwa gdzieœ za morzami. Liane pragnê³a odsun¹æ od siebie zagro¿enie, które wyczuwa³a, kiedy Nick by³ w pobli¿u.

- Bóg jeden wie. Wrobili³ mnie wczoraj w pracê biurow¹, a to mo¿e oznaczaæ dos³ownie wszystko: szeœæ miesiêcy, szeœæ tygodni, szeœæ dni... Takie przysz³y rozkazy z Waszyngtonu, wiêc musimy siedzieæ tu i czekaæ.

- Mog³oœ trafiæ gorzej, m³ody cz³owieku. To przyjemne miasto.

- Nawet bardzo przyjemne - ucemiechn³ siê do gospodarza, po czym beznamiêtnie zerkn³ na Liane.

Odk¹d dziewczynki zaczê³y rozpakowywaæ prezenty, nie dawa³y ¿adnego znaku ¿ycia. By³y oczarowane podarkami i ¿a³owa³y jedynie, ¿e Johnny nie mo¿e dotrzymaæ im towarzystwa. W koñcu lokaj oznajmi³, ¿e podano kolacjê i wszyscy przeszli do ogromnej jadalni. Po drodze George opowiada³ Nickowi o portretach zdobionych œciany.

- Liane mieszka³a tu w dzieciñstwie, wiesz? Wtedy ten dom nale¿a³ do jej ojca.

Nick us³yszawszy to, przypomni³ sobie jedn¹ z ich pierwszych rozmów na "Normandie", kiedy Liane opowiedzia³a mu o swoim ojcu, o Armandzie, Odile, a nawet o wuju George'u.

- To piękny dom.

- Lubię patrzeć, jak przepływają moje statki. - George z zakopotanym uśmiechem popatrzył na zatokę, a później na Nicka.

- Chyba jestem już dostatecznie stary, żeby się do tego przyznać. Kiedyś mogłem udawać, że nie czuję dumy nawet z tego, kim jestem. - Znachłco spojrzął na Nicka, potem skierował rozmowę na temat stali. Wiele wiedział o interesach Nicka; imponował mu, że Nick zabrał się do nich w tak młodym wieku i tak świetnie sobie radził.

- Kto prowadzi firmę pod twoją nieobecność?

- Brett Williams. Był pracownikiem mojego ojca i zajmował się wszystkim, kiedy byłem we Francji... - Zadumał się na moment, potem pokręcił głową. - Boże, wydaje się, że to było tysiąc lat temu. Kto by wówczas pomyślał, że dzień będziemy toczyć wojnę?

- Ja myślałem o tym zawsze, Roosevelt zresztą też. Przygotowywał nas do wojny od lat, choć na głos tego nie mówił.

Liane i Nick wymienili uśmiechy, wspomniawszy rejs na "Normandie", gdzie tak wielu pasażerów wyrażało pewność, iż wojna nigdy nie wybuchnie.

- Obawiam się, że nie byłbym tak przewidujący jak pan. Nie chciałem zobaczyć tego, co było wyraźnie widoczne.

- Stereotypowe zachowanie. Muszę jednak przyznać, że nie spodziewałem się ataku Japończyków, i to takiego silnego. - Wzdął czoło wybrzeża dniem i nocą czuwali teraz obserwatorzy, w nocy obowiązywało zaciemnienie.

Kalifornia w napięciu oczekiwała na powtórny atak wroga. - Szczęściarz z ciebie, że jesteś na tyle młody, żeby wziąć udział w walce. Ja byłem za stary nawet na pierwszą wojnę. Ale wy wszystko doprowadzicie do porządku.

- Miejmy nadzieję, sir.

Wymienili uśmiechy, a Liane odwróciła wzrok. Wuj nigdy nie okazywał takiej sympatii Armandowi, a teraz w dodatku sidił, iż jej młodzi współpracuje z Niemcami. Bolało ją, że nie może stanąć w jego obronie. Nick zaczął nie wiedzieć o związkach Armanda z reżimem Petaina. Jakimś cudem te nieprzyjemne wiadomości nigdy nie dotarły do jego uszu. Przerazaniem napawała ją myśl o dniu, w którym się o tym dowie, o ile w ogóle do tego dojdzie. Może zdarzy się to dopiero po wojnie, a wówczas cała rzecz nie będzie już miała znaczenia.

Kolacja upłynęła w niezwykle przyjemnej atmosferze. Nick wczesnie się położył, George Crockett bowiem, choć trzymał się doskonale, był starszym panem, nie chciał go więc nużyć swoim towarzystwem. Liane też zresztą sprawiała wrażenie zmęczonej. Podziękowała mu raz jeszcze za prezent, a dziewczynki ucałowały go przed wyjściem. Kiedy wstał, popatrzył w oczy Liane.

- Mam nadzieję, że przyszłoroczne święta będą lepsze dla nas wszystkich.

- Ja też mam taką nadzieję i... dziękuję ci, Nick.

- Uwaga na siebie. Zadzwoń w najbliższych dniach... Może będziemy mogli zjeść razem lunch.

- Byłoby miło - odparł, aczkolwiek bez entuzjazmu.

Po wyjściu Nicka pozostała dziewczynki spać i zeszła jeszcze na dół pogawędzić chwilę z wujem. Nick niezmiernie mu imponował i George chciał wiedzieć, dlaczego Liane nie wspomniała o nim wczesniej.

- Nie znam go aż tak dobrze. Spotkaliśmy się zaledwie raz czy dwa na statkach, no i na kilku przyjęciach we Francji.

- Czy zna Armanda?

- Oczywiście. Kiedyśmy się poznali, podróżował ze swoją żoną.

- Ale teraz jest rozwiedziony, prawda? - upewni³ się i równocześnie przypomni³ sobie skandal, który przez rok skupia³ uwagę prasy. Rzadko czytywa³ relacje tego rodzaju, ale ten przypadek zainteresowa³ nawet jego.
- Pamiêtam, to by³a dosyæ szokuj¹ca sprawa. Ona uciek³a z kimœ, a potem procesowali siê o dziecko. - Zmarszczy³ czo³o. - Gdzie jest teraz jego syn?
- Matka wygra³a proces. Podejrzewam, ¿e to jeden z powodów, dla których Nick wst¹pi³ do wojska.

George skin¹³ g³ow¹ i zapali³ cygaro. - Przyzwoity goœæ.

Potem Liane ¿yczy³a wujowi dobrej nocy i pozostawi³a go samego przy kominku. W zaciszu sypialni pogr¹¿y³a siê w swoich rozmyœlaniach. Ostro¿nie zdjê³a bransoletkê i patrzy³a na ni¹ przez d³u¿sz¹ chwilê, wreszcie od³o¿y³a j¹ i próbowa³a skoncentrowaæ myœli na czymœ innym. Ale le¿¹c w ciemnoœci w ¿aden sposób nie mog³a zapomnieæ wygrawerowanego s³owa. Tego jednego s³owa, które przywo³a³o w jej duszy tysi¹c zakazanych obrazów.

Rozdzia³ czterdziesty drugi

Nazajutrz Nick zadzwoni³, aby podziêkowaæ za kolacjê i ¿yczyæ wszystkim weso³ych œwi¹t. Liane obiecywa³a sobie, ¿e rozmowy z Nickiem bêdzie utrzymywaæ w oficjalnym tonie, lecz na d³wiêk jego g³osu poczu³a uk³ucie w sercu. Podejrzewa³a, ¿e oddalony od syna jest rozpaczliwie samotny. Nie mog³a siê zatem pohamowaæ, aby nie powiedzieæ mu czegoœ wiêcej poza ch³odnym podziêkowaniem.

- Czy dzwoni³œe dzisiaj do Johnny'ego, Nick?

- Tak - odpar³ g³osem naraz zrezygnowanym. Przypuszczenia Liane okaza³y siê zatem s³uszne. Nick mia³ za sob¹ ciê¿ki dzieñ. - P³aka³ jak ma³e dziecko. Serce mi pêka³o. A jego matka wyje¿d¿a dzie na dwa tygodnie do Palm Beach. Bez niego. - Westchn¹³. - Nic siê nie zmieni³o i do diab³a, nie mogê temu zaradziæ.

- Mo¿e jak wrócisz... - Jej s³owa by³y odbiciem myœli Nicka.

- Jak wrócê, zacznê dzia³aæ. Mój adwokat powiedzia³, ¿e musimy trochê odczekaæ przed z³o¿eniem apelacji. No i przynajmniej wiem, ¿e jest z nimi bezpieczny. Markham to kompletny dureñ, ale interesuje go tylko przyjemne ¿ycie. Nie skrzywdzi ch³opca. - Wczêœniej wyra¿a³ inny pogl¹d, lecz teraz nie mia³ wyboru. Wiedzia³, ¿e Hillary nie obdarzy syna nadmiern¹ czu³oœci¹, ale przynajmniej bêdzie go mia³a na oku. W gruncie rzeczy jednak czu³ siê tak, jakby zostawi³ Johnny'ego pod opiek¹ ludzi obcych. - Brett Williams pilnuje w moim imieniu interesów i jeceli sprawy posun¹ siê za daleko, zajmie siê wszystkim. Tylko tyle mog³em zrobiæ przed wyjazdem.

Wiedz¹c, jak bardzo Nick kocha dziecko, Liane cierpia³a razem z nim.

Przecie¿ po czêœci w³acenie z powodu Johnny'ego rozstali siê po powrocie do Stanów. - Czy dlatego wst¹pi³œe do wojska, Nick?

- W pewnym stopniu. Musia³em siê stamt¹d wyrwaæ, a ¿e akurat wybuch³a wojna... Ta zmiana trochê mi u¿y³a.

- C¿, oby ci ty³ku nie zaszkodzi³ wyjazd na front... - W³acœciwie wydawa³o siê jej, ¿e powinien zostaæ na miejscu i baczyæ na Johna, tak samo zreszt¹ on niekiedy myœla³. Przedtem, bo teraz by³ rad, ¿e odnalaz³ Liane.

- Jeszcze nigdzie nie wyjecha³em. - Uœmiecha³ siê, swobodnie oparty o œcianê w holu swojego hotelu. Potem postanowi³ posun¹aæ siê o krok dalej. - Pewno nie mo¿emy siê dzisiaj zobaczyæ, Liane?

Na chwilę zapadła cisza. - Raczej powinnam pobyć w domu z dziewczynkami i... - urwała w pół zdania. Nie wiedziała, co powiedzieć. Chciała mu dać do zrozumienia, że przez ostatnie miesiące jej sytuacja w niczym się nie zmieniła, takimi samymi uczuciami darzy zarówno jego, jak i Armanda. A decyzja o zerwaniu romansu też pozostaje w mocy.

- Rozumiem - odparł, Liane zaczęła znów odczytywać w jego głosie poczucie osamotnienia i poczuła się rozdarta. Gdzieś w jej głosie rozbrzmiały dzwonek alarmowy, ale tym razem nie zwróciła na niego uwagi. I cóż z tego może się stać? W końcu jest Boże Narodzenie.

- Może wpadniesz do nas po południu?... - W domu były i córki, i wuj.

- Z najwyższymi przyjemnościami!

- Około czwartej, dobrze?

Mocniej ucieszył się sędziwy. - Dziękuję, Liane, jestem ci głęboko wdzięczny.

- Nie mów tak, jesteś moim przyjacielem.

Nastąpiła chwila milczenia, potem Nick zapytał: - Czy tylko przyjacielem?

- Tak. - Jej głos był ciepły, ale stanowczy.

- Dobrze o tym wiedzieć.

Przybył punktualnie o czwartej, witany przez George'a z zaskoczeniem, a przez dziewczynki z radością.

- Nie s'dziem, że tak szybko znowu się spotkamy - rzekł stary Crockett.

- Pańska bratanica pojechała z biednym jeźdźcą w obcym porcie. - Wuj George zachichotał, a Nick zaczął bawić się z dziewczynkami. Po jakimś czasie Liane zaproponowała przechadzkę w Presidio. George oświadczył, że zostanie w domu i zaczeka na nich, chce bowiem poczytać nową książkę. Uśmiechnął się do Nicka.

Ubrali się i wyszli; dziewczynki biegły przodem w podskokach.

- Wyrastają na prawdziwe piękności. Ile mają lat?

- Elisabeth dziewięć, a Marie-Ange jedenaste. John chyba też dobiega jedenastu, prawda?

Nick skinął głową. - Czas płynie za szybko, prawda?

- Niekiedy - odparła myśląc o Armandzie, z czego Nick zdał sobie sprawę, gdy tylko spojrzał na jej twarz.

- Co u niego? Nadal jest we Francji?

- Tak.

- Wydawało mi się, że powinien być w Afryce Północnej.

Popatrzyła na Nicka i nagle się zatrzymała. Zwodzenie go nie miało sensu.

Naprawdę nie mogła żyć już z tym dźwiękiem. - Armand jest z Petainem.

Nick patrzył na nią uważnie, lecz nie wydawał się specjalnie zaskoczony.

- Wiesz, co przeżywałem jeszcze na statku. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale jednak przeżywałem. A co ty o tym s'dzisz, Liane?

- Wiedziała, że decyzja miała nie mieć wpływu na jej uczucia, w przeciwnym bowiem razie powiedziała mu o tym już wcześniej.

- Trudno to wyjaśnić. Dziewczynki wiele przez to wycierpiały... -

Opowiedziała mu o zajściach w Waszyngtonie, o swastykach, a Nick skrzywił twarz w bolesnym grymasie.

- To musiało być dla nich straszne... I dla ciebie... - Zająrzył w jej oczy i wyczytał w nich smutek, którego dotąd nie dostrzegł.

- Dlatego wracanie przyjechałyśmy na Zachód. Tu jest nam łatwiej dzięki wujowi George'owi.

- On wie o Armandzie?

- Wiedzia³, zanim przyjecha³yemy. - Westchnę³a cicho i podjęli marsz, aby nie stracię dziewcz¹t z oczu. Liane ulę³y³o, kiedy zwierzy³a się z wszystkiego Nickowi. Zawsze dot¹d potrafili rozmawiaę ze sob¹ otwarcie, dlaczego więc teraz mia³oby byę inaczej? W końcu nadal byli przyjació³mi. - Oczywiście nie aprobeje tego i uważa mnie za idiotkê. - Potem opowiedzia³a Nickowi o swataniu jej przez wuja podczas pierwszych tygodni ich pobytu w mieście. Oboje wybuchnêli śmiechem. - To kochany staruszek. Nigdy za nim nie przepada³am, ale teraz bardzo się zmieni³.

- Jak my wszyscy.

- Jest dla nas bardzo dobry.

- Cieszę się. Bardzo się o ciebie niepokoi³em. Nie wiem dlaczego, ale ci¹gle mia³em wrażenie, że jesteę w Waszyngtonie. Kiedy wyjecha³ae?

- W zesz³ym roku tu, po Dniu Dziękczynienia.

- To wszystko wcale nie jest takie proste, prawda?

- To znaczy co? - nie zrozumia³a, o co mu chodzi.

- To, że Armand jest z Petainem.

Znów zatrzyma³a się i popatrzy³a nań zaskoczona. Sk¹d wiedzia³?... Czy w jakieś sposób się zdradzi³a?... Skinę³a gł³ow¹. Ufa³a Nickowi. Po raz pierwszy otworzy³a się przed kimś, choć czyni¹c to, naraż³a Armada na niebezpieczeństwo. Wiedzia³a jednak, że Nick tajemnicy nikomu nie zdradzi.

- Tak - przyzna³a.

- Na pewno jesteę przez to w jeszcze gorszym po³o³eniu.

Dostajesz od niego wiadomości?

- Pisze jak najczêciej. Wiele ryzykuje, nie może powiedzieę za du³o. Wiêkszość jego listów dociera do mnie kana³ami konspiracyjnymi.

- We Francji podziemie jest bardzo silne. - Skinę³a gł³ow¹ i przez chwilę szli w milczeniu. To, że zdoby³a się na szczerocę w sprawie Armada, bardzo ich ku sobie zbliży³o. Nick by³ jej prawdziwym przyjacielem. Po chwili spojrz³a nań z uśmiechem wdzięczności.

- Dziękujê, że mog³am ci to powiedzieę. Bywaj¹ chwile, kiedy jestem bliska szaleństwa. Wszyscy myś¹... albo myśleli...

- Przecież nie jest cz³owiekiem tego pokroju. - Chociaż Nick zna³ Armada bardzo s³abo, nie potrafi³by sobie wyobrazię go uczciwie współ³pracuj¹cego z Petainem. Mia³ tylko nadzieję, że Niemcy nie okaż¹ się równie przenikliwi jak on.

Liane czu³a, że jest mu winna dalsze wyjaśnienia. By³ wobec niej uczciwy, a tej sprawy nigdy z nim nie poruszy³a. - W³acenie dlatego ja... ja nie mog³am, Nick, wiedz¹c, co on tam robi. Nie zas³ugiwa³ na to.

- Wiem, rozumiem. - Patrzy³ na ni¹ czule. - Wszystko w porz¹dku, Liane. Post¹pi³ae w³acęciwie i wiem, jakie to by³o dla ciebie trudne.

- Nie, nie wiesz - pokrêci³a gł³ow¹, a Nick zauważy³, że ma na ręk¹ bransoletkê, któr¹ ofiarowa³ jej poprzedniego wieczoru. Matowy z³oty blask klejnotu sprawi³ mu niebys³1 przyjemności.

- Dla mnie by³o to równie trudne. Chyba z tysi¹c razy podnosi³em s³uchawkê, żeby do ciebie zadzwonię.

- Ja też - uśmiechnę³a się i popatrzy³a na córki. - Wydaje się, że to by³o tak dawno.

- Nie. Ja mam wrażenie, że zdarzy³o się zaledwie wczoraj.

Do pewnego stopnia jej również tak się zdawa³o. Nick się nie zmieni³, ona też nie, chociaż tak bardzo się przeobrazi³ otaczaj¹cy ich świat.

Kiedy po spacerze i po ciep¹tecznej kolacji Liane odprowadzi³a Nicka do drzwi, uśmiechn¹³ się do niej.

- Może masz s³usznocæ?... Może wszystko jest teraz inne?... Bo lubiê ciê nawet bardziej ni¿ kiedyœ. Obydwoje bardzoemy doroceli.

Rozecemia³a siê. - Może ty doros³eœ, Nick. Ja chyba siê po prostu zestarza³am.

- Gadaj zdrów - zacemia³ siê i machaj¹c rêk¹ na po¿egnanie wsiad³ do czekaj¹cej ju¿ taksówki. - Dobrej nocy i dziêki, weso³ych œwi¹t - zawo³a³ jeszcze.

Liane wróci³a do domu ze szczêeliwym uœmiechem na twarzy. Zbyt szczêeliwym, uzna³a, spogl¹daj¹c w lustro. Nie mog³a jednak zgasiæ iskier migocz¹cych w oczach. Dobrze by³o porozmawiaæ z Nickiem i zdj¹æ w koñcu brzemiê z ramion.

Rozdzia³ czterdziesty trzeci

Nick zjawi³ siê u Liane w biurze Czerwonego Krzy¿a kilka dni po Bo¿ym Narodzeniu. Mia³ jakieœ drobne sprawy do za³atwienia w mieœcie i wolne popo³udnie. Kiedy wkrocy³ do biura, pó³ tuzina pañ wlepi³o weñ szeroko otwarte oczy. W mundurze wygl¹da³ jak gwiazdor filmowy. Liane parsknê³a œmiechem.

- Je¿eli nie bêdziesz uwa¿a³, wybuchn¹ tu zamieszki.

- To ci wyrobi dobr¹ opiniê. Co byœ powiedzia³a na lunch? I nie mów mi, ¿e nie mo¿esz iœæ albo ¿e musisz za³atwiaæ wujaszkwowi kilka spraw, poniewa¿ nie dam wiary ani jednemu s³owu. Proponujê Marka Hopkinsa, co ty na to, stara przyjació³ko? - Zawaha³a siê, ale Nick podawa³ jej ju¿ p³aszcz i kapelusz. - Idziemy. - Nie sposób by³o mu siê oprzeæ.

- Nie masz do roboty nic innego? Podobno jest wojna... - zauwa¿y³a.

- Jeszcze nie dla mnie. Dziêki Bogu zd¹¿ê zjeœæ z tob¹ lunch, zw³aszcz³a ¿e twój wujek powiada, ¿e nigdzie nie bywasz. Lunch z mê¿czyzn¹ w bia³y dzieñ nie zaszkodzi twojej reputacji, zreszt¹ jeœli chcesz, mo¿emy siedzieæ przy osobnych stolikach.

- Dobrze ju¿, dobrze, przekona³eœ mnie.

By³a w pogodnym nastroju, tak samo jak on. Obojgu przypomnia³y siê dawne dni na "Normandie", gdzie grywali w tenisa. Usiedli przy stoliku z piêknym widokiem. Nick opowiada³ zabawne historyjki o kolegach z bazy i z hotelu, do Liane zaœ powoli dociera³a œwiadomoœæ, ¿e oto znowu ¿yje. Nick by³ dobrym kompanem, dowcipnym i b³yskotliwym. Nagle zaskoczy³ j¹ pytaniem o plany na sylwestra.

- Zreszt¹ zaczekaj, nie mów, niech sam zgadnê. Siedzisz w domu z wujem George'em i córkami.

- Trafi³eœ - odpar³a z szerokim uœmiechem. - Masz pierwsz¹ nagrodê.

- Có¿, ale ty dostaniesz nagrodê pocieszenia. Może pozwolisz siê gdzieœ zabraæ? Jestem nieszkodliwy. A jeœli zacznê siê Ýle zachowywaæ, mo¿esz wezwaæ ¿andarmeriê wojskow¹ i kazaæ mnie aresztowaæ.

- I gdzie byœ mnie zabra³?

- To znaczy, ¿e mam jakieœ szanse?

- Najmniejszych, po prostu chcê wiedzieæ, co mnie ominie.

- O rany boskie... - Uœmiechn¹³ siê do niej. - Daj spokój, Liane, dobrze ci to zrobi. Nie mo¿esz ca³y czas tkwiæ w tym domu jak w fortecy.

- Owszem, mogê. Jestem tam szczêeliwa.

- Ale to ci szkodzi. Ile masz teraz lat? - Usi³owa³ policzyæ w pamieci. -

Trzydzieści trzy?

- Trzydzieści cztery.

- Och, nie miałem pojęcia, że jesteście tak wiekowa. Cóż, ja liczę sobie równo czterdziestkę i jestem osobnikiem dostatecznie dojrzałym, żeby wiedzieć, co jest dla ciebie dobre. I uważam otóż, że powinnyście gdzieś wyjść.

- Mówisz jak wuj George. - Nie byłaby jeszcze do końca przekonana, zaczyna się jednak chwiać w uporze.

- No, zaraz, zaraz. Mam czterdziestkę, ale do wujaszka mi daleko. Nie jestem aż tak sędziwy.

- On też, tyle że duchem. Wiesz? swego czasu musiał być niezłym bałamutem.

Nick uśmiechnął się. - Wciż można to wyczytać z jego oczu. A teraz proszę już nie zmieniać tematu. Co z sylwestrem?

- Najpierw lunch, a teraz sylwester. Gdybyś się odrobinę postarał, też mógłbyś być niezłym bałamutem. Może nawet bez zbytniego wysiłku.

- To nie w moim stylu. - Nagle spojrzał na nią z powagą. - Myślałem o cichym wieczorze dwójki starych przyjaciół, którzy mają za sobą ciękie przeżycia i akceptują ustalone zasady. Przynajmniej tyle się nam należy. Co innego możemy robić? Ja mam siedzieć w swoim parszywym hotelu, a ty w domu? Moglibyśmy iść na przyjazd do Fairmonta na kolację.

- No owszem, chybilibyśmy mogli... - przyznała, aczkolwiek wciż nie miała pewności, czy sżusnie robi. - A będzie bezpieczna? - spytała, postanawiając wyjawiać swoje wątpliwości.

- Tak bezpieczna, jak będziesz sobie życzyć. Będzie z tobą szczerą. Nadal cię kocham, kocham cię od pierwszego wejrzenia i przypuszczalnie zawsze tak będzie. Ale nigdy nie zrobię, nic, co mogłoby cię zranić. Rozumiem twoje uczucia wobec Armanda i szanuję je. Znam granicę. To nie jest "Deauville" ani "Normandie". To prawdziwe życie.

- Tamto też było prawdziwe - odpowiedziała cicho.

Delikatnie ujął jej dłoń. - Wiem, że było prawdziwe. Ale zawsze wiedziałem, co postanowisz robić, kiedy to się skończy, i uszanowałem twój wybór. Ja jestem wolny, Liane, ale ty nie i nie możesz mieć o to pretensji. Wspaniale było wtedy na "Deauville". Po prostu nas coś więcej, aniżeli... - nie wiedział, jakich użyć słów, lecz Liane zrozumiała.

Wiem - westchnęła i opadła na oparcie krzesła. - To zabawne, że nasze oczeki znów się przecięły, prawda?

- Można to i tak określać. Ja jestem rad, że tak się stało. Nigdy naprawdę nie sżdziłem, że cię jeszcze zobaczę. Chyba że przypadkowo, gdzieś na ulicy w Waszyngtonie. Albo może w Paryżu za dziesięć lat, kiedy będziesz szła z Armandem... - położyła rękę, że wymieni imię jej męża, bo na twarzy Liane znów pojawił się wyraz bólu. - Liane, twój wybór dokonany. Trudnego wyboru, a ty trwasz przy nim. Nie możesz robić nic więcej. To, że będziesz siedzieć w domu i wstrzymać oddech wykańczając się psychicznie, w niczym nie ułatwi mu sprawy. Musisz przecież żyć.

- Usiłuję. Dlatego podjęłam pracę w Czerwonym Krzyżu.

- Tak to sobie wżacenie wytłumaczyłem. Ale musisz robić coś więcej.

- Chyba robię - rzekła Liane. Nick argumentował sensownie, gdyby zaczął sobie pozwolić na rozrywkę, to wolałaby jego mieć za towarzysza zabawy. Przemówił jej do rozsżdku. Kto wie zreszt, pomyślała, jak dżugo Nick będzie w mieście? Mógł zostać wysłany na front lada dzień. - W porzżdku, przyjacielu. Będzie miała zaszczyt witać z tobą tysiąc dziewięćset

czterdziesty drugi rok.

- Dziękujê, madame.

Zap³aci³ rachunek i odprowadzi³ Liane do pracy.

Reszta popo³udnia przelecia³a jej jak mgnienie oka. Uszczêeliwiona wróci³a do domu i przywita³a siê z wujem i dziewczynkami. George dostrzeg³ odmieniony wyraz jej twarzy, ale nie, skomentowa³ go ani s³owem. Wieczorem Liane napomknê³a obojêtnie, że noc sylwestrow¹ spêdzi z Nickiem Burnhamem.

- To ³adnie - rzek³ George. Znaj¹c dobrze bratanicê, nie doda³ nic wiêcej, lecz w g³êbi duszy żywi³ nadzieję, że coœ siê kroi z tym "ch³opakiem Burnhama". Zatopi³ nos w ksi¹żce, a Liane pobieg³a na górê porozmawiaæ z dziewczynkami. Tego wieczoru przy kolacji na temat Nicka nie pad³o ju¿ ani s³owo.

Liane nie wspomnia³a te¿ o nim póŹniej ani razu a¿ do sylwestrowego wieczoru, kiedy zesz³a na dó³ w przepiêknej sukni kupionej w Pary¿u przed czterema laty. George popatrzy³ na bratanicê z radosnym uœmiechem i cicho gwizdn¹³ przez zêby.

- NieŹle... Zupe³nie nieŹle.

- Dziękujê panu.

Suknia, uszyta z czarnego kaszmiru, mia³a ascetyczny krój - d³ugie rêkawy, ma³y dekolt, d³ugocœ do ziemi. Jedy¹ ozdobê stanowi³y ma³e czarne pere³ki, którymi zosta³a obszyta. Identycznie ozdobiono maleñki toczek, przykrywaj¹cy zaczesane w kok jasne w³osy Liane. Stroju dope³nia³y ma³e brylantowe klipsy. Ca³a kreacja by³a prosta, elegancka, w szlachetnym stylu i idealnie pasowa³a do Liane. Do takiego w³acenie wniosku doszed³ Nick, kiedy stan¹³ w holu i z zachwytem zapatrzy³ siê na Liane. Potem, zupe³nie jak George, gwizdn¹³ przez zêby. Po raz pierwszy od wielu lat Liane czu³a siê znów kobiet¹ podziwian¹ przez mê¹czyzn i sprawia³o jej to ogromn¹ przyjemnoœæ. Nick przywita³ siê z George'em, a Liane poca³owa³a wujka na dobranoc.

- Nie wracaj za wczecenie - przestrzeg³ j¹ wuj. - By³abyœ niem¹dra, gdybyœ nie wykorzysta³a tak piêknej sukni. Pochwal siê ni¹.

- Zrobiê co w mojej mocy, żeby nie wróci³a zbyt wczecenie - obieca³ Nick puszczaj¹c do George'a oko i wszyscy troje wybuchnêli œmiechem.

Liane i Nick odje¿d¿ali sprzed domu w œwi¹tecznym nastroju.

- Obawiam siê, że w tym mundurze elegancj¹ nie dorastam ci do piêt, Liane.

- Chcesz siê zamieniaæ?

Rozecemia³ siê i do Fairmonta dotarli w wyœmienitych humorach. Nick zarezerwowa³ stólik w sali weneckiej, a kiedy przy nim zasiedli, zamówi³ szampana, którym wzniecili toast za przysz³y rok, aby by³ lepszy od w³acenie mijaj¹cego. Potem Nick zamówi³ krewetki, kawior i steki. Temu menu daleko by³o do egzotycznych potraw serwowanych na "Normandie", ale posilili siê ze smakiem. Po deserze zatañczyli kilka razy, obydwójce czuj¹c siê szczêeliwsi ni¿ kiedykolwiek dot¹d.

- Tak mi³o jest z tob¹ byæ!... Jak zawsze zreszt¹. - Swoboda i czysta przyjemnoœæ p³yn¹ca z przebywania w jej towarzystwie by³a tym, co Nick doceni³ w Liane ju¿ w pierwszych chwilach znajomocœci. Wtedy mêczy³ siê jeszcze z Hillary. Wspomnia³ o tym teraz.

- Ale dawno ju¿ zostawi³œ to za sob¹ - zauwa¿y³a Liane.

- O Bo¿e, tak. Wtedy te¿ wiedzia³em, że to bezsensowna mêczarnia, ale przecie¿ musia³em to ci¹gn¹æ ze wzglêdu na Johna... - zerkn¹³ na zegarek. - No to zaraz Nowy Rok. Podejmujesz jakicœ postanowienia, Liane?

- Ani jednego. - Uczęmicha³a się i sprawia³a wrażenie zadowolonej. - A ty?
- Tak. Chyba podejmę.
- Jakie?
- Nie daę się zabię.

Siedzieli patrz¹c sobie w oczy. Wyrażaj¹c takie życzenie, Nick podkreśla³, i¹ w każdej chwili może ruszyę na wojnę, a beztraskie obiady i kolacje s¹ tylko epizodem. Liane inaczej pomyśla³a w tej chwili o nim, o Armandzie i o wszystkich, którzy byli wokó³ niej, za kilka dni zaę mieli udaę się na front. W sali rojno by³o od męczyzn odzianych w mundury. Z dnia na dzień San Francisco przemieni³o się w miasto garnizonowe.

- Liane... Co się sta³o?
- Nic... - Przez chwilę nie wiedzia³a, co powiedzieę.
- Przepraszam. Paln¹³em g³upstwo.
- Nie, wcale nie. Tylko uważaj, żebyę dotrzyma³ postanowienia.
- Dotrzymam. Przecię, muszę odzyskaę Johnny'ego. - To istotnie by³ cel godzien powrotu. - A tymczasem... czy nie mia³abyę ochoty zatańczyę?
- Z przyjemnoęci¹, proszę pana.

Okr¹ęali parkiet w rytm "The Lady's in Love with You" i obojgu zda³o się, że minę³o zaledwie parę sekund, kiedy rozbrzmia³y tr¹bki, posypa³o się konfetti, przygas³y ówiat³a i przy wtórze muzyki ludzie zaczęli się ca³owaę. Nick i Liane objęci ramionami stanęli na órodku parkietu, spogl¹daj¹c na siebie. Kiedy Liane unios³a g³owę, Nick przytuli³ j¹ i ich usta się spotka³y. Ca³owali się, ca³a reszta sali zniknę³a gdzieę we mgle, a oni znów byli na "Deauville" zatraceni w uęcisku swoich ramion. Musieli w końcu przerwaę, gdy zabrak³o im tchu, lecz nawet wtedy Liane nie odsunę³a się od Nicka.

- Szczęeliwego Nowego Roku, Nick.
 - Szczęeliwego Nowego Roku, Liane. - Poca³owali się ponownie.
- Pozostali na parkiecie i d³ugo jeszcze tańczyli. Kiedy Nick odwióz³ j¹ do domu, d³ugo stali przed wejęciem, wpatrzeni w siebie.
- Jestem ci winien przeprosiny, Liane. Dzisiejszej nocy nie gra³em fair - rzek³, choę w gruncie rzeczy za ten wieczór wiele by odda³. - Przykro mi, nie chcia³em...

Liane unios³a d³oń i musnę³a palcem jego usta.

- Daj spokój, Nick. Wszystko w porz¹dku...

Tej nocy czu³ego miejsca w sercu Liane dotknę³o jego postanowienie, że nie da się zabię... Nagle poję³a, że póki mog¹, musz¹ korzystaę z chwili. Przekonali się już kiedyę, że takie chwile mog¹ się nie powtórzyę, a oto los da³ im szansę po raz drugi. Liane nie mog³a odwrócię się teraz do Nicka plecami, wcale tego zreszt¹ nie chcia³a. Pragnę³a go.

Poca³owa³ czubki jej palców, potem oczy i usta. - Tak cię kocham...

- Ja teę cię kocham. - Odsunę³a się od niego delikatnie. - Nie mamy prawa zmarnowaę tego teraz. Kiedyę post¹pilięmy tak, jak powinnięmy byli, i znowu tak zrobimy... Ale teraz... - przytuli³a go gwa³townie.

- Będę cię kochaę ca³e życie. Wiesz? - Skinę³a g³ow¹. - A kiedy każesz mi odeję, odejdę. Rozumiem, że musi byę tak a nie inaczej.

- Wiem, że rozumiesz. - Dotknę³a jego twarzy. - Póńniej nie będziemy musieli już o tym mówiaę.

Delikatnie wysunę³a się z jego ramion i otworzy³a drzwi. Poca³owa³ j¹ na dobranoc, a ona sta³a w drzwiach patrz¹c, jak odjeżdża. Nie sposób by³o już zatrzymaę fali uczucia, która na powrót ich zagarnia³a, żadne zreszt¹ nie chcia³o tego robię. Walczyli ze sob¹ przez ca³e dwa lata i teraz nie mieli

już si³ na dalsze zmagania... Nie mieli...

Liane cicho wesz³a na górê, zdjê³a sukniê i po³o³u³a siê do ³ó³ka. Tej nocy nikt siê jej nie ceni³. Doœwiadcza³a osobliwego uczucia spokoju, œwiat³a i radoœci, œpi¹c spokojnie a³ do samego rana.

Rozdzia³ czterdziesty czwarty

W Nowy Rok Nick wpad³ do Liane i przy kominku w bibliotece gawêdzili przez d³u³szy czas. Wygl¹da³o to na œwi¹teczn¹ zapowiedzian¹ wizytê starego znajomego. Nawet dziewczêta nie wydawa³y siê zaskoczone, kiedy po powrocie z ogrodu ujrza³y Nicka siedz¹cego obok matki.

- Czeœæ, wujku Nick. - Elisabeth zarzuci³a Nickowi ramiona na szyjê i pos³a³a matce uœmiech winowajczynie. - A mo³e ci¹gle powinnyœmy go nazywaæ panem Burnhamem?

- To nie zale³y ode mnie - uœmiechnê³a siê do córek. Z przyjemnoœci¹ ogl¹da³a Nicka w ich towarzystwie. Ju³ od dawna nie by³o w otoczeniu dziewczynek ³adnego mê³czyzny oprócz wuja George'a, tote³ Liane czu³a, i³ taka zmiana dobrze im zrobi.

- No i co, wujku Nick? - zapyta³a Elisabeth. - Mo³emy?

- Nie widzê przeciwwskazañ. - Pog³adzi³ jej jedwabiste w³osy, tak bardzo podobne do w³osów Liane. - W³œciwie to mi nawet schlebiacie - oœwiadczy³.

Potem Elisabeth i Marie-Ange wybieg³y do ogrodu, a z góry zszed³ wuj George.

- Skoñczy³em czytaæ ksi¹ê. Jest doskona³a - uœmiechn¹³ siê do ofiarodawcy. - Chêtnie ci j¹ po³yczê, jeceli znajdziesz czas, ³eby j¹ przeczytaæ.

- Ogromne dziêki.

Jak zwykle ju³ po paru chwilach obaj pogr¹u³li siê w omawianiu doniesieñ wojennych: Œwiat wci¹ by³ wstrz¹œniêty zatopieniem przez Japoñczyków brytyjskich kr¹owników "Prince of Wales" i "Repulse" nie opodał wybrze³y Malajów cztery dni po Pearl Harbor. Straty w ludziach by³y ogromne, a "Prince of Wales" poszed³ na dno z admira³em na pok³adzie. By³ to ten sam kr¹ownik, którym Churchill przyp³yn¹³ na spotkanie z Rooseveltem do zatoki Argentia.

- Pewnie nie wiesz, na jaki okrêt zostaniesz skierowany?

- Nie, ale ju³ nied³ugo siê dowiem.

George skin¹³ g³ow¹ i popatrzy³ na Liane. - Wczoraj wygl¹da³œ uroczo, kochanie. Mam nadziejê, ³e bawiliœcie siê dobrze.

- Doskonale - przytaknêli, po czym wspomnieli, jak wielu ³o³nierzy by³o w hotelu. W trzy i p³ tygodnia po ataku na Pearl Harbor wydawa³o siê, ³e do wojska wst¹pi³ ka³dy zdolny nosiaæ broñ. I wszyscy znajomi m³odzi ludzie zostali zmobilizowani.

- A wie pan? W³œciwie jestem zaskoczony, ³e przys³ano mnie tutaj.

Podobno Stany bardziej s¹ zainteresowane wykoñczeniem Niemców, zanim wezm¹ siê za Japoñczyków.

Bezpoœrednio po ataku na Pearl Harbor Niemcy wszczêli na Atlantyku gigantyczn¹ wojnê podwodn¹, a okrêty aliantów by³y zatapiane w przera³aj¹co niewielkiej odleg³oœci od wschodnich wybrze³y Stanów. G³ówne porty Nowego Jorku, Bostonu i Norfolk chroni³y teraz miny, sieci przeciw okrêtom podwodnym i przybrze³ne konwoje, a wszyscy z niepokojem zadawali sobie

pytanie, jak blisko odważ¹ siê podejœæ Niemcy. W nocy na obszarach Wschodniego i Zachodniego Wybrzeża obowi¹zywa³o zaciemnienie.

- Wygl¹da na to, że dobieraj¹ siê do nas z obydwu stron.

- George zatroskanym wzrokiem wpatrywa³ siê w ogieñ. Jego ojczyzna nigdy dot¹d nie zosta³a bezpoœrednio zagro¼ona, tote¼ czu³ siê ogromnie przejêty.

Popatrzy³ na Nicka i potr¹sn¹³ g³ow¹. - a³ujê tylko, że jestem za stary, żeby siê do was przy³czyæ.

- Ja nie a³ujê - wtr¹ci³a siê Liane. - Ktoœ przecie¼ musi z nami tu zostaæ, a mo¼e nie przysz³o ci to do g³owy?

Uœmiechn¹³ siê i poklepa³ j¹ po d³oni.

- I to, moja droga, stanowi moj¹ jedyn¹ pociechê. - Potem zostawi³ ich samych i poszed³ na górê, aby w gabinecie s¹siaduj¹cym z sypialni¹ pogr¹czyæ siê w lekturze popo³udniówki.

Zostali sami. Nick patrzy³ na Liane przez d³u¿sz¹ chwilê, wreszcie uj¹³ jej d³oñ.

- Cudownie bawi³em siê tej nocy, Liane.

- Ja te¼.

Nawet w jasnym blasku dnia Liane nie czu³a wyrzutów sumienia z powodu tego, że ca³owa³a siê z Nickiem poprzedniej nocy. Zdryfowa³ w jej życie niczym statek zd¹aj¹cy dok¹dœ nieznanym kursem i byæ mo¼e przez jakieœ czas bêd¹ mogli p³yn¹æ obok siebie. Wiedzia³a jednak, że nie potrwa to d³ugo. Nick wkrótce wyp³ynie walczyæ... Mo¼e takie w³aczenie jest ich przeznaczenie? Pomyœla³a tego ranka, że ich drogi bêd¹ siê niekiedy krzy¿owaæ, aby mogli siê wzajem dzieliæ tak bardzo potrzebn¹ im si¹. Teraz nie czynili wszak niczego innego. Liane czu³a siê tego ranka spokojna jak nigdy. Obydwoje zreszt¹ zdawa³a siê otaczaæ aura spokoju.

- Nie a³ujesz?

Uœmiechnê³a siê. - Jeszcze nie. - Potem zdradzi³a mu swoje myœli.

- To zabawne, ale myœla³em wczoraj dok³adnie to samo - powiedzia³ Nick. - Mo¼e tylko tyle zawsze bêdziemy mieæ, ale mo¼e te¼ to w³aczenie nam wystarczy. - Przez chwilê spoj¹dali na siebie w milczeniu, po czym Nick podzieli³ siê z Liane pomys³em, który przyszed³ mu tego ranka do g³owy. - Nie mog³abyœ wyrwaæ siê st¹d na kilka dni?

- Co nowego wykombinowa³eœ?

Jego g³os brzmia³ bezgraniczn¹ czu³oœci¹. - Myœla³em o kilku dniach w Carmelu. Co ty na to?

Liane uœmiechnê³a siê lekko, sama zdumiona swoj¹ reakcj¹, która bynajmniej nie by³a negatywna. Ale przecie¼ tak d³ugo odmawia³a sobie szczêœcia!... Wiedzia³a w g³êbi duszy, że nie zrobi tego nigdy wiêcej... Ten jeden raz... Jeszcze ten jeden raz...

- By³oby cudownie. A ty mo¼esz wyjechaæ? - Na siê odsuwa³a od siebie myœli o Armandzie. Na nie pozwoli sobie póŹniej.

- W ka¼dej chwili, jeœli tylko zostawiê namiary. W przysz³y weekend mam trzydniow¹ przepustkê. Masz tam jakieœ ulubione miejsce?

- Nie by³am w Carmelu od lat... - Zastanawia³a siê przez chwilê.

- Co powiesz o Sosnowej Gospodzie?

- Œwietnie. Mog³abyœ wyjechaæ w pi¹tek rano? Tylko co z dziewczêdami? Co im powiesz?

- Hmm... Powiem im, że to wyjazd zwi¹zany z prac¹ w Czerwonym Krzy¿u.

Uœmiechn¹³ siê, czuj¹c siê jak niegrzeczny ch³opiec, który oto porywa rodzicom córkê-dziewicê. - To brzmi prawdopodobnie. Nie zdziwi siê tylko, jeœli za kilka lat zaczn¹ ci opowiadaæ podobne historyjki.

- Nie dam sięabrae.

Pogawędzili jeszcze chwilę, po czym zeszli do ogrodu, aby popatrzeć na dziewczynki. Nick pojechał się nieco później niż zwykle, ale jeszcze przed kolacją mimo usilnych zaproszeń Liane, miał bowiem spotkanie ze swoim dowódcą. Odprowadził go do drzwi, gdzie pochylił się, by czule pocałować. - Nie zapomnij tylko, jak bardzo ciękocham - wyszeptał.

Podczas weekendu i w następnym tygodniu trudno było mu się wyrwać czy znaleźć wolny czas, zadzwonił dopiero w czwartek wieczorem, aby potwierdzić plany. Przez te dni wuj George z premedytacją nie pytał o Nicka, a Liane ani razu o nim nie wspomniała.

- Masz wszystko dograne w związku z wyjazdem?

- Oczywiście. - Powiedziała córkom, że jedzie na trzydniowe seminarium w Carmelu, i uwierzył jej bez zastrzeżeń. - A ty?

- W porządku - odparł i roześmiał się. - Wiesz? denerwuję się jak podrostek.

- Ja też - zachichotała.

- Myślę chwilami, że może oszalejemy... może jednak będzie to romans jednego rejsu, a my jesteśmy gópcami, usiłuj go wskrzesać...

- Możemy zalać pokój i wyobrazić sobie, że toniemy.

- Nie s'dzę, żeby to było bardzo zabawne.

- Przepraszam za kiepski dowcip. - Oboje jednak wybuchnęli śmiechem.

Często śmiali się w swoim towarzystwie, a nie robili tego od dawna.

Wyraźnie wszakże wychodziło im to na zdrowie.

Nazajutrz Liane lekkim krokiem wybiegła z domu, z największym trudem kryjąc śmiech. Była rada, że trzy dni wcześniej dziewczynki zaczęły szkołę i teraz nie widziały, że mama wychodzi z domu tuż przed południem. Wuj George natomiast przebywał w biurze. Pojechał taksówką do hotelu Nicka, który spacerował nerwowo po chodniku palącym papierosa.

- Wyglądasz jak facet, którego ona wzięła w śmiech - powiedziała z uśmiechem, kiedy pakiła taksówkę.

- Nagle się wystraszyłem, że nie przyjdiesz.

- A może walaćbyś, żeby nie przyszedł? - spytała przekornie, Nick zaś w odpowiedzi porwał ją w ramiona i mocno pocałował w usta. Stali przytuleni do siebie dłuższą chwilę, aż dwóch przechodzących marinerów przystanąło i zagwizdało. Wtedy Nick zagadnął:

- A jak ci się wydaje?

Liane tylko się uśmiechnęła. Była zadowolona, że już tu jest. Jadła taksówką denerwowała się tak samo jak Nick i w pewnym momencie omal się nie wycofała. A jeżeli by mieli wypadek i o wszystkim dowiedzieli George i jej córki?... A jeżeli... Mimo wszystko przyjechała i była z tego rada. Nick wrzucił bagaż Liane do wypożyczonego samochodu i ruszyli do Carmelu rozśmiewani i roześmiani jak dwoje dzieci.

Droga biegła przez piękną okolicę, dopisała im również pogoda, chociaż było dosyć chłodno. Zatrzymali się na lunch w przydrożnej restauracji i dojechali do Carmelu o czwartej po południu, zdążyli więc jeszcze przed zapadnięciem zmroku wyruszyć na spacer po plaży. Zostawiwszy bagaż w swoim pokoju, szybko przeszli dwie krótkie przecznice dzielące ich od plaży, potem schowali buty do kieszeni i biegali po piasku - Nick boso, Liane w jedwabnych pończochach. Morska bryza cudownie owiewała ich twarze, tak że kiedy zatrzymali się i usiedli, byli bez tchu, szczęśliwi i roześmiani. Wszystko tu było tak spokojne, jakby na całym świecie nie działo się niczego.

- Trudno uwierzyć, że gdzieś tam toczy się wojna, prawda?

- Nick siedział wpatrzony w morze, rozmyślał o królownikach, które na wszystkich morzach świata broni ich ojczyzny. Carmel została ominięta przez zalew mundurów, tak wyrażyła w San Francisco. Było to małe senne miasteczko. Liane miała nadzieję, że nigdy nic nie wyrwie go ze snu. Cały czas towarzyszyło jej uczucie, iż musi gromadzić w pamięci te chwile, aby mieć później co wspominać.

- Jak dobrze, żeśmy się stamtąd wyrwali!... Ta praca w Czerwonym Krzyżu zaczyna mnie przygnębiać. - Westchnęła i popatrzyła na Nicka, najwyraźniej zaskoczonego jej słowami. Wydawało mu się, że Liane lubi to zajęcie.

- Dlaczego tak mówisz?

- Wydaje mi się, że nie robię dostatecznie wiele. Organizowanie podwieczorków i sporządzanie list to nie dla mnie. W zeszłym roku byłoby to przynajmniej jakas namiastka pracy, ale w gruncie rzeczy wolałabym robić coś naprawdę użytecznego. - Znowu westchnęła, a Nick się ucieszył, wspomniawszy jej pełną poświęcenia harówkę przy ratowaniu marynarzy na "Deauville".

- Rozumiem. Masz coś konkretnego na myśli?

- Jeszcze nie wiem. Zastanawiam się... Może praca w szpitalu?

Nick sięgnął po jej dłoń.

- Moja ty Florence Nightingale...

Początkowo ją i leżeli w piasku przytuleni do siebie, aż zapadł mrok.

Wtedy wrócili do hotelu. I Liane ucieszyła się po raz pierwszy, że oto mają spędzić zwyczajny weekend - jak miliony normalnych ludzi. Na statku istnieli w gęstym mroku kabiny bosmanmata, okryci ciemnymi zaciemnieniami. A teraz znaleźli się w schludnym pokoju z prysznicem. Liane zerknęła w stronę łóżeczka ucieszyła się, że wstydzi się Nicka. Jak panna młoda.

- Chcesz wykopać się pierwszy, czy ja mogę zająć łóżeczko?

- Idź pierwsza. Na pewno zabawisz tam dłużej niż ja.

Obstawiana przyborami toaletowymi, zamknęła za sobą drzwi, w których stanęła ponownie pół godziny później w finezyjnej koszulce nocnej, ze starannie uczesanymi włosami. Nick gwizdnął.

- Niezłóżcie się jak na łóżeczko tego rozmiaru.

Liane się zaczęła. Nikt by się nie domyślił, jakiej zręczności wymagało uzyskanie tego efektu w mikroskopijnym pomieszczeniu.

- Teraz ty.

Nick miał słuszną rację; potrzebował dużo mniej czasu niż Liane, a kiedy wyszedł z łóżeczka, miał jedynie ręcznik na biodrach.

- Trochę się chyba krygujemy, nie s'dziesz? - zaczęła się, a Liane zawtórowała.

- To dziwne, prawda? Na statku wszystko było znacznie prostsze.

Nick przez chwilę patrzył na nią czule od drzwi łóżeczka, wreszcie ruszył ku niej wolnym krokiem.

- Minęło strasznie dużo czasu, Liane... Zbyt wiele. - Stanął nieruchomo, a ona zarzuciła mu ręce na szyję.

Delikatnie pociągnął ją ku sobie. Nie potrzebowali słów, aby wyrazić to, co czuli. I nagle ostatnie półtora roku przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ich ciała zlały się w jedno, szatki Liane zdawały się topnieć pod dłońmi Nicka. Jego ręcznik opadł na podłogę, Nick delikatnie uniósł Liane w ramionach i zaniósł na łóżko, potem ją pocałował ustami i dłońmi, ona zaś z zapartym tchem poddawała się jego pieścizmom.

Minęły godziny, zanim senni legli obok siebie. Nick wsparł się na łokciu

i patrzy³ na Liane. By³a piêkniejsza ni¿ kiedykolwiek.

- Witaj, kochana.

Uœmiechnê³a siê do niego sennymi oczyma. - Têskni³am za tob¹, Nick...
Bardzo têskni³am. - Poca³owa³a jego bark, pierœ, leniwie przesunê³a palcami
wzd³u¿ ramienia. Tym razem by³o im ze sob¹ chyba jeszcze lepiej ni¿
poprzednio, albowiem namiêtnoœæ zosta³a wzbogacona o coœ ciep³ego,
niewymuszonego i znajomego.

Wstali o dziesi¹tej wieczorem, a kiedy Nick nagi chodzi³ po pokoju,
odnosi³ wra¿enie, ¿e s¹ ze sob¹ od zawsze. Nick z uœmiechem zerkn¹³ przez
ramiê, wy³awiaj¹c z kieszeni kurtki munduru paczkê cameli. - C¿, chyba
przegapiliœmy kolacjê. Konasz z g³odu?

Rozœemia³a siê i pokrêci³a g³ow¹. Odk¹d poca³owa³ j¹ po raz pierwszy, nie
jedzenie by³o jej w g³owie. - Mo¿e nam pozwol¹ pomyszkowaæ w kuchni?

Ale o dziwo, kiedy zeszli na d¿, okaza³o siê, i¿ jadalnia jest ci¹gle
otwarta. Zajêli wiêc spokojny stolik w k¹cie i delektowali siê spo¿ywan¹
przy œwiecach kolacj¹, na któr¹ z³o¿y³ siê szampan i wêdzony ³osoœ. Na
deser Nick zamówi³ szarlotkê, niespecjalnie pasuj¹c¹ do ca³oœci menu, i
Liane naigrywa³a siê z przacznego wespół³biesiadnika.

- S³u¿ba w wojsku rodzi we mnie z³e nawyki - usprawiedliwia³ siê, w koñcu
zaœ Liane tak¿e zjad³a szarlotkê, pocemiali siê nieco i niebawem poszli z
powrotem do pokoju. Na dworze jasno œwieci³ ksiê¿yc, pokój by³ cichy i
przytulny. Ledwie zd¹¿yli zamkn¹æ drzwi, a ju¿ le¿eli w ³¿ku, kochaj¹c siê
zapamiêtali. Na koniec Liane, z b³og¹ szczêliwoœci¹ na twarzy, osunê³a siê
w sen w ramionach Nicka, który d³ugo jeszcze wpatrywa³ siê w jej piêkn¹
twarz.

Rozdzia³ czterdziesty pi¹ty

Nazajutrz rano zamówili œniadanie do pokoju. Siedzieli nadzy w ³¿ku,
podkradaj¹c sobie rogaliki i herbatniki. Liane pi³a lekk¹ angielsk¹ herbatê
œniadaniow¹, Nick natomiast czarn¹ kawê. Uœmiechali siê do siebie.

- Przyjemnie, prawda, Liane?

- Przyjemnie to nieodpowiednie s³owo.

Jak¿e to wszystko by³o odmienne od jej dawnego ¿ycia z Armandem! Odmienne
od wszystkiego, czego kiedykolwiek zazna³a, a przecie¿ zdo³a³a to ju¿
wpisaæ w swoj¹ codziennoœæ. Wiedzia³a, co zamówi¹ na œniadanie, i
wiedzia³a, ¿e Nick pije czarn¹ kawê. Siedz¹c w wannie, przygl¹da³a siê
Nickowi, który œpiewaj¹c goli³ siê przed lustrem. Przy³czy³a siê do niego
i utworzyli zgodny duet.

Kiedy pieeñ dobieg³a koñca, Nick, owiniêty w rêcznik, odwróci³ siê do
Liane i powiedzia³ weso³o: - Nie¿le, co? Mo¿e powinniœmy iœæ na
przes³uchanie do radia.

- Jasne, dlaczego nie?

Ubrali siê i poszli na d³ugi spacer pla¿¹, pó¿niej niespiesznie snuli siê
po ulicach, przygl¹daj¹c siê oknom wystawowym. Nick kupi³ Liane ma³ego
morsa wyrze¿bionego w drewnie, ona jemu zaœ ma³1 z³ot¹ mewê na z³otym
³añcuszku.

- Bêdziesz móg³ j¹ nosiaæ ze znaczkiem identyfikacyjnym, ¿eby ci
przypomina³a o Carmelu?

- Niech mi spróbuj¹ zabroniaæ!...

By³y to takie nie znacz¹ce drobiazgi, lecz jedno chocia³o daæ drugiemu
coœ, co przez d³ugie miesi¹ce bêdzie przypominaæ wspólnie spêdzone tu

chwile. Liane kupiła jeszcze upominki dla dziewczynek i wuja. Po powrocie do hotelu czas do kolacji, znowu spóŹnionej, zszedł im na pieszczołach.

W niedzielę zostali w s3ółku do po3udnia, a i tak Liane wstawała z najwy3ysz1 niech3eci1. Wiedziała, 3e ju3 niebawem b3d1 musieli wracać do domu, 3e ich idylla dobiegnie końca, na to zać nie miała najmniejszej ochoty. Siedziała w wannie, zapatrzona w jakie3 punkt nieobecny3 wzrokiem. Nick bez trudu odgadł, o czym my3eli. Czule dotkn13 jej g3owy i Liane si3 ućmiechn3a.

- Nie b'dŹ taka smutna, kochanie. Wr3ocimy tutaj.

- S'dziesz, 3e nam si3 uda? - Kt33 m3g3 wiedzieć, kiedy Nick wyjdzie w morze? Mog3o to nast'pić w ka3dej chwili. Ale i tym razem odgadł jej my3eli.

- Wr3ocimy, obiecuj3.

Godzin3 póŹniej wyprowadzili si3 z hotelu, jeszcze zm3czeni po po3egnalnych igraszkach mi3osny3.

- Wiesz? Ty te3 budzisz we mnie z3e przyzwyczajenia - zauwa3yła Liane. - I obawiam si3, 3e wchodzi mi w na33g.

- Wiem, 3e to si3 zdarza. Moja ostatnia kuracja odwykowa trwała siedemnaćcie miesi3cy.

- Moja te3. - Popatrzyła na niego ze smutkiem. - Ćni3eć mi si3 po nocach. Tego wieczoru, kiedy spotkaćam ci3 u pani MacKenzie i us3yszaćam tw33 g3os, my3ełaćam, 3e postradaćam zmys3y.

- Ja te3 tak my3ełaćem, jak zobaczyćem ci3 w drugim końcu sali.

W Nowym Jorku widziaćem ci3 niemal codziennie. Patrzyćem na ulic3, a ty tam byćać. Jasnow3osa... Oddalaćać si3 coraz bardziej, a ja gnaćem za tob1, 3eby stwierdzać, 3e to jednak nie ty. Niejedna kobieta musiaća uznać mnie wtedy za szaleńca. I byćem nim... - Spojrzał jej g33boko w oczy. - Byćem szalony od bardzo, bardzo dawna, Liane.

Skin3a g3ow1.

- Wci3 jestećemy szaleni. - Wykradli ćwiatu trzy dni, oboje ćwiadomi, 3e tego nie b3d1 mogli przy sobie zatrzymać. Brali na kredyt.

- Ja nie 3a3uj3, A ty?

Potr3sn3a g3ow1. - Wczoraj my3ełaćam o Armandzie... O tym, jak wygl'da jego 3ycie w Pary3u... Ale wiem, 3e to, co robimy, niczego nie zmienia. Dla niego. I tak z nim b3d3 po zakoñczeniu wojny - wyznała.

Nick zdawał sobie z tego spraw3 i nie czuł 3alu. Pogodził si3 z tym... Prawie... Wiedział, 3e Armandowi jest bardzo ci33ko, 3e w Europie panuje okrutna zima, ale nie chciał d3u3ej dr'3yć tego tematu. Liane nic nie mogła zrobiać dla m33a.

Zn3w powoli jechali przybrze3n1 drog1 i po kr3tkim obiedzie w zajeŹdzie dotarli do San Francisco o 3smej. Liane nie dzwoniła do domu przez cał weekend - miała nadziej3, 3e dziewczynki czuj si3 dobrze. Zauwa3yła te3, 3e Nick nie dzwonił do Johnny'ego. Przez te trzy dni jakby nale3eli tylko do siebie, zamkni3ci w jakim3 innym ćwiecie. I w tym czasie 3aden inny ćwiat nie istniał. Temat dzieci podj3eli dopiero podczas ostatnich dw3ch kwadrans3w podr33y. Nick westchn13:

- Wiem, 3e nie b3dzie mu Źle, ale tak cholernie si3 o niego martwi3.

Chciałbym ci3 o co3 poprosi3... o co3 szczeg3lnego. - Serce Liane mocno zabiło. Wiedziała, 3e proćba b3dzie wa3na.

- Ćmiaćo. O co?

- Jeceli mi si3 co3 stanie... jeceli zgin3... czy obiecujesz, 3e b3dziesz go odwiedzać?

Liane na chwil3 odebrało mow3.

- Myœlisz, ¿e Hillary mi pozwoli?
 - Nic o nas nie wie. Nie ma wiêc powodu, ¿eby ci nie pozwoli³a. Poza tym teraz ma nowego mêtã. - Znowu westchn¹³. - Gdybym tylko móg³, zostawi³bym Johnny'ego z tob¹ i mia³bym pewnoœæ, ¿e jest w dobrych rêkach.
 Liane wolno skinê³a g³ow¹.
 - Dobrze. Bêdê go odwiedzaæ. Zawsze bêdê utrzymywaæ z nim kontakty. - Uœmiechnê³a siê czule. - Jak anio³ stró¿. - Po³o¿y³a d³oñ na rêce Nicka. - Ale nic z³ego ci siê nie przytrafi.
 - Nie wiadomo... - Kiedy zatrzymali siê przed domem wuja, Nick w mroku popatrzy³ przeci¹gle na Liane. - Prosi³em najzupe³niej powa¿nie.
 - A ja odpowiesz³am najzupe³niej powa¿nie. Jeœli stanie siê to, o czym mówi³eœ, bêdê go odwiedzaæ - przyrzek³a, lecz nie potrafi³a sobie takiej mo¿liwoœci wyobraziæ.
 Wysiedli z auta i Nick wstawi³ torbê Liane do sieni. Nikogo w pobli¿u nie by³o. Dziewczynki ju¿ spa³y i Liane mia³a nadziejà, ¿e nie zauwa¿¹ Nicka, który nie chcia³ siê zgodziæ, aby wróci³a z jego hotelu do domu taksówk¹. Przed drzwiami odwróci³a siê do niego i przywarli do siebie w d³ugim poca³unku.
 - Zadzwoñê do ciebie rano.
 - Kocham ciê, Nick.
 - Kocham ciê, Liane.
 Poca³owa³ j¹ raz jeszcze, po czym odjecha³, Liane zaæ posz³a na górê do swojej sypialni.

Rozdzia³ czterdziesty szósty

Armand siedzia³ w swoim gabinecie chuchaj¹c na d³onie, aby je nieco rozgrzaæ. Ostatnie tygodnie by³y wrêcz upiorne. Lód i sypki œnieg pokrywa³y ulice Pary¿a, we wszystkich domach panowa³ straszliwy zim¹. Armand nie potrafi³ sobie nawet przypomnieæ, kiedy ostatnio by³o mu ciep³o, rêce zaæ mia³ tak przemarzniête, ¿e jeœli nawet rozciera³ je przez kilka minut, móg³ pisaæ z najwy¿szym trudem. Jako ³¹cznik pomiêdzy rz¹dem Petaina a Niemcami, miesi¹c wczesniej przeniós³ swoje biuro i urzêdowa³ teraz w hotelu Majestic, obok biur Verwaltungsstabu, wydzia³u administracyjnego niemieckiego sztabu g³ównego. Po Linii wojskowej odpowiednikiem tego wydzia³u by³ Kommandostab pod dowództwem pu³kownika Speidla. Niestety, Armand musia³ zabraæ ze sob¹ Andre Marchanda. M³ody asystent by³ tak podniecony perspektyw¹ dzia³ania ramiê w ramiê z Niemcami, ¿e bez przerwy prê¿y³ siê gorliwie i Armand coraz wiêcej wysi³ku musia³ wk³adaæ w to, aby mu nie okazywaæ nienawiœci.

Obowi¹zki Armanda uleg³y znacznemu poszerzeniu. Niemcy nareszcie obdarzyli go pe³nym zaufaniem. Spêdza³ wiele godzin w ich propagandowym Abteilungu, który wychodzi³ ze skóry, aby przekonaæ Francuzów, jakie b³ogos³awieñstwo sp³ynê³o na nich pod postaci¹ niemieckich okupantów. Miewa³ czêste narady z pu³kownikiem Speidlem i genera³em Berkhausenem - omawiano na nich to, co Niemcy nazywali "obs³ug¹ zdobyczy wojennych". To tu w³acenie Armand móg³ potajemnie zadawaæ najpotê¿niejsze ciosy, niszczy¹c œlady istnienia wielu skarbów przeznaczonych dla Berlina. Po prostu znika³y, a winê zrzucano na Resistance. Zawsze w takiej sytuacji Armand wygl¹da³ na najbardziej poirytowan¹ osobê. Jak dot¹d nikt go nie

podejrzewa³ - tak się przynajmniej wydawa³o.

Armand odbywa³ też częste narady z doktorem Michelelem - niemieckim ministrem gospodarki, z którym omawia³ aktualny stan gospodarki francuskiej, kontrolę cen, przemysł chemiczny, produkcję papieru, problemy zatrudnienia, kredyty, ubezpieczenia, węgiel, energię elektryczną i inne pomniejsze kwestie.

Większość hoteli została zajęta przez najwyższe dowództwo niemieckie. Generał von Stutnitz, wojskowy dowódca Okręgu Paryskiego, mieszka w Crillonie, von Speidel i pozostali w Majesticu. Verwaltungsstab mieści się zatem w wygodnym dla Armanda miejscu, bo blisko jego domu na Place du Palais-Bourbon, a Oberkriegsverwaltungsrat Kruger, zajmujący się budżetem miasta, urzędował w ratuszu. Generał von Briesen, wojskowy komendant Paryża, mieszka w hotelu Meurice; po pewnym czasie jego stanowisko zajęł generał Schaumburg, który postanowił pozostać w tym samym miejscu.

Na wszystkich ulicach miasta afisze w języku francuskim krzyczały najgroźniejszymi ostrzeżeniami na temat kar groźnych za przekazywanie informacji, akty sabotażu, przemocy, strajki, zachęcanie do zamieszek, a nawet wykupywanie na zapas towarów codziennego użytku. Wszystkie te przestępstwa miały być przez trybunał wojenny karane "z najwyższą surowością". Oczywiście dochodziło do mnogich pogwałceń tego ustawodawstwa, a dopuszczali się ich przeważnie członkowie Resistance, czyli - według niemieckiej propagandy - "komunistyczni studenci", rozstrzeliwani później publicznie, aby dać przykład społeczeństwu francuskiemu. W roku 1942 egzekucje publiczne stały w Paryżu na porządku dziennym, toteż w mieście panowała atmosfera przynęcenia. Tylko na odbywających się na całym terytorium okupowanej Francji potajemnych spotkaniach członków Ruchu Oporu nastroj był odmienny - dominowało na nich podniecenie i napięcie. Poza tym jednak miasta, miasteczka i wioski zdawały się dusić pod cichym ciśnieniem przemocy.

Przeciwko Francji sprzyściły się nawet siły natury. Przez całą tę zimę ludzie marli jak muchy z zimna i niedożywienia. Armand widział wokół siebie konający naród. Już dawno Niemcy przestali udawać, że "nie okupowane" południe wykręci się sianem. Tam też wkroczyli i oto cała Francja została pożarta. "Nie na długo jednak" - jak w swoich przemówieniach radiowych, nadawanych przez BBC z Londynu, powtarzał de Gaulle.

Najbardziej fascynującą postacią był w owych czasach człowiek nazwiskiem Moulin - on to niemal sam zorganizował francuski Ruch Oporu. Nikt nie miał pojęcia, jakim cudem nieustannie przedostaje się do Londynu i z powrotem, niosąc bagaż nadziei i ducha bojowego.

Armand ośmielił się spotkać z Moulinem tylko raz. Było to dla niego zbyt ryzykowne, a zatem wszelkie ich kontakty odbywały się przez pośredników, zwłaszcza po wydaniu śynnego edyktu z 15 lipca 1941 roku, w którym Niemcy ustalali, że każde dzieło sztuki o wartości powyżej stu tysięcy franków ma być natychmiast zarejestrowane przez jego właściciela lub kustosa. Te waczenie akta z takim zapaśem niszczyło Armand na przełomie 1941 i 1942 roku. Miało świadomość, że dzięki niemu ocalały dzieła sztuki warte wiele milionów franków. Co jednak najważniejsze, usiłował też ratować życie ludzkie i to działanie stawało się dla niego coraz bardziej niebezpieczne. Poza tym przez kilka ostatnich tygodni chorował - był to efekt okrutnego chłodu panującego w Paryżu.

O tym jednak ani słowem nie wspomniął w liście, który Liane otrzymała nazajutrz po swoim powrocie z Carmelu. Ze słów Armanda wywnioskowała tylko,

Łe w pracy idzie mu dobrze. Mimo to wyczu³a w tym liœcie coœ jeszcze. Coœ, z czym nigdy dot¹d siê nie zetknê³a. Rodzaj rozpaczy, która przeradza³a siê niemal w desperacjê. I z tego, czego Armand nie napisa³, wywnioskowa³a, Łe los Francji pod okupacj¹ jest straszny. Po przeczytaniu listu d³ugo sta³a przy oknie, spogl¹daj¹c na Golden Gate.

- Liane, czy coœ siê sta³o? - Wuj nie pojecha³ jeszcze do biura i obserwowa³ Liane z progu pokoju. Wygl¹da³a na ca³kowicie wyzut¹ z si³. Kiedy odwróci³a siê do niego, spostrzeg³, Łe p³acze. Pokrêci³a jednak g³ow¹ i ucemiechnê³a siê przez ³zy.

- Nie, nic siê nie sta³o. Dosta³am list od Armanda.

Ów list zosta³ przemycony przez Moulina podczas jego ostatniej przeprawy do Londynu, lecz o tym Liane nie mog³a wujowi powiedzieæ. Przeciê, nie wyjawia³ mu zwi¹zku Armanda z Ruchem Oporu. Armand nakaza³ jej w tej kwestii bezwzglêdne milczenie i dotrzyma³a go, wyj¹wszy Nicka. Ale jemu ufa³a bez zastrze¿eñ.

- Przydarzy³o mu siê coœ?

- Nie wiem. Po prostu wydaje siê bardzo smutny... To wszystko jest takie przygnêbiaj¹ce.

- Wojna nie jest przyjemn¹ spraw¹. - S³owa by³y banalne, ale prawdziwe.

- Wygl¹da na to, Łe jest chory. - Zna³a mêt¹Ła bardzo dobrze. Wuj powstrzyma³ siê od stwierdzenia, Łe nic dziwnego w tym, i¹ zdrajca swojego kraju nie czuje siê najlepiej.

- Nic mu nie bêdzie. Pewnie po prostu têsni za tob¹ i dziewczynkami.

Skinê³a g³ow¹ czuj¹c, jak pierwsza w³ócznia wyrzutów sumienia przebija j¹ na wskroœ.

- Chyba tak.

- Jak siê uda³o seminarium w Carmelu?

Mimowolnie oczy Liane rozgorza³y ogniem. - By³o cudownie.

Wuj o nic wiêcej nie pyta³. Obydwoje wyszli do pracy.

Kiedy po po³udniu Nick podjecha³ po Liane pod biuro Czerwonego Krzy¿a, opowiedzia³a mu o liœcie od Armanda. Nickowi natychmiast zab³ys³a w g³owie straszna myœl - zdjêty lêkiem, zajrza³ jej w oczy.

- Czy zmieni³acê zdanie, jeœli chodzi o nas?

Patrzy³a na niego bardzo d³ugo, w koñcu pokrêci³a g³ow¹. - Nie, nie zmieni³am. Wydaje mi siê, Łe mam teraz dwa odrêbne Źycia. Dawne z Armandem i zupe³nie nowe z tob¹. - Nick z ulg¹ kiwn¹³ g³ow¹, Liane zaœ westchnê³a. - Ale czujê siê okropnie...

- Chyba nie grozi mu jakieœ konkretne niebezpieczeñstwo?

- Nie wiêksze ni¹ zwykle, jak s¹dzê. Nie odebra³am takiego wra¿enia.

Miêdzy wierszami wyczyta³am po prostu ogromn¹ depresjê z powodu sytuacji we Francji. - Podnios³a wzrok na Nicka. - Myœlê, Łe tym w³acenie przejmuje siê bardziej ni¹ sob¹, bardziej ni¹ nami wszystkimi. Ojczyzna jest dla niego najwa¿niejsza.

- Podziwiam go - rzek³ cicho Nick.

Odwióz³ j¹ do domu i wraz z ca³1 rodzin¹ zjad³ kolacjê. PóŸniej zagra³ w domino z Liane i wujem George'em i wróci³ do hotelu, Liane zaœ zosta³a sama w domu, zastanawiaj¹c siê, czy kiedykolwiek jeszcze znaj¹ siê tak jak w Carmelu tylko we dwoje.

Do hotelu Nicka kobiety mia³y zakaz wstêpu, i tak zreszt¹ by tam nie posz³a. W nastêpny jednak weekend Nick rozwi¹za³ tê kwestiê sugeruj¹c, i¹ mogliby zarezerwowaæ pokój w Fairmoncie. Przynajmniej jeden problem, drêcz¹cy wiêkszoœæ kochanków na œwiecie, ich nie dotyczy³ - posiadali doœæ

pieniędzy. Za to innych problemów mieli a_z w nadmiarze - Liane ba³a się o Armanda, Nick martwi³ się o Johnny'ego.

Tego dnia, kiedy dzwoni³ do syna, a pó³Yniej na spacerze bawi³ się z córkami Liane, wida^æ by³o, jak straszliwie t^æsadni za Johnem. Cudownie dogadywa³ się z dzie^æmi.

Odwie³li dziewczynki do domu, poszli na kolacj^æ, a pó³Yniej do wynaj^ætego pokoju. Liane córkom pozwoli³a tej nocy spa^æ u przyjació³ki, dla wuja za^æ wymy^æli³a zwi^æz³ historyjk^æ, której nie poda³ w w¹tpliwo^æ.

- Jak my^ælisz, czy wuj ma jakie^æ podejrzenia, Nick? - spyta³a z u^æmiechem, kiedy le^zc w ³o^zu popijali szampana i pogryzali orzeszki ziemne. Tym razem nie zeszli do sali weneckiej. Chcieli by^æ sami. Pytanie Liane, jak się zdawa³o, rozbawi³o Nicka.

- Przypuszczalnie. Nie jest przecie^z g³upi. I prawdopodobnie w swoim czasie wykr^æca³ mas^æ podobnych numerów.

O tym Liane doskonale wiedzia³a, lecz problem wci¹z j¹ dr^æczy³.

- Ale nic nie powiedzia³.

- Za dobrze ci^æ zna, z^æby o tym mówia^æ.

- My^ælisz, z^æ ma co^æ przeciwko temu?

- A ty masz? - Nick popatrzy³ na Liane czule, ona za^æ pokr^æci³a g³ow¹.

- Nie, pewnie bardzo by się cieszy³, gdybym rozwiod³a się z Armandem i po^ælubi³a ciebie.

- Ja te^z... Ja te^z tak podejrzewam.

Liane by³a przera^zona my^æl¹, z^æ by^æ mo^ze nie zachowuje się fair wobec do Nicka. By³a w ko^æcu m^æz^ætk¹ i nie mog³a mu ofiarowa^æ swojej przysz³o^æci.

- Tak czy owak, nie przejmuj się. Dopóki nie dopad¹ nas policjanci z obyczajówki albo dziennikarze, jeste^æmy bezpieczni.

- Roz^æemia³a się. W hotelu zameldowali się jako major Nicholas Burnham z ma³z^ænk¹.

I tak romansowali przez jakie^æ czas, czas znaczony kolacjami, d³ugimi popo³udniowymi spacerami i kradzionymi weekendami, które sp^ædza^{li} w hotelu Fairmont. Po kilku tygodniach zdo³ali zaaran^zowa^æ krótki wypad do Carmelu, ale w lutym sytuacja Nicka zacz^æła się klarowa^æ. Singapur wpad³ w r^æce Japo^æczyków, a ich si³y l¹dowe zdoby³y Jaw^æ, Borneo, Holenderskie Indie Wschodnie i kilka wysp na po³udniowym Pacyfiku. Japo^æńczycy byli z siebie zadowoleni do tego stopnia, i^z genera³ Nagumo wycofa³ się na pó³noc, do Japonii. Nick się spodziewa³, z^æ lada chwila zostanie wys³any na front. Z tygodnia na tydzień czeka³ na rozkazy, lecz wci¹z ich nie otrzymywa³. Amerykańskie lotniskowce czyni³y wypady na Wyspy Gilberta i Marshalla na po³udnie od Japonii, z powodzeniem bombarduj¹c pozycje japo^æskie. Nie udawa³o się jednak odzyska^æ z r¹k wroga g³ównych fortec.

Pewnego marcowego dnia Nick, doko^æczywszy drug¹ szkock¹, ku zdumieniu Liane spojrze³ na ni¹ z gniewem, po czym r¹bn¹³ pi^ææci¹ w stó³. Ci¹g³e oczekiwanie doprowadza³o go do rozstroju nerwowego.

- Do cholery, Liane!... - zawo³a³. - Ja te^z powinienem tam by^æ. Czemu, u diab³a, siedz^æ na dupie w San Francisco?

Nie urazi³ jej swoim wybuchem. Liane doskonale go rozumia³a.

- B¹d³Y cierpliwy, Nick. Przecie^z graj¹ na zw³ok^æ - odpowiedzia³a koj¹cym tonem, co oczywi^æcie w niczym nie pomog³o.

- A ja sp^ædzam wojn^æ w pokojach hotelowych. - Wyraz jego twarzy by³ czystym oskar^zeniem i tym razem Liane potraktowa³a go z powag¹.

- To twój wybó³r, Nick, nie zobowi¹zanie.

- Wiem... wiem... przepraszam... To dlatego, z^æ siedz^æ tu i siedz^æ i

zaczynam już wariować. Rany boskie, wstąpiłem do wojska trzy miesiące temu, Johnny ugrzł z w Nowym Jorku z Hillary, a mnie serce pęka, jak s³yszê, ¿e za mn¹ têsni. Waln¹³em mu mówkê o powodach, dla których idê na wojnê, a teraz siedzê tutaj i w nieskoñczonoœæ balujê.

Rozdra¿nienie w jego g³osie do g³êbi poruszy³o Liane, która usi³owa³a go uspokoiæ. J¹ tak¿e drêczy³y wyrzuty sumienia i zdarza³y siê chwile, kiedy ona te¿ kwestionowa³a swoje poczynania. Ale nie mog³a ani te¿ nie chcia³a zostawiæ teraz Nicka. Musieli byæ ze sob¹ a¿ do jego wyjazdu. Potem - z czego doskonale zdawali sobie sprawê - wszystko siê skoñczy.

Czasami, zw³aszcza gdy otrzyma³a list od Armanda, odzywa³a siê do Nicka z irytacj¹ w g³osie. Raz na przyk³ad Armand wspomnia³ o atakach reumatyzmu, które mu dokuczaj¹ na skutek przemarzniêcia nóg. Tego wieczoru Nick pocz¹³ siê uskar¿aæ na ból w plecach, poniewa¿ tañczyli zbyt d³ugo. I wtedy Liane przela³a na niego z³oœæ, jak¹ czu³a na siebie. - To nie tañczmy tyle, do licha!...

Zaskoczy³ go wyraz jej twarzy. Nigdy jej takiej nie widzia³. - Nie zauwa¿y³em, ¿e mia³aœ ochotê zejœæ z parkietu przed drug¹ nad ranem.

Ledwie to powiedzia³, Liane zala³a siê z³ami i dopiero kiedy chwyci³ j¹ w objêcia, zrozumia³, w czym rzecz, Liane bowiem przyzna³a siê, i¿ otrzyma³a list od mê¿a.

- On chyba jest chory... Ma prawie piêædziesi¹t dziewiêæ lat... i marznie tam na koœæ... - ³ka³a w ramionach Nicka, który tuli³ j¹ do siebie.

- Już dobrze, kochanie... Już dobrze... - uspokaja³ j¹ ze zrozumieniem. Potrafi³ bowiem rozumieæ ka¿dy problem, Liane wiêc o wszystkim mog³a z nim pomówiaæ.

- Czasami mam takie poczucie winy!...

- Ja te¿, ale liczylicemy siê z tym od samego pocz¹tku. To niczego nie zmienia w jego sytuacji.

- A jeœli Niemcy go zabij¹?

Nick westchn¹³ i zamilk³, nie wiedz¹c, co móg³by jej powiedzieæ na pocieszenie. To niebezpieczeñstwo by³o a¿ nadto realne.

- Podj¹³ to ryzyko, decyduj¹c siê pozostaæ w kraju. Wierzy³ w s³usznosæ swojej decyzji. - Rozumia³ uczucia Armanda do ojczyzny. Z tego, co mówi³a mu Liane, Nick wnioskowa³, ¿e w wypadku jej mê¿a patriotyzm Armanda przerodzi³ siê w obsesjê. - Liane, musisz po prostu wierzyæ, ¿e on prze¿yje. Nie masz wyboru.

- Wiem. - Znów pomyœla³a o zesz³ym wieczorze, kiedy poszli na tañce. -

Rzecz po prostu w tym, ¿e nasze ¿ycie przypomina nieustaj¹c¹ zabawê - powtórzy³a s³owa Nicka i oboje przez d³ug¹ chwilê patrzyli na siebie.

- Chcesz, ¿eby siê skoñczy³a? - Nick wstrzyma³ oddech.

- Nie.

- Ja te¿ nie.

Któregoœ kwietniowego dnia, gdy przyjecha³ po ni¹ do Czerwonego Krzy¿a, by³ osobliwie milcz¹cy.

- Czy coœ siê sta³o, Nick?

Popatrzy³ na ni¹ ze smutkiem. Nie czu³ nawet odrobiny tego podniecenia, którego siê spodziewa³, doœwiadcza³ natomiast poczucia utraty i osamotnienia. - Zabawa skoñczona.

Liane poczu³a nieprzyjemny dreszcz przebiegaj¹cy wzd³u¿ krêgos³upa. - Co chcesz powiedzieæ?

- Jutro wyje¿dz¹am z San Francisco.

Wstrzyma³a oddech, popatrzy³a przeci¹gle na Nicka i oto nagle zap³akana

znalaz³a siê w jego ramionach. Oboje wiedzieli, ¿e ta chwila nadejdzie, lecz nie byli na ni¹ przygotowani.

- Och, Nick... - Opad³ j¹ strach. - Gdzie ciê wysy³aj¹?

- Do San Diego. Na dwa dni. A potem wyp³ywamy, nie jestem pewien dok¹d. Bêdê na lotniskowcu "Lady Lex". - Próbowa³ siê ucæmiechn¹æ. - W³acæciwie nazywa siê "Lexington". P³yniemy gdzieœ na Pacyfik.

Okrêt ten wróci³ z doków, gdzie dokonywano w nim jakichœ napraw. Liane czyta³a o tym w gazetach. W drodze do domu Liane milczeli oboje. Mieli tak posêpne twarze, ¿e wuj George natychmiast wszystkiego siê domyœli³.

- Wyp³ywasz, synu?

- Tak, proszê pana. Jadê jutro do San Diego.

George skin¹³ g³ow¹ i popatrzy³ na Liane.

Tego wieczoru kolacja up³ynê³a w milczeniu. Nawet dziewczynki z rzadka je przerywa³y, a kiedy Nick ¿egna³ siê z nimi, obie wybuch³y p³aczem niemal tak silnym jak przy po¿egnaniu z ojcem. Nick by³ dla nich w tej chwili kimœ bardziej realnym ni¿ Armand, którego nie widzia³y od dwóch lat. Przez cztery ostatnie miesi¹ce stanowi³ niemal nieod³czn¹ cz¹stkê ich ¿ycia.

Wszyscy odczuj¹ boleœnie jego nieobecnoœæ, w szczególnoœci Liane, która teraz czule ca³owa³a go w drzwiach. Obieca³a nazajutrz pojechaæ poci¹giem do San Diego, gdzie wyrw¹ jeszcze dla siebie kilka chwil, zanim Nick wyp³ynie. Mia³ znaleŹæ siê na pok³adzie na dzieñ przed wyjœciem okrêtu w morze. Dawa³o im to p³ótoro dnia w San Diego.

- Zadzwoñê do ciebie jutro wieczorem, a jeœli nie zdo³am, pojutrze rano.

Kiwnê³a g³ow¹ z oczami b³yszcz¹cymi od œez.

- Ju¿ za tob¹ têsknê.

Ucæmiechn¹³ siê. - Ja te¿. - ¯adne z nich nie by³o przygotowane na cierpienie, które w tej chwili sta³o siê ich udzia³em. - Kocham ciê.

Macha³a rêk¹, kiedy odje¿d¿a³. Potem posz³a do swojego pokoju, pad³a na œó³ko i zanios³a siê p³aczem. Nie by³a gotowa rezygnowaæ z Nicka... Jeszcze raz... teraz... kiedykolwiek...

Rozdzia³ czterdziesty siódmy

Poci¹g dotar³ do San Diego dopiero o jedenastej nastêpnego wieczoru, a w hotelu Liane znalaz³a siê o p³ónoocy. Wiedzia³a, ¿e jest zbyt póŹno, aby Nick móg³ zadzwoniaæ, z niecierpliwœci¹ zatem zasiad³a przy telefonie nazajutrz. Nick zadzwoni³ tu¿ po po³udniu. Liane czeka³a w napiêciu od siódmej.

- Wybacz, kochanie. Nie mog³em zadzwoniaæ. Mam spotkania, odprawy i Bóg wie co jeszcze.

Te s³owa wywo³a³y w niej panikê. - Ale mo¿emy siê zobaczyæ, prawda? - Spogl¹da³a na Pacyfik, usi³uj¹c wyobraziæ sobie, gdzie w tej chwili znajduje siê Nick. Z jej pokoju rozpoœciera³ siê widok na bazê i odleg³y port.

- Dopiero wieczorem. I Liane... - Nie mia³ na to najmniejszej ochoty, lecz wiedzia³, ¿e musi jej powiedzieæ. - To bêdzie ostatni raz. Muszê siê zameldowaæ w bazie jutro o szóstej rano.

- Kiedy wyp³ywasz? - S³ysza³a w uszach œomot krwi.

- Nie wiem. Wiem tylko, ¿e mam byæ na pok³adzie jutro o szóstej rano.

Przypuszczam, ¿e wyp³yniemy nastêpnego dnia, ale tego nam nie powiedz¹. -

Taka by³a typowa w czasie wojny procedura wojskowa.

- Muszê już kończyæ. Zobaczymy siê wieczorem. Najszybciej, jak bédê móg³.
- Bédê czekaæ.

Spêdzi³a ca³y dzieñ w swoim pokoju w obawie, że móg³by przyjœæ wczesniej, a wtedy by siê minêli. Za dziesiêæ szosta rozleg³o siê pukanie do drzwi.

By³ to. Nick. Liane rzuci³a mu siê w ramiona, p³acz¹c i œmiej¹c siê zarazem, ogarniêta bezgraniczn¹ radoœci¹, że go widzi. Przez tych kilka chwil mogli udawaæ, że Nick nigdy donik¹d nie wyjedzie.

- Boże, tak dobrze ciê widziæ, kochany.
- Ciebie też.

Oboje byli wyczerpani napiêciem dwóch ostatnich dni. Liane wiedzia³a, że tych chwil nigdy nie zapomni. By³y gorsze niź dni, kiedy wyjeżdża³a z Paryża.

Przegadali gor¹czkowo pó³ godziny, potem Nick wzi¹³ j¹ w ramiona i zaniós³ do ³ółka. Na krótko czas dla nich jakby siê zatrzyma³. Nie wyszli z pokoju na kolacjê i przez ca³¹ noc nie zmrużyli oka. Na przemian rozmawiali i kochali siê. Wschód s³oñca Liane powita³a z drżeniem. Wiedzia³a, że oto minê³a ich ostatnia noc.

O pi¹tej trzydziœci Nick wsta³ z ³ółka i popatrzy³ na ni¹ z powag¹.

- Kochanie... muszê iœæ...
- Wiem. - Usiad³a, przejeŃta pragnieniem, aby go przytuliaæ do siebie, aby móc cofn¹æ wskazówki zegara.

Od dwóch dni na usta cisnê³o u siê pytanie, które teraz dopiero odważy³ siê zadaæ: - Bêdziesz do mnie pisaæ czy raczej nie?

Przed czterema miesi¹cami ustalili, że jeœli Nick wyjedzie, wszystko miêdzy nimi siê skoñczy.

- Bédê pisaæ - ucemiechnê³a siê smutno. W wojnie mia³a groŃn¹ rywalkê, która zabiera³a jej już drugiego mêtczynê. Nie wiedzia³a, co zrobi, kiedy Nick wróci. Od wielu tygodni zadawa³a sobie to pytanie. Sprawy wygl¹da³y bowiem inaczej niź na "Deauville". Tym razem byli ze sob¹ cztery miesi¹ce, a nie trzy dni, toteż ostateczne rozstanie z Nickiem nie by³oby tak ³atwe jak wówczas. Zastanawia³a siê nad ewentualny porzuceniem Armanda po wojnie, lecz w g³êbi duszy mia³a œwiadomoœæ, że nigdy siê na to nie zdobêdzie.

Jednakże nie potrafi³aby też zrezygnowaæ z Nicka Burnhama.

- Ja także bédê do ciebie pisa³. Ale może up³yn¹æ dużo czasu, zanim dostaniesz mój list.

- Bédê czeka³a.

Ubra³ siê nie bior¹c natrysku, nie chcia³ bowiem trwoniaæ ani jednej wspólnej chwili. Na toaletê bédzie mia³ doœæ czasu na okrêcie, a teraz mia³ do dyspozycji kilka ostatnich minut z Liane.

- Pamiêtasz, co mówi³em o Johnnym? - Poda³ jej adres Hillary, choæ Liane upiera³a siê, że nie bédzie jej potrzebny, bo Nick wróci i sam bédzie troszczy³ siê o syna. - Na wszelki wypadek - doda³, zapisa³a wiêc adres, aby poprawiaæ mu samopoczucie.

W tych ostatnich chwilach wygl¹dali tak, jakby czekali na wybuch bomby. W koñcu podniecili siê i mocno przytulili.

- Muszê ciê tu zostawiaæ - powiedzia³ Nick.

Liane znowu ogarn¹³ strach. - Nie mog³abym ciê odwieŃæ do bazy?

Pokrêci³ g³ow¹. - By³oby nam jeszcze ciêzej.

Skinê³a g³ow¹, czuj¹c na policzkach strumienie ³ez. Nick poca³owa³ j¹ po raz ostatni i spojrze³ jej g³êboko w oczy. - Wrócê.

- Wiem - odpar³a. - adne nie zapyta³o, co wówczas nast¹pi. By³o zbyt

póŸno, aby siê nad tym zastanawiaæ. Liczy³a siê tylko chwila obecna, bo przed nimi by³y nie znane wyroki losu. - Nick... UwaŸaj na siebie... - Objê³a go raz jeszcze, kiedy wychodzi³. Nick mocno j¹ uœcisn¹³, po czym zbieg³ po schodach.

Liane zamknê³a drzwi i usiad³a czuj¹c siê tak, jakby wyssano z niej resztkê Ÿycia. Dwie godziny póŸniej nadal tak siedzia³a, rozmyœlaj¹c o Nicku. Rzuciwszy przypadkiem spojrzenie w okno, ze zdumieniem stwierdzi³a, Ÿe ca³y Pacyfik przys³ania sun¹cy powoli olbrzymi okrêt. Serce jej za³omota³o. By³ to lotniskowiec. Zrozumia³a, Ÿe to "Lexington" uwoŸ¹cy na pok³adzie jej ukochanego. Gwa³townie otworzy³a okno na oœcieŸ, jak gdyby to mog³o j¹ zbliŸyæ do Nicka, i przygl¹da³a siê okrêtowi, dopóki nie wyszed³ z zatoki. Potem spakowa³a siê i dwie godziny póŸniej, milcz¹ca i osowia³a, wraca³a do San Francisco.

Rozdzia³ czterdziesty ósmy

W domu posz³a prosto do swojego pokoju. By³o juŸ póŸno i ciemno. Liane podskoczy³a jak oparzona, kiedy tuŸ obok siebie us³ysza³a g³os wuja George'a. Siedzia³ w ciemnoœciach w jej pokoju.

- Co siê sta³o?... Dziewczynki?...

- Nic siê nie sta³o. - Kiedy w³oczy³a œwiat³o, przyjrza³ siê jej badawczo. Sprawia³a wraŸenie udrêczonej. - Dobrze siê czujesz, Liane?

- Doskonale. - Ledwie jednak wypowiedzia³a te s³owa, poczu³a Ÿy sp³ywaj¹ce po policzkach i odwróci³a siê, aby je ukryæ. - Naprawdê... Wszystko w porz¹dku...

- Nie, nie wszystko w porz¹dku. Nie masz siê czego wstydziæ. Wcale nie oczekiw³em, Ÿe bêdziesz w dobrej formie, Dlatego w³aœnie tu jestem.

Jak ma³a dziewczynka rzuci³a mu siê w ramiona. - Och, wujku!...

- Wiem... wiem... on wróci...

Tak, i Armand takŸe wróci. Przez ca³¹ drogê do San Francisco myœla³a o nich obu. Czu³a siê rozdarta pomiêdzy dwoma mêŸczyznami. Wuj przyniós³ do jej pokoju butelkê brandy i dwa kieliszki. Liane uœmiechnê³a siê do niego przez Ÿy, kiedy nalewa³ jej alkoholu.

- Czym zas³uŸy³am sobie na takiego fajnego wuja jak ty?

- Jesteœ dobr¹ kobiet¹, Liane. - Powiedzia³ to bez uœmiechu. - I zas³ugujesz na dobrego mêŸczyznê. I jeœli Bóg tak zechce, bêdziesz go mia³a.

Upi³a Ÿyczek brandy i usiad³a z nerwowym uœmiechem na twarzy. - Problem w tym, wujku, Ÿe mam ich dwóch.

Nic nie odrzek³, Zostawi³ j¹ sam¹ i chwilê póŸniej Liane po³oŸy³a siê do œóŸka. Nazajutrz czu³a siê odrobinê lepiej.

Tego dnia otrzyma³a list od Armanda, z którego wynika³o, Ÿe jej m¹Ÿ równieŸ miewa siê nie najgorzej. Zdawa³o siê, Ÿe podnios³y go na duchu "ostatnie wydarzenia", jak to uj¹³, lecz nie sprecyzowa³, co ma na myœli. Poza tym we Francji poprawi³a siê pogoda i nogi juŸ mu nie dokucz¹y tak bardzo.

W ci¹gu najbliŸszych kilku dni takŸe z Londynu nadesz³y pocieszaj¹ce wieœci. Brytyjczycy otrzymali pierwsz¹ dostawê Ÿywnoœci ze Stanów, dziêki czemu mieszkañcom Londynu g³ód przesta³ zagl¹daæ w oczy. Natomiast z 8 kwietnia prasa amerykañska poda³a wiadomoœæ o nalocie na Tokio, prowadzonym

przez podpu³kownika Jamesa H. Doolittle'a, naukowca-aerodynamika i pilota. Doolittle zmodyfikowa³ szesnaście bombowców B-25 i skierowa³ je do Japonii. Eskadra nie mia³a możliwości powrotu na macierzyste lotnisko - po zbombardowaniu Tokio przewidziano l¹dowanie gdzieś na nie okupowanych terenach Chin. W nalocie stracono tylko jeden bombowiec, co w znac¹ym stopniu poprawi³o morale wojska. Na Tokio spad³y bomby w odwecie za Pearl Harbor.

Entuzjazm zwi¹zany z nalotem Doolittle'a mia³ jednak krótki żywot. W nocy 4 maja uwaga wszystkich skupi³a się na bitwie na Morzu Koralowym. Liane spędzi³a tę noc bezsenne, modl¹c się za Nicka. Bitwa szala³a przez dwa dni. Dowodzi³ w niej genera³ MacArthur, który przezornie pozosta³ na ty³ach, w Port Moresby na Nowej Gwinei. W dniu 6 maja przys³a najgorsza wieść: "Lexington" zosta³ zatopiony. Jakimś cudem zgin³o zaledwie dwustu szesnastu ludzi, dwa tyśi¹ce siedmiuset trzydziestu pięciu za³ce przyj¹³ na pok³ad "Yorktown", siostrzany okr³t "Lady Lex". Tylko że Liane nie wiedzia³a, czy Nick znalaz³ się w grupie poleg³ych czy ocala³ych. Dzień po dniu siedzia³a odr³twia³a w swoim pokoju, ws³uchana w radio przeniesione na gór³. I przypomina³a sobie upiorne sceny, których by³a świadkiem, kiedy zaton³a "Królowa Wiktoria". B³aga³a Boga, aby Nick znalaz³ się wśród ocala³ych.

Posi³ki przynoszono jej do pokoju, ale wraca³y do kuchni niemal nietknięte. Wuj George w tym samym czasie siedzia³ w bibliotece, s³uchaj¹c tam wiadomości. Przeczuwa³, że up³yn¹ tygodnie, jeżeli nie miesi¹ce, zanim otrzymaj¹ jak¹kolwiek wieść o Nicku. Liane nie wiedzia³a, iż George poleci³ swoim pracownikom skontaktowa³ się z Brettem Williamsem w Nowym Jorku, który jednak, jak się okaza³o, również nie mia³ pojęcia o losie Nicka.

Radio 6 maja poinformowa³o spo³eczeństwo Stanów Zjednoczonych, iż genera³ Jonathan Wainwright musia³ podda³ Corregidor Japończykom. Zarówno genera³, jak i jego ludzie dostali się do niewoli. Na Pacyfiku sprawy nie uk³ada³y się zatem dobrze.

- Liane... - George stan¹³ w drzwiach jej pokoju rankiem 8 maja, dwa dni po zatoni³ciu "Lexingtona". - Chc³, żebyś zesz³a na d³ na ceniadanie.

Pos³a³a mu z ³ółka martwe spojrzenie: - Nie jestem g³odna.

- Nic mnie to nie obchodzi. Dziewczynki boj¹ się, że jesteś chora. -

Wpatrywa³a się weń przez d³u¹sz¹ chwilę, w końcu skin³a g³ow¹.

Posz³a do jadalni os³abiona wieloma godzinami spędzonymi w ³ółku przy zaci¹gniętych zas³onach i nieustannie w³1czonym radioodbiorniku. Córki zerka³y na ni¹ z trosk¹, Liane zdoby³a się więc na to, by odprowadzi³a je do szko³y. Potem wróci³a do swojego pokoju i ponownie w³1czy³a radio. Nie podano jednak c³wieżych wiadomości. Bitwa na Morzu Koralowym dobieg³a końca.

- Liane... - Wuj znowu pod¹ł³y³ za ni¹ do pokoju. Spojrza³a na niego pustym wzrokiem. - Nie możesz się tak zadręcza³.

- Wyjd³ z tego.

- Wiem, że wyjdiesz. Ale to, co robisz, w niczym mu nie pomaga. - Usiad³ na skraju ³ółka. - W Nowym Jorku też nic nie wiedz¹. Gdyby zgin¹³, otrzymaliby telegram. Jestem pewien, że przeży³.

Skin³a g³ow¹, powstrzymuj¹c ³zy. Nie potrafi³a sobie poradzi³a z l³kiem o dwóch drogich jej m³czyzn. Tego dnia otrzyma³a kolejny list od Armanda. Z Paryż³a wywieziono trzydzieści tysięcy ¹ydów. By³ to jeden z listów przemyconych przez Moulina i jak wiele innych przesy³ek od Armanda, przep³yn¹³ Atlantyk na pok³adzie "Gripsholma".

Paryskich ¹ydów zamkn³to najpierw na stadionie. Przebywali tam przez

tydzień - pozbawieni wody i żywności. Wielu umarło, w tym mnóstwo kobiet i dzieci. Świat oszalał. Od jednego końca globu po drugi ludzie umierali i zabijali się nawzajem. Nagle Liane pojęła, co powinna zrobić. Wyszarpnęła z szafy suknię i rzuciła ją na śółko. Ożywiła się po raz pierwszy od kilku dni.

- Dokąd idziesz?

- Do biura ~- odparła krótko.

Wykpała się, ubrała i godzinę później złożyła rezygnację. Nie z pracy w Czerwonym Krzyżu, lecz z funkcji, którą pełniła. Tego samego popołudnia podjęła pracę w szpitalu Marynarki Wojennej w Oakland. Skierowano ją do opieki nad pacjentami oddziału chirurgicznego. Była to najtrudniejsza praca, kiedy jednak Liane o ósmej wieczorem wróciła do domu, po raz pierwszy od wielu miesięcy czuła się lepiej. Powinna była to zrobić już dawno temu, i od dawna to zresztą planowała. Poinformowała wujka o swojej decyzji wieczorem przy kolacji.

- To okropna praca, Liane. Czy jesteś pewna, że chcesz to robić?

- Całkowicie - odparła z takim zdecydowaniem na twarzy, że George zrozumiał, iż Liane wzięła się w garść.

Powiedziała tego wieczoru wujowi o paryskich wydarzeniach i George pokręcił głową. Nie już, nie było takie jak dawniej. Absolutnie nie. Nic nie było bezpieczne. Nic nie było święte. U-Booty krężyły wzdłuż amerykańskich wybrzeży. W Europie wypędzano Żydów z ich domów, na południowym Pacyfiku Japończycy zabijali Amerykanów. Nawet przepiękna "Normandie" spędziła przed trzema miesiącami w nowojorskim porcie i dokerzy, pracując po dwadzieścia cztery godziny na dobę, próbowali przywrócić ją do roli transportowca. Na Londyn zaczęły spadać bomby, grzebić pod gruzami kobiety i dzieci.

Przez następny miesiąc Liane pracowała jak opętana w szpitalu w Oakland. Wychodziła z domu o ósmej rano i wracała o pierwszej albo szóstej po południu, czasem nawet o siódmej, wyczerpana, cuchnąca ośrodkami dezynfekcyjnymi. Jej fartuchy często były poplamione krwią, twarz blada, oczy za to pognęty. Tylko to mogła robić, aby czuć się pomocną.

Miesiąc po bitwie na Morzu Koralowym została nagrodzona listem od Nicka. Usiadła na frontowych schodach domu i czytała pączek z radości.

Rozdział czterdziesty dziewięć

W dniu 4 czerwca rozpoczęła się zakończona nazajutrz bitwa o Midway. Japończycy utracili w niej cztery z pięciu lotniskowców - Ameryka ogarnęła radość. Było to jak dotąd największe zwycięstwo. Liane zaczęła wiedzieć, że Nick jest bezpieczny. Przebywał teraz na pokładzie "Enterprise", z dala od bitewnego zgiełku. I chociaż drżała jak listek, ilekroć dochodziły do niej wojenne wiadomości, regularny strumień listów utwierdzał ją w pewności, że Nick jest żywy i ma się dobrze. Pisała do niego niemal codziennie, Armandowi również odpowiadała najchętniej jak mogła.

Z najcenniejszej korespondencji od męża wynikało, że w Paryżu rocenie napięcie. Rozstrzeliwano coraz więcej młodych komunistów, wysiedlano coraz większe grupy Żydów, a na częstych spotkaniach w niemieckim sztabie Armand wyraźnie zauważał, że okupanci ostro biorą się za Paryż. Ruch Oporu na prowincji działał coraz bardziej aktywnie, toteż dla Niemców niezmiernie

istotne by³o utrzymanie w ryzach stolicy, która dawa³a w końcu wszystkim przyk³ad. W tej sytuacji w³adze okupacyjne coraz ch³ętniej korzysta³y z us³ug Armanda, oczekuj¹c od niego informacji na temat ukrytych dzie³ sztuki, zaginionych bez o³ladu ludzi, a tak³e o osobach, które pozornie wspó³pracuj¹c z Petainem, mog³y sympatyzowa^æ z komunistami. Potrzebowali kogo^æ, do kogo mogliby si³e zwróci^æ ze spraw¹ przekraczaj¹c¹ jakby ich kompetencje i Armand by³ takim w³acenie cz³owiekiem. Stanowi³ wygodny bufor dla marsza³ka Petaina, lecz przez to ³y³ w ci¹g³ym napi³ciu.

Pewnego ciep³ego czerwcowego dnia siedzia³ w swoim biurze w hotelu Majestic, gdy do gabinetu wszed³ Andre Marchand i po³o³y³ na biurku nowy plik dokumentów.

- Co to jest?

- Meldunki na temat ludzi aresztowanych wczoraj. Dowódtwo chce wiedzie^æ, czy nie ukrywa si³e w³ród nich kto^æ wa³ny.

Nic nie sprawia³o Marchandowi wi³kszej przyjemno³ci ni³ wydawanie rodaków w r³ce Niemców. Armand ³a³owa³, i³ jego asystent nie zosta³ powo³any do wojska i wys³any na front wschodni. Skoro a³ tak bardzo chcia³ by^æ Niemcem, to niechby nim by³ w pe³ni.

- Dzi³ekuj³e. Przejrz³e w wolnej chwili.

- W sztabie chc¹ to dostae z powrotem jeszcze dzie wieczorem - odpar³, patrz¹c Armandowi w oczy.

- W porz¹dku, dopilnuj³e, ³eby je mieli.

Zastanawia³ si³e ostatnio, czy przypadkiem nie postawiono przy nim Marchanda, aby mie^æ pewno^æ, ³e istotnie jest wierny Petainowi i Niemcom. By³a to jednak absurdalna my³el. Marchand by³ m³odzikiem, nic nie znaczy³, tote³ w ³adnym razie nie móg³ by^æ u³yty w charakterze psa ³a³uchowego. Armand u^æmiechn¹³ si³e w duchu. By³ tak zm³czony, ³e niebezpiecze³stwo dostrzega³ dos³ownie wsz³dzie. Poprawiwszy na nosie okulary, których u³ywa³ teraz do czytania, zacz¹³ przegl¹da^æ dokumenty. W gruncie rzeczy dobrze, ³e zapozna si³e z nimi teraz, poniewa³ wieczorem mia³ spotkanie z Moulinem przed jego wyjazdem do Londynu.

O szóstej wyszed³ z hotelu Majestic i jak zwykle - chocia³ tego dnia wczesniej ni³ zwykle - pod¹³y³ do swojego mieszkania na Place du Palais-Bourbon. Wszed³ do kuchni, po której wyra³nie by³o wida^æ, ³e od miesi³cy jest nie u³ywana. Nic w tym domu nie przypomina³o ju³ Liane i dzieci. Miedziane garnki pociemnia³y, kuchenka by³a zepsuta, a w spi³arni Armand niczego nie trzyma³. Wszystko pokrywa³a gruba warstwa kurzu. Ale nie przejmowa³ si³e tym ani troch³e. Dom s³u³y³ mu wy³¹cznie jako miejsce do spania. Tego dnia jednak pokroi³ w plastry kawa³ek kie³basy, któr¹ wczesniej kupi³, potem zjad³ jab³ko. Przed wyjazdem do Neuilly zrobi³ kilka notatek. Uruchamiaj¹c samochód, uwa³nie rozejrza³ si³e dooko³a, lecz nie zauwa³y³, by kto^æ go obserwowa³.

Krótk¹ drog³e przeby³ bez problemu. Mia³ teraz na samochodzie specjalny emblemat, informuj¹cy niemieckie patrole, i³ pracuje dla rz¹du. Zaparkowa³ wóz o dwie przecznice od domu, do którego zmierza³, zapuka³ dwukrotnie, potem zadzwoni³. Do o³rodka wpu^æci³a go stara kobieta. Skin³a mu g³ow¹ i zamkn¹wszy za nim drzwi, poprowadzi³a go do kuchni, sk¹d zeszli schodami do piwnicy. Tam wspólnymi si³ami odsun³li na bok stos pude³, ods³aniaj¹c w³az do podziemnego przej³cia. Jak zawsze Armand przedosta³ si³e tunelem do s¹siedniego domu, gdzie czeka³o na³ trzech m³czyzn. Jeden, o krótko ostrzy³onych siwych w³osach, mia³ na sobie spodnie robocze, czapk³e i czarny sweter. By³ to Moulin. Wyci¹gn¹³ r³ek³e na powitanie. Jego towarzysze

przybyli wraz z nim z Tulonu. Armand ich nie zna³.

- Witaj, przyjacielu.

- Mi³o pana widzieæ - odrzek³ Armand z ucemiechem. - a³owa³, i³ nie zna tego cz³owieka lepiej. Francja wiele mu zawdziêcza³a. By³ bohaterem Ruchu Oporu.

- Mnie równie³ mi³o pana widzieæ. - Moulin zerkn¹³ na zegarek. Nie chcia³ marnowaæ czasu. Zd¹u³ siê ju³ uporaæ ze wszystkimi zadaniami w Pary³u i zosta³o mu zaledwie pó³ godziny przed powrotem do Tulonu. Jeszcze tej nocy mia³ przep³yn¹æ Kana³ i dostaæ siê do Londynu. - Mam dla pana pewn¹ propozycjê, panie de Villiers. Nie chcia³by pan siê wybraæ do Londynu?

- A po co? - zdziwi³ siê. Tam jego uk³ady na nic by siê zda³y. Mia³y znaczenie tylko w Pary³u.

- To bardzo wa³ne. Idzie o pañskie ³ycie. Mamy powody s¹dziaæ, ³e Niemcy pana podejrzewaj¹.

Armand skin¹³ g³ow¹, nie okazuj¹c lêku.

- Sk¹d to przypuszczenie?

- Wpad³y nam w rêce pewne niemieckie papiery... Tydzieñ wczesniej zabito dwóch kurierów s³u³ycych przy najwy³szym dowództwie. Mieli przy sobie teczkê oficera, któr¹ prze¹³ Ruch Oporu. Von Speidel gotowa³ siê z wœciek³oœci.

- Czy ta zes³otygodniowa robota to wy? - zapyta³ cicho Armand.

- Tak. Przejêliemy dokumenty, z których wynika... nie mamy pewnoœci... ale nie chcemy czekaæ, a³ bêdzie za pó³no. Powinien pan wyjechaæ ju³ teraz.

- Kiedy?

- Dzisiaj. Ze mn¹.

- Ale³ nie mogê... - zaproponowa³ Armand. Mia³ do zakoñczenia pó³ tuzina wa³nych przedsiêwziêæ: chcia³ wywieŹæ do Prowansji rzeŹbê Rodina, pomóc ³ydwówe ukrywaj¹cej siê w piwnicy z synem, wydobyæ bezcenny obraz Renoira zakopany pod jednym z domów. - Za wczesnie. Potrzebujê jeszcze czasu.

- Byæ mo³e inni zadbaj¹, ³eby go pan nie mia³.

- Czy to pewne?

Moulin pokrêci³ g³ow¹.

- Na razie nie wiem. Nie ustaliliemy nic konkretnego. Ale pañskie nazwisko zosta³o wspomniane w dwóch meldunkach. Obserwuj¹ Pana.

- Ale to pan prze¹³ te raporty, nie Speidel.

- Nie wiemy, kto widzia³ je wczesniej. I tutaj w³acenie kryje siê niebezpieczeństwo.

Armand skin¹³ g³ow¹, spokojnie patrz¹c na Moulina.

- A jeœli zostanie?

- Warto?

- Tak.

- Mo³e pan szybko pozakañczaæ bie³ce sprawy?

- Mogê spróbowæ.

- To proszê siê postaraæ. Wracam za dwa tygodnie. Czy wtedy pan wyjedzie?

Armand skin¹³ g³ow¹, na jego twarzy pojawi³o siê jednak wahanie, które Moulin rozpozna³ natychmiast. Widywa³ wielu takich ludzi, którzy nie potrafili zrezygnowaæ z walki, trac¹c w swoim zaanga³owaniu wszelki umiar.

- Niech pan nie bêdzie durniem, de Villiers. Lepiej przys³u³y siê pan Francji pozostaj¹c przy ³yciu. Z Londynu te³ mo³e pan niejednego dokonaæ.

- Ale chcê zostaæ we Francji.

- Mo³e pan wróciæ. Damy panu nowe dokumenty i znajdziemy zajêcie w górach.

- To by mi odpowiada³o.

- Doskonale. - Moulin wsta³, uęcisz¹³ Armandowi d³oń i wyszed³ drog¹, któr¹ przyby³ Armand.

Chwilę póŹniej miejsce spotkania opuści³ również Armand. Wiedzia³, że kiedy dotrze na ulicę, nie znajdzie ciału Moulina. Ten człowiek zawsze znika³ jak kamfora. Ale tym razem by³o inaczej. Id¹c do swojego samochodu, Armand us³ysza³ jakiegoś odg³osy, a potem nagle z kryjówek wyskoczyli uzbrojeni że³nierze, celując serie z karabinów maszynowych. Nie zauważyli widaka Armanda, celowali bowiem do trzech mężczyzn uciekających w oddali. Armand przywar³ do ściany i że³nierze minęli go, nie zwróciwszy nań uwagi. Ciszę nocną rozerwa³y następne strza³y, Armand zaczął skry³ się w jakimś ogrodzie. Po chwili poczu³ w nodze tępy pulsujący ból. Sięgn¹³ d³oni¹ - by³ ranny.

Poczekaj³, aż wszystko ucichnie, i wówczas wydosta³ się z ogrodu, modli¹c się, aby i tym razem Moulin zdo³a³ umkn¹æ. Wróci³ do domu, w którym odby³o się spotkanie - tam go opatrzone. O północy ruszy³ do siebie, ale ca³y drża³ z wyczerpania. Marzy³, aby gdzieś w kredensie znalaz³o się choć kilka kropeł koniaku. Kiedy usiad³, patrzy¹c na prowizoryczny opatrunek na nodze, uświadomi³ sobie, że ma poważny k³opot. Nie mógł nazajutrz przykuętykać do biura. By³o zbyt ciep³o, aby ktokolwiek uwierzy³, że znowu dokucza mu reumatyzm. Zacz¹³ więc ćwiczyć chodzenie bez utykania. Przy każdym kroku jego twarz wykrzywia³ grymas bólu. Nie udawa³o mu się pokonać oporu ciała. Ęwicz³ i ćwiczy³, aż twarz sp³ynę³a mu potem. Ale w końcu zwycięży³. Z okropnym jękiem wcz³ga³ się póŹniej na ³ółko, lecz by³ zbyt wyczerpany, aby zasn¹æ. Zapali³ więc lampkę i wyj¹³ notes.

Nie pisa³ do Liane od ponad tygodnia, a dzieć potrzebowa³ żony. Nagle boleśnie zatęskni³ za jej czu³ości¹, za jej ciep³em, i pisz¹c teraz, uczyni³ to, czego nie robi³ nigdy dot¹d: otworzy³ serce i wyla³ przed Liane ca³¹ sw¹ rozpacz nad Francją, otwarcie przedstawia¹c tragizm sytuacji. Pod koniec listu zaczął poinformowa³ ją, że jest ranny. "To nic poważnego, moja maleńka. Niewielka cena za udział³ w tej okropnej wojnie. Inni doświadczyli większych cierpień niż ja. Nie daje mi spokoju myś¹, iż daję z siebie tak niewiele. Nawet ta niewielka rana to drobiazg..."

Podzieli³ się z Liane sugestią Moulina, że powinien udać się do Londynu, dodaj¹c, że prawdopodobnie nied³ugo się tam wybierze, aczkolwiek wnet wróci do Francji z nowymi dokumentami. "Moulin wspomnia³ dzisiaj o przerwaniu mnie w góry. Może wtedy naprawdę mógł³bym wzi¹æ udział³ w walce. Dokonuj¹ tam niesamowitych rzeczy, daj¹ Niemcom w kość na każdym kroku... By³aby to cudowna odmiana po przesiadywaniu w wilgotnych ścianach mojego gabinetu."

Posk³ada³ list w kilkoro i umieści³ pod wk³adk¹ w bucie, na wypadek gdyby coś mia³o mu się przytrafić w nocy, nazajutrz zaczął podrzuci³ go do donicy przy rue du Bac. By³ to punkt kontaktowy, z którego korzysta³ wielokrotnie, chociaż wola³ osobiście wręczać listy Moulinowi. Wiedzia³ jednak, iż listy pozostawiane tutaj także docierają¹ do Liane. Ten również trafi³ do adresatki.

Czytaj¹c go dwa tygodnie póŹniej Liane miała oczy pełne łez. Wiedzia³a, że Armand jest kompletnie zaniepokojony, a przeczytawszy o zranieniu, poczu³a zawrót głowy. Skoro Niemcy byli już tak blisko niego, a Moulin zaczął da³ ucieczki do Londynu, to znaczy, że mog³o być za późno. A on tego nie dostrzega³. Liane poczu³a, jak rozpacz ścisła jej gard³o. Chętnie by potrzeb³ Armandem, żeby się ockn¹³, żeby zobaczy³ to, czego nie zauważa.

Czy jest aż tak ciężko, aby obraz czy pos'g by³ dlañ wa¿niejszy ani¿eli ona, Marie-Ange i Elisabeth? Siedzia³a zap³akana przez pó³ godziny, potem - po raz pierwszy od bardzo dawna - posz³a do koœcio³a. A kiedy pogr¹y³a siê w modlitwie, poje³a, co jest przyczyn¹ takiego obrotu rzeczy: ona i Nick. Postawi³a na g³owie swój ca³y œwiat wartoci. Odwróci³a siê plecami do mê¿a, a on to wyczu³. Wszystko by³o teraz dla niej oczywiste.

Po powrocie do domu d³ugo patrzy³a na Golden Gate. Pisywa³a do Nicka codziennie, do Armanda zaœ zaledwie raz albo dwa w tygodniu. Musia³ wyczuæ pog³êbiaj¹c¹ siê miêdzy nimi przepacæ. Teraz ju¿ wiedzia³a, co musi zrobiæ. W³aciwie wiedzia³a ca³y czas, tylko nie chcia³a tego uczyniæ.

Potrzebowa³a wielu godzin, by zapisaæ jedn¹ stronê. D³ugo siedzia³a wpatrzona w kartkê papieru i wydawa³o siê jej, ¿e nigdy tego nie zrobi. To by³o du¿o bardziej bolesne ni¿ rozstanie z Nickiem na nowojorskim dworcu czy w pokoju hotelowym w San Diego. By³o to boleœniejsze ni¿ cokolwiek na œwiecie. Czu³a siê tak, jakby odcina³a sobie prawe ramiê. Ale jak powiada Biblia, "jeœli twoje oko jest dla ciebie powodem grzechu, wy³up je i odrzuæ od siebie". To w³acenie robi³a Liane. Oznajmi³a Nickowi, i¿ zdaje sobie sprawê, ¿e to, co czynili, by³o wystêpne, i ¿e to ona pozwoli³a mu wierzyæ w jak¹œ wspóln¹ przysz³oœæ, podczas gdy ¿adnej nadziei w istocie nie by³o. Armand bardzo jej teraz potrzebowa³, potrzebowa³ jej pe³nego wsparcia, pe³nej uwagi, pe³nej wiary. Potrzebowa³ wszystkiego, co mog³aby mu daæ, aby zaœ wywi¹zaæ siê dobrze ze swoich zobowi¹zañ, nie mo¿e go ju¿ d³u¿ej zdradzaæ. Napisa³a Nickowi, i¿ kocha go ca³¹ dusz¹, lecz jest to mi³oœæ, do której ¿adne z nich nie ma prawa. Serdecznie ¿yczy³a mu wszystkiego dobrego, obiecywa³a, ¿e bêdzie siê za niego modliæ ka¿dego dnia wojny, ale nie mo¿e ju¿ do niego pisaæ. Napisa³a równie¿, i¿ jeœli cokolwiek siê stanie, dotrzyma z³o¿onej obietnicy i bêdzie utrzymywaæ kontakty z Johnnym. "Ale do tego nie dojdzie, kochany. Wiem, ¿e wrócisz do kraju, a jedyne, czego pragnê..." Nie potrafi³a dokoñczyæ zdania. "Wiesz, czego bym pragnê³a. Ale nasze marzenia nie by³y wziête na kredyt, one zosta³y skradzione. Muszê teraz wróciæ do tego, do którego nale¿ê sercem, dusz¹ i umys³em - do mojego mê¿a. I pamiêtaj zawsze, najdro¿szy, jak bardzo ciê kocha³am. Niech Bóg ciê prowadzi i ma ciê w swojej opiece."

Ze œciœnietym gard³em podpisa³a list i posz³a go wys³aæ. Bardzo d³ugo sta³a przed skrzynk¹ pocztow¹. Jej d³oñ dr¿a³a, serce pêka³o na tysi¹c kawa³ków, lecz wreszcie otworzy³a gwa³townie skrzynkê i wrzuci³a do niej list. Wiedzia³a, ¿e trafi do Nicka.

Rozdzia³ piêædziesi¹ty

Nazajutrz po wydarzeniu w Neuilly Armand wkroczy³ do biura z poblad³¹ twarz¹ i spoconymi d³oñmi. Nie utyka³. Podeszed³ do biurka i zasiad³ za nim tak jak zwykle. Wkrótce pojawi³ siê Marchand z kolejnym plikiem raportów do przeczytania, formularzy do wype³nienia i najrozmaitszych notatek od urzêduj¹cych w Pary¿u genera³ów niemieckich.

- Czy ma pan dla mnie jakieœ polecenia?

- Nie, dziêkujê, Marchand. - Armand twarz mia³ œci¹gniêt¹, lecz jego g³os brzmia³ normalnie.

Przez ca³y nastêpny tydzieñ z szalonym zapa³em wykonywa³ zwyk³e zajêcia. Bezcenny Renoir znikn¹³ z piwnic budynku. Rodina wywieziono. Tydówka i jej

dziecko zostali ukryci w piwnicy gospodarstwa rolnego w pobliżu Lyonu, poza tym Armand zdołał przy okazji sfinalizować mnóstwo innych spraw. Wiedziało, że czasu ma bardzo niewiele. W ranę wdała się infekcja i stan nogi pogarsza się z dnia na dzień, on zaś nie miał jej czym leczyć. Każdego dnia, mobilizując całą siłę woli, szedł tak, jakby był najzupełniej zdrowy. Wysysał to zeń więcej niż wszystkie inne działania, tak że w efekcie wyglądał na czowieka wycieńczonego.

Pracując z chorobliwej gorliwości, zostawał w biurze długo po godzinie zaciemnienia. I tak bardzo pragnął zakończyć wszystkie sprawy, że z dnia na dzień odkładał spalenie notatek. Trudno było teraz zresztą znaleźć pretekst do rozpalania w kominku. Często z ucieniem i zacierając dłoń powtarzał Marchandowi, iż jego stare kości potrzebują ciepła. Marchand w takich chwilach wzruszał tylko ramionami i wracał do swojego biurka.

W końcu do spotkania z Moulinem pozostały zaledwie cztery dni. Armand zdawał sobie sprawę, że musi się spieszyć. Pewnego wieczoru wyszedł z biura po dziesiątej, a kiedy dotarł do domu, odniósł wrażenie, że ktoś w nim buszował. Nie pamiętał, żeby krzesło aż tak odsunął od biurka. Był jednak zbyt zmęczony, aby się tym przejmować, tym bardziej że rana w nodze pulsowała straszliwym bólem. W Londynie będzie musiał poradzić się lekarza. Rozejrzał się po mieszkaniu, wyrzucił na Place du Palais-Bourbon, a kiedy gasił światło, czuł żal, że wkrótce opuści Paryż. Tyle że już nie raz stąd wyjeżdżał i zawsze wracał. Gdy wróci następnym razem, Paryż będzie wolny.

Bonsoir, ma belle - ucieniem się do swego miasta i idąc do ójka pomyślał o żonie. Jutro napisze do Liane... a może pojutrze?... Teraz nie miał czasu. Noga bolała go jednak tak bardzo, że obudził się przed świtem i zmęczony się daremnymi próbami ponownego zaciemnienia, postanowił wstać, usiąść przy biurku i napisać list do żony. Przysuwając białą kartę papieru, poczuł dreszcz gorączki, do którego ostatnio już przywykł.

"Niewiele mam do dodania po tym, co napisałem w poprzednim liście. Moje życie, kochanie, było wypięzione gorączką prac..." Nagle coś sobie ucwiadomił i ucieniem się nieweso. "Obawiam się, że stałem się młodem zupełnie nie do przyjęcia. Dwa tygodnie temu zapomniałem o trzynastej rocznicy naszego ślubu. Może jednak, biorąc pod uwagę szczególne okoliczności, zdołasz mi to wybaczyć. Niech zatem czternasty rok naszego małżeństwa będzie spokojny i bezproblemowy. I obyśmy rychło byli znowu razem..."

A potem zaczął pisać o sobie.

"Obawiam się, że z moją nogą nie jest najlepiej. Pracuję teraz, że napisałem Ci o niej, bo zapewne będziesz się niepokoić. To chyba drobiazg, ale nadwerżę ją każdego dnia, co wcale mi nie pomaga. Chyba jestem starcem. Starcem, który nadal kocha swój ojczyznę... do samej śmierci, na dobre i na złe... bez względu na to, jak wysoką cenę trzeba za to zapłacić. Chętnie oddałbym nogę, nawet serce za ten kraj, który kocham tak bardzo. Teraz, zbezczeszczonego przez Niemców, leży przygwożdżony do ziemi, ale niebawem znów będzie wolny i odzyska zdrowie. Wtedy znów znajdziesz się przy moim boku, Liane, i znów będziemy szczęśliwi. A tymczasem rad jestem, że żyjesz pod opieką wuja. Tak jest dużo lepiej dla Ciebie i naszych córeczek. Nie żałuję, że odeszłem Ci wtedy do Stanów. Nigdy się nie dowiesz, jakie uczucia mną miotały, kiedy patrzyłem na Francję duszoną w niemieckich rękach... Francję, która czuła na szyi śmiertelny ucisk, widziała na ustach oprawców obrzydliwy ucień. Jestem rozpaczony perspektywą rychłego wyjazdu z Moulinem, a jedyne, co mnie pociesza, to

œwiadomoœæ, ¿e niebawem wrócê, by zacz¹æ jeszcze ciê¿sz¹ walkê..."

Nawet przez myœl mu nie przesz³o, ¿e móg³by zostaæ w Anglii albo wróciæ do Liane. Myœla³ tylko o Francji, nawet kiedy podpisywa³ list.

"Nie zapomnij uœciskaçæ ode mnie dziewczynk. Ciebie tak¿e mocno œciskam, najdro¿sza. Bardzo, bardzo Ciê kocham... niemal tak mocno jak Francjê, mo¿e nawet bardziej, ale odsuwam od siebie w tej chwili tê myœl, w przeciwnym razie, zapominaj¹c o swojej staroœci, ruszy³bym biegiem do Ciebie. Niech Bóg ma w opiece Ciebie, Marie-Ange i Elisabeth. Przekaç wyrazy szacunku i wdziêcznoœci swojemu wujowi. Twój kochaj¹cy m¹¿, Armand."

Jak zwykle podpisa³ list zawijasem, a w drodze do biura zostawi³ go w sta³ym punkcie kontaktowym. Przez chwilê wa¿y³ myœl, czyby nie zabraæ go, skoro i tak ma jechaæ z Moulinem, ostatecznie jednak zdecydowa³ siê na tradycyjn¹ drogê. Zdawa³ sobie sprawê, jak niecierpliwie oczekuje Liane jego listów, jak niepokoj¹ j¹ d³u¿sze okresy milczenia. Wyczuwa³ to w pytaniach, które mu zadawa³a, a które umyka³y uwadze cenzorów. Zerkn¹wszy na kalendarz, zawieszony nad biurkiem naprzeciwko portretów Petaina i Hitlera, uœwiadomi³ sobie, i¿ od spotkania z Moulinem dziel¹ go zaledwie trzy dni. Zastanawia³ siê, co robiæ w nastêpnej kolejnoœci, kiedy do jego gabinetu wkroczy³ promienny Andre Marchand. Nie uœmiecha³ siê za to ¿aden z dwóch niemieckich oficerów dotrzymuj¹cych mu towarzystwa.

- Monsieur de Villiers?

- Tak, Marchand? - Nie przypomina³ sobie, ¿eby na ten ranek mia³ umówione z Niemcami spotkanie. Zwykle zreszt¹ wzywali go bez uprzedzenia. Teraz popatrzy³ wyczekuj¹co na przyby³ych. - Czy mam siê gdzieœ stawiaæ?

- W rzeczy samej, proszê pana. - Uœmiech Marchanda by³ coraz szerszy. - Panowie z dowództwa pragn¹ siê natychmiast z panem zobaczyæ.

- Doskonale.

Wsta³ i wzi¹³ kapelus. Nawet w tych czasach nosi³ zawsze garnitur w pr¹¿ki, kamizelkê i kapelus. Ten nawyk pozosta³ mu z czasów s³u¿by dyplomatycznej. Wraz z oficerami zszed³ na dó³ i wsiad³ do samochodu, który po niego wys³ano. Zawsze podró¿owa³ z klas¹, choæ nie przywi¹zywa³ do tego wiêkszej wagi. Wci¹¿ przewraca³y siê w nim wnêtrznocci, kiedy uœwiadamia³ sobie, ¿e na widok jego samochodu ludzie szepcz¹ jedno tylko s³owo: "Zdrajca".

Tego dnia wszak¿e nie wprowadzono Armanda do tego gabinetu co zwykle, lecz do biur dowództwa wojskowego. Zastanowi³ siê, co te¿ nowego wymyœlili Niemcy, ¿eby mu zatruæ ¿ycie. Co tam, uœmiechn¹³ siê w duchu. I tak nie zd¹¿y tego zrealizowaæ. Za trzy dni wyje¿d¿a.

- De Villiers?

Jak zwykle niemiecki akcent zazgrzyta³ niemi³¹ nut¹ w uszach Armanda, który koncentrowa³ siê przede wszystkim na tym, aby wejœæ do biura nie utykaj¹c. Tote¿ w ¿aden sposób nie by³ przygotowany na to, co nast¹pi³o póŹniej. Oczekiwa³o go trzech oficerów SS. Zosta³ zdemaskowany. Na stole le¿a³ plik obci¹¿aj¹cych dokumentów, w tym na po³y spopielone arkusiki papieru, które spali³ poprzedniego dnia. Spojrzawszy w oczy najwy¿szego rang¹ oficera, Armand wszystko zrozumia³. Zdradzi³ go Andre Marchand. Mimo to próbowa³ walczyæ.

- Nie rozumiem... - zacz¹³. - To nie s¹...

- Milczeæ! - rykn¹³ oficer. - Milczeæ! Ja mówiê, a ty s³uchasz. Jesteœ francuska œwinia, taka sama jak wszystkie inne!... I jak bêdziemy dzisiaj z tob¹ koñczyæ, bêdziesz kwicza³ tak samo jak one!

Nie domagali siê od niego ¿adnych informacji, niczego nie chcieli.

Pragnęli tylko powiedzieć mu, co wie¹, aby dowie^ć tym samym wy^łszo^ćeci intelektualnej Niemców nad Francuzami. Kiedy oficer sko^ńczy³ swoj¹ wyliczankę - szczę^ćeliwie mocno niekompletn¹ - Armand zosta³ wyprowadzony z pokoju. Dopiero wtedy po plecach przebieg³ mu dreszcz. Dopiero wtedy zacz¹³ pow³óczy^ć nog¹, dopiero wtedy pomy^ćła³ o Liane, o Moulinie, i dopiero wtedy poczu³ wszechogarniaj¹c¹ rozpacz. Przedtem krew nie p³ynę³a w jego ^ły³ach zbyt szybko, teraz jednak przyspieszy³a bieg, w g³owie mu zawirowa³o. Armand powtarza³ sobie raz za razem, ^łe warto by³o odda^ć ^łycie za ojczyznę... pour la France... Te s³owa powtarza³ sobie w nieskończono^ć, gdy przywi¹zywano go do s³upa na dziedzińcu komendy g³ównej policji. Tu^ł przed ^ćmierci¹ wyrzek³ tylko jedno s³owo:

"Liane!" Kiedy osun¹³ się w więzach na ziemię, echo powtórzy³o okrzyk cz³owieka, który zgin¹³ za ojczyznę.

Rozdzia³ pię^ćdziesi¹ty pierwszy

W dniu 28 czerwca 1942 roku FBI pochwy³o na Long Island ^ćemiu niemieckich szpiegów. Zostali wysadzeni na brzeg przez niemieckie U-Booty, które swoj¹ obecno^ćci¹ przypomina³y wszystkim, jak bardzo faszy^ćeci zbli^łyli się do wschodnich wybrze^ły Stanów. Od pocz¹tku roku 1942 Niemcy zatopili na Atlantyku sze^ćæset osiemdziesi¹t jeden statków, trac¹c bardzo niewiele w³asnych jednostek.

- W³acenie dlatego internowalio^ćemy Japończyków, moja droga - z przygan¹ w g³osie przypomni³ wuj George podczas ^ćniadania. Przed paroma dniami Liane ^ćowiadczy³a, i^ł uwa^ła ten postępek za okrutny i niepotrzebny. W jednym z obozów internowano nawet ich ogrodnika wraz z rodzin¹. Obchodzono się tam z nimi w sposób bliski okrucieństwa: mieli ograniczone racje ^ływno^ćciowe, niemal ^ładnych ^ćerodków medycznych i mieszkali w warunkach, które trudno by³o uzna^ć na humanitarne.

- Guzik mnie to obchodzi - ^ćowiadczy³ wuj. - Gdyby^ćemy tego nie zrobili, Japończycy tak samo jak Niemcy podrzucaliby nam agentów, którzy by próbowali się wtopia^ć się w t³um zupe³nie jak tych ^ćemiu szkopów.

- Nie zgadzam się z tob¹, wujku.

- Jak mo^łesz mi to mówia^ć prosto w oczy, skoro Nick walczy gdzie^ć tam z Japończykami?

- Mogę. Ci ludzie w obozach to Amerykanie.

- Nikt nie ma pewno^ćci, czy s¹ lojalni, a nie mo^łemy pozwo^łia^ć sobie na ryzyko. - Ten problem ju^ł wielokrotnie ich poró^łni³, tote^ł George przezornie postanowi³ zmienia^ć temat. - Pracujesz dzisiaj w szpitalu?

Liane by³a ju^ł m³ods¹ pielęgniark¹, co liczbę jej dy^łurów zwiększy³o z dotychczasowych trzech do pięciu tygodniowo.

- Tak.

- Zaharowujesz się, kobieto - rzek³ i jego wzrok z³agodnia³.

Odk¹d listownie zerwa³a z Nickiem, Liane po^ćwięca³a pracy ka^łd¹ woln¹ chwilę. Teraz równie^ł, jak w pierwszym okresie po "Deauville", nawiedza³y j¹ my^ćli o Nicku, którym towarzyszy³ strach, ^łe przez to, i^ł go porzuci³a, stanie się zuchwa³y i nie bę^łdzie zwa^ła³ na swoje bezpiecze^ństwo. Mia³a tylko nadzieję, i^ł mi³o^ćæ do syna zmusi go do wzglę^łdnej ostro^łno^ćci. Liane bowiem nie mia³a wyboru. Jej powinno^ćci¹ by³o sta^ć przy mę^łu. Na jakie^ć czas pozwo^łia³ sobie o tym zapomnie^ć, ale ów okres nieodwracalnie min¹³.

- Co robisz dzisiaj, wujku? - łagodnie, jak tysi'c razy w ci'gu kaźdego dnia, usunê³a Nicka ze swoich myœli. Musia³a teraz nieustannie Ÿyæ z poczuciem winy, a tak¿e z lêkiem, ¿e byæ mo¿e Armand ma jak'œ mglist¹ œwiadomoœæ tego, czego siê dopuœci³a jego ¿ona, i ¿e czuje siê skrzywdzony. Nale¿a³o to teraz nadrobiæ, pisa³a wiêc do niego codziennie, chocia¿ wiedzia³a, ¿e z ocenzonego listów otrzyma tylko fragmenty.

- Jem z Lawsonem lunch w klubie. - Twarz George'a spochmurnia³a, kiedy podj¹³ ochryple: - Jego ch³opak, Lyman, zgin¹³ w bitwie o Midway.

Liane podnios³a wzrok. Lyman Lawson by³ owym prawnikiem, z którym próbowa³ j¹ swataæ wuj tu¿ po jej przyjeŸdzie do San Francisco.

- Przykro mi.

- Mnie tak¿e. Lou ciê¿ko to prze¿ywa. Lyman by³ jedynakiem.

To znów przypomni³a Liane Nicka. On te¿ walczy³ o Midway. Nie mog³a jednak pozwoliæ sobie na takie myœli, bo rych³o popad³aby w ob³êd. Nick na Pacyfiku toczy³ wojnê z Japoñczykami, Armand w Pary¿u z Niemcami - jej serce by³o rozerwane pomiêdzy dwiema czêœciami œwiata.

- Muszê iœæ do pracy.

Jedynie w szpitalu mog³a uciec przed swymi myœlami, chocia¿ i tam - a mo¿e tam szczególnie - wojna by³a nieustannie obecna. Co dzieñ transportowce przywozi³y rannych ch³opców, a ka¿dy z nich mia³ do opowiedzenia na temat wojny na Pacyfiku w³asn¹ wstrz¹saj¹c¹ historiê. Im przynajmniej jednak mog³a pomóc. Mog³a ³agodziaæ ból, przyk³adaæ kompresy, karmiaæ, dotykaæ, tuliæ.

- Nie pracuj zbyt ciê¿ko, Liane.

Kiedy wysz³a z domu, George pomyœla³ z bólem, ¿e Liane nie jest podobna do innych m³odych kobiet. Wiêkszoœæ z nich spêdza³a czas na urz¹dzaniu przyjêæ dla oficerów. Liane natomiast musia³a opróczniaæ kaczk¹, myæ pod³ogi i patrzeæ na mê¿czyzn, którzy wywo¿eni z sali operacyjnej, rzygaj¹ jak koty. Ale jak zawsze odczu³ te¿ dla niej wielki podziw za to wszystko.

Dwa tygodnie póŸniej po powrocie do domu zasta³a list od Armanda, który znowu uskar¿a³ siê na ból w nodze. Pisa³ te¿ o wyjeŸdzie do Londynu z Moulinem - teraz Liane nie mia³a ju¿ w¹tpliwœci, ¿e sytuacja staje siê niebezpieczna. Na chwilê wszak¿e poczu³a siê lepiej. Gdyby siê wydosta³... Ale nadzieja umar³a po przeczytaniu nastêpnych s³ów. "Jestem zrozpaczony perspektyw¹ rych³ego wyjazdu z Moulinem, a jedyne, co mnie pociesza, to œwiadomoœæ, ¿e niebawem wrócê, aby podj¹æ jeszcze ciê¿sz¹ walkê..."

A¿ siê Ÿachnê³a, ¿e tylko o tym Armand potrafi teraz myœleæ. Mia³ piêædziesi¹t dziewiêæ lat! Dlaczego nie pozwala³ innym toczyæ tej wojny, dlaczego nie wraca³ do niej? Dlaczego?... "Do samej œmierci, na dobre i na z³e" - przeczyta³a. Francja by³a ca³ym jego Ÿyciem. Chocia¿ niegdyœ to wszystko wygl¹da³o inaczej. Zupe³nie inaczej. I kiedy teraz siedzia³a, wpatruj¹c siê w list, uœwiadomi³a sobie, ¿e w ich zwi¹zku wszystko siê zmieni³o, odk¹d zeszli na l¹d z pok³adu "Normandie". Pamiêta³a pe³ne udrêki miesi¹ce przed wybuchem wojny, gdy zapracowywa³ siê na œmieræ. Pamiêta³a napiêcie w okresie pomiêdzy wrzêciem roku 1939 a upadkiem Pary¿a, gdy nie mia³a pojêcia, czym jej m¹¿ siê naprawdê zajmuje. A potem ona i córki wyjecha³y z Francji, pozostawiaj¹c Armanda. Nie mog³a znieœæ tego wszystkiego. By³a œmiertelnie znu¿ona. Przez ca³y dzieñ pielêgnowa³a ch³opaka, który straci³ obie rêce podczas bitwy na Morzu Koralowym. By³ z Nickiem na "Lexingtonie", lecz jako szeregowy ¿o³nierz, nie mia³ wiêc mo¿liwoœci go poznaæ.

Kiedy Liane zeszła tego wieczoru na kolację, George przyjrza się jej i stwierdzi, że wygląda na wyjątkowo zmęczoną. Taka blada i wyczerpana chodziła już od tygodni, domyśla się, zatem, że stara się przed nim coś ukryć.

- Czy miałaś wieści od Nicka? - Do niedawna informowałam go o każdym liście, ostatnio jednak tego zaniechałam. Pokręciła głowę. - Rano dostałam list od Armanda. Jest zmęczony i dokucza mu noga. - Zaprawdę powiedziała wujowi o Armandzie całą prawdę, lecz przemogła się i postanowiła poczekać, aż jej mąż znajdzie się w Anglii.

- A co tam z Nickiem? - nie dawała za wygraną.

Liane popatrzyła nań poważnym wzrokiem.

- Moim mężem jest Armand, a nie Nick.

Tego wieczoru George również był zmęczony, odpowiedział zatem bez namysłu - Ale nie pamiętałaś o tym przez całą wiosnę, prawda?

Od razu położyła tych słów, zwłaszcza gdy ujrzała wyraz twarzy Liane.

- Powinnaś być pamiętająca - odparła ledwie słyszalnym szeptem.

- Liane, wybacz, nie chciałem...

Spojrzała na wujka pustym wzrokiem.

- Masz zupełną słusność. Popełniłam straszny błąd. Byłam nieuczciwa wobec nich obojgu... - Westchnęła. - Napisałam do Nicka kilka tygodni temu. Nie będziemy już ze sobą korespondować.

- Ale dlaczego? Ten biedak... - Wiecieś poraziła go całkowicie.

- Dlatego, że nie mam prawa, wuju. Jestem mężatką.

- Ale przecież on o tym wiedział.

Skinęła głowę. - Chyba tylko ja jedna całkowicie o tym zapomniałam. Najlepiej jak mogłam naprawiam teraz swój błąd.

- Ale co z nim? Czy zdajesz sobie sprawę, co mu robisz? Co robisz człowiekowi, który walczy w tej chwili na wojnie?

Jej oczy wpełniły się łzami. - Nic nie mogę na to poradzić. Mam obowiązki wobec męża.

Miała ochotę walnąć pięścią w stół, ale się nie ośmieliła. Twarz Liane wyrażała bezgraniczną rozpacz.

- Liane... - zaczęła i urwała. Nic nie mogła powiedzieć. A zdawała sobie sprawę, że bratanica jest równie uparta jak on.

Liane wstała od stołu i poszła do pracy. Z dnia na dzień pracowała coraz dłużej i ciężiej. Minął tydzień od ostatniego listu Armanda, gdy po powrocie do domu zastała skreślony nieznany charakterem pisma list z Londynu. Nie miała pojęcia, od kogo może pochodzić. Otwierała kopertę, wchodziła powoli po schodach. Bolało ją całe ciało. Kolejny dzień spędziła z okaleczonym chłopcem. Wciąż trawiła go wysoka gorączka i nie wiadomo było, czy przeżyje.

Przystanęła, wpatrując się w czytane słowa. "Chère Madame..." Początek brzmiał całkiem zwyczajnie, dalej natomiast treść była zupełnie nieprawdopodobna. "Z całym informujemy, iż mój Pani zginęła wczoraj po pożądaniu, do ostatka służąc ojczyźnie. Zginęła jak bohater, ocaliwszy setki ludzkich istnień i wiele skarbów kultury francuskiej. Jego nazwisko na zawsze zostanie wyryte w naszych sercach i przejdzie do historii Francji, Pani dzieci zaczęły być dumne z ojca. Dzielimy z Pani rozpacz z powodu tej straty. Jest to także nasza strata. Najwięcej jednak straciła nasza ojczyzna."

List był sygnowany nazwiskiem Moulin. Liane powoli osunęła się na podłogę u szczytu schodów. Czytała list raz za razem, lecz sowa była wciąż te

same. "Chere Madame... Z łalem informujemy... Z łalem informujemy..." List k³ama³. To nie Francja najwiêcej straci³a! Liane zgmiot³a arkusik w kulkê, cisnê³a go na koniec holu i zaczê³a waliaê piêœciami w pod³ogê. Armand zgin¹³... Zgin¹³!... By³ g³upcem, pozostaj¹c we Francji, łeby walczyæ z Niemcami... łeby...

Nie s³ysza³a g³osu wuja, wo³aj¹cego jej imiê. Nic nie s³ysza³a, kiedy le¹c na pod³odze zanosi³a siê p³aczem. Armand zgin¹³. I Nick te¹ zginie. Wszyscy zgin¹. I za co? Za kogo?...

Nie widz¹cymi oczyma popatrzy³a na wuja i wykrzyknê³a:

- Nienawidzê ich!... Nienawidzê!... Nienawidzê!!!

Rozdzia³ piêædziesi¹ty drugi

Tego wieczoru powiedzia³a o wszystkim córkom. Rozp³aka³y siê, us³yszawszy nowinê, a potem we trzy rozmawia³y bardzo d³ugo. Liane opanowa³a siê ju¹, ale by³a œmiertelnie blada. Jak¹ł ulgê teraz czu³a, mog¹c wyjawiaê córkom prawdê. Dziewczêta by³y oszo³omione dowiedziawszy siê, łe ich ojciec, na pozór zdrajca, dzia³a³ we francuskim Ruchu Oporu.

- Musia³ byæ bardzo dzielny - rzek³a ze smutkiem Elisabeth.

- By³ dzielny.

- Dlaczego nie powiedzia³acê nam wczecniej? - zapyta³a Marie-Ange.

- Poniewa¹ by³oby to dla niego niebezpieczne.

- A czy ktokolwiek o tym wiedzia³?

- Tylko ludzie, dla których pracowa³ w Ruchu Oporu.

Marie-Ange kiwnê³a g³ow¹ ze zrozumieniem. - Czy wrócimy jeszcze do Francji?

- Mo¹e kiedyœ... - Sama nie wiedzia³a, co odpowiedzieæ na to pytanie. Nie mia³y ju¹ domu, miejsca, do którego mog³yby wróciæ po wojnie, miejsca, gdzie ktokolwiek by na nie czeka³. A ona nie mia³a mê¹ła.

Nie bardzo mi siê to wszystko podoba - wyzna³a Elisabeth.

- To by³y ciê¹kie czasy, szczególnie dla tatusia.

Dziewczynki zgodnie skinê³y g³owami i Liane wreszcie po³o¹zy³a je spaæ.

Ta noc dla ka¹dej z nich by³a ciê¹ka. Liane wiedzia³a, łe nie zaœnie, i nawet nie chcia³a siê k³acæ. Z trudem potrafi³a oswoiaê siê z myœl¹, i¹ Armand nie ły³ od trzech tygodni, a ona nie mia³a o tym pojêcia. Ostatni list czyta³a ju¹ po jego œmierci... A mówi³ w nim tylko o swojej mi³oœci do Francji... Do nich te¹, ale do Francji przede wszystkim. Byæ mo¹e z jego punktu widzenia warto by³o tak post¹piæ. Liane jednak, wchodz¹c do biblioteki, odczuwa³a osobliw¹ mieszaninê gniewu i rozpaczy.

Wuj George jeszcze nie spa³.

- Napijesz siê czegoœ?

- Nie, dziêkujê. - Usiad³a, opad³a na oparcie i zamknê³a oczy. - Wybacz, Liane - rzek³ George g³osem pe³nym tkliwoœci. Czu³ siê bezradny. Równie bezradny jak Liane opiekuj¹ca siê ch³opcem, który straci³ rêce. - Czy móg³by¹m coœ dla ciebie zrobiaê?

Powoli otworzy³a oczy. Czu³a siê odrêtwia³a. - Chyba nie. Wszystko skoñczone. Musimy po prostu nauczyæ siê z tym łyæ.

George skin¹³ g³ow¹ i mimo woli pomyœla³ o Nicku, zastanawiaj¹c siê, czy teraz Liane zacznie do niego pisaæ.

- Jak to siê sta³o? - Dot¹d nie mia³ odwagi zadaæ tego pytania, teraz

jednak Liane sprawia³a wrażenie spokojniejszej.

Popatrzy³a mu prosto w oczy. - Rozstrzelali go Niemcy.

- Ale dlaczego? - Nie ośmieli³ się dodać: "Przecież by³ jednym z nich".

- Ponieważ, wujku, Armand pracowa³ dla Ruchu Oporu.

Otworzy³ szeroko oczy. - Co robi³?

- Udawa³, że pracuje dla Petaina jako ³cznik z Niemcami, a w rzeczywistości ca³y czas przekazywa³ informacje Ruchowi Oporu. By³ agentem Resistance na najwyższym stanowisku we Francji. Dlatego w³acenie go rozstrzelano. - W jej g³osie nie by³o dumy, jedynie smutek.

- Och, Liane... - George natychmiast wspomnia³ wszystkie przykre s³owa, jakie wypowiedzia³ na temat Armanda. - Dlaczego mi nie powiedzia³ac?

- Nie mog³am nikomu powiedzieć. Nawet ja d³ugo o tym nie mia³am pojęcia.

Armand wyjawi³ mi prawdę dopiero tuż przed naszym wyjazdem z Francji. -

Wsta³a, podesz³a do okna i przez d³uższ¹ chwilę wpatrywa³a się w most, potem odwróci³a się i spojrze³a na wuja.

- Niemcy rozstrzelali go trzy dni przed uciezk¹ do Anglii. - To wywnioskowa³a z listów Armanda i Moulina. Wuj podszed³ i przytuli³ j¹.

- Jest mi bardzo, bardzo przykro.

- Dlaczego? - Pos³a³a mu pytaj¹ce spojrzenie. - Ponieważ teraz wiesz, że sta³ po naszej stronie? Czy przej¹³być się tak bardzo, gdybyś nadal s¹dzi³, że pracowa³ dla Niemców? - Jej oczy by³y martwe i smutne.

- Nie wiem... - Potem coś mu przysze³o do g³owy. - Czy Nick wiedzia³?

- Tak.

Skin¹³ g³ow¹. - Co zamierzasz teraz, Liane? - Mia³ na myśli Nicka i Liane doskonale to poję³a.

- Nic.

- Ale przecie...
Pokręci³a g³ow¹.

- To nie by³oby wobec niego uczciwe, to żywy cz³owiek, nie zabawka. Kilka tygodni temu napisa³am mu, że między nami wszystko skończone, więc czy teraz, kiedy Armand nie żyje, możemy zatańczyć na jego grobie? By³ moim m¹em, wujku, m¹em!... I kocha³am go.

- Odwróci³a się. Jej ramiona zaczę³y dręć i George podszed³, jakby czuj¹c jej rozpacz we w³asnej duszy. Przytuli³a się do niego, szlochaj¹c rozpaczliwie. - Och, wujku... to ja go zabi³am... on wiedzia³... musia³ wiedzieć... o Nicku...

- Liane, przestań! - Chwyci³ j¹ za ramiona i mocno ni¹ potrz¹sn¹³. - Nie zabi³ac go, to absurd. Twój m¹ zrobi³ dla swojego kraju coś wspania³ego, ale to, co mówisz, to bzdury. Dokona³ wyboru już dawno temu. Zna³ zwi¹zane z tym wyborem ryzyko. Rozważy³ wszelkie niebezpieczeństwa i uzna³, że rzecz jest tego warta. To nie ma z tob¹ nic wspólnego. M¹czyzna podejmuje takie decyzje samodzielnie, nie zważaj¹c na innych ludzi, nawet na kobietę, któr¹ kocha.

Oczywiście w tej chwili myśle¹ o nim dużo lepiej niż dawniej, ale rzecz w tym, że bez względu na to, czy kochaliście się z Nickiem, czy nie, Armand post¹pi³ tak, jak uważa³ za s³uszne. Nie mog³ac go powstrzymać. Nie mog³ac sprawić, żeby zmieni³ zdanie. I nie ty go zabi³ac. - M¹droc¹ jego s³ów powoli dociera³a do Liane, która po chwili przesta³a p³akać.

- Naprawdę myślisz, że tak by³o?

- Nie myślę, wiem.

- Ale jeżeli podejrzewa³, jeżeli wyczu³ jak¹oś zmianę w tonie moich listów...

- On by nawet nie zauważył, gdybyce przestała całkiem pisać. Męczycyna, który podejmuje tak decyzję, Liane, czyni to całym sercem, umysłem i ciałem. Bardzo źle, że wpadła. Bo to tragedia dla ciebie, dla dziewczynek i dla jego kraju. Ale ty nie miałeś z tym nic wspólnego, tak samo zresztą jak Nick. Nie dręcz się, Liane, musisz się z tym pogodzić.

Wtedy opowiedziała wujowi o ostatnim liście męża, przyznając, że często zadawała sobie pytanie, czy ona w ogóle Armanda obchodzi, czy też jedynym obiektem jego uczuć była ojczyzna. Kiwał głową, George słuchoł do późnej nocy jej spowiedzi, później zaś, gdy Liane zasnęła na sofie, poszedł do swojego pokoju, przyniósł koc i okrył ją. Była wyczerpana do kresu możliwości.

Nazajutrz obudziła się, zaskoczona, że śpi w bibliotece. Pamiętała tylko, że rozmawiała z wujem do późna. Dotknęła koca i ucemiechnęła się wzruszona. Potem przed jej oczami stanął obraz Nicka i Armanda: kroczyli ramię w ramię, zatrzymali się, aby porozmawiać z jakimś nieznajomym mężczyzną... Przebiegła dreszcz. Wyczuła, że owym człowiekiem jest Moulin. Ale nie chciała już myśleć o Armandzie. Jego nigdy więcej nie zobaczy. Teraz pragnęła tylko jednego: aby Nick przeżył. Miała przed sobą całe życie, miała syna, do którego powinien wrócić. Podeszła do okna i spojrzała na zatokę.

- A co z nami? - wyszeptała do wspomnienia Armanda. - Co z naszymi córkami?

Nie uzyskawszy odpowiedzi na swoje pytania, poszła na górę obudzić dziewczynki.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

W lipcu, kiedy Liane otrzymała list od Moulina, Nick przebywał na wyspach Fidżi, z Task Force 61 przygotowując się do ataku na Guadalcanal. Japończycy zbudowali tam lotnisko bojowe i kontradmirał Fletcher organizował trzy grupy desantowe w celu jego zdobycia. "Enterprise", "Wasp" i "Saratoga", które miały być centrami grup uderzeniowych, gotowały się do boju. Kiedy "Lexington" zatonił podczas bitwy na Morzu Koralowym, Nick otrzymał tymczasowy przydział na "Yorktown", lecz po kilku tygodniach przeniesiono go na "Enterprise", gdzie miał uczestniczyć w koordynacji działań piechoty morskiej i oddziałów marynarki wojennej. Był jednym z niewielu wyższych oficerów piechoty morskiej, którzy nie byli zarazem pilotami. Po bitwie na Morzu Koralowym awansowano go do stopnia podporucznika.

W dniu 6 sierpnia 1942 roku "Enterprise" wszedł na akwen w pobliżu Wysp Salomona i nazajutrz marynarzy wylądowali na plażach; po kilku dniach lotnisko zostało zdobyte i przemianowane na lotnisko Hendersona. Bitwa wokół Guadalcanal toczyła się jednak dalej i Japończycy mocno trzymali resztę pozycji. Marynarzy w ciągu tych kilku tygodni ponieśli ciężkie straty, ale "Enterprise" dotrzymała pola, chociaż wyszedł nie bez szwanku. Nick był na pokładzie w najcięższych dla okrętu chwilach. W myślnych rozkazach miał być jednym z członków załogi, którzy odprowadzili we wrzeczniu okręt do bazy na Hawajach w celu naprawy uszkodzeń.

W duchu Nick przeklił się z powodu tego rozkazu. Pragnął wraz z wojskiem zostać na Guadalcanal, lecz jego obecność na uszkodzonym okręcie była niezbędna. Po przybyciu na Hawaje, zmuszony do bezsensownego wyczekiwania w

bazie Hickam, s³ucha³ wiadomości i a³ się gotowa³ z ch³ęci powrotu na front. Bitwa o Guadalcanal poci¹ga³a straszliwe ofiary, marinerzy masowo ginęli na plażach. Ale w gruncie rzeczy w ci¹gu pięciu miesięcy od wyjazdu z San Francisco Nick uczestniczy³ wy³cznie w działaniach bojowych: Morze Koralowe, Midway, a w końcu Guadalcanal. I ani chwili wytchnienia. Dzięki temu zreszt¹ mógł³ nie myśleć o Liane. Ostatecznie do wojska postanowi³ wst¹piąć w³acenie po to, aby zag³uszyć dręcz¹ce go myśli. Kiedy otrzyma³ list, w którym Liane z nim zrywa³a, dozna³ szoku. Najwyraźniej poczucie winy tak jej dopiek³o po jego wyjeździe, że podję³a tak¹ decyzję. Z dziesięć razy zaczyna³ odpowiadać na jej list, lecz wszystkie kartki l¹dowa³y w koszu. Liane raz jeszcze dokona³a wyboru. I raz jeszcze Nick mógł³ jedynie uszanować jej decyzję. Tylko że teraz wojna, w której uczestniczy³, pozwala³a mu zapomnieć o sprawach osobistych.

Mimo to każdej nocy, leż¹c na swojej koi, ca³ymi godzinami rozmyśla³ o dniach, które spędzili razem w San Francisco. Te bolesne już wspomnienia sta³y się znacznie dotkliwsze, gdy na Hawajach nie mia³ innego zajęcia prócz wysiadania na plażę i czekania, aż "Enterprise" będzie znów gotów do boju. Pisywa³ więc długie listy do syna i czu³ się równie bezużyteczny jak w San Francisco. Na Hawajach by³o wprawdzie piękne lato, ale walki na południowym Pacyfiku toczy³y się nadal, toteż Nick niecierpliwie wyczekiwa³ chwili, kiedy znów będzie mógł³ się w nie w³czyć. Dla zabicia czasu często chodzi³ do szpitala, gdzie łątowa³ z pielęgniarkami i rozmawia³ z pacjentami. W oczach pielęgniarek by³ weso³ym sympatycznym facetem, który nigdy nie próbowa³ się z łądn¹ umówić.

- Może nie lubi dziewcząt - załątowa³a kiedyś jedna i wszystkie wybuchnę³y śmiechem. Nick nie wygl¹da³ na takiego, co woli mę³czyzn.

- Może jest łąonaty - zasugerowa³a inna. Poprzedniego dnia długo rozmawia³a z Nickiem i odnios³a wrażenie, że jego myśli zajmuje kobieta, chociaż niewiele mówi³ na ten temat. Po prostu sposób, w jaki powiedzia³ "my", da³ jej do zrozumienia, że przed wyjazdem na front nie by³ cz³owiekiem samotnym i że w jego duszy jak cierni tkwi jakiś ból. Ból, którego nikt nie może z³agodzić.

Dla kobiet w bazie stanowi³ sta³y temat rozmów. By³ niezmiernie interesuj¹cy i osobliwie szczery w niektórych kwestiach. Wiele rozmawia³ o swoim synu, ch³opcę imieniem John, liczącym jedenaste lat. Wszyscy s³yszeli coś o Johnnym.

- Wiecie, kim on jest? - wyszept³a pewnego dnia jedna z pielęgniarek. - To znaczy w cywilu... - Pochodzi³a ze wzgórz Kentucky, ale obi³a jej się o uszy nazwa korporacji Burnham Steel. Z zas³yszanych od Nicka fragmentów z³oły³a sobie pewn¹ ca³ość, potem zapyta³a o to pewnego oficera, a ów potwierdzi³ jej domysły.

- On jest korporacj¹ Burnham Steel.

Inna pielęgniarka, nastawiona sceptycznie, wzruszy³a ramionami.

- No i co z tego? Mimo wszystko jest na tej wojnie jak my wszyscy, by³ cz³onkiem za³ogi zatopionego okrętu.

Dziewczyna z Kentucky kiwnę³a gł³ow¹. Mimo wszystko marzy³a o randce z Nickiem. Przy okazji każdego spotkania nie ukrywa³a swoich ch³ęci, lecz rozmawia³ z ni¹ tak samo jak z innymi dziewczętami.

- Chryste, do tego faceta nie można się dobrać - poskarży³a się pewnego dnia przyjaciółce.

- Może ktoś czeka na niego w kraju.

To przypuszczenie nie mog³o jednak pohamować pielęgniarskich zabiegów.

Tematem bardzo podobnych rozmów i rozważań by³a w szpitalu w Oakland Liane.

- Masz ch³opaka na wojnie? - zapyta³ j¹ pewnego dnia m³odzieniec z kiszka³ami pe³nymi od³amków szrapnela. Operowano go trzykrotnie, a wci¹¿ nie usunięto wszystkich kawa³ków.

- Mę¿a - odpar³a z uśmiechem.

- Tego na Morzu Koralowym? - Rozmawia³a z nim, kiedy przyje³to go do szpitala, i ch³opak szybko siê zorientowa³, ¿e Liane wie na temat bitwy mnóstwo rzeczy.

- Nie, by³ we Francji - odpar³a z dziwnym wyrazem twarzy.

- Co tam robi³? - Ch³opak wygl¹da³ na stropionego. Ta informacja nie pasowa³a do wszystkiego, co mówi³a dot¹d Liane.

- Walczy³ z Niemcami. By³ Francuzem.

- Och - westchn¹³ zaskoczony. - Gdzie jest teraz?

- Zabili go.

Nast¹pi³a d³uga chwila ciszy. Liane otula³a kocem nogi ch³opaka. Lubi³ j¹, by³a taka œliczna. - Przykro mi.

- Mnie równie¿ - odpowiedzia³a ze smutnym uśmiechem.

- Masz dzieci?

- Dwie córki.

- Takie ³adne jak ich mama?

- Du¿o ³adniejsze - odpar³a i przesz³a do następnego ³ózka.

Pracowa³a w salach szpitalnych, zawsze uśmiechnięta oprócznia³a kaczkę, ujmowa³a w tkliwym geœcie d³onie rannych, przytrzymywa³a g³owy wymiotuj¹cych. Ale rzadko mówi³a cokolwiek o sobie. Nie mia³a zreszt¹ nic do powiedzenia. Jej ¿ycie by³o skoñczone.

Dopiero we wrzeceniu wuj zaprosi³ j¹ w koñcu na kolacjê, uznaj¹c, ¿e czas ju¿ najwy¿szy, aby skoñczy³a z ¿a³ob¹. Pokrêci³a jednak g³ow¹.

- Chyba nie, wuju, jutro rano muszê byæ w pracy i... - Wcale nie zamierza³a uciekaæ siê do wymówek, po prostu nie chcia³a wychodziæ.

Pragnę³a swoje ¿ycie ograniczyæ do pracy, powrotów do domu, dziewczynek i snu.

- Dobrze by ci zrobi³a zmiana otoczenia. Nie mo¿esz tylko biegaæ do szpitala i z powrotem.

- Dlaczego nie?

- Poniewa¿ nie jesteœcie star¹ kobiet¹, Liane. Mo¿e wola³abyœ ni¹ byæ, ale to na szczêœcie zale¿y nie tylko od ciebie.

- Jestem wdow¹. A to dok³adnie to samo.

- Guzik prawda. - Liane zaczyna³a przypominaæ George'owi jego brata z czasów po œmierci Arabelli. Czyste szaleñstwo. Mia³a zaledwie trzydzieœci piêæ lat i nie mog³a siê pogrzebaæ wraz z mę¿em.

- Wiesz, jak wygl¹dasz? Jesteœ chuda jak szczapa, masz zapadnięte oczy, a ubranie wisi na tobie jak na ko³ku.

Rozœemia³a siê i pokrêci³a g³ow¹.

- Œliczny konterfekt.

- Zerknij w lustro od czasu do czasu.

- Za wszelk¹ cenê staram siê tego unikaæ.

- Zrozum, o co mi chodzi. Do diab³a, dziewczyno, przestañ machaæ t¹ czarn¹ flag¹. Ty ¿yjesz. Owszem, cholernie ¿al, ¿e Armand nie ¿yje, ale w czasie wojny wiele kobiet jest w takiej sytuacji jak ty. A przecie¿ nie wysiaduj¹ ca³ymi godzinami z ca³unem na twarzy, za wszelk¹ cenê staraj¹c siê sprawiaæ wra¿enie, ¿e te¿ zesz³y.

- Doprawdy? - W jej g³osie zabrzmia³a lodowata nuta. - Cóż wiêc robi¹,

wuju? Chodz¹ na przyjêcia? - Tak w³acenie postêpowa³a wczecniej, jeszcze przed œmierci¹ Armanda, i robi³a Ÿle. Nie powtórzy czegoœ takiego. Armand umar³. Na ca³ym œwiecie umierali zreszt¹ mê²czyŸni, a ona robi³a wszystko co w jej mocy dla tych, którym uda³o siê prze²yc.

- Mog³abyœ wyskoczyæ na kolacjê od czasu do czasu. Czy by³oby to a² takim wystêpkim?

- Nie mam ochoty.

George postanowi³ poruszyæ temat bêd¹cy dot¹d tabu. - Mia³acê jakieœ wiadomoœci od Nicka?

- Nie. - Mury wokó³ Liane umocni³y siê jeszcze bardziej.

- Pisa³acê do niego?

- Nie i nie zamierzam. Pyta³ecê mnie ju² o to i proszê, nie ró³b tego wiêcej.

- Dlaczego nie? Mog³abyœ go w koñcu powiadomiæ o œmierci Armanda.

- Dlaczego? - W jej g³osie pojawi³y siê nuty wœciek³oœci. - Co dobrego by z tego wynik³o? Zrywa³am z nim ju² dwa razy i nie zamierzam ponownie go raniaæ.

- Dwa razy? - powtórzy³ wuj z lekka stropiony, a Liane wœciek³a siê na siebie. Có² za ró²znica, jeœli siê w tej chwili dowie?

- To samo sta³o siê na pok³adzie "Deauville". Zakochaliœmy siê w sobie i zakoñczy³am ten zwi¹zek ze wzglêdu na Armanda.

- Tego nie wiedzia³em... - Pod wieloma wzglêdami jest niebywale skryt¹ kobiet¹, pomyœla³ George z wielkim podziwem. A zatem mieli ju² wczecniej romans. Podejrzewa³ to, lecz nigdy nie mia³ pewnoœci. - W takim razie chyba tym ciê²ej by³o wam rozstawaæ siê ostatnio.

Spojrza³a wujowi w oczy. - Istotnie. Nie mogê mu zrobiæ tego jeszcze raz, wuju. Ani jemu, ani sobie. Za wiele rzeczy siê wydarzy³o. Lepiej pozostawiaæ sprawy ich w³asnemu biegowi.

- Ale² nie musisz skazywaæ go znowu na ten sam los. - Nie chcia³ dodawaæ, że jest ju² woln¹ kobiet¹.

- Nie wiem, czy mog³abym ²ycæ z poczuciem winy. Za to, co zrobiliœmy. Nadal s¹dzê, że Armand wiedzia³, a jeœli nawet nie wiedzia³, to i tak postêpowa³am Ÿle. Nie mo²na budowaæ ²ycia na b³êdzie powtórzonym dwa razy... Powiedz, gdybym teraz do niego napisa³a, co dobrego by to da³o? Znów by nabra³ nadziei, a ja mo²e bym nie potrafi³a sprostaæ jego oczekiwaniom po powrocie. Nie mogê, po prostu nie mogê po raz trzeci skazywaæ go na to samo.

- Ale przecie² musia³ znaæ twoje uczucia, Liane.

- Zna³. Zawsze powtarza³, że bêdzie gra³ wed³ug moich zasad. A moje zasady kaza³y mi wróciæ do mê²a. - Minê mia³a tak¹, jakby brzydzi³a siê samej siebie. Drêczy³a siê tym od miesiêcy. - Nie chcê ju² o tym mówiæ... - Wspomnia³a owe dawno minione czasy, kiedy mog³a kochaæ dwóch mê²czyzn. Teraz nie mia³a ²adnego.

- S¹dzê, że jesteœ w b³êdzie. Nick na pewno zna ciê lepiej ni² ty sama. Móg³by ci pomóc przetrwaæ ten kryzys.

- Znajdzie sobie kogoœ innego. Poza tym ma Johna, do którego mo²e wróciæ.

- A ty? - Bardzo siê o ni¹ niepokoi³. Któregoœ dnia Liane niechybnie z³amie siê pod naporem nieustannych napiêæ.

- Jestem szczêœliwa w takiej roli, jak¹ odgrywam.

- Nie wierzê. I ty te² w to nie wierzysz.

- Nie zas³ugujê na inny los, wuju!

- Na mi³oœæ bosk¹, kiedy wreszcie zejdziesz z tego krzy²a?

- Kiedy odpokutuję winy.

- A nie s' dzisz, że już to zrobi³ac? - Pokręci³a głow¹. - Straci³ac mę³a, którego, jak powiadasz, zdradzi³ac, a przecie¿ trzyma³ac siê go do ostatniej chwili. Zrezygnowa³ac nawet z mę³czyzny, którego obdarzy³ac uczuciem, i dotrzymywa³ac tajemnicy Armanda przez wszystkie te lata, chocia¿ wykañcza³em ciê swoimi niewybrednymi z³oceliwoœciami, chocia¿ w³aciwie przegnano ciê z Waszyngtonu, wytarzan¹ w smole i pierzu. Nie s' dzisz, że już wystarczy? A teraz zapracowujesz siê na œmieræ, pomagaj¹c tym facetom w szpitalu. Czego chcesz jeszcze? W³osiennicy?... Habitu i popio³u na g³ówê?...

Uœmiechnę³a siê. - Nie wiem, wuju. Mo¿e kiedy wojna siê skoñczy, pomyœlê o tym œwiecie w innych kategoriach.

- Jak wszyscy, Liane. To ciê¿kie czasy. Pomyœl o ÷ydach wysy³anych do obozów. O dzieciach gin¹cych w Londynie. O faszystach rozstrzeliwuj¹cych ludzi pokroju Armanda. O zatopionych okrêtach i... mo¿na to wyliczaæ w nieskoñczonoœæ. To wszystko jest potworne, ale przecie¿ wciê¿ musisz budziaæ siê rano z uœmiechem, wygl¹daæ przez okno i dziêkowaæ Bogu, że Ÿyjesz, podawaæ d³oñ ludziom, których kochasz. - Wyci¹gn¹³ ku niej ramiê, a ona uję³a jego d³oñ i poca³owa³a.

- Kocham ciê, wuju. - Wygl¹da³a teraz jak ma³a dziewczynka i starszy pan pog³adzi³ jej jedwabiste jasne w³osy.

- Ja te¿ ciê kocham, Liane. I prawdê mówi¹c, kocham takê tego ch³opca. Chcia³bym doŸyæ chwili, kiedy bêdziecie znowu razem. By³oby to dobre i dla ciebie, i dla dziewcz¹t, bo przecie¿ ja nie bêdê Ÿy³ wiecznie.

- Bêdziesz. - Uœmiechnę³a siê znowu. - Postaraj siê.

- Nie, nie bêdê. Przemyœl to, co powiedzia³em. Jesteœ winna to samej sobie. I jemu.

Nie wziê³a sobie jednak do serca jego s³ów. Po prostu chodzi³a co dzieñ do szpitala w Oakland, wykañczaj¹c siê opiek¹ nad pacjentami, potem wraca³a do domu, aby wszystkim, co w niej pozosta³o, obdarzyæ wuja i córki.

W dniu 15 paŸdziernika "Enterprise" ponownie wzi¹³ kurs na Guadalcanal. Na pok³adzie okrêtu p³yn¹³ Nick, ka¿dym nerwem wyczekuj¹cy powrotu na front. Dwa miesi¹ce spêdzone na Hawajach omal nie doprowadzi³y go do szaleñstwa.

"Enterprise" osi¹gn¹³ Guadalcanal 23 paŸdziernika i wraz z "Hornetem" przeszed³ pod dowództwo kontradmira³a Thomasa Kinkaida. W pobli¿u miejsca bitwy nadal kr¹Ÿy³y cztery japoñskie lotniskowce, usi¹uj¹c odbiæ obecnie Henderson Field. Amerykanie jednak utrzymywali przyczó³ek.

Admira³ Halsey, g³ównodowodz¹cy flot¹ na po³udniowym Pacyfiku, 26 paŸdziernika wyda³ rozkaz ataku na Japoñczyków. By³a to straszliwa bitwa, Amerykanie bowiem dysponowali mniejszymi si³ami. Japoñczycy zdo³ali zapaliæ, a potem zatopiaæ "Horneta", na którym zginê³o setki ludzi.

"Enterprise" przetrwa³ mimo ciê¿kiego ostrza³u i kontynuowa³ walkê. A w Stanach Zjednoczonych wszyscy siedzieli przy radioodbiornikach, oczekuj¹c nowin.

Przy tym w³acenie wuj George zasta³ pewnego dnia Liane. Mia³a strach w oczach.

- Przypuszczasz, że on tam jest, prawda?

- Nie wiem. - Jej oczy mówi³y jednak co innego.

- Ja te¿. - Smêtnie pokiwa³a głow¹.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Rankiem 2~ października "Hornet" wciła płoną, powoli toniła. "Enterprise", mimo wielu poważnych uszkodzeń, nie przerywała walki. Pułkownik Burnham trwał na mostku, dowodząc obroną przeciwniczą, kiedy Japończycy zadali okrętowi najpoważniejszy cios. Pięćsetpięćdziesięciopięćfuntowa bomba spadła na pokład startowy i siejąc odłamkami na wszystkie strony, przebiła lewą burtę. Cały okręt stanął w płomieniach, a ciała zabitych i rannych zasłaniały wszystkie pokłady.

- Jezu Chryste! Widziałeś tę bombę? - Mężczyzna stojący obok Nicka z niedowierzaniem szeroko otworzył oczy. Nick jednym skokiem pokonał schody.

- Nie pieprz! Palimy się! Ci gnij w piekło!

Jedni żołnierze usiłowali strzelać, inni ostrzeliwali japońskie bombowce nurkujące, które atakowały okręt. Jeden z samolotów zderzył się z pokładem, wywołując straszliwą eksplozję. Nick próbował wyciągnąć z płomieni ludzi porannych ku niemu ostatkiem siły. Kiedy polewał ich wodą, usiłując ugasić ogień porażający ich odzież i ciała, za jego plecami rozbrzmiała kolejna eksplozja. Nick dostrzegł jedynie oślepiający blask i poczuł lekkociepno w czonkach... I zdłżył jeszcze pomyśleć o Liane.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Uczestników bitwy na Guadalcanal zwołano przez cały listopad. Wielu z nich przetrzymywano jakiegoś czas w Hickam, innych natychmiast odsyłano do Oakland, tylko tam bowiem można było zapewnić właściwą opiekę. Wielu wszakże zmarło przed powrotem do Stanów.

Liane obserwowała, jak zjawiają się dzień po dniu: pozbawieni kończyn, pokryci straszliwymi ranami i oparzeniami. I w nieskończoność wysłuchiwała opowieści o pięćsetpięćdziesięciopięćfuntowej bombie.

Kiedy asystowała przy znoszeniu rannych z okrętu, przypomniała sobie "Deauville". To jednak było dużo gorsze niż wszystko, co widziała wtedy. Ci ludzie wracali do domu w strzępach.

Pewnego razu wydała się jej, że ktoś mówi o Nicku. Jakiegoś mężczyzna w gorączce majaczył, rozprawiał o kumplu, który zmarł na pokładzie tuż obok niego. Później okazało się jednak, że chodziło o innego Nicka. Opowiadający zaczął zmarł w jej ramionach dwa dni później.

W wieczór Święta Dziełczynienia wuj George, nie mogąc dłużej znieść napięcia, zaproponował:

- A może będziemy zadzwonili do War Office i spróbowali się dowiedzieć?

Pokręciła głową. - Jeżeli spotka go coś złego, przeczytamy o tym w gazetach... - Nie chciała się dowiadywać, gdzie Nick przebywa, kusiłoby ją bowiem, żeby napisać list, czego zgodnie ze swym postanowieniem nie zamierzała robić. A jeżeli został ranny, dowie się o tym wcześniej czy później. Jeżeli natomiast szef korporacji Burnham Steel zginął, wiadomość ta zostanie opublikowana we wszystkich gazetach w kraju. - Daj spokój, wujku, nic mu się nie stało.

- Tego nie wiesz.

- Nie wiem - przyznała, miała jednak dociec roboty z ludźmi, którzy z całą

pewnoœci¹ nie wyszli ca³o z tej bitwy. Pracowa³a teraz na dwunastogodzinnych zmianach, ramiê w ramiê z wykwalifikowanymi pielêgniarkami.

- Cholera, powinni daæ ci jakœ medal, kiedy skoñczy siê ta wojna.

Pochyli³a siê i poca³owa³a wuja w policzek, potem z uœmiechem wyprostowa³a siê i zerknê³a na zegarek.

- Muszê iœæ, wujku.

- Teraz? Dok¹d?- Skoñczyli w³acenie œwi¹teczn¹ kolacjê i chwilê póŹniej dziewczynki posz³y do ³óŹek. By³a dziewi¹ta wieczorem, a Liane nie wychodzi³a przecieŹ, nigdzie od miesi¹ca.

- W bazie brakuje personelu i obieca³am, Źe wrócê.

- Nie chcia³bym, Źebyœ jecha³a tam sama.

- Jestem juŹ doros³a, wujku. - Poklepa³a go po ramieniu.

- Jesteœ szalona.

By³a bardziej szalona, niŹ przypuszcza³. Ob³1kana z lêku, têsknoty i bólu. Ob³1kana z niepewnoœci, czy Nick Źyje, czy zgin¹³. Dzieñ po dniu wys³uchiwa³a opowieœci, zastanawiaj¹c siê, czy ten, co zgin¹³ u boku Źo³nierza, którym siê opiekowa³a, by³ Nickiem, i czy w ogóle Nick uczestniczy³ w tej bitwie. Udrêka na sta³e zagoœci³a w jej oczach. W poniedzia³ek rano George Crockett wzi¹³ sprawê w swoje rêce i po raz kolejny zadzwoni³ do Brett Williamsa.

- Proszê pana, ja muszê wiedzieæ - œwiadczy³ stanowczo.

- My teŹ. - Brett Williamsa zastanawia³ ten starszy facet.

Williams wiedzia³, kim jest, w przeciwnym bowiem razie nie odebra³by telefonu, ale dziwi³o go, Źe Crockett tak siê dopytuje o Nicka. MoŹe by³ bliskim przyjacielem starszego Burnhama? - Nie dostaliœmy Źadnych wiadomoœci.

- Ale moŹe je pan zdobyæ, na mi³oœæ bosk¹. Niech pan zadzwoni do Bia³ego Domu, do Departamentu Stanu, do Pentagonu, gdziekolwiek.

- Dzwoniliœmy. Panuje teraz taki chaos, Źe nie moŹna polegaæ na ich informacjach. Wielu ludzi zginê³o na pok³adzie "Horneta", wielu innych jest rozsianych po rozmaitych szpitalach. Mówi¹, Źe trzeba miesi¹ca, zanim te informacje bêd¹ precyzyjne.

- CóŹ, chyba nie mogê czekaæ tak d³ugo - mrukn¹³ George.

- Dlaczego nie? - Brett Williams mia³ juŹ docææ tej rozmowy. Od miesi¹ca Źy³ w ci¹g³ym napiêciu, nie maj¹c pojecia, co dzieje siê z Nickiem. Niemal codziennie dzwoni³ do niego Johnny. Nie mia³ ch³opcju nic do powiedzenia, tak samo jak temu starszemu z Zachodniego WybrzeŹa. Dzwoni³a nawet Hillary. By³a rzeczywicie zaniepokojona, Źe Johnny moŹe straciæ ojca. W tej chwili gotowa by³a nawet zrezygnowaæ z syna. - Skoro my siedzimy na ty³kach obgryzaj¹c paznokcie, moŹe to robiæ równieŹ pan.

- Ale moja bratanica nie moŹe. Zadrêczy siê na œmieræ, jeœli nie zdo³amy ustaliæ, co siê z nim sta³o.

- Pañska bratanica? - zapyta³ stropiony Brett. - Kim ona jest, do diab³a?

- To Liane Crockett. - Nie nazywa³a siê Liane Crockett juŹ od trzynastu lat, lecz w tej sytuacji George zupe³nie o tym zapomnia³.

- Ale... - b¹kn¹³ Williams. Powoli zaczyna³o to do niego docieraæ. - Nie zdawa³em sobie sprawy... Nic mi nie powiedzia³...

- Zastanawia³ siê, czy stary mówi prawdê, ale zapewne tak, po cóŹ by bowiem dzwoni³?

- Dlaczego, do diab³a, mia³ siê panu zwierzaæ? Zreszt¹ wtedy by³a mê¹atk¹, ale teraz jest wdow¹... - zaj¹kn¹³ siê zdziwiony, Źe mówi to

wszystko obcemu w gruncie rzeczy facetowi. Jednakże jej mu się zrobiło na duszy, gdy wyjawił tę tajemnicę. Nie mógł znieść widoku Liane ginącej powoli wewnątrz fortecy, którą sama zbudowała wokół siebie. - Proszę pana, musimy go znaleźć. - Chwycił notes i pióro.

- Do kogo pan dzwonił? - Williams wyrecytował długi list nazwisk. Ten stary zaczynał mu się podobać. Był do rzeczy i najwyraźniej miał coś na punkcie bratanicy i Nicka Burnhama. Zaczęła się zastanawiać, do których drzwi można by jeszcze zapukać, George Crockett zaczął podsunąć mu kilka wartych zachodu pomysłów. - Pan to robi, czy ja mam się tym zająć?

Williams wiedział, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Korporacja Burnham Steel i Linie Kolejowe Crocketta miały równą wagę.

- Proszę pozwolić, że najpierw ja spróbuję. Dam panu znać.

Dwa dni później Brett istotnie zadzwonił. Nie dowiedział się wiele, ale zawsze coś.

- Nick był na "Enterprise", kiedy okręt został trafiony, panie Crockett. Bez wątpienia został ciężko ranny. Wiadomo jeszcze tylko, że przetransportowano go na Hawaje. Dopiero dzień rano ustalono, że był w Hickam.

- Czy wciąż tam jest? - zapytał George kręcąc głowę. Znaleźli go co prawda, ale czy żyje? I jak poważnie został ranny?

- Wyprawiono go w zeszłym tygodniu na USS "Solace". Okręt przerobiono na jednostkę szpitalną, pójdzie teraz do San Francisco. Ale, panie Crockett...

- Najwyższymi niechciami napawała go myśl, że musi zgasić nadzieje rozmówcy, ale powinni być przecież realistami, nawet ta nieznana bratanica Crocketta. A może zwłaszcza ona. Nie wiedział, ile Liane nic nie wie o dochodzeniu prowadzonym przez wujka. George chciał zaczekać, dopóki nie będzie dysponował konkretnymi informacjami. - Nic nie wiadomo o jego stanie. Był krytyczny, kiedy Nick trafił do Hickam, ale nie wiemy, w jakim stanie odpłynął. Wszystko wskazuje na to, że na tych okrętach... Na tych okrętach wielu umiera.

- Wiem. - George Crockett przyznał oczy. - Musimy się po prostu modlić.

- Zastanawia się, czy powinien poczekać, czy też powiedzieć Liane już teraz. Ale może jeżeli zacznie grać na zwódek, Liane któregoś dnia ujrzy przed sobą w tym cholernym szpitalu twarz Nicka. Otworzy oczy. - Jak się pan dowiedział?

Brett Williams ucieszył się. - Zadzwoniłem jeszcze raz do prezydenta i powiedziałem, że pan się koniecznie chce dowiedzieć.

- Przyzwyczajony gość. Głosowałem na niego w ostatnich wyborach.

- Ja też.

- Wie pan, kiedy statek powinien wypłynąć do portu?

- Nie mieli pewności. Jutro albo pojutrze.

- Będzie mieć to na oku, a jak tylko czegoś się dowiem, zadzwonię do pana.

Odłożył słuchawkę, po czym zadzwonił do dowództwa marynarki wojennej. "Solace" miał wejść do portu nazajutrz o szóstej rano. Dawało to George'owi sporo czasu do namysłu.

Liane wróciła do domu o szóstej wieczorem blada i wyczerpana. George przyglądał się jej, kiedy piła herbatę i jadła kanapkę; walczył, czy ma jej powiedzieć już teraz, lecz doszedł do wniosku, że nie może. A jeżeli Nick umarł podczas rejsu? Potem jednak naszała go inna refleksja: a jeżeli nie umarł?

Jeszcze nie spała, kiedy godzinę później zapukała do drzwi jej pokoju.

- Liane... Nie obudziłem cię?

- Nie, wujku. Czy coe się sta^o? □le się czujesz? - zaniepokoi^a się.
- Nie, nie, czuję się œwietnie. Usi^dŸ, moja droga. - Wskaza³ jej krzes^o
i sam usiad³.

Liane zadr^za^a. Mia^a przeczucie, Ÿe wuj chce jej powiedzieæ coe, czego
wcale nie chcia^a us^{yszeæ}. Kiedy na niego patrzy^a, zgas^y w niej resztki
nadziei.

- Chcê ci coe powiedzieæ, Liane. MoŸliwe, Ÿe się na mnie rozgniewasz... -
G³êboko zaczerpn¹³ powietrza i podj¹³: - Kilka dni temu zadzwoni³em do
Bretta Williamsa.

- A kto to jest? - Wtedy nagle przypomni^a sobie i poczu^a, Ÿe ca^e jej
cia^o tê^eje. - No i?... - Czekaj¹c na odpowiedŸ, czu^a się tak, jakby
umiera^a, spadaj¹c w g³êbok¹ czarn¹ otch^añ.

- Nick by³ na Guadalcanal. - Stara³ się powiedzieæ wszystko jak
najszybciej. - Zosta³ ranny... Prawdopodobnie ciê^{ko}... Ale wed³ug
ostatnich doniesieñ wci¹Ÿ Ÿy³.

- Kiedy to by³o?

- Przesz³o tydzieñ temu.

- Gdzie jest teraz?

Wci¹Ÿ patrzy³ jej w oczy. Rozdziera³ j¹ ból, ale nareszcie Ÿy^a. - Na
statku p³yn¹cym do San Francisco.

Zaczê^a cicho p³akaæ. George podszed³ do niej i po³o^zy³ jej rêkê na
ramieniu.

- Liane... Niewykluczone, Ÿe nie przeŸyje tego rejsu. By³æ œwiadkiem
wielu takich sytuacji, wiêc na pewno zdajesz sobie z tego sprawê. - Skinê^a
g³ow¹ i podnios^a wzrok.

- Wiesz, na jakim jest statku?

- Na "Solace". Jutro o szóstej rano bêd¹ tutaj, w Oakland.

Siedz¹c bez ruchu, przymknê^a oczy i pogr¹Ÿy^a się w myœlach. Szósta
rano... szósta rano... Za siedem godzin to wszystko się skoñczy... Bêdzie
wiedzieæ...

- Dowiemy się wszystkiego, jak tylko przyp³yn¹ - odezwa³ się George.

- Nie - przerwa^a z moc¹. - Nie. Chcê tam pójæ sama.

- MoŸesz go nie znaleŸæ.

- Jeceli tam bêdzie, odnajdê go.

- AleŸ, Liane... - zaoponowa³. A jeceli się okaŸe, Ÿe Nick nie Ÿyje?...

Nie chcia³, Ÿeby sama stawia^a temu czo^o. - Pójdê z tob¹ - œwiadczy³
stanowczo.

Czule poca³owa^a go w policzek.

- Chcê pójæ sama. Muszê. - Uœmiechnê^a się na wspomnienie s³ów Nicka,
wypowiedzianych bardzo, bardzo dawno temu. - Jestem siln¹ kobiet¹, wuju.

- Wiem - uœmiechn¹³ się, chociaŸ oczy mia³ pe³ne ³ez. - Ale to moŸe się
okazaæ nawet ponad twoje si³y.

Pokrêci^a g³ow¹. Chwilê póŸniej George wyszed³ z pokoju. Przez ca³¹ noc
Liane siedzia^a w ciemnoœciach, obserwuj¹c wskazówki zegara. O wpó³ do
pi¹tej wziê^a prysznic i ubra^a się. W ciep³ym p³aszczu wysz^a wprost w
wilgotne k³êby mg³y.

Rozdzia³ piêædziesi¹ty szósty

Kwadrans po pi¹tej Liane jecha^a Bay Bridge, nie widz¹c z przodu ani z

ty³u żadnego samochodu. Tylko w oddali rysowa³y się sylwetki dwóch ciê³arówek. Gêsta mg³a spowija³a zatokê i rozpiêty nad ni¹ most. Kiedy dotar³a do bazy marynarki wojennej, mg³a gêt¹ pow³ok¹ osiada³a na wodzie. Na nabrze³u sta³y rzêdem karetki pogotowia oczekuj¹ce na rannych, obok trwa³y w gotowoœci zespo³y sanitariuszy, chuchaj¹cych w d³onie z powodu ch³odu. Wiedzieli, że statek przechodzi w³acenie pod Golden Gate. To ju³ nied³ugo. Liane dostrzeg³a znajom¹ twarz m³odego lekarza wojskowego, z którym pracowa³a w szpitalu.

- Zapêdzili ciê do roboty, Liane? Pracujesz naprawdê ciê³ej ni³ ja.

- Nie. Przyjecha³am, żeby zobaczyć... żeby się dowiedzieć...

Rozpozna³ wyraz jej oczu i zrozumia³. Nie by³a tu s³u³bowo. Natychmiast poj¹³, dlaczego dr¹ca stoi w ch³odnym powietrzu poranka.

- Wiesz, gdzie by³?

- Na Guadalcanal.

Rezultaty tej bitwy, setki rannych i okaleczonych, ogl¹dali od miesiêcy.

Wiesz, jak powa³nie by³ ranny? - Pokrêci³a g³ow¹, a lekarz po³o³y³ jej d³oñ na ramieniu i powiedzia³ cicho: - Jakoœ go po³atamy.

Skinê³a g³ow¹, niezdolna cokolwiek powiedzieć, a potem odesz³a, aby obserwowa³ wejœcie statku do portu. W oddali w gêtej mgle pojawi³o się œwiat³o, zabrzmia³ buczer mg³owy. Jeszcze bardziej wytê³y³a wzrok. œwiat³a stawa³y się coraz wyraŹniejsze, wreszcie z bia³ej zupy niczym zjawa wy³oni³a się sylwetka "Solace". Burty by³y pomalowane na bia³o i oznaczone czerwonym krzy³em. Dla Liane, ze wstrzymanym oddechem czekaj¹cej na zimnie, cumowanie trwa³o ca³e wieki. W gronie sanitariuszy nast¹pi³o o³ywienie, chwymano nosze, a kiedy wreszcie statek zacumowa³, nabrze³e gwa³townie o³y³o.

W pierwszej kolejnoœci znoszono najciê³ej rannych. Syreny karetek zawy³y przeraŹliwie. Dla Liane w ca³ej tej sytuacji by³o coœ absurdalnego - ranni wiele dni Źeglowali po Pacyfiku, a teraz wiezie się ich do szpitali na sygnale. Dla niektórych wszak³e ka³da stracona chwila mog³a oznacza³ Źycie lub œmieræ. Wiedz¹c, że nie ma żadnego wyboru, Liane post¹pi³a do przodu i zaczê³a przepatrywa³ twarze. Niektórych jednak nie by³o wida³, inne zosta³y czêœciowo zakryte, inne tak straszliwie poparzone, że nie dawa³o się rozpozna³ rysów. Kiedy tak sz³a nabrze³em, pe³na wyczekiwania i niepokoju, Źo³¹dek podchodzi³ jej do gard³a. To by³o coœ innego ni³ praca w szpitalu. Wypatrywa³a Nicka i wa³ny by³ tu ka³dy mêt³czyzna, któremu się przygl¹da³a. By³a gotowa na najgorsze. W pewnej chwili us³ysza³a, jak znajomy lekarz pyta:

- Jak się nazywa?

- Burnham - odkrzyknê³a. - Nick Burnham.

- Znajdziemy go.

Skinieniem g³owy wyrazi³a wdziêcznoœæ.

Powoli zaczêli się pojawia³ ranni, zdolni porusza³ się o w³asnych si³ach. Mêt³czyŹni kuetykali, ³zy sp³ywa³y po ich policzkach.

Liane us³ysza³a potê³ny wrzask i podniós³szy wzrok, ujrza³a na pok³adzie statku setki obanda³owanych, okaleczonych, poranionych i zmasakrowanych Źo³nierzy, którzy mimo ran krzykiem pozdrawiali ojczyznê. W odpowiedzi podobny krzyk rozleg³ się na nabrze³u. Krzyk, do którego przy³¹czy³a się te³ Liane - w imieniu swoim, Nicka, Armada... Tak wielu mia³o nigdy nie wróciæ do domu! Zastanawia³a się, czy w tym gronie bêdzie te³ Nick. Mo³e informacja zdobyta przez wuja George'a by³a b³êdna... mo³e Nick zgin¹³... albo nie ma go na pok³adzie statku... albo umar³ w czasie rejsu.

Obserwowanie strumienia wolno schodzących po trapie mężczyźni by o wręcz nieznaczące. Dochodzi siódma trzydzięćci, mężczyźni unosi się powoli, a oni w końcu schodzą. Młody lekarz biegnie pomiędzy rannymi i karetkami, kursującymi nieprzerwanie od nabrzeża do szpitala i z powrotem. Liane wie, że tego dnia sala operacyjna będzie pełna w szwach.

- Dalej nic? - Lekarz zatrzyma się przy niej na chwilę. Liane pokręci głową. - To może być dobry znak. Niewykluczone, że jeszcze zajdzie.

Albo wcale nie zajdzie, pomyślała Liane. Była odrętwiała i przemarznięta do szpiku kości.

Wtedy go zobaczyła. Szedł powoli w grupie mężczyzn, z pochyloną głową, dwiema włosami. A jednak rozpoznała go od razu, nawet w morzu otaczających go męskich twarzy. Dopiero po chwili zauważyła, że idzie o kulach.

Stała nieruchomo, nagle niepewna, czy w ogóle powinna być przychodzić. Czy nie postąpiła niewłaściwie. Może Nick wcale nie ma ochoty jej widzieć? Kiedy tak patrzyła, Nick odwrócił głowę, aby powiedzieć coś do człowieka po swojej prawej stronie, potem stanął jak wryty, dostrzegł Liane. Nie rusza się ani on, ani ona. I naraz, jakby nie mieli już odwrotu, postąpili ku sobie. Zrazu wolno, później coraz szybciej.

Ale oto rozbrzmiała nowa fala okrzyków i wiatów i na moment Liane straciła Nicka z pola widzenia, kiedy jednak tym ponownie się rozdzielili, zobaczyła go w tym samym miejscu. Ruszyła biegiem, ciemniej się przez niego, a on pochylił głowę i zaprzężył kręć głowę, jak gdyby chciał zawołać "Nie", albo dać do zrozumienia, że wcale nie chce jej widzieć. Zwolniła kroku, zauważyła, że Nick nie ma lewej nogi, zrozumiała i ruszyła biegiem wykrzykując jego imię: "Nick, Nick, Nick!"

Liane biegła, Nick zaczął podnosić wreszcie pochyloną dotąd głowę i wtedy ujrzała w jego oczach doświadczenie tysiąca lat, doświadczenie, którego nie było w nich wcześniej. Potem nagle szarpnął się, mocniej chwycił kule i ruszył w jej stronę...

Stali na nabrzeżu. Nick mocno tulił ją do siebie. Byli tacy sami jak niegdyś, a zarazem zupełnie odmienieni. Minęło tysiąc lat, wokół nich umierali ludzie, a nad nimi unosi się mężczyźni. Nick w końcu wrócił do domu, Liane należała do niego.

Miała sroczność dawno temu, w innym świecie, w innym czasie: silnych ludzi nie można pokonać.